

MICHAEL CAPUZZO

KLUB

KONESERÓW

ZBRODNI

PRZEŁOŻYŁ

Jacek Konieczny

WYDAWNICTWO LITERACKIE

Tytuł oryginału

The Murder Room. The Heirs of Sherlock Holmes Gather To  
Solve the World's Most  
Perplexing Cold Cases

© Copyright 2010 by Michael Capuzzo. All rights reserved

© Copyright for the Polish translation by Wydawnictwo Literackie,  
2011

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-04728-6

Dla Teresy

Prolog

Profiler i ksiądz

Hudson, stan Wisconsin, grudzień 2004 roku

Profiler\* nie zamierzał podawać księdzu ręki. Nie mógł tego zrobić, jeżeli

chciał go dopaść. A w takich sytuacjach zawsze szedł na spotkanie, żeby

dopaść rozmówcę. Nic nie sprawiało mu większej satysfakcji — nawet po

przejściu na emeryturę.

Ksiądz wparował do pokoju, powiewając sutanną. Z uśmiechem na

ustach uściśnął dłonie kilku znajomym. Przed nim truchtał asystent, któ-

rego obecność, jak odnotował w myślach profiler, miała sprawić wrażenie

nie, że ksiądz jest ważną postacią. Był to postawny mężczyzna, a czarny

ubiór nadawał mu władczy wygląd. Brodatą, młodzieńczą twarz rozja-

śniał serdeczny śródziemnomorski uśmiech. Trupioblady profiler wyglą-

dał przy nim jak cień człowieka. Po każdym papierosie — a palił trzy na

godzinę — zanosił się straszliwym kaszlem. Był również ateistą o dość

szyderczym i cynicznym stosunku do wiary. Ale to akurat nie miało w tej

chwili znaczenia.

Chłodny stosunek do księdza wynikał przede wszystkim z przekonania

nie, że postępowanie zgodne z ogólnie przyjętymi normami moralnymi

jest sprawą honoru, obowiązkiem każdego porządnego człowieka. Istniał

\* Specjalista od tworzenia profili psychologicznych przestępców (wszystkie przypi-  
sy pochodzą od tłumacza).

7

jeszcze bardziej przyziemny powód tego dystansu: profiler nie zamierzał pozwolić psychopacie na przejęcie kontroli nad spotkaniem. Uważał, że życie składa się z nieustannych wyborów: między dobrem i złem, dominacją i podporządkowaniem się, prawdą i fałszem — a on rozwiązań pośrednich nie uznawał. Nie tolerował ludzi, którzy przekraczali granice zwykłej przyzwoitości. Przysporzyło mu to wielu wrogów, ale to akurat napawało go dumą. „Człowiek nie powinien przeproszać za to, że ma rację”, mówił. Sługa boży wyciągnął do chudego mężczyznydużą, pulchną dłoń. Komendant policji i dwóch oficerów śledczych czekali z zainteresowaniem na reakcję profilera. Ten zmarszczył z odrazą orli nos, zupełnie jakby ktoś chciał mu wręczyć psią kupę. Szybko cofnął rękę i odwrócił się. Zadowolonym woleniem dostrzegł na twarzy księdza przelotny niepokój, jednak niemal natychmiast powróciła na nią maska opanowania, którą ten bezduszny człowiek nosił niczym eleganckie ubranie. Wszystko sprowadzało się do zdobycia przewagi nad przeciwnikiem. Profiler pouczył wcześniej komendanta, w jaki sposób powinien go przed-

stawić księdzu. Nie miał wymienić nazwiska ani stopnia służbowego, tylko powiedzieć: „a to jest ekspert od morderstw z innego miasta”. Dopiero kiedy przedstawiono go w ten sposób, profiler uścisnął dłoń księdza z wiktoriańską kurtuazją, jak na dżentelmena starej daty przystało. Następnie usiadł w kącie, skrzyżował nogi, wykrzywił usta w lekkim uśmiechu i w milczeniu przysłuchiwał się pytaniom, które śledczy zadawali księdzu. Policja ani trochę nie zbliżyła się do rozwiązania zagadki od owego popołudnia, kiedy miastem — gdzie od stulecia nie zdarzyło się nic równie makabrycznego — wstrząsnęła wieść o dokonanym w biały dzień morderstwie, którego ofiarami padło dwóch szanowanych obywateli. Na liście podejrzanych umieszczono jedenaście osób, ale przez następne dwa lata nikogo nie aresztowano. Profiler zapoznał się z aktami śledztwa i po trzech godzinach konsultacji z policjantami zawęził listę podejrzanych do jednej osoby. „Mordercą jest ksiądz”, oświadczył. „Zdaję sobie oczywiście sprawę, że wolelibyście innego kandydata, nie zmienia to jednak faktu, że to on”. Zdjęcie chudego profileru wydrukowano na pierwszej stronie lokalnej gazety. W artykule zacytowano jego wypowiedź, że „w zasadzie nie ma wątpliwości” co do rychłego zakończenia śledztwa w sprawie

tajemniczego

8

morderstwa. „Na miejscu sprawcy nie kupowałbym zielonych bananów”,  
zażartował.

Policjanci nie wiedzieli, czego się spodziewać, kiedy przystąpili do prezentacji tej sprawy w filadelfijskim klubie towarzyskim skupiającym

najsłynniejszych żyjących detektywów. Nie czuli się pewnie w otoczeniu

francuskich flag, boazerii z orzechowca i żyrandoli. Ich

wystąpieniu przy-

słuchiwali się między innymi: korpulentny, brodaty mężczyzna z wiel-

ką głową, sypiący żartami jak z rękawa, zwany Wielkim

Inkwizytorem,

szczupły, przysadzisty, łysiejący rzeźbiarz z siwą bródką, który nosił się

wyłącznie na czarno i rozmawiał z umarłymi, oraz wymizerowany profiler

o twarzy Edgara Allana Poeego. A także blisko setka wybitnych detek-

tywów, w tym agent FBI, który był pierwowzorem filmowego adwersarza

Hannibala Lectera, ludzie odpowiedzialni za śledztwa w sprawie zabój-

stwa Roberta Kennedy'ego i Martina Luthera Kinga oraz wielu innych.

Detektywi wykazali wstępne zainteresowanie sprawą i — być może —

stworzeniem zespołu, który miałby się jej dokładniej przyjrzeć.

Koniec

końców z samolotu wysiadła tylko jedna osoba: wymizerowany profiler.

Obserwował teraz, jak ksiądz z godnością i spokojem odpowiada

na  
pytania policjantów. Kapłan siedział wyprostowany z łokciami  
opartymi  
na stole i złączonymi na wysokości brody palcami. W pewnym  
momen-  
cie policjanci zapytali o jego kontakty z chłopcami. Ksiądz odchylił  
się do  
tyłu, jakby uraziła go sama sugestia, że mógłby dopuścić się tego  
rodzaju  
czynów. Śledczy naciskali. Wypytywali o nazwiska, daty. W końcu  
przy-  
znał, że uprawiał seks z nastolatkami, ale natychmiast zapewnił  
rozmów-  
ców, że niewłaściwie interpretują całą sytuację. Nie napastował  
chłopców,  
a jedynie zajmował się ich wychowaniem seksualnym.  
Zapadła cisza. Policjant zerknął na siedzącego w kącie profilera i  
za-  
pytał, czy ma jakieś pytania. Szczupły mężczyzna nachylił się,  
zdział oku-  
lary i wbił wzrok w księdza.  
— Chciałbym przede wszystkim powiedzieć, że gdybym to ja  
prowa-  
dził śledztwo, nie miałbyś na sobie tego kostiumu.  
Słowo „kostium” wypowiedział takim tonem, jakby mówił o czymś  
odrażającym.

9

— Jestem księdzem dwadzieścia cztery godziny na dobę —  
zaprote-  
stował kapłan.  
Profilera posłał mu lodowate spojrzenie i skrzywił się z jeszcze  
więk-  
szym obrzydzeniem.  
— W tej chwili nie reprezentujesz Kościoła  
rzymskokatolickiego. Jeżeli

cokolwiek sobą reprezentujesz, to wyłącznie upadek człowieka. Ksiądz zbladł i zamilkł. Policjanci wrócili do pytań o chłopców.

Męż-

czynna obstawał przy edukacyjnej naturze kontaktów. Owszem, najpierw

podawał im alkohol, ponieważ wstydzili się nagości. Później ich pobu-

dzał — ale nie doprowadzał do orgazmu. Uczył ich

odpowiedzialnego

korzystania z seksualności. Nie jest grzechem mieć wzwód,

grzechem jest

posunąć się dalej.

— Bzdura! Jesteś zboczeńcem! — krzyknął chudy mężczyzna.

Policjanci nakazali księdzu zdjęcie sutanny. Pomysł ten podsunął im

wcześniej profiler: „postępując z tego rodzaju psychopata, należy za wszel-

ką cenę wyprowadzić go z równowagi”. I rzeczywiście — ksiądz, pozba-

wiony sutanny oraz znajdującego się pod nią podkoszulka, jakby zmalął.

Policjanci porównali tatuaż na jego ramieniu z tym, który opisał jeden ze

świadków. Były identyczne.

Kiedy ksiądz włożył z powrotem bieliznę, a następnie sutannę, pro-

filer podniósł się z krzesła. Podeszedł do księdza, nie odrywając od nie-

go lodowatego, świdrującego spojrzenia. W końcu kapłan spuścił wzrok

i odwrócił głowę. Chwilę później serce drgnęło profilerowi z radości, choć

przez cały czas zachowywał kamienną twarz. Ksiądz płakał! „Łza niena-

wiści spływała mu powoli po policzku”, opowiadał później.

„Doprawdy  
piękny widok”.

Stali oddaleni od siebie o niecałe pół metra: przedstawiciel prawa i przedstawiciel Boga. Kiedy łaza zniknęła w gęstej brodzie, ksiądz prze-  
tarł policzek dłonią, po czym podniósł pełen odrazy wzrok na profilera.

— Niech... to... diabli! — wysyczał.

Szczupły mężczyzna nie potrafił się dłużej powstrzymać i uśmiechnął się szeroko. „Czy miałem satysfakcję, kiedy ten duchowny bluźnił? Oczywiście. Wiedziałem, że przyskrzyliłem skurwiela”.

10

Głos krwi

U zarania świata ludzkość utraciła całą nadzieję. Zawsze jednak mogła

oprzeć się na trójcy:

Wódz, Wojownik, Szaman.

Król, Rycerz, Mag.

Opowieści o takich postaciach pozwalają nam przetrwać.

Powtarzamy je

sobie przy ogniskach, wplątamy w tkaniny i zaklinamy w muzykę.

Wzbi-

jają się unoszone oddechem bogów i wirują w spirali DNA.

Edward O.

Wilson, biolog z Uniwersytetu Harvarda, nazywa takie opowieści „gło-

sem gatunków”, fundamentalnymi historiami kształtowanymi przez „re-

guły epigenetyczne natury ludzkiej (...), wrodzone prawidłowości rozwoju

umysłu”.

Nie istnieje — poza Biblią — mocniej zakorzeniony w kulturze Zachodu tekst niż, spisana po raz pierwszy ponad osiem wieków



temu, opowieść o królu Arturze i rycerzach Okrągłego Stołu. Gdzieś między rokiem 1129 a 1151 benedyktyński mnich z Oksfordu na polecenie swojego biskupa przetłumaczył na łacinę cykl starożytnych celtyckich przepowiedni zatytułowanych *Prophetiae Merlini* („Przepowiednie Merlina”). Kolejnym jego dziełem była *Historia Regum Britanniae* („Historia królów Brytanii”), której fragmenty zaczerpnął z najstarszych walijskich tekstów: Czerwonej księgi z Hergest i Białej księgi z Rhydderch. Właśnie w nich pojawiają się pierwsze historyczne wzmianki o królu Arturze i rycerzach Okrągłego Stołu. Na początku tej powtarzanej przez stulecia opowieści świat leży w gruzach. Zboża usychają, martwe są nawet drzewa, „udręczone kości wymarłej rasy, nieznanymi człowiekowi monstrów”, jak woła poeta Madison Cawein. Ranny król leży złożony niemocą w zamku. Żeby odmienić losy państwa, potrzebuje pomocy dwóch mężów obdarzonych wielkimi, niezwykłymi zdolnościami, jakich sam nie posiada.

\* E.O. Wilson, *Jedność wiedzy*, tłum. J. Mikos, Poznań 2002, s. 309, 339.

11

Naukowcy nie potrafią wyjaśnić, skąd u *Homo sapiens* bierze się potrzeba, by zaczerpnąć kolejny oddech i po raz kolejny

opowiedzieć tę historię.

Filozofowie powiadają, że pierwotnym źródłem tej opowieści jest od-

wieczna ludzka potrzeba szukania istoty — by przywołać słowa Jose-

pha Campbella — „obietnicy od zarania dziejów obleczonej Tajemnicą”.

W ujęciu proroków sprowadzałyby się to do stwierdzenia, że droga do ła-

ski Bożej wiedzy przez liczne próby. Z kolei człowiek czynu doszedłby

zapewne do wniosku, że z tysięcy lat nieustannych prób, błędów i naby-

wania mądrości można wyciągnąć jeden praktyczny wniosek: kiedy świat

się wali i wymaga odnowy, należy znaleźć trzech odpowiednich ludzi.

Część pierwsza

Sala morderstw

Rozdział I

Koneserzy zbrodni

W wielkiej sali unosił się przyjemny aromat kiełbasy z wieprzowiny

i kaczki. Ubrani na czarno kelnerzy wnosili tace z deserem waniliowym.

Biesiadnicy siedzieli przy stołach rozstawionych między kominkami i pro-

wadzili uprzejme rozmowy w kilku językach. Nad ich głowami połykiwa-

ły osiemnastowieczne żyrandole. Kiedy postawiono przed nimi dymiące

dzbanki wybornej kolumbijskiej kawy, na środku pomieszczenia zmate-

rializował się obraz przedstawiający zwłoki młodego, niezwykle

przystoj-

nego mężczyzny.

Szare, zimowe światło wpadało ukosem do sali. Minęło południe, słońce odpłynęło za miasto i wszystkie detale zdjęcia rzuconego na duży

ekran były znakomicie widoczne. Zasnęta krew zlepiła kosmyki ja-

snych włosów leżącego na plecach mężczyzny w coś w rodzaju korony,

a odarte ze skóry kości policzkowe zostały zgniecione na miazgę.

Policyj-

ny fotograf zrobił to zdjęcie nocą w mrocznym zaułku na tyłach restauracji,

niemniej błysk flesza wydobył z ciemności młodzieńczą twarz. Z mroku

odległej w czasie nocy, która zapadła gdzieś na południu Stanów Zjedno-

zonych, spoglądały na zebranych puste, szeroko otwarte oczy.

Było tuż po pierwszej, a członkom Towarzystwa Vidocqa podano aku-

rat piątę i ostatnie danie.

— O Boże — szepnęła młoda, krótko ostrzyżona kobieta w czerwono-

nej sukience. Otarła usta serwetką, przeprosiła sąsiadów i z dłonią przyci-

śniętą do ust wybiegła z sali. William Fleisher, rosy, brodaty mężczyzna

14

we wspaniałym niebieskim garniturze i uszytej na zamówienie koszuli

z wyhaftowanymi inicjałami WLF pokręcił z niesmakiem wielką głową.

— Musimy uważniej selekcjonować gości — stwierdził.

Richard Walter, którego zapadnięte policzki ginęły w cieniu, spojrzął

gniewnie za oddalającą się postacią.

— Niezłe nogi — wyszeptał do niego Frank Bender, jedyny mężczyzna na sali, który zamiast garnituru miał na sobie obcisły czarny T-shirt i dżinsy. Fleisher pokręcił ze zdumieniem głową. Jak to się stało, że los złączył go z parą równie ekscentrycznych, humorzastych geniuszy? Jego koledzy byli znakomitymi kryminologami. Bili na głowę wszystkich, z którymi zetknął się podczas trzydziestoletniej służby w FBI. Nikt nie potrafił przestudiować morderstwa w równie chłodny, analityczny sposób, jak wysoki, zgryźliwy Richard Walter. W środowiskach przestępczych nadano mu przezwisko Anglik, które zawdzięczał nieco szczekliwemu akcentowi. Walter miał za sobą dwadzieścia lat badań nad najbardziej agresywnymi psychopatami osadzonymi w największym zakładzie karnym na świecie, w Jackson w stanie Michigan, oraz w jednym z najcięższych amerykańskich więzień, znajdującym się w starym, neoromańskim zamku w miejscowości Marquette nad Jeziorem Górnym. Grozę wśród skazańców budził jego przeszywający, zwany „spojrzeniem z Marquette”, wzrok, którym znad okrągłych okularów w czarnej oprawie zdawał się wwiercać prosto w ich dusze. Walter zaglądał pod maski

przywdziewane przez zbrodniarzy i z nieosiągalną dla innych swobodą poruszał się po mrocznych zakątkach ich umysłów. W wolnym czasie dorabiał jako konsultant detektywistyczny. Należał do wąskiego grona amerykańskich kryminologów, którzy w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku opracowali nowoczesne metody tworzenia profili psychologicznych przestępców, pozwalające na podjęcie walki z seryjnymi mordercami. W Scotland Yardzie, gdzie pomagał wyjaśniać najbardziej brutalne zabójstwa, ku jego przerażeniu zwano go „inkarnacją Sherlocka Holmesa”.

„Richard wygląda jak Basil Rathbone z Psa Baskerville'ów z 1939”, stwierdził

Fleisher. „Mówi tak, jak on i myśli tak, jak on”. „Kiedy ludzie wyjeżdżają

15

z Sherlockiem”, skomentował Walter, „zachowuję się tak, jakby ktoś przy

mnie pierdnął: odwracam wzrok i udaję, że nie słyszałem”.

Frank Bender był najślynniejszym żyjącym plastykiem sądowym, może nawet najlepszym w historii. Jako były bokser miał wysportowane, muskularne ciało, poza tym rzednące włosy, niewielką bródkę i wąsy oraz

przenikliwe orzechowe oczy. Na spotkanie Towarzystwa przyszedł w ko-

szuli z długim rękawem zakrywającej tatuaże będące pamiątką z czasów

służby w marynarce wojennej. Bender dorastał w

niebezpiecznych pół-  
nocnych dzielnicach Filadelfii, gdzie ściany domów były usiane  
dziurami  
po kulach. Skończył tylko szkołę średnią. Był bezpośrednim,  
wiodącym  
szczęśliwe życie seksoholikiem i jasnowidzem, choć akurat tym  
ostatnim  
darem nie zamierzał się chwalić na sali pełnej policjantów. Oni  
podziwiali  
go za umiejętność uszczęśliwiania jednocześnie żony i sześciu,  
siedmiu ko-  
chanek oraz identyfikowania najbardziej poszukiwanych seryjnych  
mor-  
derców za pomocą szkicownika i skalpela.  
„Frank, w XVII wieku spaliliby cię na stosie. Teraz jakiś facet  
może cię  
co najwyżej zastrzelić w ciemnym zaułku”, lubił go drażnić Walter.  
Wysoki, melancholijnie usposobiony Walter, człowiek o  
dedukcyjnym  
umyśle, oraz nerwowy, kierujący się intuicją Bender tworzyli  
nierozłącz-  
ną parę detektywów i wspólnie rozwiązywali najpoważniejsze  
sprawy. Ten  
całkowicie unikalny duet — profiler i artysta — nie miał sobie  
równych  
w odkrywaniu największych sekretów żywych i umarłych. Pod  
warun-  
kiem, że potrafili dostatecznie długo wytrzymać w swoim  
towarzystwie.  
Bender rozmawiał z umarłymi, Walter gardził spirytualizmem.  
Arty-  
sta miał na koncie setki miłosnych podbojów, profiler był  
rozwiedziony  
i wzdrygał się na najmniejszy dotyk mężczyzny, kobiety, dziecka,  
psa lub

kota. Bender był najbardziej chaotycznym detektywem na świecie, Walter najbardziej zdyscyplinowanym. Ich znajomość trwała przede wszystkim dzięki Williamowi Lynnowi Fleisherowi. Przyjaciele twierdzili, że to on „jest sternikiem całej trójki”. Elegancko ubrany, postawny mężczyzna, w przeszłości filadelfijski policjant i agent FBI, zastępca szefa Urzędu Celnego obejmującego jurysdykcją trzy stany, a także światowej klasy specjalista w prowadzeniu przesłuchań oraz badań wykrywaczem kłamstw. Miał obsesję na punkcie

16

prawdy i na własną rękę zgłębił historię metod wykrywania kłamstw. Za pomocą wariografu próbował zaglądać w ludzkie umysły. W istocie kierowało nim wyłącznie pragnienie dania ludziom szansy na odkupienie — zarówno przestępcom, których psychofizjologiczne reakcje pobudzały igłę wariografu, jak i nieszczęsnym ofiarom, które cierpiały w zapomnieniu.

Podwładni Fleishera twierdzili, że ich szef przytył pięćdziesiąt kilogramów, aby zrobić w klatce piersiowej miejsce dla ogromnego serca. Bender i Walter tworzyli najbardziej zadziwiającą parę detektywów, z jaką Fleisher kiedykolwiek się spotkał. Kiedy tylko swoje niezwykle umiejętności i wybuchowe temperamenty potrafili zaprzęgnąć do walki z mordercami, a nie ze sobą nawzajem (wtedy przypominali ludzi

walczą-  
cych z własnymi cieniami), tworzyli jedną perfekcyjną istotę,  
zespolenie  
rozu z objawieniem. Korpulentny agent Urzędu Celnego grał  
rolę nad-  
zorcy. Pilnował, aby ich współpraca układała się możliwie  
najlepiej i przy-  
nosiła jak najwięcej korzyści.  
Tamtego dnia rano spotkali się w pracowni Bendera, gdzie przed  
laty poznali się podczas rozwiązywania sprawy osławionego,  
wyjątkowo  
okrutnego płatnego mordercy pracującego dla mafii. Połączyła ich  
wów-  
czas osobliwa zażyłość, która miała doprowadzić do powstania  
klubu to-  
warzyskiego dla detektywów.  
Fleisher z Benderem popijali akurat w kuchni kawę, kiedy do  
pracow-  
ni wszedł Walter. Miał taką minę, jakby czuł smród „kocich sików  
albo  
czegoś równie paskudnego”.  
— Richard! — krzyknął Bender, potrząsając energicznie dłońią  
Wal-  
tera. Musiał się pilnować, aby go nie wyściskać. Profiler tego nie  
lubił. —  
Chodź, pokażę ci mój nowy obraz.  
Był to ogromny, utrzymany w jasnej tonacji portret olejny jednej z  
licz-  
nych przyjaciółek Bendera. Namalowany gęstą jak lukier farbą,  
miał dwa  
i pół metra wysokości i przedstawiał nagą kobietę widzianą od  
przodu.  
Z jej lewego sutka zwisało przyczepione do płótna mosiężne  
kółko.  
— Chrissie ma śliczną dupcię — dopowiedział cicho Bender.



Uśmiech-  
nął się, jakby na widok aktu odżyło jakieś miłe wspomnienie.  
Walter stał przed obrazem i przyglądał mu się przez dłuższą  
chwilę  
z zadartym nosem i wykrzywioną twarzą  
17

— To jest bezwstydne, Frank — stwierdził w końcu. — Po  
prostu bez-  
wstydne.

Bender zawył z uciechy, jakby usłyszał najwspanialszy  
komplement.

Walter przyglądał mu się z niesmakiem.

— Frank, na litość boską, dobiegasz sześćdziesiątki, a  
zachowujesz się  
jak piętnastoletni boliwijski niewolnik seksualny! Używasz seksu  
jako

leku na depresję. Próbowałem ci już to kiedyś wytłumaczyć: w  
tym wie-  
ku nie można prowadzić życia rockmana. Organizm tego nie  
wytrzyma.

Pewnego dnia światła rampy zgasną i zapadnie ciemność.

— Napiłbym się kawy, najlepiej czarnej — zmienił temat Walter.  
—

Nie jestem wybredny, piję każdą, byle nie odgrzewaną.

Później tego dnia, po przyjściu na spotkanie Towarzystwa,  
przywitali

się serdecznie z Fleisherem. Całą trójkę wyraźnie rozpierała  
energia, która

zdawała się udzielać pozostałym. Smutne zazwyczaj oczy  
Fleishera rozbły-

sły, gdy z dumą przebiegł wzrokiem po twarzach zebranych na  
sali. Specja-

liści w zakresie nauk sądowych z całego świata przybywali od  
rana do Sali

Kawowej i Pokoju Zapisów na pierwszym piętrze budynku na rogu

Se-  
cond Street i Walnut Street w Filadelfii. Przed laty mieściła się  
tam Karcz-  
ma Miejska, w której koloniści rozprawiali o polityce, handlu i  
żegludze  
oraz czytali gazety, między innymi „Pennsylvania Gazette”  
Benjamina  
Franklina. Do uszu Fleishera docierał ożywczy szum rozmów  
witających  
się po dłuższej przerwie przyjaciół, kolegów i rywali. Przyglądając  
się de-  
tektywom z siedemnastu stanów Ameryki Północnej oraz  
jedenastu in-  
nych państw, miał poczucie, że uczestniczy w wyjątkowym  
zdarzeniu. Na  
sali siedzieli wyłącznie eksperci w swoich dziedzinach.  
Należał do nich agent FBI Robert Ressler, wysoki, siwowłosy  
mężczy-  
zna, który w swojej długiej karierze miał do czynienia z Charlesem  
Man-  
sonem, Johnem Wayneem Gacym i większą liczbą „seryjnych  
morderców”  
(to on wymyślił ten termin) niż ktokolwiek inny w historii.  
Przyjmował  
właśnie gratulacje, oraz sporą ilość docinków, w związku z  
premierą Mil-  
czenia owiec, nowego filmu o Hannibalu „Kanibalu” Lecterze.  
Pojawiającą  
się w filmie postać agenta FBI Jacka Crawforda wzorowano  
częściowo wła-  
śnie na nim. Ressler trzymał się cały czas blisko Richarda  
Waltera. W spo-  
rządzaniu profili psychologicznych byli najlepsi na świecie.

18

Wszyscy obecni na sali patologowie byli mistrzami w swoim

fachu.

Doktor Hal Fillinger z Filadelfii dowiódł na przykład, że zbiegły z więzie-

nia Ira Einhorn — zwany Jednorożcem — zamordował swoją dziewczynę

Holly Maddux. Fillinger przyjechał na spotkanie wielkim białym cadil-

lakiem z tablicami rejestracyjnymi, na których kazał umieścić napis: Za-

bójczy Hal. Obok niego siedział doktor Richard Froede z Arizony, który

przeprowadził sekcję zwłok agenta CIA Williama Buckleya, porwanego

przez islamskich dżihadystów, a następnie torturowanego, zamordowane-

go i porzuconego na poboczu drogi w Bejrucie. W grupie filadelfijskich po-

licjantów znajdował się Frank Friel, były kapitan wydziału zabójstw, który

schwytał mordercę mafijnego bossa Philipa „Człowieka Kurczaka” Testy.

(Bruce Springsteen unieśmiertelił go w piosence Atlantic City: „kropnęli

Człowieka Kurczaka wczoraj wieczorem w Filadelfii”). Fleisher dostrzegł

słynnych oficerów śledczych, którzy rozpracowywali zabójstwa Johna

Kennedyego i Martina Luthera Kinga, oraz swojego znajomego z CIA,

kierującego tajnymi operacjami w Afganistanie. Obok siedziała jego ko-

leżanka, młoda jasnowłosa agentka, która nawet na tej sali nie odważyła

się odsłonić twarzy. Przy „stole francuskim” zajęli miejsca agenci Interpolu

z Lyonu oraz szef paryskiej Brigade de la Sûreté, francuskiego odpowiednika FBI. Sûreté, założona w 1811 roku przez Vidocq'a, była pierwszą państwową agencją śledczą, na której później wzorowano FBI i Scotland Yard.

Na pierwszym piętrze Karczmy Miejskiej znajdowała się historyczna Długa Sala, wąskie pomieszczenie o długości trzynastu metrów i wysoko zawieszonym suficie. Była to pierwsza sala balowa, jaką zbudowano w Nowym Świecie. Generał George Washington świętował na niej wybranie na urząd prezydenta, czemu towarzyszył huk armat i brzęk roztrzaskiwanych kieliszków z maderą. Jak na współczesne standardy skromnie urządzona, została pomalowana na bładozielono, na ścianach umieszczono ochronne listwy oraz kinkiety ze świecami. Tego dnia wystrój miał odtwarzać atmosferę paryskiego mieszkania przy Rue Cloche-Perce 12, gdzie w roku 1833 Eugène François Vidocq założył pierwszą w historii agencję detektywistyczną — Le Bureau des Renseignements (Biuro Informacji). Dopiero siedemnaście lat później powstała Agencja Pinkertona w Stanach Zjednoczonych. Mieszkanie przy Rue Cloche-Perce 12 było pierwszym w historii pomieszczeniem zaprojektowanym specjalnie w ten sposób, aby grupa ludzi mogła w nim prowadzić systematyczną

analizę  
morderstw.

Wykonane z brązu popiersie Eugène'a François Vidocq'a stało na dębowym cokole w północnym kącie Długiej Sali, tuż przy oknie wychodzącym na rzekę Delaware. Szeroka, zuchwała twarz skrywała się w cieniu rzucanym przez grube zielone kotary. Powyżej wisiały skrzyżowane flagi francuska i amerykańska. W pokoju przy Rue Cloche-Perce 12, w migoczącym świetle syczących lamp gazowych, Vidocq i jego pracownicy tworzyli drobiazgowo archiwa umożliwiające identyfikowanie zbrodniarzy na podstawie śladów zostawionych na miejscu przestępstwa. Nikt przed nimi nie przykładał tak wielkiej wagi do analizy potencjalnych motywów zbrodni oraz modus operandi sprawców. Sporządzali gipsowe odlewy śladów butów i próbowali wykonywać pierwsze analizy balistyczne. Na ścianach zawiesili obrazy przedstawiające ćwiartowanie Roberta-Francois Damiensa, ścięcie Jana Chrzciciela i torturowanie François Ravallaca. Vidocq dobrał sobie pracowników spośród ludzi podobnych do niego, czyli byłych kryminalistów. Wychodził z założenia, że nikt lepiej od nich nie zrozumie umysłu przestępcy. Vidocq i jego ludzie zostali pierwszymi nowoczesnymi kryminologami.

Wszyscy uczestnicy lunchu siedzący przy długich stołach mieli wpięte w klapy czerwono-niebiesko-białe odznaki. Les Couleurs, barwy narodowe Francji, stanowiły świadectwo przynależności do Towarzystwa Vidocq'a. Maksymalna liczba członków wynosiła osiemdziesiąt dwa, tyle bowiem lat żył francuski detektyw. Ograniczenie to czyniło Towarzystwo Vidocq'a najbardziej ekskluzywnym klubem na świecie. Mogli do niego należeć — niezależnie od rasy, płci, wieku lub narodowości — tylko najlepsi detektywi i specjaliści od medycyny sądowej. Mówiono, że nigdy wcześniej w jednym pomieszczeniu nie przebywało tylu znakomitych śledczych. „Policja żadnego państwa nie dysponuje takimi zasobami talentów”, twierdził Fleisher. „New York Times” określił Towarzystwo Vidocq'a mianem spadkobierców Holmesa. „Klub nie jest gromadą niedoszłych Sherlocków Holmesów naśladowujących sumiennie mistrza z Baker Street”, napisano w gazecie, „ani dobrodusznych pomagierów gromadzących dane i przygotowujących wstępne analizy dla innych detektywów. Członkowie tej grupy dysponują łącznie kilkusetletnim doświadczeniem w walce z przestępczością”. Misja Towarzystwa Vidocq'a była prosta. Jak wynika ze statystyk,

co  
trzecie morderstwo popełniane w Stanach Zjednoczonych  
pozostaje nie-  
wyjaśnione. Sytuacja ta jest źródłem cierpień dla ogromnej liczby  
ludzi,  
z czego nie zdają sobie sprawy ani dziennikarze, skupiający się  
na sensa-  
cyjnych aspektach zbrodni, ani zwykli Amerykanie, którzy wiedzę  
na ten  
temat czerpią wyłącznie z telewizji. Tymczasem morderstwo jest  
plagą,  
która zabiła już ponad milion osób — więcej niż wojny, w których  
Stany  
Zjednoczone uczestniczyły w XX wieku. Policjanci są  
przepracowani, wy-  
działy kryminalistyki niedofinansowane, a system sprawiedliwości  
zdaje  
się dbać bardziej o prawa przestępców niż o prawa ofiar. W  
świecie, któ-  
ry zapomniał o swoich bohaterach, członkowie Towarzystwa  
Vidocq'a zo-  
bowiązali się — składając dwunastowieczną przysięgę rycerską  
— ścigać  
morderców, karać winnych oraz otaczać opieką rodziny ofiar,  
wspierać je  
i mścić się za ich krzywdy. Woleli pracować pro bono, niż odbijać  
piłeczki  
golfowe na Florydzie czy w Arizonie. Spotykali się w trzeci  
czwartek każ-  
dego miesiąca. Osiemdziesiąt dwie osoby ślubowały sprawować  
tę misję  
do końca życia, a po śmierci ich czerwono-niebiesko-białą  
odznakę prze-  
kazywano kolejnemu detektywowi.  
Do siedziby Towarzystwa Vidocq'a, mieszczącej się w starej

wiktoriań-  
skiej kamienicy na Locust Street w Filadelfii, spływała z całego  
świata  
rzeka próśb od policjantów i ofiar liczących na audiencję w  
niedostęp-  
nej dla postronnych sali w dawnej Karczmie Miejskiej.  
Kongresmen pra-  
gnący rozwiązać zagadkę morderstwa, do którego doszło w jego  
rodzinie.  
Agent federalny z Waszyngtonu potrzebujący wsparcia w  
poszukiwaniach  
mordercy koleżanki zastrzelonej w biały dzień podczas joggingu.  
Młody  
policjant z małego miasteczka w stanie Tennessee, bezsilny w  
starciu z se-  
ryjnym zabójcą, milionerem w podeszłym wieku, który  
przeprowadzał się  
ze stanu do stanu, mordując kolejne żony.  
Towarzystwo Vidocq'a zajmowało się tylko tymi morderstwami,  
któ-  
rych ofiarami padały osoby praworządne, a od momentu  
popęłnienia  
zbrodni minęły co najmniej dwa lata — wtedy bowiem sprawa  
oficjalnie  
21  
uzyskiwała status „nierozwiązanej\*<sup>o</sup>”. „Pomagamy policji tylko  
wtedy, gdy  
zostaniemy o to poproszeni. Działamy zakulisowo, unikając  
rozgłosu. Na-  
szym celem jest przywracanie sprawiedliwości”, wyjaśniał  
Fleisher. Pod-  
czas prezentacji sprawy wymagano obecności funkcjonariuszy  
lokalnej  
policji, agentów stanowych lub federalnych albo prokuratorów  
prowadzą-



cych sprawę, gdyż rodziny ofiar, pragnące pomścić swoich bliskich, zachowywały się niekiedy zbyt emocjonalnie. W rzadkich przypadkach — gdy w grę wchodziły podejrzenia o korupcję organów ścigania — audiencję u Towarzystwa mógł uzyskać zwykły obywatel. Właśnie taka sytuacja zdarzyła się tamtego popołudnia: zwykły obywatel stanął przed ludźmi, którzy byli dla niego ostatnią deską ratunku. O pierwszej po południu Fleisher podszedł do mównicy i przywitał zebranych. Jeszcze przed lunchem wszyscy powtórzyli za nim przysięę, trzymając dłonie na sercach. Następnie przedstawił pastora, który zwrócił się do Boga o błogosławieństwo. Po modlitwie Fleisher rozluźnił atmosferę, stwierdzając żartobliwie, że dzięki comiesięcznym spotkaniom „może oddawać się swojemu największemu hobby, czyli jedzeniu lunchu”. Zaraz potem poważniejszym tonem przypomniał zebrany, że ich zadaniem jest reprezentowanie umarłych, którzy nie mają już głosu. Spełniali święte posłannictwo. Metoda działania, którą Fleisher, Bender i Walter przejęli od swoich dziewiętnastowiecznych mistrzów, wydawała się wręcz banalna: zapelniała się salę detektywami i każe im rozwiązywać zagadki niewyjaśnionych morderstw. Od zatrudnionych przez Vidocq'a kryminalistów członkowie

Towarzystwa różnili się jedynie poziomem wyrafinowania i dostępem do najnowocześniejszych narzędzi medycyny sądowej. Z kuchni wybiegli kelnerzy; zebrali resztę sztućców i talerzy, zgarnęli okruchy z białych obrusów, a kiedy nalano kawę, w Długiej Sali odżył duch dziewiętnastowiecznej Sali Morderstw. Dziesięć po pierwszej Fleisher przedstawił Antoinę LeHavre'az Luizjany. Na mównicy stanął pulchny mężczyzna po czterdziestce o ciemnych

\* Tzw. *co Id case*, czyli nierozwiązana sprawa, w której nie prowadzi się już oficjalnego śledztwa. Może ono zostać wznowione, jeśli np. pojawią się nowe dowody.

22

włosach i manierach dżentelmena, ubrany w sportową marynarkę. Z jego oczu bił smutek. Na ekranie wyświetlił zdjęcie swojego przyjaciela, który padł ofiarą brutalnego morderstwa. Na sali wyczuwało się napięcie — po raz pierwszy zwykły człowiek przedstawiał samodzielnie sprawę przed Towarzystwem Vidocq'a. LeHavre podziękował zebranych za zaproszenie. — Wiem, że lepiej niż ktokolwiek zrozumiecie, przez co przeszedłem — powiedział. — Nie mogłem dłużej tego znieść. Zostałem z tym problemem zupełnie sam. Członkowie Towarzystwa zdawali sobie doskonale sprawę, że Sala Morderstw była miejscem, które zwykły człowiek powinien omijać

szero-  
kim łukiem, do którego nie powinien przychodzić bez wyraźnej  
potrzeby.  
Ludzie wiodący szczęśliwe życie nie wiedzieli nawet o jej  
istnieniu. Tylko  
ci pogrążeni w cierpieniu potrafili znaleźć do niej drogę. Zebrani  
widzieli  
już wcześniej ludzi podobnych do LeHavre'a — żywe trupy  
pogrążone  
w letargu z powodu nierozwiązanej sprawy zamordowanego  
przyjacie-  
la lub ukochanego, ludzi gotowych doczołgać się na koniec  
świata, aby  
tylko naprawić straszliwą niesprawiedliwość. Zebrani dostrzegali  
wszak-  
że coś jeszcze, z czym również mieli wcześniej do czynienia. Po  
spożyciu  
czterech ciepłych dań Antoine LeHavre był gotów na deser —  
zemstę po-  
daną na zimno.

## Rozdział 2

Człowiek, któremu morderstwo uszło na sucho  
Morderca pozostał bezkarny — z tym właśnie LeHavre nie potrafił  
się  
pogodzić. Nie zaprzętał już sobie nawet głowy skorumpowanymi poli-  
cjantami, choć oczywiście miał nadzieję, że również ich dosięgnie  
w koń-  
cu kara. Nie denerwował go ślepy lekarz sądowy. Świadek, który  
niczego  
nie widział. Obojętny i głupi prokurator okręgowy. Przebaczył  
wszystkim,  
nawet płatnemu zabójcy, który znał jego adres, a na samym  
końcu nie-  
opierzonemu prawnikowi, który radził: daj sobie spokój, nie

wygrasz z tak  
potężnymi graczami. Odpuść, Antoine. Wiesz przecież, jak to  
wszyst-  
ko działa. Na litość boską, naprawdę sądzisz, że zdołasz pokonać  
mafię?  
Prawnik miał oczywiście rację, niemniej Antoine nie mógł zawieść  
Pau-  
la Bernarda Allaina.  
Wizja zakrwawionej twarzy Allaina wciąż nawiedzała go w snach.  
Naj-  
lepszy przyjaciel LeHavre'a został zakatowany na jego oczach.  
Nie za-  
mierzał pozwolić, aby Paul odszedł w zapomnienie. Człowiek,  
któremu  
morderstwo uszło na sucho, musi w końcu ponieść karę.  
Mimo osobistego stosunku do sprawy, Antoineem LeHavre'em  
nie  
kierowała żądza zemsty, a jedynie pragnienie postawienia  
mordercy przed  
sądem. Prezentacji sprawy zamierzał dokonać w sposób  
rzeczowy i bez-  
pośredni. Zaczął od podziękowań za możliwość wystąpienia  
przed tak  
szacownym gronem detektywów, szczególnie że był zwykłym  
obywate-  
lem. „Proszę się nie przejmować, rozwiążemy tę sprawę”,  
zareagował na  
te słowa Fleisher.

24

Obecni na sali taktownie umilkli, kiedy LeHavre zajął miejsce na  
mównicy. Wysokie okna tłumiły odgłosy miasta do poziomu  
ledwie sły-  
szalnego szumu. Turyści zmierzający do Independence Hall,  
miejsca pod-  
pisania Deklaracji Niepodległości, mijali obojętnie starą karczmę z

cegły  
na rogu Second Street i Walnut Street. Karczma Miejska, niegdyś  
najoka-  
zalsza budowla Nowego Świata, była teraz reliktem zamierzchłej,  
oświe-  
ceniowej przeszłości. Kiedy Fleisher po raz pierwszy stanął na  
podłodze  
z szerokich desek, natychmiast wyczuł magiczną atmosferę tego  
miejsca.  
Jako miłośnik historii wiedział, że Thomas Jefferson, John  
Adams, George  
Washington i Benjamin Franklin jadal tu co wieczór posiłki  
podczas  
konwencji konstytucyjnej w 1787 roku, smakując „pokarm dla  
Rozumu  
i duszy”. Pierwszy sekretny rytuał masoński w Ameryce Północnej  
odpra-  
wiono właśnie w tej sali.  
Kiedy LeHavre zaczął przedstawiać sprawę, myśli Fleishera  
popły-  
nęły ku ozdobionemu okrągłym zwieńczeniem oknu, z którego  
dawniej  
roztaczał się, dziś przysłonięty przez wyższy budynek, widok na  
Nowy  
Świat. Nad oknem umieszczono masońskie oko opatrności oraz  
błogo-  
sławieństwo dla nowych kolonii, którym była sentencja Annuit  
coeptis-  
„Bóg spojrzał życzliwie na nasze przedsięwzięcie”. Fleisher  
zaczął się modlić  
w myślach, aby Bóg nadal patrzył na nich przychylnym okiem.  
LeHavre był meblarzem z Luizjany, jednym z liderów lokalnej spo-  
łeczności. Siedem lat wcześniej, w połowie czerwca, zabrał  
dziesięcioro  
pracowników — w tym Allaina, kierownika biura, a zarazem

przyjacie-  
la — na wieczorny mecz drugiej ligi bejsbolu. Po zakończeniu  
wszyscy  
udali się do baru. Allain się upił i, co do niego niepodobne,  
wszczał burdę.  
LeHavre widział, jak ochroniarz wyprowadza Allaina przez boczne  
drzwi  
na dwór. Później wydarzenia potoczyły się z surrealistyczną  
prędkością.  
Kiedy LeHavre odnalazł wreszcie Allaina, był świadkiem samego koń-  
ca szarpaniny; dwóch ochroniarzy pobiło chłopaka do  
nieprzytomności.  
LeHavre nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. Allain nie miał  
wrogów. Był  
młodym, żonatym mężczyzną, ojcem dwójki dzieci. Chodził do  
kościółka.  
Ani policja, ani kilku prywatnych detektywów nie potrafili wyjaśnić  
bru-  
talności zajścia. LeHavre podejrzewał, że doszło po prostu do  
tragicznego  
w skutkach nieporozumienia: Allain nie miał zbyt dużego  
doświadczenia  
25  
z alkoholem i zapewne zrobił coś głupiego. Bramkarzy poniosło i  
go za-  
bili. Podejrzewał, że policja i prokuratura torpedują dochodzenie  
na proś-  
bę właścicieli barów, których związki z mafią były tajemnicą  
poliszynela.  
LeHavre przedstawił sprawę w ten sam sposób, w jaki zrobił to  
sie-  
dem lat wcześniej przed policjantami, którzy słuchali go wtedy z  
udawa-  
nym zainteresowaniem. Drugie zdjęcie było jeszcze bardziej

makabryczne:

przedstawiało zmasakrowany bok głowy Allaina, z której wypływał, jak

się zdawało, płyn mózgowo-rdzeniowy. Na sali rozległy się szepty. Flei-

sher wstrzymał oddech i poczuł, jak ogarnia go znajome uczucie. Patrząc

na zwłoki młodych ludzi, zawsze mimo woli przypominał sobie o marze-

niach i zawiedzionych nadziejach własnej młodości.

Towarzystwo Vidocqa zdobyło sławę dzięki twórczemu podejściu do

metod śledczych. Na sygnał Fleishera z sali posypały się pytania.

— Czy przeprowadzono testy DNA? — zaczął Fleisher.

— Nie — odparł LeHavre. — Próbki krwi i włosów zaginęły, zanim

ktokolwiek zdążył poddać je analizie.

— Co pan rozumie przez „zaginęły”? — spytał oficer wywiadu marynarki.

— W magazynie znajduje się potwierdzenie przyjęcia próbek, ale nie ma po nich śladu. Prokurator okręgowy nie chciał zbadać tej sprawy.

— A zastanawialiście się nad ekshumacją zwłok? — wtrącił Bender.

— Tak — skinął głową LeHavre. Oczekiwał właśnie na zgodę odpowiednich organów.

Z sali dobiegł szelest przewracanych kartek. Detektywi przeglądali

akta policyjne i raport lekarza sądowego. Agent FBI Ressler nachylił się

i wyszeptał coś do ucha Zabójczemu Halowi, siwowłosemu pryncypało-

wi filadelfijskich patologów. Zabójczy Hal skinał głową. Walter i Bender naradzali się między sobą. Walter wspominał później, że na sali zapanowała cisza jak makiem zasiał. Kiedy rozlano resztę kawy, ku LeHavre'owi popłynęła druga fala pytań od odontologów i lekarzy sądowych, ekspertów od materiałów wybuchowych i broni palnej, agentów FBI, Rządowej Agencji do Walki z Narkotykami, urzędu podatkowego, antropologów sądowych, specjalistów od morderstw rytualnych i psychiatrów.

26

— Czy bramkarze i Allain znali się wcześniej? — dociekał detektyw z wydziału zabójstw nowojorskiej policji.

— Nie — pokręcił głową LeHavre.

Podczas bójki ciało Allaina uderzyło o drzwi baru, obryzgując je krwią.

— Czy te drzwi nadal istnieją? Czy pobrano z nich próbki do analizy?

— Nie — odparł LeHavre. Drzwi przemaalowano, a próbek, o ile mu wiadomo, nie pobrano.

— Czy ma pan jakikolwiek dowód na związki baru z mafią?

Nie miał, ale w środowisku lokalnych przedsiębiorców wszyscy o nich wiedzieli.

— Jak długo znał pan ofiarę?

— Odkąd przyjąłem go do pracy dziewięć lat temu.

— Czy tamtej nocy pił pan z nim alkohol?

— Nie. Siedziałem przy stoliku z innymi znajomymi i pracownikami.



— Jak dobrze się znaliście?

— Był jednym z najlepszych pracowników. Ubiegał się o pracę w mojej firmie, mimo że nie miał wyższego wykształcenia. Normalnie zatrudniamy ludzi, którzy skończyli zarządzanie na uniwersytetach Vanderbilt i Tulane, niemniej Paul okazał się jednym z najbardziej kompetentnych kierowników, jacy u mnie pracowali. Niezwykle bystry i oddany pracy. Urodzony przywódca. Detektywi maglowali LeHavre'a przez następne pół godziny. Mimo gradu pytań mężczyzna nie przejawiał zmęczenia, wręcz ożył. Bez wątpienia dostrzegał szczerą zainteresowania członków Towarzystwa. Zapewne miał wrażenie, jakby wielki ciężar spadał mu z serca. W ciągu kilkunastu minut zmienił się nie do poznania: zniknęła apatyczna rezygnacja, twarz się rozjaśniła, odpowiadał coraz bardziej szczegółowo i z energią. Przez wiele lat prowadził śledztwo zupełnie sam, wbrew polityce najwidoczniej pragnącej ukręcić sprawie łeb. W pewnej chwili przerwał udzielanie odpowiedzi i ponownie podziękował detektywom.

— Muszę przyznać, że po tylu latach samotnych zmagam jestem poruszony państwa zainteresowaniem i wsparciem. Podobne odczucia miało wiele osób, którym pomogło Towarzystwo Vidocq'a, tyle że przedstawiciele organów porządku publicznego

rzadko

27

się nimi dzielili. Siedzący dokładnie naprzeciwko LeHavre'a  
Fleisher cały

się rozpromienił.

Około drugiej z sali zaczęło dobiegać szuranie krzesel. Fleisher  
zerk-

nął znacząco na zegarek, podniósł wzrok i dał znak LeHavre'owi,  
że spo-

tkanie dobiegło końca.

Członkowie Towarzystwa kierowali różnymi agencjami, prowadzili  
własne dochodzenia albo musieli zdążyć na samoloty. Jeżeli  
określona

sprawa ich szczególnie zafrapowała i chcieli stworzyć „grupę  
roboczą”, aby

przeprowadzić dokładniejsze śledztwo, kontaktowali się z  
zainteresowany-

mi stronami później.

Fleisher podszedł do mównicy.

— Dziękuję wam za przybycie — zwrócił się do zebranych. —

Mam

nadzieję, że podsunęliśmy panu LeHavre'owi kilka nowych tropów  
i zbli-

żyliśmy go do rozwiązania, które pozwoli zatriumfować  
sprawiedliwości.

Jak wiecie, pan LeHavre nie otrzymuje żadnej oficjalnej pomocy  
ze stro-

ny służb porządku publicznego, więc gdyby ktokolwiek miał  
ochotę za-

angażować się w tę sprawę, proszę o kontakt.

Uśmiechnął się szeroko.

— Tymczasem — zwrócił się do LeHavre'a — w dowód  
uznania za od-

wagę wystąpienia przed naszym gronem chcielibyśmy podarować  
panu to

najbardziej podstawowe narzędzie dedukcji.  
Fleisher otworzył małe drewniane pudełko i wyjął z niego szkło  
po-  
większające z drewnianą rączką. Soczewka mignęła na ułamek  
sekundy,  
oświetlona wpadającymi przez okno promieniami słońca. Fleisher  
włożył  
lupę z powrotem do etui.  
Wszyscy zaczęli podnosić się z miejsc.  
— Zaczekajcie! — powstrzymał ich. — Frank chciałby jeszcze  
coś po-  
wiedzieć.  
Bender podniósł się z miejsca. Czerń koszuli uwydatniała łysinę i  
siwą  
bródkę. Wszyscy usiedli z lekkim zniecierpliwieniem, choć dobrze  
wie-  
dzieli, że wystąpienie Franka nie potrwa długo. O ile jego partner,  
Ri-  
chard Walter, lubił przemawiać rozwlekłym, naukowym stylem, o  
tyle  
Bender raczej nie przebierał w słowach, wierny obyczajom  
filadelfij-  
skich przedmieść. Muskularny artysta opuścił głowę; jego oczy  
zniknęły  
28  
w cieniu rzucanym przez masywne czoło. Uniósł rękę i wycelował  
palec  
prosto w LeHavre'a.  
— Wiem, kto zabił Allaina — oświadczył spokojnie. — Ty. Na  
mój ro-  
zum to ty jesteś mordercą.  
Na sali podniosła się wrzawa. Fleisher wstał i poprosił o spokój.  
Le-  
Havre zbladł, ale nie odezwał się ani słowem. Oczy wszystkich  
zwróciły

się na Waltera, tyczkowatego mężczyznę w niebieskim garniturze, który

wyszedł na środek sali i poprosił o ciszę.

— Panie i panowie — powiedział. — Mogę się co prawda mylić, nie-

mniej jednak ostatni raz przydarzyło mi się to w 1949 roku.

Na sali rozległy się chichoty. Walter odwrócił się i spojrzał na

LeHa-

vre'a.

— Mojemu porywczemu przyjacielowi zdarza się wyciągać pochopne,

nipoparte faktami wnioski, ale tym razem Frank Bender ma absolutną

rację. Nie ulega bowiem wątpliwości, że jesteś pan psychopata.

Profiler zdjął okulary, odsłaniając małe niebieskie oczy,

wpatrujące się

złowrogo w LeHavre'a.

Walter spokojnie scharakteryzował mężczyznę jako klasyczny przy-

kład człowieka, który najpierw utrzymywał kontakty seksualne z pracow-

nikiem, a następnie go zamordował. LeHavre stał za mównicą z kamienną

twarzą. Milczał.

— Pierwsze, co zwróciło moją uwagę — ciągnął Walter — to nieco roz-

dęte ego naszego gościa. W jego głosie wychwyciłem skrywaną pod płasz-

czykiem męskości zniewieściałość, a ten drobiazg skłonił mnie od razu do

spojrzenia na niego z innej strony i dostrzeżenia jego prawdziwej natury.

Na podkreślenie tych słów Walter uniósł lewą brew.

— Przyglądając się zdjęciom ofiary, młodego, bardzo przystojnego męż-

czynny, zrozumiałem naturę przyjaźni, jaka ich łączyła, przynajmniej przez jakiś czas. Mieliśmy tu do czynienia z klasycznym przypadkiem związku ku młodego, urodziwego mężczyzny i starszego, ale mniej atrakcyjnego szefa. Związku, w który wkradła się zazdrość. Nie zapominajmy wszakże, że szef ma nad pracownikiem władzę, jako że decyduje o jego zarobkach. Walter uniósł głowę i spojrzał na żyrandol, jakby szukał tam natchnienia.

29

— Jeżeli przeanalizujemy takie relacje — podjął — napotkamy wiele sytuacji, w których osoba stojąca niżej w hierarchii nie ma odwagi przeciwstawić się partnerowi. Rzadko się zdarza, aby mógł z tego powstać trwały związek, zwłaszcza w świecie homoseksualnym. Niemal zawsze prędzej czy później młodszy z partnerów dopuszcza się zdrady, oszukuje lub zaczyna szukać nowego towarzysza. Spotyka go za to kara oparta na następującym rozumowaniu: „Skoro nie może być mój, nie pozwolę, aby związał się z innym”.

— To jakieś bzdury — stwierdził cicho LeHavre, nie zwracając się do nikogo w szczególności. Podniósł notatki, z których korzystał podczas prezentacji, i zaczął się wycofywać w kierunku drzwi.

— Trudno przede wszystkim zrozumieć, dlaczego bramkarze mieliby

zabić Allaina — kontynuował Walter. — Po co? Bramkarze nie zabijają ludzi, tylko wyrzucają ich na ulicę. Pan LeHavre chciał zaspokoić pragnienie władzy i kontroli, dlatego od lat podsuwa policji fałszywe tropy.

Uważa się za przebieglejszego od wszystkich.

Walter uśmiechnął się.

— Ryzykowna gra „złap mnie, jeśli potrafisz” sprawiała mu przyjemność. Byliśmy dziś świadkami aroganckiej i próżnej próby zabłyśnięcia przed salą pełną policjantów.

— Pierwsza zasada mówi, że morderstwo trwa, dopóki morderca nie postanowi inaczej... a pan próbuje przedłużyć przyjemność z zabicia tego człowieka, wykorzystując nasz czas. A jednak poniósł pan klęskę. Morderstwo doskonałe miało zrekompensować porażki w innych dziedzinach.

Jest pan może przebiegły, ale na pewno nie mądrzejszy od nas. LeHavre odwrócił się w drzwiach.

— Nie ma pan żadnych dowodów — powiedział. — Absolutnie żadnych.

Skontaktuje się z panem mój prawnik.

Walter spojrzał na niego znad okularów.

— Musiało to być dla pana źródłem satysfakcji przez te wszystkie lata.

— Biedak nie zabrał nawet szkła powiększającego — zauważył później

Fleisher, kiedy opuszczał salę w towarzystwie kolegów. — No i co? Mówiłem wam przecież, że sprawa zasługuje na uwagę — dodał,

wykrzywia-

jąc brodatą twarz w uśmiechu. Bender wyszczerzył zęby, a Walter zerk-

nął gniewnie na kolegów.

— Kolejny lunch i jeszcze jeden wykryty morderca — stwierdził Bender.

Fleisher przyznał, że czuł się nieswojo, słuchając zarzutów stawianych

przez Waltera LeHavre'owi.

— Trudno byłoby udowodnić twoją tezę — powiedział.

— Nie byłbym tego pewien, Bill — odparł Walter. —

Pozbawiliśmy

go przyjemności, jaką obiecywał sobie po dzisiejszym wystąpieniu. Pra-

gnienie dominacji nie zostało zaspokojone, a jeśli nie potrafi zrekompen-

sować go wspomnieniami, zamorduje ponownie.

Rozdział 3

Rycerze barowego stolika

Po lunchu członkowie Towarzystwa Vidocqa opuścili

osiemnastowieczną

karczmę i rozbiegli się wąskimi, brukowanymi uliczkami, aby zdążyć na

samoloty do Arizony, Anglii, Egiptu, Francji i jeszcze bardziej odległych

zakątków świata. Fleisher, Bender i Walter udali się z kolei do pobliskie-

go baru. „Zostanie wykryta zbrodnia, oto moje zdanie”, pisał Chaucer

w Opowieściach kanterberyjskich\*. „W rzeczywistości świat jest bardziej

skomplikowany”, zwykł mawiać Walter.

— Bzdury opowiadasz! — gorączkował się Fleisher. Ludzie siedzący

przy sąsiednich stolikach odwrócili głowy. — LeHavre jest

niewinny, do-  
póki nie udowodnimy mu morderstwa. A samymi przeczuciami  
policji  
nie przekonasz.

Brodąta twarz potężnie zbudowanego mężczyzny poczerwieniała  
z emocji. W potyczkach słownych, na przykład podczas  
przesłuchań, górę  
brał jego wybuchowy, zmienny temperament. Fleisher przerażał,  
rozczułał,  
bawił. Bywał lojalnym przyjacielem, drażniącym sceptykiem,  
oszustem,  
prowokatorem — w poszukiwaniu prawdy był gotów na  
wykorzystanie  
każdej dostępnej taktyki.

O tym, która sprawa ostatecznie trafi na forum Towarzystwa Vido-  
cqa, decydowali założyciele po konsultacjach z zarządem. W  
skład tego

\* G. Chaucer, Opowieści kanterberyjskie, tłum. H. Pręczkowska,  
Wrocław 1963,  
s. 278.

32

ostatniego wchodzili: zastępca prokuratora okręgowego, oficer  
wywiadu  
marynarki, dyrektor ds. bezpieczeństwa Sun Oil Company, agent  
Biura  
ds. Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej oraz Materiałów  
Wybuchowych, ofi-  
cer śledczy z filadelfijskiego wydziału zabójstw oraz profesor  
anglistyki,  
szekspirolog i specjalista od literackiej analizy alarmów  
bombowych i lis-  
tów pozostawianych przez samobójców. Fleisher pełnił podwójną  
funkcję  
przewodniczącego i prezesa zarządu. Z ogromną wprawą od  
ćwierćwie-



cza prowadził Towarzystwo przez meandry stanowej biurokracji. Bez jego aprobaty żadna sprawa nie mogła zostać zaprezentowana na comiesięcznym lunchu.

Łysiejąca głowa Bendera poczerwieniała, zupełnie jak wtedy, gdy sta-

rzy policyjni wyjadacze kwestionowali prawomocność wniosków, do których dochodził na podstawie wizji.

— Bill, ja po prostu wiem, że LeHavre jest zabójcą — przekonywał. —

Po prostu to wiem. Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie? W starej stoczni?

Jakiś facet wstał i zaczął przemawiać, a ja powiedziałem: „Gość jest rosyjskim szpiegiem. Czuję to”. I miałem rację!

Fleisher przewrócił oczami. Walter przyglądał się rzeźbiarzowi przez okulary w rogowej oprawie, jakby zobaczył osobnika nieznanego gatunku.

— Możesz mieć akurat rację, Frank, ale nie powinieneś wypowiadać się o czymś, na czym się do końca nie znasz. Rozumujesz w sposób nieustruk-

turyzowany. Przypominasz bąka puszczonego w wannie!

Szczupły mężczyzna parsknął, widząc purpurowiejącego Bendera. Fleisher zaśmiał się i pokręcił głową. „Zdumiewające, że pozostaje-

my przyjaciółmi, mimo wszystkich różnic, które w innych warunkach

w każdej chwili mogłyby doprowadzić do rozpadu znajomości”, pomyślał.

Z połączenia dedukcji Waltera oraz intuicji Bendera z jego zdolnościami

przywódczymi i śledczymi zrodził się triumwirat Wielkich Detektywów.

Razem dysponowali zdolnościami niedostępnymi w zasadzie dla żadnego człowieka.

„Richard to nasz Sherlock Holmes”, opowiadał Fleisher głosem wyrażającym autentyczny podziw. „Nie znam nikogo, kto dorównywałby mu

zdolnością dedukcyjnego myślenia. Jeśli chodzi o Franka, to Bóg jeden wie, w jaki sposób dochodzi do swoich wniosków. Ja z kolei jestem grubym

33 żydowskim dzieciakiem, który za młodu naczytał się obrazkowych krymi-

nałów i wymarzył sobie, że pewnego dnia zostanie detektywem”. Fleisher uważał za całkowicie naturalny fakt, że postać pierwszego

wielkiego amerykańskiego detektywa narodziła się w Filadelfii, zaledwie kilka mil od miejsca, w którym właśnie siedzieli — w kamienicy przy

Spring Garden Street, gdzie w 1841 roku Edgar Allan Poe napisał pierwsze

w historii opowiadanie detektywistyczne — Zabójstwo przy rue Morgue —

z pierwszym fikcyjnym detektywem C. Augustem Dupinem. Poe stworzył nowy typ bohatera. Twierdził, że wzorował się na

życiu Vidocq’a, którego pamiętniki (napisane rzekomo we współpracy z zaprzy-

jażnionym z nim Balzakiem) uzyskały w 1829 roku status bestsellera po

obu stronach Atlantyku. C. August Dupin był mrocznym

ekscentrykiem i mistrzem dedukcji potrafiącym przechytryć policję. Dupina charakteryzowała „osobliwsza zdolność analityczna (...). Zdawało się, iż wykazywanie jej (...) sprawiało mu jakąś żywą rozkosz (...). Chętnie się przede mną głosem, w którym odzywał się poszmer radosnego śmiechu, iż większość ludzi miewa dla niego w swych piersiach okienka, i miał zwyczaj stwierdzać prawdziwość swoich słów bezpośrednimi zdumiewającymi dowodami”\*. Była to literacka charakterystyka Vidocq'a, a postać Dupina stała się inspiracją do stworzenia Sherlocka Holmesa i wszystkich późniejszych literackich detektywów. Dupin był archetypem, który znalazł ucieleśnienie w osobie Richarda Waltera. „Tylko najwyższej klasy morderca mógłby przechytryć mnie, Franka i Billa”, twierdził Walter. „Jeżeli sprowadzi nas do parteru, będziemy walczyć na kolanach. Jeżeli przyciśnie nas do ziemi, okręcimy się na jajach — a jaja mamy ze stali”. Tym razem Fleisher spojrzał gniewnie na przyjaciół. — Dochodzenie w sprawie tego morderstwa nieprzypadkowo już wiele lat temu utknęło w martwym punkcie. Z górki to mają bohaterowie seriali telewizyjnych. W realnym świecie potrzebna jest współpraca rodziny

\* E.A. Poe, Opowieści miłosne, śmiertelne i tajemnicze, tłum. S. Wyrzykowski, Poznań 2010, s. 346.

34

ofiary, zaangażowanie policji i korzystna sytuacja polityczna — wyliczał

na palcach kolejne czynniki. — Poza tym jeszcze błyskotliwy detektyw.

No i szczęście. W tym wypadku spełniony został jeden warunek z pięciu.

Walter spojrzął niechętnie na Fleishera. Profiler i agent federalny da-

rzyli się wielkim szacunkiem, dzieliły ich jednak zasadnicze różnice filo-

zoficzne. Walter uważał Fleishera za znakomitego

funkcjonariusza agencji

federalnej, ale człowieka o naiwnym poglądzie na naturę zła.

Fleisher po-

dziwiał u Waltera analityczne podejście do zła, niemniej jego makia-

weliczny stosunek do ludzkiej natury kłócił się z właściwą

Fleisherowi

wielkodusznością i nadzieją na odkupienie dla wszystkich ludzi.

„Cały Fleisher”, pomyślał Walter, słysząc analizę przyjaciela.

„Stereo-

typowy do bólu”.

Walter zerknął na Bendera. Artysta wyglądał, jakby zdążył już zapo-

mnieć o sprawie LeHavre'a i odpłynął myślami gdzie indziej.

Trzymając

w dłoni filiżankę espresso, skierował orzechowe oczy w kąt sali, z którego

dobiegał śmiech młodych kobiet. Fleisher zerknął w tamtą stronę.

— Gdyby kiedykolwiek przestało mnie to podniecać, zastrzel mnie,

proszę — zażartował.  
Wyrwany z zadumy Bender zachichotał.  
Walter kierował się w życiu rygorystycznym, przestarzałym kodeksem honorowym, a Bendera uważał za swoje przeciwieństwo — człowieka nie-specjalnie przejmującego się zdaniem innych i obdarzonego przebiegłością graniczącą z socjopatią. Razem dostrzegali aspekty spraw, które uchodziły uwagi innych detektywów, również Fleishera. Choć przyjaźń między całą trójką narodziła się dzięki szalonemu Benderowi — czarodziejowi obdarzonemu zdolnością widzenia przeszłości i przyszłości — Walter miał nieustannie poczucie, że artysta robi wszystko, aby ich poróżnić. Bender był narcyzem i manipulatorem, nawet jego nazwisko pasowało do charakteru\* — naginał reguły i czas, granice śmierci i małżeńskiego łoża. „Frank to intrygant”, tłumaczył Walter. „Według niego nasze motto brzmi: «Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego — czyli za mnie!»”. Bender — od ang. czasownika to bend — przechylać, naginać.

35

Mimo to we trzech współdecydowali o działalności Towarzystwa Vi-docqa. Żadna sprawa nie trafiła na klubową wokandę bez zgody Bendera, Waltera lub Fleishera. Nie mogli jednak zapominać, że nie są w stanie rozwiązać każdego przypadku. Nie dysponowali formalnymi możliwościami

przesłuchiwania świadków i podejrzanych, aresztowania lub prowadzenia śledztwa. Towarzystwo Vidocqa miało jedynie służyć radą policji i ofiarom przestępstw, jeżeli tego rodzaju wsparcie było potrzebne. „Odnosimy sukces, jeśli pomożemy posunąć sprawę do przodu”, powtarzał Fleisher.

Na początku chcieli po prostu stworzyć klub dla detektywów i mieć z tego frajdę.

Jeszcze zanim dopili kawę, Walter i Bender doszli do wniosku, że Antoineowi LeHavre'owi — jeżeli rzeczywiście to on dopuścił się zbrodni — morderstwo mimo wszystko ujdzie na sucho. Przynajmniej z ich strony nic mu nie groziło.

Część druga

Czterej chłopcy

Rozdział 4

A małe chłopię prowadzić ich będzie

W sobotę 23 lutego 1957 roku zimny deszcz bił w pustą wiejską drogę na

północnym skraju Filadelfii. Porastające pobliskie pole chwasty i powoje

przesłaniały stare, tekturowe pudło leżące za rzędem drzew. W pudle spo-

czywał mały, drobny, niebieskooki chłopiec. Był nagi, rączki miał ułożone

wzdłuż tułowia niczym jakiś zapomniany egipski królewicz. Za sarkofag

posłużyło mu firmowe pudło domu towarowego J.C. Penney wykonane

z tektury falistej, długie na metr i szerokie na czterdzieści pięć centyme-

trów. Widniał na nim napis: „OSTROŻNIE! NIE RZUCAĆ!”. Ktoś rzeczywiście zadbał o zachowanie wszelkich środków ostrożności. Chłopiec został umyty i owinięty w szorstki koc z tradycyjnym wzorem plemienia Nawaho, zupełnie jakby ktoś przygotował go do przejścia w zaświaty. Miał niedbale przystrzyżone włosy i starannie obcięte paznokcie. Padł ofiarą pradawnego rytuału mającego pozbawić go niewinności i piękna w serii najstraszliwszych tortur; odrażającego połączenia miłości i czułości ze zdradą, męczarniami i przerażeniem, zwieńczonymi grozą zadanego mordu, który sam w sobie musiał być niezwykłym przeżyciem dla zabójcy lub zabójców.

W rytuale tym, mylonym często z praktykami satanistycznymi, nie oddawano czci ani Bogu, ani diabłu. W malowniczej wschodniej Pensylwanii połowy lat pięćdziesiątych XX wieku, czyli za czasów prezydenta Dwighta Eisenhowera, nikt nie potrafił pojąć sensu tak makabrycznego

38

mordu. Całą powierzchnię drobnego ciała pokrywały stłuczenia i głębokie nacięcia.

Chłopiec miał zaledwie dziewięćdziesiąt dwa centymetry wzrostu, mimo to nie zmieścił się w tekturowej trumnie i jego ciało zostało lekko zgięte. Spod uchylonego wieka wyzierała głowa, a martwe oczy wpatrywały się w niebo. Krety drążyły tunele pod dzikimi trawami, które

wy-  
rosły wokół pudła. Myszy i owady gromadziły się w pobliskich  
zaroślach,  
zwabione zapachem krwi.  
Chłopiec leżał niecałe pięć metrów od jezdni, ale przez długi czas  
nikt go nie zauważył. Na wąskiej, jednopasmowej drodze panował  
spokój.  
Przylegające do niej pole było jedną z ostatnich zielonych plam  
na mapie  
miasta. Otaczały je szpitale, posterunki policji i tysiące domów  
tworzą-  
cych przedmieścia Filadelfii. Niezabudowane tereny prawie się  
nie zmie-  
niły od czasów, gdy wokół gospody Fox Chase słychać było tętent  
koni  
kolonistów, a spuszczone ze smyczy ogary osaczały zwierzynę.  
Od czasu  
do czasu jakiś samochód przejeżdżał drogą na południe, między  
spowity-  
mi mgłą lasami i polami, zmierzając w stronę Verree. Gdy zniknął  
w oddali,  
na drodze ponownie zapadała cisza.  
Ktoś rozmyślnie wybrał dla chłopca tak mało uczęszczane  
miejsce.  
Mimo dość wysokiej jak na luty temperatury, zacinał lodowaty  
deszcz.  
Dookoła panował spokój, jakby przyroda na coś wyczekiwała. W  
ciągu  
kilku lat na pole nie spadło wiele śniegu, zbliżał się jednak czas  
potężnych  
burz. W powietrzu wyczuwało się już nadchodzące zmiany  
klimatyczne,  
wywołane trzydziestoletnim cyklem oceanicznym, które miały  
uczynić  
z lat sześćdziesiątych najbardziej śnieżną dekadę XX wieku.



W zimnym powietrzu ciało rozkładało się bardzo powoli. Nie  
zosta-  
ło jeszcze naruszone przez zwierzęta. Chmury przepływały po  
niebie,  
a słońce wysuszyło oczy i twarzyczkę chłopca. Przyszła noc. Na  
połu-  
dniu zabłysnął Orion-myśliwy. Jasno świecił Jowisz. Nad polem  
zapadła  
ciemność i cisza. Usta chłopca były białe niczym tarcza księżycy  
unoszą-  
cego się na morzu gwiazd zimowego nieba. Wzeszło słońce, ale  
nawet ono  
nie ogrzało dziecka. Leżało nieruchomo, a jedyną zmianą był  
proces spły-  
wania ściąganej siłą grawitacji krwi w niższe partie ciała.

39

Tamtej soboty mieszkańcy Filadelfii wsiedli do samochodów i  
poje-  
chali na północ do miejskiego parku leżącego na terenie, który tak  
urzekł  
ornitologa i przyrodnika Johna Audubona ponad sto lat wcześniej.  
Jakiś  
ksiądz skręcił do Przytuliska Dobrego Pasterza dla „wykolejonych  
dziew-  
cząt”, stojącego pośrodku pustego pola po przeciwległej stronie  
drogi. Po  
południu tą samą drogą jechał na rowerze John Stachowiak,  
zmierając  
na trening koszykówki w katolickim gimnazjum. Zatrzymał się,  
zostawił  
rower przy rosnących wzdłuż drogi drzewach i wszedł na pole.  
Był spięty, ale jednocześnie podekscytowany. Osiemnastoletni  
Stacho-  
wiak, syn polskich imigrantów słabo mówiących po angielsku,  
trudnił

się traperstwem. W poprzednich latach rozstawiał w lesie i na polu dzie-  
więtnaście pułapek na piżmaki. Mieszkał w pobliżu, więc mógł łatwo  
sprawdzić, czy coś się w nie złapało. Jednak tamtego roku ich nie zasta-  
wił, mimo że sezon na piżmaki miał się ku końcowi. Zaprzeszał kłusow-  
nictwa, odkąd jego starszy brat znalazł w pobliskim lesie człowieka, który  
powiesił się na gałęzi. Błady, dyndający w powietrzu trup prześladował go  
w snach, podobnie jak wystraszone twarze rodziców, kiedy ich dom od-  
wiedził policjant, aby przesłuchać brata w sprawie samobójcy. Uciekinie-  
rzy zza Żelaznej Kurtyny żyli w ciągłym strachu, jakby nadal obawiali się  
Stalina i NKWD. Gęste zarośla ciągnące się wzdłuż drzew przy drodze stanowiły zna-  
komitą kryjówkę dla małych zwierząt. W pewnym momencie nastolatek  
stanął jak wryty. Dwie z jego pułapek zostały nastawione! Kto się nimi  
bawił? Przypomniawszy sobie o samobójcy i przeszły mu ciarki po plecach.  
Już miał zawrócić, kiedy zauważył w plątaninie powojów prostokątne pu-  
dło. Ludzie często zostawiali na polu niepotrzebne rzeczy. Ciekawe, co jest  
w środku, pomyślał. Chwycił pudło z jednej strony i spróbował je unieść,  
ale było za ciężkie i musiał je położyć z powrotem na ziemi. Obszedł je

dokoła, wpatrując się uważnie w uchylone wieko. Stachowiak zrezygnował z treningu koszykówki i wrócił prosto do domu, obiecując sobie, że nie powie bratu, rodzicom ani nikomu innemu o tym, co zobaczył. Nie chciał, aby do ich domu wrócili policjanci i ponownie wystraszyli rodzinę.

Dwa dni później, w poniedziałkowe popołudnie 25 lutego, Frank Guthrum, student pierwszego roku na Uniwersytecie LaSalle wracał do domu

40

z zajęć. Zatrzymał samochód przy drzewach na polu. Guthrum miał dwa-  
dzieścia kilka lat, a ponieważ był starszy od większości kolegów, nie bardzo potrafił się przystosować do akademickiego życia. Dwa tygodnie wcześniej, 11 lutego, przejeżdżając tą samą drogą, musiał ostro przyhamować, aby nie przejechać przebiegającego przed maską królika. Coś go wtedy podkusiło, aby pobiec za nim w zarośla. Stracił zwierzę z oczu, natknął się jednak na dwie stalowe pułapki i postanowił je nastawić. Kiedy dwa tygodnie później wrócił w to samo miejsce kwadrans po trzeciej, wciąż było wystarczająco widno.

Ku jego rozczarowaniu stalowe szczęki były puste. Niecałe pięć metrów od drogi, w miejscu przecięcia ścieżek, natknął się w zaroślach na osobliwe długie tekturowe pudło. Guthrum nachylił się i zobaczył

małą  
główkę — była zupełnie biała, jakby wykonano ją z porcelany. W  
pudeł-  
ku znajdowała się chudziutka postać.  
Lalka. Duża lalka. Dostrzegł pokrywające główkę siniaki oraz  
przycięte blond włosy. To nie lalka.  
Gunthrum wsiadł do auta i pojechał szybko do domu. Wieczorem  
opowiedział o wszystkim bratu, który był księdzem, postanowił  
jednak  
nie dzwonić na policję. Nie chciał zostać zamieszany w żadną  
sprawę, po-  
nieważ policja i tak miała go już na oku. Dopiero co oskarżono go  
o pod-  
glądactwo. Rzekomo udawał, że goni po lesie za królikami, a tak  
naprawdę  
miał podglądać „wykolejone dziewczęta” w Przytulisku Dobrego  
Pasterza.  
Kolejne przesłuchanie mogło mu tylko zaszkodzić.  
Następnego dnia rano, we wtorek 26 lutego, w drodze na uczelnię  
Guthrum usłyszał w radiu, że policja poszukuje niejakiej Mary  
Jane Bar-  
ker, która prawdopodobnie została porwana. Czteroletnia  
dziewczynka  
zniknęła w Bellmawr w stanie New Jersey, czyli w mieście  
leżącym po  
przeciwnej stronie rzeki. Na uczelni skonsultował się z dwoma  
opieku-  
nami i ponownie porozmawiał z bratem. Ksiądz powiedział: „Sam  
do-  
brze wiesz, co powinieneś zrobić”. O dziesiątej dziesiąć rano  
Guthrum  
zadzwoił na policję.  
Filadelfijski wydział policji mieścił się w kamiennym gmachu miej-  
skiego ratusza zbudowanego w stylu drugiego cesarstwa  
francuskiego.

Nad wejściem prowadzącym do części sądowej widniała  
płaskorzeźba

41

przedstawiająca Mojżesza. Mimo staroświeckiego wyglądu  
siedziby fila-  
delfijska policja była jedną z najnowocześniejszych jednostek w  
Stanach

Zjednoczonych. Patrole jeździły czerwonymi chevroletami rocznik  
1955

z drewnianymi wykończeniami, jednymi z pierwszych niezwykle  
wytrzy-

małych radiowozów zaprojektowanych specjalnie na potrzeby  
policji.

Zaraz po odebraniu zgłoszenia Guthruma sierżant Charles  
Gargani

z wydziału zabójstw nadał wiadomość do wszystkich radiowozów:  
„Od-

szukać tekturowe pudło w zagajniku przy Susquehanna Road,  
naprzeciw-

ko przytuliska dla samotnych młodych matek. W środku mogą  
znajdować

się ludzkie zwłoki lub lalka...”.

Policjant Sam Weinstein z irytacją wysiadł z radiowozu prosto w  
zim-

ny deszcz i ruszył przez błotniste pole. Był pewien, że niczego  
ciekawe-

go nie znajdzie. Weinstein, barczysty mężczyzna o kwadratowej  
głowie

i szerokim nosie, miał trzydzieści lat, żonę i dwójkę dzieci. Choć w poli-

cji był żółtodziobem, zdążył wyrobić sobie w wydziale opinię  
porywcze-

go twardziela. Podczas drugiej wojny światowej uczestniczył w  
walkach

na Pacyfiku. Jego ojciec został zamordowany jeszcze przed

narodzinami

Sama, a matka zmarła, ledwie nauczył się chodzić. Zaopiekowali się nim

wujostwo mieszkający w jednej z południowych dzielnic Filadelfii.

Byli

luteranami, ale spełnili prośbę matki i wychowali go w wierze

żydow-

skiej. Weinstein był opryskliwy, co nie podobało się nikomu poza

jego

kumplami.

Przed sobą dostrzegł funkcjonariusza Elmera Palmera, również

żół-

todzioba. Zawołał coś miłego na powitanie, ale Palmer ze zboląłą

twarzą

stał w milczeniu obok przekrzywionego pudła.

Weinstein zajrzał do środka i zachwiał się na nogach. Sceny

cierpienia

i śmierci były dla niego chlebem powszednim, ale nigdy jeszcze

nie wi-

dział zamordowanego dziecka. Mało który filadelfijski policjant w

latach

pięćdziesiątych XX wieku miał za sobą takie doświadczenie.

Mordowano

dorosłych, a sprawcami byli zazwyczaj znajomi ofiar — zazdrośni

mał-

żonkowie albo byli partnerzy. Od czasu do czasu znajdowano na

polach

trupy starych, śmierzących ginem włóczągów.

Do coraz liczniejszego wianuszka ludzi otaczających ciało

dołączy-

ło w końcu dwóch odzianych w ciemne płaszcze i kapelusze

policjantów

42

z wydziału zabójstw oraz doktor Joseph Spelman, główny lekarz

sądowy

Filadelfii. Na miejsce zjeżdżali kolejni oficerowie śledczy i policjanci. Kapitán rozkazał przetrząsnąć pole w poszukiwaniu dowodów. Pięć metrów od ciała znaleziono niebieski męski kaszkiet w rozmiarze M. Przyjechała karetka. Weinstein zaofiarował się, że wyjmie chłopca z pudła.

— Rany i stłuczenia widoczne na całym ciele — ocenił doktor Spelman. Stłuczenia zbyt rozległe, a rany zbyt głębokie, aby dzieciak mógł się ich nabawić, spadając z roweru. Siniaki pokrywające głowę wyglądały jak odciski palców dorosłego, który próbował przytrzymać główkę dziecka podczas strzyżenia. Dziecko padło bez wątpienia ofiarą przemocy, niemniej lekarz oświadczył, że dopiero sekcja pozwoli na ustalenie przyczyny śmierci. Weinstein trzymał dziecko, instynktownie próbując osłonić je przed deszczem. Poczł wzbierający w nim gniew. W oczach Palmera dostrzegł tę samą wściekłość: „Ktokolwiek to zrobił, powinien się smażyć w piekle”.

Weinstein nie potrafił zrozumieć, jak można dopuścić się takiego czynu. Nikt nie potrafił sobie tego wyobrazić. Śledczy snuli przypuszczenia, że matka lub ojciec — jacyś biedni i doprowadzeni do ostateczności ludzie — stracili nad sobą panowanie podczas kąpieli. Potem zamierzali urządzić dziecku skromny pogrzeb, bo na lepszy nie było ich stać, ale ktoś

im przeszkodził. Martwy chłopiec symbolizował nowy świat, którego policjanci nie potrafili pojąć. Przestępcy się zmieniali. Wszystko się zmieniało. Miesiąc wcześniej Pat Boone śpiewał na inauguracji prezydenta Eisenhowera, a za kilka tygodni tysiące fanów miały się zebrać w Filadelfii na koncercie Elvisa Presleya. Stary porządek umierał i rodził się nowy. W styczniu tamtego roku w Los Angeles zmarł Humphrey Bogart, ikona tradycyjnej męskości. W tym samym tygodniu firma Wham-O wyprodukowała pierwsze frisbee, ku rozrywce nowego, wyzwolonego pokolenia. W społeczeństwie wzbierały potężne prądy, a ludzie mieli poczucie, że świat wywraca się do góry nogami. Wolność i autentyczność stały się hasłami nadchodzącej Ery Wodnika. Rozprawiano się z dotychczasowymi niesprawiedliwościami, rozbijano bariery, dopuszczano do głosu skrywane głęboko pragnienia.

43

Również zabójcy korzystali z nowej swobody, poszukując głębszych i prawdziwszych poziomów tożsamości. Policjant spojrział w niebieskie oczy chłopca. Były nieruchome i odbijało się w nich jego własne spojrzenie. Ogarnął go smutek, jednak w głowie pojawiały mu się myśli, których nie potrafił wytłumaczyć. „Zobaczyłem w tych oczach niewyobrażalny ból i przerażenie”, opowiadał



później.

Mała twarzyczka zdawała się krzyknąć: „Dlaczego do tego doszło? Dla-

czego ktoś mi to zrobił?”

Spojrzenia Weinsteina i Palmera ponownie się spotkały. Wyrażały to

samo: „Złapiemy skurwiela, choćby nie wiem co”.

Kim jednak był morderca? Policja musiała znaleźć odpowiedzi na wie-

le trudnych pytań. Weinstein był człowiekiem dumnym i nie było mu

łatwo przyznać przed samym sobą, że nie potrafi czegoś wytłumaczyć.

Przeszło mu przez myśl, że być może nigdy nie pozna odpowiedzi na

wszystkie dręczące go pytania, że nie zdoła znaleźć sprawcy.

Ogarnęła

go rezygnacja.

Trzasnęły drzwi karetki. Weinstein patrzył w szare lutowe niebo i pa-

dający na pole deszcz.

Rozdział 5

Policjanci i złodzieje

Chłopiec włożył pięciocentówkę do chromowanego otworu i westchnął

z zachwytu, kiedy szklane drzwiczki otworzyły się, odsłaniając kawałek

ciasta. Jego ojciec zakręcił korbą ozdobnej „maszyny do napojów”, a z gło-

wy delfina, wyrzeźbionej na wzór fontanny z Pompejów, wytrysnęła kawa.

Obiad z ojcem w Horn and Hardart w Filadelfii, pierwszej restauracji typu

fast food w Stanach Zjednoczonych, był dla niego sporym wydarzeniem.

„Fajny ten automat”, pomyślał. Urządzenie było olśniewającym osiągnięciem współczesnej techniki. Robiło na nim równie duże wrażenie jak radio tranzystorowe i elektroniczny zegarek ojca. Automat — szklany pałac wypełniony makaronem z klopsikami i serem — był inspiracją dla znanej piosenki Irvinga Berlina Let's Get Another Cup of Coffee. Ojciec chłopca gwizdał ją w czasie Wielkiego Kryzysu, a teraz była tematem muzycznym programu telewizyjnego Father Knows Best. William (Billy) Fleisher przez cały tydzień nie mógł się doczekać weekendu. W każdą sobotę 1957 roku szedł rano z mamą na zakupy, a pozostałą część dnia spędzał z ojcem. Wsiadali do wielkiego buicka sedana rocznik 1953 i jechali odebrać wczesne wydanie niedzielnych gazet. Jego ojciec, doktor Herbert Fleisher, po powrocie z wojny i zakończeniu służby w marynarce wojennej otworzył gabinet dentystyczny w Nash Building. Ten obdarzonym błyskotliwym umysłem, wysoki, ciemnowłosy, przystojny mężczyzna mógłby uchodzić za sobowtóra Roberta Taylora, którego Billy widział w roli Lancelota w Rycerzach Okrągłego Stołu z 1953 roku,

45

u boku Avy Gardner jako Ginewry. „Bulletin” określił Herberta Fleishera mianem najlepiej ubranego mężczyzny w Filadelfii. Niemal

wszyscy czytali „Bulletin” i wszyscy szanowali Herberta Fleishera. Billy chciał zostać kimś takim. Jego ojciec siedział naprzeciwko, jak zwykle w szelkach i getrach, czytany w niedzielnym wydaniu „Bulletinu”, a Billy jadł swoją ulubioną smażoną wołowinę ze szpinakiem. Ojciec mierzył metr dziewięćdziesiąt, Billy metr sześćdziesiąt. Miał jeszcze urosnąć czternaście centymetrów.

— Nie zachowuj się jak wieśniak — skarcił go mężczyzna. Billy skulił się ze wstydu. Uwielbiał słuchać ojca, kiedy ten opowiadał o swoich przyjaciółach. Prawnikach. Politykach. Artystach. Graczach obstawiających gonitwy na wyścigach konnych. Bukmacherach. Hazardystach. Klub nocny Celebrity Room, w którym się z nimi spotykał, należał do jego dobrej znajomej, a jednocześnie pacjentki, pięknej tancerki rewiowej Lilian Reis, „Tygrysicy Lii”. Tygrysica Lii spotykała się ze znanym gangsterem Ralphem Juniorem Staino, szefem słynnego gangu K&A (od nazw filadelfijskich dzielnic Kensington i Allegheny), najbardziej sztywnej grupy włamywaczy w kraju. Skoki na sklepy jubilerskie urządzali w garniturach i pod krawatami. Tygrysica Lii została oskarżona o zorganizowanie napadu, w wyniku którego potentat węglowy John B. Rich z Pottsville stracił 478

tysię-  
cy dolarów, ale ostatecznie ją uniewinniono, kiedy główni  
świadkowie  
oskarżenia utonęli lub zginęli w eksplozjach samochodów. Ojciec  
Billy e-  
go mawiał, że miała ładne zęby.

— Ale z ciebie niedorajda — powiedział ojciec.

Matka Billy'ego, Esther, często przypominała, w jaki sposób jego  
oj-  
ciec zareagował na wiadomość o kolejnej ciąży żony. „Masz syna  
i córkę,  
co byś chciał tym razem?“, pytali go stali bywalcy klubu Celebrity  
Room.

Herbert Fleisher odpowiedział: „Owczarka niemieckiego“.

W porównaniu ze starszym rodzeństwem, Ellisem i Gloria, Billy  
wy-  
glądał jak wybrakowany model. Ellis przypominał ojca: był wysoki,  
przy-  
stojny i inteligentny. „Najwyraźniej wdałeś się w moją babkę“,  
powiedział

Billy'emu ojciec. Jego prababcia miała równo półtora metra  
wzrostu.

46

Ojciec miał rację. Był śmieciem. „Przynosisz mi wstyd“, słyszał co  
chwila. Billy kiepsko się uczył i regularnie wdawał się w pyskówki i  
bójki.

W niczym nie przypominał innych dzieci: nie kibicował drużynie  
bejsbo-  
lowej Philadelphia Phillies, nie czytał podręczników, nie oglądał  
telewizji.

Nienawidził rodzinnego serialu komediowego Leave It to Beaver,  
a ojciec

nie zabierał go do kościoła. Każdą wolną chwilę Billy poświęcał  
na czyta-

nie czasopism detektywistycznych.

W sobotnie poranki, przed wyjściem z matką na targ, bawił się z kuzy-  
nami Markiem i Glennem. „Po jakimś czasie zaczynaliśmy się tłuć. Potem  
wychodziliśmy na dwór, rzucaliśmy petardy na werandy domów, strzelali-  
śmy zapałkami w mrowisko i robiliśmy inne tego rodzaju numery”.  
Kuzy-  
ni byli jego jedynymi przyjaciółmi. „Nawet gdybym jadł pięciocentówki  
i srał dwudziestopięciocentówkami, i tak nikt by mnie nie lubił”,  
myślał.  
Po zapadnięciu zmroku wsiadali z ojcem do jego buicka. Jechali  
przez  
miasto, mijając pogrążone w całkowitym mroku zaułki i częściowo oświe-  
tione domy. Kiedy Billy był młodszy, matka straszyla go: „Jak  
będziesz roz-  
rabiać, przyjdzie Seymour Levin i cię zabierze”.  
Seymour Levin był grubym, pryszczatym chłopakiem w okularach,  
którego wszyscy się bali, mimo że nie mieszkał już w okolicy. 9  
stycznia  
1949 roku szesnastoletni Levin poszedł z dwunastoletnim Ellisem  
Simon-  
sem do kina na Noc w operze. Po filmie zaprosił kolegę do domu,  
żeby po-  
bawić się „małym chemikiem”. Ellis rzucił okiem na zestaw i  
powiedział:  
„Mam w domu lepsze próbówki”. Seymour był bardzo dumny ze  
swojej  
zabawki, więc chłopcy zaczęli się bić. Seymour przyniósł z kuchni  
nóż,  
kazał się Ellisowi rozebrać, zgwałcił go, a następnie zadał mu  
ponad pięć-  
dziesiąt ciosów w serce, twarz, plecy i resztę ciała. Związał ręce i

nogi ofia-  
ry sznurem do suszenia bielizny, przeciągnął ciało przez dom,  
podwórko  
i porzucił je za garażem.

Seymour w każdej chwili mógł wyjść z więzienia.

Policjanci mówili, że w ciele Ellisa nie została ani jedna kropla  
krwi.

Matka odnosiła się do Billy ego chłodno, ale nie z takim  
dystansem jak  
ojciec.

47

Pewnej soboty zostawiła go samego na targowisku Penn Fruit  
Compa-

ny i weszła między kramy. Billy słyszał mrożące krew w żyłach  
opowieści

o dzieciach zostawionych bez opieki na targu. Bohaterem  
najbardziej zna-

nej był Steven Damman, którego matka zostawiła z laską lukrecji  
w skle-

pie spożywczym na Long Island i kazała mu pilnować braciszka.

Kiedy

wróciła, w sklepie znajdował się tylko wózek z niemowlęciem —  
Steven

i laska lukrecji zniknęli. Nigdy więcej ich nie widziano.

Billy się nie bał. Był starszy niż Damman i potrafiłby się obronić,  
poza

tym uwielbiał chodzić z matką na targ. Rozkoszując się  
zapachami roz-

łożonych na straganach jabłek, gruszek, pomarańczy i  
ziemniaków, tra-

cił zupełnie głowę. Otaczające go aromaty uważał za  
najwspanialsze na

świecie, ponieważ przypominały mu dziadka Sola, największego  
hurtow-

nika ziemniaków i cebuli w Filadelfii. Dziadek był najlepszym

przyjacie-  
lem Billy ego, a jego dom oazą miłości i bezpieczeństwa.  
Sol tak naprawdę nazywał się Solomon Tredwell, ale wszyscy  
mówili  
na niego Uśmiechnięty Jim, Król Ziemniaków. Sol był człowiekiem  
przy-  
jaźnie usposobionym do innych, a przezwisko Uśmiechnięty Jim  
przejął  
od przystojnego policjanta, który patrolował konno parki Filadelfii.  
Miał  
nadzieję, że popularność policjanta przeniesie się na niego i jego  
firmę.  
„Dziadek bardzo mnie kochał i uwielbiał policję”, wspominał Billy.  
„Ża-  
den policjant nie wyszedł nigdy z jego magazynu bez prezentu w  
postaci  
dwiupółkilogramowego worka ziemniaków”.  
W pewnej chwili Billy zauważył plakat przyklejony do muru  
nieopo-  
dal wejścia do sklepu. Z daleka wyglądał na potrójny portret.  
Zaintrygo-  
wany podszedł bliżej i zamarł z przerażenia.  
Martwymi oczami wpatrywała się w niego upiorna, pomarszczona  
twarz. Błada twarz nieżywego chłopca. Po obu stronach  
umieszczono  
również ujęcia z profilu — boki głowy były w równym stopniu  
poranio-  
ne i posiniaczone. Niemniej najbardziej poruszyły Billy'ego  
nieruchome,  
pozbawione życia oczy.  
Widoczne na zdjęciu powieki wydawały się połamane i kruche jak  
skrzydła motyla. „KOMENDA POLICJI W FILADELFIN  
POSZUKUJE IN-  
FORMACJI”. Poniżej napisano, że dwa tygodnie wcześniej w  
zaroślach

przy gospodzie Fox Chase znaleziono ciało brutalnie zamordowanego,

48

niezidentyfikowanego dziecka. Policja prosiła o kontakt każdego, kto

dysponowałby jakimikolwiek informacjami na temat chłopca lub mor-

derycy. „POWIADOM NIEZWŁOCZNIE WYDZIAŁ ZABÓJSTW MIESZ-

CZĄCY Się W RATUSZU MIEJSKIM, O DOWOLNEJ PORZE DNIA LUB

NOCY, OSOBIŚCIE ALBO TELEFONICZNIE (NUMER 6-9700)".

Billyemu wydawało się, że lewe oko chłopca rozbłysło na moment na żółto.

Nigdy wcześniej nie widział martwego człowieka. Nie miał okazji wy-

słuchać odmawianej przez rabinów modlitwy do Błogosławionego Sę-

dziego Prawdy, mówiącej, że ludzie są śmiertelni, a ponieważ nie potrafią

zrozumieć wyroków boskich, mogą im się jedynie podporządkować. Oj-

ciec nie przygotował go na taką chwilę; na niewiele by się to zresztą zda-

ło. Każdy inaczej przeżywa śmierć, a ta, która spotkała chłopca z plakatu,

przekraczała pojmowanie nie tylko dziecka, ale i dorosłych z połowy

XX wieku. W przejrzystej toni martwego oka dostrzegł przebłysk naj-

mroczniejszego znanego ludzkości zła.

Chłopiec spoczywał na zimnym metalowym stole w miejskiej kostnicy.

Na zewnątrz pozbawionego okien pomieszczenia panowała ciemna, mroź-



na noc, ale tutaj spowijało go jasne światło lamp. Lekarz sądowy zano-  
tował wyniki pomiarów: 96 centymetrów wzrostu i 13,5 kilograma wagi.

Kruszynka.

Bill Kelly przygotował atrament, wałki i czyste kartki białego papieru.

Jako funkcjonariusz odpowiedzialny w filadelfijskim wydziale zabójstw

za pobieranie odcisków palców, wchodził w skład nieskończenie długie-

go łańcuszka osób, które zajmowały się każdym zgonem.

Normalnie po-

trafił zachować beznamiętny spokój podczas dotykania ciała zmarłego, ale

ten chłopiec wyglądał jak jego czteroletni syn. Małe stopki mieściły się

w dłoni Kelly ego. Mężczyzna pochylił głowę i poprosił cicho o wsparcie

Najświętszą Panienkę.

Dwudziestodwunastoletni Kelly był wysokim Irlandczykiem o lśnią-

cych niebieskich oczach i spojrzeniu przepelnionym raczej współczuciem

niż wesołością. Jako pobożny katolik wierzył, że dzieci są darem Boga.

Sam miał dwójkę, a trzecie w drodze. Razem z żoną Ruth Ann chcieli

49

mieć tyle dzieci, na ile pozwoli im Wszechmogący. Aby wykarmić powięk-

szającą się rodzinę, dorabiał jako fotograf na ślubach;

odpoczywał wtedy

psychicznie między jednym a drugim badaniem zwłok.

Po uważniejszych oględzinach Kelly stwierdził, że chłopiec jest

moc-  
no wychudzony. Wilton Krogman, antropolog z Uniwersytetu  
Pensylwa-  
nii, jeden z największych na świecie autorytetów w dziedzinie  
anatomii,  
nazwany przez FBI Kościanym Detektywem, zbadał chłopca z  
pomocą  
młodego asystenta Billa Bassa (który w przyszłości miał założyć  
w Tennes-  
see Farmę Zwłok, służącą badaniom nad procesami rozkładu  
ciała). Krog-  
man obliczył, że chłopiec ma wzrost typowy dla niespełna  
czteroletniego  
dziecka, natomiast wagę dwulatka. A zatem był głodzony albo  
niedoży-  
wiony. Zdjęcie rentgenowskie "nóg pokazało zwyrodnienia kości  
długich  
wynikające z zahamowania wzrostu. Chłopiec miał kłopoty  
zdrowotne  
co najmniej od roku.  
Żal ścisnął Kelly emu serce, kiedy smarował atramentem drobne  
rącz-  
ki i nóżki, a następnie przyciskał je do czystego papieru. Wierzył  
w Boga,  
ale skoro Wszechmogący miał poruszać skrzydłami każdego  
najmniej-  
szego wróbelka, co chciał osiągnąć, sprowadzając na chłopca tak  
tragicz-  
ną śmierć?  
Oczami wytrawnego policjanta Kelly dostrzegał inne rzeczy.  
Maka-  
bryczne nacięcia i siniaki na głowie i na ciele. Cienka skóra na  
jednej dło-  
ni i stopie pomarszczyła się od długotrwałego kontaktu z wodą, co  
zwano

„syndromem praczki”. Wąska główka wyglądała na ściśniętą, jakby ktoś próbował rozgnieść przejrzały melon. Kelly, jako policyjny urzędnik, wolał nie zastanawiać się nad takimi sprawami, jednak w głębi serca czuł, że ma przed sobą ofiarę zła — niepodważalny dowód na istnienie diabła. Pocieszenie znalazł w modlitwie. Wiedział, że chłopiec na tym świecie nie będzie już cierpieł. Poszedł do nieba, a Kelly mógł pomóc w zbawieniu duszy dziecka, odkrywając jego tożsamość. Nazwisko ofiary byłoby niezwykle cenną wskazówką prowadzącą do osoby mordercy, który powinien odpowiedzieć za swój czyn za życia i po śmierci. Tym miał się zająć ktoś inny, niemniej Kelly nigdy wcześniej nie miał poczucia, że jego praca jest tak ważna.

50

Tego samego wieczora Remington Bristow, ciemnowłosa mężczyzna o pobrużdżonej twarzy, syn grabarza z Oregonu, siedział w domu i paląc lucky strikea, przeglądał wielkie płachty „Bulletinu”. Na jednej ze stron natrafił na nagłówek: „FOX CHASE. W KARTONOWYM PUDLE ZNALEZIONO CIAŁO CHŁOPCA”. Kiedy przeczytał artykuł, żal ścisnął mu serce. Jego druga córka, Rita, wyrosła na wspaniałą, zdrową dziewczynkę, ale pierwsza, Annie Laurie, zmarła dwanaście lat wcześniej —

padła  
ofiara zespołu nagłej śmierci łóżeczkowej. Żyła tylko trzy  
miesiące. Po-  
chowano ją w Kalifornii, a Bristow nie przestał za nią tęsknić. Po  
lek-  
turze artykułu doszedł do wniosku, że sprawa chłopca powinna  
zostać  
szybko rozwiązana. Zrozpaczony rodzic lub opiekun zgłosi się na  
policję,  
kiedy tylko wiadomość o znalezieniu zwłok przekażą wieczorne  
wydania  
gazet oraz wiadomości telewizyjne i radiowe. Bristow pracował w  
biurze  
lekarza sądowego. Tego dnia miał dyżur od dwunastej w nocy do  
ósmej  
rano. Chłopiec z pewnością zostanie zidentyfikowany, zanim  
przyjdzie  
do pracy.  
Bristow zjawił się o północy w kostnicy i ze zdumieniem odkrył, że  
nikt nie zgłosił się po ciało. Przydzielano go do spraw zmarłych,  
których  
nazwiska zaczynały się na litery z końca alfabetu, w tym „U”.  
Teraz miał  
się zająć chłopcem, którego zaklasyfikowano do kategorii  
„Unknown” —  
„Nieznany”.  
Główny inspektor John Kelly zdawał sobie sprawę, że Filadelfia  
cieszy się  
złą sławą jako miejsce głośnych przypadków zgonów dzieci, choć  
doszło  
do nich przed wieloma laty. Policja spartaczyła wtedy śledztwo  
dotyczące  
pierwszego porwania dziecka w Ameryce, najgłośniejszego  
przestępstwa  
w tamtych czasach — i skutki nadal odbijały się jej czkawką. W

lipcu 1874

roku dwóch mężczyzn podjechało wozem pod dom, w którym mieszkał

czteroletni Inianowłosek Charley Ross i zwabiło go cukierkami.

Chłopiec

zniknął. Christian Ross pobiegł na posterunek policji, ale sierżant pora-

dził, żeby się nie denerwował, ponieważ chłopiec padł najpewniej ofiarą

zwykłego „pijackiego wygłupu”. Porywacze zażądali dwudziestu tysięcy

dolarów. Przysłali dwadzieścia trzy rojące się od błędów listy, grożąc zabi-

ciem chłopca: „bedziesz musiał płacić za nim my go zwrucimy, płacić kupe

51

pieniędzy...”. Idąc za radą policji, ojciec nie odpowiadał na wiadomości.

Mały Charley przepadł bez śladu. Sprawę porwania relacjonowały szcze-

gółowo najpopularniejsze gazety w hrabstwie, a od tego czasu rodzice za-

częli ostrzegać dzieci: „Nigdy nie bierz cukierków od obcych”.

„Pogrążona w głębokiej żałobie” rodzina Rossów poświęciła następ-

ne sześćdziesiąt lat i ogromne sumy pieniędzy na poszukiwania chłop-

ca. Na darmo.

Teraz gazety prześcigały się w wymyślnych nagłówkach obwieszczają-

cych porażki policji — „dziecko w kartonie wciąż nn”; „pomylo-

ny z lalką” „kim jest chłopiec? policja w kropce” — a główny inspektor Kelly za wszelką cenę chciał zidentyfikować ofiarę i ukarać mor-

dercę. Wszczął największe śledztwo w sprawie śmierci dziecka w

trzech-  
setletniej historii miasta.

Do wydziałów policji we wszystkich czterdziestu ośmiu stanach  
wy-

słano pilny dalekopis. Zwrócono się o pomoc do FBI.

Amerykańskie

Towarzystwo Medyczne rozesłało do wszystkich chirurgów opisy  
poope-

racyjnych blizn znalezionych w pachwinie chłopca, prosząc o  
kontakt le-

karza, który przypomniałby sobie przeprowadzenie tego rodzaju  
zabiegu.

Bez skutku.

Policjanci z wydziału zabójstw ubrali chłopca w garnitur, należący  
wcześniej do synka jednego z oficerów śledczych, i ułożyli go w  
pozycji

siedzącej, aby policyjni fotografowie i fotoreporterzy mogli zrobić  
zdję-

cia. Ustalono, że pudło pochodzi ze sklepu J.C. Penney w Upper  
Darby

w Pensylwanii. Przesłuchano jedenaście z dwunastu osób, które  
kupiły

ten model. Śledztwo wykazało również, że niebieski kaszkiet  
znaleziony

nieopodal ciała uszyła krawcowa z południowej dzielnicy Filadelfii;  
po-

licja odszukała wszystkich mężczyzn, którzy nabyli u niej takie  
nakrycie

głowy. Koc ozdobiony indiańskimi wzorami mógł pochodzić z  
jednego

z trzech zakładów włókienniczych, ale w tej sprawie nic  
konkretnego nie

ustalono. Kelly'ego wysłano do wszystkich szpitali w okolicy,  
gdzie miał

porównać pobrane wcześniej odciski palców z rejestrami

noworodków.

Również ten trop okazał się ślepią uliczką.

Przez kilka dni śledztwo nie posuwało się do przodu. W końcu

główny inspektor zarządził największą mobilizację sił policyjnych w historii

52

miasta; wezwano nawet rekrutów z akademii, aby przeczesali

dwadzieścia kilometrów kwadratowych terenu wokół pola, na którym

znaleziono ciało. Trzystu mężczyzn przyniosło na komisariat kilka ton

potencjalnych dowodów, w tym martwego kota owiniętego w starą koszulę.

Zapukano

do drzwi trzystu okolicznych domów. Przesłuchano ponad

sześćset osób, które w nich mieszkały, a także wszystkie siedemset

siedemdziesiąt trzy białe rodziny, które w poprzednim miesiącu przeprowadziły się do

Filadelfii. Żadne z tych działań nie przyniosło choćby strzępu

użytecznej informacji. Zupełnie nic. Policjanci z Long Island w Nowym Jorku przyjechali do Filadelfii,

aby sprawdzić, czy ofiarą nie jest uprowadzony w 1955 roku

Steven Damman. Po zniknięciu chłopca życie jego matki, Marilyn, zupełnie się

rozpadło. Mąż się z nią rozwiódł, rzucił karierę w lotnictwie i wrócił do

lowa, gdzie został farmerem. Nie potrafił wybaczyć żonie, że zostawiła

dziecko na dziesięć minut bez opieki. Damman był w podobnym wieku jak

niezi-

dentyfikowany chłopiec, ważył tyle samo, miał blond włosy i małą  
bliznę  
na brodzie. Okazało się jednak, że nerki chłopca z Filadelfii były  
wyraż-  
nie większe, poza tym Damman miał dużego piega na prawej  
łydce. Ofia-  
rą nie był więc Steven.  
Jakiś żołnierz z piechoty morskiej twierdził, że chłopiec jest jego  
zagi-  
nionym braciszkiem, jednym z osiemnaściorga rodzeństwa.  
Ustalono, że  
cała osiemnastka żyje i cieszy się dobrym zdrowiem. Pałające  
żądzą ze-  
msty były żony oraz byli mężowie przysięgali, że ofiara to ich  
dziecko za-  
mordowane przez nikczemnego „eksa”. Teściowe oskarżały  
zięciów. Do  
policji napłynęły setki listów opisujących mroczne aspekty życia  
amery-  
kańskich rodzin („Wiem na pewno, że siostra urodziła nieślubne  
dziecko,  
a to taka osoba, która potrafiłaby je zabić”). Sprawdzono  
wszystkie tro-  
py. I znowu nic.  
Nadzieja śledczych odżyła, po tym jak obejrzeliby zdjęcie  
węgierskich  
uchodźców, którzy w 1956 roku uciekli do Ameryki przed  
interwencją  
wojsk radzieckich. Jeden z chłopców ze zdjęcia wyglądał  
identycznie jak  
ofiara z Filadelfii. Czyż Krogman nie wskazywał na  
prawdopodobne euro-  
pejskie korzenie ofiary, o których świadczyć miały wąska twarz i  
wysokie  
czoło? Po wyczerpujących poszukiwaniach filadelfijska policja



odnalazła

53

małego uchodźcę z Węgier. Bawił się beztrosko w ogrodzie przed domem

w Karolinie Północnej.

Uwagę oficerów śledczych zwróciła następnie rodzina Dudleyów.

Para

wędrująca po Stanach Zjednoczonych z cyrkiem Big Top

przyznała się do

zagłodzenia na śmierć sześciorga z dziesięciorga swoich dzieci.

Dwa cia-

ła porzucili beztrosko w graniczącym z Nowym Orleanem jeziorze

Pont-

chartrain, a pozostałe wzdłuż szosy w Wirginii Zachodniej i w

kopalni

w Lakeland na Florydzie. Podczas rozmowy z niepozbitym

mężczy-

zną i jego nieszczęsną żoną policjanci z trudem panowali nad

odrucha-

mi współczucia — musieli sobie nieustannie przypominać, że

mają przed

sobą parę zwyrodnialców. Tak, przejeżdżali przez Pensylwanię w

lutym

1957 roku. Nie, chłopiec w kostnicy nie był ich synem. Kolejny

ślepy za-

ułek.

Uspokajające wspomnienie aromatu ziemniaków zniknęło. Billy

stał jak

sparaliżowany, wpatrując się w szeroko otwarte oczy martwego

dziecka.

Potworna, trupio żółta twarz przypominała poobijaną tykwę z

wydrą-

żonymi otworami. Serce waliło Billy emu jak młotem, dłonie miał

mo-

kre od potu.

Oczy chłopca były studnią, a Billy spadał coraz głębiej w ciemną otchłań. W pobliżu nie było nikogo, kto by go złapał. Dłoń matki na ramieniu uwolniła go spod uroku. W ciszy lutowego popołudnia wrócili buickiem do domu. Nie opowiedział jej ani o tym, co zobaczył, ani o swoich odczuciach, jednak tamtego dnia coś się w nim zmieniło. W rozmowach z rodzicami jego język stał się bardziej cięty, zaczęły w nim pobrzmiwać zgorzkniałość i sarkazm. Nawiązał kilka przyjaźni, ale w odróżnieniu od innych grup, skupiających ludzi uprawiających jakiś sport lub próbujących sił w aktorstwie, jego paczka składała się z osób, które interesował wyłącznie alkohol i seks. „Byłem wykształconym Żydem, który skumplował się z Włochami — prawdziwymi twardełami z robotniczych rodzin”. Zaczął pić i palić. Nie urósł, mimo to toczył coraz brutalniejsze bójkę ze starszymi chłopakami. Był jednym z najmniejszych dzieciaków w okolicy, najszybszym, żylastym, złośliwym i zادیornym draniem, któremu wydawało się, że

54

pozjadał wszystkie rozumy. Przestało go bawić niszczenie mrowisk. Jako piętnastolatek wycelował wiatrówkę w tyłek innego chłopaka i pociągnął za spust. Kula musnęła pośladek i chłopak zakwiczał jak zarzynana świnia. Ubaw po pachy! Billy zarykiwał się ze śmiechu.

Z upływem lat gniew narastał w nim coraz bardziej. Policjanci zachodzili do dwupoziomowego domu z pięcioma sypialniami, aby porozmawiać z jego ojcem. Mieli dość ciągłego wyciągania najmłodszego syna dentysty z tarapatów, a teraz doszła jeszcze ta historia z wiatrówką. Jak coś podobnego mogło się zdarzyć w tak spokojnej dzielnicy, w tak porządnej rodzinie? Billy nadal pokładał się ze śmiechu. — To była tylko wiatrówka — powtarzał, szczerząc zęby. — Zgadza się, strzeliłem mu w dupę. Wielkie rzeczy! Chciałem go tylko zadrasnąć. Ale policjantom nie było do śmiechu. Billy był „tylko dzieckiem”, ale na wybryki kilkunastoletnich chuliganów nie patrzono już przez palce, jak to czyniły poprzednie pokolenia kierujące się zasadą: „chłopcy już tacy są”. Dyrektor FBI J. Edgar Hoover uznał nową plagę przestępczości nieletnich za ogólnokrajowy problem, do którego doprowadził kryzys rodziny spowodowany zawirowaniami wojennymi i ogólnym upadkiem moralności. Według starszego pokolenia tradycyjnym wartościom zagrażały muzyka rockowa, materializm oraz filmy w rodzaju Buntownika bez powodu. Badanie przeprowadzone przez Roper Organization pokazało, że Amerykanie uznawali przestępczość nieletnich za bardziej szkodliwą

niż te-  
sty broni atomowej, segregacja rasowa w szkołach czy korupcja polityków.  
Coś bardzo niedobrego działo się z synami nowej, zamożnej Amery-  
ki. William Heirens, wychowany w bogatej rodzinie na przedmieściach  
Chicago, już w wieku trzynastu lat zbierał broń palną, rozpoczął studia  
na prestiżowym Uniwersytecie Chicagowskim, a jako siedemnastolatek  
został seryjnym mordercą. Na lustrze w domu jednej z trzech ofiar napi-  
sał szminką: „Powstrzymajcie mnie, zanim zabiję po raz kolejny!”.  
Sey-  
mour Levin nie był już tradycyjnym postrachem dzielnicy.  
Psychologowie  
uznali go za przykład nowego, wyjątkowo zdeprawowanego typu  
„orga-  
nicznych psychopatów” — potworów o niezrozumiałej motywacji.  
Łączył  
55  
ich jedynie niewygasający resentyment i brak wyrzutów sumienia.  
Nowe  
pokolenie przestępców było bardziej brutalne i zdeprawowane od  
zbirów  
Ala Capone i najgorszych przestępców lat dwudziestych i  
trzydziestych  
XX wieku.  
Billy coraz częściej miał problemy z nauką. Cały wolny czas  
spędzał  
w piwnicy, gdzie zaczytywał się w komiksach detektywistycznych.  
Na-  
uczyciele uznali tę pasję za wyjątkowo niepokojącą. Komiksy detektywi-

styczne uważano wtedy za podstawowe źródło przestępczości nieletnich.

Pogląd ten spopularyzował amerykański psychiatra niemieckiego pochodzenia Fredric Wertham, uczeń Freuda. Opublikowawszy w 1954 roku

bestseller *Séduction of the Innocent* („Uwiedzenie niewinnego”) Wertham

stanał przed komisją Kongresu, która zajmowała się sprawą cenzury treści

w komiksach. Oświadczył przed nią, że komiksy pełne seksu i przemocy

zamieniają chłopców w morderców.

Tymczasem Billy'ego fascynowali raczej policjanci i złodzieje. Jego

ulubioną książką byli oparci na faktach *The Great Detectives* (Wielcy de-

tektywi”), przygody dwunastu najslynniejszych detektywów w historii.

Uwielbiał detektywa Scotland Yardu, „Obrońcę niewinnych” Roberta

Fabiana, oraz agenta skarbowego i nemezis Al Capone, „Nieomylnego”

Elmera Lincolna Ireya. Jednocześnie fascynację budziła w nim postać

ekstrawaganckiego mistrza kamuflażu z dziewiętnastowiecznego Paryża,

Eugène'a François Vidocq'a.

Vidocq, syn piekarza, urodził się 23 lipca 1775 roku w Arras na po-

łudniu Francji. Zmarł w Paryżu 11 maja 1857 roku, ale mało brakowało,

a zostałby zgilotynowany podczas rewolucji francuskiej. Za rządów Na-

poleona Bonaparte zapracował sobie na miano bohatera

praworządnych  
paryżan, awanturniczego ojca współczesnej kryminologii.  
Billy'emu podobało się zwłaszcza to, że Vidocq jako nastolatek  
był  
nieustraszonym chuliganem o ksywce le Vautrin — Dzik. W wieku  
trzynastu lat zabił człowieka, jako czternastolatek obrabował  
rodziców,  
opuścił dom i wstąpił do armii, z którą ruszył na niekończący się  
szlak  
wojenny. Właśnie w czasie służby Vidocq pokonał piętnastu  
przeciwni-  
ków w pojedynkach, zabił dwóch z nich i ostatecznie  
zdezercerował po  
tym, jak zaatakował oficera. Niespecjalnie się tym przejął. Stał się  
zabójcą,  
56  
oszustem i rozbójnikiem. Uciekał z więzień, uwodził kobiety i  
szpiegował,  
by w końcu zostać niedoścignionym wzorem dla wszystkich  
zachodnich  
detektywów. Billy ego urzekła biografia człowieka, który stał się  
jednym  
z najwspanialszych historycznych symboli przemiany i  
odkupienia.  
Jako siedemnastolatek Billy nie miał żadnych szans dostać się na  
stu-  
dia. Zamierzał zaciągnąć się do wojska, gdzie mógłby bezkarnie  
wdawać  
się w bójki, po czym albo trafić do więzienia, albo zostać  
policjantem.  
Jego ulubionym programem telewizyjnym był serial Detektywi. W  
ka-  
pitana policji Matta Holbrooka wcielał się Robert Taylor — aktor  
do  
złudzenia przypominający ojca Billy ego. Matt dowodził

trzyosobowym oddziałem walczącym o prawdę i sprawiedliwość w wielkim, anonimowym mieście. Trzej detektywi przez cały czas tropili morderców, złodziei i innych przestępców. Wszyscy gorliwie poszukiwali prawdy — prawdy, w którą mogliby uwierzyć. Byli dobrymi przyjaciółmi.

## Rozdział 6

Człowiek, który widział umarłych  
Chłopiec zacisnął pięść, napiął biceps i wyprowadził okrężny cios od dołu prosto w szczękę ojca. Dokładnie tak, jak to sobie wyobrażał. Od piętnastego roku życia podnosił ciężary, marząc o tej chwili. Naprężył mięśnie z myślą, że ojciec już nigdy więcej bezkarnie go nie uderzy. Z ulgą zobaczył, że jego stary się wycofuje. „Teraz możemy się pokochać, jak na ojca i syna przystało”.

Frank dorastał w niebezpiecznej, nadrzecznej dzielnicy Filadelfii. Pewnego dnia natknął się w „Bulletinie” na nagłówek artykułu o dziecku zranionym w pudle niedaleko Fox Chase, zaledwie cztery czy pięć dzielnic na północ od jego domu. Na ulicy zobaczył plakat ze zmarłym chłopcem.

Tyle że Frank nie miał głowy do takich spraw, ponieważ całą energię poświęcał na utrzymanie się przy życiu.

Już jako piętnastolatek zapowiadał się na znakomitego artystę.

Nauczyciele z zazdrością szeptali o jego talencie. Co interesujące,

chłopak

miał obsesję na punkcie Normana Rockwella. Zamieszczane na okład-

kach „Saturday Evening Post” rysunki przedstawiające idylliczne scenki

z życia prowincjonalnej Ameryki były dla Franka oknem na świat. Świat

leżący dosłownie na wyciągnięcie ręki. Od charakterystycznej siedziby

Curtis Publishing Company, wydawcy „Posta”, zlokalizowanej naprze-

ciwko Ratusza, wystarczyło udać się zaledwie kilka, kilkanaście kilome-

trów w górę rzeki Delaware. Frank uwielbiał okładki Rockwella.

Ojciec

w najlepszym garniturze, rozpromieniony na widok matki, która w Święto

58

Dziękczynienia stawia na białym obrusie indyka przed całą rumianą, ty-

powo amerykańską rodziną. Chłopiec, który uciekł z domu, odpoczywa

na stołku w barze; pod nogami położył czerwony tobołek na kiju, obok

niego siedzi policjant w niebieskim mundurze. Sędziowie bejsbolu prze-

rywają mecz z powodu deszczu.

Frank wolał te pogodne rysunki od obrazków typowych dla własnego

życia. Ojciec mechanik wraca z pracy w fabryce, śmierząc maszynami,

które reperował. Ojciec schodzi do piwnicy, aby szyć ręcznie wielkie ża-

gle do jachtów bogatych ludzi. Frank leży w nocy w łóżku i wsłuchuje się



w odgłosy wystrzałów — słyszy i czuje, jak któryś pocisk wbija się w ce-

glaną ścianę domu. Pijany ojciec go bije. Ojciec go bije, bije, bije. Przez wszystkie lata wyobrażał sobie, że stawia mu czoła. Z każdym ojcowskim uderzeniem we Franku wzbierał coraz silniejszy gniew.

W końcu stwierdził, że dłużej nie wytrzyma. Zaczął podnosić ciężary,

starannie planując Cios, który miał naprawić relacje w domu i pozwo-

lić mu wyładować nagromadzony przez lata gniew. Był zdumiony, kiedy

plan zadziałał. Ojciec zaczął go szanować, a on miał szansę skupić się na

rozwijaniu talentu artystycznego, który mógł okazać się przepustką do

lepszego świata.

Frank posiadał niezwykle zdolności, nawet jeśli słabo radził sobie z an-

gielskim czy matematyką. Nie odznaczał się specjalnie giętym umysłem,

ale za to otrzymał w darze zręczne dłonie, którymi potrafił szkicować,

malować i rzeźbić otaczające go piękno, oraz oczy, które pozwalały mu

to wszystko dostrzec. Rysował od piątego roku życia. Już wtedy wydawa-

ło się, że dysponuje szóstym zmysłem, ale nawet jako małe dziecko wie-

dział, że nie powinien o tym nikomu opowiadać. Czasami miał wrażenie,

że dostrzega zdarzenia z przeszłości i przyszłości. Mimo tych talentów, aż

kipiał od gniewu.

Niedługo po znokautowaniu ojca Frank, wówczas uczeń drugiej

klasy  
szkoły średniej, zdobył złoty medal na miejskiej wystawie sztuki  
zorgani-  
zowanej w domu towarowym Gimbels. I wtedy zdarzyło się coś  
niewy-  
obraźnego — na prace młodego artysty zwrócił uwagę Walter  
Stuempfig,  
wybitny dwudziestowieczny malarz, przedstawiciel realizmu,  
porówny-  
wany do Edwarda Hoppera i Starych Mistrzów. Stuempfig  
zaoferował

59

Frankowi pięć dolarów za obraz i zachęcił go do ubiegania się o  
stypen-  
dium na pensylwańskiej Akademii Sztuk Pięknych. W przeszłości  
ukoń-  
czyli ją Thomas Eakins i Mary Cassatt, a Stuempfig wykładał tam  
od  
czterdziestu lat. Cała sytuacja jedynie rozdrażniła Franka. Nie  
zobaczył  
na oczy przyrzeczonych przez Stuempfiga pięciu dolarów, a po  
wystawie  
nie zwrócono mu wszystkich obrazów, więc wpadł w złość i wypiął  
się na  
akademię, stypendium i cały artystyczny świątek. „Chciałem  
malować ob-  
razy, ale nie chciałem, aby ktoś je później wieszał na ścianie”.  
Zaciągnął się  
do marynarki i na pokładzie statku odkrył, że odziedziczył po ojcu  
zdol-  
ności techniczne. Mimo to obsesyjnie rysował kolegów, którzy  
pracowali  
z nim w maszynowni.  
Dwa lata później wrócił do domu i będąc bez grosza przy duszy,  
za-

trudnił się jako fotograf w studiu Georgea Farghana na rogu  
Dziewięt-  
nastej i Arch Street. Szczupły, brązowooki, kędzierzawy blondyn,  
artysta  
o zahartowanym ciele boksera wagi lekkiej, robił zdjęcia i sam  
bywał mo-  
delem. Zasmakował w przyjemnościach życia i intuicyjnie  
opanował sztu-  
kę uwodzenia. Kobiety rzucały mu się w ramiona jedna za drugą.  
Pozował do zdjęć do rubryki poświęconej modzie w gazecie  
„Phila-  
delphia Inquirer”. Na jednej z fotografii, otoczony wianuszkami  
dziew-  
czą, wychylał się z okna swojego plymoutha rocznik 1947. W  
„Reader's  
Digest” w przebraniu rogatego diabła wypuszczał na scenę  
uczestniczki  
konkursu Miss America.  
„Zachowywałem się jak dziecko wpuszczone do sklepu z  
zabawkami”,  
wspominał. „Poznawałem dziewczyny w barach i innych  
miejscach. Na  
okrągło uprawiałem seks. Prawdę mówiąc, nigdy nie musiałem  
się do tego  
specjalnie przykładać. Panny i mężatki podrywały mnie równie  
często,  
jak ja podrywałem je. Wystarczyło, że obie strony miały ochotę.  
Wypró-  
bowałem tylne siedzenia bardzo wielu samochodów”.  
Jasnowłosy fotograf oferował modelkom pełen wachlarz usług:  
przy-  
gotowanie portfolio, zdjęcia portretowe twarzy i spontaniczny,  
bezinte-  
resowny seks. Pewnego dnia z nudów spisał na kilku kartkach  
wszystkie

schadzki: imiona, ewentualnie tylko charakterystykę walorów fizycznych.

Wyszło mu, że uprawiał seks ze stu sześćdziesięcioma pięcioma kobietami.

Miał dwadzieścia sześć lat.

60

Niedługo po sporządzeniu listy jeden z przyjaciół przedstawił go Jan

Proctor, siedemnastoletniej, szczupłej, ładnej blondynce — tancerce ero-

tycznej, która uciekła z rodzinnych przedmieść i wiodła samodzielne ży-

cie w centrum Filadelfii. Jan miała dziecko, małą Lisę, ale nie wiedziała,

kto jest ojcem. Opuszczając dom, ukradła wszystkie pieniądze z portfela

ojca i zostawiła Lisę pod opieką rodziców.

Teraz chciała rzucić pracę striptizerki i zostać modelką — potrzebowa-

ła portfolio. Była inteligentna i wygadana. Jak się okazało, dorastała w tej

samej dzielnicy co Frank: w wybudowanych nad rzeką szeregowych do-

mach robotniczego Kensington.

Frank się zakochał.

Był rok 1968, lato miłości. „Jan była szalona”, wspominał Frank. „I go-

towa na wszystko: seks, narkotyki, co tylko można sobie wyobrazić”. Była

dość dzika, by zaspokoić jego nienasycony popęd seksualny.

Rok później, podpuszczeni przez przyjaciela, dla żartu pobrali się w Halloween — w idealnym dniu do zalegalizowania związku

dwóch

tak diabolicznych osobowości. Po ceremonii kościelnej udali się

do osła-

wionego Baru 7A w Kensington (miejsca narodzin legendarnego gangu filadelfijskich włamywaczy K&A), oddalonego zaledwie o jedną przecznicę od przyszłego „Pałacu Horrorów” seryjnego mordercy Gary’ego Heidnika. Wesele skończyło się pościgiem policji za pijanymi uczestnikami wokół nagrobków na cmentarzu Laurel Hill. Frank zaprowadził tam gościa z sentymentu — kiedyś pomagał wujowi kopać groby. Aby upamiętnić ślub, namalował upiorny gotycki obraz przedstawiający przykościelny budynek otoczony przysypanymi śniegiem nagrobkami. Po ślubie z Jan musiał się ustatkować. Urodziła im się córka, Vanessa. Kupili zdewastowany budynek, w którym w XIX wieku mieścił się zakład rzeźniczy i skład mięsny. Mimo rodzinnej sielanki Frank nie przestał spotykać się z innymi kobietami, choć znacznie ograniczył liczbę kochanek. „Po ślubie miałem ich znacznie mniej”. Dojrzewał, a zamiast krótkotrwałych schadzek z przypadkowymi kobietami zaczął się regularnie spotykać z kilkoma dobrymi przyjaciółkami. „Wszystkie romanse miałem z dziewczynami i kobietami, z którymi wzajemnie się wspieraliśmy. Skończył się czas jednorazowych przygód. Jan twierdziła, że moje przyjaźnie z kobietami stały się głębsze — dzięki seksowi. Zawsze

zachęcała mnie,  
abym spotykał się z jedną czy dwiema przyjaciółkami. Cieszyło ją,  
że  
w ten sposób ma więcej czasu dla siebie. Lubiła, kiedy znikiałem  
na kil-  
ka dni z domu".  
Jan wymagała jedynie, by Frank przyprowadzał kandydatki na ko-  
chanki do domu, aby mogła je zaaprobować. „Jan mówiła: «Ta i  
ta mi się  
podooba, przyprowadź ją przy najbliższej okazji»", wspominał  
Frank. „Ni-  
gdy nie umawiałem się z kobietą, której Jan nie zaakceptowała".  
Nie zaprotestowała, gdy Frank przedstawił jej swoją asystentkę  
Joan,  
wysoką, młodszą od Jan blondynkę z obfitym biustem. Joan  
została póź-  
niej również jego księgową oraz impresario, a we wtorkowe  
wieczory z re-  
gularnością szwajcarskiego zegarka uprawiała z Frankiem seks w  
jego  
domu. „Jan naprawdę lubiła Joan", wyjaśniał Frank. „Mówiła:  
«Może  
byście tak pojechali na kilka dni nad morze?»". Sprawiała  
wrażenie za-  
dowolonej, że udało się znaleźć poukładaną, kompetentną  
kobietę, któ-  
ra pomagała zaspokajać nienasycone potrzeby artystyczne i  
seksualne jej  
męża. Z kolei Joan nie zamierzała podważać roli Jan jako pani  
domu  
i żony Franka. Była jednak potwornie zazdrosna o pozostałe,  
przelotne  
miłostki Franka.  
Idylla młodych małżonków szybko się skończyła. Rodzice Jan  
przypro-

wadzili sześciolletnią Lisę na werandę Benderów. Wręczyli matce wszystkie ubrania córki i historię przebytych chorób, po czym oświadczyli: „Sama się nią zajmij. My się rozwodzimy”. W jednej chwili „z imprezowiczki i tancerki erotycznej musiała stać się stuprocentową matką”, opowiadał Frank. „Całe serce włożyła w wychowanie dzieci i kierowanie domem”. Ale skromne dochody pracującego dorywczo fotografa nie starczały na utrzymanie dwójki dzieci. Benderowie nieustannie byli bez grosza. Frank zapisał się na kursy wieczorowe, żeby reaktywować karierę artystyczną. Uczęszczał na darmowe, finansowane przez Urząd do spraw Kombatantów zajęcia na Akademii Sztuk Pięknych. Uczył się malarstwa i rysunku u cenionego artysty Arthura De Costy. Ten zachęcił go do lekcji rzeźby, co miało mu pomóc w zrozumieniu formy ludzkiego ciała i korzystnie wpłynąć na pozostałe obszary aktywności artystycznej. Frank miał jednak kłopoty z uchwyceniem odpowiednich proporcji

62

tworzy. Akademia nie oferowała wieczorowych kursów anatomii, a ponieważ Frank nie miał pieniędzy na płatne dzienne zajęcia, poprosił o pomoc przyjaciela, Barta Zandla, który w miejskiej kostnicy pobierał odciski palców nieboszczyków. Frank zaproponował, że przygotuje

portfolio jed-  
nej z ulubionych striptizerek Zandla, jeżeli ten oprowadzi go po  
kostni-  
cy. Zandel się zgodził.  
Frank przybył do dwupiętrowej kostnicy na University Avenue  
uzbro-  
jony w szkicownik i suwmiarkę. Był podekscytowany, ponieważ  
jak sam  
Michał Anioł, miał się uczyć anatomii na prawdziwych ludzkich  
cia-  
łach — ich skórze, kościach i narządach. Kiedy władze kościelne  
zakazały  
Michałowi Aniołowi prowadzenia badań zwłok, wyprosił od  
przyjacie-  
la klucz do kościelnej kostnicy i zakradał się do niej nocami,  
uzbrojony  
w świecę oraz rzeźnicki nóż, by studiować wewnętrzną budowę  
człowieka.  
Ledwie Zandel zaczął prowadzić go przez pozbawione okien  
pomiesz-  
czenia wypełnione zimnym powietrzem o mdląco słodkiej woni,  
Frank  
zrozumiał, że popełnił straszliwy błąd. Otaczały go porozkładane  
na me-  
talowych stołach ciała: nabrzmiące od chorób, poszarpane od  
noży i kul,  
zgniecione w kraśkach samochodowych, nadjedzone przez  
zwierzęta, czy  
też w inny sposób naruszone przez czas i rozkład. W sali, gdzie  
przeprowa-  
dzano sekcje, zobaczył mężczyznę, któremu pociąg odciął nogi  
na wysoko-  
ści ud. Uniósł białe prześcieradło przykrywające zwłoki kobiety i  
zamarł  
z szeroko otwartymi ustami. Zamiast ciała znajdowały się tam trzy



waliz-

ki — ofiara morderstwa została pokrojona na kawałki, które zapakowano

do walizek i rozstawiono wzdłuż autostrady New Jersey Turnpike.

Żadna

część ciała nie nadawała się do naszkicowania.

W tej samej sali zobaczył wiszący na haku tułów — zdjęto z niego skó-

rę i rozcięto żebra. Zastępca lekarza sądowego włożył dłoń do jamy klatki

piersiowej i mrugnawszy w stronę Franka, zaczął nią obracać, jakby czegoś

w środku szukał. Frankowi wydawało się, że trafił do jakiegoś koszmaru

sennego. „To nie jest odpowiednie miejsce na lekcję anatomii”, pomyślał.

A jednak chwilę później zafascynowało go ciało leżące na stole w chłod-

ni. Do palca u nogi przypięto kartkę z numerem 5233. Krępa, biała kobieta

po pięćdziesiątce z ufarbowanymi włosami. Nie zdołano jej zidentyfiko-

wać. Ciało w stanie zaawansowanego rozkładu znaleziono 16 października

63

1977 roku na polu nieopodal filadelfijskiego lotniska. Miała na sobie gar-

sonkę w jodełkę i białą bluzkę — a w czaszce trzy otwory po kulach. Frank

przyglądał jej się uważnie. Pociski roztrzaskały jedną stronę czaszki; ranę

oblepiała masa zakrzepłej krwi i włosów. Ani odciski palców, ani listy

osób zaginionych nie pomogły w identyfikacji.

Zabójstwo wyglądało na robotę zawodowca. Zandel zaszył

rozerwa-  
ną skórę.

— Tej sprawy nigdy nie rozwiążemy — powiedział. — Nie wiemy nawet, jak wyglądała, prawda?

Frank widział jednak wyraźnie okrągłą, zapadniętą od starości twarz,

wąski nos i usta. W oczach kobiety dostrzegał spokój.

— Ja wiem — wypalił. — Wiem, jak wyglądała.

Słowa te usłyszał doktor Halbert Fillinger, zastępca lekarza sądowego,

który wcześniej grzebał w klatce piersiowej zawieszonych na haku zwłok.

Sprawa niezidentyfikowanej kobiety przypadła właśnie jemu i to on za-

wyrokował, że jej tożsamości nie sposób ustalić.

— Czy się nie przesłyszałem? Stwierdziłeś, że wiesz, jak wyglądała ta kobieta?

— Zgadza się — przytaknął Frank. — Widzę jej twarz na czaszce.

Fillinger taksował wzrokiem młodego śmiałka.

— Zajmowałeś się kiedyś artystyczną rekonstrukcją twarzy? Frank pokręcił głową.

— Nie wiem nawet, co to takiego.

— W takim razie musisz spróbować.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę. Fillinger narzekał, że seriale tele-

wizyjne w rodzaju Quincy M.E. z Jackiem Klugmanem w roli zastępcy

głównego lekarza sądowego Los Angeles sprawiają, iż widzowie nabierają

mylnych wyobrażeń na temat tempa i łatwości rozwiązywania podobnych

spraw. W rzeczywistości wiele śledztw prowadzi donikąd, często

właśnie

z powodu niemożności ustalenia nazwiska ofiary.

— Jeżeli zdołasz nam pomóc w ustaleniu jej tożsamości, być może uda

nam się złapać mordercę. Masz ochotę spróbować?

Frank przytaknął.

— Nie możemy ci zapłacić.

64

— W porządku.

Fillinger poprosił Franka, żeby spróbował pokazać, jak wyglądała za-

strzelona kobieta.

— Jeszcze nigdy nie udało mi się niczego wyrzeźbić do końca

— wy-

znał Frank. W akademii studenci wyrzucali nieukończone rzeźby pod ko-

niec każdych zajęć. — Ale spróbuję.

— To dobrze. Przyjdź w piątek o północy. Będę miał zmianę cmen-

tarną.

Ukończenie rzeźby zajęło Frankowi osiem godzin. W kostnicy zmierzył

czaszkę i wykonał ogólny szkic twarzy. W akademii zasięgnął rady na-

uczyciela rzeźby co do technik potrzebnych do wykonania zadania. Pra-

cując nocami, stworzył z gliny popiersie. Zaczął od kości, później wykonał

gipsową formę, pomalował twarz, a na czaszce umieścił perukę z ciemno-

blond włosów. „Widziałem dokładnie każdy rys”, wspominał.

„Potrafiłem

dostrzec, jak forma jednej części twarzy wpływa na pozostałe ”.

Zaniósł

popiersie do kostnicy w piątek po północy.

Filadelfijska policja nigdy wcześniej nie korzystała z gipsowej rekonstrukcji twarzy, niemniej jednak dzieło Franka sfotografowano, a zdjęcie rozesłano do lokalnych mediów. Wydrukowano je również w broszurce z listą osób zaginionych, kolportowanej do wydziałów policji na wschodnim wybrzeżu.

Ciało numer 5233 nadal spoczywało w kostnicy. Nie miał go kto ani opłakać, ani pochować. Jakaś filantropka zaofiarowała się, że odda „bi-dacze” własne miejsce na cmentarzu, aby nie skończyła w zbiorowej mogi-le. Pięć miesięcy później oficer śledczy z New Jersey podczas przeglądu raportów o osobach zaginionych zwrócił uwagę na uderzające podobieństwo niezidentyfikowanej ofiary morderstwa z Filadelfii do kobiety, której zaginięcie zgłosiła policja chicagowska.

Anna Mary Duval, lat sześćdziesiąt dwa, opuściła Chicago przez port lotniczy Chicago O'Hare 15 października. Jej krewni nie znali celu podróży. Władze szybko potwierdziły, że zwłoki numer 5233 znalezione przy filadelfijskim lotnisku rzeczywiście należą do kobiety, która wsiadła na pokład samolotu w Chicago. Policja nie zdołała ustalić, kto sprowadził ją do

65

Miasta Braterskiej Miłości, gdzie nie miała żadnych znajomych, ani kto

i dlaczego ją zamordował. Niemniej jednak w końcu ją zidentyfikowano — dzięki artystycznej wizji Bendera. Fillinger był pod ogromnym wrażeniem wyczynu młodego rzeźbiarza. Policja od lat korzystała ze szkiców wykonywanych przez artystów, ale bez większych sukcesów. Tymczasem w wyobraźni chłopaka, który skończył ledwie szkołę średnią i nie znał terminu „medycyna sądowa”, zrodziło się trójwymiarowe odwzorowanie głowy ofiary. Bender miał dar, którego ani on, ani nikt inny nie potrafił do końca wyjaśnić. Dokonał pierwszej identyfikacji i od razu zrobiło się o nim głośno. Po kilku dniach zaczęły do niego spływać listy z wydziałów policji w całym kraju: wszyscy chcieli zamówić popiersia niezidentyfikowanych ofiar morderstw. Miał wrodzony talent. Żona była z niego niezwykle dumna. Nowe zajęcia przynosiło im dochód, ale w domu — w którym mieszkali przecież dwie małe dziewczynki — dochodziło co rusz do makabrycznych sytuacji. Głowy wystawały z pudełek po butach i chłodziarek na piwo. Najgorszy był przeraźliwy odór gotowanych czaszek, który natychmiast rodził myśli o padlinożernych żukach. Kiedyś robaki zaczęły wypełzać z piekarnika ich starej kuchenki. Jan otworzyła drzwiczki i zobaczyła czaszkę jakiegoś marynarza z rosyjskiego statku Corinthus. Frank uznał, że pół

godziny  
grzania wysuszy ją na tyle, aby mógł zacząć oblepiać ją gliną.  
„Frank!”  
wrzasnęła Jan. „Zabierz z piekarnika tę pieprzoną czaszkę i  
wynoś się do  
matki”. Uwielbiał opowiadać tę anegdotkę.  
Jan również nie słyszała wcześniej o artystycznej rekonstrukcji  
twarzy  
na potrzeby medycyny sądowej. Wystraszona nowym  
powołaniem męża,  
poszła do biblioteki, aby dowiedzieć się czegoś na ten temat. Z  
dumą od-  
kryła, że słynni europejscy rzeźbiarze zajmowali się dokładnie tym  
samym.  
Napisała „plastyka sądowa” na karteczce papieru i przykleiła ją do  
lo-  
dówki.

## Rozdział 7

Cienie mrocznego rycerza

Na wschodnich krańcach Gór Kaskadowych, dwieście  
czterdzieści ki-

lometrów od Seattle, leży miasto wciśnięte między dwie rzeki i  
strome,

prastare zbocza. Nad rzeką rozciągają się sady jabłoniowe oraz  
winni-

ce. Suchy, słoneczny klimat tamtych okolic przypomina francuski  
region

Bordeaux. W roku naznaczonym rekordowo obfitymi zbiorami  
jabłek od-

miany Granny Smith do miasta zszedł z gór wielki mężczyzna,  
niosąc na  
rękach dziecko skąpane we krwi.

Była jesień, w powietrzu unosił się zapach palonego drewna i  
dojrze-

wających jabłek. Mężczyzna szedł wzdłuż równo przyciętych

trawników

przy Eleventh Street. Chłopiec płakał i szarpał mężczyznę za koszulę, pró-

bując wyrwać się z jego objęć. Mógł mieć dziesięć lat, ale szerokie ramio-

na trzymały go w mocnym uścisku, jakby niosły kosz świeżo zerwanych

owoców. Mężczyzna niespodziewanie zatrzymał się, uśmiechnął i mocno

przycisnął dziecko do piersi. Chłopiec zamilkł i przestał się ruszać.

Pucułowaty dziesięcioletni Richard Walter siedział na fotelu wspina-

jącego się powoli na wzgórze dodge'a rocznik 1965. Prowadziła jego mat-

ka, Viola. Wracała z synem ze szkoły do domu. W pewnej chwili zwolniła

i zatrzymała się przy krawężniku, gdzie stał mężczyzna.

Na widok samochodu mężczyzna zaczął płakać.

— Niech pan wsiada — rozkazała. — Zawiozę was do szpitala.

Mężczyzna z zakłopotaniem skinął głową i wraz z zakrwawionym dzieckiem włądował się na tylne siedzenie.

67

Naciskając pedał gazu, Viola spojrzała we wsteczne lusterko.

— Powiedz, co się stało, Sonny. Co ci zrobił? Skrzywdził cię?

Chłopiec jęknął.

— No śmiało. Przy mnie nie musisz się bać.

— Tatuś mnie zbił — załkał chłopiec.

„Ciekawe”, pomyślał Richard. Siedział tyłem do kierunku jazdy i przy-

glądał się mężczyźnie i chłopcu z takim skupieniem i uwagą, jakby obser-

wował mrówki w formikarium. Dojechali do szpitala. Chłopca zaniesiono

natychmiast do izby przyjęć, tymczasem Viola zdała relację

lokalnemu

szeryfowi. Mężczyzna chwilę wcześniej niepostrzeżenie opuścił budynek.

— Synu — zwrócił się szeryf do Richarda. — Chodź, pomożesz mi go

znaleźć. No, ruszaj.

„Super”, pomyślał Richard. Wsiedli do radiowozu i ruszyli na poszu-

kiwania. Richard pomógł szeryfowi zidentyfikować mężczyznę, które-

go zaraz potem aresztowano. Później śledził przebieg procesu w gazetach.

Okazało się, że człowiek ów tak mocno wykręcał swojemu synowi ręce,

że obie złamał. Później próbował jeszcze połamać chłopcu nogi, ale mu

się to nie udało. Mężczyzna był sadystą: torturowanie dziecka sprawia-

ło mu przyjemność.

Wtedy Richard po raz pierwszy pomógł w ujęciu psychopaty. „Ale od-

jazd”, myślał. Było to odrażające, ale i fascynujące zarazem.

Przez całe wcześniejsze życie towarzyszyło mu poczucie wyobcowa-

nia. Miał słaby kontakt z surowym ojcem, Irwinem, Amerykaninem nie-

mieckiego pochodzenia, który przez trzydzieści pięć lat pracował jako

kierownik warsztatu wymiany opon. Jego jedyne z czwórki rodzeń-

stwa — miał dwie siostry i brata, który został kierowcą ciężarówki — nie

ciągnęło do sportu, miał za to słuch absolutny — znakomicie grał na for-

tepie i potrafił śpiewać anielskim głosem. Zamiast na festyn z



okazji

dożynek wolałby pójść do opery na Traviatę.

Dopiero dzięki matce poznał mroczny, operowy świat skryty za fasadą

sennego, typowo amerykańskiego miasteczka. Viola Walter była gospo-

dynią domową, wspaniałą, niepowtarzalną, inteligentną kobietą.

Sąsiedzi

szli z problemami do niej, a nie na policję. Pewnego wieczoru po kolacji

do Violi zadzwoniła młoda kobieta. Jej mąż siedział w fotelu, ale zamiast

68

gazety położył sobie na kolanach naładowany pistolet. Groził, że się za-

strzeli. Z godziny na godzinę mówił coraz bardziej podniesionym głosem.

— Mogłaby pani przyjść? — błagała przerażona kobieta.

Viola Walter wpadła do salonu, wyrwała mężczyźnie naładowany pi-

stolet z ręki i krzyknęła: „Do diaska, postradał pan zupełnie rozum?”.

Przez następne pół godziny rugała go za brak wyobraźni i wystraszenie

kochającej żony. „Świat jest piękny, życie cenne; czas, by pan to wreszcie

zauważył”, pouczała go. Bezdzielne wówczas małżeństwo dochowało się

potomstwa. Wiele lat później na pogrzebie mężczyzny jego dzieci i wnuki

dziękowały Violi. Zdołała zapobiec jeszcze kilku samobójstwom.

Richard zainteresował się przestępczością i zdał na psychologię na

Stanowym Uniwersytecie w Michigan. Okazał się świetnym studentem,

który ustanowił rekord szkoły, kończąc jedenaście kursów w jednym semestrze — o siedem więcej niż statystyczny student — ze znakomitą średnią ocen 3.8/4. „Człowiek powinien stawiać sobie wyzwania”, uzasadniał to osiągnięcie z nutką zarożumiałości w głosie. Na zajęciach poświęconych Szekspirowi odkrył w sobie dar pozwalający mu zagłębiać w mroczne zakamarki duszy. Spierał się z wykładowcą, twierdząc, że targany wątpliwościami Hamlet zwlekał z pomszczeniem ojca, ponieważ był rozdarty, sceptycznym człowiekiem nowych czasów. „Hamlet zachowuje się jak genialny psychopata: udaje głupca, ale mimo biernej postawy kontroluje wszystkie wydarzenia dramatu, aż do finałowej zemsty. Na jego miejscu postąpiłbym identycznie!”. W 1975 roku został na krótko psychologiem klinicznym w prestiżowym Cedars-Sinai Medical Center, później pracował przez jakiś czas w kostnicy hrabstwa Los Angeles. Jego szefem był Thomas Noguchi, który przeprowadził sekcję zwłok Marilyn Monroe, Roberta F. Kennedy'ego, Sharon Tate, Janis Joplin i Johna Belushiego. Aby poradzić sobie psychicznie z uczestnictwem w setkach sekcji zwłok i otworzyć się na potworności związane ze śmiercią i morderstwami, musiał opanować sztukę sprawowania całkowitej kontroli nad emocjami-

mi. Pewnego ranka Richard otrzymał telefonicznie informację o śmierci ojca. Odłożył słuchawkę, ubrał się, zawiązał krawat, wyszedł z domu i stał się punktualnie na zebranie pracowników kostnicy. Tak się złożyło, że

69

akurat tego dnia jedna z koleżanek zapytała podczas przerwy, czym zajmuje się jego ojciec. „Mój ojciec nie żyje”, odparł z całkowitym spokojem Walter. „Tak mi przykro. Kiedy zmarł?”, spytała zaskoczona. „Dziś rano, mniej więcej dwie godziny temu”. Zebranie dobiegło końca. Walter wrócił do laboratorium. Tego wieczora spojrzął w lustro — był wstrząśnięty chłodem, który zobaczył we własnych oczach. Nie odczuwał nic. „Mocno się tym przestraszyłem”, wspominał. Zrozumiał wtedy coś, co w późniejszych latach mieli mu wbijać do głowy ludzie, od których uczył się sztuki prowadzenia śledztwa. „Kto walczy z potworami, ten niechaj baczy, by sam przytem nie stał się potworem”, pisał Fryderyk Nietzsche. „Gdy zaś długo spoglądasz w bezdeń, spogląda bezdeń także w ciebie”<sup>\*</sup>. Aby nie zapomnieć, że świat jest pełen piękna, Walter zaczął namiętnie kolekcjonować dzieła sztuki — wspaniałe bibeloty z Chin i dziewiętnastowiecznej Francji. Niemniej jednak makabryczna rzeczywistość kostnicy

już go wciągnęła. Postanowił zrezygnować z bardziej prestiżowej kariery

psychologa klinicznego i został psychologiem więziennym.

„Snobizm od-

grywa ważną rolę w świecie psychologów, a na więzienne posady trafiają

rzekomo ci najgłupszy i najbardziej leniwi”, tłumaczył. „Nie wiem, czy to

prawda. Ja po prostu postanowiłem robić to, na co miałem ochotę i co za-

spokajało moje potrzeby. Na pewno nie sprawiłoby mi

przyjemności wy-

słuchiwanie bajan neurotycznych gospodyń domowych na temat potrzeb

seksualnych ich kotów”.

W maju 1978 roku wyjechał na mroźny Półwysep Górny w stanie Michigan, gdzie miał pracować jako psycholog w starym więzie-

niu w Marquette nad Jeziorem Górnym. Zakład mieścił się w potężnej,

wzniesionej w romańskim stylu budowli, której kamienne mury miały

półtora metra grubości. Trafiali tam najbardziej agresywni przestępcy

z całego Michigan.

W zimie dzień trwał zaledwie osiem godzin, a ziemię pokrywała cztero-

metrowa warstwa śniegu. Mieszkańcy spędzali wolny czas w nadbrzeżnej

restauracji, zajadając się pasztecikami z mięsem i obserwując frachtowce

\* F. Nietzsche, Poza dobrem i złem, tłum. S. Wyrzykowski, Kraków 2010, s. 78.

70

przedzierające się przez zmarznięte wody jeziora. Walter miał

poczucie, że  
znalazł się w najbardziej ponurym, wymarłym miejscu na Ziemi.  
Naczelnik więzienia wręczył mu plan zajęć terapeutycznych.  
Każde-  
go dnia miał przeprowadzać sesje z sześcioma więźniami.  
Mordercami,  
gwałcicielami, pedofilami i sadystami. Przed laty za swoje  
zbrodnie trafili  
do więzienia, ale dopiero za przestępstwa popełnione już za  
kratkami —  
atak z nożem na strażnika, wydłubanie współwięźniowi oka  
łyżeczką,  
wszczęcie buntu — wysłano ich do tego najcięższego ze  
wszystkich za-  
kładu karnego.  
Przeważnie byli to psychopaci, znacznie przebieglejsi od  
prawników  
z Wall Street. Starali się go oczarować, zwieść lub zastraszyć.  
Próbowali  
mu wmówić, że przeżyli nawrócenie religijne. Grozili, że go  
uduszą, wytną  
mu serce i na nie naszczają, że zjedzą jego nerki. Próbowali go  
zaszokować.  
Jak choćby mężczyzna, który przyszył swoim dzieciom powieki do  
brwi,  
po czym oddał mocz na ich twarze. Albo pedofile, którzy mieli na  
koncie  
setki ofiar. Platon powiedział, że istnieje tylko kilka sposobów  
czynienia  
dobra, ale nieskończenie wiele czynienia zła. Walter poznał każdy  
z nich.  
Wysłuchiwał ich z kamienną twarzą. Miał ocenić, którzy  
więźniowie  
są nieuleczalnymi potworami stanowiącymi zagrożenie dla siebie  
oraz

społeczeństwa, a którzy mają w sobie resztki dobra dające nadzieję na poprawę. Nie mógł sobie pozwolić na pomyłki — w grę wchodziło ludzkie życie. Codziennie toczył z więźniami pojedynki psychologiczne. Niektórzy byli inteligentni, robili pozytywne wrażenie, pochodzili z dobrych rodzin i mieli wysoki iloraz inteligencji. Inni byli wytatuowanymi monstrami i już na sam ich widok człowiekowi przechodziły ciarki po plecach. Mówił im: „Postawmy sprawę jasno. Siedzisz w więzieniu, ponieważ twoi sąsiedzi nie chcą, żebyś włamywał im się do domu i gwałcił ich kota”.

Pracował w niewielkim, prostokątnym pokoju o betonowych ścianach, wyposażonym w zniszczone biurko, starą metalową szafę na dokumenty oraz drewniane krzesło przeznaczone dla pacjentów. W gabinecie wisiał jeden obraz przedstawiający kwiat. Okno wychodziło na port służący do przeladunku rudy żelaza. Była to jedna z najzimniejszych,

71

najbardziej zaśnieżonych i najmniej słonecznych miejscowości w Stanach

Zjednoczonych.

— Jak dla mnie idealne miejsce — stwierdził.

— Cóż za koszmarna posada — nie mógł się nadziwić jego przyjaciela.

— Naprawdę mieszkałeś wcześniej w Los Angeles?

— Tego mi właśnie potrzeba.

Nie mógł sobie wyobrazić lepszego laboratorium do badania zła.

Rozdział 8

Strażnicy miasta

Salę w budynku First Fédéral Bank przy Castor Avenue i Cottman Ave-

nue w północnowschodniej Filadelfii wypełniał tłum miejscowych i przy-

byłych z New Jersey żydowskich policjantów.

Agent federalny William Fleisher, jeden z najbardziej prominentnych

Żydów w szeregach filadelfijskiej policji, przedstawił kolegów, którzy mieli

tego wieczoru zaprezentować kilka nierozwiązanych śledztw w sprawie

morderstw. Rzeczą miała miejsce na comiesięcznym spotkaniu Shomrim —

po hebrajsku „strażników” — ogólnokrajowego stowarzyszenia żydow-

skich policjantów. Wyrażana w tak zorganizowany sposób jedność miała

praktyczne podłoże: na komendach wciąż używano w odniesieniu do nich

pogardliwego określenia kike. Jako przewodniczący filadelfijskiej sekcji

Shomrim, Fleisher walczył z dyskryminacją funkcjonariuszy, których ple-

miennie nastawione środowisko policyjne pomijało przy awansach tylko

dlatego, że należeli do rodu Abrahama.

Fleisher był zastępcą dyrektora Urzędu Celnego w Filadelfii, jedne-

go z najbardziej wpływowych agentów federalnych w środkowej czę-

ści Wschodniego Wybrzeża. Do jego kompetencji należało zwalczanie

przestępczości i przemytu narkotyków w portach i na lotniskach oraz na

morskich i lądowych granicach trzech stanów. Zarządzał budżetem wynoszącym osiem milionów dolarów, setką urzędników oraz sześćdziesięcioma pięcioma agentami specjalnymi w oddziałach w Filadelfii, Pittsburghu, Harrisburgu (stolicy Pensylwanii), Wilmington w stanie Delaware oraz

73

agentami terenowymi w New Jersey. W strukturze służb federalnych zajmował pozycję równorzędną pułkownikowi.

W 1984 roku — kiedy doszło do opisywanego tu spotkania Shomrim — Fleisher był już legendarną postacią, która na trwałe zapisała

się w historii służb federalnych. Po dwóch latach spędzonych w armii

(„najbardziej opatrnościowy błąd, jaki popełniłem w życiu”) — gdzie

bezwzględny młodszy chorąży John Baylin zrobił z niego mężczyznę —

wrócił do domu i zdobył tytuł magistra socjologii na filadelfijskim Temple

University. Liczył, że zrobi wrażenie na ojcu, absolwencie tej uczelni — na

próżno. Po ukończeniu studiów poszedł za głosem serca i wstąpił do poli-

cji. Nie zaimponował ojcu również i tym, mimo że w przyszłości miał zo-

stać jednym z najlepszych funkcjonariuszy w Filadelfii.

Po trzech latach patrolowania ulic i służby na stanowisku kaprala do-

stał się do FBI, został agentem specjalnym i zyskał opinię nieustraszonego

pogromcy mafii w Bostonie, Detroit, Filadelfii i Nowym Jorku.



Wyspecjalizował się w prowadzeniu badań wykrywaczem kłamstw i w przesłuchiwaniu podejrzanych. Stworzył gigantyczną siatkę informatorów, w skład której wchodził alfonsi, dziwki, politycy i odźwierni. Z każdego potrafił wydobyć potrzebne informacje. Podczas przesłuchań zmieniał osobowość niczym kameleon: grał dobrego wujka, bezwzględnego śledczego, wierne- go przyjaciela, mądrego rabina, wesołka. Zdarzyło mu się popłynąć z tajną misją na rejs po Karaibach — jako zawodowy komik. Wsadził załogę za kratki za przemyt. Fleisher przeniósł się z FBI do Urzędu Celnego, ponieważ agenci mieli tam więcej swobody, a razem z żoną, która była wtedy w ciąży z ich pierwszym dzieckiem, chcieli zamieszkać w rodzinnych stronach. Po trzyletniej służbie w Waszyngtonie Fleisher mógł wrócić do domu dzięki awansowi na ważne stanowisko zastępcy agenta specjalnego kierującego filadelfijskim oddziałem Urzędu. Zamieszkali pod Filadelfią, w Cherry Hill w stanie New Jersey, w jednopiętrowym domu z pięcioma sypialniami. W niektóre wtorki Fleisher występował jako komik w hotelu Holiday Inn. Wydawało się, że wszystko układa się po jego myśli. Fleisher w miarę powiększania się zakresu jego odpowiedzialności na-

bierał coraz słuszniejszej postury. Ten niegdyś szczupły agent FBI w wieku 74 pięćdziesięciu lat przemienił się w korpulentnego mężczyznę, który prze- siadywał głównie za biurkiem. Miał metr siedemdziesiąt cztery, ważył sto trzynaście kilo, ubierał się w eleganckie włoskie garnitury i zapuścił bro- dę godną starotestamentowego proroka. Lubił ekstrawagancję: w kieszon- kę koszuli z wyhaftowanymi literami WLF wtykał złote pióro Montblanc, na małym palcu nosił pierścionek (na wzór znajomych Żydów, bohaterów z czasów dzieciństwa), miał nieposkromiony apetyt i słynął z ciętego języ- ka. Tusza Fleishera niepokoiła jego lekarza i żonę, tymczasem sam zainte- resowany żałował tylko, że brzuszysko nie pozwala mu nosić przy pasie, na kowbojską modłę, oficerskiego pistoletu Smith & Wesson kaliber .38, jak to miał w zwyczaju czynić za młodu, gdy był aroganckim agentem FBI — dwadzieścia lat i czterdzieści pięć kilogramów wcześniej. Nie zapomniał o marzeniach z czasów młodości. Wciąż czerpał inspi- rację z komiksów i seriali telewizyjnych o detektywach — współczesnych błędnych rycerzach. Lubił z tego żartować, ale całkiem poważnie twier- dził co innego: „Nie zamierzałem zostać urzędnikiem rządowym. Zawsze miałem nadzieję, że poświęcę życie na walkę ze złem”.

Na myśl, że musi zrezygnować z części marzeń, ogarniał go  
głębo-  
ki smutek. Istniało niebezpieczeństwo, że nagły przyływ  
negatywnych  
uczuć sparaliżuje go podczas akcji w terenie.  
W 1968 roku, jeszcze jako młodziutki, nieopierzony policjant  
patro-  
lujący ulice niebezpiecznych dzielnic zachodniej Filadelfii —  
mieszkańcy  
wyśmiewali się z jego drobnej budowy, delikatności rysów i  
żydowskiego  
pochodzenia — odpowiedział na wezwanie dyspozytorni: na  
skrzyżowa-  
niu Pięćdziesiątej Drugiej i Market Street z okna na pierwszym  
piętrze wy-  
padło małe dziecko. Zawiózł chłopca radiowozem na pogotowie.  
Lekarz  
reanimował go długo i na pozór bezskutecznie. W końcu z ust  
malucha  
wydobył się krzyk. Lekarz uśmiechnął się i stwierdził: „Wyjdzie z  
tego”.  
Tak się rzeczywiście stało, mimo to Fleisher zaczął zanosić się  
niekontro-  
lowanym płaczem. Partner wyprowadził go ze szpitala. „Myślałem  
już, że  
umrze”, wyszłochał uszczęśliwiony Fleisher.  
Billy łkał nad ciałem zamordowanego dziecka, a także po areszto-  
waniu pracującego dla mafii płatnego mordercy. Rozpłakał się,  
gdy inni  
biali policjanci nazwali swojego kolegę „czarnuchem”. Nakrzyczał  
na nich,  
75  
że to przecież porządny człowiek. Wrażliwy policjant o dziecinnej  
twa-  
rzy utrzymywał, że przeczytał Biblię, Torę oraz Koran, a słyszał,

że staro-  
indyjskie Upaniszady zawierają podobne przesłanie — i ze  
świętych ksiąg  
wynika niezbicie, że walka o sprawiedliwość rozgrywa się w  
sercu, a każ-  
da dusza jest cenna. „Wielkie religie nauczają”, mówił przez łzy,  
„że strata  
jednej duszy dotyka nas wszystkich”.  
Ludzie zaczęli szeptać za jego plecami. Beksa. Społecznik.  
Mięczak.  
„Być może jestem niskim, grubym żydowskim policjantem”,  
odgryzał się  
później krytykom, „ale przynajmniej jestem najtwardszym niskim,  
gru-  
bym żydowskim policjantem, jakiego spotkaliście”.  
W sali wypełnionej po brzegi policjantami panował gwar. Fleisher  
wstał.  
Był jednym z nich. Jego domu broniła przed złem zawieszona w  
drzwiach  
mezuzza wypełniona oślepiającym światłem jedyne Boga.  
Koledzy go  
uwielbiali. Nie przeszkadzało im, że po szkoleniu z obsługi  
wykrywacza  
kłamstw, które zorganizował dla saudyjskich policjantów,  
wyściskał funk-  
cjonariuszy z Rijadu, mówiąc przez łzy: „Przeczytałem Koran i  
zrozumia-  
łem, że nic nas nie dzieli. Wierzymy w tego samego Boga”.  
Kolegom nie  
przeszkadzało również, że Fleisher uważał się jednocześnie za  
żyda i chrze-  
ścijanina. Jego żona była katoliczką, a portret Jezusa zawiesili  
nad komin-  
kiem tuż obok romantycznego zdjęcia przedstawiającego parę  
łabędzi na

jeziorze. Kiedy znajomi pytali go o to osobliwe zestawienie, odpowiadał:

„To był pomysł Michelle. Ja nazywam to zdjęcie «Dwa łabędzie szykujące się do ruchanka»". „Bill!", wołała wtedy zgorszona żona. „A jeżeli chodzi

o Jezusa, to był pierwszy porządny człowiek w historii", dodawał. Taki był właśnie Fleisher. Nietuzinkowa postać. Równiacha.

Wariat,

który miał odwagę kochać świat.

— Panie i panowie — zwrócił się do członków Shomrim. —

Wię-

szość z was poznała już Hala Fillingera, znakomitego lekarza sądowego

z Filadelfii, z kolei dla wielu będzie to pierwsza okazja, aby spotkać Fran-

ka Bendera, genialnego artystę, o którym zrobiło się głośno, odkąd zaczął

pomagać w śledztwach prowadzonych przez filadelfijską policję.

— Dzień, w którym Fillinger poznał się na talencie Bendera, kiedy ten

przyszedł pewnego dnia do miejskiej kostnicy — ciągnął — będzie dla

76

medycyny sądowej zdarzeniem równie doniosłym, co dla Hollywoodu od-

krycie Lany Turner w drogerii Schwaba.

Zaledwie kilka minut wcześniej Fleisher miał okazję po raz pierwszy

uścisnąć dłoń Benderowi. Energia i optymizm artysty od pierwszej chwili

zrobiły na nim ogromne wrażenie. Teraz, prezentując zdjęcia z dokona-

niami rzeźbiarza, nie mógł się nadziwić jego nadzwyczajnemu talentowi.

Zaprezentował popiersie Anny Duval, pierwszej osoby, którą zidentyfikowano dzięki Benderowi. Po chwili zebrany ukazała się twarz Lindy Keyes, której szkielet znaleziono na wzgórzu w Slatinton w Pensylwanii. Zdjęcie wykonanej przez Bendera rekonstrukcji głowy opublikowała gazeta „Morning Call” z Allentown. Mężczyzna z oddalonego o czterysta kilometrów Salisbury rozpoznał na nim swoją córkę Lindę, która zaginęła dwa lata wcześniej. Kolejne popiersie doprowadziło do rozwiązania zagadki morderstwa na North Leithgow Street w Filadelfii — ulicy, na której dorastał Bender. Do zbrodni doszło zaledwie kilka przecznic od jego domu. Bendera w największym stopniu poruszyła sprawa młodej czarnej kobiety, której szkielet znaleziono na północy Filadelfii w lasku przylegającym do szkolnego boiska futbolowego. Została zgwałcona i zamordowana mniej więcej rok wcześniej. Bender, zainspirowany znalezioną obok szkieletu bluzką z falbankami marki Ship'n'Shore, wyrzeźbił lekko uniesioną głowę, jakby kobieta była pogrążona w marzeniach o ucieczce z ponurej dzielnicy. Kiedy popiersie „Pełnej nadziei”, jak ją nazwał, zostało wystawione w filadelfijskim Mitter Museum, pewna dziewczyna rozpoznała w niej swoją ciotkę, Rosellę Atkinson, która zniknęła jakiś czas temu,

pozosta-  
wiwszy dwuletnią córeczkę. Do muzeum sprowadzono matkę  
Roselli, któ-  
ra wybuchła płaczem, ledwie spojrzała na gipsową twarz.  
„czekała na  
cÓRKE, znalazła ją w muzeum”, głosił nagłówek w „Philadelphia  
Inquirer”.  
Po wystąpieniu Bendera podszedł do niego Fleisher i szczerze  
mu po-  
gratulował. Umówili się na lunch. Bender liczył na zdobycie  
nowych zleceń  
dzięki znajomości z jednym z najbardziej wpływowych  
funkcjonariuszy  
federalnych organów ścigania na środkowowschodnim wybrzeżu.  
Z ko-

lei Fleisher otwarcie wyrażał podziw dla artysty i jego  
paranormalnych

77

zdolności, które wykorzystywał w walce z przestępczością.  
„Doświadcz-  
ny oficer śledczy nie powinien tego oczywiście mówić na głos”,  
tłumaczył  
później, „ale jego talent chyba rzeczywiście wykracza poza  
pojmowanie  
nauki i umysłu. Frank jest tajną bronią organów ścigania”.  
Pierwszy lunch przerodził się w cotygodniowy rytuał. Między  
agen-  
tem federalnym z przedmieść i artystą z libertyńskiego centrum  
zrodziła  
się niezwykle silna więź. Wspomnienie cierpień, których każdy z  
nich za-  
znał z ręki ojca, rozbudziło w obu głód sprawiedliwości. Fleishera  
do sza-  
łu doprowadzała myśl o ofiarach gwałtu lub morderstwa, którym  
najpierw

krzywdę wyrządził przestępca, a następnie państwo. Bender wpadał w furie, gdy słyszał o policjantach odpuszczających sobie śledztwa, w które on pozostawał emocjonalnie zaangażowany. Z taką sytuacją miał do czynienia w przypadku młodej kobiety, której szkielet znaleziono w opuszczonej gorzelni w hrabstwie Bucks w Pensylwanii. Wśród jej kości spoczywały małe kostki nienarodzonego dziecka. Bender wyrzeźbił twarz kobiety, na własną rękę przeprowadził śledztwo, nabrał pewności, że kobieta została zamordowana i że potrafi wskazać mordercę — zabrakło jednak woli sprawczej odpowiednich władz. Fleisher i Bender, posilając się kanapkami i popijając kawę, doszli do oczywistego wniosku: zwykli ludzie cierpią, a kryminaliści wygrywają. Ktoś powinien coś z tym zrobić. Dlaczego właśnie nie oni?

## Rozdział 9

Chłód przeszłości

Zwalisty mężczyzna przemierzał spękany chodnik w takim tempie, że przypominał stukilową raketę. Elegancka biała koszula przesiąkła potem, poły marynarki łopotały na wietrze, odsłaniając walthera PPK kaliber .380. Powietrze cuchnęło śmieciami i uryną, a za jego ciężkimi czarnymi półbutami ciągnął się smród roztopionej smoły. Choć z trudem łapał powietrze, parł bez wytchnienia do przodu niczym



wielki byk.

Temperatura przekraczała 30°C. Był to najgorętszy miesiąc w historii Filadelfii. William Fleisher po raz setny zadawał sobie w myślach pytanie, co też przywiodło go do najnędniejszej dzielnicy miasta, dlaczego opuścił chłodne, spokojne korytarze budynku Urzędu Celnego i dotarł na sam koniec South Street — skąpanego w skwarze siedliska chaosu. Minął starego pijaczka, trzech bezdomnych siedzących w cieniu na spleśzczonym kartonie i wychudzone psy wyjadające resztki ze sterty śmieci. Przestępcy, podobnie jak reszta ludzkości, pochowali się przed upałem i czekali na nadejście zmroku. Fleisher był uzbrojony i cały czas miał się na baczności. W okolicy grasował sadystyczny morderca, który zdążył już zadźgać cztery kobiety w wieku od dwudziestu ośmiu do siedemdziesięciu czterech lat. Ich ciała zmasakrował w sposób przywodzący na myśl Kubę Rozpruwacza — rozciął im brzuchy. Latem 1986 roku słowa „seryjny morderca” nabrały w Stanach Zjednoczonych nowego, przerażającego znaczenia. Filadelfijczycy rozglądali się nerwowo, mijając ciemne zaułki.

79

W odległości trzech kilometrów od budynku Urzędu Celnego natknął się na schowaną w półmroku dziewiętnastowieczną witrynę

sklepową.

W XIX wieku w budynku mieścił się sklep mięsny, w którym zaopatry-

wali się mieszkańcy zamożnej dzielnicy; obecnie w jego cieniu dochodzi-

ło do potajemnych spotkań handlarzy i narkomanów, którzy chronili się

tam przed wilgotnym, zimnym powietrzem ciągnącym od rzeki.

Szyby

wystawy zaklejono płachtami starych, wypłowiałych od słońca gazet. Kto

podszedł bliżej do zielonych drzwi, zauważał dwie małe tabliczki, „perły

obowiązkowe"-głosiła pierwsza. „zgaś papierosa, bucu"-

ostrzegała druga. W środku panował całkowity mrok i absolutna cisza,

jedynie z przewodu wentylacyjnego wypływała powoli strużka pary —

oddech grobowca. W tamtym czasie całe miasto przenikał smród pięć-

nastu gór śmieci, które narosły podczas strajku służb

komunalnych, nie

mógł się on jednak równać z odorem wydobywającym się ze zrujnowane-

go budynku przy Dwudziestej Trzeciej i South Street.

Fleisher zapukał. Zielone drzwi uchyliły się i młoda blondynka wpu-

ściła Fleishera do środka. Była od niego wyższa, obdarzona sporym biu-

stem i odziana w biały T-shirt sięgający do połowy ud — i nic więcej.

Fleisher uśmiechnął się szeroko. Humor od razu mu się poprawił.

Za

plecami kobiety kryło się przestronne, pozbawione okien pomieszczenie

z wysokim sufitem i betonową podłogą. Zwykły przechodzień nigdy by się nie domyślił, co kryje wewnątrz budynku. Na ścianach pogrążonego w mroku pomieszczenia — jedynym źródłem światła był rząd świetlików w suficie — wisiały prymitywne drewniane półki, na których stały rzeźby ludzkich głów. Obok nich znajdowała się piękna orzechowa gablotka z pistoletem z brązu w kształcie penisa. Przymocowana do niej tabliczka informowała: SEX PISTOLET, KTÓRY PODBIŁ ZACHÓD. Fleisher zachichotał.

— Sekspistolet? Sądziłem, że w tym wieku Frank strzela wyłącznie ślepakami.

— Nie spał przez całą noc — poinformowała chłodno dziewczyna, prowadząc go przez stalowe drzwi do pracowni. — Kiedy wpadnie w trans, nic nie jest w stanie go powstrzymać.

80

Pracownia była zagracona aktami młodych kobiet, drabinami, stosami cegieł i erotycznymi pocztówkami z Paryża. Na półkach leżały gipsowe głowy: tu czaszka roztrzaskana kluczem do odkręcania kół samochodowych, tu usta wykrzywione w uszminkowanym przerażeniu, tam łysina i psychopatyczne spojrzenie mordercy całej rodziny, gdzie indziej czarny niewolnik, którego kości wykopano z grobu. Fleisher trafił do unikalnej

galerii morderców i ofiar morderstw. Wprawilo go to w ponury nastrój.

Z prowizorycznej kuchni urządzonej w kącie dolatywał odrażający smród. Frank Bender stał bosy na betonowej podłodze, bez koszuli.

Mieszał zawartość wielkiego stalowego garnka. Obok na relingu wisały

chochle, łyżki oraz para stalowych kajdanek. Nad aluminiowym stołem

kuchennym przybito do ściany kalendarz z lat pięćdziesiątych z rysunka-

mi Normana Rockwella.

— Bill! — zawołał Frank przenikliwym głosem człowieka upojonego

życiem. Miał nienaturalnie błyszczące oczy. Z dalszych części budynku

dobiegały kobiece głosy.

— Co gotujesz? — zainteresował się Fleisher, podchodząc do kucheni-

ki. Smród był trudny do wytrzymania.

— Lepiej nie pytaj — odparł Bender, wyszczerzając zęby.

Szybko przy-

krył garnek pokrywką, ale Fleisher zdążył rozpoznać woń.

— Miarka się przebrała. Nie zaproszę cię więcej na składkowy obiad.

Bender nie znosił chrząszczy żywiących się ludzkim mięsem.

Wygo-

towywał rozkładające się głowy, zalewając je wodą, do której dodawał pół

szklanki wybielacza i szczyptę boraksu.

— Zdarza mi się przyrządzać w tym garnku znakomitego kurczaka —

wyznał. To on głównie zajmował się w domu gotowaniem, a większość po-

traw powstawała właśnie w tym naczyniu. — Jan i Joan nie mogą

znieść

myśli, że obgotowuję w nim głowy.

Fleisher wznosił oczy do nieba.

— Może zjemy lunch na mieście?

Rozdział 10

Na procesie zabójcy

Bar Day by Day wypełniał hałaśliwy tłum. Do narożnych szyb docie-

rała odrobina promieni sierpniowego słońca, które zdołały prześlizgnąć

się między drapaczami chmur. Na dworze pijacy i narkomani drzemali

w drzwiach kościoła. Przy stoliku w tylnej części sali Fleisher pochylał się

nad cheeseburgerem, a Bender rozgrzebywał widelcem sałatkę i zerkał po-

żądliwie na Wendy, dwudziestokilkuletnią kelnerkę o bladej skórze i ciem-

nych włosach. Oczy Bendera błyszcząły pośrodku jego łysiejącej głowy

niczym para kryształków. Od jakiegoś czasu próbował namówić dziew-

czynę na rozbieraną sesję fotograficzną. Wpadła kiedyś do jego pracowni

na kieliszek wina, ale nie chciała zrzucić ciuszków.

— Porusza się jak bogini seksu — zauważył, odprowadzając ją wzro-  
kiem.

— Mój Boże, nie rozumiem, jak ci to uchodzi na sucho.

— Jan woli, żebyś miał na boku kilka dziewczyn — wyjaśnił Frank. —

Żebyś się jej przez cały dzień nie wałęsał po domu. To Joan jest zazdro-

sna o inne.

Fleisher pokręcił głową.

— Nie potrafię tego pojąć.

Fleisher był od trzydziestu lat mężem Michelle i jego zamiłowania miały całkowicie konwencjonalny charakter: poza

dziewiętnastowieczny-

mi powieściami detektywistycznymi lubił wyrefinowaną kuchnię, podró-

że z żoną i rozpuszczanie wnuków. Przekomarzał się z Michelle z równym

82

entuzjazmem, jak w czasach, gdy dopiero zaczynał się do niej zalecać.

W pewnym sensie nigdy nie przestał tego robić.

Bender również przez cały czas kochał żonę i wyrażał się o niej z ogromną czułością. Po ślubie przestał po prostu sypiać z

przypadko-

wymi kobietami. Wszystkie kochanki były jego bliskimi przyjaciółkami.

— Można zatem powiedzieć, że przestałeś strzelać na prawo i lewo —

uśmiechnął się znacząco Fleisher. — Zależy ci na trwałych związkach,

mam rację?

— Tak właśnie.

Fleisher wybuchnął śmiechem.

— Frank, gdybyś należał do mojej rodziny, wziąłbym strzelbę i pogo-

nił cię tak samo, jak to uczynił twój teść. Choć wiem, że w swoim fachu

nie masz sobie równych.

Bender nachylił się do przodu.

— Posłuchaj, Bill — powiedział, zniżając konfidencjonalnie głos. —

Policja ściga legendarnego płatnego mordercę. Poprosili mnie, żebym zo-

stał „oczami” zespołu. Twierdzą, że mam zdolność patrzenia na

twarze

w sposób niedostępny dla któregokolwiek z nich.

— Gratulacje. Rozumiem, że to dla ciebie duża szansa.

Bender się skrzywił.

— Mam wykonać szkice i popiersie pokazujące efekty starzenia się,

żeby wiedzieli, jakiej twarzy powinni szukać. Szeryf odebrał ode mnie

przysięgę i noszę teraz broń. Zostałem wyraźnie ostrzeżony, że udział

w tym śledztwie naraża mnie na niebezpieczeństwo.

Fleisher otworzył ze zdumienia oczy.

— No wiem, wiem. Nie widziałem gościa z bliska, ale jest do mnie po-

dobny. Ten sam wzrost, wiek, budowa ciała. Też jest artystą.

Trochę to

przerażające. Jakbym miał sobowtóra, złego brata bliźniaka.

Fleisher zmarszczył brwi. Bender wypił łyk kawy.

— Normalnie nikogo się nie boję — podjął — ale widziałem go raz

przez teleobiektyw. Miał takie stalowe spojrzenie. Wie, kim jestem i że

stanowię dla niego zagrożenie. Mam wrażenie, że chciałby mnie zabić.

Nazywa się Hans Vorhauer. Podobnie jak ja ma niemieckie korzenie. Za-

bijanie to u niego tradycja rodzinna — ojciec był oficerem SS.

Poza tym

83

facet jest geniuszem. Ma najwyższy iloraz inteligencji ze wszystkich więź-

niów w historii stanu Pensylwania.

Fleisher niemal podskoczył na krześle.

— Hans Vorhauer! Przecież ja go doskonale znam. W latach siedem-

dziesiątych ścigałem go po całym Wschodnim Wybrzeżu za morderstwo  
mojego znajomego, który miał zeznawać jako świadek. Vorhauer był jednym z najbardziej poszukiwanych i niebezpiecznych  
zbiegów w całych Stanach Zjednoczonych. Agenci federalni oskarżyli go  
podczas przesłuchania o zabicie na zlecenie siedemnastu osób. „Niepraw-  
da”, roześmiał się bezczelnie Vorhauer. „Zabiłem trzydzieści trzy osoby”.  
Vorhauer był genialnym strategiem, mistrzem kamuflażu, rusznikarzem,  
handlarzem narkotyków, rabusem i płatnym mordercą pracującym dla  
rodzin mafijnych ze Wschodniego Wybrzeża. Nieustannie wymyślał się  
policji. Jako chemik samouk prowadził jedną z największych fabryk met-  
amfetaminy na Wschodnim Wybrzeżu. Pod koniec lat siedemdziesiątych  
został aresztowany i skazany za posiadanie narkotyków oraz rozboje z bro-  
nią. Skazano go na dwadzieścia lat pobytu w więzieniu Graterford pod  
Filadelfią, największym mamrze o zaostrowym rygorze w Pensylwanii.  
W więzieniu zachowywał się wzorowo i w nagrodę został kierownikiem  
tamtejszego sklepiku.  
17 listopada 1983 roku Vorhauer zorganizował spektakularną ucieczkę  
z Graterford, którą gazety określiły mianem „stolarskiego hokus-  
-pokus”. Wydostał się z więzienia w zamaskowanej komorze szafy, którą



wykonał dla klienta z zewnątrz. W sosnowym meblu — pomalowanym bejcą na kolor dębu, aby nikt nie zwrócił uwagi na duży ciężar — ukrył się również morderca Robert Thomas Nauss, sadystyczny wódz gangu motocyklowego Warlocks — Czarowników, który udusił i pokroił na kawałki swoją dziewczynę. Dwie niezidentyfikowane osoby wywiozły szafę furgonetką. Mordercy przepadli bez śladu. Policja przypuszczała, że kiedy odzyskali wolność, ich drogi się rozeszły. Obu uważano za niezwykle niebezpiecznych, a policyjni psychologowie twierdzili, że bez wątpienia zabiją ponownie. Schwytywanie Vorhauera i Naussa policja potraktowała absolutnie priorytetowo. Niestety śledztwo toczyło się wyjątkowo niemrawo i dopiero po wielu latach nastąpił przełom. Kobiecie, która była

84

kiedyś sąsiadką Vorhauera, wydawało się, że spotkała go w pobliżu mieszkania jego żony. Nie była pewna, poprzednio bowiem widziała go piętnaście lat wcześniej. Śledczy nie mogli zweryfikować tego tropu, ponieważ zdjęcia Vorhauera, którymi dysponowali, były jeszcze starsze. Nikt nie wiedział, jak zbieg zmienił się w ciągu tych siedemnastu lat i czy rzeczywiście przebywa w Filadelfii, dopóki Bender nie wypatrzył go podczas po-

licyjnej obserwacji. Teraz poproszono go o wykonanie szkiców i popiersia przedstawiających aktualny wygląd przestępcy. Było to pierwsze federalne śledztwo, w którym uczestniczył; pierwsza sprawa wagi ogólnokrajowej. Od jej wyniku zależała jego dalsza kariera zawodowa, a być może również życie.

— Widziałem go z daleka, obraz był wyjątkowo nieostry — tłumaczył z ponurą miną. — Cały czas brakuje mi jakiegoś elementu, aby stworzyć portret. Muszę go lepiej poznać, aby szkice i popiersie oddawały nie tylko wygląd, ale i osobowość.

Szeroka twarz Fleishera poczerwieniała. Wspomnienie płatnego zabójcy prześladowało go od ponad dekady.

— Pomogę ci złapać drania. Ma najzimniejsze spojrzenie, jakie kiedykolwiek widziałem.

Rozdział 11

Śmierć tancerki

Fleisher zapukał do drzwi mieszkania w nowojorskim Queens i odsunął się na bok, zajmując miejsce obok innych agentów. Lokal należał do starego boksera, który dorabiał do emerytury, wykonując drobne zlecenia dla mafii.

Otworzył drzwi w bieliźnie. Żona gotowała coś w kuchni. Agenci chcieli porozmawiać na temat zamordowanego informatora, jednego z ludzi Fleishera, który musiał być głupi jak but, ponieważ powiedział

ma-

fii, że rozmawia z FBI.

— Mogę włożyć spodnie? — spytał bokser.

— Jasne — przytaknęli agenci.

— Pójdę z nim — powiedział Fleisher.

W sypialni bokser zakładał spodnie, stojąc na wyciągnięcie ręki od

opartej o ścianę strzelby. Fleisher oparł dłoń na służbowej trzydziestce

ósemce, którą nosił po gangstersku nad kroczem. Przybrał postawę mó-

wiącą: „Może jestem kurdupłem i Żydem, ale tylko spróbuj zrobić coś

głupiego”.

— Słyszałem, że masz ochotę mi przyrznać — zwrócił się do bokse-

ra. — Weź strzelbę i załatwmy sprawę tu i teraz, mano a mano. Gangster cofnął się z szacunkiem.

— Ależ nie, panie Fleisher. Nigdy bym czegoś takiego nie zrobił.

Fleisher z charakteru przypominał Włochów — był człowiekiem uczuciowym i lekko narwanym. Włosi i ludzie ulicy go lubili.

Właśnie

86

dlatego Jim Scanlon wezwał go pewnego poranka 1971 roku do siedzi-

by FBI w Bostonie.

— Chciałbym, żebyś przyjrzał się sprawie morderstwa takiej jednej tan-

cerki z Naparzalni — powiedział, kiedy usiedli. Naparzalnią policja nazy-

wała bostońską dzielnicę czerwonych latarni.

Fleisher miał informatorów wśród dziwek, bramkarzy i kelnerów.

„Cie-

szę się tam powszechnym uwielbieniem”, miał się pochwalić

jednemu ze starszych agentów, co w nieunikniony sposób sprowokowało pytanie:  
„A ile cię to kosztuje?” Tak się jednak składało, że Fleisher potrafił wy-  
ciągnąć informacje od każdego. Nie wydawał ani centa z tysiąca dolarów,  
które otrzymywał z pieniędzy podatników na kupowanie informatorów.  
Urzekający uśmiech harcerzyka i przebiegłość bukmachera sprawiały, że  
ludzie otwierali się przed nim, a on wyciskał z nich wszystko, co chciał.  
— Chodzi o niejaką Vicki Harbin. Miała koło pięćdziesiątki i pracowa-  
ła jako tancerka w Klubie 222— referował Scanlon. — Znalaziono ją  
w pokoju w hotelu Avery. Leżała na podłodze obok drzwi. Ktoś zadźgał  
ją na śmierć.  
Fleisher zmrużył oczy.  
— Kobieta z pięcioma krzyżykami na karku, która wciąż tańczy na  
rurze, naciąga klientów na drinki i używa życia w hotelu Avery — po-  
wiedziało, kręcąc ze smutkiem głową. Hotel mieścił się w wąskim, dzie-  
sięciopiętrowym budynku. Jeszcze na przełomie XIX i XX wieku cieszył  
się przyzwoitą opinią, potem zszedł na psy i zamienił się w Hiltona dla  
dziwek. W latach czterdziestych i pięćdziesiątych Tommy Carr i jego or-  
kiestra grali Goodbye to Paris w Cameo Bar, a wodewilowi komicy Jackie

Gleason i Art Carney pomieszkiwali w hotelu Avery, który oferował wtedy najtańsze pokoje w dzielnicy teatralnej. Zatrzymywali się tam artyści występujący w Bostonie. Nawet w tamtych czasach pokoje pachniały seksem.

Mówiono: „O drugiej w nocy w Avery zadzwonił dzwonek i wszyscy wrócili do swoich pokoi”. Wiosną 1971 roku hotel otaczały dziesiątki variétés z rozneglizowanymi panienkami, salonów masażu i księgarni z publikacjami dla dorosłych. „Avery miał klimat podupadłego lokalu rodem z powieści Raymonda Chandlera”, napisał pewien dziennikarz.

— Niezadowolony klient?

87

— Nie, Vicki nie była prostytutką. Pracowała jako tancerka. No wiesz, ciało się trochę sypało, ale należała do tych, co zostają w biznesie do końca. Pod zwłokami znaleźli dwa dolary. Tyle dawała napiwku hotelowemu

boyowi za przyniesienie kubelka lodu, kiedy wracała z pracy.

W brązowych oczach Fleishera błysnęło współczucie.

— Każdy ma jakieś marzenia.

— Dostała nożem prosto w serce. Robota zawodowca.

— To oczywiście straszne, że zginęła, ale cóż w tym morderstwie nie-

zwykłego? — zdziwił się Fleisher. — Jeśli to nie był przypadek handlu ko-

bietami, sprawą powinien zająć się bostoński wydział zabójstw.

Scanlon pokręcił głową.

— I tak było, dopóki na scenę nie wkroczył niejaki Orange Harbin...

— Orange?

— Tak właśnie. Pan Orange Harbin, mąż Vicki i chyba porządny gość.

Przyszedł w zeszłym tygodniu na komendę i poinformował oficera dy-

żurnego, że jego żona została zamordowana na zlecenie Berniego Brow-

na, gangstera z Baltimore.

Fleisher uniósł brwi.

— Szalonego Berniego Browna?

Scanlon skinął głową.

— Facet ma na koncie wszystkie możliwe przestępstwa — powiedział

Fleisher. — Morderstwo. Wymuszenie. Przekręty. Jak na kogoś, kto nie

ma włoskich korzeni, Szalony Bernie osiągnął chyba szczyt gangsterskiej

kariery. Nie jest jakoś specjalnie nadziany, ale transferuje pieniądze do

kogoś wyżej postawionego, płaci uliczny podatek. Podejrzewam, że jest

Żydem.

— To w tej chwili mało istotne. Ci z Baltimore twierdzą, że Vicki ze-

znawała przeciwko Brownowi przed federalną ławą przysięgłych

— wy-

jaśnił Scanlon.

— Morderstwo federalnego świadka — gwizdnął z wrażenia Flei-

sher. — Widzę, że Brown preferuje radykalne metody uciszania kobiet.

Podejrzewam, że nadal opuszcza niedzielne próby chóru. I nie używa nici

dentystycznej przed myciem zębów.

88

Scanlon siedział nieporuszony. Fleisher miał słabość: wydawało mu

się, że jest zabawny. Między innymi dlatego pozyskał tylu informatorów.

Kiepski żart lub nieudana gra słów rozluźniały atmosferę skuteczniej niż wyrafinowane poczucie humoru.

— Policja sprowadza do sądu kolejnych świadków i nieustannie mie-

sza mu szyki — powiedział Scanlon. — Bernie jest królem barów z dziew-

czynami, które przez cały wieczór wiszą na klientach, ale nie idą później

z nimi do domu. Mają tylko naciągać ich na kupowanie rozwodnione-

go ginu. Ława przysięgłych próbuje rozbić imperium Szalonego Berniego,

a on likwiduje kolejnych świadków.

— Zabił więcej niż jedną osobę?

— Pogadaj z chłopakami z Baltimore. Przed Harbin zlecił zabicie in-

nego świadka, gościa w jakiś sposób związanego z tymi barami. Podło-

żyli mu pod siedzenie buicka bombę na tyle dużą, że skasowałaby i jego,

i samochód. Nie chcieli zabijać żony, więc wykombinowali, że skoro fa-

cet pracuje w nocy, to usiądzie za kierownicą, włączy światła i — bum! —

polecą na księżyc. Nie wpadli na to, że jego żona, która też pracuje w nocy,

wstanie następnego dnia wyjątkowo wcześnie rano i zawiezie samochód

na przegląd. Mechanik włączył światła i b u m...

— Zabili mechanika?

— Nie, uruchomił się tylko zapalnik. Sam ładunek prawdopodobnie zawilgł. Wybuch brzmiał jak petarda, rozerwał siedzenie i poparzył dupę mechanikowi, który prawie zesrał się ze strachu. Miał szczęście.

— A zatem Vicki Harbin wiedziała, że dni Szalonego Berniego są policzane, dlatego spakowała manatki, uciekła do Bostonu i rozpoczęła nowe życie w hotelu Avery?

— Zgadza się. Pytanie, kto ruszył jej śladem. Znalezienie odpowiedzi będzie cię słono kosztować.

— Bez przesady — powiedział Fleisher. Obiecał pociągnąć za język swoich informatorów. — Potrafię ich zbajerować. Lubią mnie. Wszyscy mnie lubią. Wyszczrzył zęby.

— Nie zdarzyło się, żebym za coś płacił w Naparzalni.  
89

Fleisher pojechał do hotelu Bradford na Tremont Street. Ten neoklasy-cystyczny budynek z czerwonej cegły zbudowany w latach dwudziestych XX wieku znajdował się niegdyś „w sercu miasta”. W latach czterdziestych na jego dachu i poniżej, w największej bostońskiej sali balowej, przygrywały big-band. Obecnie Bradford był przystanią dla dziwek i leżał w samym centrum piekła na ziemi.

Fleisher dowiedział się od agentów FBI z Baltimore, że Brown wysłał do Bostonu swojego przybocznego, Jacka Sugarmana. Ten



żołnierz pie-  
choty morskiej, weteran drugiej wojny światowej, pochodził z  
hrabstwa  
Delaware w Pensylwanii. Zaraz po powrocie z frontu został prawą  
ręką  
jakiegoś gangstera. Według informatorów Sugarman miał tylko  
odszu-  
kać Harbin i wskazać ją właściwemu zabójcy, niejakiemu Hansowi  
Vor-  
hauerowi, o którym Fleisher nigdy wcześniej nie słyszał. FBI z  
Baltimore  
określiło go mianem najlepszego w branży człowieka od mokrej  
roboty.  
Kiedy odebrał przysłany przez nich faks, ciarki przeszły mu po  
plecach  
na widok lodowatego spojrzenia mordercy.  
Hotel Bradford był ponurym bliźniakiem pobliskiego Avery.  
Fleisher  
uznał, że Sugarman najpewniej zatrzyma się właśnie tam — jeżeli  
rzeczy-  
wiście przyjechał do Bostonu. „Nie zamieszkałby w tym samym  
hotelu,  
co ofiara, a Bradford jest w pobliżu Naparzalni”, rozumował.  
„Pełno tam  
dziwek, alfonsów i wszelakich szubrawców”.  
— Cześć, Bill. Czego potrzebujesz? — zagadnął przy windach  
Paul,  
kierownik hotelu, wysoki, łysiejący mężczyzna o przygarbionej  
sylwetce.  
— Muszę przejrzeć księgę gości — wyjaśnił Fleisher, ściskając  
dłoń  
mężczyzny.  
— Znowu szukasz jakichś dziwek?  
Skinął głową, ale kierownik hotelu już się odwrócił i dziarskim kro-  
kiem ruszył w dół po schodach, wiodąc Fleishera w głąb

ciemnego kory-  
tarza. Dobrze się znali. W przeszłości pomógł Fleisherowi w  
śledztwach  
związanych z handlem kobietami. Na mocy specjalnej ustawy  
przewoże-  
nie przez granice stanów kobiet przeznaczonych do prostytucji  
uznawa-  
no za przestępstwo międzystanowe lub federalne. Poza  
wykroczeniami  
podatkowymi był to ulubiony paragraf, który FBI wykorzystywało  
do  
90  
przymykania gangsterów. Luckyego Luciano i Ala Capone  
aresztowano  
właśnie na podstawie zarzutów dotyczących „białego  
niewolnictwa”.  
Kiedy indziej Fleisher pokazał Paulowi kilka fotografii i zapytał:  
„Wi-  
działeś kiedyś te kobiety? Dostałem cynk, że to dziwki, które  
przyjechały  
z Minneapolis”. Aby policja nie mogła namierzyć kobiet  
zmuszanych do  
prostytucji w ich rodzinnych miastach, wożono je od miasta do  
miasta,  
niczym wędrowną trupę teatralną— Chicago, Minneapolis, Nowy  
Jork,  
Boston, Baltimore, Nowy Orlean. „Zatrzymały się u mnie. Chodź,  
zapro-  
wadzę cię”, powiedział Paul. Wjechali windą na czwarte piętro i  
przeszli  
długim korytarzem. Kierownik zaczął walić w drzwi i krzyczeć:  
„Wyno-  
cha z mojego hotelu, kurwy jedne!”.  
Teraz zaprowadził Fleishera do małego, zakurzonego pokoju i  
posta-

wił przed nim na stole trzy długie tekturowe pudła. W środku znajdowały się karty o wymiarach 7,5 na 12,5 cm z formularzami rejestracyjnymi, podzielone na kupki spięte gumkami recepturkami. Fleisher przejrzał rejestr gości z poprzedniego miesiąca. Pracował szybko i niecierpliwie. Na karcie z rezerwacją pokoju na trzy noce, wypełnionej trzy tygodnie przed morderstwem, pojawił się nabazgrany podpis: Jack Sugarman. Dwa tygodnie przed morderstwem, kolejne trzy noce: Jack Sugarman. Tydzień przed morderstwem, jedna noc: Jack Sugarman. „Mam cię!”, pomyślał. „Namierzyłem Sugarmana. Za pierwszym razem przyjeżdża z Baltimore, aby przyobserwować Vicki, zobaczyć, czym się zajmuje. Za drugim notuje jej godziny pracy i przyzwyczajenia. Trzecia wizyta jest krótka — pokazuje ją Vorhauerowi”. Znalezienie miejsca pobytu Vorhauera byłoby znacznie trudniejsze — był poszukiwanym zbiegiem i mistrzem przebieranek. Z całą pewnością posługiwał się fałszywym nazwiskiem. Wieczorem tego samego dnia Fleisher zajrzał do mrocznej, zadymionej nory zwanej Caribe Lounge — najśłynniejszego klubu striptizowego w Naparzalni. Na małej scenie tańczyła rudowłosa dziewczyna, a wianuszek mężczyzn obserwował ją przez kłęby papierosowego dymu.

W normalnych okolicznościach ruda od czasu do czasu odsuwałaby na bok stringi i stanik — pełny striptiz był w Bostonie zakazany — ale 91

nie w obecności policjanta. George Tecci, właściciel i kierownik w jednej osobie, zatrzymał Fleishera w drzwiach.

— Czego tu szukasz? — spytał, wykrzywiając pogardliwie usta. Fleisher wyjął portfel i pokazał odznakę.

— FBI. Szukam Kopciuszka.

— W jakiej sprawie?

— Chcę z nią porozmawiać na temat morderstwa Vicki Harbin, która tańczyła w 222.

Pokazał Tecciemu zdjęcie: przedstawiało brunetkę o okrągłej, podsta-

rzalej twarzy. Kiedy kierownik prowadził go schodami w dół do gardero-

by, minęła ich poruszająca się z kocią gracją wysoka blondynka z dużym

biustem. Musiała mieć dwadzieścia kilka lat i — w szpilkach — grubo

ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu. Fleisher nigdy nie widział

seksowniejszej kobiety. Kiedy przyjrzał się jej twarzy, uznał, że jest rów-

nież jedną z najładniejszych.

— Kopciuszek, ten gość chce z tobą pogadać — powiedział Tecci.

Uśmiechnęła się. Miała wysokie i delikatnie zarysowane kości policzko-

we oraz olśniewający uśmiech. Z wielkich, niebieskich oczu strzelały iskry.

Fleisher wyjął zdjęcie z teczki.

— Czy to prawda, że byłaś znajomą Vicki Harbin?

Uśmiech zniknął Kopciuszki z twarzy. Wprowadziła go do swojej garderoby.

— O niczym nie wiem.

Usiedli pod otoczonym lampkami lustrem. Dzielili ich tak niewielka

odległość, że Fleisher czuł zapach jej potu. Obdarzył ją swoim najlepiej-

szym uśmiechem. Dziewczyna była zniewalająco piękna i urocza. Polubiła

go — wyczuwał to mimo zuchwałego spojrzenia. Niemal stykali się no-

gami. Nogi też miała niewiarygodne. Przyjrzał jej się dokładniej w przy-

śmionym świetle i poczuł, jakby ktoś zdzielił go obuchem w głowę. Jabłko

Adama wielkości dorodnego czempiona. Łapy jak u zawodowego boksera.

„Wystarczy sobie wyobrazić takiego babochłopa i człowiek budzi się rów-

nie skutecznie jak po mocnej kawie”, pomyślał.

Kiedy ostatni raz widziała Harbin?

Nie drgnęła jej nawet powieka.

92

— O niczym nie wiem.

Czy Harbin obawiała się Berniego Browna?

— O niczym nie wiem.

Czy widziała któregoś z tych mężczyzn? Wyjął przefaksowane zdjęcia

Sugarmana i Vorhauera.

— O niczym nie wiem.

Odpowiedzi brzmiały jak mantra skierowana do pustego wszechświata.

Fleisher miał świadomość, że rozmowa będzie trudna. Według jego in-

formatorów mężem Kopciuszka był pracujący dla Berniego

Browna Bob-  
by Urbin. Był odźwiernym gangstera w Baltimore i „robił za  
szulera dla  
mafiosów w Bostonie”, wspominał Fleisher. Razem z  
Kopciuszkiem po-  
dróżowali od miasta do miasta.

— O niczym nie wiesz, ale zaraz się czegoś dowiesz. Pozwól,  
że poka-  
żę ci, co zrobili z twoją koleżanką.  
Wyjął z teczki zdjęcie ze zbliżeniem zadanych nożem ran na ciele  
Harbin.

Kopciuszek zdusiła okrzyk, przyciskając dłoń do ust. Do wielkich  
nie-  
bieskich oczu napłynęły łzy.

— Próbuję znaleźć mordercę Vicki. Oto moje nazwisko i numer  
tele-  
fonu. Zadzwoń, jeśli będziesz chciała pomóc.  
Nie odezwała się, kiedy wręczył jej wizytówkę i wyszedł.  
Trzeba jakoś zmotywować Kopciuszka i jej męża, pomyślał,  
wsiada-  
jąc do samochodu.

Tego samego dnia o dziesiątej wieczorem pojechał do Klubu 222.  
W drzwiach zatrzymał go bramkarz, przysadzisty mężczyzna  
wysoki na  
jakieś metr sześćdziesiąt i niemal tak samo szeroki. Miał nalaną  
twarz,  
okulary w grubych oprawkach i włosy ufarbowane na nieco zbyt  
ciemny  
kolor. Z mięsistych ust zwisał papieros, z tylnej kieszeni spodni  
wystawa-  
ła metalowa pałka. Jedno z brązowych oczu latało na wszystkie  
strony ni-  
czym trzmiel pod szklanką.

— Zezowaty Benny — przywitał się Fleisher. Uścisnęli sobie  
serdecznie

dłonie. — Prowadzę sprawę morderstwa Vicki Harbin i szukam tych gości.

Podetknął bramkarzowi pod nos zdjęcia Sugarmana i Vorhauera. Zezowaty Benny wskazał skinieniem głowy na podobiznę Sugarmana.

93

— Ten u nas był.

Sugarman wyszedł z 222 z prostytutką, opowiadał Benny. Zabrał ją do Bradforda i zapłacił czekiem bez pokrycia.

— Znasz Bobby'ego Urbina?

Zezowaty Benny prychnął.

— Jasne, wciąż tu przychodzi.

Fleisher nigdy nie widział męża Kopciuszka i nie dysponował jego podobizną.

Umówił się z Zezowatym Bennym, że usiądzie z drinkiem przy

stoliku, Benny stanie za barem, a kiedy Bobby Urbin się zjawi, bramkarz

zapali papierosa. I rzeczywiście, nie minęło wiele czasu, a do klubu wszedł

Urbin. Akurat w tym samym momencie jednemu z klientów przy barze

urwał się film i wokół zatłoczyli się ciekawscy. Zezowaty Benny wmieszał

się w tłum i poklepał Urbina po ramieniu.

— FBI — przedstawił się Fleisher, który zaszedł go z drugiej strony. —

Chcę ci zadać kilka pytań.

Wyprowadził go z klubu i kazał wsiąść do samochodu. Usiedli z tyłu

i Fleisher zaczął ciągnąć Urbina za język, a Urbin, jak rasowa męska dziw-

ka, położył dłoń na wewnętrznej stronie jego uda. „Pozwolę mu na to, żeby

wyciągnąć z niego potrzebne informacje", pomyślał rozbawiony sytuacją

Fleisher. „On też mnie lubi. Wszyscy mnie lubią”. Ale Urbin nie chciał

rozmawiać na temat morderstwa Vicki Harbin. Fleisher musiał go puścić.

Poirytowany wrócił do siedziby FBI i zadzwonił do Franka Mulvee'ego,

przydzielonego do sprawy oficera śledczego z Bostonu.

Poinformował go,

że Urbin dysponuje informacjami na temat morderstwa oraz przechowu-

je w mieszkaniu marihuanę (o tym ostatnim dowiedział się od informa-

tora na ulicy).

Następnego poranka policja wkroczyła do mieszkania Urbina.

Kop-

ciuszek i Urbin byli w domu. Mulvee zadzwonił do Fleishera, który przy-

jechał na miejsce i próbował namówić Urbina do współpracy.

— O niczym nie wiesz, tak? — mówił. — Nie wierzę w to ani ja, ani

policja. Co w takim razie powiesz na badanie wariografem?

— Och, Bobby, poddaj się testowi — wtrąciła się Kopciuszek.

Poli-

cjanci zawieźli Urbina do prywatnego specjalisty od wykrywania kłamstw.

Ten założył Urbinowi rękaw do mierzenia ciśnienia, przykleił mu do

94

klatki piersiowej oraz brzucha przewody pneumografu i założył czujniki

elektryczne na koniuszki palców. Urbin odpowiedział na kilka pytań, po

czym zdarł z siebie wszystkie kable i wybiegł z biura.



Dysponowali tylko jednym odczytem, który wyraźnie wskazywał na kłamstwo. Fleisherowi kręciło się w głowie. Zlokalizował naprowadzacza, Su-  
garmana, jednak nikt nie widział rzeczywistego zabójcy, czyli Vorhauera. Ten pozostawał nieuchwytny jak duch. Tymczasem ludzie Browna czmy-  
chali z Bostonu niczym szczury z tonącego statku. Policja nie mogła zna-  
leźć Urbina. Fleisher nie zdołał namówić do zeznań znajomych Harbin. W końcu zdobył nazwisko tancerki, która bardzo dobrze знаła Vicki. Ter-  
ri Emanuel była cudowną dziewczyną o miedzianej skórze, pół Filipinką,  
pół Cajunką; do niedawna także pół mężczyzną, pół kobietą, która uro-  
dą dorównywała Kopciuszkowi. Fleisher uznał ją za potencjalnie najbar-  
dziej wartościowego świadka. Tamtego wieczora Fleisher siedział akurat w barze z dwoma znajomy-  
mi, szeryfem federalnym Mikiem Assadem i jego bratem Eddiem, bo-  
stońskim gliniarzem, kiedy obok ich stolika przeszła niezwykle zgrabna  
kobieta. Trzej panowie zagwizdali i wstrzymali na chwilę oddechy, napa-  
wając się widokiem w milczeniu.

— Jeżeli uważacie, że o n a ma czym oddychać — odezwał się Flei-  
sher — powinniście byli zobaczyć laskę, którą przesłuchiwałem wczoraj  
wieczorem w Caribe. Nazywa się Kopciuszek.

— Ładne imię — stwierdził Mike.

— Ta dziewczyna wygląda przy niej jak nauczycielka, mimo że Kop-  
ciuszek jest facetem.

Mike i Eddie jęknęli.

— Ciekawy zbieg okoliczności — powiedział Eddie. — Mieliśmy  
dziś  
wezwanie, jeszcze przed świtem. Kobieta, która zginęła w  
tajemniczych  
okolicznościach, też była trans.

— Jak się nazywała?

— Terri Emanuel.

— Chryste! — krzyknął Fleisher. — Zamierzałem ją  
przesłuchać.

Wycisnąwszy z Eddiego szczegóły morderstwa, Fleisher zostawił  
kole-  
gów i z automatu telefonicznego zadzwonił do Mulvee'ego.

Umówili się na  
95  
spotkanie w głównej siedzibie bostońskiej policji. O drugiej w nocy  
zna-  
leźli w raporcie adres, pod którym znaleziono ciało Emanuel.

Mieszkała  
w kamienicy z facetem o nazwisku Art Nettles.

O trzeciej w nocy zapukali do drzwi ich mieszkania. Nettles  
wpuścił  
ich bez oporów do środka. Art okazał się brunetką, „pół  
mężczyzną, pół  
kobietą. Zmiana płci wciąż trwała”, wspominał Fleisher. „Miała  
cycki,  
ale nie usunęła sobie jeszcze siusiaka”. Terri była jej  
współlokatorką, sy-  
piała na sofie. Art rozsiadła się na sofie, rozchylając szlafrok i  
prezentu-  
jąc dumnie nowe piersi. Ucieszyła się, że ktoś chce z nią

porozmawiać  
o śmierci Terri.

Dwóch napakowanych Włochów wystraszyło Art i Terri w jednym z klubów; chcieli, żeby poszły z nimi do domu. Na szczęście udało im się

wykręcić i bezpiecznie wrócić do mieszkania. W środku nocy obudził je

dzwonek domofonu. Art wpuściła dzwoniącego. Przez szparę w drzwiach

zobaczyła tych samych dwóch Włochów, którzy natychmiast wepchnęli

się do środka. Jeden uderzył Art pięścią w szczękę, a drugi złapał Terri,

która jak zawsze spała nago na sofie. Zawinęli ją w koc i uciekli.

Art za-

chowiała na tyle przytomności umysłu, żeby uruchomić alarm przeciwpo-

żarowy. Kiedy zawyła syrena, zbiry porzuciły Terri i uciekły.

Dziewczyny

położyły się spać, uznawszy, że sprawa się na tym skończyła.

Przed połu-

dniem następnego dnia zadzwoniła znajoma tancerka z Chicago i zapytała

Art: „Wszystko w porządku z Terri? Śniła mi się. Wyczułam zapach kwia-

tów. Nic jej nie jest?”. Art podeszła do sofy, żeby obudzić Terri.

Dziewczy-

na nie żyła. Lekarz sądowy nie potrafił określić przyczyny zgonu.

— To jakiś patałach — zauważył Mulvee.

— Mój Boże — westchnął Fleisher. Miał poczucie, że Bernie Brown

próbuje zlikwidować wszystkich świadków, którzy mogą mu zagrozić.

Problem w tym, że nie mógł tego udowodnić. Kolejny ślepy zaułek.

Tej nocy zadzwoniła do niego Kopciuszek. Chciała porozmawiać.  
Tak,  
Vicki Harbin wiedziała, że grozi jej śmiertelne niebezpieczeństwo.  
Cały  
czas miała duszę na ramieniu. Tydzień przed jej śmiercią  
zdarzyło się coś  
przerażającego. Tańczyła akurat na scenie, kiedy zauważyła  
wśród widzów  
wielką, paskudną, pokiereszowaną gębę Jacka Sugarmana,  
człowieka, któ-  
ry podczas drugiej wojny światowej otrzymał Krzyż Marynarki za  
to, że  
96  
pewnej nocy na Guadalcanal zabił stu trzydziestu dwóch  
japońskich żoł-  
nierzy. Od tego czasu ktoś zdążył mu przemodelować twarz kijem  
bejsbo-  
lowym, a teraz siedział w boksie na widowni i wodził za nią  
pożądliwym  
spojrzeniem. Obok niego dostrzegła najlepszego płatnego  
mordercę Ber-  
niego Browna, Hansa Vorhauera. Znała ich obu. Twarz  
Vorhauera była  
całkowicie pozbawiona wyrazu. Wilcze spojrzenie utkwiał w jakimś  
punk-  
cie za jej plecami i wydawał się w ogóle nie zwracać na nią uwagi.  
Scanlon wiedział, że Fleisher poruszył niebo i ziemię, niemniej  
śledz-  
two zaczęło posuwać się do przodu dopiero po zeznaniach  
złożonych przez  
Kopciuszka.  
W lecie 1971 roku FBI przeniosło Fleishera do Detroit i przestał  
zaj-  
mować się tą sprawą.  
Bender spoglądał na Fleishera znad kubka z kawą.

— Cholera, to musiało być frustrujące. Ależ bym chciał zobaczyć tego

Kopciuszka. Udało wam się wtedy złapać Vorhauera?

Fleisher pokręcił z niezadowoleniem głową.

— Nie. Uganialiśmy się za nim po całym Bostonie. Widziano go w wielu barach, ale zawsze nam się wymykał. Stacjonowałem już w De-

troit, kiedy zadzwonił do mnie agent, z którym pracowałem wcześniej

w Baltimore. „Zgadnij, co się stało”, powiedział. „Dorwaliśmy Vorhauera”.

FBI dostało cynk, że Vorhauer, Najbardziej Poszukiwany Zbieg w Sta-

nach Zjednoczonych, ukrywa się w podmiejskiej posiadłości Sugarmana

w Baltimore. Pod dom podeszło sześciu uzbrojonych po zęby agentów FBI

i policjantów. Sugarman otworzył drzwi i wpuścił ich do środka. Przy sto-

le w kuchni siedział rudowłosy mężczyzna w średnim wieku. Tuż obok

niego leżała teczka z brązowej skóry. Żaden z agentów nie rozpoznał Vor-

hauera. Kazali mu się wylegitymować. Z prawa jazdy i numeru ubezpie-

czenia wynikało, że jest to niejaki Joe Smith; miał również przy sobie

wystawione na to nazwisko karty kredytowe i kartę członkowską jakiegoś

klubu. Na końcu w jego portfelu znaleziono złożone w kostkę potwierdze-

nie przekazu pieniężnego Western Union do matki, zamieszkałej w Ha-

nau w Niemczech Barbary Vorhauer. Niewiele brakowało, aby i tym razem

im się wymknął. Agenci aresztowali Vorhauera, a Sugarmana zabrali do

97

Bostonu na przesłuchanie. Ten natychmiast zaczął współpracować, aby uniknąć zarzutów o ukrywanie zbiega.

Według Sugarmana Bernie Brown zapłacił Vorhauerowi pięć tysięcy dolarów za zabicie Harbin. Vorhauer obserwował przez jakiś czas tancerkę,

a kiedy po wieczornym występie w klubie wróciła do pokoju, zapukał do

jej drzwi. Pomyślała zapewne, że to boy hotelowy z kubelkiem lodu. Vor-

hauer wpadł do środka. Później powiedział Sugarmanowi, że zadał jej trzy ciosy nożem w serce.

Agenci na szczęście aresztowali płatnego zabójcę, zanim zdążył do-

tknąć leżącej obok niego brązowej teczki. Z bocznej ścianki wystawa-

ła lufa pistoletu z tłumikiem kaliber .22; spust znajdował się przy ręczce.

Vorhauer zabrał kiedyś Sugarmana do sklepu spożywczego w Baltimore.

„Patrz” — powiedział i przeszedł między półkami, strzelając do pudełek

z płatkami śniadaniowymi — paf! paf! paf! Wyszedł ze sklepu z tęczką

w ręce spokojnie, jakby był pracownikiem banku udającym się na lunch.

Nikt w sklepie nic nie zauważył. Zdaniem Sugarmana Vorhauer był ge-

niałnym rusznikarzem, który produkował najlepszą na świecie czarno-

rynkową broń.

— Vorhauer to potwór — stwierdził Bender. Obejrzał się przez ramię, jakby w obawie, że morderca stoi za jego plecami. — Tak go oceniam. Ge-  
nius i zarazem psychopata. Te informacje naprawdę pomogą mi w wy-  
rzeźbieniu popiersia.

Poprawił się nerwowo na krześle. Fleisher kręcił ze smutkiem głową.

— Z aresztowania nic nie wyniknęło. Nie został oskarżony o morder-  
stwo. Brakowało dowodów i musieli go wypuścić. Każdy z nas ma za sobą  
jakąś sprawę, którą chciałby poprowadzić jeszcze raz — lepiej. W moim  
przypadku byłoby to śledztwo w sprawie Vorhauera.

Zapadła cisza.

— I jeszcze jedno — odezwał się po chwili Fleisher. —

Uganiailiśmy

się za nim miesiącami, a najdziwniejsze, co ustaliliśmy, to że lubi  
chodzić  
do barów dla gejów i transwestytów.

Twarz Bendera pojaśniała.

98

— Nie był gejem — wyjaśnił Fleisher. — Po prostu do mokrej  
roboty  
zatrudniał pogrążonych w depresji homoseksualistów. Niektórzy z  
nich

cieszyli się, że mogą dołożyć jakiemuś hetero.

Bender uśmiechał się do siebie, jakby w ogóle nie słuchał  
Fleishera.

Odpląnął myślami gdzie indziej. Fleisher miał poczucie, że równie  
dobrze

mógłby podjąć próbę nawiązania kontaktu wzrokowego z Drogą

Mleczną.

— Frank, wróć na Ziemię.

Wendy ponownie pojawiła się w ich sali.

Fleisher uśmiechnął się i potrząsnął głową, jakby próbował odgonić

muchę. Często się zastanawiał, jak to jest być Frankiem

Benderem. Jakie

to uczucie być detektywem trawionym obsesją na punkcie seksu i śmier-

ci? Czy Frank słyszał głosy, które podpowiadały mu, co robić?

Wendy przyniosła rachunek. Bender zaczął z nią flirtować głosem słod-

kim jak miód. Niepokój w jednej chwili zniknął z jego twarzy.

Fleisher

dopił kawę i wybuchnął śmiechem.

— Frank, sam masz na koncie niejedną ofiarę.

Bender uśmiechnął się pod nosem. Wyobraźnia przeniosła go w znajo-

me regiony. Myślał o brunetkach — o brunetkach i blondynkach.

Rozdział 12

Detektyw Fizjonomista

W pracowni panował niezwykły spokój. Z oddali dobiegał odgłos przy-

pominający fale rozbijające się o brzeg, był to jednak po prostu nieprze-

rwany szum samochodów przejeżdżających autostradą. Przez zakurzone

światliki z trudem przebijał się brzask. Z cienia wyłoniła się

paskudna

twarz Vorhauera, oświetlona promieniami Gwiazdy Porannej.

Fizjonomia

była na wpół ukształtowana, groteskowo wykrzywiona, jakby rozpięta na

stalowym szkielecie bryła gliny cierpiała straszliwe katusze.

Przypomina-



ła Benderowi uwięzionego w skale, wyrrywającego się ku wolności niewolnika Michała Anioła. Bender spuścił wzrok na kubek kawy i podniósł go z powrotem.

— Cholera jasna — zaklął. Uderzył dłonią w glinę. Miał ochotę cisnąć rzeźbą o ścianę. Czego w niej brakowało? Bender wykonał piętnaście szkiców twarzy Vorhauera, rozpoczął też pracę nad popiersiem. Starał się zdobyć jak najwięcej informacji na temat płatnego zabójcy, jak to miał w zwyczaju przy okazji każdego zlecenia.

Przestudiował akta policyjne, artykuły w gazetach, kartotekę w kostnicy; analizował zdjęcie sprzed trzynastu lat. Doprowadzał do szewskiej pasji policjantów, bombardując ich nieustannie pytaniami. Według oficjalnej wersji Vorhauer był postacią jednowymiarową: absolutnym wcieleniem zła. Koniec, kropka. Ale to nie wystarczało do stworzenia trójwymiarowej rzeźby odwzorowującej realną jednostkę. Bender nie potrafił do końca przeniknąć tajemnicy mistrza kamuflażu.

100

Miał okazję zobaczyć Vorhauera na własne oczy i było to przeżycie, z którym nie mogła się równać żadna relacja pośrednia. Morderca był „zimny jak stal, zimny, zimny, zimny”, opowiadał. „Jego oczy mówiły wyraźnie, że życzy mi śmierci”. Bender cały czas poszukiwał

brakującego składnika, klucza do duszy Vorhauera — jeżeli morderca w ogóle ją posiadał. Tymczasem na wynik jego pracy czekali policjanci. Nie mogli znaleźć mordercy, ponieważ nie wiedzieli, jak wygląda. „Być może powinienem zacząć myśleć jak płatny zabójca?”, zastanawiał się Bender, popijając zimną kawę. Stał przed nieukończonym popiersiem i próbował zgłębić tajemnicę oczu bezlitosnego mordercy. I wtedy usłyszał dzwonek do drzwi. Przysadzisty mężczyzna średniego wzrostu z rozczochranymi siwymi włosami otaczającymi okrągłą twarz zmierzył wzrokiem Bendera, uśmiechając się z politowaniem. Był to Paul Schneider, oficer śledczy z hrabstwa Delaware powołany na stanowisko szeryfa federalnego. Schneider był jednym z najlepszych detektywów, z którymi Bender miał okazję współpracować — inteligentnym twardzielem, który nigdy się nie poddawał. „Gdyby w serialach telewizyjnych chcieli pokazywać prawdziwych śledczych, nie powinni zatrudniać tych przystojniaków, ale gości pokroju Paula Schneidera”, twierdził Bender. Schneider nie był zwykłym szeryfem — dowodził oddziałem próbującym złapać Vorhauera. Uśmiechnięta twarz Schneidera kontrastowała z mrokiem pracowni. — Widziałem go, na sto procent go widziałem! Vorhauera.

— Żartujesz!

Bender dostał wypieków na twarzy, oczy rozbłysły mu z podniecenia.

Po dziewięciu miesiącach jałowych poszukiwań mordercy-ducha naresz-

cie nastąpił przełom.

Schneider potrząsnął głową.

— Godzinę temu na Wellington Street, przecznicę od domu jego żony.

Wsiadał do samochodu z jakimś mężczyzną.

Bender spoglądał teraz nieobecny, zamglonym wzrokiem, zupełnie

jakby ktoś nagle odłączył zasilanie jego oczu. Vorhauera poszukiwały ty-

siące policjantów i informatorów oraz najlepsi łowcy nagród.

Dotąd nie

widział go nikt poza Benderem. Za pierwszym razem stał na zatłoczonym

101

chodniku przed apteką. Miał na głowie czapkę bejsbolową i okulary prze-

ciwstoneczne. Palił papierosa. W jakiś sposób wyczuł obecność Bende-

ra, który w zaparkowanym przecznicę dalej samochodzie unosił właśnie

aparatus fotograficzny. Vorhauer patrzył przez moment prosto w teleobiek-

tyw. Przez zaciętą, wykrzywioną twarz przebiegł drwiący uśmiech; zaraz

potem mężczyzna zniknął. Jego obraz ledwie zdążył się utrwalić na kli-

szy — rozmazana sylwetka, której nie udało się nawet zamienić na szkic,

a w zasadzie kilka promieni światła i cień. Śledztwo przypominało po-

lowanie na ducha lub oczekiwanie pod figurą świętego, aż  
zacznie ronić  
krwawe łzy.  
Strachu najadł się dopiero za drugim razem. Ze Schneiderem  
podje-  
chali w przebraniu śmieciarzy pod dom Barbary Vorhauer na  
Wellington  
Street. Policja podejrzewała, że Vorhauer ukrywa się u żony,  
filadelfijskiej  
pielęgniarki. Bender zachowywał wszelkie środki ostrożności —  
Vorhauer  
nie zawahałby się zastrzelić każdego, kto wszedłby mu w drogę  
— i prze-  
brany za pracownika zakładu oczyszczania miasta zajmował  
siedzenie  
pasażera w śmieciarce. Pod dywanikiem na podłodze leżała  
naładowa-  
na strzelba. Schneider zatrzymał się na tyłach budynku. Nie  
chcąc wzbu-  
dzać podejrzeń, Bender z pochyloną głową wrzucił worki ze  
śmieciami  
do zgniatarki, dopiero później szybkim ruchem wyjął aparat  
fotograficz-  
ny z kieszeni kombinezonu i zaczął fotografować budynek. Kiedy  
skiero-  
wał obiektyw na zasłonięte okno na pierwszym piętrze, oblał go  
zimny  
pot. Żaluzje były rozchylone, jakby ktoś przez nie wyglądał.  
Ogarnęło go  
poczucie, że stoi zupełnie nagi, całkowicie bezbronny,  
sparaliżowany stra-  
chem. Serce waliło mu jak młotem. Czekał na wystrzał i  
ciemność, cze-  
kającą na każdego u kresu życia. Mijały kolejne chwile i nic się  
nie działo.

Później, kiedy uświadomił sobie, że zawdzięczał życie kaprynowi mordercy, ponownie poczuł ucisk w żołądku. A może przez okno wyglądała podejrzliwa pielęgniarka? Vorhauer wy-  
dawał się równie realny jak śmierć i nierealny jak duch. Bender otrząsnął się z myśli, wziął do ręki pastele i podszedł do szta-  
lugi.

— Namalujmy go dokładnie, żeby twoi ludzie wiedzieli, kogo szukają.

Trzeba w końcu przyskrzynieć drania.

102

Schneider skinął głową i stanął za plecami Bendera. Ręka artysty po-

ruszała się szybko nad białą płachtą papieru, szkicując wąską ulicę i samo-

chód niemal równocześnie z opisującymi je słowami Schneidera.

— Obserwowaliśmy jego żonę, mając nadzieję, że wyjdzie z jej miesz-

kania — opowiadał śledczy. — Zobaczyłem, jak wsiada do zaparkowane-

go samochodu po prawej stronie ulicy...

— Jak wyglądał? — dopytywał się Bender. Serce zabiło mu mocniej.

Miał poczucie, że wreszcie osaczają zwierzynę.

— Wrednie — odparł Schneider.

Bender kiwał niecierpliwie głową.

— Przejeżdżając koło nich, dostrzegłem tylko kawałek twarzy kierow-

cy, samo ucho — relacjonował szeryf federalny. — Kątem oka zobaczy-

łem Vorhauera. Zacięta, szczupła, ospowata twarz, rudobrzowe włosy.

Na głowie miał bejsbolówkę.

— Jakiego koloru?

— Niebieską.

W chwilę później szkic przedstawiał człowieka opisanego przez Schnei-

dera. Bender odwrócił się i spojrzał na śledczego.

— Miał świadomość waszej obecności?

— W żadnym razie, kolego — obruszył się szeryf federalny, jakby py-

tanie go uraziło. — Mamy w tych sprawach pewne doświadczenie.

Bender zmarszczył krzaczaste brwi, mrużąc oczy. Wiedział, że Vor-

hauer ma najwyższy iloraz inteligencji ze wszystkich osób, które przewi-

nęły się przez zakłady karne Pensylwanii.

— Ludzie pokroju Vorhauera są obdarzeni szóstym zmysłem — powie-

dział niezwykle spokojnym, wyważonym tonem. — Potrafią wyczuć, kie-

dy ktoś ich obserwuje.

Schneider wzruszył ramionami.

— Jestem pewien, że nas nie widział.

— Co zrobiliście? — spytał Bender, czerwony z podniecenia.

— Nic — skrzywił się Schneider.

— Jak to nic?

Twarz artysty nabrała barwy dojrzałej śliwki.

103

— Nie mieliśmy wyboru — powiedział Schneider, spuszcżając wzrok. — Nawet by się nie zawahał. Zastrzeliłby mnie na miejscu. Musi-

my wybrać odpowiednie miejsce i czas.

Ramię Bendera opadło na sztalugę. Schneider i pozostali śledczy za-

wsze odczuwali przed Vorhauerem wielki respekt. „To niezwykle czło-

wiek", powtarzał Schneider. „Absolutnie niezwykły". Schneider nie potrafił przejść do porządku dziennego nad faktem, że genialny płat-

ny zabójca i znakomity stolarz po ucieczce z więzienia zaczął studiować

chemię na uniwersytecie i zbudował linię do produkcji metamfetaminy

mogącą automatycznie wytwarzać narkotyki, gdy on znajdował się gdzie

indziej — nie musiał dzięki temu obawiać się aresztowania ani wybuchu.

Nawet policjanci obawiali się brutalności Vorhauera, który w przeszłości

dzięki niezwykłym umiejętnościom strzeleckim wiele razy wymykał się

z zasadzek.

— Głowa do góry. Jak moglibyśmy przegrać, skoro Detektyw Fizjono-

mista jest po naszej stronie? — stwierdził Schneider, przywołując prze-

zwisko, którym ochrzcił kiedyś Bendera.

Bender uśmiechnął się pogodnie, ale jego oczy zdradzały, że ponow-

nie odpłynął myślami gdzie indziej. Wsłuchiwał się w głos, któremu ufał

najbardziej, „dobiegający z wnętrza". Inni nazywali go intuicją, ale Ben-

der słyszał w nim jednoznaczne podpowiedzi, których nie dałby mu ża-

den policjant ani których nie znalazłby w aktach sądowych. Teraz, późno

wieczorem, już po wyjściu Schneidera, głos przekazał mu trzy nowe spo-

strzeżenia, które Bender uznał za absolutnie prawdziwe i warte ponownej

wycieczki pod sztalugę. Po pierwsze: Vorhauer wiedział, że szeryf federalny przygląda mu się z niewielkiej odległości. Po drugie: mistrz kamuflażu natychmiast zmienił w związku z tym wygląd zewnętrzny. Po trzecie: przefarbował włosy na blond.

— Blond? — zdziwił się Tom Rappone, szef filadelfijskiego biura szeryfów federalnych, zerkając na Bendera, kiedy ten następnego popołudnia wręczył mu gotowy czarno-biały portret Vorhauera i wyjaśnił, że nie chciał marnować czasu na mieszanie pastel. Wykonany węglem rysunek przedstawiał blondyna.

104

— Tak wygląda w tej chwili Vorhauer — stwierdził Bender. — Jeżeli złapiecie go w ciągu najbliższych dwóch tygodni, będzie miał włosy rozjaśnione na blond.

— Blond — powtórzył Rappone, a pod ciemnymi, przyglądającymi się badawczo rozmówcy oczami przemknął ponury uśmiech. Bender co rusz zdumiewał jego ludzi nieszablonowymi pomysłami i przewidywaniami, ale to przebijało wszystkie. Płatny zabójca mafii ucharakteryzowany na modelu z reklamówki farby do włosów.

— Vorhauer jest aryjczykiem dumnym ze swojego niemieckiego pochodzenia — tłumaczył Bender. — Ma odpowiednią karnację. Jest rów-



niez artystą, wyjątkowo kreatywnym artystą.

Rappone milczał, jakby spodziewał się dalszych wyjaśnień.

Bender

poczerwieniał na twarzy. Wcale się nie peszył, gdy

kwestionowano jego

wizje — zdarzało mu się wręcz wpadać w gniew. Później czasami wycho-

dziło na jego.

— Fleisher wspomniał, że kiedy był agentem FBI w Bostonie, Vorhauer

zaglądał często do barów dla gejów i transseksualistów. On sam nie jest

gejem, ale szukał tam pomocników. Problem w tym, że wygląda na stu-

procentowego hetero. Przefarbowanie włosów na blond pomoże mu wmie-

szać się między tych wszystkich trans. Uwierz mi, Tom, utlenił sobie włosy.

Rappone wzruszył ramionami i skserował portret dla swoich ludzi.

Kiedy Schneider zobaczył dzieło Bendera, uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Frank, my ci ufamy, ale zastępca prokuratora okręgowego uznał

twój portret za żart. Wielu chłopaków sądzi, że ci odbiło.

Bender uśmiechnął się z zażenowaniem. Tym wyrazem twarzy zdołał

zbałamucić wiele porządnych kobiet w różnym wieku.

Przez następnny tydzień Bender nadal pracował nad popiersiem Vorhauera.

Pewnego dnia w jego przestronnej pracowni rozległ się telefon.

Rappo-

ne dzwonił z informacją, że prowadzona od dawna obserwacja Barbary

Vorhauer w końcu przyniosła skutek. Kobieta doprowadziła policjantów

wprost do męża.

— Żartujesz! Opowiadaj wszystko! — wykrzyknął Bender pełnym entuzjazmu głosem dziecka.

105

Barbara, pracująca na nocnych zmianach w Szpitalu Ortopedycznym, wychodziła z pracy wczesnym rankiem. Niekiedy, zamiast do domu, ru-

szała w innym kierunku, poruszając się krętą, pozornie przypadkową trasą.

Wyszkolona przez Hansa, przez wiele miesięcy uwalniała się w ten sposób od śledzących ją policjantów.

W końcu pewnego dnia zdołali jej nie zgubić, choć raz po raz zawraca-

ła o sto osiemdziesiąt stopni i wjeżdżała w ślepe uliczki. W końcu zatrzy-

mała się na parkingu restauracji Penrose Diner. Wsiadła z samochodu

i zniknęła w środku. Po chwili wyłoniła się z restauracji i przeszła na dru-

gą stronę ulicy do Quality Inn, jedenastopiętrowego budynku w kształcie

walca. Na schadzkę z żoną Hans Vorhauer wybrał okrągły hotel z wido-

kiem na wszystkie strony.

Rappone wysłał ludzi w nieoznakowanej furgonetce na hotelowy parking, aby zaczekali tam na Vorhauera. Mijały godziny, a czterech

uzbrojo-

nych po zęby szeryfów federalnych nie spuszczało oka z głównego wyjścia.

Nie mogli opuścić furgonetki, nawet gdyby któryś musiał pójść do toalety.

Jakiegokolwiek podejrzane zachowanie mogło spłoszyć Vorhauera.

Obserwa-

cja trwała przez całą noc. Następnego dnia rano Rappone wezwał posiłki.

O dziesiątej rano Vorhauer i jego żona wyszli z hotelu i zostali natychmiast otoczeni przez szeryfów federalnych. Płatny zabójca poddał się,

unosząc ręce. Miał na sobie jasną marynarkę, kapelusz i okulary przeciw-

słoneczne. Kiedy zdjął okrycie głowy, oczom wszystkich ukazała się cał-

kowicie zmieniona fryzura: krótko przycięte, utlenione włosy.

— Dobra robota, Detektywie Fizjonomisto. Nie mam pojęcia, jak to ro-

bisz — powiedział Schneider, kiedy zajrzał do pracowni, aby pogratulo-

wać partnerowi. — Wiele osób powinno cię przeprosić.

— Tobie też należą się gratulacje — odparł Bender. — Jesteś najlep-

szym oficerem śledczym, z jakim współpracowałem.

— Wyskoczyłbyś na piwo?

— Przykro mi, mam głowę do pomalowania.

Schneider skierował wzrok na popiersie mężczyzny. Skądś znał tę

twarz.

106

— Mężczyzna z Pola Kukurydzy — wyjaśnił Bender, wskazując na

niezidentyfikowanego białego mężczyznę w wieku dwudziestu kilku lat,

którego ciało zostało znalezione przez farmera orzącego pole w pensyl-

wańskim hrabstwie Lancaster. W trakcie kilku tygodni ich kontaktów

w związku ze sprawą Vorhauera Schneider obserwował postępy

prac: od  
czaszki, przez glinianą formę, do gipsowego odlewu. Białe  
popiersie mia-  
ło w sobie coś heroicznego; przedstawiało przystojnego,  
długowłosego  
mężczyznę o silnie zarysowanej żuchwie i szlachetnym nosie.  
Mężczy-  
zna z Pola Kukurydzy wyglądał jak Tezeusz szykujący się do  
starcia z Mi-  
notaurem.

— Skoro złapaliście Vorhauera, może uda wam się ustalić  
tożsamość  
tego delikwenta — powiedział Bender, wskazując głową na  
popiersie.

Schneider delikatnie się uśmiechnął.

— Nic o nim nie wiesz, prawda?

— Nic a nic.

Usta śledczego wykrzywiły się w lekkim grymasie  
niezadowolenia.

— Rozumiem. Policja poszukuje w całych Stanach  
kilkudziesięciu ty-  
sięcy zaginionych osób, a ty oczekujesz, że wyciągnę z  
kapelusza dane  
konkretnego człowieka? Nie jestem czarodziejem. Chyba sam się  
za ko-  
goś takiego nie uważasz, prawda?

Artyście rozbłyły oczy.

— Nie, sukces można osiągnąć tylko pracą zespołową.  
Po drodze do domu Schneider wstąpił na komendę w Upper  
Darby, aby  
odebrać zaległą korespondencję. Nie zaglądał tam od kilku  
tygodni. Kie-  
dy nie pomagał akurat szeryfom federalnym, pracował jako  
zwykły oficer  
śledczy. Ze względu na prowadzone od lat śledztwo dotyczące

gangu motocyklowego Warlocks — a przy okazji niejakiego Naussa, człowieka, który uciekł z więzienia z Vorhauerem — Schneider stał się ważną postacią oddziału ścigającego obu morderców. W wydziale miał opinię specjalisty od gangów motocyklowych. Ledwie wszedł na komendę, jeden z oficerów poprosił go, aby spojrzał na zdjęcie pewnego człowieka. Oficer do-  
wiedział się właśnie od swojego informatora, że zaginiony mężczyzna na

107

zdjęciu nazywał się Edward Meyers, został zabity przez członków gangu motocyklowego i pochowany na jakimś wzgórzu w Pensylwanii.  
— To on. Znasz go może?

Schneider otworzył ze zdumienia usta. Na zdjęciu znajdował się Męż-  
czyzna z Pola Kukurydzy.

— Nie, ale kwadrans temu widziałem jego popiersie w pracowni Fran-  
ka Bendera.

Nie zważając na uśmiechy i docinki kolegów, Schneider wrócił do pra-  
cowni artysty. Razem porównali zdjęcie i popiersie. Podobieństwo było  
uderzające. Policja potwierdziła to później, porównując zdjęcia rentgenow-  
skie szczęki Edwarda Meyersa z zębami denata.

— Jesteśmy na fali, Detektywie Fizjonomisto — stwierdził Schneider.

Nauss wymykał mu się od wielu lat. W tym czasie w jego rodzinnych stro-

nach krwawe rządy sprawował gang motocyklowy. Schneider dostrzegł swoją szansę. — Musimy złapać Naussa. — Bułka z masłem, partnerze — oświadczył promieniejący dumą Bender, błyskając srebrnym zębem. Bender i Schneider byli niezwykle podekscytowani perspektywą przy-skrzynienia mordercy — Roberta Thomasa Naussa, współnika Vorhauera. Entuzjazmu nie ostudził nawet fakt, że Nauss po ucieczce z więzienia zapadł się pod ziemię i nie widziano go od kilku lat; policja nie dysponowała również wiarygodnymi informacjami na temat miejsca jego pobytu ani jego wyglądu. Jednym słowem, poruszali się całkowicie po omacku. A jednak wiedzieli, że dopną swego. Problem w tym, że nie mogli zdradzić źródła tego przekonania innym policjantom. Sukces przepowiedziało im medium. Była nim Penny Wright, niemal całkowicie niewidoma kobieta, która w przeszłości pomagała Schneiderowi przy wielu śledztwach. Kiedy kilka tygodni wcześniej szeryf federalny zaprowadził do niej Bendera, kobieta przepowiedziała, że kolejnego zbiega schwytają w budynku z wielką kolumną. Po aresztowaniu Vorhauera w Quality Inn, Schneider i Bender uświadomili sobie, że nietypowa bryła hotelu pozwalała go nazwać

wielką kolumną. Podbudowani trafnością przepowiedni,  
przypomnieli  
sobie słowa Wright, że po tym aresztowaniu złapią zbiega z  
problemami  
108  
żołądkowymi. Schneidera aż nosiło z podniecenia. „Nauss został  
w mło-  
dości postrzelony w brzuch przez innego członka gangu  
Warlocks", po-  
wiedział. „Założę się, że do dziś żołądek daje mu się we znaki”.  
Bender był podobnego zdania. Schneider coraz bardziej cenił  
sobie  
współpracę z Detektywem Fizjonomistą. Od dziesięciu lat ścigał  
zbiegłych  
więźniów, teraz jednak miał poczucie, że nawet ci najbardziej  
poszukiwani  
znajdują się niemal na widelcu — ich tajemnice przenikał  
osobliwie roz-  
iskrzonymi oczami Frank Bender.  
— Pan Nauss musi być owym Człowiekiem z Problemami  
Żołądko-  
wymi — stwierdził Schneider.  
Bender wyszczerzył zęby w uśmiechu.  
— Bez wątpienia.

## Rozdział 13

### Człowiek z Problemami Żołądkowymi

Po północy Bender sprowadził Joan do wymalowanego na biało  
pokoju  
znajdującego się poniżej poziomu pracowni. Tańczyli i pili wódkę  
z prze-  
zroczystych kieliszków. Na dworze między budynkami i ponad  
leniwym  
nurtem rzeki zawodził wiatr. Obejrzeni Blue Velvet. Benderowi  
zawsze po-  
dobał się mroczny, a jednocześnie uroczy portret Filadelfii, który

David

Lynch stworzył w swoim filmie. Po seansie miał poczucie, że wizja reży-

sera wdrukowała mu się w umysł. „Filadelfia to niesamowicie piękne mia-

sto”, pisał Lynch. „Fabryki, smog, tory kolejowe, restauracyjki, dziwaczne

postacie, ciemne noce (...), tak wiele lęku i zbrodni, że na chwilę otwo-

rzyły się wrota do innego świata. Gdy myślę o Filadelfii, słyszę zawodze-

nie wiatru i mam wrażenie, że otacza mnie mrok”. Seans dał Benderowi

zastrzyk energii, ale na niewiele się to zdało.

Joan jeszcze w nocy wróciła do domu w New Jersey, gdzie czekał na

nią mąż i dwoje dzieci. Bender położył się do łóżka z Jan i zapadł w krót-

ki, niespokojny sen. O poranku promienie słońca, wpadające przez brudne

światliki, oświetliły pracownię bladym, nierównym światłem. Był lipiec,

upalne lato 1987 roku. Czuł się bezsilny. Opuściła go wena twórcza.

Nazywał ją Harmonią Form, cudowną łaską pozwalającą mu wyczy-

tać kształt ust zmarłego z wyglądu jego oczu i nosa. Bender wprowadzał

się w coś w rodzaju transu, niesłusznie interpretowanego przez innych

jako aroganckie przypisywanie sobie atrybutów boskości. W rzeczywisto-

ści osiągał wtedy stan całkowitej pokory wobec nieuniknionego porządku

110



rzeczy. „Harmonia przenika wszystko: sztukę, muzykę, formę. Czasami potrafię wyczuć, jak coś wygląda lub powinno wyglądać”, tłumaczył. Czasami mu się to nie udawało i był wtedy jak narkoman na głodzie. Popiersie sadystycznego mordercy Roberta Thomasa Naussa, wyrzeźbione bez owej iskry, było najzwyklejszą bryłą martwej gliny, Belzebubem z brązowego błota. Morderca nie chciał odsłonić przed Benderem swego prawdziwego ja, kpił sobie z niego w tej psychologicznej próbie sił. Bender miał zawsze wrażenie, jakby otaczały go duchy osób, które rzeźbił, a Nauss okazał się jeszcze przebieglejszy i okrutniejszy od Vorhauera. Bender wpatrywał się w chłodne oczy gangstera, kiedy rozległ się dzwonek telefonu, płosząc koty ukrywające się w ciemnych kątach pracowni.

— Frank Bender — przedstawił się wyraźnym, zdecydowanym głosem stanowiącym całkowite przeciwieństwo chaosu, w jaki osuwał się podczas pracy. Mężczyzna przedstawił się jako Bob Leschorn, główny inspektor biura szeryfa federalnego w McLean w stanie Wirginia. Przemawiał spokojnie i rzeczowo, a w jego głosie pobrzmiwała charakterystyczna dla osób zajmujących wysokie stanowiska władczość wymieszana z niecierpliwością.

— Dowiedziałem się o znakomitej robocie, którą wykonałeś przy śledz-

twach w sprawie Vorhauera i Naussa. Potrzebujemy twojej pomocy, Frank, w pewnej niezwykle ważnej i delikatnej sprawie. Dzwonię, żeby się dowiedzieć, czy byłbyś zainteresowany.

— Jasne! Chętnie pomogę.

Oddech Bendera nieco przyspieszył. Jako fotograf nie mógł liczyć na

stałe zlecenia i bez przerwy miał kłopoty finansowe — potrzebował tej ro-

boty. Współpracą przy kolejnym śledztwie federalnym sprawiłby ogromną

przyjemność Jan. Tym razem zaproszenie przyszło z samej góry.

— Znakomicie. Ale wszystko po kolei. Nie mogę zreferować sprawy

przez telefon. Musimy zachować pełną dyskrecję. Chodzi o niezwykle

groźnego zbiega z listy Dziesięciu Najbardziej Poszukiwanych.

Zosta-

niesz przywieziony do mojego biura. Tymczasem, Frank, nie mów ni-

komu o naszej rozmowie. Ani znajomym z policji, ani z FBI, ani nawet

szeryfom federalnym.

111

— Oczywiście.

— Nie chcemy, aby ktokolwiek się dowiedział, nawet twoja żona.

Jan nie interesowały szczegóły pracy Bendera, a on nie lubił nikomu

opowiadać o śledztwach, w których uczestniczył — nawet Joan.

Będzie

tylko musiał przykryć lub schować nowe popiersie, aby nie zobaczył go

nikt postronny.

— Rozumiem — odpowiedział.  
Trzy dni później szeryfowie federalni Tom Conti i Steve Quinn pod-  
jechali rano pod jego pracownię czarnym sedanem z  
przyciemnionymi  
szybami. Samochód z ogromną prędkością ruszył na południe  
autostradą  
międzystanową numer 95. Szeryfowie poinformowali Bendera, że  
wiozą  
go na lotnisko, gdzie spotka się z głównym inspektorem, który  
przyleci  
specjalnie z Wirginii. O której, dokładnie nie wiadomo —  
powiedziano  
im tylko, że „po południu”. Kiedy szeryfowie, próbując znaleźć  
samo-  
lot z szefem, krążyli wokół lotniska, Bender doszedł do wniosku,  
że Le-  
schorn wystawił ich na próbę, a przy okazji przedsięwziął  
dodatkowe  
środki ostrożności. Na przyłot samolotu czekali dwie godziny.  
Leschorn był wysokim, siwiejącym pięćdziesięciolatkiem w  
niezwykle  
eleganckim garniturze. Zabrał ich do lotniskowej restauracji i  
wybrał sto-  
lik w tylnym kącie sali. Kiedy kelner zniknął z zamówieniem,  
Leschorn  
nachylił się w stronę Bendera i cichym głosem zaczął referować  
sprawę.  
Jego ludzie obserwowali uważnie wejście do restauracji.  
Leschorn wyjaśnił,  
że szukają Alphonsea „Małego Alliego” Pérsico, drugiego w  
hierarchii  
człowieka w kolumbijskiej rodzinie mafijnej działającej na terenie  
Nowe-  
go Jorku. Pérsico miał pięćdziesiąt siedem lat i wraz z cieszącym

się jesz-  
cze gorszą sławą bratem, Carmineem „Wężem” Pársico,  
zamierzał objąć  
funkcję ojca chrzestnego jednej z pięciu największych rodzin  
mafijnych  
w Stanach Zjednoczonych. Bracia Persico zyskiwali na znaczeniu  
i budzili  
postrach jako ludzie od mokrej roboty. Nominalnie byli  
spadkobiercami  
legendarnego, nieżyjącego bossa Josepha Colombo, ale co  
chwila trafiali  
za kratki. Mały Allie odsiedział szesnaście lat za morderstwo w  
Sing Sing,  
więzieniu o zaostrzonym rygorze w Ossining w stanie Nowy Jork.  
Mówi-  
ło się, że wziął na siebie winę za przestępstwo popełnione przez  
brata. Kie-  
dy w 1980 roku aresztowano go za wymuszenie i lichwiarstwo,  
wyszedł za  
112  
kaucją i zapadł się pod ziemię, unikając w ten sposób kolejnych  
dwudzie-  
stu lat więzienia. Od siedmiu lat był poszukiwany przez policję.  
Pársico ukrywał się tak skutecznie, że FBI postanowiło pozbyć się  
jego  
sprawy i podrzuciło ją szeryfom federalnym. Mimo ogromnych  
sum pie-  
niędzy wydanych na analizę fałszywych dokumentów i fikcyjnych  
tożsa-  
mości przybieranych przez mafiosa, FBI nie było nawet pewne,  
czy Mały  
Allie jeszcze żyje. „Przez ostatnich siedem lat żywiliśmy się  
praktycznie  
samymi anonimowymi donosami”, wyjaśniał rzecznik FBI. „Tropy pro-

wadziły w najróżniejsze miejsca na całym świecie. Miał przebywać w Miami, Honolulu, Japonii, Ameryce Południowej. Sprawdziłmy wiele śladów, ale nic z tego nie wyniknęło".

Leschorn podkreślił, że muszą działać szybko i w całkowitej tajemnicy.

Nawet wśród szeryfów federalnych Pérsico miał status Człowieka, Którego Nazwiska Nie Wolno Wypowiadać. Szeryfowie mieli zwyczaj mówić o nim, wyłącznie używając kryptonimu.

— Schwywanie tego człowieka to nasz priorytet — wyjaśnił Leschorn. — W poszukiwaniu włożyliśmy wiele wysiłku.

Bender uśmiechnął się pod nosem. Wiedział, że szeryfowie federalni lubią rywalizować z FBI w głośnych śledztwach, aby potwierdzić swój status najlepszych na świecie organów ścigania. Uważają się za prawdziwych stróżów prawa, niedocenianych w porównaniu z pretensjonalnymi szpanerami z FBI.

Leschorn położył na stole dwa małe, wykonane w więzieniu zdjęcia Pérsica. Portrety o rozmiarach 7,5 na 12,5 centymetra przedstawiały gangstera z profilu oraz patrzącego prosto w obiektyw aparatu. Wykonano je niemal dwanaście lat wcześniej. Podobnie jak w przypadku Vorhauera i Naussa, nie istniały żadne aktualne zdjęcia poszukiwanego.

— Co się stało z jego twarzą? — spytał Bender. Cały lewy policzek wyglądał, jakby jego właściciel przespał się na poduszce

wypełnionej kamieniami i gwoździami. Pas blizn kończył się przy dolnej, niemal sonej wardze.

— Wdał się w bójkę w Sing Sing i ktoś oblał mu twarz kwasem

— wy-

jaśnił Leschorn.

Podejrzewano, że mógł sobie zrobić operację plastyczną.

— Niewiele tego macie — stwierdził Bender.

113

— Wziąłbyś takie zlecenie?

Leschorn chciał dostać popiersie w ciągu dziesięciu dni.

Bender pomyślał, że projekt będzie wymagał niecodziennego połączenia

sztuki, nauki i wróżenia z fusów, które przypominały próby odgadnięcia

zmian wyglądu wywołanych procesami starzenia się. Właśnie w ten

sposób udało się złapać Vorhauera i tę samą strategię zamierzał obecnie

wykorzystać do stworzenia portretu Naussa.

— Oczywiście.

Uśmiechnął się szeroko, a jego twarz przybrała charakterystyczny uszczęśliwiony, nieco obłądny wyraz świadczący o tym, że jego wyobraź-

nia już rozpałała się do czerwoności. Satisfakcję sprawiały mu jedynie

najtrudniejsze zlecenia, dające nadzieję, że w razie powodzenia zostanie

okrzyknięty bohaterem.

— Muszę wiedzieć o nim wszystko, co tylko możliwe.

Agenci federalni nie potrafili dostarczyć zbyt wielu informacji. Na zdjęciach sprzed dwunastu lat Persico był szczupłym,

czterdziestopięcio-

letnim mężczyzną o wyglądzie playboya. Miał oliwkową karnację, ciem-

ne włosy i wąsy. Pił i palił jak smok; największą sympatią darzył szkocką whisky. Miał żonę, ale spotykał się z wieloma kobietami. Przez wiele lat jego dziewczyną była Mary Bari, olśniewająco piękna, niewysoka brunetka. Poznali się, gdy ona miała piętnaście lat, a on dobiegał czterdziestki. W tamtych czasach nowojorska mafia przeżywała swoje najlepsze lata i Persico obsypywał Mary diamentami, otulał futrami, zabierał ją do Las Vegas, gdzie jeździli białym rolls-roycem w asyście uzbrojonego ochroniarza. Kiedy w 1984 roku zaczął się ukrywać, załatwił jej posadę kelnerki w prowadzonym przez mafię Wimpy Boys Social Club w Brooklynie, aby miała stałe źródło dochodów i była blisko rodziny. Na rozmowę kwalifikacyjną przyszła wystrojona, jak na dziewczynę gangstera przystało: w bluzce bez rękawów, szpilkach, spódnicy z paskiem z węzowej skóry, obwieszona perłami. Powitał ją Greg Scarpa junior, syn szefa rodziny. Scarpa przytrzymał ją mocno w serdecznym uścisku, gdy tymczasem jego ojciec, Greg „Kostucha” Scarpa, zbliżył się z przyjazną miną, jakby też chciał dać jej buziaka. W ostatniej chwili wyciągnął pistolet i wpakował jej trzy kulki w głowę. Ciało porzucili na ulicy dwie przecznice od klubu. Krążyła plotka, że chciała zdradzić FBI

kryjówkę

Pérsica. „Mój Boże”, powiedział później Bender, kiedy usłyszał tę historię.

„Przy tym gościu Vorhauer sprawia wrażenie prawdziwego dżentelmena”.

Szeryfowie sądzili, że Pérsico żyje i mieszka na Florydzie lub w Con-

necticut. Wielu gangsterów ukrywało się w tych stanach.

Bender przystąpił do pracy, a szeryfowie raz po raz przewozili go sa-

molotem z Filadelfii do Nowego Jorku, skąd koordynowano poszukiwania.

Przedsięwzięto takie środki bezpieczeństwa, że ani ochrona, ani pilot nie

mogli obejrzeć zawartości pudła z włókna szklanego, które

Bender pewne-

go dnia przypiął pasem do sąsiedniego fotela. Popiersie skończył w ciągu

dziesięciu dni. Przedstawił mafiosa jako podstarzałego

mężczyznę o po-

marszczonej twarzy, z wąsami i ufarbowanymi na ciemno

włosami. Ob-

jęty programem ochrony świadków były gangster, który widział

Pérsica

kilka lat wcześniej, obejrzał rzeźbę i ocenił ją pozytywnie.

Cztery miesiące później, w poniedziałek 9 listopada 1987 roku, oko-

ło piątej po południu, jeden z szeryfów pokazał zdjęcie popiersia

Pérsica

dozorczyni budynku w West Hartford w stanie Connecticut. Był to je-

den ze stu pięćdziesięciu adresów, które zamierzał skontrolować.

Spośród

tysięcy mężczyzn wybrano stu pięćdziesięciu mieszkańców

Connecticut,



którzy posiadali prawo jazdy zawierające informację o podobnym wieku, wzroście i zbliżonej dacie urodzenia jak Pérsico oraz których nazwisko kończyło się na samogłoskę. Nieopodal w samochodzie czekało siedmiu uzbrojonych po zęby szeryfów. Najpierw pokazał kobiecie zdjęcie Pérsica wykonane przed dwunastoma laty. Pokręciła głową. „Nigdy go nie widziałam”. Następnie fotografię popiersia stworzonego przez Bendera. „Och, ten człowiek mieszka u mnie na piętrze. Nazywa się John Longo. Właśnie do mnie dzwonił. Prosił, że- bym przyszła, bo zepsuł mu się piekarnik. Przyrządza sos i kuchenka przestała działać. Wydawał się zmartwiony z tego powodu”. Szeryf tylko się uśmiechnął. „Proszę się nie martwić, naprawimy kuchenkę”. Falanga agentów federalnych podeszła pod drzwi mieszkania. Persico znany był z tego, że nosił przy sobie broń, był niezwykle niebezpieczny i podróżował z ochroniarzami. Otworzył drzwi. Był sam — zirytowany, że nie może przyrządzić sosu do spaghetti.

115

Szeryf pokazał odznakę. Podstarzały mafioso skulił się, oszpecona twarz stężała. Poddał się bez walki. Mieszkanie było wynajęte na nazwisko jakiejś kobiety, ale nie jego żony. Szeryfowie znaleźli siedem tysięcy trzysta dolarów w gotówce. Nowojorska mafia przysyłała mu

pieniądze.

Pérsico miał pomóc rodzinie Colombo w przezwyciężeniu kryzysu, w jakim się znalazła.

Mały Allie wymykał się szeryfom przez siedem lat, wiodąc bezbarwne życie. Kiedyś mało brakowało, a wpadłby w Kalifornii. Od tego czasu

postanowił się nie wychylać. W Connecticut całymi dniami przesiadywał

w mieszkaniu, gotował, oglądał seriale w telewizji i czytał gazety. Jeden z nowojorskich szeryfów twierdził, że słynący z zamięłowania

do wystawnego życia gangster zostałby złapany o wiele wcześniej, gdyby

nadal spełniał te same co dawniej zachcianki, chodził na gonitwy konne,

pił whisky i zadawał się z mnóstwem panienek. Tymczasem, kontynuował

szeryf, „z tego, co udało nam się ustalić, żył skromnie i oddawał się głów-

nie lekturze gazet. Zupełnie jakby siedział w więzieniu”.

Rok wcześniej jego brata skazano na sto lat pozbawienia wolności za

wymuszenie okupu. Do postawienia zarzutów doprowadziła szeroko za-

krojona operacja służb federalnych, dzięki której aresztowano ośmiu bos-

sów rządzących amerykańską mafią za pośrednictwem „Komisji”.

Dzięki

Benderowi Mały Allie miał do niech dołączyć.

O sukcesie rzeźbiarza napisały nawet zagraniczne gazety.

Szeryfowie

nie mogli wyjść z podziwu, że pociągła twarz Pérsica, jego ufarbowane na

ciemno włosy i wąsy wyglądały identycznie jak postać z popiersia Bendera.

„Ta sprawa spędzała nam sen z powiek”, powiedział agencji United Press International szef brooklyńskiego biura szeryfów federalnych, Michael Pizzi.

„Okazało się, że popiersie wiernie przedstawia poszukiwanego”. Inny szeryf

ujął to tak: „Trafililiśmy na żyłę złota”. „persico wpadł, bo zabrakło mu tymianku”, żartowała nowojorska gazeta „Daily News”.

— Mały Allie Pérsico? — spytał Bill Fleisher, drapiąc się po brodzie. —

A co byś chciał o nim wiedzieć?!

Benderowi zakazano dzielenia się informacjami o śledztwie do czasu

ujęcia gangstera. Trzy tygodnie później świętował sukces podczas jednego

116

z regularnych lunchów z Fleisherem. Był w radosnym nastroju, ponie-

waż po raz kolejny przewidział nieprzewidywalne zmiany, jakie na twarzy

mordercy odcisnął czas. Popiersie ochrzczone przez niego mianem Czło-

wieka z Blizną należało do dzieł, z których był szczególnie dumny.

Fleisher kiwał swoją wielką głową. Miał poczucie, że z Benderem łą-

czy go jakaś niewidzialna, kosmiczna więź.

— Kiedy pracowałem w FBI, przydzielono mnie do nowojorskiego od-

działu zajmującego się rodziną Colombo. Próbowaliśmy dorwać Małe-

go Alliego. Pojechaliśmy na jego farmę w północnej części stanu Nowy

Jork i aresztowaliśmy go na podstawie zarzutu o złamaniu

przepisów dotyczących przechowywania alkoholu, tytoniu, broni palnej i materiałów wybuchowych. Znaleźliśmy strzelbę, na którą nie miał pozwolenia. Zjawiliśmy się skoro świt, facet strasznie śmierdział. Chyba nie zdążył umyć zębów. Wyglądało też, że nie spał całą noc. Przesłuchiwałem go w pobliskim budynku policji stanowej. Był typowym gangsterem, jakich pełno było w tamtych czasach w Brooklynie — typ szorstkiego czarusa. Niby dżentelmen, ale wystarczyło, że ktoś na niego krzywo spojrział, a był gotów wpakować mu kulkę w łeb.

Bender wybuchnął śmiechem. Fleisher uniósł szklanekę z mrożoną herbatą.

— Nie mam pojęcia, jak to robisz, Frank. Jesteś niezwykle cennym nabytkiem naszych organów ścigania. Mały Allie był grubą rybą. Pamiętam, że miał kłopoty żołądkowe. Wrzody...

— Mały Allie? — nachylił się gwałtownie Bender.

— Tak.

Bender otworzył szeroko usta i oczy. Jedna z niewielu informacji o Per-sicu, które przekazali mu szeryfowie, dotyczyła właśnie problemów żołądkowych mafiosa. Mały Allie musiał unikać niektórych potraw.

— Mój Boże, Penny Wright trafiła w dziesiątkę.

Bender opowiedział Fleisherowi o wróżce, do której zaprowadził go Paul Schneider, oraz jej przepowiedni, że następnym po Vorhauerze

kryminalistą schwytanym przez szeryfów będzie człowiek z problemami żołądkowymi. Schneider miał nadzieję, że mówiła o Naussie, który

117

jego zdaniem nabawił się problemów żołądkowych w wyniku postrzału w brzuch.

— A chodziło o Małego Alliego — wyszeptał Bender, spoglądając w bok nieobecny wzrokiem. Wypowiadał kolejne słowa, jakby miały

moc przepowiedni. — Mały Allie Pérsico to Człowiek z Problemami Żołądkowymi.

Naussa będą musieli złapać bez pomocy sił nadprzyrodzonych.

Rozdział 14

Na tropie Czarownika

Zanim Robert Thomas Nauss uciekł z więzienia w sosnowej szafie, niczym

Odyseusz przedostający się podstępem za mury Troi w drewnianym ko-

niu, więcej łączyło go z potworami niż antycznymi herosami. Był wów-

czas szczupłym młodzieńcem z brodą, upodobniającą go do wizerunków

Jezusa, oraz jasnobrązowymi oczami płonącymi jak u jeźdźca Apokalip-

sy. Mieszkańcy hrabstwa Delaware w stanie Pensylwania trzęśli się ze

strachu, kiedy Bobby Nauss wchodził do baru z innymi członkami gan-

gu motocyklowego Warlocks — Czarowników, obwieszonymi łańcucha-

mi i ubranymi w czarne skórzane ubrania. Policja podejrzewała, że jego

pozbawione człowieczeństwa spojrzenie było ostatnią rzeczą, którą zobaczyło przed śmiercią kilka ładnych dziewczyn zaginionych na bagnach w Tinicum. Nauss został skazany za zamordowanie jednej osoby (dwóch innych zabójstw mu nie udowodniono) oraz gwałt, rabunek i handel narkotykami.

Wieczorem 11 grudnia 1971 roku przywódca Czarowników poszedł na randkę ze swoją dziewczyną, Elizabeth Landy, dwudziestojednoletnią, jasnowłosą miss Filadelfii. W domu jednego z członków gangu wybuchła między nimi kłótnia. Nauss próbował udusić Elizabeth, ale dziewczyna zamknęła się w łazience. Po jakimś czasie pogodzili się i poszli do łóżka. Nauss zatłukł ją tam na śmierć kijem bejsbolowym. Ciało powiesił w garażu i pokazał je kolegom z gangu. „Nie będzie mi już zawracała głowy”, przechwalał się. Nauss odciął jej dłonie i stopy, a ciało posypał wapnem,

119

aby przyspieszyć proces rozkładu. Pochował ją w płytkim grobie gdzieś pod Pine Barrens w stanie New Jersey. Później został pierwszym człowiekiem w historii stanu Pensylwania skazanym za morderstwo pierwszego stopnia pomimo braku ciała ofiary. Zwłok Elizabeth Landy nigdy nie znaleziono. Nauss zbiegł z więzienia Grateford z Vorhauerem i od

tego cza-  
su nikt go nie widział  
Bender zrobił krok do tyłu i spojrzał na projekt popiersia Naussa  
przedstawiający jego młodzieńczą twarz zmienioną przez czas  
oraz dłu-  
gotrwały stres. Od aresztowania Vorhauera upłynął niecały  
miesiąc i sze-  
ryfowie federalni czekali teraz na efekty pracy rzeźbiarza — bez  
tego nie  
wiedzieli, jak wygląda człowiek, którego zamierzali schwytać. Jan  
mia-  
ła nadzieję, że jej mąż i tym razem w cudowny sposób przewidzi  
wygląd  
zbiega, co sprawi, że otrzyma kolejne ważne zlecenia i obiecaną  
podwyżkę.  
Tymczasem Bender nie wiedział o Naussie prawie nic — w  
każdym  
razie mniej niż o Vorhauerze. Tego ostatniego przynajmniej  
widziano kil-  
ka razy, dzięki czemu dysponował przynajmniej szczątkowymi  
informa-  
cjami, na których oparł wstępne szkice. W przypadku Naussa nie  
istniały  
żadne dodatkowe punkty zaczepienia. Ostatnie zdjęcia, którymi  
dyspono-  
wała policja, pochodziły sprzed niemal dziesięciu lat, kiedy  
przyjmowano  
go do więzienia. W 1977 roku był szczupły, umięśniony, mierzył  
sto sie-  
demdziesiąt pięć centymetrów, ważył osiemdziesiąt pięć  
kilogramów i no-  
sił brodę. Na szerokich ramionach miał wytatuowaną niebieską  
papugę,  
czaszkę i sztylet, swastykę i rysunek z napisem: „Born to Lose”.  
Bender przyjrzał się dokładnie więziennej fotografii, następnie

prze-  
niósł wzrok z powrotem na popiersie. Zamiast groźnego  
gangstera przed-  
stawiało zwykłego trzydziestopięciolatka w koszuli z kołnierzykiem  
przypinanym guzikami. Nowy Nauss był gładko ogolony i miał  
krót-  
kie, ciemne włosy przycięte nad uszami. Morderca przeistoczył  
się w mło-  
dego Clarka Kenta, alter ego Supermana. Bender zamierzał  
przedstawić  
członka gangu motocyklowego jako przysadzistego zbira w  
średnim wie-  
ku, tymczasem pod jego palcami narodził się typowy mieszkaniec  
ame-  
rykańskich przedmieść.  
Bender nerwowo przygryzł dolną wargę. Stworzył rzeźbę, kierując  
się  
podszeptem swojej muzy — harmonia istoty i proporcji twarzy  
wydawała  
120  
się idealna. W wyobraźni słyszał już rechot szeryfów federalnych.  
Płat-  
nego zabójcę pracującego dla mafii przedstawił jako blondyna, a  
teraz  
z mordercy należącego do gangu motocyklowego zrobił Pana  
Porządnic-  
kiego, schludnego rotarianina, elegancika? Już widział twarze  
wykrzy-  
wione w grymasie niedowierzania. „Gdzie niby mamy go  
aresztować? Na  
śniadaniu w izbie handlowej? W klubie golfowym?”.  
Intuicja podpowiadała jednak Benderowi, że i tym razem się nie  
myli.  
Z zasady nie podważał własnych przeczuć; równie dobrze księżyc  
mógł-



by kwestionować realność rzucanej przez siebie poświęty albo  
rzeka ist-  
nienie brzegów, między którymi przepływa. Był artystą, który  
widział  
martwych ludzi. Urodził się z tym darem, niemniej cechowała go  
pokora  
właściwa perfekcjonistom oraz duma typowa dla rzemieślników.  
Wielo-  
krotnie sprawdzał założenia, na których opierał swoje prace, i  
zawsze chę-  
nie uwzględniał nowe informacje.  
Po dziesiątej przeszedł do mieszkalnej części pracowni, aby  
posprzą-  
tać i przebrać się w czystą koszulę. Tej nocy prawie nie spał.  
Rozebrany  
do pasa — niczym nieokrzesany, wytatuowany Jan Chrzciciel —  
obracał  
w dłoniach głowę sadystycznego mordercy i mieszał wodę z gliną  
dla po-  
trzeb oczyszczającego rytuału urządzonego na cześć ofiary.  
Teraz musiał  
odetchnąć świeżym powietrzem. „Miasto jest pełne pięknych  
kobiet i no-  
wych możliwości”, pomyślał.  
Stanął przed lustrem tuż obok głowy Bogini Płodności swojego  
au-  
torstwa i przyczesał rzednące blond włosy. Zarzucił na ramiona  
płaszcz  
i wyszedł z pracowni. Było jasne jesienne przedpołudnie,  
dochodziła dwu-  
nasta. Bender podążył za wąskim cieniem rzucanym na popękany  
chod-  
nik przez jego własną sylwetkę.  
Osiemnaście przecznic dalej wszedł przez szerokie drzwi do  
wielkiego

holu wystylizowanego na starożytny Egipt. W narożnikach sali stały ko-  
lumny w kolorze piasku podtrzymujące balkon, z sufitu zwisał żyrandol,  
którym zachwycali się wszyscy prezydenci od Calvina Coolidgea. W wy-  
budowanym w 1925 roku hotelu Benjamin Franklin —  
pieszczotliwie  
nazywanym Benem, odkąd uroczu się zestarzał niczym ukochany wujek  
abnegat — popełniono kilka zbrodni, niemniej jeszcze nigdy nie  
zgroma-  
dziło się w nim kilkuset prywatnych detektywów, specjalistów od  
analizy  
121  
krwi, lekarzy sądowych, a nawet hipnotyzerów. Trwał kongres  
prestizo-  
wej Amerykańskiej Akademii Nauk Sądowych.  
Bender przeszedł szybko przez hol, nie zastanawiając się nawet, jak  
wielką pogardę żywi dla organizacji, która poprosiła go o  
wygłoszenie  
odczytu na kongresie, ale nie zamierzała go przyjąć w swoje  
szeregi, po-  
nieważ nie miał tytułu naukowego. W pewnej chwili stanęła przed  
nim  
energiczna, uśmiechnięta kobieta i przywitała się z nim głośno, w spo-  
sób typowy dla mieszkańców Oklahomy. W Hollywood obsadzano  
by ją  
w rolach matek stawiających na rodzinnym stole świeżo  
upieczone ciasto,  
ale łagodność bijąca z oczu schowanych za dużymi, okrągłymi  
okularami  
w rogowej oprawie była zwodnicza. Betty Pat Gatliff cieszyła się w

środo-  
wisku opinią wybitnej specjalistki i uchodziła za jedną z pionierek  
plastyki  
sądowej. To ona wykonała rekonstrukcję twarzy faraona  
Tutanchamona  
opublikowaną przez magazyn „Life”. Razem z legendarnym  
antropolo-  
giem Clydeem Snowem odtworzyła czaszki siedmiu  
niezidentyfikowa-  
nych ofiar seryjnego mordercy Johna Waynea Gacy ego.  
Bender i Gatliff poznali się przez Wiltona „Kościanego Detektywa”  
Krogmana, który pracował kiedyś z Eliotem Nessem, a później  
szkolił naj-  
lepszych specjalistów od tak zwanego „szkieletowego dowodu  
tożsamości”.  
Wiele lat po śledztwie dotyczącym morderstwa Chłopca w  
Pudełku Krog-  
man zapoznał Bendera z opracowywanymi od XIX wieku tabelami  
gru-  
bości skóry twarzy. Na egzemplarzu swojej książki zatytułowanej  
Szkielet  
człowieka w medycynie sądowej napisał dedykację: „Dla Franka  
Bendera,  
współtowarzysza podróży po krainie medycyny sądowej”.  
Bender i Betty uścisnęli się serdecznie i usiedli przy stoliku w  
kącie ho-  
telowej restauracji. Ludzie należący do ich profesji nie lubili  
zmuszać przy-  
padkowych osób do wysłuchiwania makabrycznych opowieści.  
Bender opisał sprawę Naussa.  
— Betty, potrzebuję twojej pomocy — powiedział, rozkładając  
ręce. —  
Mam za mało informacji o poszukiwanym.  
Gatliff opowiadała mu akurat o trudnościach, jakie napotkała pod-  
czas rekonstrukcji czaszki ofiary morderstwa na Florydzie —

brakowało  
całej szczęki! — kiedy do stolika podszedł wysoki, wychudły  
mężczyzna  
w niebieskim garniturze.

122

— Betty! — zawołał, wydmuchując z ust mentolowy dym.

— Richard! — przywitała go serdecznie Gatliff. — Frank,  
pozwól, że  
przedstawię ci mojego dobrego przyjaciela, Richarda Waltera.  
Richard jest  
psychologiem sądowym. Opracowuje profile przestępców.  
Bender nie mógł oderwać wzroku od pociągłej, wyniszczonej  
twarzy.

Mężczyzna zachowywał się z dystynkcją godną staroświeckiego  
dżentel-

mena, ale małe niebieskie oczy skrzyły się ironią. Nie widział  
równie prze-  
dziwnej postaci, odkąd natrafił na Upadek domu Usherów w  
telewizji.

Walter zmierzył chłodnym wzrokiem niewysokiego człowieka  
siedzą-

cego przy stole w towarzystwie Betty. Mimo niewielkiego wzrostu  
miał

muskularną budowę ciała, nosił obcisły czarny T-shirt i uśmiechał  
się wy-

zywająco — twarz Jamesa Deana, który nawdychał się gazu  
rozweselają-

cego. Profiler zsunął duże czarne okulary na czubek nosa.

— Mój drogi chłopcze, twój strój jest doprawdy zbyt elegancki,  
jak na

taką okazję — zauważył z nieskrywaną ironią w głosie.

Bender ryknął śmiechem. Człowiek, który rozpoczyna znajomość  
od

tych słów, musi być geniuszem.

— Przysiądziesz się? — spytał z typowym dla siebie zapalem,

bardziej naturalnym dla dwunastolatka niż dojrzałego mężczyzny. —  
Rozmawiamy o śledztwach.  
Walter uśmiechnął się z wyższością i zsunął okulary jeszcze bliżej czubka orlego nosa.  
— Mam nadzieję, że twoje zdolności przewyższają ogłode — stwierdził.  
Bender zaśmiał się jeszcze głośniejszymi, wyraźniej znakomicie się bawił.  
Gatliff wyszczerzyła zęby. Klienci restauracji odwrócili głowy w ich stronę.  
Walter oblał się rumieńcem. „Seriale telewizyjne wyrządziły niedźwiedzią przysługę klasycznej medycynie sądowej”, pomyślał.  
„Wszyscy zaczęli się nią nagle interesować”. Chciał porozmawiać z Betty, a nie z jakimś obcym człowiekiem, który wyraźnie nie należał do Akademii.  
„Zareagowałem w typowy dla siebie sposób. Skrytą wrogością i sarkazmem. Ale Frank przyczepił się do mnie jak rzep do psiego ogona. W żaden sposób nie mogłem się go pozbyć. Do tego śmiał się z moich dowcipów. Czy można nie nawidzić kogoś, kto śmieje się z twoich dowcipów?”, wspominał później.  
— Nad czym pracujesz, Rich?  
123  
Walter aż się zjeżył. Nikt nie zwracał się do niego w ten sposób.  
— Należę do zespołu sporządzającego profil Kuby Rozpruwacza.  
Z okazji stulecia morderstw — wyjaśnił, siadając. Zapalił

papierosa, zgasił płomień zapalki, potrząsając nią gwałtownie, po czym usadowił się wygodnie i zaciągnął się dymem.

— Wyniki zaprezentujemy w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych w Londynie — kontynuował, unosząc z zadowoleniem brew. — Nigdy

wcześniej nie analizowałem tej sprawy, ale tożsamość Kuby Rozpruwacza wydaje się dość oczywista. Policja wpadła na właściwy trop na samym początku śledztwa, ale nie potrafiła go uzasadnić.

Zafascynowany Bender nie odrywał wzroku od szczupłego mężczyzny. Pochylił głowę i otwarcie opowiedział o problemach, które napotkał, pracując nad popiersiem Naussa.

— Nie wiem o nim wystarczająco dużo, aby mieć pewność, że poprawnie sporządziłem wizerunek — stwierdził.

— Opowiedz mi o tym morderstwie — poprosił Walter. Bender wyjaśnił, że Nauss wyrzekł się swoich korzeni i zamiast wieść życie typowego przedstawiciela klasy średniej, został przywódcą niebezpiecznego gangu motocyklowego Warlocks. Bender opisał również szczegółowo zabójstwo Elizabeth Landy.

— Problem w tym, że za mało o nim wiem, aby wymyślić, jak może dziś wyglądać. Fotografie mają dziesięć lat, a ja nie znam ani jego osoby, ani nawyków. Ma żonę czy żyje samotnie? Wciąż jest szczupły czy

lekką przytył? Jak się odżywia? Czy się gimnastykuje?

Walter uniósł brew. Sprawa go zaintrygowała.

— Już teraz mogę ci o nim sporo powiedzieć. Znam setki podobnych

spraw, wiele z nich dotyczyło gangów motocyklowych. To typ niezwy-

kle agresywnego macho z wybujałym ego. Przywiązuje ogromną wagę do

swojego wizerunku. W okrutny sposób obszedł się z ciałem ofiary

— zu-

pełnie jakby wyrzucał śmieci. I w grę nie wchodziły żadne

fantazje, mo-

tywy seksualne, satanistyczne czy inne tego typu głupoty. Zrobił

to, aby

podkreślić swoją władzę. Znudził się dziewczyną i chciał zamknąć

ten

rozdział życia.

Oczy Bendera rozblęły.

124

— Rich, a nie moglibyśmy razem popracować nad tą sprawą?

Walter zmarszczył brwi. Nie odrywając wzroku od Bendera,

odchy-

lił się na krześle, jakby chciał odsunąć się na bezpieczną

odległość. Zacią-

gnął się papierosem i milczał.

Bender nachylił się do przodu i zaczął coraz szybciej mówić

podnie-

conym głosem.

— Może byś pogadał dziś z szeryfami, co Rich? Umówię spotkanie.

— Przykro mi, ale to niemożliwe, drogi chłopcze. Powinieneś wiedzieć,

że pod żadnym pozorem nie zrezygnuję z libacji w hotelowym barze.

Bender ponownie się zaśmiał. Walter po raz kolejny głęboko

wciąż-

gnął do płuc dym i pograżył się w myślach. „To doprawdy  
niezwykła po-

stać, naprawdę niezwykła. Bystry, ale niekonwencjonalny. Gdzie  
u licha

leży klucz do jego osobowości? W sumie nieważne, i tak go  
przecież ni-

gdy więcej nie zobaczę”.

O szóstej rano następnego dnia Walter przebudził się gwałtownie  
w hotelowym pokoju. Dzwonił telefon.

— Cześć, Rich! — zawołał Bender takim głosem, jakby zdążył  
już wy-

pić pięć kubków kawy.

„Mój Boże! W co ja się wpakowałem?”, pomyślał Walter. Usiadł  
na kra-

wędzi łóżka i sięgnął po papierosa.

— Szeryfowie chcą z tobą pogadać jeszcze dziś.

Walter spotkał się na śniadaniu w restauracji Downhome z  
Benderem

i Tomem Rappone, szefem filadelfijskiego oddziału szeryfów  
federalnych

zajmującego się poszukiwaniem zbiegłych więźniów. Tematem  
rozmowy

była sprawa Naussa. Bender postanowił rozbawić ponurego  
profilera.

— Musisz spróbować scrapple, Rich. To klasyczny  
pensylwański przy-

smak. Jestem pewien, że go polubisz.

— A co to jest?

— Mięso — wyjaśnił rzeźbiarz, uśmiechając się szeroko.

Walter spojrzał na intensywnie woniejący brązowy pasztet ze  
skraw-

ków wieprzowiny, skrzywił się i odsunął talerz daleko od siebie.

Bender

wydał z siebie rechot, jaki można zazwyczaj usłyszeć raczej na



szkolnym

dzieńcu. Walter szybko upił łyk czarnej kawy, zaciągnął się papierosem

125

i utkwił beznamiętne spojrzenie w rozbrykanym klaunie, który próbował

wedrzeć się do jego życia.

— Nie przepadam za takimi potrawami.

O czwartej po południu Walter spotkał się ponownie z Banderem w sali konferencyjnej biura szeryfów federalnych przy Szóstej i Market

Street. Towarzyszyli im Rappone i dwóch innych funkcjonariuszy.

— Proszę mówić — zachęcił go Rappone.

Walter spojrzał na zapisaną żółtą stronę notatnika i odkaszlnął.

— Wykonałem pobieżną analizę morderstwa popełnionego przez

Naussa — zaczął. — Nauss czuł się nieswojo w gangu motocyklowym.

Z jednej strony był jednym z przywódców, a z drugiej chciał „awansować”

na mafiosa. Jego rodzice należeli do klasy średniej, więc będzie zapew-

ne nieco bardziej przebiegły i pomysłowy od przeciętnego rzezimieszka

ze Wschodniego Wybrzeża. W miarę upływu lat zacznie przywiązywać

większą wagę do wyglądu fizycznego, dzięki czemu otworzą się przed nim

nowe możliwości.

Walter zerknął do notatnika.

— Frank Bender ma rację. Będzie wyglądał schludnie i znajdzie sobie

mieszkanie na przedmieściach. Ożeni się z kobietą, która mu się całkowi-

cie podporządkuje i nie będzie miała pojęcia o jego przeszłości.

Zamieni

się w normalnego obywatela.

Bender rozpromienił się niczym ojciec nowo narodzonego dziecka.

— Rich ma rację. Moim zdaniem Nauss pozbędzie się zarostu, długich włosów i zamieszka z dala od centrum miasta. W końcu pochodzi z do-

brej rodziny. Powinien wrócić do korzeni.

Szeryfowie wymienili pełne wątpliwości spojrzenia. Jeden z nich przy-

pomniął, że według ich informacji Nauss wrócił do środowiska gangu

motocyklowego. Kiedy otrzymali cynk, że gangster ukrywa się w górach

Pocono, założyli tam na kilka tygodni posterunek obserwacyjny.

Inny

trop zaprowadził ich do jednego z zachodnich stanów i do punktu sprze-

daży części motocyklowych, ale również w tym wypadku nie natrafiono

na ślad Naussa.

Dennis Matulewicz, jeden z wyższych rangą agentów, miał sceptycz-

ną minę.

126

— Niespecjalnie mi to do niego pasuje. Kto raz należał do gangu mo-

tocyklowego, nie stanie się nagle innym człowiekiem.

Walter odkaslnął.

— Frank ma rację, twierdząc, że Nauss ukrywa się na przedmieściach,

a ja chyba nawet wiem gdzie.

Rappone nachylił się do przodu. Głos niemal uwiązł mu w gardle.

— Skąd może pan coś takiego wiedzieć?

Walter zadzwonił tamtego poranka do więzienia w Jackson, największego zakładu karnego na świecie, w którym przetrzymywano pięć tysięcy sześciuset skazanych. Zbudowany w 1934 roku kompleks, zwany potocznie Jacktown, był jednym z najbardziej osławionych i niebezpiecznych więzień w Stanach Zjednoczonych. W buntach, które wybuchły tam w latach pięćdziesiątych i siedemdziesiątych, kilkudziesięciu więźniów i strażników odniosło rany, a jeden nawet zginął. Walter pracował tam od niedawna jako psycholog. Przygotowywał opinie o najbardziej zdegenerowanych przestępcach w Pensylwanii. Rano rozmawiał przez telefon z więźniem, który należał kiedyś do gangu motocyklowego Naussa. Kiedy teraz o tym opowiedział, w pokoju zapadło milczenie.

— Żaden z nich nie puściłby pary z ust — stwierdził w końcu jeden z szeryfów.

Walter skinął głową.

— Owszem, to prawda, że członkowie gangów motocyklowych two-

rzą zazwyczaj zamknięte subkultury i słuchają jedynie osób mających nad nimi bezpośrednią władzę. Skutkiem jest niezwykła lojalność wobec grupy i patologiczne od niej uzależnienie. Ludzie ci żyją według niesłuchanie

wyśrubowanych standardów i zasad.

Walter zrobił efektowną przerwę.

— Niemniej jednak te cechy osobowościowe można wykorzystać przeciwko nim.

Szeryfowie czekali w milczeniu na dalszy ciąg.

— Powiedziałem mu, że Nauss zastrzelił człowieka na oczach dziecka — kontynuował Walter. — A prawdziwy macho nie strzela do

ludzi

w obecności ich dzieci. Postępując w ten sposób, Nauss złamał niepisany

127

kodeks i nie zasługuje już na miano członka gangu motocyklowego, jest

złym człowiekiem, bo dopuścił się paskudnych czynów i nie zachowuje

się jak na faceta przystało. Zanegowałem męskość Naussa, aby przekonać

więźnia do zawieszenia lojalności wobec dawnego kompana.

Na twarzy Waltera pojawił się chłodny uśmiezek.

— Dla ważnych informacji zdarza mi się zaprzedać duszę. Tym razem

zdołałem się dowiedzieć, że Nauss mieszka w Michigan.

Walter pokazał zebrany kilka fotografii Naussa. Wskazał, że gang-

ster zawsze ubierał się w koszule z wzorem umieszczonym wyłącznie po

jednej stronie.

— To wszystko wynika z określonego typu osobowości. W jego świecie

istnieje tylko czerń i biel, nie ma odcieni szarości. Jestem pewien, że kiedy

go złapiecie w Michigan, będzie jechał czarnym cadillakiem.

Rappone wyglądał na zdezorientowanego.

— Skąd pan to wie?

— Rozumiem niedowierzanie — powiedział Walter — ale już w

prze-  
szłości zdradzał słabość do cadillaków. To ekskluzywny  
samochód, a on  
chce sporządzić i zdobyć zaufanie otoczenia. Ludzie o  
nieelastycznych  
osobowościach lubią czarne samochody. W poprzednim  
wcieleniu, jako  
zabójca, jeździłby białym lub czarnym, ale teraz wybierze czarny.  
Takie  
auto jest czytelnym komunikatem wysyłanym otoczeniu,  
symbolizuje jed-  
nocześnie czystość i zło.  
Twarze osób siedzących przy stole zastygły w podziw.  
Uśmiech na twarzy Bendera stał się jeszcze szerszy. Szeryfowie  
posta-  
nowili pokazać wykonane przez niego popiersie w programie  
telewizyj-  
nym Najbardziej poszukiwani ludzie Ameryki. Bender pomyślał,  
że musi  
skorzystać z pomocy Waltera również w przyszłości.  
— To nie są czary — tłumaczył później Walter, kiedy opuścili  
budy-  
nek. — Wszystko sprowadza się do rachunku  
prawdopodobieństwa, a ja  
mam ogromne doświadczenie.  
— Rich, potrafisz czytać w umysłach więźniów równie dobrze,  
jak ja  
w głowach kobiet! — wykrzyknął Bender.  
Walter sprawiał wrażenie zagniewanego, gdy śmiech Bendera  
rozniosł  
się po szarym kanionie Market Street.

128

W lutym 1988 roku popiersie Bendera pojawiło się w Najbardziej  
po-  
szukiwanych ludziach Ameryki. Nauss miał ciemne włosy i był

gładko ogolony. Pod wskazany w programie numer zadzwoniło kilkadziesiąt osób ze wschodnich i środkowozachodnich stanów, ale żaden trop nie doprowadził do schwytania Naussa. Zbiegły z więzienia morderca — jeżeli wciąż żył — pozostawał na wolności.

## Rozdział 15

Błądny rycerz z przypadku

Richard Walter siedział w pomalowanym na biało domu w Lansing w stanie

Michigan, popijając wino i słuchając opery w otoczeniu zabytkowych

mebli i bibelotów. Szczególną sympatią darzył naturalnej wielkości sa-

muraja stojącego z zaciętą miną i uniesionym mieczem. Walter rozmyślał

właśnie o rozmowie, którą tego dnia odbył z pewnym seryjnym morder-

cą, kiedy zadzwonił telefon.

Niewiele wcześniej Walter dostał awans i przeniósł się z położonego na

odludziu więzienia nad Jeziorem Górnym do zakładu karnego Southern

Michigan Prison w Jackson. Wyposażony w nowoczesne urządzenia bu-

dynek dawał mu niezwykłą władzę nad więźniami. Za pomocą zdalnego

przełącznika mógł pozbawiać ich ciepłej wody w prysznicach lub nakazać

karmienie tak zwanym „więziennym chlebem” — wszystkie posiłki mik-

sowano, a z powstałej masy wypiekano twarde, mdłe bochenki w

kształ-

cie cegieł. „Albo nauczysz się kontrolować samego siebie, albo kontrolować

będę cię ja”, mówił więźniom. Lubił władzę, ponieważ miał poczucie, że

wprowadzała ład w świecie pogrążonym w chaosie. Właśnie z tego powo-

du na dźwięk znajomego głosu, który rozległ się w słuchawce, ogarnęła go

irytacja. Okrzyk niemal rozsadził mu ucho. Zupełnie jakby usłyszał tan-

detnego sprzedawcę samochodów.

— Rich!

Wzniósł oczy do nieba. Mimo że darzył rzeźbiarza sympatią, nie lubił,

kiedy ktoś w tak bezceremonialny sposób się z nim spoufalał.

Poza tym

130

akurat w tamtej chwili nie miał ochoty na kontakt z drugim człowiekiem.

Postanowił szybko spławić Bendera.

— Rich, zadzwonił do mnie producent Najbardziej poszukiwanych lu-

dzi Ameryki. Chce, żebym przygotował dla nich postarzony wizerunek

Johna Lista, najbardziej poszukiwanego mordercy w Stanach.

— Moje gratulacje, Frank. Jestem pewien, że znakomicie sobie pora-

dzisz.

— Ten cały List był wiceprezesem banku. Zamordował w New Jersey

całą swoją rodzinę. Policja szuka go od osiemnastu lat!

— Rozumiem.

— Popęłnił najgłośniejszą zbrodnię w historii New Jersey od czasu po-

rwania dziecka Linderbergha w 1922 roku.

— W 1932.

— Tak, tak.

Zapadło niezręczne milczenie. Zupełnie jakby czekali na opuszczenie

mostu zwodzonego. Bender postanowił przepłynąć fosę w pław.

— Rich, tak sobie pomyślałem, że mógłbyś mi pomóc.

Przygotował-

byś profil psychologiczny. Powiedziałem o tym producentowi

Najbardziej

poszukiwanych ludzi Ameryki. Nie ma nic przeciwko twojemu udziałowi.

Walter nadal milczał. Rozejrzał się po pokoju. Muzyka, książki, kla-

syczny wystrój biblioteki — od wielu lat jego jedyni towarzysze.

Siadał

samotnie z butelką wina, rozglądał się z czułością po mieszkaniu.

Wy-

czuwał niemal namacalną obecność ludzi, do których wszystkie te przed-

mioty należały w przeszłości. Traktował te duchy jak przyjaciół i rodzinę.

Lubił mieszkać sam. „Ani trochę nie brakuje mi innych ludzi”, twierdził.

Chociaż w towarzystwie lubił uchodzić za osobę czarującą, a zupeł-

nie obcym osobom z lubością opowiadał makabryczne historie jakby

żywcem wyjęte z opowiadań Edgara Allana Poe, głębsze relacje nawią-

zywał tylko z nielicznymi. Nie miał wielu znajomych nawet wśród ko-

legów z sił porządkowych. Praca pochłaniała go całkowicie. Był jednym

z pięciu najlepszych na świecie profilerów. Pogodził się z



wyrzeczenia-  
mi, których wymagało osiągnięcie tej pozycji. Fascynowały go  
sprawy,  
o których istnieniu zwykli ludzie nie powinni w ogóle wiedzieć.  
Patrzył  
na świat ze świadomością wszystkich jego mrocznych stron. Ta  
sama

131

postawa uczyniła z Machiavellego i Dostojewskiego  
nieśmiertelnych ge-  
niuszy i była powodem ich zgorzknienia.  
Tymczasem Bender próbował zbudować między nimi relację  
opartą  
na zażyłości spopularyzowanej przez filmy i książki o policjantach.  
Wal-  
ter instynktownie się przed tym bronił. „Nawet lubię Franka”,  
powtarzał  
sobie w myślach, ale jednocześnie dochodził do wniosku, że  
normalni lu-  
dzie w kontaktach z innymi nie wpadają w tak ekstatyczne stany,  
chyba  
że próbują wcisnąć im jakiś kit. Wieloletnie obcowanie z  
przestępcami  
i tchórzami kazało mu widzieć w tym narzędzie uwodzenia i  
wykorzy-  
stywania innych.

— A może przyjechałbyś do Filadelfii, co, Rich? Jest wiosna,  
pogo-  
dę mamy tu zupełnie przyjemną. Najbardziej poszukiwani ludzie  
Ame-  
ryki zapłacą ci za hotel i wyżywienie, będziesz mieszkał niedaleko  
mojej  
pracowni.

— To nie jest takie proste — stwierdził chłodno Walter.

— Naprawdę chciałbym złapać tego gościa. FBI od

kilkudziesięciu  
lat nie ma pojęcia, gdzie się ukrywa, a teraz szukają go na  
podstawie  
komputerowych rekonstrukcji twarzy. Nie wierzą w moje metody,  
czyli  
tradycyjne rekonstrukcje wykonywane przez artystę  
poszukującego indy-  
widualnych cech osobowościowych mordercy. Chciałbym  
wiedzieć, co się  
działo w głowie Lista, kiedy zabijał swoją rodzinę, kim jest teraz.  
Chcę  
go rozgryźć.  
Odpowiedzią było milczenie.  
— FBI najadłoby się wstydu, gdyby udało nam się go złapać.  
Walter wybuchnął śmiechem.  
— Nareszcie powiedziałaś coś do rzeczy.  
Jedynym jasno oświetlonym punktem pogrążonej w ciemnościach  
pra-  
cowni był prowizoryczny stół kuchenny. Leżał na nim stos  
wycinków  
prasowych — równie pożółkłych i pomarszczonych jak wychudła  
twarz  
człowieka, który czytał je przez duże, okrągłe okulary. „New York  
Times”,  
„Star-Ledger”, „Philadelphia Inquirer” — praktycznie wszystkie  
amery-  
kańskie gazety oraz stacje telewizyjne relacjonowały  
makabryczną histo-  
132  
rię, która przejmowała ludzi równie wielką grozą, jak serial na  
podstawie  
prozy Stephena Kinga.  
9 listopada 1971 roku John Emil List, były wiceprezes banku i na-  
uczyciel w szkółce niedzielnej w zamieszkannej przez klasę  
średnią miej-

scowości Westfield w stanie New Jersey, zamordował żonę,  
trójkę dzieci  
i własną matkę. Pedantyczny zabójca zostawił po sobie  
rozświetloną rezy-  
dencję o nazwie Wietrzny Pagórek, uprzejmy liścik z  
przeprosinami skie-  
rowany do teściowej, zestawienie potencjalnych klientów dla  
szefa z firmy  
ubezpieczeniowej oraz adresowaną do pastora prośbę o  
usunięcie go z listy  
parafian. Narzekając na pyrkający tłumik, wyjechał starym  
chevroletem  
impala na pogrążoną w ciszy ulicę i odjechał w deszczową  
listopadową noc.  
Walter zapalił papierosa i rozsiadł się wygodnie. Lewą ręką  
schwy-  
cił się za prawe ramię, zaciągnął się i pochylił w zadumie głowę.  
Wycin-  
ki przeglądał już od godziny. Kiedy wcześniej rano przyleciał do  
Filadelfii  
z Lansing, Bender próbował go serdecznie wyściskać albo  
przynajmniej  
poklepać po plecach. Walterowi udało się ograniczyć powitanie  
do moc-  
nego uścisku dłoni.  
Pracował w spartańskich warunkach. Zażyczył sobie jedynie  
popiel-  
niczki i czarnej kawy. Bender zaofiarował, że sam ją zaparzy, ale  
Walter  
prychnął tylko: „Chyba nie na tej kuchence, drogi chłopcze?”.  
Dostał  
więc kubek kawy na wynos z pobliskiego baru oraz plik wycinków  
z ga-  
zet, gdy tymczasem Bender wyszedł do miasta pouganiać się za  
spódnicz-

kami. Dopiero po kilku minutach profiler przyzwyczał się do atmosfery zdevastowanej pracowni. Odniósł wrażenie, że Bender uważa się za męski odpowiednik czarodziejki Kirke, która zamieniała gości w niewolników. W końcu Walter zdołał zamknąć umysł na dźwięki i zapachy docierające z otoczenia i skupić się na mordercy oraz jego pięciu ofiarach. Wyobrażał sobie kolejno każde zabójstwo, aż cała potworność sytuacji zredukowała się w jego umyśle do serii przeprowadzonych z wyrachowaniem czynów. Osiemnaście lat wcześniej List popełnił zbrodnię. Walter uznał mord za misternie zaplanowane przedstawienie mające na celu ukrycie prawdziwych motywów Lista, a także zatarcie śladów późniejszej ucieczki. Musiał tylko wniknąć w umysł mordercy i odgadnąć miejsce jego kryjówki. Rozpoczął się śmiertelnie niebezpieczny pojedynek

133

rozgrywany na wyjętym z czasoprzestrzennej ramy obszarze dwóch umysłów.

Zabójcy zawsze popełniają błędy. Jakże przytrafiły się Listowi? Policjanci zawsze przegapiają jakiś szczegół. Czego nie zauważyły FBI i policja?

Walter od ponad dekady współpracował jako niezależny detektyw przy najtrudniejszych sprawach dotyczących najbardziej zdegenerowa-

nych morderców na świecie. Poświęcał na to swój „wolny czas”; stałą pracą zapewniał mu Wydział Resocjalizacji stanu Michigan.

## Rozdział 16

### Morderstwo doskonałe

Wczesnym rankiem 9 listopada 1971 roku John List stał przy oknie w swoim gabinecie na parterze rezydencji Wietrzny Pagórek i obserwował oddalającą się furgonetkę mleczarza. Chwilę wcześniej Herbert Arbast wszedł, jak co dzień, przez otwarte drzwi do dwupiętrowego domu i zajrzał do kuchni, gdzie na drzwiach lodówki zwykle wisiało przyklejone przez Helen zamówienie: sześć litrów mleka, masło, jaja — wszystko dwa razy w tygodniu. Tego ranka znalazł jedynie lakoniczną instrukcję od Johna z prośbą o wstrzymanie dostaw do odwołania. „Wyjeżdżamy na wakacje”, wyjaśniała napisana starannym pismem notka. „Na jakiś czas” miała zniknąć cała rodzina: John i jego żona Helen, córka Patty, najstarsza z rodzeństwa, długonoga, przypominająca urodą matkę, utalentowana aktorsko blondynka, synowie Fred i John junior oraz Alma, osiemdziesięcioletnia matka Johna. Czterdziestosześcioletni John List był wysokim, patykowatym mężczyzną o wymizerowanej twarzy, rzednących ciemnych włosach i wydatnej, kościstej szczękę. Z wykształcenia księgowy, przed laty pełnił

funkcję  
wiceprezesa banku. Prowadził zajęcia w szkółce niedzielnej przy  
luterań-  
skim kościele. Był bardzo inteligentnym i pedantycznym  
człowiekiem.  
Na biurku w gabinecie spoczywały dwa starannie wyczyszczone,  
lśniące  
od oliwy pistolety: mały kolt automat kaliber .22, który należał  
kiedyś do  
jego ojca, oraz wyprodukowany w 1912 roku klasyczny steyr  
automat, pa-  
miątka z frontu. Steyrów używano już podczas pierwszej wojny  
światowej,  
135  
a naziści wyposażyli go dodatkowo w magazynek na  
dziewięciomilimetro-  
we naboje. W każdym pistolecie znajdowało się osiem pocisków.  
Kiedy mleczarz odjechał, pobrzękując pustymi butelkami, List  
wsłu-  
chał się w dźwięki typowe dla każdego poranka. Najpierw dobiegł  
go de-  
likatny odgłos stóp schodzącej do kuchni Helen. Po chwili  
usłyszał szum  
ognia i brzęk stawianego na gazie czajnika. John odczekał kilka  
minut,  
po czym wziął do ręki steyra. Żona siedziała przy kuchennym  
stole. Jak  
codziennie rano jadła tost i piła kawę. Miała na sobie atłasową  
koszulę  
nocną i szlafrok. Zamyślonym wzrokiem wpatrywała się w ponure,  
sza-  
re niebo za oknem. Nie usłyszała żadnego dźwięku. Zdażyła tylko  
lekko  
obrócić głowę, gdy wyczuła czyjaś obecność za plecami, ale nie  
zobaczyła

ani męża, ani kuli, która wystrzelona z odległości czterdziestu  
pięciu cen-  
tymetrów, trafiła ją w lewą stronę głowy. Upadła na wyłożoną  
linoleum  
podłogę. W gardle utkwiał jej ostatni kęs tostu.  
Walter wyczytał, że List wystrzelił kilkakrotnie w ścianę. Jedna z  
kul  
odbiła się od kaloryfera. Dzieci niczego nie usłyszały, ponieważ  
wyszły już  
do szkoły. Jeżeli przez grube na trzydzieści centymetrów mury  
Wietrzne-  
go Pagórka wydostał się na zewnątrz jakikolwiek dźwięk, zniknął  
w szu-  
mie chłodnego listopadowego wiatru. John List zaczął realizować  
plan,  
który policjanci nazywali morderstwem doskonałym. Zostawił ciało  
żony  
i wszedł na prowadzące na piętro schody.  
Przytulne mieszkanie matki, w którym spędzała większość  
wieczorów  
na lekturze Biblii, znajdowało się na drugim piętrze. Alnę,  
wysoką, siwo-  
włosą kobietę, zastał w niewielkiej kuchni. Otworzył drzwi bez  
pukania.  
Stała przy tosterze, trzymając w ręku talerzyk z masłem. „Co to  
był za ha-  
łas?”, spytała. Bez słowa uniósł steyra i zastrzelił ją z niewielkiej  
odległo-  
ści. Kula wbiła się w czaszkę tuż nad lewym okiem. Umarła,  
upadając na  
wykafelkowaną podłogę.  
Walter uniósł brew, czytając zamieszczony w jednej z gazet opis  
dal-  
szych poczynań Lista. Morderca wyciągnął ciało matki na wąski  
korytarz,

gruchocząc jej przy tym kolana, nakrył je chodnikiem. Twarz zasłonił ścierką do naczyń. Zszedł na dół, przeciągnął ciało żony przez główny korytarz do sali balowej i położył twarzą do dołu na śpiworze pod ozdobną witrażową kopułą. Prostopadle do ciała żony rozłożył w jednej linii dwa dodatkowe śpiwory, tak że powstała z nich litera T. Ciało Helen przykrył ręcznikiem kąpielowym, a jej twarz ścierką. Następnie udał się do pokoju żony i rozsmarował pokrywającą jego ręce krew na wszystkich prześcieradłach. Zwymiotował. Wziął prysznic i się ogolił. Założył czysty garnitur i krawat, przyczesał włosy, wyczyścił paznokcie i zszedł majestatycznym krokiem na parter, jakby rozpoczynał zwyczajny dzień. Miał jeszcze wiele do zrobienia. Zadzwoił do biura w firmie State Mutual Life, dla której sprzedawał ubezpieczenia. Na automatycznej sekretarce zostawił wiadomość. Odwołał spotkanie, które miał odbyć o dziesiątej rano. Wyjaśnił, że jedzie z rodziną do Karoliny Północnej, aby spędzić trochę czasu z ciężko chorą teściową. Następnie napisał usprawiedliwienia dla dzieci — szesnastoletniej Patricii chodzącej do szkoły średniej oraz gimnazjalistów: piętnastoletniego Johna juniora i trzynastoletniego Fredericka,



zapowiadając ich  
kilkudniową nieobecność spowodowaną niespodziewanym  
wyjazdem  
w sprawach rodzinnych. Wyszedł na dwór i zabrał się do  
grabienia liści.  
Czekał na powrót dzieci ze szkoły. Dzień był pochmurny,  
temperatura  
spadła niemal do zera, co nigdy wcześniej nie zdarzyło się w  
Westfield  
o tej porze roku. Sąsiadka Lista wspominała później, że  
zdziwiła się, wi-  
dząc go odzianego w ciemny płaszcz i grabiącego pedantycznie  
trawnik.  
Kiedy się zmęczył, wrócił do domu. Zrobił sobie kanapkę i zjadł ją  
przy  
stole w kuchni, gdzie wcześniej zastrzelił żonę.  
Uwagę Waltera przykuł niezmacony spokój, z jakim List  
wykonywał  
kolejne czynności. Człowiek ten miał wyraźnie obsesję na punkcie efek-  
tywności. Wszystko musiało się potoczyć zgodnie z planem.  
Niedługo po południu List odebrał ze szkoły córkę. Poczuli się źle  
i poprosiła o zwolnienie z lekcji. Nie miała siły, aby udać się  
po szkole do  
firmy ubezpieczeniowej, gdzie dorabiała do kieszonkowego. Kiedy  
Patty  
zbierała podręczniki z tylnego siedzenia samochodu, List  
pospieszył do  
domu i ukrył się za drzwiami w kuchni. Ledwie weszła do środka,  
strzelił  
jej w tył głowy. Przeciągnął ją do sali balowej. Na podłodze  
powstał dwu-  
nastometrowy ślad z krwi, równoległy do tego, który pozostawiło  
ciało  
żony. List ułożył córkę na śpiworze. Jej twarz przykrył ścierką.

Umył się i przebrał w czysty garnitur, po czym o pierwszej po południu pojechał do miasta, aby załatwić kilka spraw. Na poczcie poprosił o niedostarczanie korespondencji do domu przez następnych trzydzieści dni. W oddziale banku Suburban Trust wypłacił ponad dwa tysiące dolarów w bonach oszczędnościowych, opróżniając tym samym do końca konto matki. Alma nie zdawała sobie sprawy, że jej syn już wcześniej wybrał dwieście tysięcy dolarów, pozostawione jej w spadku przez męża. Na koniec listem ekspresowym wysłał do siebie na Hillside Avenue klucz owinięty w czystą kartkę papieru. Mniej więcej o trzeciej po południu Fred, trzynastoletni syn Lista, zadzwonił do ojca z firmy ubezpieczeniowej, w której również pracował po szkole. „Czy coś się stało z Patty? Nie przyszła po szkole”, spytał. Chciał wrócić do domu. List odebrał go z biura, przywiózł do Wietrznego Pałacu i wbiegł do domu po pistolet, który zostawił na stole w kuchni. Strzelił Fredowi w tył głowy, zanim ten zdążył zdjąć płaszcz. Mężczyzna ułożył ciało syna na śpiworze obok siostry. Twarz Freddiego przykrył małą ścierką. O czwartej po południu John junior, dobrze zbudowany piętnastolatek, przyjechał przed czasem z treningu piłki nożnej. Zdażył

uskoczyć  
i złapać za rękę ojca przycajonego za drzwiami z pistoletem. Kule prze-  
dziurawiły kuchenną szafkę, framugę okna w jadalni i sufit. List  
rzucił się  
w pogoń za synem. Trafił chłopca w plecy, kark i głowę. Dzieciak  
w koń-  
cu upadł, łamiąc sobie szczękę. Walter wiedział, że nie ma na  
świecie bar-  
dziej narcystycznej, egoistycznej i obdarzonej większą wolą życia  
istoty  
niż piętnastoletni chłopak. John junior nie zamierzał się poddać:  
leżąc  
na podłodze w salonie, próbował rozpaczliwie odczołgać się jak  
najdalej  
od ojca. List stanął nad nim i wpakował w najstarszego syna  
osiem kul —  
jedną po drugiej. Dziewiąta trafiła chłopca w oko, a dziesiąta w  
serce. Do-  
piero wtedy znieruchomiał.  
List uniósł rękę żony i ułożył ją na ramieniu Freddiego. Było późne  
popołudnie. Słabnące promienie słońca przenikały przez witraże  
kopu-  
ły wieńczącej salę balową, oświetlając ją tysiącem kolorów. List  
ukląkł  
przy żonie i dzieciach, aby odmówić modlitwę za ich dusze.  
„Wieczny  
i miłosierny Boże Wszechmogący, błagamy Cię, wspomóż nas,  
których  
138  
przywołujesz do siebie z grzesznego i zepsutego świata, którzy  
nie odcho-  
dzimy w niebyt, ale przez śmierć wkraczamy w życie wieczne...”  
Walter przyjrzał się dokładnie ziarnistej fotografii przedstawiającej  
salę

balową. „Natura księgowego kazała mu uszeregować ciała dzieci według

starszeństwa”, pomyślał.

Lista czekał pracowity wieczór. Miał do wykonania kilka telefonów i szereg spraw do załatwienia.

O siódmej wykręcił numer luterańskiego pastora i jednocześnie swoje-

go przyjaciela Eugenea Rehwinkla. Przeprosił, że nie będzie mógł uczest-

niczyć w zajęciach szkoły niedzielnej w najbliższym tygodniu.

Dyrektora

kółka teatralnego w szkole średniej poinformował, że Patty

niestety opu-

ści kilka najbliższych prób, co uniemożliwi jej przygotowanie się do roli

w Tramwaju zwanym pożądaniem. Na papierze firmowym, który został

mu po nieudanym przedsięwzięciu biznesowym o nazwie „John E. List,

Doradca Zawodowy”, napisał list do Evy Morris, schorowanej teściowej

mieszkającej w Karolinie Północnej, którą miał rzekomo zamiar odwiedzić.

Szanowna pani Morris,

czytając ten list, wie już pani z pewnością, co przydarzyło się Helen i dzie-

ciom. Jest mi niezmiernie przykro, że do tego doszło, ale z różnych powodów

nie potrafiłem znaleźć innego wyjścia z sytuacji.

Nie potrafiłem utrzymać rodziny, a nie mogłem pozwolić, aby żyli

w ubóstwie. Mam ponadto pewność, że zmarli jako chrześcijanie.

Nie mógł-

bym zagwarantować, że byłoby tak również w przyszłości, kiedy dzieci stały-

by się dorosłe. Pastor Rehwinkel będzie miał z pewnością na ten temat trochę więcej do powiedzenia.

Z najszczerzszymi wyrazami współczucia

John E. List

Walter wpatrywał się ze zmarszczonym czołem w wyblakłe litery ar-

tykułu. Morderca napisał podobne listy do bratowej i ciotki:

„Czytając

ten list, wiesz już z pewnością, co przydarzyło się matce i reszcie rodzi-

ny. .. Z najszczerzszymi kondolencjami...”. Mężczyzna poświęcił cały wie-

czór na wyjaśnianie powodów swego czynu w listach do członków rodziny

139

i pastora, niemniej podstawowa przyczyna znalazła się już w pierwszym

liście do teściowej. Jakiś czas wcześniej stracił pracę w banku i trawiony

poczuciem porażki, spędzał całe dni w miejskiej bibliotece.

Najbliższych

zapewniał, że szuka w tym czasie nowej pracy. Choć w końcu zdobył po-

sadę sprzedawcy ubezpieczeń, finanse rodziny znajdowały się w opłaka-

nym stanie. Lista paraliżował strach przed bankructwem, wypowiedzką

z Wietrznego Pagórka i koniecznością utrzymania dzieci z zasiłku. Jesz-

cze bardziej ciążył mu lęk, że pójdą do piekła. Helen nie chodziła do ko-

ścioła, a córka i synowie mieli coraz bardziej obojętny stosunek do Boga.

Patty, z racji zamiłowania do aktorstwa, prawdopodobnie

prowadziła się w sposób niemoralny, sprzeczny z wartościami, jakimi powinien się kierować porządny chrześcijanin. „Tak w skrócie wyglądała sytuacja naszej rodziny”, pisał do pastora. „Gdybyśmy musieli się zmierzyć tylko z jednym problemem, być może zdołalibyśmy go przewyciężyć, ale nagromadzenie utrapień okazało się nie do zniesienia. Teraz przynajmniej wiem, że wszyscy poszli do nieba. W przyszłości sprawy mogłyby wyglądać zupełnie inaczej. Zdaję sobie sprawę, że postąpiłem źle..., ale akurat ty jako jedyny, nie akceptując mojego czynu, przynajmniej częściowo zrozumiesz, dlaczego musiałem tak postąpić”. W dalszej części podał powód, dla którego musiał zabić również matkę: „Wiedząc, że i ona jest chrześcijanką, za najwłaściwsze uznałem uwolnienie jej od niedoli, która ją czekała.... Aby wybawić ją od nieopisanych cierpień, uznałem, że najlepiej będzie uwolnić ją z tego padołu łez. Pierwotnie chciałem załatwić sprawę 1 listopada, w dzień Wszystkich Świętych — uznałem, że właśnie tego dnia powinni pójść do nieba — ale przygotowania do podróży się przedłużyły”. W liście do pastora morderca poruszył jeszcze jeden wątek: „Ktoś mógłby uznać, że zachowałem się jak tchórz, strzelając wszystkim w tył głowy, ale nie chciałem, aby którekolwiek z nich choćby w

ostatniej sekun-  
dzie życia wiedziało, że to ja uczyniłem. John cierpiał najwięcej,  
ponieważ  
walczył. Proszę, módl się za mnie. Będę tego potrzebował  
niezależnie od  
poczyznań policji. Teraz chcę tylko pojednać się z Bogiem, a tego  
mogę być  
pewien, ponieważ Chrystus zmarł na krzyżu również za mnie. PS  
Matka  
140

leży na korytarzu na poddaszu (2. piętro). Była za ciężka, żeby ją  
znieść  
na dół. John".

Napisał również list do Burtona Goldsteina ze State Mutual Life,  
dzię-  
kując za wsparcie i załączając listę czterech „potencjalnych  
klientów, któ-  
rzy wydają się najbardziej obiecujący. Paul Greenberg mógłby ich  
po mnie  
przejąć". Wszystkie listy, dwa pistolety i kopertę z  
niewykorzystanym po-  
ciskiem umieścił w szufladach szafy na dokumenty opatrzonych  
napisa-  
mi: „pastor rehwinkel", „burton goldstein i wspólnicy",  
„broń i amunicja". Do blatu biurka przykleił następującą instrukcję:  
Do osoby, która to przeczyta:

1. Proszę powiadomić odpowiednie władze.
2. Klucz do biurka znajduje się w liście zaadresowanym na moje nazwisko.
3. Klucze do szuflad są w biurku.

Walter przeczytał wszystkie pisma, w których List wyjaśniał  
powody  
swojego czynu. Rzadko się zdarzało, aby morderca zostawiał tak  
obszerną  
dokumentację. „A wszystko to gówno prawda", pomyślał Walter.

Profiler miał poczucie, że zna mordercę lepiej, niż on znał siebie samego. Tamtego wieczoru Lista szybko ogarnęło zmęczenie. Miał za sobą długi dzień. Przygotował lekką kolację i po raz kolejny zjadł posiłek przy stole, przy którym rano zamordował żonę. Następnie umył naczynia i postawił je na ociekaczu. Noc spędził w pokoju bilardowym w piwnicy, tuż pod ciałami zamordowanych. Choć żadne źródło o tym nie wspominało, Walter był gotów się założyć, że List zapadł w wyjątkowo mocny sen. Przed zamknięciem powiek stwierdził zapewne: „To był wspaniały dzień”. Rano spakował do walizki ubrania na dwa dni oraz komplet map z klubu motocyklowego. Uprzątnął dom, jakby wybierał się na wakacje. Ustawił termostat instalacji grzewczej, tak by temperatura we wnętrzu wynosiła dziesięć stopni. Przy tylnym wejściu zostawił w równym rzędzie trzy plastikowe torby wypchane zakrwawionymi gazetami i ubraniami. Zapalił światło we wszystkich pokojach z wyjątkiem przerobionej na krytę sali balowej. Na koniec włączył radio i ustawił je na jedynej stacji,

141

której pozwalał słuchać dzieciom. Dom wypełniły dźwięki nieszkodliwej dla duszy muzyki klasycznej. List wsiadł do samochodu i odjechał. Dziesięć dni po morderstwach policjant wypisujący mandaty za



par-  
kowanie przy nowojorskim lotnisku JFK znalazł starą impalę, ale  
porzu-  
cony samochód nie wzbudził niczyich podejrzeń. List tak  
precyzyjnie  
zaplanował morderstwa, że przez miesiąc nikt nie zdawał sobie  
sprawy  
z makabrycznych zdarzeń, które rozegrały się w Wietrznym  
Pagórku. Do-  
piero siódmego grudnia policja znalazła ciała pięciu ofiar. Gazety  
trąbiły  
o „morderstwie stulecia”, a Lista natychmiast zaliczono do gro-  
na najstraszliwszych morderców XX wieku. Media szczegółowo  
relacjo-  
nowały śledztwo.  
Walter upił łyk zimnej czarnej kawy i przetarł oczy. Artykuły opisy-  
wały szeroko zakrojone poszukiwania, które wykraczały nawet  
poza tery-  
torium Stanów Zjednoczonych, ale zakończyły się kompromitacją  
policji.  
„Nic dziwnego, że nie zdołali go złapać”, pomyślał Walter. „Nie  
wiedzieli,  
gdzie szukać”.  
FBI wydało ponad milion dolarów na weryfikację wszystkich  
sygna-  
łów nadsyłanych przez ludzi, którzy rzekomo widzieli Lista we  
wszyst-  
kich pięćdziesięciu stanach, w Europie i w Ameryce Południowej.  
Policja  
i prokuratura z New Jersey przesłuchała kilkudziesięciu  
potencjalnych  
świadków. Zgromadzono ponad sto pięćdziesiąt przedmiotów o  
wartości  
dowodowej. Mimo to śledztwo utknęło w martwym punkcie. Aby  
zagłu-

szyć poczucie wstydu, policjanci zaczęli uciekać się do czarnego humoru.

Przebywający na wakacjach funkcjonariusze przesyłali do swoich komend

pocztówki z Florydy, Barbadosu i innych miejsc. „Szkoda, że was tu nie

ma. Uściski, John Emil List", pisali. „Odpoczywam za wszystkie czasy. Jak

to dobrze wyjechać wreszcie na wakacje bez dzieci! John E. List".

Nikt nie miał pojęcia, w jakim kierunku uciekł morderca. Ostatnią znaczącą poszlaką był samochód znaleziony na parkingu przy lotnisku

osiemnaście lat wcześniej. Zdeponowane w policyjnym magazynie za-

krwawione ubrania ofiar porosła pleśń i trzeba je było wyrzucić.

Walter oderwał wzrok od pożółkłych wycinków z gazet. Usłyszał gło-

sy: jeden należał do Bendera, dwa pozostałe do kobiet. Chociaż minęła za-

ledwie godzina, profiler miał poczucie, jakby zgłębiał sprawę od kilku dni.

142

— Jak ci idzie? — spytał Bender, kiedy chwilę później pojawił się przy stole.

— Przyzwoicie.

Rzeźbiarzowi rozbłysły oczy.

— Potrzebujesz jeszcze czegoś?

Walter mógłby wykonać wiele dodatkowych czynności:

porozmawiać

z policjantami i agentami FBI, którzy przez wiele lat zajmowali się tą spra-

wą; zapoznać się z aktami, przeczytać niezliczone wywiady,

obejrzeć setki

zdjęć oraz dowodów, przeanalizować profile psychologiczne

Lista. Mógłby ponownie przesłuchać potencjalnych świadków w nadziei, że wspomnienia tamtych wydarzeń nie zatarły się jeszcze w ich pamięci. Po krótkim zastanowieniu spojrzał Benderowi w oczy i oświadczył, że nie potrzebuje już niczego więcej. Pożółkłe wycinki z gazet dostarczyły mu wszystkich potrzebnych informacji. Szczególnie pomocne okazały się ziarniste fotografie miejsca zbrodni. Walter nie miał zamiaru czytać wszystkiego, co napisano o sprawie, ani rozmawiać z każdym, kto był z nią jakoś związany. Morderca opowiedział Walterowi wszystko, czego ten chciał się dowiedzieć.

— Profil jest gotowy — powiedział. — List uważa się za najbardziej przebiegłego człowieka na świecie. Sądzi, że popełnił zbrodnię doskonałą i wyprowadził wszystkich w pole. A jednak wcale nie tak trudno go rozgryźć.

Niecodzienne wyznania Lista, tysiące słów, w których wyrażał żal, były wyrafinowanymi, starannie przygotowanymi oszustwami. List przełał litry atramentu, żeby zmylić tych, którzy ruszą za nim w pogoń, ale nieświadomie pozostawił czytelne wskazówki pozwalające poznać prawdę. Krwią i kulami wypisał na kamiennych ścianach Wietrznego Pagórka motyw zbrodni oraz swoje plany na przyszłość.

Rozdział 17

Maska niewidzialnego człowieka

Światło słoneczne i szum samochodów wdzierały się do  
pograżonej w mro-

ku pracowni, wlewając życie w zamarte rzędy uśmiechniętych,  
nagich

blondynek i złowieszczych głów nieżywych ludzi.

— Chodźmy na długi spacer, Rich! Zrobił się taki piękny dzień

— za-

wołał Bender. Stał w otwartych drzwiach: niewyraźna ciemna  
sylwetka

otoczona oślepiającą plamą światła.

— Drogi chłopcze, dla relaksu to ja się zaciągam mentolami.

Czy wy-

glądam na miłośnika biegów przełajowych? — odparł

rozbawionym gło-

sem Walter, najwyraźniej dumny z tego dowcipu. Wokół

wykrzywionych

w uśmiechu ust wykwitły zmarszczki mimiczne.

— No chodźże, Rich!

Chudy mężczyzna podniósł się powoli z krzesła.

— Niech ci będzie. Mały spacer nie zaszkodzi.

Ruszyli South Street. Nietypowa para: niski, głośny, muskularny,  
wy-

tatuowany mężczyzna zasypujący pytaniami wysokiego,

łysiejącego dżen-

telmena o nienagannych manierach ubranego w niebieski

garnitur. Bender

chciał poznać przygotowany przez Waltera profil psychologiczny  
Lista.

— Muszę wiedzieć, jakim był człowiekiem — tłumaczył. — W  
jakiej

pozie stanąłby na rogu tej ulicy? Jaki miałby wyraz twarzy?

Wysoki mężczyzna w garniturze zatrzymał się nagle i, zupełnie

jak-

by szykował się do odegrania jakiejś postaci, wykrzywił twarz tak,

że po-  
wstał podwójny podbródek.

144

— Patrz uważnie. W ten sposób można zobaczyć, które mięśnie twa-  
rzy pozostają sprężyste, a które się z wiekiem wydłużają. Włożył z powrotem okrągłe czarne okulary, a jego twarz przybrała jeszcze surowszy wygląd niż normalnie.

— Rich, no to jak będzie teraz wyglądała jego twarz? — spytał Ben-  
der podniesionym głosem. — Facet ma sześćdziesiąt cztery lata. Kiedy był  
po czterdziestce, miał ciemne, lekko rzednące włosy z zakolami. Moim  
zdaniem zdążył już niemal zupełnie wyłysieć, zostały mu tylko siwe kęp-  
ki po bokach.

— Zgadza się — przytaknął Walter. — Te resztki będą wyjątkowo sta-  
rannie przystrzyżone. W głębi duszy pozostał księgowym i dba o  
wygląd  
w sposób profesjonalny.

— Wiemy, że za uchem ma bliznę po usunięciu wyrostka sutkowa-  
tego — kontynuował Bender. Wcześniej rozmawiał ze specjalistami od  
chirurgii twarzowo-czaszkowej z wydziału medycyny Uniwersytetu Pen-  
sylvanii, aby dowiedzieć się jak najwięcej o zmianach zachodzących z wie-  
kiem w obrębie kości twarzy, brwi, powiek i skóry. Spędził również kilka  
dni w Westfield, obserwując na ulicach i w kościele mężczyzn z  
pokolenia  
Lista. Notował w pamięci ich twarze, oczy i usta, obwisłe brzuchy i

spo-  
sób odnoszenia się do żon. Dysponował już wtedy wstępną  
wersją po-  
piersia. Sfotografował je i wysłał zdjęcie policjantom z Westfield z  
prośbą  
o ocenę i sugestie.

Od filadelfijskich chirurgów dowiedział się, że blizna po usunięciu  
wy-  
rostka sutkowatego powinna w miarę upływu lat zanikać, niemniej  
jeśli

List nie poddał się operacji plastycznej, pozostanie widoczna.

— Według mnie tacy jak on nie robią sobie operacji  
plastycznych — za-  
uważył. — Nie chodzą też na siłownię i nie uprawiają ćwiczeń  
fizycznych.

— Masz absolutną rację — przytaknął Walter. — Zawsze  
odżywiał się  
niezdrowo i to się na pewno nie zmieniło. Ludzie z jego pokolenia  
nie upra-  
wiają joggingu. Ma wyjątkowo sztywną osobowość. To właśnie  
ten całko-  
wity, patologiczny brak elastyczności pozwolił mu zamordować  
rodzinę.

— A więc będzie miał teraz obwisłe policzki, obniżoną żuchwę i  
gene-  
ralnie mocno się postarzał.

— Zgadza się.

145

Usiedli nad rzeką w parku pełnym niedzielnych spacerowiczów  
bawią-

cych się z psami, yuppies oraz bezdomnych. Walter zapalił  
papierosa. Ben-

der wodził przez chwilę spojrzeniem za wysoką blondynką

uganiającą się

za czarnym labradorem.

— Myślisz, że jest religijny? Czy to w jakiś sposób wpływa na jego wygląd i zachowanie?

— Religia nie ma tu nic do rzeczy — prychnął Walter. — W imię Boga popełniono mnóstwo straszliwych czynów. W przypadku Lista za maską spokojnego i pobożnego człowieka krył się czystej wody psychopata opanowany żądzą władzy. Miał dość apodyktycznej żony i matki oraz nieposłusznych bachorów. Pragnął rozpocząć nowe życie, tym razem na własnych warunkach.

Oczy szczupłego mężczyzny błyszczały z emocji.

— List ma typową osobowość człowieka, który niszczy swoją rodzinę.

Taki mężczyzna żeni się z silniejszą, starszą kobietą, która nieustannie go krytykuje. Dzięki temu nigdy nie musi brać za siebie odpowiedzialności.

To z kolei może się przerodzić w patologię.

— Czyli List jest wariatem.

— Otóż nie. To niesłychanie racjonalny człowiek. W pewnym sensie jest snobem, uważa się za lepszego od innych. Żyje ponad stan i świat

zaczyna mu się walić na głowę. Najpierw przez lata przywłaszcza sobie

pieniądze matki. Nie dręczą go z tego powodu żadne wyrzuty sumienia.

Uważa, że i tak mu się należą w spadku.

Bender wziął głęboki oddech.

— Co zatem popchnęło go do morderstwa?

Walter uśmiechnął się ponuro.

— W rodzinie takiego mężczyzny spotykamy zazwyczaj silną

matriar-  
chalną postać, którą mogła być jego matka lub żona, kobietę  
agresywną,  
arogancką i podobnie jak on lubiącą życie na odpowiednim  
poziomie. Kie-  
dy mężczyzna funkcjonujący na co dzień w cieniu takiej osoby  
zostanie  
doprowadzony do ostateczności, zaczyna narastać w nim gniew i  
ujawnia-  
ją się uzasadnione pretensje. Nie potrafi po męsku stawić czoła  
wyzwa-  
niom ani przyznać się do porażek; wszyskiemu, co złe, winna jest  
„ta  
cholerna baba”. Stopniowo traci kontrolę nad życiem, przestaje  
panować  
146  
nad emocjami, zamyka się w sobie. Zagrożenie wzrasta, gdy jego  
córka  
wkracza w okres dojrzewania. Taki człowiek potrafi sobie  
wmówić, że  
morderstwo jest jedynym słusznym rozwiązaniem. List miał  
poczucie, że  
rodzina zbyt wiele od niego wymaga.  
Walter wyjął z kieszeni marynarki poskładany w kostkę kawałek  
sta-  
rej gazety.  
— Przyjrzyj się uważnie zwłokom matki, żony i trójki dzieci.  
Wszystkie  
twarze przykrył ścierkami czy ręcznikami. Z takim zachowaniem  
spotka-  
łem się już wielokrotnie. Zabójca nie chce dopuścić, aby ofiary  
spoglądały  
na niego z wyrzutem albo były świadkami jego odejścia. To  
ostatni prze-  
jaw wściekłości i poczucia władzy. Cała teatralność i przesadność



mordu —

ładuje dziesięć pocisków w najstarszego syna, łamie kolana  
zamordowanej

matce — służą wyładowaniu wściekłości, która popchnęła go do  
zbrodni.

Kiedy się uspokoi, ogarnia go poczucie ulgi i triumfu.

— Czy ta wściekłość będzie jakoś przebijała z jego twarzy? Czy  
gniew

i poczucie winy odcisnęły na niej swoje piętno?

Walter wybuchnął gromkim śmiechem.

— Poczucie winy? Żartujesz? On nie rozumie znaczenia tych  
słów. Nie

odczuwa niczego poza ulgą i triumfem. Morderstwa sprawiły mu  
radość!

Dlatego właśnie spokojnie zadzwonił do pastora i nauczyciela  
córkę, dla-

tego zjadł lunch i obiad przy tym samym stole, przy którym  
zamordował

rano żonę. Brak poczucia winy pozwoli mu zniknąć i bez żadnych  
pro-

blemów przystosować się do nowego życia. Poranek po  
morderstwach był

dla niego początkiem najzwyczajniejszego dnia, tyle tylko że obudził  
się z lek-

kim sercem.

— Nie wierzysz w brak wyrzutów sumienia? — spytał po chwili  
Wal-

ter. — List prześladował swoje ofiary. Typowe zachowanie dla  
tego typu

osobowościowego. Jak pewnie pamiętasz, tydzień przed  
morderstwami za-

pytał dzieci podczas obiadu, w jaki sposób chciałyby umrzeć.

Bender skinął głową. Walter uniósł lewą brew.

— Pozwolisz, że podzielę się z tobą kilkoma hipotezami?

— Jasne.

— Moim zdaniem List zorganizował sobie w miarę wygodne życie, podobne do dawnego. Najpierw wyjechał gdzieś daleko, co dało mu poczucie wolności. Znalazł pracę, zapewne jako nocny recepcjonista w motelu — logiczne zajęcie dla człowieka inteligentnego, choć niespełnionego, dobrze w rachunkach i szukającego pracy, w której nie będzie zwracał na siebie uwagi ani nie zostanie rozpoznany. Dopiero kiedy poczuł się pewniej, odważył się na znalezienie bardziej odpowiedzialnego zajęcia w obrębie wyuczonego zawodu księgowego. Ponownie zaczął uczestniczyć w życiu kościoła luterańskiego, ożenił się, w końcu przeprowadził w miejsce odległe o niecałe pięćset kilometrów od miejsca zbrodni. Nie potrafił odmienności kulturowej. Rodzinne strony dadzą mu poczucie, że panuje nad swoim życiem. Choć zdobędzie pozycję szanowanego obywatela, problemy nie znikną. Nadal będzie żył ponad stan. Nie opuszczą go kłopoty finansowe. List bez problemu dostosuje się do życia typowej podmiejskiej społeczności. Będzie spokojnym, pobożnym człowiekiem odznaczającym się wysoką inteligencją i poważnym wyglądem. Będzie nosił garnitur i krawat. Moim zdaniem, zważywszy na jego przeszłość i sztywność cha-

rakteru, nie zdecyduje się na nic nowocześniejszego niż garnitur w prążki.

Pod spód zawsze założy białą koszulę i krawat o prostym wzorze, zapew-

ne również w prążki. Jeżeli chodzi o okulary, to wybierze czarne, gru-

be oprawki — na pewno nie druciane. W ten sposób stworzy wizerunek

człowieka inteligentnego i z autorytetem. Ożeni się z kobietą, która mu

się całkowicie podporządkuje i nie będzie miała pojęcia o jego przeszło-

ści. W oczach innych ludzi będzie po prostu starym dobrym Johnem.

— Wspaniała analiza, Rich.

— Zadajesz znakomite pytania. W tego rodzaju zgadywankach naj-

ważniejsze są pytania, a nie odpowiedzi.

Tego wieczora Bender ukończył popiersie Lista. Postarzona głowa mia-

ła rozległą łysinę, zapadnięte policzki i usta zaciśnięte w surowym, bez-

litosnym grymasie. Popiersie obejmowało również szyję i linię ramion

w ciemnym garniturze z białym kołnierzykiem koszuli w stylu oksfordz-

kim. Bender założył na twarz mordercy parę starych okularów w grubych

szylkretowych oprawkach, którą znalazł w pobliskim sklepie ze starocia-

mi. Pasowały znakomicie.

\*

148

W niedzielę 21 maja 1989 roku w programie Najbardziej poszukiwani

ludzie Ameryki wyemitowano materiał o mordercy Johnie Emilu Liście.

Zapowiadający materiał John Walsh określił tę sprawę mianem najstyn-

niejszego niewyjaśnionego morderstwa w historii stanu New Jersey. Pro-

gram obejrzało ponad dwadzieścia milionów widzów.

Tego wieczora zamieszkała w Denver w stanie Kolorado Wanda Flan-

nery doszła do wniosku, że popiersie Johna Lista przypomina jej byłego

sąsiada Boba Clarka, który jakiś czas wcześniej wyprowadził się do Wir-

ginii. Bob Clark również był księgowym pochodzącym z Michigan, za

prawym uchem miał bliznę po usuniętym wyrostku sutkowatym, nie-

ustannie cierpiał na brak gotówki i co chwila tracił pracę. Wanda zanie-

pokoła się o Delores. Żona Boba była nieśmiałą, ładną kobietą, młodszą

od męża o piętnaście lat. Czyżby jej przyjaciółce groziło niebezpieczeń-

stwo? Wanda zadzwoniła na infolinię programu — jako jedna z trzystu

osób, które to uczyniły.

Jedenaście dni później agenci FBI zajechali pod parterowy dom w Mid-

lothian w stanie Wirginia, aby zweryfikować trop wskazany przez Wan-

dę Flannery. Delores Clark odkurzała właśnie dywan w salonie.

„Boba

nie ma w domu”, powiedziała agentom. Był w pracy, w firmie księgowej

Maddrea, Joyner, Kirkham & Woody, której biuro znajdowało się

w po-  
bliskim Richmond. Dolores obejrzała fotografię popiersia  
wykonanego  
przez Bendera. „Rzeczywiście mogłoby to być mój mąż”, przyznała  
drżą-  
cym, zapłakany gło-  
sem, „ale to przecież niemożliwe. Bob jest  
najmil-  
szym człowiekiem na świecie”. Był dobrym mężem i sąsiadem,  
należał do  
Kościoła luterańskiego. Kobieta nie mogła się otrząsnąć z szoku.  
Tego popołudnia Bob Clark został aresztowany w biurze firmy  
księgo-  
wej. Wysoki mężczyzna w muszce i masywnych okularach  
zmierzał wła-  
śnie do kserokopiarki i nie stawiał oporu, kiedy agenci  
wyprowadzali go  
w kajdankach. Gwałtownie zaprzeczał, jakoby był Johnem Listem,  
lecz  
odciski palców ujawniły jego prawdziwą tożsamość.  
Osiemnastoletnie po-  
szukiwania mordercy Almy, Helen, Patty, Johna juniora i  
Freddiego do-  
biegły końca.  
Następnego dnia o zasługach Bendera i Waltera dowiedział się  
cały  
kraj. „New York Times” na pierwszej stronie obwieszczał  
entuzjastycznie  
149  
aresztowanie „jednego z najbardziej poszukiwanych ludzi w  
Stanach Zjed-  
noczonych”. Artykułowi towarzyszyło zdjęcie podejrzanego Johna  
Lista  
i niemal identycznego popiersia autorstwa Bendera. W ten  
sposób Bender  
awansował na międzynarodową gwiazdę medycyny sądowej.

John Walsh,  
gospodarz programu Najbardziej poszukiwani ludzie Ameryki,  
uznał, że  
popiersie wykonane przez Bendera jest najbardziej błyskotliwym  
przypad-  
kiem pracy detektywistycznej, z jakim się kiedykolwiek spotkał.  
Bender był w siódmym niebie. Zadzwoił do Waltera, aby  
podzielić  
się radością ze zwycięstwa.  
— Rich, trafiłeś z profilem w dziesiątkę! — zawołał.  
Kiedy z sądu i prasy zaczęły napływać kolejne informacje o życiu  
Lista,  
nie sposób było oprzeć się wrażeniu, że scenariusz do niego  
napisał Wal-  
ter. List opowiedział, że po dokonaniu morderstwa uciekł na drugi  
koniec  
Stanów Zjednoczonych, do stanu Kolorado, gdzie przybrał  
nazwisko Bob  
Clark i znalazł pracę jako nocny recepcjonista w motelu. W  
Denver za-  
czął powoli organizować sobie życie od nowa: zatrudnił się jako  
księgowy,  
ożenił z Delores, która uwierzyła, że jego pierwsza żona zmarła  
na raka.  
Wstąpił do Kościoła luterańskiego i zaczął nauczać w szkółce  
niedzielnej.  
Znajomi Boba Clarka opisali go jako sympatycznego, choć  
małomównego-  
go mężczyznę, który zawsze chodził w garniturze i pod krawatem,  
nosił  
czarne buty i skarpetki ze wzorem w romby oraz okulary w grubej  
opra-  
wie. Niedługo przed schwytaniem znalazł pracę w Wirginii, dzięki  
czemu  
mógł się przeprowadzić na Wschodnie Wybrzeże. Jego dom w

Midlothian

leżał niecałe czterysta kilometrów od starej posiadłości w Westfield.

Walter z lekkim dystansem podchodził do zainteresowania, jakie wzbudzał stworzony przez niego profil psychologiczny Lista. „To miłe,

choć odrobinę przerażające”, wyznał reporterowi jednej z gazet.

„Wszy-

scy oczywiście pytają: «Jak pan tego dokonał?». Trudno w kilku słowach

opisać wieloczynnikowy proces, który do tego doprowadził. To zainte-

resowanie jest niezwykle inspirujące, ale towarzyszy mu coraz silniejsze

oczekiwanie kolejnych sukcesów”.

12 kwietnia 1990 roku — mniej więcej rok po aresztowaniu — List został skazany za pięciokrotne morderstwo pierwszego stopnia.

Ponieważ

w stanie New Jersey nie obowiązywała wtedy kara śmierci, List otrzymał

150

pięć kolejnych wyroków dożywotniego więzienia — w ten sposób nie miał

żadnych szans na zwolnienie warunkowe. Sędzia sądu

apelacyjnego Wil-

liam Wertheimer powiedział, że sprawa Lista uświadamia

społeczeństwu

konieczność obrony podstawowych wartości. „Nazwisko Johna

Emila Li-

sta na zawsze pozostanie synonimem takich pojęć, jak egoizm, makabra

i zło. Człowiek ten nie odczuwa skruchy i jest pozbawiony honoru.

Po

osiemnastu latach, pięciu miesiącach i dwudziestu dwóch dniach nad-

szedł czas, abyśmy ponownie usłyszeli głosy Helen, Almy, Patricii, Fredericka i Johna F. Listów", napisał w uzasadnieniu wyroku. Bender i Walter byli nim usatysfakcjonowani, chociaż Walter zauważył, że List, niestety, uniknął kary, którą wymierzył swojej rodzinie. Dla Bendera i Waltera rozpoczynał się wspaniały okres wspólnej walki o sprawiedliwość i odkupienie, czas radości i sukcesów. Artysta i profiler stworzyli nietypowy duet detektywistyczny, otoczony wianuszkami znajomych i wiernych przyjaciół. Stali się braćmi i kumplami od kieliszka, którzy z równym zamiłowaniem przesiadywali do późnych godzin w barach, jak mierzyli się z nierozwiązanymi sprawami. Zdarzały się i trudniejsze chwile. Nie tylko byli sobie bliscy jak bracia, ale i kłócili jak bracia, łącznie ze scysjami, podczas których Bender zarzucał Walterowi przypisywanie sobie wszystkich zasług, a oszołomiony Richard stwierdzał, że Frankowi chyba odbiło i że wyprasza sobie podobne pomówienia. W środowisku specjalistów od medycyny sądowej mówiono, że Bender i Walter byłiby najskuteczniejszą parą detektywów na świecie, gdyby tylko skoncentrowali się na zmaganiach z psychopatami, walce o zadośćuczynienie dla ofiar i zwalczaniu zła, a nie na zatruwaniu sobie nawzajem życia.



## Rozdział 18

### Powrót Vidocq'a

Pod koniec lutego 1990 roku Filadelfię nawiedziła fala mrozów.

Ciemne

niebo spinało rzeki Delaware i Schuylkill niczym wielki łuk z

szarego ka-

mienia. Jasne, rozświetlone wnętrze baru na rogu Dwudziestej

Pierwszej

i Sansom Street zapraszało do wejścia. Fleisher popchnął

szklane drzwi

i roztarł zmarznięte dłonie. Przy stolikach siedział hałaśliwy tłum,

ciepłe

powietrze przenikały aromaty zupy i kawy. Tego dnia wypadało

święto

narodowe. Bender zaprosił go na spotkanie, chciał go bowiem

poznać ze

swoim kolegą, profilerem Richardem Walterem, który przyjechał

do Fila-

delfii z Michigan, aby pomóc Benderowi w schwytaniu zbiegłego z

wię-

zienia Roberta Thomasa Naussa. Fleisher nie mógł się doczekać

poznania

słynnego Waltera. Liczył również na zastrzyk energii, którego

dostarcza-

ło mu każde spotkanie z Benderem.

Poranna lektura „Philadelphia Inquirer” wzbudziła jego niepokój.

Na-

wet w gazetach opisywano absurdalne i tragiczne wydarzenia, do

których

dochodziło w mieście z budzącą grozę częstotliwością. James

Wayock,

mąż i ojciec czworga dzieci, został zastrzelony — ot, tak sobie —

przez

czterdziestoletniego Benjaminą Frazierą ze skradzionego

pistoletu

kaliber .38, kiedy zapukał do jego drzwi z ofertą telewizji kablowej. Frazier wyznał, że po prostu miał ochotę kogoś zabić. Szesnastoletnia Linda Gar- da zginęła od kuli tuż po wyjściu z kina. Naraziła się tym, że nakrzyczała na kierowcę samochodu, który niemal ją potracił podczas wykonywa- nia niebezpiecznego manewru. Do mauzoleum dziewiętnastowiecznej 152 rodziny przemysłowców, właścicieli Champion Blower & Forge Company, wrzucono koktajl Mołotowa, a znajdujące się w środku zmumifikowane studwudziestopięcioletnie ciało zmasakrowano młotkiem. Po znalezieniu na miejscu przestępstwa czarnej świecy policja oświadczyła, że zbezczeszczenie zwłok miało podtekst satanistyczny. Fleisher dostrzegł w tłumie rozpromienioną twarz Bendera. Zaraz po- tem zobaczył wysokiego, łysiejącego eleganckiego mężczyznę o ziemistej twarzy — ciemny przecinek w niebieskim garniturze. Richard Walter. Fleisherowi przyszło natychmiast do głowy, że ci dwaj są jak Słońce i Księżyc na jednym firmamencie. A jednak nigdy wcześniej nie widział rów- nie niedobrej pary. Zapraszając go na spotkanie, Bender powiedział: „Musisz poznać mo- jego przyjaciela Richarda Waltera, psychologa sądowego. Nikt nie rozu-

mie zła lepiej niż on".

Walter miał bladą, przywiedłą twarz angielskiego kamerdynera, ale

ku zaskoczeniu Fleishera zmiażdżył mu dłoń w żelaznym uścisku.

Znad

wykrochmalonego kołnierzyka płynął strumień wyniosłych słów pełnych

wyrefinowania godnego Winstona Churchilla. Od niebieskiej marynar-

ki biło smrodem tysięcy papierosów. Tubalny, gruźliczy śmiech Waltera

rozszedł się po restauracji.

Bender, ubrany jak zwykle w czarny T-shirt i dżinsy, usiadł między dwoma zasłużonymi detektywami. Przypominał chłopca, który znalazł

ciężarówkę pełną słodyczy albo natrafił w pokoju taty na stos numerów

"Playboya".

Na miejsce pierwszego spotkania wybrał restaurację Day by Day.

Tam-

tego ranka w lokalu panował wyjątkowy gwar. Ludzie opowiadali sobie

plotki i komentowali najnowsze wiadomości — drużyna koszykarska Phi-

ladelphia 76ers wygrywała na swoim boisku, a komuniści przegrywali,

gdzie tylko się dało. Wymarzone miejsce na spokojną rozmowę o mor-

derstwach i innych makabreskach. Gdyby spotkanie nie wypaliło, miał-

by okazję do podjęcia kolejnej próby uwiedzenia swojej ulubionej kelnerki.

Coś dobrego musiało z tego wyniknąć.

— Richard to najlepszy profiler, z jakim pracowałem — oświadczył

z zapalem Bender.

153

— To prawda — przytaknął Walter, krzywiąc się. — Tylko pięć osób na świecie ma pojęcie, jak to się robi. Obawiam się, że Frank nie zna pozostałych czterech.

Fleisher roześmiał się serdecznie. Doskonale się bawił. Nie mógł się wcześniej doczekać, aby zobaczyć na własne oczy współpracę dystyngowanego psychologa i szalonego artysty. Jak każdy gliniarz w Stanach Zjednoczonych był pod ogromnym wrażeniem ich wkładu w schwytanie Johna

Lista. Spotkanie w restauracji spełniło wszelkie oczekiwania.

Franka już

od jakiegoś czasu uważał za geniusza, a teraz dość szybko zrozumiał, że

Richard nie ma sobie równych w rozumieniu umysłu przestępcy".

Sam Fleisher wywarł równie silne wrażenie na Walterze. „Sze

Urzę-

du Celnego okazał się sympatyczny i nadzwyczaj inteligentny.

Doskona-

le pamiętał wszystkie śledztwa, w których uczestniczył".

Do stolika podeszła Wendy. Bender zaczął szkicować jej portret na ser-

wetce, demonstrując swoje zdolności artystyczne.

— Cheeseburger — powiedział Fleisher. — Bez frytek.

Kelnerka zapisała zamówienie. Fleisher uśmiechnął się od ucha do

ucha.

— Zdrowe odżywianie to podstawa.

Walter zamówił filiżankę czarnej kawy. Bender wybrał sałatkę teriyaki,

kawę i ciasto wiśniowe.

— Widzę, że dopisuje ci dziś apetyt — zauważył ze śmiertelnie poważną miną Fleisher.

Bender nie odrywał wzroku od zaokrąglonej we wszystkich właściwych miejscach sylwetki kelnerki.

— Tylko na nią popatrz — wyszeptał.

Fleisher stłumił śmiech. Walter wyglądał przez okno, jakby od demonstracji libido Bendera wolał śledzić zachodzące na zewnątrz naturalne

procesy korozji. Zanim przyniesiono jedzenie, trzech mężczyzn pograży-

li się w swobodnej rozmowie na temat morderstw i chaosu, który zapano-

wał w mieście. Poruszyli między innymi temat śledztwa, w którym każdy

z nich w jakiś sposób uczestniczył: chodziło o prowadzone przez biuro sze-

ryfów federalnych poszukiwania zbiegłych morderców Hansa Vorhauera

i Roberta Thomasa Naussa.

154

— Bill podzielił się ze mną wynikami swojego śledztwa z czasów, gdy

pracował w FBI, dzięki czemu nastąpił przełom w mojej pracy, a to pomo-

gło szeryfom schwytać Vorhauera — mówił Bender. — Z kolei Richard

przygotował dla mnie profil psychologiczny Naussa. Nadal uważam, że

w końcu go dopadniemy.

Twarz Bendera niespodziewanie poczerwieniała od gniewu.

— Tak to właśnie powinno wyglądać. Tymczasem kiedy pojecha-

łem do Waszyngtonu na spotkanie z agentami FBI w sprawie poszukiwań

Lista, odnosili się do mnie niemal wrogo. Nie chcieli zdradzić żadnych in-

formacji. Podejrzewam, że dysponowali profilem psychologicznym Lista,

ale nie zamierzali mi go udostępnić.

Fleisher i Walter przytaknęli.

— Od trzydziestu lat obserwuję, jak ofiary przestępstw stają się ponow-

nie ofiarami, tym razem wymiaru sprawiedliwości — stwierdził ponuro

Fleisher, spoglądając w zamyśleniu w jakiś odległy punkt sali.

— Czemu gliniarze tak kiepsko sobie radzą z szukaniem morder-

ców? — dopytywał Bender. Jako artysta o niewielkim doświadczeniu we

współpracy z policją, nie potrafił zrozumieć źródła frustrującej sztywno-

ści myślenia większości funkcjonariuszy. — Żaden z nich nie potrafi dzia-

łać nieszablonowo!

— Policja działa według ściśle określonych procedur — westchnął Wal-

ter. — Fundamentem procedury śledczej jest skupienie się na dostępnych

dowodach i poszlakach, tymczasem czasami równie ważne jest to, czego

brakuje. Na przykład — zachichotał, a na jego twarzy zagościł szelmow-

ski uśmiech — gdybym przyszedł na to spotkanie nago, w moim wyglą-

dzie istotny byłby brak ubrania, a nie stare i brzydkie ciało!

Walter znakomicie rozumiał wagę dzielenia się informacjami.

Opowie-

dział towarzyszom o osławionej sprawie Bieliźnianego Mordercy. Kiedyś tuż po wykładzie o typach osobowości morderców, który wygłosił na konferencji w Atlancie, podeszli do niego policjanci ze stanu Georgia z prośbą o pomoc w zagadkowej sprawie. W chaszczach w parku znaleziono halki należące do trzech kobiet — zakrwawione i rozcięte nożem w środkowej części. Każda miała monogram „J”. Nie znaleziono ani ciał ofiar, ani śladów szarpaniny. Co mogło się za tym kryć?

155

— Policja przyjrzała się znalezionej bieliźnie i zapytała: „Co też się tu wydarzyło?” — ironizował Walter. — A co niby do cholery miało się tam wydarzyć? Byle półinteligent powinien się domyślić, że popełniono morderstwo. Problem w tym, że do policji przyjmują też ćwierćinteligentów. Rozcięcie i ślady krwi po nakłuciach były oznaką pikeryzmu, wyjaśnił Walter, czyli parafilii, zбочzenia polegającego na czerpaniu przyjemności z zadawania innym bólu przez nakłuwanie lub nacinanie ich ciała. Znalaziona bielizna świadczyła dobitnie, że w okolicy grasuje seryjny morderca, który wzorem Teda Bundy ego przechodzi ku jeszcze bardziej makabrycznym formom zachowania, jak nekrofilia czy kanibalizm. Fleisher oderwał wzrok od cheeseburgera. — Jak miło, że akurat teraz o tym wspominasz.

— Cała przyjemność po mojej stronie. Zmierzam do tego, że kilka tygodni później uczestniczyłem w podobnej konferencji w St. Louis. Roy Hazelwood, agent FBI, opisał serię tajemniczych morderstw w Ohio. Policja znalazła ciała kobiet: odarte z halek i rozplątane w górnej części.

Walter uniósł brew.

— Tak się składa, że znamy się z Royem od zarania dziejów. Po wykładzie zagadnąłem go: „Słuchaj, chciałbym cię o coś zapytać. Co według ciebie może oznaczać «J» wyszyte na halce?”. Roy rozdziawił usta i stwierdził, że na tę literę zaczynało się imię jednej z ofiar.

W ten sposób udało im się połączyć elementy układanki i doprowadzić do schwytania seryjnego mordercy— kierowcy ciężarówki, który zabijał kobiety w Ohio, a ich halki porzucał w Georgii. Przy stoliku zjawiała się ponownie Wendy. Zebrała talerze, a wolną ręką naląła kawę.

— A zatem wymiana informacji przynosi wymierne korzyści. Pozwala na kojarzenie faktów i znajdowanie zaskakujących powiązań.

— O to właśnie chodzi! — wykrzyknął podekscytowany Bender.

—  
Już dawno temu wpadliśmy z Billem na pomysł, żeby stworzyć grupę specjalistów od nauk sądowych, którzy mogliby się wymieniać informacjami i omijać wszystkie pieprzone przeszkody biurokratyczne. Działalibyśmy



równolegle do policji i po prostu rozwiązywalibyśmy sprawy.  
Fleisher stłumił śmiech.

156

— Frank, przecież taka ekipa już istnieje. Batman i Robin. Nie może-  
my stworzyć samozwańczej grupy obrońców prawa działających z pomi-  
nięciem organów ścigania. Nie poradzilibyśmy sobie bez ich współpracy  
i informacji.

— Chcemy za to — Fleisher zwrócił się do Waltera —  
organizować  
spotkania podobne do tego i omawiać na nich aktualne śledztwa.

— Niezbyt dobrze się czuję w takich gremiach — skrzywił się  
Walter.

Fleisher chciał jak najszybciej stanąć do walki w imieniu skrzyw-  
dzonych, pozbawionych wsparcia ludzi. Nawet jeśli założone  
przez nich

stowarzyszenie detektywów nie podejmie krucjaty przeciw złu,  
mogło-

by przynajmniej stać się klubem towarzyskim zrzeszającym  
doświadczono-  
nych policjantów.

Niemniej w tych planach brakowało jakiegoś kluczowego  
elementu.

Jako agent specjalny Urzędu Celnego Fleisher dysponował  
gigantyczną

władzą, ale przypominał podstarzałego króla, który nie ma dość  
sił, aby

dobyć miecza i stawić czoła przeciwnościom losu. Na podjęcie  
jakichkol-

wiek realnych działań nie pozwalała Fleisherowi monotonia życia,  
która

przepęłniała go bezgranicznym, nieodgadnionym smutkiem.

Restauracja opustoszała. Wendy przyniosła ciasto i dolewkę

kawy. Na  
ulicę za oknem kładły się długie cienie pobliskich wieżowców.  
Zapadał  
wieczór, za szybą pojawiły się sylwetki bezdomnych mijających  
bar ni-  
czym zapomniane duchy. Fleisher, Bender i Walter nadal  
dyskutowali  
o grasujących na terenie Filadelfii seryjnych mordercach oraz  
niespotyka-  
nym wcześniej poziomie lęku, który dostrzegali na twarzach  
mieszkań-  
ców miasta.

— Raz za razem spotykam przestępców bezwzględniejszych,  
brutal-  
niejszych i bardziej zdemoralizowanych niż ci, którzy działali w  
poprzed-  
nich dekadach — mówił Walter. — Ludzi, którzy zabijają dla  
zabawy.

Wraz z zapadającym mrokiem coraz bardziej przytłaczał ich  
ciężar  
spoczywającej na nich odpowiedzialności. Nastrój optymizmu z  
począt-  
ku spotkania gdzieś się ulotnił. Ciszę przerwało dopiero zadane  
entuzja-  
stycznym głosem pytanie.

— No to jak nazwiemy nasz klub? — zawołał Bender. —  
Towarzy-  
stwo Sherlocka Holmesa?

157

Fleisher uśmiechnął się promiennie. Jego żywiołowy przyjaciel  
nigdy  
nie dopuszczał do siebie czarnych myśli na zbyt długo.

— Pomysł dobry, ale zbyt oczywisty. Mam lepszy. Nazwijmy  
klub To-  
warzystwem Vidocqa.

Widząc zdezorientowane spojrzenia, wyjaśnił, że Eugène François Vidocq żył w XIX wieku w Paryżu i był największym detektywem w historii.

— Poza tym jest moim idolem — dodał.

Fleisher odkrył zapoznaną postać Vidocqa jako młody kadet w akademii FBI. Francuskiego detektywa należało bez wątpienia uznać za ojca współczesnej kryminologii. W 1811 roku założył tajny oddział detektywów, rekrutujących się głównie spośród byłych przestępców, do których zresztą sam się zaliczał. Napoleon Bonaparte uczynił z jednostki państwową agencję śledczą, Brigade de la Sûreté, prekursorkę FBI i Scotland Yardu.

Vidocq jako pierwszy zaczął prowadzić kartoteki z informacjami o przestępcach, danymi balistycznymi, gipsowymi odlewami stóp i próbkami atramentów sympatycznych. Badał przydatność odcisków palców i był mistrzem kamuflażu. Oskarżony o inscenizowanie przestępstw w celu zwiększenia statystyk wykrywalności, został wyrzucony z Sûreté i w 1833 roku założył pierwszą prywatną agencję detektywistyczną o nazwie Le Bureau des Renseignements (Biuro Informacyjne). Dopiero siedemnaście lat później Allan Pinkerton stworzył w Chicago Narodową Agencję Detektywistyczną Pinkertona.

Na Fleisherze największe wrażenie zrobiła zwłaszcza historia

życia samego Vidocq'a, który przeszedł drogę od świata przestępczego przez odkupienie własnych win do wiary w możliwość odkupienia innych. Główny stróż prawa w Paryżu był wielkim przyjacielem biednych i powtarzał, że nie zamierza aresztować złodzieja, który kradnie chleb, aby nakarmić rodzinę. Właśnie na Vidocqu wzorował się Victor Hugo, tworząc postać Javerta, nieustępliwego detektywa z Nędzników, a także Valjeana, byłego kryminalisty, który przechodzi wewnętrzną przemianę i pragnie wygrodzić popełnione czyny. Fleisher oświadczył, że roześle listy do wybranych specjalistów z całego świata, zapraszając ich do wstąpienia do Towarzystwa Vidocq'a. Bender poczerwieniał z radości.

158

— Wspaniałe spotkanie! — oświadczył przy pożegnaniu z Fleisherem. — Mamy już nazwę, z resztą jakoś sobie poradzimy. Walter nie podzielał entuzjazmu kolegów. Ich ożywionej gadaninie o towarzystwach i klubach oraz walce ze złem przysłuchiwał się z nieprzeknickną miną i wyszedł jako pierwszy. „Nie jestem z natury zwierzęciem stadnym”, wspominał, „a Towarzystwo Vidocq'a miało być kolejnym klubem miłośników Sherlocka Holmesa. Cóż za niedorzeczność! Owszem, dobrze się czułem w towarzystwie Franka i Billa, nieźle się dogadywaliśmy, więc z grzeczności

siedziałem ci-  
cho, ale prawdę powiedziawszy, uważałem ten ich pomysł za  
idiotyzm".

Część trzecia  
Towarzystwo Vidocqa

Rozdział 19

Stowarzyszenie detektywów

Wybiło południe. Fleisher spojrzął na twarze najlepszych tropicieli  
prze-

stępstw z Nowego Jorku, Filadelfii, Bostonu i Waszyngtonu,  
którzy zasie-

dli przy długim stole w Klubie Oficerów Marynarki Wojennej.

Znaleźli

się tu, ponieważ zostali przez niego starannie wyselekcjonowani  
jako naj-

bardziej utytułowani i nieszablonowi eksperci pracujący dla  
różnych

służb: agenci federalni, filadelfijscy policjanci, specjaliści od  
wykrywaczy

kłamstw i żydowscy stróże prawa — razem mieli stanowić trzon

Towa-

rzystwa Vidocqa. Miejsca naprzeciwko Fleishera zajmowali Frank  
Ben-

der i Richard Walter. Po spotkaniu w restauracji Fleisher rozesłał  
listy do

dwudziestu ośmiu znajomych funkcjonariuszy z całego kraju,  
zaprasza-

jąc ich do prywatnego klubu detektywistycznego, którego  
statutowymi

celami miały być „konsumpcja dobrego jedzenia i walka z  
przestępczo-

ścią". Dwudziestu sześciu z nich zareagowało błyskawicznie

entuzjastycznym „Tak!”.

W sali panowała atmosfera pełna napięcia. Żaden z uczestników nie

widział wcześniej tylu znakomitych detektywów naraz. Jako prywatne

stowarzyszenie nie odpowiadali przed rządem ani jego agencjami. Ben-

der był bardzo podekscytowany.

Nawet Walter, wieczny sceptyk, ubrany jak zwykle w niebieski garni-

tur, z niekłamanym uznaniem wodził wzrokiem po grupie szanowanych

śledczych. „A więc nasza wielka szycha z Urzędu Celnego nie żartowa-

ła”, pomyślał.

162

Świeżo powołani członkowie Towarzystwa Vidocq'a mieli się tego dnia

poznać, ustalić cele stowarzyszenia i reguły działania oraz wybrać swo-

je władze. .

Fleisher i większość przybyłych znali się jak łyse konie. Niektórzy, na

przykład doświadczony agent Urzędu Celnego Joe O'Kane, współpraco-

wali z nim od lat przy rozmaitych sprawach. „Z Billem Fleisherem i in-

nymi chłopakami przeszliśmy tyle, że starczyłoby na życie dwóch ludzi”,

wspominał O'Kane. „Żyjemy na walizkach, śpimy w samochodach, ob-

żeramy się burrito podczas obserwacji podejrzanych, a potrzeby fizjolo-

giczne załatwiamy w łazienkach na stacjach benzynowych. Żadne

z nas

Jamesy Bondy...". Inni współpracowali z Fleisherem jeszcze za jego cza-

sów w FBI i filadelfijskiej policji. Ścigali morderców i gangsterów oraz

ochraniali najróżniejsze ważne osobistości: od gubernatora Pensylwanii

do królowej Anglii.

„To największy idiotyzm, o jakim kiedykolwiek słyszałem. Nic z tego

nie będzie", zaśmiał się w rozmowie z Fleisherem William Gili, agent

specjalny departamentu finansów, przyglądając się grupie filadelfijskich

gliniarzy, prawdziwych twardzieli przyzwyczajonych do walki z biuro-

kratycznymi przeszkodami. „Wchodzę w to z dwóch powodów: uwiel-

biam cię, no i będę miał okazję do zjedzenia dobrego lunchu.

Możesz na mnie liczyć".

Fleisher zaimponował Gillowi tym, że zainicjował kiedyś obyczaj co-

miesięcznych spotkań wszystkich agentów federalnych działających na te-

renie Filadelfii — ludzi z FBI, biura szeryfów, DEA (Drug Enforcement

Administration — rządowej agencji do spraw walki z narkotykami), de-

partamentu skarbu, Biura ds. Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej oraz Mate-

riałów Wybuchowych, urzędu skarbowego i służb specjalnych.

Spotkania

pozwołyły im się lepiej poznać i wypracować nowe metody współpracy.

„Dzięki temu mogłem zadzwonić do kogoś i powiedzieć: Słuchaj, Ben, potrzebuję taki a taki sprzęt albo takiego a takiego człowieka". Jedno ze spotkań odbyło się na pokładzie jachtu motorowego na rzece Delaware. DEA skonfiskowało łódź handlarzom narkotyków i wypożyczyła ją w najnowocześniejsze urządzenia podsłuchowe. „DEA chciało się popisać. Wszyscy zielenieli z zazdrości". Gili pożyczył później tę łódź,

163

aby przyłapać na gorącym uczynku agenta podatkowego, który w zamian za pokaźne łapówki przymykał oko na nieprawidłowości w księgach rachunkowych spółek. Pieniądze przekazywano na motorówce pływającej po Delaware. Urządzenia podsłuchowe DEA nagrały przebieg spotkań. Kapitanem łodzi był agent DEA Steve Churchill, który w przyszłości miał również zostać członkiem Towarzystwa Vidocq'a.

„Bill jest mistrzem spraw organizacyjnych. Pamięta nazwiska wszystkich ludzi i tak kieruje spotkaniami, że tworzy się między nimi więź",

twierdził Gill. To samo mówił O'Kane. „Znajduje czas dla każdego: agenta, gliniarza, donosiciela, reportera, dziwki. Dla każdego. Ze wszystkimi umawia się na lunch. Powiedziałem mu nawet, że nie potrafiłbym robić tego, co on, bo nie mam takiego apetytu. Bill Fleisher to najlepszy specja-



lista na świecie od budowania więzi międzyludzkich". Zgromadzeni wokół stołu agenci federalni, koledzy Fleishera, stano- wili malowniczą zbieraninę. Łowca nagród, szeryf federalny Dennis Matulewicz, absolwent St. Joseph's University, lubił cytować Hemingwaya: „Nic nie dorówna polowaniu na człowieka. Temu, kto dostatecznie długo polował na uzbrojonych ludzi, czerpiąc z tego przyjemność, nic nie sprawia później równie wielkiej satysfakcji". Philip Schuyler Deming, czołowy agent Biura ds. Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej oraz Materiałów Wybuchowych, mężczyzna o kasztanowych włosach i urodzie hollywoodzkiego gwiazdora, nosił na palcu pierścień waszyngtońskich oficerów Towarzystwa Cyncynatów, który otrzymał w spadku po swoim przodku Aleksandrze Hamiltonie. Edgar Adamson zawierzył swoje życie Chrystusowi, gdy pobierał nauki w seminarium, teraz jednak stacjonował w Waszyngtonie jako zastępca szefa Interpolu. „Deming nosił się jak arystokrata, ale tak naprawdę był równym gościem i nie miał w sobie nic z fircyka. Tylko siłą można było od niego wyciągnąć, jak ma na drugie imię", opowiadał agent Urzędu Celnego O'Kane. Gill, agent specjalny departamentu skarbu, siedział obok swojego daw-

nego szefa Bena Redmonda. Wspominali pewien letni dzień z 1971 roku, kiedy ich agenci szykowali się w Nowym Jorku do kontrolowanego przyjęcia łapówki od ojca chrzestnego rodziny Colombo, Joe Colomba seniora.

164

Zanim zdobili doprowadzić tę niezwykłą akcję do końca, Colombo został postrzelony na wiecu. Zamachowiec trafił go trzykrotnie w głowę i ojciec chrzestny spędził następne siedem lat życia w śpiączce, z której już się nie wybudził. Joey Galio, jego główny rywal, wygłosił wtedy osławione zdanie: „Zrobili z niego warzywo”.

Siedzący obok siebie funkcjonariusze Urzędu Celnego przypominali członków ulicznego gangu. O’Kane, syn budowniczego młynów z filadelfijskiej dzielnicy Kensington, o istnieniu agentów celnych dowiedział się dopiero wtedy, gdy pięciu z nich skoczyło na niego z pałkami i pistoletami, kiedy wyjeżdżał skonfiskowanym samochodem ze składu celnego. Jako niedoświadczony inspektor kredytowy banku nie wypełnił odpowiednich dokumentów, przez co uznano go za złodzieja. Agentom Burkeowi i Murphyemu spodobała się postawa wielkiego Irlandczyka podczas bójki. Kiedy uświadomili sobie pomyłkę i dowiedzieli się, że chłopak jest synem Dutcha O’Kane’a, „pokleпали mnie po plecach, jak największego

rów-  
niacę na świecie i poradzili, abym złożył podanie o przyjęcie do  
Urzędu  
Celnego". O'Kane pełnił na początku funkcję agenta latającego  
incognito  
samolotami. Podobnie jak Frank Dufner, kolejny wielki Irlandczyk,  
któ-  
ry zamierzał zostać listonoszem — jego dziadek pracował w tym  
zawo-  
dzie przez pięćdziesiąt lat — ale zobaczył plakat z prezydentem  
Richardem  
Nixonem werbujący uzbrojonych agentów do ochrony samolotów  
przed  
porwaniami. O'Kane i Dufner uwielbiali swoją pracę — latali klasą  
tu-  
rystyczną z trzydziestkami ósemkami wepchniętymi za pasek pod  
ma-  
rynarką. „Tylko czekaliśmy, aż coś się wydarzy”, wspominał  
O'Kane.  
Nie musieli nigdy interweniować poza jednym przypadkiem, kiedy  
Duf-  
ner obezwładnił mężczyznę dobijającego się wściekle do drzwi  
kabiny pi-  
lotów. „Okazało się, że gość był gejem. Jego partner udawał, że  
zdradza  
go w toalecie. Facet sprawdzał kolejno wszystkie drzwi”.  
W Urzędzie Celnym obaj zostali przeszkoleni przez słynnych in-  
spektorów zwanych Czterdziestoma Złodziejami, którzy pełnili  
noca-  
mi służbę w filadelfijskich dokach, gdzie roztrzaskiwali pałkami  
butelki  
z wódką przemywane pod długimi płaszczami przez robotników  
porto-  
wych. „Goście nie wylewali za kołnierz i byli moimi bohaterami”,  
wspo-

minał O'Kane. „Pili przy barze z dwóch szklanek jednocześnie, a kto do

165

nich podszedł, mógł oberwać w mordę. Prawdziwi twardziele o złotych

sercach, głównie Irlandczycy, czasami Włosi, sporadycznie Niemcy plus

kilku charakternych Żydów”.

Do tej ostatniej grupy należał właśnie Fleisher, dobrze wychowany ab-

solwent uniwersytetu, który dzięki ciężkiej pracy przezwyciężył ogranicze-

nia związane z pochodzeniem. Wśród mężczyzn siedzących przy stole nie

obowiązywał system kastowy. Liczyły się osiągnięcia, obowiązywały typ-

owo męski stoicyzm i skromność. „O pewnych sprawach się nie mówi. Gili

odznaczył się podczas misji bombowych w Wietnamie, ale nie przypo-

minam sobie, aby komukolwiek o tym opowiadał. O przeszłości chłop-

ków można było się dowiedzieć tylko mimochodem”, opowiadał O'Kane.

A wszyscy zgromadzeni na sali ludzie osiągnęli w życiu naprawdę wiele.

Szanowany prokurator Kenneth Freeman, również jeden z owych „charakternych Żydów”, jako młody chłopak wdawał się w bójki z policją.

Później poszedł na prawo i namówił Fleishera do wstąpienia do akademii

FBI. Kolejny żydowski twardziel, Dave Warren, agent specjalny Urzędu

Celnego, pomógł w transferze Fleishera z FBI i był teraz jego szefem.

Nieco dalej siedział człowiek, którego Fleisher poznał jeszcze za czasów służby w filadelfijskiej policji, w której obaj odbierali pierwsze szlify. Niski, skłonny do żartów lekarz sądowy Halbert Fillinger, który na miejsce zbrodni zajeżdżał zawsze jednym ze swoich zabytkowych wozów strażackich, akurat tego dnia przybył do klubu czerwonym thunderbirdem z napisem na tablicach rejestracyjnych: Zabójczy Hal. Przy stole siedział również szef wydziału zabójstw Frank Friel, legendarny oficer śledczy mający na koncie cztery tysiące spraw. „Frank jest najlepszym specjalistą od prowadzenia śledztw w sprawach morderstw, jakiego znam”, twierdził Fleisher. Filadelfijscy policjanci byli w zasadzie jedną rodziną — jak mafia. Nie należeli do niej jedynie Walter i Bender. Wielu z obecnych współpracowało wcześniej z Benderem, ale Waltera znali tylko z opowieści. Genialny psycholog sądowy ze Środkowego Zachodu wydawał się znakomitą przeciwwagą dla temperamentu Bendera. Ludzie, którzy odpowiedzieli na zaproszenie Fleishera, siedzieli teraz roześmiani i spoglądali po sobie oczami roziskrzonymi od entuzjazmu lub ironii. Wydawali się nienaturalnymi 166 bytami, lustrzanymi odbiciami Fleishera. Hałaśliwi, oryginalni —

wszyst-  
kim zdarzało się łamać zasady obowiązujące w środowisku.  
Fleishera łączyło z nimi osobliwe pokrewieństwo. „Zawsze miałem  
sła-  
bość do różnej maści ekscentryków”, wyjaśnił. Słabość tę  
odziedziczył po  
ojcu, który lubił towarzystwo gangsterów, włamywaczy, tancerki i  
najróż-  
niejszych typów z pogranicza świata przestępczego.  
Jeszcze przed podaniem lunchu Fleisher zabrał głos. Przedstawił  
współzałożycieli Towarzystwa, nakreślił sylwetkę francuskiego  
awantur-  
nika i opisał jego osiągnięcia.  
Agent specjalny Dufner zachichotał, gdy jego były partner z  
Urzędu  
Celnego wymieniał dokonania Vidocqa. „A więc to od niego wziął  
pomysł  
na tę sztuczkę”, pomyślał. W zimie 1980 roku prowadzili śledztwo  
w spra-  
wie kradzieży ogromnej ilości telewizorów i mikrofalówek. Fleisher  
znalazł  
odcisk stopy na śniegu. W pobliskim sklepie kupił gips modelarski  
i wyko-  
nał odlew. „Chłopaki w biurze się z niego nabijali: No, tym razem  
to na-  
prawdę przesadziłeś. Bawisz się w Perry ego Masona? — mówili.  
Później  
aresztowaliśmy około dwudziestu podejrzanych i jeden z nich  
wpadł, po-  
nieważ jego tenisówki marki Converse pasowały do śladów.  
Fleisher na-  
leżał do ludzi, którzy wiedzą wszystko. Pomyślałem wtedy: Był  
agentem  
FBI, policjantem w Filadelfii — mogę się od niego niejednego  
nauczyć”,

opowiadał Dufner.

Stróże prawa zgromadzeni przy długim stole szybko uzgodnili regu-

ły funkcjonowania bractwa. Wybrali prezesa — Fleishera — oraz jego

zastępcę. Podobna struktura organizacyjna obowiązywała w policji w No-

wym Jorku, Hongkongu czy Scotland Yardzie.

Mieli się spotykać co kwartał na lunchu w Klubie Oficerskim i oma-

wiać nierozwiązane sprawy morderstw. Nate Gordon, wybitny specjali-

sta w badaniach wykrywaczem kłamstw, zaproponował, aby ograniczyć

liczbę członków do osiemdziesięciu dwóch osób, oddając w ten sposób

część Vidocqowi, który żył właśnie tyle lat. Propozycja została szybko

przyjęta. Członkostwo miało być „przywilejem” nadawanym dożywot-

nie najlepszym ekspertom nauk sądowych na świecie. Nie przewidzia-

no możliwości ubiegania się o miejsce w Towarzystwie — tylko aktualni

członkowie dysponowali prawem zapraszania nowych osób, nad których

167

kandydaturą musiał głosować na zebraniu zarząd. Wystarczył jeden głos

sprzeciwu i kandydat przepadał.

Spotkania Towarzystwa miały odtwarzać elegancką, europejską at-

mosferę wiktoriańskich klubów towarzyskich dla mężczyzn z klas wyż-

szych, tyle że zamiast brandy podawano kawę i mrożoną herbatę,

surowo

zakazano palenia cygar, a do klubu mogli wstępować mężczyźni i kobiety

wszystkich ras. Czasy się zmieniły i jedynym kryterium stały się kompe-

tencje — członkostwo mógł zapewnić wyłącznie okazały dorobek za-

wodowy. Miało w ten sposób powstać jeden z najbardziej

ekskluzywnych

klubów świata.

Towarzystwo Vidocq'a powstało niejako dla kaprysu. Wcześniej ist-

niało już — głównie w Nowym Jorku i Londynie — kilka

podobnych

klubów towarzyskich, w których przy posiłkach rozprawiano o

przestęp-

stwach. Najsłynniejszym z nich było założone w 1935 roku

stowarzyszenie

Baker Street Irregulars (Urwisy z Baker Street). Członkowie

spotykają się

na obiadach w Nowym Jorku i toczą wesołe rozmowy o Sherlocku Hol-

Hol-

mesie, jakby czas się zatrzymał i wciąż był rok 1895. Wśród

uczestników

spotkań znaleźli się prezydenci Franklin D. Roosevelt i Harry

Truman,

pisarze science fiction Isaac Asimov i Neil Gaiman oraz Rex

Stout, twór-

ca postaci detektywa Nero Wolfe'a.

Fleisher zapowiedział, że podobnie jak Baker Street Irregulars,

Towa-

rzystwo Vidocq'a będzie miało charakter wyłącznie towarzyski.

Umożli-

wi czynnym lub emerytowanym detektywom utrzymywanie

kontaktu



z przyjaciółmi, nawiązywanie nowych znajomości i gimnastykowanie umysłu przy okazji analizy fascynujących przypadków. Klub towarzyski dla detektywów. Fleisher był gotów przyjmować osoby spoza kręgu zawodowych stróżów prawa, jeżeli tylko dysponowały nietypowymi umiejętnościami pomocnymi w rozwiązywaniu spraw kryminalnych. Ten ostatni punkt niespecjalnie ucieszył Waltera. Nie miał ochoty zadować się z amatorami.

## Rozdział 20

### Zapuszkowany

Jesienią 1990 roku Bender i Walter lecieli nad pogrążonym w ciemnościach Pacyfikiem z San Francisco do Australii. Rzeźbiarz nie mógł oderwać wzroku od stewardes. Nigdy wcześniej nie leciał tak długo samolotem i teraz wprost rozpierała go energia. Dzięki sprawie Johna Lista zyskał status megagwiazdy. O jego genialnych rekonstrukcjach twarzy napisał na pierwszej stronie „New York Times”. Do Australii wybrał się z Walterem i agentem FBI Robertem Resslerem. Przez następny tydzień mieli wygłaszać wykłady w Adelajdzie i Sydney. Bender nigdy wcześniej nie występował przed międzynarodową społecznością specjalistów sądowych, tymczasem w debiucie mieli mu towarzyszyć dwaj najświetniej-

si profilerzy na świecie. Jego kariera rozwijała się doprawdy fantastycznie.

Podczas długiego lotu Bender przeżywał huśtawkę nastrojów.

Kiedy

wzbili się na wysokość dziewięciu kilometrów, nie wytrzymał i wyznał

Walterowi, że w ciągu dwudziestu lat małżeństwa nigdy nie przeżył tak

długiej rozłąki z żoną. Czuł się nieswojo. Dzwonił do niej z lotnisk w Fila-

delfii, Nowym Jorku i San Francisco, zapewniając o swojej miłości. Tym-

czasem jego żona niewiele wcześniej zapowiedziała, że zamierza się z nim

rozstać. Nie chodziło bynajmniej o żonę numer 2, jak niektórzy z jego

znajomych nazywali Joan, ale o tę prawdziwą — Jan, jego życiową opokę.

— Jan konsultuje się z prawnikiem w sprawie rozwodu — oświadczył

ponuro, wpatrując się w majaczący za oknem czarny ocean.

169

— Jako twój przyjaciel postaram się udąć zaskoczenie — stwierdził

zgryźliwie Walter.

— No wiem, wiem. Jakoś nigdy nie wierzyłem, że ta chwila rzeczy-

wiście nastąpi. Jan jest najważniejszą osobą w moim życiu.

Zawsze mia-

łem kochanki, ale w końcu popełniłem błąd i wdałem się w niewłaści-

wy romans...

— Tak, jasne — przytaknął Walter. — Rozumiem.

Wydawało się, że Bender nie słyszy ironicznych komentarzy przyja-

ciela.

— Jan uważa, że sława uderzyła mi do głowy. Cóż poradzę, że moja

praca przyciąga uwagę.

Mechanizmy rządzące współczesnymi mediami sprawiały, że Bender

zyskał większą sławę niż ta, którą za życia cieszył się Michał Anioł. Ty-

godnik „People” poprosił go o wyrzeźbienie popiersia jednego z „25 naj-

bardziej interesujących ludzi” 1991 roku — Otziego, myśliwego sprzed

5300 lat, którego zmumifikowane ciało znaleziono w lodowcu we wło-

skich Alpach na wysokości ponad 3000 m n.p.m. W jego plecach tkwił

kamienny grot strzały, w ręku trzymał nóż — Ótzi był prawdopodobnie

pierwszą znaną ofiarą morderstwa popełnionego na terenie Europy. Jesz-

cze zanim fakt ten został potwierdzony przez naukowców, Bender doszedł

do wniosku, że Człowiek Lodu miał krótkie włosy, ponieważ „wydawa-

ło mu się to naturalne”.

Rzeźby Bendera zaprezentowano w nowojorskiej galerii

Sonnabend

wraz z pracami Andy'ego Warhola jako element instalacji Ronalda Jonesa

zatytułowanej Monster i poświęconej przestępczości. Na podstawie zdjęć

młodej Żydówki zamordowanej przez nazistów Bender wyrzeźbił popier-

się starej kobiety, którą stałaby się dziewczyna, gdyby przeżyła obóz kon-

centracyjny. „Miała piękny głos. Śpiewała dla Mengelego. W końcu ją zastrzelił. Praca nad tym projektem była najbardziej poruszającym wydarzeniem w mojej karierze”, wyznał Bender dziennikarzowi agencji Associated Press.

Od tej pory do Bendera dzwonili nie tylko filadelfijscy dziennikarze, ale również „Time”, „Newsweek” i paryski „Match”, producenci filmowi, hollywoodzcy agenci, celebryci, lekarze sądowi, policjanci, siwowłosi

170

prywatni detektywi, modelki, fotografowie, reporterzy, wariaci, szarlata- ni, agencje kolekcjonerskie oraz zazdrośni mężowie, którzy od dawna blokowali linię telefoniczną na South Street.

Jan zanotowała w swoim dzienniku, że jej mąż nie jest już młodym, postrzelonym, skromnym artystą gotowym przemawiać w imieniu zmarłych, których losem nikt się nie przejmował. Teraz całymi dniami i nocami prowadził rozmowy z dziennikarzami, ludźmi z Hollywoodu i z telewizji.

„Cały czas gada wyłącznie o sobie”, napisała.

Przesilenie nastąpiło po kilku miesiącach nieprzyjemnych kłótni prze-

rywanych okresami milczenia. Jan miała także dość nieustannego klepa-

nia biedy. Po schwytaniu Johna Lista dziennikarz „Timea” napisał, że

Frank Bender jest większą gwiazdą od prezydenta Stanów

Zjednoczo-  
nych. Niemal czterdzieści rekonstrukcji twarzy — którym Bender  
po-  
święcił większą część poprzedniego dziesięciolecia — pomogło  
policji  
w osiągnięciu spektakularnych sukcesów. Za każdą z nich Bender  
otrzy-  
mywał zaledwie około tysiąca dolarów, czasami trochę więcej,  
czasami  
trochę mniej. Zdarzało mu się pracować za darmo. Tymczasem  
fotogra-  
fia przynosiła mu coraz słabsze zarobki. Jan zatrudniła się jako  
testerka  
perfum w domu towarowym Strawbridge & Clothier; pracowała też  
na  
drugim etacie recepcjonistki w kancelarii prawnej. Frank dorabiał,  
repe-  
rując skorodowane łopatkę holowników. Nurkował w  
zanieczyszczonych  
wodach rzeki Delaware i swoimi niezwykłymi dłońmi wyszukiwał  
w cał-  
kowitych ciemnościach wszystkie skazy na metalowych  
powierzchniach.  
Żeby przeżyć, Benderowie wyprzedawali majątek, w tym ostatni  
moto-  
cykl Franka i jego furgonetkę.  
Czara gorczy przelała się niedawno, opowiadał Frank. Pewnego  
ran-  
ka Jan zaczęła się na niego wydzierać, kiedy leżał jeszcze w  
łożku. „Pie-  
przysz się z Laurą Shaughnessy?” Krzyki odbiły się echem po  
całym  
budynku; musiała je usłyszeć ich córka Vanessa. Frank miał już  
serdecz-  
nie dość wrogiej postawy żony. „Tak”, oświadczył nonszalancko.

„A sko-

ro już to ustaliliśmy, pozwolisz mi się wyspać?”.

— Zdajesz sobie chyba sprawę — wtrącił spokojnie Walter — że nie

powinieneś być udzielać takiej odpowiedzi.

— Doprawdy, Sherlocku?

171

Walter posłał mu gniewne spojrzenie.

— Muszę przywrócić Równowagę — oświadczył Bender z taką powa-

gą, jakby chodziło o zaginiony skarb templariuszy. — Naruszyłem Rów-

nowagę.

— Utrzymywanie równowagi w twoim wykonaniu przypomina cho-

dzenie po linie — zauważył zdumiony Walter. — Pomijając mieszkańców

Dubaju, nie znam nikogo, kto żyłby równocześnie z tyloma kobietami.

Przyczyną problemów nie była Joan, czyli Dziewczyna Numer 1.

Jan

lubiła Joan, a Joan uwielbiała Jan i nie zamierzała podważać jej statusu

Jedynej żony.

Jan nie miała nawet pretensji do męża o nieustannie zmieniającą się

galerię młodych kobiet — kelnerek, artystek, fotografek, panien, rozwó-

dek i mężatek — pełniących rolę dziewczyn numer 2 do 5 (liczba zależała

od potrzeb Bendera i fazy Księżyca). Zauważyła, że im częściej działał-

ność artystyczna Franka miała związek ze śmiercią, tym większe budzi-

ło się w nim pragnienie młodych, apetycznych kobiet. Niemniej to

Jan  
sprawowała władzę w królestwie i tego rodzaju czynniki nie mogły  
za-  
grozić jej pozycji.  
Bender zdążył się przyzwyczaić do zdumienia, które wzbudzało u  
nie-  
których jego życie prywatne. Nie obchodziło go, co inni robią w  
zaczysku  
swoich domów ani co myślą o nim. Frank i Jan kilka razy poszli  
na kon-  
sultację do poradni małżeńskiej, kiedy przestawali sobie dawać  
radę z róż-  
nego rodzaju problemami, między innymi finansowymi, nigdy  
jednak nie  
poruszyli tematu kochanek Bendera. Zdrady nie uważali za temat  
wart  
dyskusji. „Taki układ pasuje i mnie, i Jan. Ona potrzebuje  
wolności i ja  
potrzebuję wolności. Nie zamierzam pozwalać, aby mi jakiś  
psycholog  
mówił, jak mam żyć. Każdy człowiek przypomina danie  
jednogarnko-  
we — jest mieszaniną najróżniejszych składników. Ja na przykład  
jestem  
artystą, ale wykształcenie zdobyte na akademii sztuk pięknych w  
niewiel-  
kim stopniu wpływa na to, kim jestem. Talent to kruchy dar.  
Trzeba uwa-  
żać, aby go nie stracić”.  
Romans z Laurą Shaughnessy różnił się od innych. Poznali się  
przez  
rzeźbiarkę, z którą Bender dzielił kiedyś pracownię. Frank zgodził  
się  
wykonać portfolio Laury w szytych ręcznie skórzanych strojach.  
Nie

spodziewał się, że pozna uroczą młodą kobietę z długimi rudymi włosami i melodyjnym śmiechem, która zareaguje na jego spojrzenia ze zdwojonym zainteresowaniem. „Laura od razu zrobiła się wilgotna na mój widok”, wspominał. Z relacji Bendera wynikało, że romans był jej pomysłem. Co ma począć mężczyzna, kiedy piękna kobieta sama rzuca mu się w ramiona? Odmówić? Umówiła się z nim na randkę w miejscu, któremu nie potrafił się oprzeć — w muzeum, gdzie zorganizowano wystawę poświęconą hollywoodzkim efektom specjalnym, między innymi klasycznym rekwizytom z filmów Hitchcocka. Bender zupełnie oszalał na punkcie makiety miasta z Ptaków oraz martwej matki na bujanym fotelu z Psychozy. Nie minęło wiele czasu, a zaczęli ze sobą sypiać. Bender był w siódmym niebie („A kto by nie był?”). Laura zabrała go do domu letniskowego nad brzegiem Atlantyku, niedaleko New Jersey. Przedstawiła go tam swoim przyjaciołom. Kiedy indziej odwiedzili jej przyjaciółkę mieszkającą w Maine. Spędzali upojne chwile przy winie w jednej z restauracji w południowej części Filadelfii, gdzie obok nich w oknie znajdowała się zalepiona dziura po kuli — lokal słynął z tego, że mafia wykonywała tam egzekucje. Bender oddawał



się dionizyjskim hulankom w rodzinnej posiadłości Laury w New Jersey, otoczonej murem rezydencji z pięćdziesięciometrowym basenem, ceglanyimi przebieralniami dla kobiet i mężczyzn, polem golfowym oraz zbudowaną nad jeziorem pochylnią dla łodzi. „Miała na sobie futro... piękne, drogie futro. Miała je na sobie, kiedy uprawialiśmy seks w salonie jej rodziców. Lubię to robić w różnych miejscach, na przykład na stołeczkach kuchennym. Zresztą nie tylko z nią. Lubię spontaniczny seks”. Bender sądził, że kreatywność i poczucie szczęścia zawdzięcza temu, że zawsze podąża za głosem serca. Według niego artysta, który przestanie odczuwać niepohamowaną żądzę życia, traci kontakt z rzeczywistością. Obawiał się, że w jego przypadku oznaczałoby to utratę zdolności słyszenia umarłych, intuicji, która pozwalała mu osiągnąć mistrzostwo w rekonstrukcji twarzy. Bender żył w niezwykle kruchym stanie

Równowagi.

— Chciałbym, żebyśmy się dobrze rozumieli — przerwał mu Walter. — Pozostaniesz wielkim artystą pod warunkiem, że będziesz nadal sypiał z kim popadnie?

173

— Równowaga odgrywa ważną rolę w mojej pracy.

— Rozumiem.

Laura tym różniła się od poprzednich dziewczyn, że zrobiła się nie-

zwykle zaborcza. „Chciała, żebym zostawił Jan i Joan, nie

mówiąc o pozostających panienkach. Oświadczyła, że nie lubi Jan i Joan". Tak się złożyło, że Joan również nie przepadała za Laurą. Z kolei Jan dostawała białej gorączki: pojawiła się kobieta, która pragnęła przywłaszczyć sobie jej męża. „A niech go sobie bierze”, przeszło jej w końcu przez myśl. Bender nadal romansował z Laurą, ale urocza młoda kochanka i dopiero co nabyty status gwiazdy wywróciły jego świat do góry nogami. Frank miał poczucie, jakby odlatywał bezwładnie w kosmos. Przez cały lot nad Atlantykiem Bender rozmyślał o kryzysie małżeństwa z Jan, ale zaraz po wylądowaniu w Adelajdzie humor mu się poprawił. Nie stać go było na pokój w hotelu, który zarezerwował dla niego Walter, więc profiler zgodził się go przyjąć do siebie. Frank nie przejął się w najmniejszym stopniu faktem, że w pokoju nie było ogrzewania. Walter, który przechodził akurat zapalenie płuc, poczuł się rozdrażniony jego zachowaniem bardziej niż zwykle. „Ostatni raz się na coś takiego zgodziłem. Cóż za upierdliwy człowiek! Jego zdaniem bycie nieodpowiedzialnym to zaleta”, myślał. W Sydney Bender ponownie tryskał optymizmem. Nawet zdaniem Jan wycieczka do Australii mogła korzystnie wpłynąć na jego karierę zawodową. Po sukcesie związanym ze sprawą Lista Bender

rozglądał się za poważniejszymi zleceniami od FBI, Interpolu i Scotland Yardu. Do Australii poleciał z Resslerem, profilerem i specjalistą od analizy śladów pozostawionych na miejscu zbrodni, którego od dawna chciał poznać. Bender wystąpił pierwszego dnia konferencji przed prestiżowym gremium — Stowarzyszeniem Lekarzy Policyjnych Australii i Oceanii. Wykład okazał się wielkim sukcesem, a Bender zrobił znakomite wrażenie na Resslerze, niemniej zaraz potem poinformował Waltera, że wybiera się na plażę Bondi. Profiler przypomniał, że konferencja trwa przez cztery dni. Bender odparł, że nie zamierza wysiadywać w towarzystwie gromady zramolałych dziadków, skoro może pojechać na słynną plażę, gdzie kobiety opalają się topless.

174

Po przybyciu na miejsce stwierdził, że trafił do raju: słońce prażyło, kostiumy kąpielowe były mocno powycinane, a on miał całe trzy dni, aby się pięknie opalić. Co najważniejsze, podróż do Australii nie kosztowała go ani dolara. Zagadywał wszystkich, którzy przechodzili obok niego. Rozmawiał o sieciach chroniących plażowiczów przed rekinami, o zabójczych prądach odpływowych, o pustelniku mieszkającym w kamiennej grocie i biciu rekordu Guinnessa w największej liczbie ludzi

pozujących  
do zdjęcia w kostiumie kąpielowym (na plaży Bondi przed  
obiektywem  
stańto ioio kobiet w bikini). Bender szybko stał się rozpoznawaną  
przez  
wszystkich plażowiczów atrakcją, „słynnym amerykańskim  
artystą”,  
„człowiekiem, który schwycił Johna Lista”. Poznał wiele pięknych  
kobiet.

Z optymizmem patrzył w przyszłość.

Trzeciego dnia konferencji wrócił do hotelu, gdzie czekała na nie-  
go wiadomość z Filadelfii: „Dzwoniła Jan!!! O czwartej siedem po  
połu-

dniu skontaktowało się z nią biuro szeryfów federalnych. Złapali  
Naussa!

Mieszkał na przedmieściach z żoną i dziećmi, które nie miały  
pojęcia  
o jego przeszłości”.

Bender, cały w skowronkach, przekazał radosne wieści  
Walterowi.

— Rich, złapali go w Michigan, tak jak przewidziałeś. Był gładko  
ogo-  
lony, tak jak przewidywałem ja.

— To dobra wiadomość — powiedział Walter.

Bender stwierdził, że musi natychmiast wrócić do Stanów  
Zjednoczo-

nych. Walter odparł, że go rozumie, i pomyślał: „Całe szczęście,  
że wyjeź-  
dza. Jeszcze chwila i bym go zamordował”.

W poprzednich dwóch latach telewizja dwukrotnie wyemitowała  
po-

święcony Naussemi odcinek Najbardziej poszukiwanych ludzi  
Ameryki,

a o gangsterze wspomniano jeszcze kilka razy przy innych  
okazjach. Jego

wizerunek autorstwa Bendera pokazano również w innych programach, między innymi w Phil Donahue Show. Szeryfowie federalni sprawdzili setki tropów w Kalifornii, Montanie, Teksasie, Arizonie, New Jersey, Delaware, stanie Waszyngton i w całej Pensylwanii. Wreszcie 2 listopada na infolinię zadzwoniła osoba związana z branżą hazardową. Mężczyzna podobny do popiersia zaprezentowanego w Najbardziej poszukiwanych ludziach Ameryki mieszkał jego zdaniem w stanie Michigan.

175  
— Już kilka lat temu mówiłem im, że Nauss zamieszkał w Michigan — prychnął Walter. Trop prowadził do Luna Pier, miasteczka nad jeziorem Erie, godzinę drogi od Detroit. Trzydziestoośmioletni Nauss przybrał nazwisko współwięźnia, Richarda Ferrera, z którym siedział w jednej celi w Graterford. Wiódł spokojny żywot w Luna Pier u boku nowej żony i trójki małych dzieci. Mieszkali w dużym domu z trzema panoramicznymi oknami wychodzącymi na jezioro. Szeryfowie zrekonstruowali życie Naussa podczas wszystkich lat, kiedy pozostawał w ukryciu. Rok po ucieczce z więzienia Nauss — uroczy, dżentelmeński, wysportowany trzydziestodwulatek — poznał i poślubił Toni Ruark, trzydziestosiedmioletnią samotną matkę, urzędniczkę

z De-  
troit. „Rick” wmówił jej, że jest sierotą, ma za sobą nieudane  
małżeństwo,  
a utrzymuje się z wynajmu czternastu nieruchomości. Twierdził,  
że razem  
z pięciorgiem rodzeństwa został osierocony przez ojca, który  
zginął w wy-  
padku samochodowym. Przeprowadził się do Michigan, ponieważ  
chciał  
na nowo rozpocząć życie. Nowi znajomi z Luna Pier tak bardzo  
mu współ-  
czuli, że nie wypytywali o szczegóły.  
Jako człowiek wywodzący się z filadelfijskiej wyższej klasy  
średniej  
pozbył się typowej dla motocyklistów brody, ostrzygł się na krótko  
i z ła-  
twością dostosował do życia spokojnego miasteczka. Rick Ferrer  
był od-  
danym mężem i ojcem, który uwielbiał wypływać z rodziną na  
ryby na  
swojej ośmiometrowej łodzi. W leżącej na uboczu małej  
miejscowości pra-  
cowało tylko czterech policjantów, którzy uważali Ricka za  
wyróżniają-  
go się obywatela. „Kiedy go poznała, wydawało jej się, że umarła i  
poszła  
do nieba. Taki był dla niej miły”, wspominał ojciec Toni. „Ja sam  
go bar-  
dzo polubiłem”.  
Choć Rick nie pracował, dbał o wizerunek luzaka, któremu dobrze  
się  
powodzi. Ubierał się w spodnie khaki i flanelowe koszule z długim  
ręka-  
wem (zawsze z długim rękawem, niezależnie od pogody), na  
głowie nosił

czapkę bejsbolową. W swoim pikapie woził skrzynkę na narzędzia, których rzekomo używał do rozmaitych napraw w swoich nieruchomościach. Raz na jakiś czas wyjeżdżał z miasta i wracał z dwoma, trzema tysiącami dolarów z czynszu. Kupił domek letniskowy w Brimley, położony tuż nad 176 brzegiem Jeziora Górnego. Twierdził, że pozbywa się swoich nieruchomości z zyskiem. Wiódł przykładne życie. 30 października o ósmej wieczorem Rick, Toni i dzieci wracali do domu chevroletem suburban. Po drodze snuli plany na przypadające następnego dnia święto Halloween. Toni jeszcze przed wyjazdem kupiła dla dzieci kostiumy Wojowniczych Żółwi Ninja, ustawiła na ganku wydrążone dynie, zawiesiła w oknie wyciętą z papieru sylwetkę ducha, a na drzewie przed domem porozwieszała dyniowe lampiony. Aż do chwili, gdy ich samochód otoczyła gromada szeryfów federalnych z bronią przygotowaną do strzału, nie miała pojęcia o przeszłości męża. Szeryfowie skuli potulnego Naussa na oczach jego dzieci. Następnie założyli kajdanki zdezorientowanej Toni. Nie groziło jej oskarżenie — po prostu obawiali się, że zrobi coś głupiego. Sierżant policji stanowej ścigał z Naussa koszulę — spod szkockiej kraty wyłoniła się sięgająca od ramienia do łokcia charakterystyczna wielka papuga. Tatuaż był

dowodem,  
że aresztowano rzeczywiście Naussa. „Niektóre tatuaże zmodyfikował, ale ten został w pierwotnej postaci. Do papugi musiał mieć sentyment”, opowiadał Dennis Matulewicz z filadelfijskiego biura szeryfów federalnych. Papuga była świadkiem całego jego poprzedniego życia — kierownia najbardziej brutalnym gangiem motocyklowym w Pensylwanii, gwałtu, morderstwa, zbezczeszczenia zwłok i ucieczki z więzienia — w której nowa rodzina i przyjaciele nigdy by nie uwierzyli. Nauss spojrzął na żonę i dzieci. — Przepraszam — powiedział. — To już koniec. „On się zmienił”, utrzymywała Toni Ferrer. „Przynajmniej w porównaniu z tym, co mi o nim opowiedziano. Ani razu nie podniósł na mnie ręki. Nigdy nie bił dzieci”. Richard Ferrer okazał się całkowicie fikcyjną postacią. Nie był właścicielem nieruchomości. Pieniądze, które przywoził, nie pochodziły z czynszu. Zdaniem jednego z szeryfów z Detroit Nauss był „klasycznym Jekylllem i Hydeem”, który jedną kobietę zamordował, a drugą zwiódł. Toni sądziła, że znalazła wspaniałego męża; faktycznie była to jedynie maska. „Dzieci pytały, kiedy tatuś wróci. Po prostu powiedziałam im prawdę”.



W domu Naussa znaleziono dużą ilość gotówki oraz kilka fałszywych dowodów tożsamości. Szeryfowie podejrzewali, że współpracował z Vorhauerem. Prawdopodobnie pomagał w produkcji i dystrybucji narkotyków. W okolicach Detroit funkcjonowało niemal dwieście gangów motocyklowych, które zdaniem policji bez wątpienia pomogły zbiegłemu więźniowi w rozpoczęciu nowego życia. Nieprzypadkowo Luna Pier leżało zaledwie sto siedemdziesiąt pięć kilometrów na południe od Yale, gdzie jeszcze cztery lata wcześniej Vorhauer prowadził fabrykę metamfetaminy (zanim został ponownie schwytany). Kilku świadków widziało Naussa przejeżdżającego na motocyklu nieopodal farmy Vorhauera w czasie, gdy policja robiła nalot na fabrykę. Naussa, ze skutymi rękami i nogami, przewieziono do Filadelfii wycharterowanym samolotem. Dyrektor biura szeryfów federalnych, Tom Rappone, poprosił Bendera, który zdążył już wrócić z Australii, aby pozował do zdjęcia z Naussem. Kiedy przed laty fotografował się z Vorhauerem, płatny morderca nie chciał na niego nawet spojrzeć, tymczasem Nauss odnosił się do niego z sympatią. W przyjacielskim geście położył dłoń na ramieniu Bendera.

— To ty zrobiłeś moje popiersie, prawda?

— Tak. Jakie to uczucie przejść w ten sposób do wieczności?

— spytał

Bender. W towarzystwie uroczego mordercy czuł się zupełnie swobodnie.

— Wolałbym, żeby doszło do tego w bardziej sprzyjających okoliczno-

ściach — zaśmiał się Nauss. — Czy to nie ty zagrałeś mojego współnika —

Vorhauera w Najbardziej poszukiwanych ludziach Ameryki.

— Widziałeś ten odcinek?

Producenci namówili Bendera, aby zagrał płatnego mordercę w rekon-

strukcji popełnionych przez niego zbrodni.

— Widziałem. Jesteś od niego przystojniejszy. Gość jest brzydki jak

noc, co nie?

Obaj się roześmiali.

Dwa dni później Nauss znalazł się z powrotem w więzieniu

Grateford

pod Filadelfią, skąd wcześniej uciekł. Miał odsiedzieć wyrok dożywotnie-

go więzienia za zamordowanie w 1977 roku swojej dziewczyny

Elizabeth

178

Ann Landy. Za ucieczkę dostał niewielką dodatkową karę siedmiu lat

z możliwością wyjścia najwcześniej po trzech i pół. Sędzia hrabstwa

Montgomery uzasadnił łagodność wyroku zresocjalizowanym życiem,

jakie Nauss wiódł na wolności w Michigan. Vorhauer, współnik Naussa,

przebywał w więzieniu stanowym Huntingdon w północnej Pensylwanii,

ponad sto pięćdziesiąt kilometrów od Filadelfii. Odsiadywał wyrok

czter-  
dziesiętu lat za napaść z bronią w rękę (z możliwością ubiegania  
się o zwol-  
nienie po dwudziestu) oraz dodatkowych siedem za ucieczkę.  
Profil psychologiczny Waltera idealnie pokrywał się z  
rzeczywistością.

Przed domem Naussa stał drugi samochód.

— Trafieś, Rich — powiedział Bender.

Było to cadillac.

Rozdział 21

Detektyw od dusz

Na pierwszym piętrze Urzędu Celnego — wzniesionego w  
czasach Wiel-

kiego Kryzysu okazałego kamiennego budynku ze zwieńczeniem  
na

kształt latarni morskiej, górującego nad miastem niczym kolos  
rodyjski —

za ciężkimi, drewnianymi drzwiami, Fleisher omawiał sprawę  
chińskich

kurtek puchowych, importowanych do Stanów Zjednoczonych  
przez mię-

dzynarodowe lotnisko w Filadelfii. Dostali cynk od Murraya:  
anoraki

„z gęsiego puchu” były w rzeczywistości wypchane pierzem  
kurzym. Cel-

nicy skonfiskowali kontrabandę, aresztowali kogo trzeba i  
zamknęli spra-

wę. Murray był ich najlepszym informatorem.

— Dziękuję mu za pomoc, a on pyta: „Bill, ile towaru tak  
naprawdę

przełądacie? Tylko szczerze...”. Murray był sprawdzonym  
informatorem,

więc odpowiedziałem: „Jakieś dwa procent. Waszyngton  
utrzymuje, że

dziesięć, ale nawet się do tego poziomu nie zbliżamy”.

Był czerwiec 1991 roku. W burym powietrzu nad rzeką majaczyły tan-  
kowce, tuż nad nimi jednak znajdowało się przejrzyste niebo  
przypomi-  
nające o bliskości morza.

— Jaki z tej historii morał? — zapytał agent specjalny. — Sześć  
miesią-  
cy później w ręce naszych ludzi na lotnisku trafia mała złota

figurka Buddy.

Wiercimy w niej dziurkę i ze środka wysypuje się heroina. W  
sumie było

jej tyle, że na ulicy poszłaby za dwa miliony dolarów. Dzięki  
informato-

rom w Azji namierzamy nadawcę transportu. To Murray.

Aresztujemy go.

Fleisher wzruszył ramionami.

180

— Zapewne ryzyko na poziomie dwóch procent go urządziło  
— dodał.

Agenci się zaśmiali. Tworzyli zespół doświadczonych stróżów  
prawa,

któremu powierzano kluczowe śledztwa na całym świecie. To oni  
prowa-

dzili w San Francisco operację Stalowa Pułapka wymierzoną w  
korupcję

w japońskim przemyśle stalowym oraz operację Floryda związaną  
z pra-

niem brudnych pieniędzy przez przemytników. Schwytali  
gangstera „Gru-

bego Vinniego" Teresę, który wcześniej wydał policji Meyera  
Lanskyego,

a gdy trafił pod skrzydła federalnego programu ochrony  
świadków, zajął

się przemytem waranów z Komodo. O'Kane podszył się pod  
przedsiębior-

cę geja zainteresowanego zakupem waranów i nagrał sześćdziesiąt godzin materiału dowodowego. Kiedy indziej agenci zrobili nalot na magazyn w Brooklynie, gdzie aresztowali dwóch Kolumbijczyków i skonfiskowali kokainę o wartości sześćdziesięciu milionów dolarów, którą wwieziono do Stanów przez Baltimore, ukrytą na frachtowcu między podwójnymi ściankami beczek ze środkiem zmiękczejącym. „Wykonaliśmy klasyczny test służący do wykrywania kontrabandy w oponach”, żartował Fleisher w rozmowie z przedstawicielami prasy. „Kopnięciu w beczki nie towarzyszył brzęk, ale głuchy odgłos”. Agenci wykonywali ważną, niebezpieczną, ale i ekscytującą pracę, która wymagała od nich pełnego zaangażowania. Mobilizowało ich przekonanie, że zmieniają rzeczywistość. Innymi słowy, po prostu robili, co do nich należało i specjalnie się nad tym nie zastanawiali.

— Ech, chłopaki, no i po co my to robimy? — spytał Fleisher, machając dłonią z pierścionkiem na małym palcu. Od jakiegoś czasu stał się krytykiem wojny, w której pełnił funkcję czterogwiazdkowego generała — wojny, którą prezydent George H.W. Bush wydał narkotekom. „Mam dość wysyłania ludzi, aby pracowali jako tajni agenci. To porządne chłopaki, mają rodziny i są moimi przyjaciółmi. Nigdy nie wiadomo, czy w

ogóle  
wrócić do domu. I w imię czego to wszystko? Prohibicja okazała się nie-  
skuteczna, a za jej czasów zginęło więcej agentów Urzędu  
Celnego niż  
w jakimkolwiek innym okresie historii". „Mam zaszczyt należeć do gro-  
na szanowanych oficerów służb federalnych pokroju George'a  
Armstron-  
ga Custera. Będę walczył do ostatniej kropli krwi", żartował.  
181

O absurdalności tej wojny świadczyły same liczby. Służby celne  
miały  
możliwość skontrolowania zaledwie trzech procent z trzech  
milionów kon-  
tainerów przybywających co roku do portów w Filadelfii. Na  
otworzenie  
tysiąca pięciuset skrzynek wypełniających jeden kontener ośmiu  
inspek-  
torów musiało poświęcić cały dzień pracy. Tymczasem  
największy i naj-  
niebezpieczniejszy kolumbijski kartel narkotykowy na świecie  
uznał duży  
port położony pośrodku Wschodniego Wybrzeża za idealny kanał  
prze-  
rzutu cracku do spragnionej narkotyków Ameryki. Przemysłowcy  
wybrali  
Filadelfię na swoje centrum dystrybucji.  
Dziwiciu podlegających Fleisherowi agentów zajmujących się  
zwal-  
czaniem przemytu narkotyków miało również ochraniać tuzin  
terminali  
portowych w Pittsburghu nad rzekami Ohio, Monongahela i  
Allegheny,  
porty w Erie, New Jersey, Delaware oraz lotniska w Pittsburghu,

Harris-  
burgu, Allentown, Wilkes-Barre, Wilmington i Atlantic City.  
Fleisher zarządzał tym imperium z kanciapki o białych ścianach  
i lichej wykładzinie, wyposażonej w stare drewniane biurko,  
szafkę na do-  
kumenty i dwa krzesła dla gości. „Typowe biuro urzędnika  
administracji  
rządowej”, twierdził. Swego rodzaju wyrazem protestu było  
pozostawienie  
nienaturalnie pustych ścian. Po objęciu zaszczytnej funkcji nie  
zdecy-  
dował się powiesić na nich żadnej z kilkunastu nagród i pochwał,  
które  
otrzymał w trakcie wspaniałej kariery. „Nie muszę się już w ten  
sposób do-  
wartościowywać”, wyjaśnił, wzruszając ramionami. W jego biurze  
wisiały  
tylko: pisemna pochwała od szefa FBI Williama Webstera i portret  
męż-  
czyzny o szerokiej twarzy i bezczelnym, aroganckim spojrzeniu, w  
charak-  
terystycznych dla dziewiętnastowiecznego Paryża szynelu i  
fularze.  
Gdy tylko nie spędzał dnia w terenie, w drodze na lunch  
pokonywał  
kilka pięter schodów, aby zajrzeć do gabinetu żony, następnie  
przejeżdżał  
służbowym ffordem crown victoria dziesięć przecznic do baru z  
ostrygami,  
gdzie stołował się od piętnastu lat. Zamawiał zawsze potrawkę z  
ostryg ze  
śmietaną. To samo danie jadali tam jego ojciec i dziadek.  
Przynosiła je ta  
sama kelnerka, z którą przed laty flirtował, gdy oboje byli młodzi.  
Agent

Fleisher był człowiekiem sentymentalnym. Praca w Urzędzie Celnym okazała się dla Fleishera udręką. Nie potrafił znieść porażek — stawka była zbyt wysoka. Pewnego wieczoru po 182 powrocie do domu napisał dla filadelfijskich dzieci Deklarację Niepodległości od Narkotyków, uznał bowiem, że jeśli dla kogoś w ogóle warto toczyć wojnę z narkotykami, to właśnie dla niewinnych dzieci. Podwładni zastawali go, gdy siedział zamyślony za biurkiem. Popadał w przygnębienie i filozoficzną zadumę. Zastanawiał się nad znikomością szans na zbawienie obiecywane w naukach Jahwe, Buddy, Mahometa i Chrystusa. Miejsce jego własnej książki o technikach przesłuchań, która do tej pory leżała w górnej szufladzie biurka, zajęli Nędznicy Hugo. Kiedy ogarniał go sentymentalny nastrój, otwierał podniszczony tom i dumał nad przesłaniem tej dziewiętnastowiecznej powieści, wyrastającej z czasów rewolucji francuskiej, w kontekście aktualnej debaty o zaletach i wadach karzącej oraz resocjalizacyjnej funkcji służb porządkowych. „To moja ulubiona literacka scena”, mówił. Chodziło o słynny fragment, gdy Jean Valjean — człowiek parający się złodziejstwem, by wyżywić rodzinę — zostaje złapany przez żandarma ze skradzionym koszykiem peł-



nym srebrnych naczyń i sztuców wyniesionych z domu starego biskupa Myriela, gdzie nocował. Valjean zostaje zaciągnięty przed oblicze biskupa, ten wszakże zamiast go ukarać, oświadcza, że doszło do nieporozumienia, ponieważ Valjean otrzymał od niego ów koszyk sreber w prezencie — co więcej, zapomniał o lichtarzach. Złodziej stoi jak sparaliżowany mocą przebaczenia, na co biskup mówi: „Pamiętaj, zawsze pamiętaj o tym, że obiecałeś mi z pomocą tego srebra stać się uczciwym człowiekiem. (...) Janie Valjean, mój bracie. Nie jesteś już we władzy zła, jesteś we władzy dobra. Kupuję twoją duszę; odbieram ją czarnym myśлом i duchowi zatracenia, a oddaję Bogu”\*. Podczas lektury tego fragmentu oczy Fleishera zawsze zachodziły łzami. „Coś takiego właśnie mi się marzy. Chciałbym poświęcić życie sprawom, które naprawdę mają znaczenie. Niesieniu ulgi cierpiącym, walce dobra ze złem. Chcę być siłą stojącą po stronie dobra. Chcę odkupywać dusze”.

\* W. Hugo, Nędznicy, tom I, tłum. K. Byczewska, Warszawa 1976, s. 136.

Rozdział 22

Artysta śmierci

Nie istniała piękniejsza i miłsza blondynka, nie istniało czystsze dozna-

nie ani noc bardziej ekscytująca od tych, które oferował wtorek:

polska  
wódka, jasna wschodnioeuropejska karnacja, białe światło  
rozpraszają-  
ce ciemności.  
W każdy wtorek miał randkę z Joan. Przybywała wieczorem do  
pra-  
cowni Franka Bendera, Casanovy z Suwmiarką, Leonarda  
Umarłych, naj-  
większego artysty medycyny sądowej, jaki kiedykolwiek stąpał po  
ziemi.  
Spod podłogi pracowni — z piwnicy, ich podziemnej groty — do-  
biegał wtedy nieustannie śmiech Bendera, przepelnionego  
żywiolową ra-  
dością cudzołożnika. Był szczupły i dobrze zbudowany — jak na  
byłego  
boksera przystało — miał uśmiech chochlika, orzechowe oczy, z  
których  
biło szaleństwo, i metr siedemdziesiąt dwa wzrostu. Jego ramię  
zdobił ta-  
tuaż ze słowem mama, który zrobił sobie podczas służby w  
marynarce.  
Blizna na wardze była pamiątką po ciosie butelką podczas bójki w  
barze.  
Tuż nad pachwiną miał wytatuowanego motylka, którego chętnie  
poka-  
zywał co bardziej urodziwym barmankom. W pracowni kładł  
dłonie na  
kościach zamordowanych, czekał na wizje, a następnie rzeźbił  
popiersia  
niezidentyfikowanych ofiar.  
Siedmiu najbardziej poszukiwanych morderców trafiło za kratki.  
Wie-  
le ofiar pomszczono dzięki niezwykłemu darowi, który pozwalał  
Frankowi  
widzieć umarłych. On sam stał się gwiazdą międzynarodowego

formatu.

Prestiżowy program informacyjny 60 Minutes przygotował o nim materiał

184

filmowy, a miesięcznik „Esquire” nadał mu tytuł „Człowieka miesiąca”.

Policjanci byli pod ogromnym wrażeniem jego nadnaturalnych, jak mogło

się wydawać, mocy. Praca zmuszała go niekiedy do uczestniczenia w eks-

humacjach, odcinania nieboszczykom głów (zupełnie jakby był pogromcą

wampirów), wymykania się mściwym gangsterom i przechodzenia przez

kontrolę na lotnisku z głową w walizce. Jak sam twierdził, „musiał jakoś

odreagowywać całą tę makabrę”.

Najlepiej szło mu to we wtorki. Wieczorem spotykał się z Joan i aż do

środowego poranka „odreagowywał” u jej boku. Wymalowana na oślepie-

jącą biel piwniczka pod pracownią była świątynią, przestrzenią doskonałą.

Schodzili tam nago, trzymając się za ręce, po białych drewnianych scho-

dach. Mijali namalowany czarnymi literami napis „café biała autostrada”. W środku czekały na nich białe ściany, biały bar i białe stołki

oraz replika czerwonego chevroleta rocznik 1952 (ukochanego samocho-

du z czasów dzieciństwa) postawiona na autostradzie namalowanej na ba-

rze. Popijali wódkę, słuchali Brubecka, Johnny ego Rottena, bluesa, i co

tam im jeszcze wpadło w ręce. Przez całą noc pili, tańczyli i

uprawiali seks.

Choć Bender dobiegał sześćdziesiątki, trwające do rana

bachanalia dawały

mu potężniejszy zastrzyk energii niż spokojny sen. „W ten sposób odbu-

dowuję w sobie niewinność”, twierdził. W tym czasie jego żona spała spo-

kojnie w pokoju sąsiadującym z dawną chłodnią na mięso.

Pewnej środy Bender tuż przed świtem wszedł po białych schodach

do pogrążonej w mroku pracowni. Miał za sobą wspaniały wieczór. Pod-

szedł do kuchenki i nastawił wodę na kawę. Uniósł pokrywkę wielkiego

garnka i zamieszał jego zawartość — głowa wyglądała coraz lepiej. Od

tyłu oplotły go ręce Joan.

Bender kierował się w życiu wyłącznie płynącym z wnętrza głosem

własnych pragnień. Nie używał zegarka, a każdy z zegarów w pracowni

wskazywał inną godzinę. Kalendarz z rysunkami Normana Rockwella

miął pięćdziesiąt lat. Od innych dowiadywał się, jaki jest dzień tygodnia.

Pewną wskazówką były kolejne schadzki (jak te wtorkowe), ale generalnie

Bender unosił się w beczasowym eterze swojej sztuki, „jedynej kochanki,

która ma nade mną władzę”, jak napisał kiedyś jeden z jego duchowych

mistrzów, Michał Anioł.

185

Siedzieli z Joan pod zwijającym się ze starości kalendarzem Rockwel-

la, kiedy zadzwonił telefon.  
Przez zmatowiałe świetliki do pracowni wpadały pierwsze  
promienie  
poranka. Bender z trudem dostrzegał rzędy ludzkich głów: kobieta  
z roz-  
mazaną na ustach czerwoną szminką i błagalnym spojrzeniem;  
wilcze  
twarze i puste oczodoły sadystów oraz morderców. Niemy chór  
potępio-  
nych. Kolekcja czaszek robiła ogromne wrażenie i budziła lęk w  
każdym,  
kto tam przychodził. Nikt nie potrafił przyswoić jednorazowo takiej  
daw-  
ki makabry. A przecież była to tylko wystawa — detale kolejnych  
śledztw  
przeływały przez głowę Bendera. Umarli o zdeformowanych  
obliczach  
nawiedzali go w snach, błagając o sprawiedliwość, szepcząc  
bezgłośnie  
nazwiska zabójców.  
Bender nie odbierał telefonu, zastanawiając się, kto może  
dzwonić.  
Płatny zabójca, który groził mu śmiercią, dał się na jakiś czas  
udobruchać.  
Nie miał też akurat na pieńku z żadnym zazdrosnym mężem.  
Teść nie  
uganiał się już za nim ze strzelbą. W jego życiu zagościł względny  
spokój.  
Mimo to Bendera ogarnęły złe przeczucia. Nie wiedział tylko,  
czego kon-  
kretnie powinien się obawiać.  
Współpracownicy ostrzegli go przed niebezpieczeństwami  
związany-  
mi z udziałem w śledztwach. Kto zagląda w otchłań, może  
zapłacić za

to częścią swojego człowieczeństwa. Kto odwróci oczy od bólu i cierpienia — jeżeli jest do tego zdolny — może oszaleć. Policjanci zauważyli, że Bender należy do tej ostatniej kategorii. „Wszyscy chcemy działać na rzecz sprawiedliwości i wszyscy ponosimy porażkę”, twierdził Fleisher. Bender całkowicie się w tej misji zatracił. Wcześniej był zwykłym, beztroskim, uwielbiającym seks artystą i uwodzicielem, którego urokowi nie potrafiła się oprzeć żadna kobieta. Później zaciągnął się na służbę — służbę na rzecz przeznaczenia. Nie zauważał kolejnych pótek w pracowni, nie zwracał uwagi na doniesienia o uprowadzeniach i morderstwach niewinnych ludzi, które przelewały się szerokim strumieniem przez jego miasto — oraz wszystkie inne aglomeracje. Liczby nie miały dla niego żadnego znaczenia. Chciał wykonywać tę pracę, odkąd zobaczył udręczone oczy pierwszej ofiary morderstwa. To właśnie one zawładnęły jego duszą.

186

Telefon zwiastował zmiany. Automatyczną sekretarkę, niegdyś wypełnioną nagraniami pozostawionymi przez kochanki, teraz zapychały wiadomości od policjantów, reporterów, lekarzy sądowych. Wszystkie mówiły o pogrążonych w żałobie rodzinach, które szukały pomocy. I w tym właśnie tkwił szkopuł: takie rozmowy sprawiały mu ból.

Niesprawiedliwość

budziła w nim gniew. Wkurzała go. Niemniej jednak budziła również

gniew we wszystkich uczestnikach śledztwa. Motywowała ich do dal-

szej pracy.

Słuchając dzwonka telefonu, obserwowany przez czujne spojrzenia sto-

jących na półkach głów, wiedział, że nigdy nie uwolni się od koszmarów.

Niezależnie od tego, z iloma kobietami pójdzie do łóżka. Dopóki świat

się nie opamięta, dopóki nie stanie się lepszy, dopóty jemu będzie towa-

rzyszyło to złowróżbne przeczucie.

Sprawy układały się po jego myśli. To tylko złowróżbne przeczucie.

Podniósł słuchawkę.

— Jest piąta rano, bucu — warknął.

Rozdział 23

Sny Morfeusza

Richard Walter spał spokojnie w swoim zabytkowym chińskim łóżu.

Kiedy kładł się na spoczynek, w głowie szumiało mu od wypitego wina.

Przykładając ją do poduszki, powiedział na głos: „Oddaję się w objęcia

Morfeusza”. W mitologii greckiej trzej synowie Hypnosa sprowadzali

na ludzi sny. Fantasos odpowiadał za te skomplikowane, nierealistycz-

ne, a Fobetor za przerażające koszmary. Morfeusz sączył ludziom do uszu

spokojne sny o bohaterach.

Walter lubił samotność. „Ożeniłem się raz, ale tak dawno temu, że

nie ma sensu o tym wspominać. Nie zamierzam popełnić ponownie tego samego błędu. Wprost nienawidzę kotów, psów i dzieci. Żadne dziecko nie powinno znajdować się w pobliżu, kiedy mówię o sprawach zawodowych". Świadomie wyrzekł się ziemskich przyjemności, aby zostać jednym z pięciu najlepszych na świecie profilerów. Uważał, że dokonał wielkiego poświęcenia, które naznaczyło całe jego późniejsze życie. „Ale to właśnie dzięki tego rodzaju bliznom wyrabiamy sobie charakter, stajemy się sobą”.

Przed świtem po ciemku zaparzył kawę. Na dworze panował jeszcze mrok, gdy zadzwonił do Filadelfii.

— Frank?

— Richard! — z drugiej strony słuchawki dobiegł szaleńczy okrzyk.

— Jest środa rano, pamiętasz?

188

— Tak, przetańczyliśmy z Joan całą noc. Słuchaliśmy rocka z lat sześćdziesiątych i piliśmy polską wódkę. Co za wieczór!

— Frank, kurwa, zupełnie ci odbiło? Nie spałeś przez całą noc? Jesteś sam?

— W sumie to nie. Ale Joan niedługo wychodzi — wyjaśnił Frank, po czym zniżył konfidencjonalnie głos. — Mąż Christine ma ją przywieźć z samego rana.

— Poużywałeś sobie wystarczająco przez ostatnią dobę — westchnął



Walter. — Zaparz dzbanek kawy. A do czasu mojego przybycia postaraj się słuchać dla odmiany wskazówek płynących z organu odpowiedzialnego za myślenie.

— Rich, stary druhu, zazdrość cię po prostu zżera! — zawył uradowany Bender.

— Nie sędzę — odparł Walter i się rozłączył.

Niebo miało ołowiany kolor. Padał śnieg. „Jest ciemno, zimno, czuję

się źle, a pogoda jest paskudna. Coś potwornego”, pomyślał, wydłubując

żołędzie z silnika, w którym najwyraźniej zimowała wiewiórka. W drodze

na lotnisko wewnątrz samochodu wypełniło się kojącym dymem papiero-

sowym i Walter zaczął odzyskiwać humor. Kłęby dymu niemal zupełnie

przesłaniały niebiesko-biało-czerwoną odznakę wpiętą w klapę marynar-

ki, odznakę odwołującą się do tradycji średniowiecznych herbów.

Walter

kierował się w życiu przekonaniem, że każdy człowiek ma do spełnienia

jakieś zadanie — jego polegało na identyfikowaniu, prześladowaniu i eli-

minowaniu najbardziej zdemoralizowanych psychopatów. Aby osiągnąć

w tym biegłość, aby zostać jednym z pięciu najlepszych na świecie profi-

lerów, musiał zrezygnować ze wszystkiego, co mogło mu w tym przeszkadzać — musiał poświęcić się wyłącznie pracy. Zwalczenie zła

sprawiało

mu satysfakcję, jakiej nie przyniosłoby mu nic innego.  
Odznaka zabarwiona na wzór rycerskiego kodeksu honorowego

—

w kolory chwały i sprawiedliwości, bogów i królów — połyskiwała deli-

katnie w porannej szarówce. Stary ford pędził autostradą.

Rozdział 24

Sprawy, których nie potrafią odpuścić

W czwartkowe popołudnie 27 września 1990 roku Joe O'Kane ugryzł kęs

kurczaka w migdałach, upił łyk kawy, a następnie spojrzął na trzy zmasa-

krowane ciała z głowami w wypełnionej wodą wannie.

— Smaczne — stwierdził, ocierając brzegi wąsów serwetką.

Ostrożnie

przesunął fotografię ze zwłokami w stronę osoby, która siedziała obok nie-

go przy stole w Klubie Oficerskim Marynarki Wojennej. — Mam nadzie-

ję, że klub funduje również raphacholin.

Agent federalny OKane był wielki jak dąb i zabójczo ubrany. Był dobrze zbudowanym policjantem irlandzkiego pochodzenia o wyraźnej

słabości do eleganckich strojów — miał na sobie uszyty na miarę trzy-

częściowy garnitur oraz czarne buty kowbojskie ze skóry aligatora. Do

szerokiego paska ze srebrną sprzączką przypiął małą beretkę, „pistolet, któ-

ry zabierał w niedzielę do kościoła". Bujną srebrzystą brodę miał staran-

nie przyszyżoną, co ostatecznie upodabniało go do Kennyego Rogersa.

Okazała postura byłego półzawodowego futbolisty oraz tenorowy głos za-

pewniały O'Kane'owi zaproszenia na występy na weselach i przyjęciach, na których śpiewał repertuar country. Był człowiekiem gadatliwym, inteligentnym, pewnym siebie i, jak sam twierdził, „nie zwykł wylewać za kołnierz”. Do Towarzystwa Vidocq'a wstąpił, ponieważ liczył na dobrą zabawę, która pozwoli mu zapomnieć o troskach związanych z pracą. O'Kane osiągnął szczyt kariery w siłach porządkowych. Odgrywał kluczową rolę w tajnych operacjach prowadzonych na całym świecie.

190

Mimo to nigdy nie zapomniał, że wychował się w rodzinie irlandzkich robotników. Korzenie i wykształcenie — choć skromne, bo skończył tylko szkołę średnią — napawały go dumą. Należał do „Mustangów” Urzędu Celnego. Przewisko zainspirowały parsknięcia Horatia Algera, jednego z najlepszych agentów, który twierdził, że „żadnemu z nas nie udało się znaleźć dobrej pracy po studiach”. O'Kane był urodzonym buntownikiem. Zapuścił brodę tylko po to, by wkurzyć przełożonego, który wymagał od podwładnych czegoś dokładnie przeciwnego. Od tego czasu zarost stał się jego znakiem firmowym. Krzepki policjant miał oryginalne zainteresowania — uwielbiał poezję, przeczytał kilka tysięcy powieści, a sam dla przyjemności napisał trzy thrillery. „Najlepiej ujął to Chesterfield. Irland-

czycy to lud zabawny ze sporą domieszką szaleństwa, bo wojny toczą we-  
sołe, a w ich pieśniach zawsze pobrzmiewa klęska", powiedział.  
Ostatnia rzecz, na jaką miałyby ochotę podczas lunchu, to  
wysłuchiwa-  
nie jakiegoś biurokraty w garniturku opętanego wizją stworzenia  
nowej  
organizacji na podobieństwo FBI. O'Kane potrzebował rozrywki!  
Tym-  
czasem to właśnie do niego Fleisher zwrócił się w pierwszej  
kolejności, kie-  
dy rozpoczął formowanie Towarzystwa.  
„Brzmi to interesująco, Bill, ale ja sobie cenię niezależność”,  
powie-  
dział mu wtedy. „Nie wstąpiłem do Bractwa Policyjnego. Nie  
wstąpiłem  
do Synów Irlandii. Tam przychodzą jacyś narwańcy z misją. Mnie  
to nie-  
potrzebne. Wystarczy, że obiecasz mi dobrą zabawę. Jeżeli na  
spotkaniach  
będziemy się objadać i wygłupiać z chłopakami, to się zapiszę.  
Jeżeli za-  
mierzacie do tego podejść śmiertelnie poważnie, odpadam. Przez  
dwadzie-  
ścia trzy godziny na dobę ścigam najgorsze ścierwa. Nie  
zamierzam tego  
robić dodatkowo w porze lunchu”.  
Fleisher obiecał mu dobrą zabawę. „Twierdził, że będziemy się  
spoty-  
kać w eleganckiej sali, jeść lunch i dyskutować o Billym Kidzie, o  
zbrod-  
niach sprzed stu lat, że sprowadzimy sobie ekspertów od  
Jesse'ego Jamesa,  
a nawet zorganizujemy spotkanie poświęcone Meriwetherowi  
Lewisowi

i Williamowi Clarkowi. Powiedziałem: Dobra, wchodzę w to. Wpisz mnie

na listę", wspominał później O'Kane.

Na kolejnym spotkaniu Towarzystwa Vidocqa doszło do oficjalnej prezentacji pierwszej sprawy. Dotyczyła potrójnego morderstwa

191

w Karolinie Północnej; równie drastycznego co bezsensownego.

Dokona-

na w 1972 roku masakra zamożnej rodziny Durhamów w

zachodniej czę-

ści Pasma Błękitnego przez swoje okrucieństwo i irracjonalność

kojarzyła

się O'Kane'owi z mordem opisanym przez Trumana Capotea w

książce

Z zimną krwią.

A podobno posiłek miał upłynąć w miłej atmosferze?

— Oczekujecie, że wskażę mordercę przed deserem? Bardzo zabawne.

— Dla nikogo ta sprawa nie będzie przyjemna — stwierdził

Walter, po-

ciągając nosem. — Oczywiście poza mordercą. Z miejsca zbrodni wynika,

że popełnił ją człowiek, dla którego liczył się rezultat, sprawne

wykona-

nie zadania. Laicy nie potrafią często pojąć, jak wielką satysfakcję może

sprawić popełnienie zbrodni.

Walter stał u szczytu stołu i prezentował nierozwiązaną sprawę

kilku-

dziesięciu zebranych na sali członkom stowarzyszenia. Policja od

osiem-

nastu lat nie potrafiła jej rozwikłać. Waltera poprosił o pomoc

Stanowy

Urząd Śledczy Karoliny Północnej.

— To niezmiernie ciekawe morderstwo — oświadczył, rozdając zebra-  
nym fotografie z miejsca zbrodni oraz resztę dokumentacji. —  
Splata się  
w nim kilka wątków.  
Fleisher uznał sprawę za wystarczająco przedawnioną i niezwykle  
cie-  
kawą.  
Walter utkwiał wzrok w dokumentach, próbując zebrać myśli.  
— Zaczniemy od tego, że profil sprawcy jest dość oczywisty —  
powie-  
dział. — Należy do kategorii morderców, którzy uważają się za  
sprytniej-  
szych, niż są w rzeczywistości.  
Durhamowie byli spokojną, szanowaną, zamożną rodziną, która  
zda-  
niem policji nie miała wrogów. Pięćdziesięcioletni Bryce  
Durham,  
jego żona Virginia, lat czterdzieści sześć, i dziewiętnastoletni syn  
Bobby  
Joe dwa lata wcześniej przeprowadzili się z Raleigh do Boone,  
miejscowo-  
ści w hrabstwie Watauga w górach na zachodnim krańcu Karoliny  
Północ-  
nej, sto pięćdziesiąt kilometrów na północny wschód od Asheville.  
Bryce  
prowadził salon samochodowy Modern Buick-Pontiac. Byli  
konserwatyw-  
nymi, pobożnymi chrześcijanami.

192

W czwartek 3 lutego 1972 roku Bryce wyszedł o piątej trzydzieści  
po  
południu ze spotkania Klubu Rotariańskiego i wrócił do salonu  
samo-  
chodowego, aby odebrać żonę, która pracowała tam jako

sekretarka, oraz  
syna studiującego na pobliskim Appalachian State University. Po  
wyjściu  
z zajęć Bobby Joe przyjechał buickiem sedanem do salonu ojca.  
Rozpęta-  
ła się potężna burza śnieżna. Cała trójka wsiadła do należącego  
do rodzi-  
ców chevroleta z napędem na cztery koła.  
Między szóstą trzydzieści a siódmą SUV powoli wspinał się po  
oblo-  
dzonej drodze na wyłożone cegłami wypłaszczenie na szczycie  
stromego  
pagórka. Durhamowie dojechali do domu. Zjedli spokojnie kolację  
i za-  
siedli przed telewizorem. Na zewnątrz szalała śnieżycą; dom był  
ledwo wi-  
doczny. Tej nocy nikt przy zdrowych zmysłach nie planował  
wyjścia na  
dwór. „Morderca jednak znał doskonale okoliczne drogi, góry oraz  
loka-  
lizację domu Durhamów, dlatego śnieg mu w niczym nie  
przeszkadzał”,  
stwierdził Walter.  
Tego wieczoru Troy Hall, zięć Durhamów, oglądał z żoną  
telewizję  
w przyczepie mieszkalnej sześć i pół kilometra od domu teściów.  
O dzie-  
siątej trzydzieści zadzwonił telefon. Troy podniósł słuchawkę.  
Później  
opowiadał, że rozległ się w niej ledwo słyszalny głos teściowej.  
„Pomocy”,  
błagała szeptem, jakby się obawiała, że ktoś ją usłyszy. „Jacys  
ludzie wła-  
mali się do domu i dorwali Bobby'ego i Bryce'a”. Ledwie  
wypowiedziała

te słowa, połączenie zostało przerwane. Hall zeznał policji, że w pierwszej chwili uznał telefon za żart. Natychmiast oddzwonił, przekonany, że teściowie mają się znakomicie. Linia była zajęta. Coraz bardziej zaniepokojeni założyli z żoną kurtki i pobiegli do samochodu. Kiedy nie udało im się zapalić silnika, poprosili o podwiezienie sąsiada, prywatnego detektywa Cecila Smalla. Dwadzieścia minut później dotarli w trójkę pod dom Durhamów. Hall kazał żonie zostać w samochodzie, a sam razem ze Smallem — który wyciągnął pistolet — wszedł do środka. Dziesięć minut przed jedenastą mężczyźni znaleźli zwłoki i zadzwonili na policję. Zrekonstruowano przebieg wydarzeń. Dom został splądrowany. W salonie na stoliku przed telewizorem stały trzy szklanki z napojami i opróżniony do połowy talerz ze skrzydełkami kurczaka. Obok leżały karty do 193 pasjansa Bobby'ego. Na dywanie widniała duża plama krwi. Lekarz sądowy ustalił, że Virginia została uduszona. Wokół szyi wciąż miała owinięty krótki nylonowy sznur. Na szyjach Bryce'a i Bobby'go również znaleziono zaczerwienienia wskazujące, że próbowano ich udusić, niemniej ostatecznie zginęli przez utopienie. Twarze mieli całe posiniaczone. Z niezakręco-



nego kurka woda wciąż płynęła do wanny, przelewając się przez krawędź.

Urządzono szeroko zakrojoną obławę w zasypanych śniegiem górach.

Prawie natychmiast znaleziono SU V-a Durhamów. Morderca porzucił go

półtora kilometra od domu na zaśnieżonej bocznej drodze, o której istnie-

niu wiedzieli jedynie okoliczni mieszkańcy. Światła pojazdu były włączone,

silnik nadal pracował. Na tylnym siedzeniu leżał worek ze skradzionymi

srebrnymi talerzami.

Policja stanowa uznała, że morderstwo popełniono na tle rabunko-

wym. Niemniej jeżeli tak było, to dlaczego złodziej (lub złodzieje) nie

zabrał ze sobą srebrnych talerzy? „I dlaczego na krzesle w salonie zosta-

wiono dwie koperty depozytowe z pieniędzmi przeznaczonymi do wpłace-

nia w oddziale banku?”, zapytał Walter. Na te pytania policja nie potrafiła

odpowiedzieć. Szeryf hrabstwa Watagua przypuszczał, że morderca żywił

jakaś urazę do Durhamów, nie słyszano jednak o nikim, kto mógłby czuć

do nich niechęć tak wielką, aby popchnęła go do zbrodni.

Od policji oczekiwano szybkiego aresztowania. O makabrycznym morderstwie napisały wszystkie gazety z regionu. Bob Scott,

gubernator

Karoliny Północnej, wsparł lokalnych przedsiębiorców, którzy wyznaczyli

nagrodę za schwytanie sprawcy. Agencja prasowa United Press Internatio-

nal podała, że w ostatniej rozmowie z zięciem pani Durham poinformowała go, że: „Włamało się do nas trzech czarnuchów”. Następnego dnia szeryf hrabstwa Watagua powiedział agencji: „Dysponujemy cennymi poszlakami i mamy nadzieję, że sprawcy zostaną niedługo aresztowani. Bez wątpienia bierzemy również pod uwagę obywateli o czarnym kolorze skóry”. Żadnemu Afroamerykaninowi nie postawiono nigdy w tej sprawie zarzutów. Miesiąc później szeryf kazał zgarnąć trzech dwudziestokilkulatków, którzy należeli do szajki włamywaczy. Oskarżono ich o morderstwo pierwszego stopnia na tle rasistowskim, ale wobec braku dowodów zostali szybko wypuszczeni z aresztu.

194

— Byłbym gotów przyznać, że wymiar sprawiedliwości zadziałał prawidłowo — powiedział Walter — w tym sensie, że mimo wszystko nie skazano niewinnych ludzi.

Ostatecznie nikomu nie postawiono zarzutów.

Kiedy Walter skończył prezentację, Fleisher wstał z miejsca i otworzył dyskusję. Czy włamanie rzeczywiście było powodem, dla którego popełniono morderstwa?

— Nie — odparł Walter. — Było dokładnie na odwrót: cała sprawa została dość niezręcznie upozorowana na włamanie, tymczasem motywem

mordercy była kontrola i władza.

— Czy wiadomo coś więcej o zięciu? — padło pytanie z sali.

— Co ciekawe, jego małżeństwo było zupełnie nieudane —  
odpowie-

dział Walter. — Durhamowie namawiali córkę, aby zostawiła  
Halla.

Para rozwiodła się jakiś czas później.

— Policja nigdy nie traktowała go jako podejrzanego — dodał  
Walter.

— A Cecil Small? — spytał ktoś inny. Czy to nie dziwne, że  
sąsiad, któ-

ry okazuje się prywatnym detektywem, jako jedyny spoza rodziny  
przy-

bywa na miejsce zbrodni?

Walter uniósł brew, doceniając trafność pytania.

— Mnie również wydaje się podejrzany — stwierdził. — Trudno  
go

uznać za osobę do końca wiarygodną. Od trzydziestu lat  
opowiada na pra-

wo i lewo, że wie, kto naprawdę zabił Kennedy'ego.

Zgromadzeni na sali detektywi parsknęli śmiechem. Choć  
wydawa-

ło się to zupełnie nieprawdopodobne, Small utrzymywał, że  
prezydenta

zastrzelił pewien Latynos. Walter powiedział, że FBI przesłuchało  
w tej

sprawie Smalla jeszcze w 1967 roku.

Zeznał wtedy, że 22 listopada 1963 roku jechał z żoną pikapem z  
Dal-

las w Teksasie, zmierzając do domu w Georgii. Wracali z wakacji,  
na

które zabrali również swojego małego psa. W pewnej chwili  
znaleźli się

w kawalkadzie samochodów wiozących prezydenta Kennedy'ego.  
Small

widział, jak pierwsza dama wstaje. Piesek zaczął szczekać w chwili, gdy prezydent został postrzelony (zawsze ujadał na odgłos wystrzałów). Zaraz potem przed maską ich samochodu przebiegł niski Kubańczyk lub Meksykanin. Trzymał karabin z celownikiem optycznym częściowo ukryty

195

w torbie. Kilka minut później Small podwiózł sympatycznego autostopowicza, Lee Harveya Oswalda, do biblioteki w budynku Texas Book Depository. Jego zdaniem Oswald nie mógł być mordercą. Z akt FBI wynikało, że po rozmowie ze Smallem agenci nie kontynuowali śledztwa, ponieważ nie pamiętał dokładnie układu ulic i budynków w Dallas, co podważyło wiarygodność jego zeznania.

— To ci dopiero świadek — skomentował jeden z agentów federalnych. — Może jeszcze potrafi wskazać miejsce pobytu Elvisa.

— Kto w takim razie zabił Durhamów? — zapytał ktoś.

— Mam na ten temat swoją teorię — wyjaśnił z kwaśną miną Walter. — Przekonamy się, czy policja stanowa będzie miała tyle oleju w głowie, aby ją zweryfikować.

O'Kane był wzburzony przebiegiem spotkania. „Zaprezentowano nam makabryczną historię”, wspominał później. Nie pasowała do charakteru stowarzyszenia. On i pozostali oficerowie śledczy byli z natury ludźmi czynu, kiedy więc słyszeli o niewyjaśnionym potrójnym

morderstwie,  
o straszliwej tragedii, w pierwszym odruchu chcieli wyruszyć na poszuki-  
wanie sprawcy. O'Kane był pewien, że Walter zna tożsamość  
mordercy, ale  
szacowni członkowie Towarzystwa Vidocqa mogliby się tego  
dowiedzieć  
jedynie dzięki przeprowadzonemu na własną rękę śledztwu.  
Walter był rozczarowany, że doświadczony grono detektywów  
zadało  
tak niewiele pytań. Przypisał to „naturalnej ostrożności. Ludzie nie  
mieli  
jeszcze wprawy w tej metodzie analizy sprawy i w zasadzie tylko  
mi przy-  
takiwali”.

William Gili, przełożony agentów departamentu skarbu w trzech  
sta-  
nach, w milczeniu wysłuchał prezentacji. Specjalistyczna wiedza  
Waltera  
zrobiła na nim ogromne wrażenie. Jako człowiek, który całą  
karierę zawo-  
dową spędził w wojskowych i cywilnych organach porządku  
publiczne-  
go, zrozumiał nagle, że „prowadzenie dochodzenia w sprawie  
morderstwa  
wymaga specjalistycznych umiejętności”, o których on nie ma  
pojęcia.

„W departamencie skarbu zajmuję się głównie przestępstwami  
gospodar-  
czymi; łapówkami, wymuszeniami i innymi przekrętami  
finansowymi.

Zajmujemy się śledzeniem przepływów pieniężnych, podobnie jak  
urząd

196

skarbowy. Nie mam do czynienia z zabójstwami. Nie oglądam na

co dzień  
krwawych obrazków".  
„Na ironię zakrawa fakt”, zauważył posępnie Gili, że „Fleisher  
zebrał  
tylu niezwykle utalentowanych ludzi, aby analizować sprawy  
morderstw,  
mimo że większość z nas nie zajmowała się nimi zawodowo”.  
Jako niepo-  
prawny optymista był pewien, że potrafią wnieść coś ciekawego  
do dysku-  
sji, korzystając z własnego, nawet jeśli odmiennego,  
doświadczenia. Uznał,  
że jak w przypadku wszystkich nieszablonowych przedsięwzięć,  
nie spo-  
sób przewidzieć, co powstanie z tego rodzaju ligi specjalistów w  
różnych  
dziedzinach, dziecka „genialnego umysłu Billa Fleishera”.  
Gili postanowił poddać ów geniusz próbie podczas kolejnego spo-  
tkania. Na jego prośbę Towarzystwo Vidocqa zajęło się sprawą  
brutalnej  
egzekucji agentki urzędu skarbowego Heidi A. Berg, zastrzelonej  
sześć lat  
wcześniej podczas porannego joggingu w jednym z miast stanu  
Wirginia.  
Berg była bystrą, wysportowaną trzydziestolatką ze Środkowego  
Wscho-  
du. Zginęła w biały dzień. James Rice, agent urzędu skarbowego,  
któremu  
Gili powierzył śledztwo w tej sprawie w 1984 roku, przyjechał do  
Filadel-  
fii, aby zaprezentować ją u boku byłego szefa.  
— Każdy ma jakąś sprawę, której nie potrafi odpuścić —  
stwierdził  
Fleisher. — Ta sprawa właśnie do takich należy.  
Gili rzeczywiście miał do niej osobisty stosunek.

— Nigdy nie zetknąłem się z równie smutnym wydarzeniem —  
opo-  
wiadał. Gili był szefem Wydziału Bezpieczeństwa Wewnętrznego  
skar-  
bówki na terenie stanów Pensylwania, Delaware, Maryland i  
Wirginia.  
Jego zadaniem była ochrona pracowników urzędu i prowadzenie  
docho-  
dzeń w sytuacjach, w których im grożono lub na nich napadano.  
Sprawa  
Berg przyprawiła go o palpitację serca.  
Wczesnym rankiem 12 sierpnia 1984 roku młoda brunetka ubrana  
w spodenki i T-shirt biegła przez park nieopodal swojego domu w  
pod-  
miejskiej dzielnicy Merrifield, miasta położonego piętnaście  
kilometrów  
na zachód od Arlington. Heidi Berg była niezwykle sumienną  
agentką  
urzędu skarbowego i zapaloną joggerką. Pochodziła z Wisconsin,  
była po-  
bożną chrześcijanką, wpłacała anonimowo pieniądze na cele  
dobroczyne  
197  
i chciała w przyszłości zostać autorką książek dla dzieci. Policja  
nie mogła  
uwierzyć, aby miała jakichkolwiek wrogów.  
O wpół do siódmej rano, kilka minut po tym, jak wybiegła z domu,  
ktoś strzelił jej sześciokrotnie w plecy. Przebiegła jeszcze kilka  
kroków, po  
czym upadła i skonała na trawniku przed budynkiem  
Amerykańskiego  
Towarzystwa Automobilowego. Jej ciało znalazł przejeżdżający  
tamtędy  
kierowca. Zabójca działał w pojedynkę i najwyraźniej, z  
niewyjaśnionych

powodów, właśnie tam się na nią zaczął.

— Została zamordowana przez zawodowca, który wystrzelił w nią cały

magazynek — opowiadał zebranym Gili. — Ktoś śmiertelnie nienawi-

dził Heidi Berg.

Gili przydzielił do sprawy agenta Rice'a i ośmiu innych

doświadcz-

nych agentów urzędu skarbowego w Wirginii. Rice oddał się śledztwu bez

reszty, poświęcając mu nawet część swoich wakacji.

Od sześciu lat szukano odpowiedzi na podstawowe pytanie: kto pra-

gnął śmierci Heidi Berg? Policja nie potrafiła na nie odpowiedzieć.

Mor-

derstwo nie miało żadnego sensu. Jak ujął to Robert F. Horan, prokurator

hrabstwa Fairfax: „Wśród wszystkich, którzy tamtego ranka uprawiali jog-

ging w hrabstwie Fairfax, trudno wskazać wielu równie mało prawdopo-

dobnych kandydatów na ofiary zabójstwa". Rozważano nawet hipotezę, że

zawodowy morderca zabił niewłaściwą osobę.

Gili odrzucał taką ewentualność.

— Istniały tysiące powodów, dla których ktoś mógł pragnąć śmierci

Heidi Berg — stwierdził — a każdy z nich ma na sobie nadrukowaną po-

dobiznę George'a Washingtona.

Heidi Berg była zatrudniona w wydziale podatków urzędu skarbowe-

go i zdaniem Gilla wykonywała trudną i niebezpieczną pracę.

Faktycznie

była nieuzbrojonym poborcą podatkowym. „Jeżeli ktoś miesiąc w



mie-  
siąc nie płaci podatku, a z innych dokumentów wynika, że  
powinien był  
to zrobić wielokrotnie, poborca podatkowy jedzie w teren, puka do  
drzwi  
delikwenta i dokonuje zajęcia mienia", wyjaśniał Gili. „Wszyscy  
nienawi-  
dzą urzędu skarbowego, a jeżeli ktoś przedstawi się jako poborca  
podatko-  
wy, ludzie czują do niego jeszcze większą odrazę". Pod adresem  
poborców  
przychodziło wiele pogróżek, zdarzyło się też kilka ataków.  
198

— Dlatego oczywiście przyjęliśmy, że morderstwo było  
powiązane z jej  
pracą — ciągnął Gili.  
Berg niewiele wcześniej pracowała w Bailey's Crossroads w  
stanie Wir-  
ginia, ale ponieważ otrzymała serię poważnie brzmiących  
pogróżek, miała  
zostać przeniesiona do Waszyngtonu, gdzie wykonywałaby mniej  
niebez-  
pieczną pracę, pisząc analizy programów komputerowych.  
Ale ten trop okazał się ślepą uliczką.  
— W zasadzie wykluczyliśmy, aby zabójstwo miało jakkolwiek  
zwią-  
zek z wykonywaniem obowiązków zawodowych. Jesteśmy  
praktycznie  
pewni, że nie zamordował jej nikt związany z prowadzonymi przez  
nią  
postępowaniami.  
Dopiero później odkryto pamiętnik Berg z wpisami na temat chło-  
paka, o którym nie opowiadała przyjaciołom ani rodzinie. Był to  
wyso-  
ko postawiony pracownik FBI, żonaty mężczyzna. Wśród

prowadzących

śledztwo agentów zapanowało ożywienie, kiedy ustalili, że kule, którymi

zabito Berg, miały — jak relacjonował Gili — „ten sam kaliber, które-

go używano wtedy w FBI. Trop wyglądał obiecująco. Energicznie zaczę-

liśmy badać ten wątek".

Wydział bezpieczeństwa wewnętrznego FBI poddał agenta badaniu

wykrywaczem kłamstw, ale wyniki nie były rozstrzygające. Agenci prze-

badali również wariografem jego żonę i syna, studenta.

— Dochodzenie na jakiś czas zrujnowało gościowi życie — ciągnął

Gili. — Miał pecha, że dziewczyna prowadziła dziennik.

Mężczyznę ostatecznie wykluczono z grona podejrzanych.

Kolejny śle-

py zaulek.

— Śledztwo było wyjątkowo frustrujące — powiedział Gili. —

Przy-

dzieliliśmy do niego dziesięciu dobrych agentów i daliśmy im

spory bu-

dżet. Do niczego nas to nie doprowadziło.

Kto zatem zabił Heidi Berg?

Richard Walter odchrząknął. Gili nachylił się w jego stronę.

— Wszyscy zdają się sądzić, że jeśli dziewczyna była ładna i młoda, to

morderstwo musiało mieć podtekst seksualny — zaczął Walter. —

Nie

widzę przesłanek, które by na to wskazywały. Przebieg zabójstwa

pasu-

je do hipotezy o wściekłym podatniku. Heidi została

unieszkodliwiona,

199

usunięta niczym śmieć. Zabójca wyraźnie pragnął uzyskać nad nią władzę, a przecież to właśnie pieniądze są jej wyrazem. Posłużenie się pistoletem świadczy o tym, że morderca chciał zdominować ofiarę. Skoro jednak z grona podejrzanych wykluczono wszystkich podatników związanych z prowadzonymi przez nią postępowaniami, prawdopodobnie była dla mordercy osobą obcą. Nawinęła mu się akurat wtedy, gdy odczuwał potrzebę mordy i miał przy sobie broń. Była to po prostu odmiana zabójstwa, w którym ktoś strzela z jadącego samochodu do przypadkowej osoby.

Na sali zapadło milczenie.

— No ale co go do tego popchnęło? — spytał Bender.

Walter wzruszył ramionami.

— Być może kiedyś się do niej przystawiał, a ona go spławiła.

Gość

nie potrafił albo nie miał odwagi jej zaliczyć, więc zaspokoił pragnienie

za pomocą pistoletu. Możliwe, że jest impotentem albo ma jakieś inne za-

hamowania, które generalnie uniemożliwiają mu zdobywanie dziewczyn.

Albo czuł się wyalienowany, chciał kogoś zlikwidować i akurat zobaczył

tę atrakcyjną dziewczynę.

Szczupły mężczyzna uśmiechnął się chłodno.

— Nikt nie lubi sobie wyobrazać takich mężczyzn.

Przypominają re-

kiny krążące po porcie. Dlatego właśnie niebezpiecznie jest w pojedynkę

biegać o szóstej rano po parku albo gdzieś na odludziu.  
Zwłaszcza doty-  
czy to ładnych dziewczyn.  
Gili poblądł. Nie wątpił w trafność analizy Waltera, ale  
przedstawiony  
w ten sposób los Heidi Berg wydawał się tragiczny i absurdalny.  
Pytania,  
które zadali następnie inni członkowie towarzystwa, nie wniosły  
wiele do  
sprawy. Ktoś zapytał, czy sprawdził billingi ofiary.  
— Ależ oczywiście — odpowiedział ostro.  
Do czego to wszystko zmierzało?  
Spotkanie zorganizowane miesiąc później jeszcze bardziej  
rozczaro-  
wało Fleishera.  
Rankiem we wtorek 3 lipca 1984 roku Donna Friedman,  
trzydziesto-  
trzyletnia kobieta w ósmym miesiącu ciąży, zostawiła dwoje  
małych dzieci  
z opiekunką w domu na przedmieściach Filadelfii i udała się na  
rutynową  
wizytę u położnika. Termin porodu pani Friedman, żony lekarza,  
przypadał  
200  
na drugi tydzień sierpnia. Doktor Robert S. Auerbach miał dla niej  
same  
dobre wieści. Dziecko „rozwijało się prawidłowo. Miała zostać  
matką zdro-  
wego chłopca. Była z tego powodu bardzo szczęśliwa.  
Oświadczyła, że  
płeć dziecka nie ma dla niej znaczenia, ważne, żeby było zdrowe.  
Całkowi-  
cie poświęcała się pozostałej dwójce”, opowiadał później doktor  
Auerbach.  
Wychodząc z gabinetu, Friedman powiedziała lekarzowi, że

wybie-  
ra się jeszcze na zakupy. Ponieważ remontowała właśnie dom,  
poszła do  
All-in-one Linens, aby obejrzeć zasłony do sypialni. Następnie  
udała się  
do Toys"R"Us po wózek dla nowo narodzonego bratanka.  
Zamierzała mu  
go podarować podczas uroczystości obrzezania. Około godziny  
pierwszej  
zadzwoiła do brata, ponieważ nie zdołała znaleźć niczego  
odpowied-  
niego. On zaproponował, aby poszła do Cramer's Juvenile  
Furniture na  
Frankford Avenue — w reklamie tego sklepu widział wózek, który  
mu się  
podał. Kupiła go, płacąc kartą kredytową, i poprosiła  
sprzedawcę, aby  
pomógł jej zanieść towar do samochodu. Sprzedawca widział, jak  
odje-  
chała spod sklepu o wpół do czwartej.  
Kiedy do czwartej piętnaście nie wróciła do domu, jej mąż,  
hemato-  
log Alan Friedman, zaczął się niepokoić. Donna zawsze była  
punktualna,  
a tego dnia miała dodatkowo zwolnić wcześniej opiekunkę, która  
zajmo-  
wała się ośmioletnim Scottem i czteroletnim Lee. Alan i Donna  
wybie-  
rali się ponadto do pobliskiej restauracji na rozpoczynające się o  
szóstej  
przyjęcie urodzinowe matki doktora Friedmana. Kiedy żona nie  
zjawiała  
się do tego czasu, Friedman obdzwoił szpitale i skontaktował się  
z policją.  
Policja natychmiast rozpoczęła poszukiwania zaginionej kobiety.

Doktor Friedman przez kolejne dwa dni rekonstruował drogę, którą jego żona przebyła feralnego dnia. W czwartek o ósmej dwadzieścia pięć wieczorem policja znalazła należącego do Friedmanów oldsmobile'a cutlassa na Ogontz Avenue, kilka przecznic od centrum handlowego Cheltenham Square. Z bagażnika sączyła się krew. W środku znaleziono zwłoki ciężarnej Donny Friedman. Kobieta została zamordowana dwoma ciosami w czaszkę, a potem, jak wyraziła się policja, „na dokładkę” strzelono jej dwukrotnie w tył głowy.

Fleisher poczuł, że się dławi, słuchając referującego sprawę Franka Diegela, oficera śledczego filadelfijskiego wydziału policji. Fleisher dorastał 201 niedaleko od Friedmanów. Na pogrzebie matki i jej nienarodzonego dziecka ludzie szlochali i zawodzili. Rabin opowiedział wtedy historię mężczyzny, który płakał po śmierci ukochanej. „Dlaczego płaczesz?”, spytał jego przyjaciel. „Twoje łzy nie przywrócą jej do życia”. „Właśnie dlatego”, odparł mężczyzna.

Tydzień po morderstwie gazeta „Philadelphia Daily News” wyznaczyła nagrodę w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów za informacje, które doprowadziłyby do aresztowania i skazania „osoby lub osób

odpowie-  
działnych za morderstwo Donny Friedman i jej nienarodzonego  
dziecka".

Rodzina i przyjaciele Friedmanów zaoferowali dodatkowe  
dziesięć tysięcy

cy dolarów. Diegel wytypował głównego podejrzanego, ale  
dochodzenie

utknęło w martwym punkcie. Nikomu nie wypłacono nagrody.

Nikogo

nie aresztowano.

Sprawa wywołała ożywioną dyskusję na spotkaniu Towarzystwa  
Vido-

cqa. Zebrani doszli do wniosku, że ciężarną kobietę zamordował  
główny

podejrzany wytypowany przez Diegela, czym zmotywowali go do  
dal-

szej pracy.

Mijały kolejne tygodnie i sprawa nie posuwała się do przodu.

„Wia-

domo, kto ją zabił, ale policja nigdy nie chciała podążać tym  
tropem.

Z niewiadomych przyczyn śledztwo było torpedowane", opowiadał  
sfru-

strowany Fleisher.

Fleisher stwierdził, że rozwiązywanie tego rodzaju spraw to  
szyfry-

wa praca. Policja bardzo często przesłuchuje mordercę w ciągu  
czterdzie-

stu ośmiu godzin od popełnienia morderstwa, ale jeżeli nie  
umieści go od

razu w gronie podejrzanych, śledztwo zamiera. Ludzkie  
wspomnienia się

zacierają. Dowody znikają. Inne sprawy przyciągają uwagę  
funkcjona-

riuszy. Kiedy po dwóch latach sprawa zostaje oficjalnie uznana za

nieroz-  
wiązaną, rzeczy uprzednio trudne okazują się wręcz niemożliwe.  
„Sprawa  
z jakiegoś powodu nie została przecież rozwikłana. Trudność  
polega na  
tym, żeby sobie z tym poradzić”, wyjaśniał Fleisher. Aby  
ponownie roz-  
ruszać śledztwo, potrzebne było wyjątkowe zaangażowanie  
prokuratora,  
wydziału policji, a często i rodziny. Na domiar złego Towarzystwo  
Vido-  
cqa nie dysponowało uprawnieniami pozwalającymi aresztować  
lub wzy-  
wać ludzi na świadków. Atutem członków Towarzystwa były  
analityczne  
202  
zdolności ich umysłów. „Niemal zawsze potrafimy powiedzieć, kto  
to zro-  
bił, ale znajdowaniem dowodów, aresztowaniami i skazywaniem  
muszą się  
zająć powołane do tego instytucje”, mówił Fleisher.  
Spotkanie, na którym zaprezentowano sprawę Donny Friedman,  
na-  
uczyło Williama Gilla pokory. Kiedy on zajmował się ściganiem  
mafijnych  
bossów, „wielu obywateli naszego kraju przebywa na wolności,  
mimo że  
popelnili kiedyś morderstwo. Takich osób jest znacznie więcej, niż  
mo-  
głem przypuszczać”. W szeregi Towarzystwa Vidocqa zaczął się  
wkradać  
niepokój. Jaki sens miało założenie klubu towarzyskiego, który  
odkry-  
wałby prawdę o morderstwach, doprowadzając jednocześnie  
wszystkich



do najwyższej frustracji? Fleisher miał zupełnie inne plany.

Rozdział 25

Rzeźnik z Cleveland

Ku zaskoczeniu Fleishera Towarzystwo Vidocqa rozrastało się mimo

wszystko błyskawicznie i wyrabiało sobie markę u przedstawicieli służb

porządkowych oraz u zwykłych obywateli. Na piątym spotkaniu, które

odbyło się 18 kwietnia 1991 roku, liczba członków wzrosła ponad dwu-

krotnie i było ich już sześćdziesięciu dwóch. Wieści o powstaniu klubu

towarzysko-detektywistycznego dotarły do mediów. Reporter „New York

Timesa" poprosił o zgodę na wzięcie udziału w piątym spotkaniu.

„Towa-

rzystwo Vidocqa", napisał później, „jest chyba jedynym klubem, w któ-

rym prawdziwi detektywi dla własnej przyjemności próbują wyjaśniać

realne zbrodnie".

Do Towarzystwa weszły nowe, jeszcze znamienitsze postacie. Z Paryża

do Filadelfii przyleciał szef Brigade de la Sûreté. Zapisał się również agent

FBI Daniel Reilly, specjalista od przestępczości zorganizowanej z Long

Island. Agent Reilly potrzebował odpoczynku od ścigania

„naprawdę pa-

skudnych — nie, proszę napisać: odrażających — kryminalistów".

Jeden z nowych członków, Charles Rogovin, profesor prawa i krymi-

nolog z Temple University, wiedział co nieco o nierozwiązanych sprawach.

W przeszłości zasiadał w komisjach Kongresu badających okoliczności zamachów na Johna F. Kennedy ego i Martina Luthera Kinga. Teraz był gotów wesprzeć zwykłych policjantów, „którzy mieli twarde orzech do zgryzienia. Przerwane śledztwa niezwykle trudno wznowić”. Sens Towarzystwa Vidocqa polegał, jego zdaniem, na tym, że „kiedy śledczy próbuje

204

usilnie rozwiązać jakąś sprawę, ale kończą mu się pomysły, czasami warto zaprosić kogoś z zewnątrz, aby przyjrzał się jej i powiedział: A może spróbowalibyś pójść w takim a takim kierunku?”. Rogovin rozejrzał się po sali, z satysfakcją notując na piątym spotkaniu rekordową frekwencję. „Nie przypominamy angielskiego klubu dżentelmenów. Do tego towarzystwa należą wyłącznie profesjonaliści”, zauważył.

Tamtego dnia zwyczajową porcję strawy i zbrodni podano w Dickens Inn, małej gospodzie zbudowanej w 1788 roku w stylu kolonialnym, położonej naprzeciwko szerokiego brukowanego bulwaru na South Second Street. Towarzystwo Vidocqa przeniosło się tam z Klubu Oficerskiego Marynarki Wojennej, którego wnętrze uznano za niedostatecznie nastrojowe. Niektórzy członkowie wyrażali ponadto obawy, że nie zapewniał ich spotkaniom stosownej prywatności. Dlatego urządzano je odtąd w

kame-  
ralnym angielskim pubie nazwanym na cześć Charlesa Dickensa,  
który  
zresztą odwiedził kiedyś Filadelfię. Reporter „New York Timesa”,  
który  
natychmiast zwrócił uwagę na ironię związaną z wyborem nowej  
siedziby,  
napisał: „Kelnerki ubrane w stroje osiemnastowiecznych  
barmanek prze-  
mykały obok detektywa rozpoczynającego właśnie zdanie od  
słów: «Za-  
strzelono ją w niedzielę...»”.

Fleisher z niecierpliwością czekał na pierwsze spotkanie w nowej  
sie-  
dzibie. Wystrój pasował do jego wizji Towarzystwa Vidocq’a,  
podobnie jak  
prezentowana tego dnia sprawa. W końcu udało mu się znaleźć  
klasycz-  
ny przypadek morderstwa, nad którym detektywi będą mogli  
podysku-  
tować przy lekkim posiłku. Chodziło o Szalonego Rzeźnika z  
Cleveland,  
który w latach trzydziestych XX wieku popełnił serię  
najkoszmarniej-  
szych morderstw w historii Stanów Zjednoczonych. Rzeźnik  
torturował  
ponad trzydzieścioro mężczyzn i kobiet, poodcinał im głowy,  
rozcłonko-  
wał i wytoczył z nich krew. Działalność rozpoczął jeszcze w latach  
dwi-  
dziestych, a kontynuował ją w okresie Wielkiego Kryzysu i  
później. Od  
tamtego czasu minęło siedemdziesiąt lat, a morderstw nie  
wyjaśniono,  
pomimo zaangażowania kilkuset przedstawicieli prawa, w tym

samego  
Eliota Nessa.

W 1935 roku Ness, człowiek o nieposzlakowanej reputacji zawodowej, otrzymał stanowisko szefa wydziału bezpieczeństwa w Cleveland.

205

W 1931 roku w Chicago jako młody, energiczny agent departamentu skarbu stanął na czele elitarniej jednostki złożonej z ośmiu agentów federalnych. Urządzali naloty na nielegalne bary z alkoholem należące do Al Capone i doprowadzili w końcu do aresztowania gangstera pod zarzutami unikania płacenia podatków i łamania ustawy o prohibicji. Ness i jego chicagowscy agenci byli ludźmi kryształowo uczciwymi; nikt nie mógł ich przekupić. Dlatego właśnie nazywano ich Nietykalnymi. Z przekazów historycznych wynika, że Ness miał wielkie zasługi w oczyszczaniu Cleveland z korupcji. Na jego celowniku znalazł się hazard i zorganizowana przestępczość, ścigał też policjantów i polityków siedzących w kieszeni mafii. Za jego czasów przestępczość spadła o trzydzieści procent, a Cleveland stało się najbezpieczniejszym miastem w Stanach Zjednoczonych. Wyprzedzając epokę, ograniczył liczbę ofiar wypadków samochodowych, nękając kierowców przekraczających prędkość i prowadzących pod wpływem alkoholu. Udało mu się nawet zmniejszyć przestęp-

czegoś wśród nieletnich dzięki funkcjonującym na terenie całego miasta drużynom harcerskim. I wtedy spotkał na swojej drodze nowy typ przestępcy — człowieka niezwykle przebiegłego i makiawelicznego, który nie pozwalał się podejść lub zastraszyć jak Al Capone. Zmorą XX wieku stawali się seryjni mordercy o sadystycznych skłonnościach, znacznie inteligentniejsi od pozostałych przestępców. W ich głowach rodziły się najmroczniejsze, najbardziej wyrafinowane okropieństwa, które potrafili wcielić w życie. Wiedzeni niezaspokojonymi żądzami, torturowali i mordowali przypadkowe osoby, powołując do życia upiorny świat rodem z koszmarów sennych. Pierwszym człowiekiem, którego w XX wieku zaliczono do tej ponurej kategorii, był pedofil i kanibal z Nowego Jorku, Albert Fish — Wampir z Brooklynu. Kiedy w styczniu 1936 roku Ness obejmował stanowisko w Cleveland, Fish, obłąkany, wąsaty malarz pokojowy o bladej cerze, został stracony na krześle elektrycznym w więzieniu Sing Sing za uduszenie i zjedzenie dziesięcioletniej Grace Budd. Dobroduszny starszy pan wmówił rodzicom dziewczynki, że jest farmerem. Ojcu obiecał pracę, najpierw jednak chciał zabrać dziewczynkę na przyjęcie urodzinowe w domu swojej siostry.

Ness nie zdawał sobie sprawy, że akurat sprawa Fisha pozwala wyjątkowo dobrze zrozumieć umysł nowego typu morderców. Oszustwo i podstęp odgrywały równie ważną rolę w zaspokajaniu pragnień sadysty, jak sam makabryczny finał. Sześć lat po porwaniu i zamordowaniu Grace Budd Fish wysłał do jej matki list, w którym chełpił się zbrodnią: „W niedzielę 3 lipca 1928 roku odwiedziłem was (...). Kupiłem miskę sera z truskawkami. Zjedliśmy lunch. Grace usiadła mi na kolanach i mnie pocałowała. Właśnie wtedy postanowiłem ją skonsumować. Wymyśliłem pretekst. Przyjęcie. Zgodziliście się, żeby ze mną poszła. Zabrałem ją do pustego domu w Westchesterze, który już wcześniej sobie upatrzyłem. Kiedy zobaczyła mnie nagiego, rozplakała się (...) i powiedziała, że naskarzy matkę. Najpierw zdjąłem z niej ubranie. Ależ się wyrywała — całego mnie pogryzła i podrapała. Zadusiłem ją, następnie pociąłem na małe kawałeczki, aby móc przenieść mięso do mieszkania. Tam je ugotowałem i zjadłem. Jakże słodka i mięciuteńka była po upieczeniu jej pupcia! Pałaszowałem ją przez dziewięć dni. Nie wyruchałem waszej córki, choć mogłem. Umarła jako dziewczyna”. Kiedy Fish, podejrzany o zamordowanie pięciu osób, umierał na

krze-  
śle elektrycznym, Szalony Rzeźnik robił wszystko, by prześcignąć  
dokto-  
ra H.H. Holmesa, który przyznał się do zabicia co najmniej  
dwudziestu  
siedmiu osób (a mógł ich zamordować o kilkadziesiąt więcej) w  
swoim  
posępnym Zamczysku Śmierci podczas Wystawy Światowej w  
Chica-  
go w 1893 roku. Wiedziony tymi samymi nienasyconymi żądzami  
co  
Holmes, Rzeźnik najwyraźniej zamierzał powtórzyć makabryczne  
dzie-  
ło poprzednika, urządzając krwawe łowy podczas Wystawy  
Światowej  
w Cleveland w 1936 roku.  
Mordercę charakteryzowały siła, ostrożność oraz budząca grozę  
po-  
trzeba torturowania i upokarzania ofiar. We wrześniu 1934 roku  
na  
powierzchnię jeziora Erie wypłynęło zmasakrowane ciało —  
korpus nie-  
zidentyfikowanej kobiety w wieku trzydziestu kilku lat; ucięto jej  
głowę  
i nogi na wysokości kolan. We wrześniu 1935 roku dwa nagie  
ciała męż-  
czyzn — pozbawione głów i wykastrowane — znaleziono w  
Kingsbury  
Run, miasteczku namiotowym powstałym w czasach Wielkiego  
Kryzy-  
su, zbudowanym przez włóczęgów na obrzeżach Cleveland w  
ponurym  
207  
wąwozie, który przecinała rzeka Cuyahoga i tory kolejowe.  
Dwudziesto-

ośmioletni Edward Andrassy, młodszy z zamordowanych, był drobnym oszustem i rozwiązłym biseksualistą. Jego ciało zostało umyte i całkowicie wykrwawione. Obu mężczyznom odcięto głowy, kiedy jeszcze żyli.

Czwartą ofiarą była prostytutka Florence Polillo. Jej rękę i oba uda znale-

ziono w wielkim koszu, owinięte sznurkiem niczym szynki.

Morderca działał według jednakowego wzoru: najpierw ucinął ofia-

rom głowy (co jest czynnością niełatwą i rzadko spotykaną w historii

morderstw), a następnie rozczłonkował ciała i pozbawiał je narządów

płciowych. Lekarz sądowy stwierdził, że morderca musi być wyjątkowo

silnym mężczyzną, a zważywszy na wprawę i precyzję, z jaką dokonywał

dekapitacji, także chirurgiem. Jeden z policjantów scharakteryzował go

w bardziej dosadny sposób: „Na wolności grasuje szaleniec przepełniony

żądzą mordu”.

Na Cleveland padł blady strach. Nagłówki gazet uderzały w coraz bardziej dramatyczne tony, a od człowieka odpowiedzialnego za bezpie-

czeństwo w mieście domagano się schwytania mordercy.

Przypadkowe

dekapitacje dokonywane w cieniu nowych drapaczy chmur były fatal-

ną wizytówką dla Cleveland. W 1936 roku trzy miliony odwiedzających

przybyły na Wystawę Światową — heroiczne przedsięwzięcie mające oży-



wić podupadającą gospodarkę miasta, sfinansowane częściowo z budżetu federalnego. Architekci zaprojektowali na nadbrzeżu jeziora Erie lśniąca, modernistyczne miasteczko wystawiennicze o powierzchni stu trzydziestu pięciu akrów. Efektownością dorównywało Białemu Miastu z Wystawy Światowej w Chicago. Nazwano je „miastem z kości słoniowej, nowym Bagdadem wzniesionym na pustyni”. Pływacy olimpijcy Johnny Weissmuller, który w przyszłości miał zagrać Tarzana, oraz Esther Williams, która również zrobiła karierę filmową, wystąpili na Aquacade, pływającej scenie. Nad powierzchnią wody unosiły się dźwięki jazzu granego przez orkiestrę Boba Crosby'ego. Cleveland miało znaleźć się w centrum uwagi społeczeństwa amerykańskiego jeszcze w czerwcu, kiedy w mieście odbywała się konwencja Partii Republikańskiej. Nominację uzyskał wtedy nieśmiały gubernator Kansas, Alf London, później zmiażdżony w wyborach prezydenckich przez Franklina Delano Roosevelta.

208

Tymczasem Ness, zajęty zwalczaniem korupcji we władzach miasta, niespecjalnie interesował się falą morderstw. Człowiek odpowiedzialny za bezpieczeństwo Cleveland pozwalał, by terroryzował je seryjny morderca.

Kiedy 5 lipca delegaci opozycyjnej wówczas Partii

Republikańskiej zaczęli zjeżdżać do miasta na konwencję, która miała się rozpocząć za trzy dni, przy torach kolejowych w Kingsbury Run znaleziono głowę odciętą od wytatuowanego ciała mężczyzny. Morderca bezczelnie ukrył je w krzakach doskonale widocznych z pobliskiego posterunku policji. W niedzielne, wrześniowe popołudnie, gdy Bob Feiler, gwiazdor drużyny bejsbolowej Cleveland Indians, uzyskał siedemnaście zbić w meczu przeciwko Philadelphia Athletics, ponad pięć tysięcy gapiów zebranych wokół dołu ze ściekami obserwowało, jak nurek wydobywa na powierzchnię odcięte ręce i nogi ósmej ofiary Rzeźnika. Burmistrz nakazał Nessowi zajęcie się sprawą. W „Cleveland Press” napisano: „Schwytnie jednego z najpotworniejszych morderców w historii wymaga nadzwyczajnych środków”. Ness przydzielił do śledztwa dwudziestu detektywów; kilku z nich działało incognito w przebraniu bezdomnych. Poproszono o pomoc Scotland Yard. Nigdy wcześniej policja w Cleveland nie urządziła tak szeroko zakrojonego śledztwa. Przesłuchano dziesięć tysięcy potencjalnych podejrzanych, głównie silnych mężczyzn wykonujących zawód chirurga, lekarza, pielęgniarza bądź rzeźnika. Śledczy Pete Merylo w świetle księżycy przechadzał się w długich kalesonach po slumsach, aby „zwabić” morder-

cę, który jego zdaniem był homoseksualistą. Żadna z tych strategii nie przyniosła rezultatów. Do 1938 roku Rzeźnik z Cleveland zabił i poćwiartował dwanaścioro mężczyzn i kobiet. W policyjne sieci zastawione przez Nessa wpadł w końcu poważny kandydat na mordercę, doktor Frank E. Sweeney, chirurg pochodzący ze znanej rodziny, kuzyn szefa lokalnych struktur Partii Demokratycznej. Doktor Sweeney, człowiek wydawałoby się niepozorny i elokwentny, był w rzeczywistości niezrównoważonym psychicznie, agresywnym alkoholikiem, którego porzuciła żona. Jako mężczyzna pokaźnej postury mógł poradzić sobie z ćwiartowaniem ofiar i transportem zwłok. Podejrzenia policji wzbudził fakt, że wielokrotnie opuszczał szpital w czasie

209

pokrywającym się z szacowanym momentem popełnienia niektórych morderstw. Nawet Ness obawiał się wybuchowej natury doktora Sweeney'a, gdy zostawał z nim sam na sam. Przeczucia Nessa potwierdziły się, gdy Leonarde Keeler — również legenda kryminalistyki, wynalazca wykrywacza kłamstw — przybył z Chicago i poddał Sweeney'a kilku testom na prawdomówność. Chirurg za każdym razem kłamał. Keeler stwierdził, że Sweeney jest „klasycznym

przypadkiem psychopaty". Szedł w ślady ojca, również alkoholika i skłonnego do przemocy schizofrenika, który ostatnie lata życia spędził w szpitalach psychiatrycznych. „Złapałeś swojego mordercę”, powiedział Keeler Nessowi.

Ness nie wiedział, co począć. Podobno był przekonany, że to Sweeney jest Rzeźnikiem z Cleveland, ale nie wierzył, że zdoła doprowadzić do skazania ustosunkowanego chirurga. Dwa dni później doktor Sweeney na własną prośbę został przyjęty do zakładu dla obłąkanych; resztę życia spędził w szpitalach. Niektórzy dopatrywali się w tym efektów umowy, którą Ness zawarł z jego wpływową rodziną. Morderstwa w Cleveland ustały, ale do podobnych zgonów dochodziło w innych częściach Ohio i w Pensylwanii.

Kariera Nessa legła w gruzach. Jego reputację i tak nadwyrężyły wcześniej oskarżenia o alkoholizm i uganianie się za spódniczkami (co tylko przyspieszyło rozpad jego małżeństwa). Niepowodzenia w ściganiu seryjnego mordercy, który terroryzował całe miasto, uczyniły go łatwym obiektem ataków polityków i prasy. W ten sposób doszło do upadku bohatera.

Pewnej mroźnej zimowej nocy 1942 roku Ness został zmuszony do ustąpienia ze stanowiska po tym, jak za dwadzieścia piąta nad

ranem  
uciekł z miejsca wypadku, spowodowanego po całonocnym picu i  
szwen-  
daniu się po klubach. Niedługo potem zostawiła go druga żona,  
młoda  
modelka i studentka akademii sztuk pięknych. Ness, niegdyś  
cudowne  
dziecko walki z przestępczością, bez powodzenia próbował  
jeszcze swo-  
ich sił w biznesie w Nowym Jorku i Waszyngtonie, w końcu  
wyjechał do  
górskiej miejscowości Coudersport w Pensylwanii, gdzie upijał się  
z trze-  
cią żoną i opowiadał w barach niestworzone historie o Alu  
Capone, w któ-  
re mało kto wierzył. Jeden z jego przyjaciół z dawnych lat,  
dziennikarz  
210  
sportowy Oskar Fraley, mocno je podkoloryzował i wydał w  
zbeletry-  
zowanej biografii Nessa zatytułowanej Nietykalni. Właśnie tej  
książce  
Ness zawdzięcza status legendy. Sam nie doczekał publikacji. W  
maju  
1957 roku wrócił do mieszkania ze sklepu monopolowego  
zaopatrzonego  
w kolejną butelkę whisky i zmarł na atak serca przy zlewku w  
kuchni. Miał  
pięćdziesiąt cztery lata. Mówiono, że Rzeźnik pozbawił życia  
jeszcze jed-  
ną osobę.  
O „makabrycznych” morderstwach w Cleveland napisał reporter  
„New  
York Timesa”. W Filadelfii popełniano „tyle przedziwnych  
morderstw, że

dla ofiar zaczyna brakować miejsca w kostnicy, a policjanci z wydziału zabójstw oraz lekarze sądowi marzą, aby choć na chwilę wyrwać się z pracy". Zdumiewało go, że „podczas przerwy niektórzy z nich lubią słuchać opowieści o poćwiartowanych ofiarach mordercy z Cleveland". Aby dodać dramaturgii prezentacji sprawy przed Towarzystwem Vi- docqa, miało ją zreferować dwóch szanowanych policjantów reprezentujących całkowicie odmienne, konkurencyjne tradycje prowadzenia śledztwa. Kapitan filadelfijskiego wydziału zabójstw Frank Friel był detektywem starej daty i wyznawał rzetelną, dziewiętnastowieczną metodologię, która nakazywała szczegółową analizę miejsca zbrodni i wyczerpującą pracę w terenie. Jako drugi wystąpił profiler Richard Walter, należący do niewielkiej grupy pionierów, którzy odczytywali plamy krwi i wzory powtarzające się na miejscach zbrodni jak test Rorschacha. Niekiedy wydawało się, że potrafią w magiczny sposób zaglądać do umysłów morderców. W prezentacjach doszło do starcia między naturalnymi rywalami — dwiema dumnymi, upartymi osobami, które dziwnym zbiegiem okoliczności łączył szereg nie tylko fizycznych podobieństw: obaj byli wysocy, szczupli, charyzmatyczni i humorem maskowali gwałtowność charakteru. Kiedy ze stołu zebrano pozostałości lunchu, Friel otworzył

dyskusję. Kto był Rzeźnikiem z Cleveland? Uszczęśliwiony Fleisher liczył właśnie na takie zagadki kryminalne. Czy kolegium najwyższej klasy detektywów poradzi sobie lepiej od Eliota Nessa? Czy rozwiąże zagadkę amerykańskiego Kuby Rozpruwacza?

211

Dyskusja toczyła się wartko. Friel i kilka innych osób utrzymywali, że Ness słusznie skoncentrował wysiłki na poszukiwaniu podejrzanych wśród chirurgów i rzeźników, a więc osób wykonujących zawody wymagające wprawy w rozcinaniu ciała.

— Cechą wyróżniającą napastnika było pozbawianie ofiar głów za życia — stwierdził Friel.

Agent departamentu skarbu Frank Dufner widział w morderstwach dzieło rozwścieczonego studenta.

— Czy w tamtym okresie ktoś oblał egzaminy na medycynie? — dopytywał.

Jeden z policjantów zapytał, czy ktokolwiek brał pod uwagę, że morderstw mógł dokonać pracownik zakładu pogrzebowego, na co miałyby wskazywać odsączenie ciał z krwi.

Tak, potwierdził Friel, przesłuchano studentów medycyny i przedsiębiorców pogrzebowych.

— Głów siedmiu z dwunastu ofiar nie znaleziono — kontynuował Dufner. — Czy morderca zachował je jako trofea?

Friel nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

Fleisher zapisał w notatniku: „grabarz, rzeźnik, ubojnia”. Kiedy pre-  
zentacja dobiegła końca, nabrał przekonania, że mordercą był  
Sweeney.

„Leonarde Keeler wskazał na niego, a to rozstrzyga sprawę.  
Keeler był jed-

nym z twórców wykrywacza kłamstw i posługiwał się tym  
urządzeniem  
po mistrzowsku”.

Kiedy kelnerzy zbierali talerze, głos zabrał Walter.

— Eliot Ness rzeczywiście miał na koncie kilka znaczących  
dokonań

i do pewnego stopnia był bohaterem. Niemniej ta sprawa go  
przerosła,

ponieważ w latach trzydziestych nie wiedziano zbyt wiele o  
seryjnych

mordercach. Oczywiście FBI wciąż ma w tej dziedzinie ogromne  
zaległo-

ści — dodał półgłosem, nachylając się w stronę słuchaczy — więc  
nie po-

winniśmy zbyt surowo oceniać poczynania Nessa.

Kilka osób zachichotało razem z Walterem.

Po pierwsze, już na początku Ness popełnił błąd, zawężając  
śledz-

two do dużych, silnych mężczyzn oraz zawodów wymagających  
biegłości

w posługiwaniu się nożem.

212

— Nie trzeba być rzeźnikiem, aby pokroić zwłoki na małe  
kawałeczki,

albo przedsiębiorcą pogrzebowym, aby odsączyć je z krwi. Tak  
napraw-

dę każdy mógłby sobie z tym zupełnie spokojnie poradzić.

Wystarczy



chcieć — stwierdził, uśmiechając się gorzko. — Poza tym morderca nie musiał być ani dużym, ani silnym mężczyzną. Jako człowiek skromnej postury mógł posługiwać się inteligencją. Ofiary wystarczyłoby upić, a mógłby z nimi zrobić wszystko, co tylko by chciał.

Po drugie, ciągnął Walter, doktor Sweeney, główny podejrzany Nessa, był kiepskim kandydatem na Rzeźnika właśnie z tych wszystkich powodów, które miały rzekomo przemawiać za jego osobą. Był agresywnym alkoholikiem i schizofrenikiem. Nawet jeśli czyniło go to skurwysynem, to nie musiało oznaczać, że był sadystą". Ze stanu, w jakim znajdowano ciała, wynikało jasno, że Rzeźnik z Cleveland był seryjnym mordercą o skłonnościach sadystycznych. Sweeney nie pasował do profilu.

— Istnieje zasadnicza różnica między człowiekiem, który od czasu do czasu zachowuje się agresywnie, jak Sweeney, a kimś, kto działa według określonego systemu, jak Rzeźnik — kontynuował Walter. — Aby sadysta mógł zaspokoić swoje najmroczniejsze żądze, musi wykonać szereg skomplikowanych czynności. Jest dobrze zorganizowany, przebiegły, przygotowuje plan, ale i potrafi go zmienić, gdy coś idzie nie po jego myśli. Walter uważał, że kandydaturę Sweeneya dyskwalifikował ponadto fakt, że morderstwa nie ustały po zamknięciu go w szpitalu psychiatrycz-

nym.

— Policja nie potrafiła zrozumieć, jak to możliwe, ale we wschodnim Ohio, a nawet w zachodniej Pensylwanii znaleziono ponad dwadzieścia poćwiartowanych ciał noszących wyraźne ślady ręki Rzeźnika — opowiadał Walter. — Morderstwa ustały dopiero w 1950 roku, gdy ów człowiek zmarł śmiercią naturalną, został zabity lub popełnił samobójstwo. Zważywszy na niewielką wiedzę na temat seryjnych morderców, jaką dysponował Ness, Rzeźnik był maszyną do zabijania, której w zasadzie nikt nie mógł powstrzymać.

— Rzeźnik był sprytniejszy od Nessa i wielokrotnie to udowodnił. Zabójca czerpał seksualną rozkosz z podporządkowywania sobie ofiar, upokarzania ich i budzenia w nich strachu. Ta sama żądza kierowała

213

współczesnymi seryjnymi mordercami w rodzaju Teda Bundy ego czy Johna Waynea Gacy ego. Potrzeby sadysty niemal zawsze mają charakter seksualny i nic nie jest w stanie ich zaspokoić.

Bezdomni stanowili łatwy cel.

— Rzeźnik zwabiał ich do lasu, proponując alkohol, jedzenie, seks czy cokolwiek innego. Ten etap nazwiemy podstępem. Ofiara idzie do lasu i już nie wraca — ta część planu go podnieca. Sadysta czerpie przyjemność nie tylko z tego, że kogoś zarąbie, ale satysfakcję musi mu

sprawiąc  
również oprawa, a jednym ze źródeł tej satysfakcji jest fortel.  
Później na-  
stępuje moment, po którym nie ma już odwrotu. Rzeźnik odsłania  
przed  
ofiara swoje prawdziwe oblicze. Konstruuje sytuacje, w których za  
każ-  
dym razem może odnosić zwycięstwo.

Podano deser.

— Owszem, zabierał ich głowy w charakterze trofeów,  
podobnie jak

Bundy — podjął Walter.

W swojej kryjówce Bundy masturbował się przy głowach ofiar płci  
żeńskie. Co robił z nimi Rzeźnik, tego się nigdy nie dowiemy,  
niemniej

wykrwawianie ciał jest mocnym argumentem wskazującym na  
perwersyj-  
ne skłonności seksualne mordercy.

Kiedy kelnerzy podali kawę, Walter zachęcił członków  
stowarzyszenia,

aby spróbowali sobie wyobrazić rozkosz, jaką morderca musiał  
odczuwać,

kiedy w wodzie odsączał ciała z krwi.

— Woda potęguje rozkosz. Spróbujcie w domu włożyć rękę pod  
wodę

i ścisnąć w niej gąbkę. Kiedy poczujecie, jak woda delikatnie  
muska włoski

na waszych rękach, doświadczycie zmysłowej przyjemności.

Takiej przy-

jemności, jaką odczuwał Rzeźnik. Silnej rozkoszy seksualnej.

Fleisher promieniował radością. Wreszcie spotkanie, które  
okazało się

sukcesem. „Sherlock Holmes był wspaniałym detektywem, ale to  
postać

fikcyjna. My istniejemy naprawdę”, chwalił się reporterowi „New

York

Timesa". Towarzystwo Vidocqa przypominało jego zdaniem „kolegium detektywów. Nie znajdzie pan nigdzie grupy skupiającej bardziej przemi-  
kliwe umysły".

Musieli jednak odpowiedzieć sobie na pytanie, czy Towarzystwo po-  
zostanie klubem dyskusyjnym, w którym morderstwa omawia się dla

214

intelektualnej rozrywki, czy też detektywi otworzą się na rzeczywistość i zaczną rozwiązywać realne sprawy.

„Kiedy rozwikłacie jakiś prawdziwy przypadek?", wypytywał Fleishera reporter „New York Timesa".

Fleisher odparł, że sprawa Rzeźnika z Cleveland prawdopodobnie nie zostanie nigdy rozwiązana, niemniej po kilku spotkaniach był pewien, że

.będziemy rozwiązywać dziewięćdziesiąt procent przypadków, które do nas trafią. Chociaż nawet jeśli wszyscy na sali wiedzą, kto jest mordercą, to nie zawsze wystarcza, aby doprowadzić taką osobę przed oblicze wy-  
miaru sprawiedliwości".

„Nie rozwiązaliśmy jeszcze żadnej sprawy, ale niedługo to nastąpi",  
dodał.

Kiedy Fleisher zobaczył te słowa na łamach „New York Timesa", ga-  
zety mającej miliony czytelników na całym świecie, pomyślał:  
„Oby tak

się stało".

„Bez wątpienia nie jest to zabawa amatorów ani klub szalonych miło-

śników Sherlocka Holmesa", podsumował reporter.

— Trafnie opisał, kim nie jesteřmy — zażartował Walter. — Tylko kim u licha jesteřmy?

Rozdział 26

Błagania wznoszone do Boga

Na sali przygasły światła i oczom zebranych ukazały się twarze.

Mimo

dużego powiększenia wydawały się niezwykle młode i drobne.

Obrazowi

towarzyszyła spokojna muzyka uzupełniona staccato westchnień i jęków

widowni. Każda kolejna twarz dziecka wzbudzała szloch, a na długim sto-

le zapalała się świeca. W końcu cała sala pulsowała płomieniami, zupełnie

jakby trwał w niej koncert — niemy, podniosły koncert, podczas którego

rodzice błagali los lub Boga o jeszcze jeden utwór.

Emerytowany kapitan filadelfijskiej policji Frank Friel siedział na sali

balowej hotelu Hilton w San Antonio w Teksasie. Palił papierosa za papie-

rosem i bił się z myślami. W kieszeni jego marynarki spoczywała kartka

z przemówieniem; w dłoniach trzymał Księgę Umarłych

Narodowego Sto-

warzyszenia Rodziców Zamordowanych Dzieci (National

Organization of

Parents of Murdered Children, w skrócie PoMC). Otaczali go

uczestnicy

konferencji, ludzie o twarzach przeoranych żalem lub gniewem i

zażawio-

nych oczach przypominających kamienie wystające z nurtu potoku. Był czwartkowy wieczór 11 sierpnia 1991 roku. Friel przybył na doroczny zjazd PoMC. Nigdy wcześniej nie uczestniczył w podobnym zgromadzeniu. Podnosząc się z miejsca, Friel w duchu poprosił Boga o wsparcie. Miał przemówić do sali wypełnionej matkami i ojcami, wujkami i dziadkami zamordowanych dzieci. Bezmiar cierpienia tych ludzi przytłaczał go, nie pozwalając mu skoncentrować się na własnych myślach.

216

Po trzydziestu latach służby Friel sądził, że widział już wszystko. Jako policjant, a później kapitan wydziału zabójstw badał tysiące morderstw. Był jednym z dowódców Grupy Roboczej ds. Przestępczości Zorganizowanej, wspólnego przedsięwzięcia filadelfijskiej policji i FBI. W latach osiemdziesiątych XX wieku zdołali niemal całkowicie wyplenić lokalną mafię. Friel mężnie przeciwstawił się okrutnemu bossowi Nicodemowi Scarfie, który uważał Friela za swoją nemezis. Osobiście prowadził śledztwo w sprawie zamachu bombowego na ojca chrzestnego filadelfijskiej mafii Philipa „Człowieka Kurczaka” Testę. Wybuch nastąpił 15 marca 1981 roku, kiedy Testa włożył klucz do zamka w drzwiach swojego domu przy Porter Street numer 2117 w południowej Filadelfii. W

czwartym  
pod względem liczby ludności mieście Stanów Zjednoczonych  
Friel ucho-  
dził za jednego z najlepszych funkcjonariuszy. Były komisarz  
policji i bur-  
mistrz Frank Rizzo powiedział kiedyś: „W departamencie  
filadelfijskiej  
policji nie pełnił nigdy służby oficer śledczy lepszy od Franka  
Friela”.  
Odkąd dwa lata wcześniej odszedł na emeryturę, pracował jako  
kon-  
sultant do spraw bezpieczeństwa w Bensalem w hrabstwie Bucks  
oraz  
doradzał FBI i pierwszej lidze bejsbolowej w sprawach  
przestępczości zor-  
ganizowanej. Jeździł po kraju i oceniał standardy lokalnych  
wydziałów  
policji dla Narodowej Komisji Akredytacyjnej. Wykładał  
kryminologię  
na uniwersytetach Temple, St. Joseph i LaSalle.  
Zjazd PoMC był nowym doświadczeniem. Stowarzyszenie liczyło  
sto  
tysięcy członków, miało filie w większości stanów i w najróżniejszy  
spo-  
sób pomagało poszkodowanym rodzinom. Sama konferencja  
wydawała się  
Frielowi surrealistycznym przedsięwzięciem. Na seminariach i w  
rozmo-  
wach kularowych, podczas posiłków i bankietów uczestnicy  
słuchali rad  
specjalistów i wymieniali się doświadczeniami, jak poradzić sobie  
z taką  
tragedią. Z niedbałymi, nieudolnymi lub skorumpowanymi  
policjantami  
i prokuratorami. Z pazerną prasą. Z systemem sądownictwa, który

szła-  
chetnie troszczy się o konstytucyjne prawa morderców, ale nie  
dba o pa-  
mięć zamordowanych dzieci ani los ich rodziców. Z  
odwracającymi się od  
nich przyjaciółmi, sąsiadami i parafianami. Z ukradkowymi  
spojrzenia-  
mi mówiącymi: „Coś takiego nie zdarza się porządnym  
dziewczynkom

217

i chłopcom". Z psychologami, którzy nie umieją wytłumaczyć  
sensu zła,  
a przez to nie potrafią ich naprawdę pocieszyć.  
Friel zrozumiał straszliwą prawdę, o której nikt nie mówił głośno.

Od

1960 roku, kiedy jako osiemnastolatek wstąpił do policji,  
zamordowanych  
zostało ponad pięćset tysięcy Amerykanów — to prawie  
dziesięciokrot-  
nie więcej niż liczba żołnierzy, którzy zginęli podczas wojny w  
Wietnamie,  
i niemal tyle, ile wynosiła liczba amerykańskich ofiar w wojnie  
secesyj-  
nej i w drugiej wojnie światowej. Była to najpoważniejsza batalia,  
jaką to-  
czyło społeczeństwo — niestety dysponowało niewystarczającymi  
siłami.

Wydziały policji w dużych miastach były sparaliżowane potokiem  
no-

wych śledztw. Funkcjonariusze nie mieli czasu, aby porządnie  
wykonywać

obowiązki, dlatego koncentrowali się na sprawach łatwych do  
rozwiąza-

nia i odpuszczali trudniejsze. Typowy wydział policji był zdaniem  
Friela



całkowicie niewydolną machiną biurokratyczną. Oficerowie śledczy poświęć czas spędzali przy biurkach, wypełniając niepotrzebne dokumenty.

.Upokarzające wojny o wpływy różnych jednostek" pochłaniały uwagę policjantów wszystkich szczebli i uniemożliwiały współpracę agentów działających na poziomie miejskim, stanowym i federalnym. W rezultacie „ulice są mniej bezpieczne niż powinny, a śledztwa — niekiedy dotyczące naprawdę poważnych przestępstw — które można byłoby zakończyć, nie są zakończone". Skutek? Trzydzieści procent morderstw popełnianych w Stanach Zjednoczonych pozostaje niewyjaśnionych. Inaczej mówiąc, za życia jednego pokolenia sto tysięcy Amerykanów popełniło morderstwo zupełnie bezkarnie.

Friel znał doskonale te statystyki, ale ich znaczenie pojął dopiero na konferencji, gdy zobaczył „Ścianę Morderstw". W głównym holu przygotowano prostą ekspozycję zawierającą fotografie i plakaty przedstawiające historie stu dwudziestu ofiar. Friel przebiegł oczami po twarzach zabitych: nie byli to handlarze narkotyków, członkowie gangów ani opisywane szerego w prasie ofiary Nocnego Łowcy z Los Angeles lub Zabójczego Clowna z Chicago. Dwudziestotrzyletni student medycyny z Chicago. Trzydzie-

stoczteroletni prawnik z Michigan. Dwie dziewczynki z Minnesoty, które poszły po szkole do sklepu i nie wróciły już do domu. Zwykli amerykańscy chłopcy i zwykłe dziewczyny — ofiary brutalnych morderstw.

218

Friel obserwował rodziców, którzy z pochylonymi głowami podchodzili pośpiesznie do Ściany Morderstw. Zostawiali przy niej liściki i kwiaty, jak to się normalnie robi przy pomnikach żołnierzy poległych na wojnie. Przygnębieni, niewidzialni dla społeczeństwa. Na korytarzach i seminariach powtarzali: „Nie pozwólcie, aby morderca mojego dziecka zabił kogoś jeszcze”. Friel zrozumiał wtedy, że nie podjęto próby oszacowania liczby ludzi, którzy ucierpieli wskutek morderstw popełnianych w Stanach Zjednoczonych, tych setek tysięcy rozpaczliwie poszukujących ukojenia, mimo że doskonale zdawali sobie sprawę, że go nigdy nie znajdą. Oni wszyscy nie mogli się doczekać, kiedy policja wreszcie zamknie śledztwo w sprawie morderstwa ich dziecka. Jakże nienawidzili określenia „zamknięcie śledztwa”, zauważył Friel. Wiedzieli, że ono nigdy nie nastąpi. „odeszła tylko jedna osoba — napisali na ścianie rodzice Jamesa Charlesa Kallagera — ale i tak świat stał się pusty”. Friel nie pamiętał nic z odczytu, który wygłosił tamtego wieczoru. W drodze powrotnej do Filadelfii uświadomił sobie, że dane mu

było  
zajrzeć pod powierzchnię zjawiska przestępczości, do tej  
czeluści, gdzie  
codzienne cierpienia ofiar osiągały nieludzki, niezrozumiały dla  
innych  
poziom.

— To rzeczywista tragedia, z którą zмага się nasz kraj — mówił  
do

Fleishera i pozostałych członków Towarzystwo Vidocqa podczas  
jedne-

go z lunchów. — Czy mając świadomość ogromu tych cierpień,  
można

pozostać bezczynnym? W Stanach żyje wiele osób, które  
potrzebują na-  
szej pomocy.

Wtedy zrozumieli, na czym ma polegać misja Towarzystwa  
Vidocqa.

Rozdział 27

Koniec pewnego romansu

Bender, pokryty gipsowym pyłem po całej nocy spędzonej w  
pracowni,

westchnął głęboko i podniósł słuchawkę. Jan jeszcze spała. Joan  
pomo-

gła mu dokończyć popiersie i teraz sprzątała. Na widok  
wstającego świ-

tu ogarnęło go radosne podniecenie — w takich chwilach miał  
poczucie,

jakby ubywała mu połowa z pięćdziesięciu dwóch lat. Chwilę  
później słu-

chawkę wypełniła seksualna energia i dominująca osobowość  
dwudziesto-

kilkuletniej Laury Shaughnessy.

Laura była wściekła, ponieważ nie rozstał się jeszcze z żoną.

Próbował

dać jej do zrozumienia, że to niemożliwe, a jednocześnie nie

doprowadzić do zerwania. Żądała, aby zostawił Jan oraz Joan i w końcu się ustakował. Próbowwała z niego zrobić monogamicznego mężczyznę. Bender zaczął zwracać się do niej per Sierżancie. Nie przestali się spotykać. Nadal uprawiali seks. „Szkoda byłoby zakończyć taką znajomość”, przekonywał. Jednocześnie wygłaszał opinie w rodzaju: „Nie jestem pewien, czy to wszystko ma sens”. Powoli się od niej oddalał. Jesień 1991 roku przyniosła renesans uczuć do Jan i Joan.

Laura wystawiała jego cierpliwość na ciężką próbę. „Była naprawdę urocza. Spędziliśmy razem wiele wspaniałych chwil, ale miałem poczucie, że ten związek mnie ogranicza, że odbiera mi wolność. Nie potrafiłem sobie z tym poradzić”, wyjaśnił Bender. Po krótkim zastanowieniu dodał: „Nie byłem gotowy, żeby zostawić dla niej Jan. Nie byłem gotowy, żeby zostać dla niej Joan. Te dwie kobiety odgrywają w moim życiu niezwykle

220

ważną rolę. Właśnie w takich chwilach próby człowiek uświadamia sobie, jak wiele znaczą w jego życiu pewni ludzie”.

„Im większa przyjemność, tym wyższą cenę trzeba później zapłacić”, stwierdził z żalem. Rachunek za dwuletni romans miał przyjść wkrótce.

Laura miała taki głos, jakby chwilę wcześniej płakała.

— Kenny jest załamany — mówiła. — Ciągłe opowiadał o tej swojej Rosjance, Zoi, a teraz dziewczyna zniknęła. Była jego narzeczoną, naprawdę ją kochał. Strasznie mi go żal. To wrażliwy facet i jest teraz w rozsypce.

— Nie tak szybko! — przerwał jej Bender. — Opowiedz mi dokładnie, co się stało.

Laura wyjaśniła, że chwilę wcześniej zadzwonił do niej jeden z jej najlepszych przyjaciół, jeszcze ze szkoły średniej w New Jersey, okulista

Kenny Andronico. Powiedział, że jego narzeczoną, Zoja Assur, zaginę-

ła. Dziewczyna mieszkała wcześniej u swojej siostry w New Jersey, a jakiś

czas temu przeprowadziła się do niego na Florydę.

Zoja nie dawała znaku życia od dwóch tygodni. Policjanci uspoko-  
jali Kenny'ego. Ludzie znikają i po jakimś czasie się odnajdują,  
mówili.

On jednak wiedział, że stało się coś niedobrego. Byli razem od pięciu lat,

Zoja dostała od niego piękny naszyjnik i planowali wziąć ślub.

Przerażo-

ny, że dziewczynę spotkało nieszczęście, Kenny zupełnie się rozkleił pod-

czas rozmowy z Laurą.

— Zoja zaginęła i Kenny prosi o twoją pomoc, Frank... Masz przecież

znajomości w Towarzystwie Vidocq'a, w Najbardziej poszukiwanych lu-

dziach Ameryki i nierozwiązanych sprawach kryminalnych.

Bender przypomniał sobie nagle, że miał okazję poznać

Kenny'ego

Andronico. Laura przedstawiła ich sobie poprzedniego lata na

dworcu  
kolejowym w New Jersey. Bender i Laura przyjechali właśnie  
pociągiem  
z Filadelfii — zamierzali spędzić romantyczny weekend w jej  
rodzinnej  
posiadłości. Na parkingu natknęli się na ociężałego wielkoluda z  
wąsami  
w sportowej marynarce. Laura z wielką wylewnością przedstawiła  
kochan-  
ka staremu przyjacielowi, ale Kenny wyraźnie nie podzielał jej  
entuzjazmu.  
„Ucisnął mi dłoń i coś tam wymamrotał pod nosem. Wyraźnie był  
o nią  
zazdrosny. Miałem wrażenie, że nie akceptuje naszego związku”.  
221

Bender westchnął. Chciał pomóc Laurze, ale dobrze pamiętał  
mroczny,  
zaborczy charakter Kenny'ego. Przyszła mu również do głowy  
niepokojąca  
myśl, że Laura próbuje wplątać go w kłopoty przyjaciela, aby  
przedłużyć  
ich związek. Nie potrafił się wszakże oprzeć błagalnemu tonowi  
jej głosu.  
Wzruszyła go jej troska o przyjaciela. Lubił Laurę i postanowił jej  
pomóc.  
Miał poczucie, że jest jej to winien.  
— Zrobię, co w mojej mocy — powiedział. — Powiedz  
Kenny'emu,  
żeby do mnie zadzwonił.  
Laura serdecznie mu podziękowała. Doktor Andronico nie  
marnował  
czasu i zadzwonił jeszcze tamtego wieczoru.  
W słuchawce odezwał się śmiały, stanowczy głos.  
— Czołem, Frank. Jak się masz, stary?  
Bender zamarł. „Ledwie się znaliśmy, a tu nagle zostałem jego

kum-

plem?" Natychmiast zapaliła mu się w głowie czerwona lampka.

— Frank, potrzebuję twojej pomocy — przeszedł do rzeczy Kenny.

W jego głosie pojawiła się błagalna nuta. — Moja narzeczona zniknęła.

Policja nie ma pojęcia, co się z nią stało, a ja odchodzę od zmysłów. Lau-

ra wspominała, że jesteś najlepszym na świecie artystą od rekonstrukcji

twarzy i pracujesz z najwybitniejszymi detektywami. Proszę, pomóż mi.

Bender zachował spokój.

— Zrobię, co w mojej mocy, Kenny. Znasz kogoś, komu mogłoby za-

leżeć na śmierci Zoi?

— Mieszkała kiedyś z siostrą, a w ich rodzinie dochodziło do poważ-

nych konfliktów.

Kenny wyjaśnił, że szwagier Zoi, sierżant w policji stanowej, kiedyś

z nią sypiał — pod własnym dachem uprawiał seks z siostrą żony.

Ken-

ny wyraził przypuszczenie, że policjant mógł być zamieszany w zniknię-

cie jego narzeczonej.

— Wiesz coś więcej na jego temat? — wypytywał Bender. — Został

przesłuchany? Zrobiono mu badanie wykrywaczem kłamstw?

Owszem, potwierdził Kenny, ale nie wykryto nic podejrzanego.

— Rozumiem. W takim razie proponuję następujący układ.

Sam pod-

dasz się badaniu wariografem, a jeśli wszystko będzie w

porządku, to ci

pomogę.

— No co ty! — wybuchnął Kenny. Podniósł głos niemal do krzyku. —

Jestem twoim dobrym znajomym!

— Nie jesteś moim dobrym znajomym, Kenny. Jesteś przyjacielem

Laury, ale ja cię praktycznie nie znam. Jeżeli chcesz, żebym ci pomógł,

musisz się poddać temu badaniu.

Andronico milczał.

— Współpracuję z dwoma najlepszymi specjalistami od wariografu na

świecie, Billem Fleisherem i Nateem Gordonem. Obaj mieszkają w Fila-

delfii. Obaj, podobnie jak ja, są członkami Towarzystwa Vidocqa, grupy

detektywów, która pro publico bono analizuje nierozwiązane sprawy kry-

minalne. Podyktował Kenny emu numer telefonu Fleishera.

— Zadzwoń do Billa i umów się na spotkanie. Za badanie wykrywa-

czem kłamstw będziesz musiał zapłacić jakieś czterysta, pięćset dolarów.

Chciałbym ponadto, abyś zadzwonił do mojego przyjaciela Richarda Wal-

tera, który zajmuje się tworzeniem profili psychologicznych przestępców.

Nie znam nikogo, kto mógłby ci powiedzieć więcej o tym, co mogło się

przydarzyć Zoi.

Podał Kenny emu także numer telefonu Waltera.

Andronico wymruczał, że do nich zadzwoni.

— Słuchaj, Kenny... przejdziesz pomyślnie badanie wykrywaczem



kłamstw?

— Myślę, że tak.

— Myślisz, że tak?! — wybuchnął Bender. — Na litość boską!

Jeśli

przejdiesz badanie wariografem, chętnie ci pomogę. W

przeciwnym razie,

a jeżeli mnie teraz beczelnie okłamałeś, dowiem się tego od

Billa, będę

cię ścigał, póki mi starczy tchu.

Wieczorem 28 listopada 1991 roku, w Święto Dziękczynienia,

Richard

Walter znajdował się w swoim domu. Wrócił właśnie z podróży

służbowej

do Hongkongu i Sydney. Lada chwila miał wyjść do przyjaciół na

świę-

teczny obiad. Kiedy zadzwonił telefon, stał w holu przed złożonym

wik-

toriańskim lustrem, wiążąc czerwony krawat.

223

Posłał w stronę urzędnika przeciągłe spojrzenie i pomyślał, że

jeżeli

brzęczenie nie ustanie, może się to dla aparatu skończyć

tragicznie. Nie-

zwykle czuły słuch Waltera pomagał mu w śledztwach — słyszał

szepty

podejrzanych, których nie wychwyciłoby zwykle ucho, a podczas

przesłu-

chań potrafił rozpoznać drobne oznaki strachu, na przykład

przyspieszony

oddech — niemniej jednak z wiekiem coraz więcej dźwięków

raniło jego

uszy. Nie znosił, gdy osoba, z którą rozmawiał przez telefon, coś

przeżu-

wała. Na odgłos mlaśnień towarzyszących żuciu gumy lub

rozchrupywa-

nych ciastek natychmiast się rozłączał.

Przypadłość ta była podobno efektem przeciążenia sensorycznego, ty-

powego dla osób chłonących jednocześnie ogromne dawki informacji.

Zdaniem jego lekarza starzejące się ucho traci niekiedy zdolność do igno-

rowania irytujących dźwięków.

Walter nie mógł się doczekać, kiedy zasiądzie przy stole z przyjaciół-

mi, aby uczcić mijający rok butelką chardonnay. Któż miał czelność mu

w tym przeszkodzić i poddawać torturom jego uszy? Podniósł słuchawkę.

— Tak? — krzyknął.

W pierwszej chwili miał wrażenie, że słyszy jakiegoś telemarketera.

Nie kojarzył przymilnego głosu i miał już odłożyć słuchawkę, gdy zdał

sobie sprawę, że rozmówca prosi go o pomoc. To wzbudziło w nim tylko

jeszcze silniejszy gniew, a zarazem podejrzliwość.

— Jaki doktor?

— Frank powiedział, że jeśli chcę rozwiązać sprawę zaginięcia narze-

czonej i oczyścić się z podejrzeń, powinienem zadzwonić do Richarda

Waltera — nie ustępował rozmówca. — Dowiedziałem się, że jest pan jed-

nym z najlepszych profilerów i może mi pan udzielić cennych wskazówek.

Dopiero po chwili Walter poskładał w myślach strzępki informacji: dzwonił doktor Kenneth Andronico, okulista z Florydy, którego dziewczew-

czyna Zoja Assur zaginęła w New Jersey. Policyjne śledztwo

utknęło  
w martwym punkcie, a doktor prosił o pomoc, ponieważ obawiał  
się, że  
doszło do przestępstwa. Jakiś czas wcześniej Bender  
poinformował Wal-  
tera, że może do niego zadzwonić „dobry przyjaciel jednej z jego  
dziew-  
czyn”. Wyjaśnił, że Kenny to zdezorientowany, zrozpaczony facet,  
który  
potrzebuje kilku rad.

224

Frank!

— Czy może mi pan poświęcić chwilę? — błagał Andronico.

Walter skrzywił się z niechęcią. Od pierwszej chwili z jakiegoś powo-

du czuł niechęć do oślizgłego, manipulatorskiego głosu. Zerknął  
na zega-

rek: za pięć siódma. Spóźni się na kolację w dniu Święta  
Dziękczynienia.

— No dobrze, słucham — powiedział.

Walter słuchał opowieści Andronica — o zaginięciu Zoi, podejrze-  
niach wobec szwagra oraz o nieudolności policji — z coraz  
bardziej po-

chmurną miną. Okulista wcale nie sprawiał wrażenia

zdezorientowanego

i zrozpaczonego chłopaka. Wcześniej prosił już o pomoc byłego  
agenta

FBI z Florydy, teraz skontaktował się z Benderem i Walterem,  
chcąc wcią-

gnąć w sprawę Towarzystwo Vidocq'a. „To nie ma sensu”, myślał  
Walter.

„Tkwi w tym po uszy i wyjeżdża z jakimiś niestworzonymi  
teoriami”.

Po kilku minutach przerwał monolog okulisty. Podobnie jak  
Bender,

oświadczył, że powinien poddać się badaniu wykrywaczem kłamstw u Richarda Fleishera, przewodniczącego Towarzystwa Vidocq'a.

— Młody człowieku, przedstawiłeś mi najróżniejsze podejrzenia i najwyraźniej nie możesz usiedzieć spokojnie na miejscu, ale — prawdę powiedziawszy — jako osoba niewiarygodna sam jesteś głównym podejrzanym.

Nie zamierzam zajmować się tą sprawą, dopóki nie poddasz się badaniu — oświadczył Walter i odłożył słuchawkę.

W drodze na przyjęcie nie potrafił rozstrzygnąć, kto się bardziej w tej sprawie pogubił: okulista, którego Walter podejrzewał o zamordowanie narzeczonej, czy też jego rozwiązyły współpracownik Bender, który najwyraźniej twórczo rozwijał ideę błędnego rycerza.

„Mówi się, że niektórzy ludzie mają prezydenturę na wyciągnięcie ręki. Wystarczy zaangażować Franka, a człowiek znajdzie się na wyciągnięcie penisa od morderstwa”, pomyślał.

## Rozdział 28

Złap mnie, jeśli potrafisz

Doktor Kenneth Andronico, postawny, wąsaty okulista, siedział w pokoju bez okien i trząsł się jak galareta. Był w lepszym położeniu niż jego narzeczonea Zoja Assur, którą znaleziono w płytkim grobie w lesie Pine Barrens w stanie New Jersey — ale stanowczo nie miał się czego cieszyć.

Wyrazista, szeroka w dolnej części twarz doktora Andronica

nabra-  
ła żółtawego odcienia w jasnym świetle lamp. Kenny nie chciał spojrzeć  
w oczy przesłuchującym; jego źrenice krążyły nieustannie, jakby szuka-  
ły drogi ucieczki. Na to akurat nie mógł liczyć. Na ramionach zawiązano  
mu opaski, a do czubków palców przymocowano czujniki. Gumowe rurki  
pneumografu oplatały jego klatkę piersiową i brzuch. Z miejsca, w którym  
siedział, nie mógł zobaczyć drzwi. W ogóle niewiele widział poza przytła-  
czającym cieniem rzucanym przez mur dwóch cielsk wybitnych specjali-  
stów od wariografu, Fleishera i Gordona. Pochylali się nad nim, opierając  
na stole wielkie dłonie z równo obcięzonymi paznokciami, i spokojnie zada-  
wali kolejne pytania.  
Gordon zaczął od standardowej rozgrzewki.  
— Jak twoim zdaniem wypadniesz w badaniu wykrywaczem kłamstw?  
— Myślę, że poradzę sobie z tą maszynką — odparł Andronico.  
Gordon uśmiechnął się pod nosem. „Skąd wytrzasnęliśmy tego deli-  
kwenta? No to do dzieła”.

\*

226

Helikoptery, psy i ekipy poszukiwawcze od sierpnia przeczesywały każdy centymetr kwadratowy Pine Barrens. Cztery miesiące później, w grudniu 1991 roku, pewien myśliwy na-  
tknął się na zwłoki Zoi Assur w płytkim grobie wykopanym w

sosnowym  
lesie, jednym z zachowanych fragmentów pierwotnej puszczy  
Wschodnie-  
go Wybrzeża. Za sprawą zwierząt i wilgoci nadbrzeżnego piasku,  
w któ-  
rym została pogrzebana, z ciała dziewczyny został w zasadzie  
sam szkielet,  
niemniej szczątki wystarczyły lekarzowi sądowemu z hrabstwa  
Ocean do  
ustalenia przyczyny śmierci. Zoja została trzykrotnie postrzelona  
w klat-  
kę piersiową. Jedna z kul przeszła serce.  
James Churchill, główny oficer śledczy prokuratury hrabstwa  
Ocean,  
zawyrokował, że Assur cierpiała na depresję i popełniła  
samobójstwo nie-  
opodal miejsca, gdzie jej siostra zginęła po upadku z konia  
siedem lat wcze-  
śniej. Fleisher i Gordon ocenili dochodzenie przeprowadzone  
przez policję  
jako śmiechu warte.  
Wsiedli do samochodu z Joe O'Kane'em i Frankiem Benderem i  
jako  
czteroosobowa reprezentacja Towarzystwa Vidocqa przejechali  
sto dwa-  
dzieścia kilometrów w kierunku zalesionych okolic rzeki Toms w  
stanie  
New Jersey, aby na własne oczy obejrzeć miejsce, w którym  
znaleziono cia-  
ło. Mieli nadzieję, że były agent Urzędu Celnego, agent FBI,  
mistrz ob-  
sługi wariografu oraz słynący z intuicji artysta dostrzegą jakąś  
wskazówkę,  
która uszła uwagi policji.  
„To niewyobrażalne, co udało nam się znaleźć”, wspominał

Bender.

Mimo że grób został przeszukany wcześniej przez policję, odkryli w nim

fragmenty ubrań Zoi, a nawet kawałek jej paznokcia. Fleishera jeszcze

bardziej zaskoczył fakt, że ciało leżało w odległości półtora kilometra od

drogi. Osobliwy był również typ broni, z której dziewczyna rzekomo się

zastrzeliła, oraz jej lokalizacja względem ciała. Był to ciężki niemiecki

HK P7, ośmiostrzałowy pistolet samopowtarzalny. Znalezione go osiem

metrów od ciała. W torebce.

— No to wszystko jasne — stwierdził ironicznie Fleisher. — Ta drob-

na dziewczyna, słabowite chucherko, przedziera się przez półtora kilo-

metra gęstych zarośli. Ma przy sobie pistolet, z którego nie potrafiłaby

wystrzelić. Aby wdusić spust P7, potrzebny jest nacisk co najmniej pięciu

227

i pół kilograma, a ona musiałaby dodatkowo odwrócić broń do siebie.

W żadnym wypadku nie zdołałaby nacisnąć spustu pod tak niewygod-

nym kątem.

Aby zweryfikować swoje przekonanie, Fleisher poprosił później Jan

Bender (która budową ciała przypominała Zoję), aby spróbowała strzelić

sobie w pierś z identycznego pistoletu — oczywiście po uprzed-

niu magazynka. Jan, ubrana na wszelki wypadek w kamizelkę

kuloodpor-  
ną, nieudolnie wycelowała P7 w swoją klatkę piersiową i  
trzymając pistolet  
obiema rękami, przez kilka minut usiłowała nacisnąć spust. Bez  
skutku.

Dopiero gdy wycelowała pistolet w ramię, próba się powiodła.  
Ze wzrokiem utkwionym w miękkim piasku Pine Barrens Fleisher  
kontynuował wywód.

— Mamy zatem uwierzyć, że Zoja strzeliła sobie w klatkę  
piersiową,  
znalazła siłę, by uczynić to jeszcze dwukrotnie, trafiając tym  
razem w ser-  
ce, następnie włożyła pistolet do torebki i odniosła ją na odległość  
niemal  
dziewięciu metrów.

— Jeżeli to było samobójstwo — podsumował z uśmiechem —  
to Gor-  
don jest Elvisem Presleyem.

W drodze powrotnej do Filadelfii Fleisher zrobił przystanek u  
wróżki,  
która rzekomo posiadała jakieś informacje na temat tej sprawy.

Kiedy byli  
już w jej kuchni, kobieta zamknęła oczy i wyszeptała, że duch Zoi  
Assur  
znajduje się między nimi, ale ze strachu nie chce nic powiedzieć.

— Nie ma powodów do obaw, Zoja, możesz nam zaufać —  
oświad-

czył łagodnie Fleisher. Wyciągnął dłoń i wykonał w powietrzu  
gest, jak-

by uspokajająco głaskał ducha po ramieniu lub po głowie.

Ale tego wieczoru zaświaty nie były skłonne do współpracy.

Wrócili do samochodu i ruszyli przez skąpane w księżycowej  
poświa-

cie równiny stanu New Jersey. Bender miał poczucie, że jeszcze  
nigdy nie



bawił się tak dobrze w gronie kolegów z Towarzystwa Vidocq'a. Dobrze im się pracowało w czwórce. W pewnej chwili O'Kane wybuchnął śmiechem.

— Zdajesz sobie sprawę, Bill, że wspomnienie wieczoru, kiedy popieściłeś ducha, zostanie z tobą na zawsze?

O'Kane najwyraźniej również nie potrafił wyrzucić tego obrazu z pamięci i co chwila powtarzał: „Popieściłeś ducha!”.

228

Chwilę później z czerwonego jak burak Fleishera zrywała boki cała trójka. W końcu śmiechem parsknął on sam.

— A może Bill ją wystraszył?

Kiedy Fleisher i Gordon szykowali się do poddania Kennetha badaniu wariografem, Bender wyprowadził z pomieszczenia Laurę.

Dziewczyna była

zrozpaczona. „Nie powinnam była cię w to wciągać!”, krzyczała wcześniej

w samochodzie. Bender i jego znajomi z Towarzystwa Vidocq'a próbowali

udowodnić, że mordercą jest jej dobry przyjaciel. Nie potrafiła uwierzyć,

że Kenny byłby zdolny do zabicia narzeczonej.

Widząc, że Fleisher i Gordon panują nad sytuacją, Bender uśmiech-

nął się szeroko.

— Idziemy z Laurą coś przekąsić — oświadczył.

„Tak to już jest z Frankiem. Próbujemy rozwikłać tajemnicę morder-

stwa, a on robi sobie przerwę na schadzke”, zaśmiał się Fleisher.

Fleisher i Gordon przystępowali właśnie do przesłuchania człowieka

podejrzewanego przez nich o popełnienie morderstwa, który wpadł w ich ręce tylko dzięki romansowi Bendera. Fleisher wpatrywał się w nierucho-  
me spojrzenie doktora Andronica. „Kiedy ten człowiek patrzy w lustro, wi-  
dzi mordercę swojej dziewczyny”, pomyślał Fleisher. Andronico sprawiał wrażenie zaskakująco pewnego siebie, kiedy pod-  
łączali go do wykrywacza kłamstw. Oświadczył, że przyleciał do Filadel-  
fii specjalnie, by poddać się testowi i wykluczyć się z grona podejrzanych.  
Być może wtedy Towarzystwo Vidocqa pomoże mu znaleźć mordercę na-  
rzeczonej.  
„Zgodził się poddać testowi, ponieważ uważa się za dostatecznie prze-  
biegłego, by oszukać zarówno was, jak i maszynę”, ostrzegał wcześniej  
Fleishera Walter. Po obejrzeniu miejsca zbrodni dokończył profil psycho-  
logiczny Andronica. Użycie broni palnej i porzucenie ciała Assur, jakby  
była odpadkiem, potwierdzało jego przypuszczenia, że ma do czynienia  
z mordercą spragnionym władzy, charakteryzującym się psychopatycz-  
nym poziomem arogancji.  
Andronico również nie wierzył w samobójstwo narzeczonej. Podejrze-  
wał szwagra Zoi, sierżanta policji stanowej, który miał z nią kiedyś romans.

229

Znaleziony na miejscu zbrodni P7 był jego służbową bronią. Mimo

to po-  
licja wykluczyła sierżanta z grona podejrzanych, podobnie  
Towarzystwo  
Vidocq'a było przekonane o jego niewinności.  
Walter drwił z podejrzeń rzucanych przez okulistę.  
— Łatwo wykazać, że sam miał motyw. Odkrywa, że jego  
dziewczy-  
na sypia z żonatym mężczyzną. Wpada w szal, zwłaszcza że  
chodzi o jej  
szwagra, a schadzki odbywają się w domu jej siostry. Okulista  
obsesyjnie  
pragnie kontrolować relacje z innymi. Nie potrafi sobie wyobrazić,  
że to  
jego ktoś może rzucić. Kto go w ten sposób znieważy, musi  
zostać usunięty.  
Policja stanowa wykreśliła Andronica z listy podejrzanych. W  
świe-  
tle prawa był niewinny. „W jakim celu zatem się do nas zgłosił?  
Dlaczego  
miałby lecieć dwa i pół tysiąca kilometrów i płacić za badanie  
wykrywa-  
czem kłamstw? Aby dowieść swojej niewinności kilku prywatnym  
de-  
tektywom, którzy mogą w rezultacie dojść do całkowicie  
przeciwego  
wniosku?“, pytał Walter. „Uważa się za spryciarza, oto dlaczego.  
Wypro-  
wadzenie zawodowców w pole sprawi mu przyjemność. Pragnie  
ekscytacji  
i poczucia sprawowania kontroli, jakich doświadczył w chwili  
morderstwa.  
Prowadzi z nami niebezpieczną grę z gatunku: złap mnie, jeśli  
potrafisz”.  
Andronico zgodził się na sfilmowanie badania i zaprezentowanie  
na-

grania Towarzystwu Vidocqa oraz w programie Dana RATHERA 48 godzin.

Ekipa stacji CBS miała dodatkowo zarejestrować przebieg najbliższego spotkania Towarzystwa, na którym planowano omówienie sprawy samo-

bójstwa lub śmierci Assur oraz ewentualnego udziału okulisty.

Walter był przekonany, że Kenny zabił swoją narzeczoną, podrzucił na

miejsce zbrodni broń jej szwagra — aby w ten sposób pozbyć się również

jego — i zwiódł policję, czyli zainscenizował morderstwo, wrobił sierżanta,

zatarł ślady, a teraz jednym makiawelicznym posunięciem próbował wy-

prowadzić w pole Towarzystwo Vidocqa i serwis informacyjny stacji CBS.

Po kilku minutach od rozpoczęcia badania Andronico przestał panować

nad emocjami. Wskazówki wariografu oszalały; Kenny poczerwieniał na

twarzy, zaczął szybciej oddychać, nerwowo się rozglądał, dygotał.

Po wiel-

kiej, napęczniałej niczym bakłażan twarzy zaczęły spływać strużki potu,

jakby znajdował się w saunie.

230

Fleisher i Gordon nie mieli w swojej karierze do czynienia z wieloma

równie dobrymi oszustami. Doktor Andronico doskonale pamiętał, co ro-

bił o każdej godzinie dowolnego dnia. „Kiedy jednak zapytaliśmy, gdzie

znajdował się w dniu, kiedy zniknęła jego narzeczoną, niespodziewanie

zrobił się nerwowy i nie potrafił udzielić precyzyjnej odpowiedzi", opowiadał Gordon.

— Kiedy ostatni raz rozmawiałeś z Zoją?

— Na dzień przed jej śmiercią, w niedzielę wieczorem, 10 sierpnia — odparł doktor Andronico.

Rozmawiali przez telefon. „Obiecał, że przyjedzie po nią w poniedziałek rano”, powiedział „Atlantic City Press” ojciec Andronica. Teraz Kenny

utrzymywał, że nie pojechał do New Jersey, i obstawał przy swoim alibi.

W niedzielę, kiedy Zoja zniknęła, miał przebywać na Florydzie w nadmorskim

domku letniskowym swojego ojca, ponad tysiąc pięćset kilometrów

od New Jersey. Ojciec potwierdził jego wersję wydarzeń.

Fleishera to nie przekonało. Przed rozpoczęciem badania sprawdził

połączenia lotnicze między Florydą a Filadelfią oraz odległość dzielącą

filadelfijskie lotnisko od wybrzeża New Jersey i doszedł do wniosku, że

doktor Andronico mógł spokojnie w ciągu jednego dnia popełnić morderstwo i wrócić na Florydę.

„To nie dowód, że ją zamordował, ale przynajmniej wiemy, że miał taką możliwość”, powiedział. Fleisher

przycisnął zatem doktora w sprawie alibi. Wykresy wariografu wskazywały, że Andronico

kłamał. „Dlaczego niewinny człowiek miałby kłamać na temat swojego alibi?”, pytał retorycznie Fleisher.

Fleisher i Gordon przeprowadzili tamtego popołudnia trzy badania wykrywaczem kłamstw. W każdym z nich Andronico uzyskał jedno-  
znacznie negatywny wynik. Jego odpowiedzi dotyczące morderstwa i alibi składały się głównie z kłamstw. Dodatkowo przebadany został także ojciec doktora — on również kłamał w sprawie alibi syna. „Było to klasyczne oszustwo. Żałuję, że za każdym razem nie mam do czynienia z tak czytelnymi wykresami”, opowiadał później Fleisher. Wytracony z równowagi Andronico stwierdził nawet w pewnej chwili: „muszę popracować nad swoją wersją wydarzeń”.

231

Nie przyznał się jednak do morderstwa. Walter uważał, że pokrętny umysł psychopaty musiał odczuwać ekscytację. Wygrywał. Wyemitowany 17 maja 1992 roku odcinek prowadzonego przez Dana Raftera programu 48 godzin nosił tytuł Morderstwo na lunch i poświęcony był Towarzystwu Vidocq. Korespondent stacji CBS Richard Schlesinger, opisawszy okoliczności śmierci dwudziestosiedmioletniej Zoi Assur, narzeczonej okulisty, postawił pytania: „Czy było to samobójstwo? A może morderstwo?”. „Spotkanie odbywa się w sali urządzonej w stylu kolonialnym, ale jego tematem jest zbrodnia”, mówił. „Dziś osiemdziesięciu dwóch członków Towarzystwa spróbuje przed podaniem deseru rozwikłać tajemnicę

pewnego morderstwa".

Już przy przystawce zebrani na sali detektywi stwierdzili zgodnie, że śmierć Zoi była „bez wątpienia morderstwem”, niemniej kilka osób

oświadczyło, że nie potrafią na razie wskazać ani podejrzanego, ani moty-

wu. Walter, Bender i Fleisher przedstawili swoją hipotezę, która głównym

podejrzany czyniła doktora Andronica. Opisali między innymi wyniki

badania wykrywaczem kłamstw. Sam Andronico nie przyjął zaproszenia

na spotkanie Towarzystwa.

Schlesinger nie potrafił zrozumieć, co w tym takiego dziwnego.

— Dlaczego człowiek, który zamordował narzeczoną, miałby przybyć

na spotkanie z osiemdziesięcioma dwoma ekspertami od kryminalistyki

i poprosić ich o zajęcie się sprawą, skoro policja już wcześniej uznała, że

dziewczyna popełniła samobójstwo? Dlaczego ktokolwiek miałby zrobić

coś tak szalonego?

Fleisher wzruszył ramionami.

— Byłoby to typowe zachowanie psychopatycznego mordercy.

Udział

w śledztwie pozwala mu podtrzymać poczucie kontroli nad wydarzeniami.

W trakcie deseru Dan Rather zapytał z offu: „Czy ten człowiek zamor-

dował swoją narzeczoną? Skonfrontujemy go teraz z wnioskami, do któ-

rych doszli renomowani detektywi, i damy mu szansę na obronę”.

Ekipa 48 godzin poleciała na Florydę. Schlesinger przeprowadził

wy-

wiad z doktorem w jego gabinecie. Ubrany w niebieską marynarkę i żółty

232

krawat Andronico oświadczył, że nikt lepiej od niego nie znał Zoi i

„nie

kochał jej tak bardzo". Śmierć narzeczonej była dla niego

niewyobraża-

łą stratą.

Schlesinger zapytał, co sądzi o tym, że detektywi z Towarzystwa Vi-

docqa uznali go za psychopatycznego mordercę. Andronico

spokojnie po-

wtórzył swoje alibi i stwierdził: „Nie muszę się niczego obawiać”.

— Zabił ją pan? — naciskał Schlesinger.

— Nie, nie zabiłem — odparł z całkowitym spokojem

Andronico.

W lutym Fleisher wysłał dziewięćdziesięciostronicowy list do

proku-

ratora hrabstwa Ocean, w którym zawarł wszystkie wnioski ze

śledztwa

przeprowadzonego przez Towarzystwo Vidocqa. Zachęcał

odbiorcę do po-

nownego przeanalizowania okoliczności śmierci Assur.

„Uważamy, że dotychczasowa rekonstrukcja okoliczności zgonu

zawie-

ra tyle niekonsekwencji, że każdy logicznie myślący człowiek

powinien

wstrzymać się z uznaniem śmierci za samobójczą i ponownie

przeana-

lizować sprawę”, napisał Fleisher w biuletynie „Vidocq Society

Journal”.

Prokurator nie odpowiedział.

Zdaniem Fleishera do stycznia 1993 roku — mijał wtedy niemal

rok



od wysłania przez niego listu — żaden policjant, prokurator ani lekarz sądowy nie wykazał chęci obejrzenia wyników badania wariografem przeprowadzonego przez członków Towarzystwa Vidocq'a. Nie zbadano również sprzeczności w zeznaniach świadków, którzy potwierdzali alibi doktora, nie obejrzano zarejestrowanych na filmie wypowiedzi Andronica i jego ojca. „Nikt nie zadał sobie nawet trudu, żeby zapoznać się z naszą opinią”. Sprawa morderstwa w New Jersey została zamknięta. Według oficjalnej wersji Assur popełniła samobójstwo. Andronico nigdy nie znalazł się w gronie podejrzanych. „Nasza rola się skończyła”, powiedział Fleisher. „Jest wiele prawdy w stwierdzeniu, że nie można nikogo uszczęśliwić na siłę”, dodał.

## Rozdział 29

Sprawa bosonogiej dziewczyny

Karczma istniała w Filadelfii z przerwami przez dwa stulecia — od czasu gdy miasto wypełniał stukot ciągniętych po bruku dwukołowych powozów. Nad wejściem do ceglanego budynku wisiał skrzypiący na wietrze szyld przedstawiający bochenki chleba i sztukę mięsa.

Osiemnastowieczna budowla górowała niegdyś nad największym portem Nowego Świata. John Adams nazwał ją „najwytworniejszą gospodą w Ameryce Północnej”. George Washington, Thomas Jefferson, Benjamin Franklin,

James Madison i John Adams stołowali się tam podczas pracy nad Deklaracją Niepodległości i Konstytucją Stanów Zjednoczonych. Obecnie budynek mieścił elegancką, neokolonialną restaurację oraz bar, które wyglądały, jakby czas się w nich zatrzymał. Rzeka turystów przepływała obok nich, zmierzając w stronę Independence Hall, jakby karczma przy Second Street i Walnut Street była zupełnie niewidzialna. Dwa wieki temu podczas hucznych obchodów z okazji uzyskania niepodległości na oknach gospody namalowano naturalnej wielkości portrety Lafayette'a i generała Washingtona, które podświetlono świecami. Rankiem 30 kwietnia 1992 roku w oknach ukazały się znacznie bardziej porażające obrazy. Na ekranie stojącym w północnej części sali wyświetlono fotografię zwłok ślicznej, drobnej blondynki. Dwudziestoletnia Deborah Lynn Wilson leżała na plecach u podnóża schodów w jednym z budynków kampusu filadelfijskiego Uniwersytetu Drexela. Studentka ostatniego roku matematyki, była modelka, została brutalnie pobita i uduszona.

234

Minęło siedem lat, a nikomu nie postawiono zarzutów. Detektywi przybyli z Londynu, Paryża, Nowego Jorku i Wirginii mieli przeanalizować wspólnie dziewięć spraw, której nadano nazwę „Śmierć

Debo-  
rah Wilson".

Na podium wszedł sierżant filadelfijskiej policji Robert Snyder, oficer śledczy wydziału zabójstw, czterdziestokilkuletni mężczyzna o złotych włosach i intensywnie niebieskich oczach. Ten cieszący się wielkim poważaniem policjant uczestniczył w śledztwie przez większą część z owych siedmiu lat. Snyder zawsze prowadził głośne sprawy, ale zagadki morderstwa Deborah Wilson nie potrafił rozwikłać.

„Człowiekowi zawsze jest przykro, kiedy poniesie porażkę. Zwłaszcza jeśli ofiarą był ktoś bardzo młody, niewinny lub w podeszłym wieku. Tu ofiara należy do tej drugiej kategorii”, powiedział zgromadzonym.

Walter odstawił filiżankę z kawą, podniósł wzrok i zaczął uważnie słuchać. Natychmiast pojął, dlaczego przez siedem lat nie dokonano żadnych aresztowań i dlaczego policja oraz prywatni detektywi nie poradzili sobie ze sprawą. Miejsce zbrodni nie kryło żadnych standardowych wskazówek, które wyszkolony policjant powinien natychmiast zauważyć — na pierwszy rzut oka nic nie wskazywało na motyw finansowy albo seksualny. Brakowało śladów rabunku: ciało Deborah okrywał szary, pikowany w dolnej części płaszcz, który narzuciła na siebie tamtego chłodnego dnia, 30 listo-

pada 1984 roku, tydzień po Święcie Dziękczynienia; zimowych rękawiczek nie zdążyła wyjąć z kieszeni; na ręce miała zegarek. Nie było również widocznych oznak napaści o charakterze seksualnym. Deborah Wilson zmarła w ubraniu — dżinsach i niebieskiej dzianinowej bluzce z długimi rękawami. Brakowało tylko jednej części garderoby — białych tenisówek marki Reebok i skarpetek. Ofiara miała bose stopy. Śmierci Deborah Wilson nie dało się wyjaśnić w prosty sposób. Policja mogłaby poczynić postępy w śledztwie pod warunkiem odejścia od rutynowych procedur i uznania faktu, że zbrodnia wykraczała poza ogólnie przyjęte zasady logiki i tradycyjne standardy moralności (a właściwie amoralności). Nie było to zwykłe morderstwo, lecz makabryczne świadectwo całkowitej degeneracji. Było to morderstwo czasów New Age; morderstwo 235 "pokolenia ja". Nie miało nic wspólnego z zabójstwami typowymi dla czasów sprzed lat sześćdziesiątych XX wieku, które policjanci wspominają dziś niemal z nostalgią: zazdrosny mąż strzela do niewiernej żony; biznesmen ukatrupia współnika, żeby przejąć jego udziały w firmie. Motywację takich morderców można było nawet przy odrobinie dobrej woli zrozumieć.

mieć. Policjanci zawsze potrafili wytypować sprawcę: partnera, współnika, małżonka lub inną osobę dobrze znaną ofierze. Morderstwa nowego typu — jak to popełnione bez żadnego powodu na sympatycznej, ładnej dziewczynie — były ucieleśnieniem szaleństwa. Niemniej akurat w tym przypadku jakichkolwiek przejawów szaleństwa trudno się było dopatrzeć. Przeciwnie — emanowały z niego opanowanie, metodyczność, bezduszność, staranność planowania. Dopuścił się go Amerykanin, przedstawiciel klasy średniej, mający stałą pracę, własny dom i samochód, sporo wolnego czasu i gigantyczną bibliotekę dostarczanych przez media materiałów instruktażowych. Takimi zasobami, pozwalającymi na realizację najskrytszych pragnień, dysponowali dawniej jedynie arystokraci pokroju markiza de Sadea. Deborah zamordował jeden z wielu „zwyčajnych” potworów grasujących po Ameryce pod koniec XX wieku. De Tocqueville ostrzegał przed postępującym ogłupieniem ogarniającym Stany Zjednoczone, ale na pewno nie miał na myśli czegoś takiego. Nastąpiło umasowienie elitarnych niegdyś form zła. Nie odrywając wzroku od ekranu, Walter pomyślał: „Młody człowieku, wiem, co ci chodzi po głowie. Byłeś naprawdę niegrzeczny. Nie ukry-

jesz się przede mną".

Kiedy Snyder począł referować sprawę, Walter wyczuł, jak przez lu-

dzi zgromadzonych w osiemnastowiecznej sali przebiega dreszcz ekscy-

tacji. Słuchali z niespotykaną wcześniej powagą i skupieniem.

Fleisher

wiedział, że ich działalności przyglądają się oczy całego świata.

Kolejny

wybitny dziennikarz, Lewis Beale, redaktor wynajęty przez „Los Angeles

Times", siedział przy stole Fleishera i cały czas notował. Jakby brakowa-

ło im powodów do podenerwowania! Beale specjalizował się w tematyce

policyjnej. Przeprowadził wywiady z policjantami z Los Angeles, którzy

doradzali reżyserowi Barry emu Levinsonowi przy jego serialu Wydział

236

zabójstw Baltimore i Sidneyowi Lumetowi przy filmie Serpico. W jego oce-

nie Towarzystwo Vidocqa przypominało wystylizowaną na filmy noir z lat

pięćdziesiątych drużynę specjalistów od kryminologii i medycyny sądowej,

„którzy dzielą się doświadczeniem i łączą swoje siły intelektualne, aby roz-

wiązać sprawy, z którymi nikt nie potrafił sobie dotąd poradzić".

Medialny szum otaczający Towarzystwo Vidocqa wprawiał

Fleishe-

ra, Waltera i Bendera w najwyższe zdumienie. Współpracę zaproponował

im znany agent filmowy, który miał na koncie klasyk kina gangsterskie-

go Chłopcy z ferajny. Miesiąc wcześniej sobotnie wydanie „Philadelphia Inquirer” okrzyknęło klub mianem „pogromców nierozwiązywalnych spraw”. Tydzień później sobotni numer „Miami Herald” opublikował ten sam artykuł pod zmienionym tytułem „ich przestępstwa są prawdziwe”.

Na członkach Towarzystwa zaczęła niespodziewanie ciążyć presja — musieli wyjaśniać morderstwa, a nie tylko o nich dyskutować.

„New York Times” scharakteryzował kontemplacyjny styl funkcjonowania klubu w następujących słowach: „po lunchu rozmowa schodzi na morderstwo”.

Nowe możliwości były nęcące, ale Walter starał się studzić entuzjazm.

„Punkt pierwszy: nie założyliśmy stowarzyszenia dla poklasku.

Punkt dru-

gi: nie dokonaliśmy jeszcze nic, czym zasłużylibyśmy sobie na uznanie.

Punkt trzeci: dziennikarze przedstawiają nas jako bohaterów, aby pod-

nieść nakład gazet. Punkt czwarty: nie zdołaliby tego zrobić, gdyby nie

rzeczywiste zapotrzebowanie na bohaterskich detektywów. Nie powin-

niśmy zatem przywiązywać wagi na naszego wizerunku, ale do faktu, że

przestępczość wymknęła się spod kontroli. Ludzie nas potrzebują”.

Po publikacjach w prasie do skrzynki pocztowej Towarzystwa zaczęła napływać strumień korespondencji — listów, paczek, akt sądowych,

prósb, lamentów. Jakiś mieszkaniec Los Angeles chciał, żeby towarzystwo zbadało sprawę morderstwa jego ojca sprzed trzydziestu lat. Jeden z kongresmenów prosił o dyskretną pomoc w rozwiązaniu sprawy morderstwa swojego przyjaciela.

Wszyscy chcieli poświęcić czas na pomoc ofiarom przestępstw, zwłaszcza odkąd wysłuchali relacji Friela z konferencji Narodowego

237

Stowarzyszenia Rodziców Zamordowanych Dzieci. Fleisher chlubił się w „New York Timesie”, że filadelfijskie „kolegium detektywów” nie ma odpowiednika na całym świecie. Teraz mieli okazję, by tego dowieść.

Po powrocie z konferencji w Teksasie Friel postanowił pójść za ciosem. To właśnie on namówił sierżanta Snydera do zaprezentowania sprawy morderstwa Deborah Wilson. Liczył, że „świeże spojrzenie” członków

Towarzystwa pozwoli na posunięcie śledztwa naprzód. Friel pracował ze

Snyderem w wydziale zabójstw w 1984 roku, kiedy zginęła Deborah Wil-

son, i chociaż bezpośrednio nie zajmował się tą sprawą, wielokrotnie o niej

dyskutowali. Morderstwo studentki wciąż nie dawało mu spokoju. Friel wiedział, co musi czuć Snyder, zwłaszcza jako policjant zbliżają-

cy się do wieku emerytalnego. „Bob to prawdziwa legenda wydziału za-

bójstw, najwyższej klasy oficer śledczy”, opowiadał. „Ale każdy z



nas ma

jakaś sprawę, która nie daje mu spokoju".

Walter z uznaniem przyglądał się wstępującemu na podium Snyderowi.

Było coś przełomowego w tym, że jeden z najlepszych oficerów śledczych

w mieście zwrócił się do nich o pomoc. Kiedy w wojnie między rodzina-

mi mafijnymi zginął gangster Frankie Flowers, do wytropienia mordercy

wydział policji wyznaczył właśnie tego człowieka.

Walter współczuł zapracowanym policjantom oraz — oczywiście —

ofierze. Wiedział, że gliniarzy przepełnia niemy żal i wściekłość, że zadrę-

cza ich pozostające wciąż bez odpowiedzi pytanie: „Dlaczego?”

Nie istniał

żaden racjonalny powód, dla którego ktoś miałby zabić Deborah.

Nikt nie

potrafił doprowadzić śledztwa do końca. „Czas, aby dowiedzieli się wresz-

cie, co za skurwiel za tym stoi. Przynajmniej tyle mogę zrobić”, pomyślał.

Snyder opowiadał o miejscu zbrodni, a Walter popijał czarną kawę

i słuchał.

Późnym wieczorem 29 listopada 1984 roku Deborah siedziała w pra-

cowni komputerowej w Randell Hall, najbardziej charakterystycznym

budynku kampusu. Wzniesiony w 1901 roku, był gigantycznym labiryn-

tem sal wykładowych i pomieszczeń biurowych, w którym mało kto po-

trafił odnaleźć drogę.

O godzinie jedenastej w nocy Deborah zadzwoniła do rodziców, którzy mieszkali w New Jersey po drugiej stronie rzeki. Powiedziała, że musi  
238  
zostać w pracowni dłużej, aby skończyć zadanie, które miała przygotować na następnego dnia rano. Deborah miała talent do matematyki, głównie-  
go przedmiotu jej studiów; gorzej radziła sobie z innymi kursami, między innymi z informatyką. Jako obowiązkowa studentka wkładała wiele wysiłku, aby uzupełnić ewentualne braki. Choć podobała się kolegom, nie miała chłopaka. Nie paliła papierosów ani nie piła alkoholu. W szkole średniej była modelką i grała na klarnecie, ale na studiach skoncentrowała się wyłącznie na nauce. Mieszkała w domu z rodzicami i dojeżdżała na zajęcia. Snuła plany na przyszłość. „Chciała zostać inżynierem. Była gotowa poświęcić wiele, żeby to osiągnąć”, opowiadała jej siostra Suzanne Leis. Na zachętę powiesiła sobie w pokoju zdjęcie nowiutkiego mercedesa sedana. Rodzice często wyrażali zaniepokojenie, że ich bezpośrednia, ufna, nieco naiwna córka przesiaduje do późna w niebezpiecznej dzielnicy zachodniej Filadelfii. Deborah zapewniała, że budynek wydziału politechnicznego jest dobrze chroniony, a kiedy wychodzi z niego w nocy,

zawsze  
prosi strażnika, aby odprowadził ją do samochodu.  
Dwie i pół godziny później, o pierwszej trzydzieści w nocy,  
Deborah  
raz jeszcze zadzwoniła do domu i poinformowała rodziców, że  
ukończe-  
nie zadania zajmie jej dodatkową godzinę. Mieli się nie martwić,  
ponie-  
waż w pracowni towarzyszył jej były chłopak, Kurt Rahner.  
Obiecał, że  
zaczeka i odprowadzi ją na parking.  
W rzeczywistości stało się inaczej — Rahner opuścił pracownię  
nie-  
długo potem. Wychodząc, poprosił głównego strażnika kampusu  
o za-  
pewnienie Deborah ochrony w drodze do samochodu. Strażnik  
przekazał  
tę prośbę swojemu koledze, Davidowi Dicksonowi, który  
patrolował te-  
ren kampusu od północy do ósmej rano. Pracownia komputerowa  
znaj-  
dowała się na jego terenie.  
Kilka minut po pierwszej trzydzieści Deborah została sama —  
wła-  
śnie wtedy morderca zaatakował. Dane z komputera wskazują, że  
o pierw-  
szej trzydzieści osiem wykonała ostatnią operację. Wyglądało,  
„jakby ktoś  
jej przerwał w połowie wykonywanej czynności”, twierdził główny  
in-  
formatyk uniwersytetu, John J. Gould junior. Snyder przedstawił  
praw-  
dopodobny przebieg zdarzeń: napastnik zaatakował Deborah,  
pobił ją,

zmuszając do uległości, a następnie udusił przedłużaczem. Kabel znaleziono obok komputera; rowki na jego powierzchni pasowały do śladów na szyi Deborah.

Kiedy do trzeciej w nocy Deborah nie wróciła do domu, jej rodzice doszli do wniosku, że postanowiła spędzić noc w pracowni komputerowej.

Tymczasem z ustaleń lekarza sądowego wynikało, że w tym czasie dziewczyna już nie żyła. Morderca przeciągnął ją przez korytarze wielkiego, pustego, pogrążonego w ciemnościach budynku, następnie przez drzwi

prowadzące na betonową klatkę schodową przylegającą do zewnętrznej

ściany. U podnóża zimnych, niemych schodów zmasakrował zwłoki, ude-

rzając w nie dwoma cegłami, metrowej długości deską i metalowym pa-

łąkiem. Wszystkie te przedmioty znaleziono, zakrwawione, obok ciała.

O dziewiątej rano dwóch studentów natknęło się na zwłoki na pod-

ście schodów, jedenaście stopni poniżej poziomu ulicy.

W trakcie prezentacji Fleisher rozdał słuchaczom dodatkowe zdjęcia

ciała Wilson, plamy krwi znalezionej w pracowni, komputera, z którego

korzystała w chwili śmierci, oraz typu tenisówek, które nosiła.

Białe ree-

boki. Białe skarpetki.

Fleisher stanął obok Snydera za podium i otworzył dyskusję.

— Co wiadomo na temat strażnika? — rozpoczął.

— Dickson od początku został uznany za podejrzanego —

powiedział

Snyder. Wiele wskazywało na jego winę. Podczas przesłuchań nie potra-

fił określić, gdzie dokładnie przebywał tamtej nocy. Przedstawił jednak

alibi: drugiemu strażnikowi powiedział, że rozmawiał w tym czasie przez

telefon z dziewczyną i zapomniał odprowadzić Wilson do samochodu.

Mamy częściowo negatywny wynik badania wykrywaczem kłamstw, ale

sądy nie pozwalają wykorzystywać wyników badania wariografem jako

materiału dowodowego.

— Nie było podstaw, żeby go aresztować — przyznał Snyder. Zebrani zasypali Snydera pytaniami.

— Czy dozorca budynku był tamtej nocy na służbie?

Nie, pokręcił głową Snyder.

— Czy ktokolwiek włamał się tamtej nocy do jakiegoś budynku na te-

renie kampusu?

240

Nie.

— Próbowaliście wykonać test DNA?

Wszyscy odwrócili się w stronę Halberta Fillingera, doświadczonego

lekarza sądowego z Filadelfii.

— Jeżeli podczas duszenia ofiary morderca ścisnął kabel odpowiednio

mocno, mogą się na nim znajdować drobinki jego skóry — wyjaśnił Fil-

linger. — Można z nich wyodrębnić DNA.

Zebrani wymienili zdziwione spojrzenia. W 1984 roku, kiedy Wilson

została zamordowana, testów DNA jeszcze nie wykonywano;

nawet osiem  
lat później była to wciąż dość słabo znana metoda badawcza.  
„Mała szansa, aby cokolwiek w ten sposób uzyskać, ale po tylu latach bezowocnego śledztwa sfrustrowany Snyder gotów jest chwycić się żdźbła”,  
pisał później reporter „Los Angeles Times”.  
Pół godziny później Snyder oparł się zmęczony o mównicę.  
Dyskusja powoli zamierała. Wyglądało na to, że jedyną korzyścią, jaką wyniesie ze spotkania, będzie darmowy lunch, moralne wsparcie i kilka ciekawych pomysłów.  
Niespodziewanie głos zabrał Walter. Lubił włączać się do dyskusji na samym końcu, jakby występował na ostatniej zmianie sztafety.  
Zmarszczył brwi i poprawił okulary, które zsunęły się po orlim nosie.  
— Jeżeli mogę się wtrącić... — zaczął. — Kluczem do rozwiązania zagadki jest brak butów i skarpetek na stopach ofiary.  
Snyder skinął głową.  
— Zdajemy sobie sprawę, że brak obuwia coś oznacza. Nie wiemy tylko, co.  
— Morderstwo nie miało podłoża rabunkowego, a mimo to białe skarpetki i białe skarpetki zniknęły. Dlaczego? — spytał retorycznie Walter i nie czekając na odpowiedź, zaczął stawiać kolejne pytania. — Kluczową sprawą jest sens zbrodni. Co zamierzał uzyskać morderca? Skoro atak nie

miał podłóża seksualnego, jaką korzyść z niego odniósł?  
Dowiadujemy się o tym z braku butów i skarpetek. Morderca nie chciał pieniędzy, ponieważ nie zabrał zegarka. Nie chciał dziewczyny przelecieć. Interesowały go jedynie buty. Człowiek ten ma obsesję na punkcie stóp. Jest podofilem.

Na sali rozległy się szmery.

241

— Podofile zabijają, aby zaspokoić swoje pragnienia? —  
zdziwił się jeden z policjantów.

— Tylko niektórzy — przyznał Walter. — Obsesja na punkcie stóp jest parafilią, zaburzeniem preferencji seksualnych. Fetyszysta obawia się kontaktu z żywym partnerem, dlatego używa buta jako substytutu osoby, którą przywołuje sobie akurat w wyobraźni. Drugorzędne albo trzeciorzędne zaspokojenie uzyskuje przez wacchanie, dotykane i pocieranie buta. Może się też nim masturbować.

Słyszając chichoty, Walter pośpieszył z wyjaśnieniem.

— Podofilia może się wydawać dziwaczna i zabawna, ale przybiera niekiedy niezwykle silną postać i wywiera destrukcyjny wpływ na człowieka.

Chińczycy formowali stopy swoich kobiet w taki kształt, aby mężczyźni mogli między nie wkładać penisy. Zmiana tego obyczaju wywołała gwałtowny opór. Cała kultura była spętana fantazjami na punkcie stóp.

Walter nakreślił szkicowy profil zbrodni. Zabójca ma obsesję na

punk-  
cie kobiecych butów — zbiera je i się przy nich masturbuje. W  
obecno-  
ści prawdziwej kobiety najprawdopodobniej nie potrafi nawet  
utrzymać  
członka we wzwodzie. „Pożąda wyobrażenia, nie rzeczywistości”.  
Musiał  
już wcześniej zwrócić uwagę na Wilson i jej białe reeboki.  
Prawdopodob-  
nie nikogo wcześniej nie zabił, ale ponieważ kradzież butów  
przeszła mu  
wystarczać do zaspokojenia fantazji, przeszedł do agresywnych  
zachowań  
wobec ich właścicieli.  
Nieco na wzór Gwałciciela Dzentelmena żyje w przekonaniu, że  
ko-  
biety nie potrafią mu się oprzeć. Kiedy próbuje oczarować  
kobietę, mówi:  
„Gdzie byłaś przez całe moje życie?”. Jest dużym, potężnie  
zbudowanym  
mężczyzną. Przeraża Wilson, wchodząc do pustej pracowni.  
— Próbuje zabawić ją rozmową, namawia do seksu, umówienia  
się  
z nim na randkę, zadzierzgnięcia jakiejś więzi. Kiedy ona  
odmawia, praw-  
dopodobnie jej grozi. Mówi: „Tylko dziwka siedzi sama w  
pracowni tak  
późno w nocy”; albo coś w tym guście. Stosuje przemoc  
werbalną, aby ją  
nastraszyć, tak czy inaczej pragnie tylko jednego. Być może  
nawet sądzi,  
że chce ją poderwać, uprawiać z nią seks. Każdy z nas w taki czy  
inny spo-  
sób sam siebie oszukuje. Tak naprawdę pożąda jej butów i  
skarpetek.



Wilson, podobnie jak wiele ofiar takich morderców, odmawia — spo-  
kojnie lub zdecydowanie. Być może mówi: „Idź do diabła”. Nie ma to  
większego znaczenia. Napastnik wpada we wściekłość, która skutkuje ata-  
kiem, morderstwem i późniejszym maltretowaniem zwłok.  
— Na poziomie intelektualnym fetyszysta zdaje sobie sprawę, że dziew-  
czyna nie zgodzi się na jego propozycję, ale kiedy słyszy, że ma się odpie-  
przyć, czy coś w tym stylu, umysł opętany fantazjami reaguje gwałtownie,  
traktując to jak zniewagę. Jego wyobrażenie o sobie jako dominującym  
mężczyźnie zostało podkopane, a przecież zamierzał uzyskać dokładnie  
przeciwny rezultat. Wpada w szał. Oto źródło zbrodni.  
Zabójca atakuje ją jeszcze w pracowni komputerowej: uderza w twarz,  
zadaje ciosy w głowę pięściami, a być może również jakimś narzędziem.  
Dziewczyna jest przerażona. Krzyczy, błaga o litość, więc on ją dusi, aby  
się uciszyła. Ciągnie jej ciało na podest u podnóża schodów.  
Miejsce to staje się na chwilę jego mroczną, sekretną kryjówką.  
— Zachowanie mordercy ma wyraźny podtekst seksualny — tłumaczył psycholog, odwołując się do wcześniejszych uwag. — W kategoriach  
Freudowskich schody są waginą, do której się zstępuje. Mamy tu do czy-  
nienia ze zmysłowością niezwiązaną ze stosunkiem płciowym.

Morderca

nie chce przelecieć ofiary — pragnie wyłącznie jej butów. Będzie je póź-

niej obwąchiwał w domu. Wydarzenia na klatce schodowej są swego ro-

dzaju grą wstępną, która później pomoże mu wydobyć kontekst seksualny

z butów, których dokładnie w tym celu potrzebował. Nie interesowały go

jej części intymne. Atakuje martwe ciało, wściekły na dziewczynę, że od-

rzuciła jego fantazję, ale tak naprawdę interesują go tylko jej buty. Gene-

ralnie rzecz biorąc, musi ją wyeliminować, aby zabrać z jej ciała to, czego

pragnie. Osiągnąwszy cel, odchodzi.

Po zdobyciu butów i skarpetek morderca odczuwa głębokie zadowo-

lenie z pomyślnego rozwiązania sytuacji. Zabił, aby odbudować w sobie

poczucie kontroli nad otoczeniem, a tym samym skutecznie odparł atak

na swoją dumę i godność. Triumfuje, ponieważ zdobył przedmiot, które-

go od początku pożądał, czyli właśnie buty.

Walter odwrócił się i spojrział na sierżanta Snydera.

243

— To, co zobaczyliśmy na miejscu zbrodni, wskazuje również, że mor-

derca jest facetem, który lubi dominację i kontrolę nad innymi.

Osobo-

wość macho. Podnosi ciężary, dobrze posługuje się bronią i ma hobby

w rodzaju karate.

Walter zdał sobie sprawę, że towarzystwo innych detektywów

wywie-  
rało na niego zupełnie nieoczekiwany wpływ. Agenci federalni,  
którym  
brakowało doświadczenia w prowadzeniu śledztw w sprawie  
morderstw,  
"zadawali znakomite pytania, które doprowadzały mnie prosto do  
rozwią-  
zania". Reporterowi „Los Angeles Times” wyznał: „Siła  
Towarzystwa nie  
polega na tym, że jesteśmy zgrają pierdolonych geniuszy. Chodzi  
o to, że  
możemy korzystać nawzajem ze swoich doświadczeń”. Zanim  
uwagi Wal-  
tera trafiły na łamy czasopisma, tradycyjnie wymagały  
przeredagowania.  
Nie byli „megageniuszami”, ale pracowali jako zespół.  
Snyder był zadowolony ze spotkania.

— Pański profil pasuje jak ulał do gościa, którego  
podejrzewałem od  
samego początku.

Czyli Dicksona.

Walter uśmiechnął się.

— Proszę sprawdzić akta Dicksona z wojska, przesłuchać jego  
dziew-

czyny, byłe żony; sprawdzić, czy pojawi się kwestia butów.

Rozdział 30

Sprawa syna marnotrawnego

Fleisher siedział za biurkiem w swoim gabinecie w Urzędzie  
Celnym.

Przez okno obserwował żaglówki śmigające po rzece między  
tankowcami.

Był piękny majowy poranek. Kobiety wyszły na ulice w lekkich  
strojach,

a brązowy płyn w niebieskim tekturowym kubku niemal  
przypominał

w smaku kawę. W biurze panowała luźna atmosfera, jak zawsze, gdy Fleisher ubarwiał wojnę z handlarzami narkotyków amatorskimi występami w roli komika. „Dlaczego Żydzi umierają wcześniej niż ich żony? Bo tego chcą”. „Kręcę żydowski film pornograficzny. Składa się w 10% z seksu i w 90% z poczucia winy”. „Ktoś ukradł mojej żonie kartę kredytową.

Nie próbujcie go szukać — wydaje mniej niż ona”.

— Bill — w słuchawce odezwał się głos sekretarki — mam na linii kolejną osobę, która widziała cię w 48 godzinach. Mówi, że obdzwaniania całe miasto w poszukiwaniu faceta o wyglądzie Raymonda Burra. Fleisher zachichotał.

— Aż taki spasiony jeszcze nie jestem. Może gdyby zaczekał do jesieni...

Łagodny teksański akcent w słuchawce należał do Jima Dunna, dyrektora firmy marketingowej z hrabstwa Bucks.

— Panie Fleisher, mój syn Scott zaginął w Teksasie i został zamordowany. Od roku prowadzę na własną rękę śledztwo, ale do niczego nie doszedłem. Kiedy zobaczyłem pana w 48 godzinach, przebywaliśmy w Nowym Meksyku, sprawdzając ostatni, beznadziejny trop. Powiedziałem

245

żonie, że skoro Towarzystwo Vidocqa działa akurat na naszym podwórku, w Filadelfii, spróbuję osobiście się z nim skontaktować. Jim Dunn zrobił pozytywne wrażenie na Fleisherze. Mężczyzna

miął  
uprzejmy głos, wydawał się bardzo inteligentny i autentycznie  
zrozpa-  
czony.

— Trzykrotnie zachodziłem do Karczmy Miejskiej. Pytałem o  
Towa-  
rzystwo Vidocqa i brodatego gościa przypominającego z wyglądu  
Ray-  
monda Burra. W końcu barman coś sobie przypomniał. „A,  
rzeczywiście.

To szef Urzędu Celnego", powiedział.

— Opowiedz mi dokładnie, Jim, co się przydarzyło twojemu  
synowi —

oświadczył poważnym tonem Fleisher.

— Tego właśnie próbuję się dowiedzieć. Utrzymywałem ze  
Scottem  
bardzo bliskie kontakty. Rozmawialiśmy przez telefon w każdą  
niedzielę.

W ostatnią niedzielę maja nie zadzwonił on, ale jakaś kobieta,  
której gło-

su nie rozpoznałem. Spytała, czy jestem ojcem Scotta Dunna.

Przedstawi-

ła się jako dziewczyna mojego syna, wyjaśniła, że mieszkają  
razem. Była

zaniepokojona, ponieważ Scott zniknął. Jego sypialnia była pusta.

Znik-

nął materac, ubrania. Nie zostało nic.

— To rzeczywiście podejrzane.

— W sypialni znaleziono ślady krwi. Krwi Scotta. Nie spocznę,  
póki

nie ustalę, co się stało mojemu synowi. Czy mógłbym liczyć na  
pomoc

Towarzystwa Vidocqa?

— Rozumiem. Bez wątpienia doszło do morderstwa. Co ustaliła  
po-

licja?

— Sprawę prowadzi wydział policji z Lubbock. Na początku Scotta

uznano za zaginionego, ale teraz zmienili status śledztwa na morderstwo.

Nikogo nie aresztowali. Prokurator okręgowy twierdzi, że nic się nie da

zrobić, ponieważ nie znaleziono ani ciała, ani broni. Zgodnie z teksań-

skim prawem brak ciała uniemożliwia wszczęcie sprawy o morderstwo.

Od roku próbuję coś zdziałać.

— A zatem sprawa ma dopiero rok — zastanawiał się głośno Fleisher —

i nie znaleziono ciała.

Przerwał, aby wziąć głębszy oddech. Te słowa nigdy nie przychodzi-

ły mu łatwo.

246

— Przykro mi, panie Dunn, ale to nie jest sprawa dla Towarzystwa

Vidocqa.

Milczenie po drugiej stronie słuchawki wyraźnie świadczyło o zawo-

dzie, który przeżył mężczyzna.

— Po pierwsze, jest zbyt świeża. Zajmujemy się tylko postępowaniami

toczącymi się od minimum dwóch lat. Musi pan dać czas policji, aby wy-

konała swoją robotę. Gdybyśmy się teraz zaangażowali, mogliby powie-

dzieć: „Hola, hola, dlaczego wtrącacie się w nasze śledztwo?”.

Doradzamy

i pomagamy wydziałom policji tylko wtedy, gdy same się do nas zwrócą.

Nie zamierzamy nikogo pozbawiać zasług. Nie polujemy na cudze sprawy.

— Rozumiem — powiedział spokojnym głosem Dunn.

— Po drugie, nie znalazł pan nawet ciała. Formalnie rzecz biorąc, nadal mamy do czynienia z zaginięciem. Takie sytuacje zdarzają się bez przerwy. Ludzie po prostu znikają, bo chcą uciec od dotychczasowego życia.

Być może pański syn wróci. A może popełnił samobójstwo.

Naprawdę trudno powiedzieć.

— Mój syn nie popełnił samobójstwa. Został zamordowany.

— No dobrze, zapewne ma pan rację. Ale, po trzecie, nawet jeśli doszło do morderstwa, bez ciała niemożliwe jest doprowadzenie do skazania.

W naszym systemie prawnym jest to jedna z podstawowych zasad śledz-

twa w sprawie o morderstwo. Potrzebne jest corpus delicti.

Szkoda, że nie

ma pan po swojej stronie prokuratora okręgowego, ponieważ tylko on

może wsadzić do więzienia morderców pańskiego syna. Przykro mi, ale

nie możemy panu pomóc.

— Panie Fleisher — odparł natychmiast Dunn — czy w takim razie

moglibyście mnie po prostu wysłuchać? Być może ktoś z

Towarzystwa

podsunie nam jakiś pomysł, coś doradzi. Mieszkamy niedaleko i jesteśmy

gotowi spotkać się w wybranym przez was miejscu.

— No dobrze, proszę w takim razie przysłać mi dokumentację spra-

wy, a ja się jej przyjrę.

— Przykro mi, ale nie mogę tego zrobić — oświadczył  
zdecydowanie

Dunn. — W przyszłym tygodniu wracam do Teksasu, aby  
kontynuować  
poszukiwania. Muszę mieć dokumentację ze sobą. To wszystko,  
co mi  
pozostało po Scotcie.

247

Dunn zamilkł na dłuższą chwilę.

— Panie Fleisher — powiedział wreszcie — jest pan chyba moją  
ostat-  
nią szansą.

Właśnie wtedy coś w Fleisherze pękło. „Pojąłem, że Jim Dunn  
jest po-  
rządny człowiekiem, gotowym na wszystko, byle tylko odnaleźć  
syna”.

Fleisher doskonale rozumiał skomplikowane relacje, jakie mogą  
łączyć oj-

ców i synów. Tęsknotę, która nie znika nawet po śmierci.

To ojciec go nauczył, że należy mieć otwartą głowę i serce — i  
zawsze

znajdywać czas na wysłuchanie porządnego człowieka. Fleisher  
często roz-

myślał o wydarzeniu, które pozwoliło jego ojcu zrozumieć  
znaczenie tej

zasady. W czasach Wielkiego Kryzysu na Temple University nie  
udzielo-

no mu zgody na podejście do ostatniego egzaminu potrzebnego  
do ukoń-

czenia stomatologii. Zaliczył wszystkie kursy, ale nie miał  
pieniędzy na

zapłacenie ostatniej raty czesnego ani nawet na opłatę za  
dyplom. W dniu

egzaminu udał się do biura rektora uniwersytetu, Charlesa E.



Beuryego.

Sekretarka wyjaśniła, że rektor wychodzi na spotkanie i nie może go przy-

jąć. Herbert Fleisher odparł na to: „Proszę mu powiedzieć, że to jest sprawa

życia i śmierci”. Rektor zaprosił go do gabinetu. Beury, wysoki absolwent

Princeton z rocznika 1903, zerknął na zegarek i oświadczył:

„Masz pięć

minut, synu. Co się stało?”.

Ojciec Fleishera ze łzami w oczach opowiedział o problemach finan-

sowych oraz braku zgody na przystąpienie do ostatniego

egzaminu. Pół

godziny później Beury zerknął na zegarek i powiedział: „Zostało ci pięć

minut”. Po upływie tego czasu rektor wziął kartkę papieru i napisał list

do dziekana szkoły stomatologicznej z poleceniem dopuszczenia Herberta

Fleishera do egzaminu końcowego. Chłopak dotarł na miejsce już po za-

kończeniu egzaminu. Dziekan zarządził w związku z tym egzamin ustny,

bardzo trudny. „Ojciec zdał i został znakomitym dentystą”. Kilka lat póź-

niej pewna gazeta zacytowała wypowiedź Beuryego: „Uniwersytet powi-

nien przekazywać studentom nie tylko podstawową wiedzę, ale również

w swoim funkcjonowaniu kierować się standardami, które nauczą

młodego mężczyznę lub młodą kobietę dostrzegać w drugiej osobie

porządnego człowieka”.

Jim Dunn był porządnym człowiekiem. „Spróbuję znaleźć sposób, aby

mu pomóc”, pomyślał Fleisher.

— No dobrze, Jim — Fleisher zaczął mówić szybko, rzeczowym tonem,

jak zawsze, gdy sprawa była poważna. — Docierają do nas setki próśb.

Większości ludzi nie możemy pomóc, ale spróbujemy coś ci przynajmniej

doradzić. Zadzwoń do Franka Friela, komendanta policji w Bensalem,

nieopodal hrabstwa Bucks. Spotkamy się we trójkę w jego biurze.

Dunn zapowiedział, że przyjdzie z żoną, Barbarą. Spotkanie miało się

odbyć następnego dnia o ósmej rano.

— Naprawdę nie wiem, co powiedzieć, panie Fleisher.

— Frank to legendarna postać w filadelfijskiej policji — kontynuował

Fleisher. — Jest członkiem Towarzystwa Vidocq'a i jednym z najbardziej

przenikliwych umysłów, jakie znam. Nie wiem, czy rzeczywiście zdoła-

my jakoś pomóc, ale jeżeli komukolwiek miałoby się to udać, to właśnie

Frankowi.

Rozdział 31

Mędrzec ze Scotland Yardu

Nocny samolot z Londynu wylądował w Filadelfii. Padał deszcz.

Szczu-

pły mężczyzna w płaszczu nie miał radosnej miny. „Pogoda paskudna, je-

stem wykończony. Po prostu fatalnie. Poza tym skończyły mi się, cholera

jasna, papierosy”, mamrotał Walter. Nie mógł ścierpieć widoku

ziemi-  
stych twarzy podróżnych tłoczących się w ponurej hali. Kiedy  
przywo-  
ływał taksówkę, towarzyszyła mu tylko jedna myśl: „Byle dalej od  
tej  
tłuszczy!”. Pozostali pasażerowie bynajmniej nie garnęli się do  
wymizero-  
wanego, sztywnego jak manekin dżentelmena ze lśniąca,  
aluminiową ak-  
tówką. To akurat Waltera niezmiernie cieszyło. „W ten sposób  
spędzam  
mniej czasu z głupcami i ignorantami”. Za wszelką cenę chciał  
uniknąć  
pytań w rodzaju: „Kto zabił JonBenet Ramsey?” albo „Kim  
naprawdę był  
Kuba Rozpruwacz?”  
Walter był wyczerpany. Podróż przetrwał dzięki papierosom,  
winu,  
cheeseburgerom i środkom uspokajającym, które zażył przed  
wejściem  
na pokład. Poza domem źle sypiał, często chorował i był  
uzależniony od  
życzliwości obcych ludzi — lekarze sądowi w Londynie przepisali  
mu ja-  
kieś lekarstwo, chłopiec w Stambule nosił za słabowitym  
Amerykaninem  
krzesło, ludzie w różnych miejscach wskazywali mu drogę, bo  
nieustan-  
nie się gubił. Teraz musiał odzyskać siły. Taksówkarza  
poinformował, że  
potrzebuje: papierosów, dietetycznego napoju gazowanego,  
środka prze-  
czyszczającego i alkoholu.

250

— Papierosy: koniecznie Kool Menthol Kings. Dietetyczny napój

ma  
mieć kolor czerwony. Środek przeczyszczający musi działać.  
Zwalił się na hotelowe łóżko.  
Wizyta w Scotland Yardzie niemal go wykończyła. Kiedy  
niewyspany  
wygłaszał odczyt przed trzystoma najlepszymi urzędnikami  
Ministerstwa  
Spraw Wewnętrznych, kręciło mu się w głowie. Walter od lat  
współpraco-  
wał z londyńską policją. W przyszłości miał pomóc jej w  
schwyтaniu se-  
ryjnego mordercy, który terroryzował miasto, zabijając  
homoseksualistów.  
Podpowiedział Scotland Yardowi, że zabójca wyrzuca ofiary z  
okien na  
wysokich piętrach, ponieważ ludzi jego pokroju bawią złośliwe gry  
słów,  
w tym wypadku: „Wróżki\* nie latają!”.  
W Scotland Yardzie uważano go za guru — guru od wszelkiego  
rodza-  
ju perwersji, twierdził z rozbawieniem i niemałą dumą.  
Perwersjami były  
zespół Miinchhausena, zastępczy zespół Miinchhausena, sadyzm  
i inne  
„izmy”, które wydawał się rozumieć tak dobrze, jakby je sam  
wymyślił.  
Tymczasem Angole mieli już dość słuchania przy okazji  
najtrudniejszych  
śledztw, jacy to ci Amerykanie są mądrzy.  
Wodząc wzrokiem po morzu twarzy, dostrzegał zwężone oczy  
wro-  
gów jego pomysłów — Starej Gwardii, weteranów zaślepionych  
ortodok-  
syjną, dziewiętnastowieczną proceduralną metodą szukania  
sprawców

morderstw. Dla nich Walter był heretykiem. Głębia psychologiczna umysłu mordercy przejawia się takim a nie innym ułożeniem ciała ofiary czy ukrytym znaczeniem noża w klatce piersiowej (jeżeli ostrze miało długość piętnastu centymetrów, czyli przeciętny rozmiar penisa, należy szukać sprawcy, który — jak większość wsadzonych za kratki przestępców seksualnych — nie może uzyskać wzrodu). Budził w nich przerażenie.

Wciskał im „skrzyżowanie newage'owego bełkotu z czarami”.

Teraz miał

okazję udowodnić, że jego analizy mają empiryczne podstawy, a nie są tylko wypierdkami mamuta.

Na początek próbował ich rozbawić „historią własnej niedoli”. Po całym dniu pracy w więzieniu w Lansing w stanie Michigan dotarł w końcu

końcu

\* Angielski rzeczownik fairy (wróżka) bywa także obraźliwym określeniem homoseksualisty.

251

do Detroit, wsiadł wieczorem do samolotu i wylądował rano w Londynie,

nie zmrużywszy oka przez całą noc. Na miejscu zgubił drogę w labiryncie

terminali i metra, przez co stracił jeszcze więcej czasu. Do biura przybył

dopiero o w pół do dwunastej, marząc tylko o porządnym wypoczynku

przed wykładem, który miał wygłosić następnego dnia. „O, nie!”, powie-

dzieli koledzy. „Wykład jest dziś! Zaczynasz lada chwila!”. Stał teraz przed nimi niemalże w stanie katalepsji i prosił o wyrozumiałość. Historia była prawdziwa, ale słuchaczy nie rozbawił. „Najwyraźniej mieli gdzieś, że nie spałem od trzydziestu godzin”. Jakby tego było mało, wyczuli jego słabość i przystąpili do ataku. Próbie poddał go nawet jeden z jego przyjaciół. Walter kazał taksówkarzowi zatrzymać się przy sklepie całodobowym. Zgromadził wszystkie potrzebne artykuły i położył je na ladzie. Młoda sprzedawczyni poprosiła o dokument tożsamości — papierosy sprzedaje tylko osobom pełnoletnim. Spojrzał na nią z niedowierzaniem. — Moja droga, naprawdę chcesz mnie wylegitymować?! Do diabła, mam sześćdziesiąt lat! Wystarczy spojrzeć na moją twarz! Wychodząc szybkim krokiem, wymruczał jeszcze: „Następnym razem wybiorę sklep, gdzie zatrudniają sprzedawców z ilorazem inteligencji powyżej siedemdziesięciu”. Nerwy ukoił dopiero papierosem zapalonym w pokoju hotelu Center City przy Broad Street. Huśtawki nastrojów były konsekwencją nałogu. „Czy stosuję jakieś ćwiczenia? Zaciągam się”, żartował. Albo: „Moją gimnastyką jest kaszel po wypaleniu papierosa”. Nie był z tego dumny, ale nie mógł zaprzeczyć faktom. „Jeżeli nie zapalę przez dłuższy czas, upadabnam się do jastrzębia wypatrującego myszy. Po prostu

przestają tole-  
rować ludzkie słabości".

Nie zamierzał za to nikogo przeproszać. Była to cena bycia R.  
Wal-

terem, pogromcą psychopatów działającym na czterech  
kontynentach.

„W starciu z nimi zamieniam się w drapieżcę i przejmuję pełną  
kontrolę

nad sytuacją. Działam z chirurgiczną precyzją. Biologiczne  
uwarunkowa-

nia nałogu nie przeszkadzają mi w pracy, ponieważ zawsze  
znajduję się

w uprzywilejowanej pozycji", wyjaśniał.

252

Walter miał wielu przyjaciół i niejednego wroga. Niektórzy  
uczestni-

cy zjazdu Amerykańskiej Akademii Nauk Sądowych obawiali się  
siadać

obok niego, ponieważ regularnie polemizował z prelegentami i ich  
ośmie-

szał. Przyjaciele mówili, że Walter przypomina lśniące ostrze,  
które jest

zbyt ostre, aby nadawało się do codziennego użytku. Walter,  
podobnie

jak w przeszłości Teddy Roosevelt, traktował życie jako egzamin.

„Jedną

z najważniejszych powinności dojrzewającego człowieka jest  
zidentyfiko-

wanie tego, za czym będzie się gotów w przyszłości  
opowiedzieć", mówił.

Walter zaryzykowałby życie, aby obronić zwykłego mężczyznę,  
kobietę

lub dziecko. Podobnie jak Roland czy Zygfryd, bohaterowie  
starych, za-

pomnianych opowieści, w razie potrzeby wszedłby samotnie do

mrocznej  
jaskini z obnażonym mieczem.  
Tydzień po wizycie Waltera w Scotland Yardzie agent FBI Robert Ressler napisał dla niego dedykację na egzemplarzu swojej nowej książ-  
ki Pogromcy potworów: Dwadzieścia lat doświadczeń w tropieniu seryjnych  
morderców w FBI: „Dla Richarda Waltera, dobrego przyjaciela i kolegi  
po fachu”.  
Na hotelowym aparacie telefonicznym migąca czerwona lampka. „Chole-  
ra by to wzięła! Kto tym razem zawraca mi głowę?”, pomyślał. Zamierzał  
zejść do baru i przez resztę wieczoru ograniczyć konwersacje do udziela-  
nia odpowiedzi na jedno pytanie: „Czego pan sobie życzy?”. Z niechęcią podniósł słuchawkę i odsłuchiwał dwie wiadomości. Pierw-  
szą zostawił Bill Fleisher, który powitał go w Filadelfii i poprosił o pomoc.  
— Słuchaj, Richard, mógłbyś zadzwonić do Jima Dunna? To zrozpa-  
czony ojciec z hrabstwa Bucks, którego syn zniknął rok temu w zachod-  
nim Teksasie. Morderstwo, policja nic nie wskórała. Coś w sam raz dla  
ciebie. Jim to porządny gość, zrobiło mi się go żal. Może zdołasz mu ja-  
koś pomóc, kiedy wrócisz do miasta.  
Krzywiąc się z niezadowolenia, Walter zapisał numer telefonu. Drugą wiadomość zostawił doktor Richard Shepherd, między naro-  
dowej sławy patolog z londyńskiego Guy's Hospital, współpracownik



Scotland Yardu, królewski lekarz sądowy. Shepherd — dobry przyjaciel

Waltera, którego wprowadził w świat Scotland Yardu — był wysokim,

253

postawnym pilotem (kiedyś tak bardzo nudził się na chicagowskim zjeź-

dzie Amerykańskiej Akademii Nauk Sądowych, że wynajął mały samo-

lot i przeleciał nad jeziorem Michigan) o pokręconym poczuciu humoru

i niedoścignionych kompetencjach zawodowych. Walter miał nadzieję, że

Richard dzwoni z przeprosinami. Kiedy kończył londyńską prelekcję z po-

czuciem względnego sukcesu — odparł zarzuty krytyków i skutecznie za-

prezentował własny punkt widzenia — Shepherd wywinał mu numer.

Na ekranie w sali wykładowej wyświetlił fotografię jakiegoś miejsca

zbrodni. Pośrodku schludnego salonu średniozamożnej rodziny leżał na

plecach martwy mężczyzna, prawdopodobnie sześćdziesięcikilkuletni.

Miał krótko przycięte szpakowate włosy, wełnianą koszulę i zwykłe ga-

bardynowe spodnie.

Na pierwszy rzut oka wyglądał na ofiarę ataku serca lub zawału, ale kto

dokładniej przyjrzał się fotografii, dostrzegł rozpięty rozporek — męź-

czyźnie odcięto penis. Co zaskakujące, ubranie wcale nie było mocno po-

plamione krwią. Na zdjęciu nie widać było ani noża, ani penisa.

Odcięte

przyrodzenie zniknęło.

Walter pierwszy raz widział to zdjęcie. Nic nie wiedział o sprawie.

— Przekonajmy się, czego potrafi dokonać profiler, jeżeli

dysponuje je-

dynie obrazem z miejsca zbrodni — oświadczył z błyskiem w oku

She-

pherd. — A zatem, Richard, co się wydarzyło w tym pokoju? Co

potrafisz

wywnioskować z tego zdjęcia? Kto zamordował tego mężczyznę?

Co nim

powodowało?

Walter lubił wyzwania. Szybko ocenił wiek i stan ofiary, następnie

postawił sobie w myślach zasadnicze pytanie: „W jakich

okolicznościach

facet może stracić fiuta?”. Pytanie numer dwa: „Ten fiut został za

coś uka-

rany. Co takiego zrobił?”.

Walter rozważył w myślach wszystkie ewentualności. Mężczyzna

mógł

zostać zamordowany przez porzuconą kochankę lub mściwego

męża, nie-

mniej ciało wskazywało na co innego. Gdyby chodziło o

porzuconą ko-

chankę, należałoby oczekiwać dodatkowych uszkodzeń ciała,

obrażeń

twarży i głowy. Morderca wyładowałby na nim gniew. Tymczasem

mor-

derstwo zostało popełnione na chłodno, według przyjętego

wcześniej

planu.

254

A zatem ofiara nie zginęła z rąk kochanki, ale kochanka.

Zniknięcie

penisa skojarzyło się Walterowi z morderstwem o podłożu

homoseksualnym popełnionym w Kalifornii, gdzie pewien porzucony gej zamordował kochankę, „który miał wielkiego fiuta. Odrąbał mu go i włożył do zamrażalnika. Policja podejrzewała, że nadal znajdował dla niego zastosowanie”. Ale gdyby rzeczywiście chodziło o parę gejów — kontynuował analizę Walter — na ciele ofiary byłoby również widać ślady po uderzeniach. Napastnik dążyłby do osiągnięcia katharsis przez wyładowanie na kochankę gniewu i cierpienia. W tym wypadku morderca wyraźnie zasugerował, że penis nie jest mu do niczego potrzebny. Chciał jedynie pozbawić tego narządu ofiarę; później równie dobrze mógł go wyrzucić do śmieci. Penis nie był wartością samą w sobie. Morderca nie jest zboczeńcem, który schowa fiuta do zamrażalnika, żeby go sobie od czasu do czasu possać jak loda. A może ten człowiek zupełnie przypadkowo padł ofiarą seryjnego mordercy, który na obcej osobie zrealizował swoje mroczne fantazje? Gdyby jednak chodziło o seryjnego mordercę działającego z pobudek seksualnych, należałoby oczekiwać, że podda ciało ofiary bardziej skomplikowanym zabiegom o charakterze rytualnym, na przykład zada głębokie rany nożem, pozostawi zwłoki w wykrzywionej, symbolicznej pozycji

albo zabie-  
rze na pamiątkę jakieś jego części.  
Po wykluczeniu motywów sadystycznych, Walterowi pozostała  
wła-  
dza i gniew. Morderca powodowany pragnieniem władzy zadałby  
ofie-  
rze więcej obrażeń, niż byłoby potrzebne do jej uśmiercenia, poza  
tym  
bez wątpienia zamknąłby jej oczy albo wepchnąłby zwłoki do  
jakiegoś  
schowka w ostatecznym akcie zemsty, który można podsumować  
okrzy-  
kiem: „Masz za swoje, skurwysynu!”. Tymczasem oczy ofiary  
pozostawio-  
no otwarte. Ciało leżało na ziemi w takiej pozycji, w jakiej samo  
ułożyło  
się po upadku, i nie nosiło oznak innych zabiegów. „Analiza  
powinna  
obejmować w równym stopniu to, czego brakuje na miejscu  
zbrodni, jak  
to, co można na nim znaleźć. W tym wypadku kluczowe jest to,  
czego  
brakuje”. Nic nie pozwalało wyciągnąć wniosku, że morderca  
wyładował  
na ofierze gniew.

255

Zabójca miał tylko jeden cel. Wykonał wcześniejszy zamiar i  
zniknął.  
Powodował nim gniew, ale nie był to gniew ślepy, lecz chłodny,  
kontrolo-  
wany, przekuty w plan działania.  
Sprawność, z jaką dokonano zbrodni, była właśnie jej istotą.  
Morder-  
ca powodowany pragnieniem władzy nie popełnia czynu w  
gniewie, ale

w reakcji na podważenie jego dominującej pozycji. Chłodna  
sprawność  
morderstwa nabrała nagle sensu. Sprawca chciał udowodnić  
ofierze, że  
ma nad nią władzę.  
Walter wyczuwał na sali coraz większe zniecierpliwienie. Wszyscy  
cze-  
kali na jego odpowiedź. „Biorąc pod uwagę to, co widzimy na  
miejscu  
zbrodni, oraz to, czego na nim nie ma, w jakie tarapaty mógł się  
wplą-  
tać odcięty fiut?”  
Być może mężczyzna został ukarany za złożenie propozycji  
seksualnej  
innemu mężczyźnie, który poczuł się urażony podejrzeniem o  
homosek-  
sualizm. Ale gdyby próbował mu obciągnąć, zaczął go  
obmacywać albo  
robić coś w tym stylu, ten drugi po prostu dałby mu w mordę albo  
sprął  
na kwaśne jabłko. W salonie panowałby bałagan, tymczasem  
pomieszcze-  
nie wydaje się znajdować w idealnym stanie.  
W jakie zatem kłopoty może się wpakować fiut, zwłaszcza fiut  
sześć-  
dziesięciolatek? Można przyjąć za pewnik, że gdyby dobierał się  
do czło-  
wieka dorosłego, wydarzenia potoczyłyby się w zupełnie inny  
sposób.  
Skoro tak, molestował dziecko.  
No dobrze, zastanówmy się szybko: molestował dziewczynkę czy  
chłopca?  
Gdyby chodziło o dziewczynkę, jej ojciec jako mężczyzna miałby  
po-  
czucie, że nie ustrzegłszy córki od defloracji, nie zdołał uchronić

dziecka

przez złem. W takim wypadku zapewne nie odciąłby winnemu członka,

ale raczej zadał kilka gwałtownych ciosów nożem, na przykład w serce.

W jego poczynaniach byłoby widać wrogość, gniew, emocje.

Intuicja pod-

powiada, że chodziło tu o chłopca. Jego ojciec znalazł sposób, aby w akcie

morderstwa wyrazić symbolicznie potworność czynu

popelnionego przez

ofiara. Utożsamiał się z cierpieniem syna i uznał wyrządzoną mu krzyw-

dę za zwyrodniały atak na męskość. To pozwoliło mu znaleźć ujście dla

256

gniewu w chłodnym, powściągliwym akcie: wysłał mężczyznę na drugi

świat bez fiuta, jak najgorszego śmiecia.

Po kilkuminutowym milczeniu Walter ponownie zabrał głos.

— Sądzę, że widoczny na fotografii człowiek zgwałcił małego chłop-

ca i został zamordowany przez jego ojca. W wyrażającym pogardę akcie

zemsty za krzywdę wyrządzoną synowi, ojciec pozbawił pedofila przyro-

dzenia. Wbrew temu, co może sugerować zdjęcie, mężczyzna wykrwa-

wił się na śmierć.

Shepherd lekko się uśmiechnął.

— Zgadza się — powiedział.

Ofiara zmusiła dwunastolatka do seksu oralnego. Zabójcą był ojciec

chłopca, który pomścił syna. Zebrani na sali Anglicy otworzyli ze zdu-

mienia usta. Amerykanin trafił w dziesiątkę.  
Kilka dni później, w pokoju hotelowym w Filadelfii, Walter przypomniał sobie tamto zwycięstwo. „Zdobyłem ich szacunek”.  
Spojrzał na zegar. Minęła ledwie dziesiąta, nie było jeszcze za późno.  
Z westchnieniem wziął do ręki kartkę z numerem telefonu, który podyk-  
tował mu Fleisher. „Że też poczucie obowiązku nigdy mnie nie opuszcza.  
Doprawdy bywa to czasami irytujące”.  
Poczucie przyzwoitości nakazywało mu również odkładać słuchaw-  
kę po pięciu dzwonek. Przy trzecim Jim Dunn odebrał telefon.  
Wal-  
ter przedstawił się.  
— Specjalizuję się w tworzeniu profili psychologicznych seryjnych mor-  
derców, panie Dunn. Z tych strzępków informacji, które przekazał mi Bill  
Fleisher, wnoszę, że mogę panu pomóc.  
Mężczyzna po drugiej stronie słuchawki sprawiał wrażenie zszokowa-  
nego. Chwilę później w jego głosie Walter wyczuł powściągliwość.  
Najwy-  
raźniej nie przyjął jeszcze do wiadomości, że jego syn został zamordowany  
z zimną krwią.  
Rozdział 32  
Pomyśl o zemście  
O ósmej rano Richard Walter i Jim Dunn usiedli w pogrążonym  
w mro-  
ku pokoju Hotelu Hershey, otoczeni kłębam dymu papierosowego. Sie-  
dem pięter niżej rozciągała się skąpana w jasnym majowym słońcu Broad

Street. Walter zasunął kotary, aby odgrodzić się od irytującego światła i hałasu. Siedział wyprostowany na eleganckim krześle. Zamknął oczy. Wyglądał na uosobienie spokoju. Naprzeciwko niego na identycznym krześle siedział Dunn, wysoki, siwowłosy mężczyzna o rozbieganych niebieskich oczach. Rozdzielał ich stolik, na którym Dunn rozłożył notatniki, taśmy i wycinki z gazet — całą dokumentację dotyczącą morderstwa jego syna. Stały tam również dzbanek z kawą przyniesiony przez obsługę hotelową, dwie filiżanki i popielniczka z papierosem, z którego unosiła się cienka smużka dymu zmierzająca w stronę uformowanego już pod sufitem obłoku.

Walter otworzył oczy i uniósł brew.

— Wiem, że to musi być dla ciebie bardzo trudne, Jim — powiedział. —

W jaki sposób mogę ci pomóc? Opowiedz mi wszystko, co wiesz o sprawie.

Walter rozpoznał wcześniej Dunna w hotelowym holu. Umysł detektywa automatycznie włączył tryb dedukcji: elegancki garnitur, lśniąca buty i siwe włosy znamionowały dojrzałego, zamożnego mężczyznę, z którym poprzedniego wieczoru rozmawiał przez telefon.

Pobrużdżona, szkocko-irlandzka twarz zdradzała otwartość i żwawość nietypową dla ludzi z miast leżących we wschodniej części kraju — z dużym



prawdopodobieństwem należała do self-made mana z górzystych terenów

Południa lub prerii Zachodu. Zdecydowanie zbyt eleganckie jak na taką

okazję garnitur i krawat bez wątpienia były najlepszymi, jakie ów mę-

czyzna posiadał. Pełniły funkcję zbroi założonej przez człowieka, który

szedł na bitwę z przekonaniem o własnej słabości. Tożsamość Jima Dunna

zdradziły ostatecznie jego oczy. „Widziałem to już wielokrotnie. Rodzice

zamordowanych dzieci mają spojrzenie psów szkolonych do wykrywania

węchem nowotworów”, stwierdził Walter. „Dunn miał ten charakter-

styczny, przejmujący wzrok pełen jednocześnie wyczekiwania i ledwo za-

maskowanego bólu. Wszystkich ludzi, których spotkała podobna tragedia,

spowija taki nieuchwytny smutek. Smutek rozumiany uniwersalnie: nie

tylko doznanie, ale także stan, w którym człowiek osuwa się w samotność

i mrok. Tacy ludzie często się uśmiechają i sprawiają wrażenie radosnych,

ale niezmiernie rzadko naprawdę się śmieją”.

Walter znał rodziców, których takie brzemie zniszczyło. Profiler nie

omieszkał zauważyć, że teczka, którą niósł mężczyzna — podobnie jak

on sam, pękata i przeciążona — była brązowa, a nie czarna.

Łagodniejszy

kolor był pozytywnym znakiem, sugerował bowiem wrażliwość

emocjonalną, elastyczność i zdolność do rozwoju (przeciwieństwo sztywności intelektualnej i emocjonalnej). Elastyczność mogła odegrać pozytywną rolę, jeśli była autentyczna — gdyby stanowiła jedynie maskę dla słabości, mogłaby okazać się zgubna.

Walter zaproponował, aby poszli na górę do pokoju, napili się kawy, zapalili i spokojnie porozmawiali. Obserwując w żółtym świetle hotelowych korytarzy wymizerowaną twarz Dunna, jego zapadnięte

oczy,

Walter przypomniał sobie obawy, które obudziły się w nim poprzednie-

go dnia. Mężczyzna ogarnięty rozpaczą, uzalający się nad własnym losem nie potrafił przyjąć do wiadomości, że jego syn został zamordowany.

Walter uśmiechnął się pod nosem. Przypomniał mu się fragment z Kró-

la Henryka Szóstego Szekspira: „Często słyszałam, że żal zmiękcza umysł,

czyniąc trwożliwym go i zwyrodniałym. Przestań więc płakać i pomyśl

o zemście”<sup>\*</sup>.

\* W. Shakespeare, Król Henryk Szósty. Część druga, tłum. M. Słomczyński, Kraków 1987, s. 136.

259

Nie sposób odmówić człowiekowi prawa do żalu, ale trzeba to uczu-

cie odsunąć na boczny tor i znaleźć ujście dla cierpienia. Walter złożył

palce pod brodą. Dunn zaczął opowiadać. Surowe zainteresowanie bijące z niebieskich oczu profilerę ustąpiło miejsca łagodności i bezgranicznej cierpliwości. Anioł zemsty przyjmował wiele postaci — w tym wypadku Walter służył za przewoźnika pomagającego rodzicom przepłynąć przez krwawe wody żalości.

Tamtej niedzieli Dunn pracował do późnego wieczora w siedzibie swojej firmy w hrabstwie Bucks w stanie Pensylwania. W pewnej chwili zadzwonił telefon. „To pewnie Scott”, pomyślał. Niedzielne telefony od dwudziestoczteroletniego syna, który jakiś czas wcześniej przeprowadził się do Lubbock w Teksasie, stały się nową tradycją i źródłem radości dla Dunna. To on namówił syna do przeprowadzki. Lubbock było ukochanym miastem jego dzieciństwa, bardziej przyjaznym i szlachetnym niż Wschodnie Wybrzeże. Miejscem, gdzie Scott dostanie szansę na rozpoczęcie życia od nowa.

Scott słabo radził sobie w szkole. Próbował sił w lotnictwie, rzucił studia w college'u w Teksasie, ale później sprawy zaczęły się wreszcie układać po jego myśli. Znalazł dobrą pracę, która sprawiała mu ogromną satysfakcję i w której się znakomicie sprawdzał. Zawsze miał smykałkę do techniki; jako chłopiec potrafił rozłożyć na części dowolne urządze-

nie, a następnie złożyć je z powrotem. W Lubbock znalazł zatrudnienie w sklepie sprzedającym systemy nagłośnienia do samochodów. Szybko został gwiazdą. Był stereokowbojem zachodniego Teksasu. W okolicy organizowano zawody, w których — na wzór rodeo — „kowboje” rywalizowali o nagrody, pieniądze i prestiż. Zwyciężał ten, kto zmontował nagłośnienie w najkrótszym czasie, a jednocześnie uzyskał najwyższą jakość dźwięku. Scott zdystansował konkurentów. Wymyślił sposób na utrzymanie jakości dźwięku przy najwyższych rejestrach głośności przez chłodzenie aparatury nagłaśniającej lodem. Zbierał kolejne puchary. Jako atletycznie zbudowany, wysoki, przystojny blondyn występował również w reklamach telewizyjnych sklepu jako Człowiek z Lodu. Do sklepu przychodziły kobiety, które chciały się z nim umówić. Swój samochód — camaro rocznik 1987, który nazwał Żółtym Grzmotem — wyposażył 260 w najwyższej jakości sprzęt nagłaśniający i z łomotem muzyki szalał po drogach ciągnących się przez prerie Teksasu. Poinformował ojca, że na Święto Dziękczynienia przyjedzie do domu z Jessicą, inteligentną, uroczą studentką Stanowego Uniwersytetu w Missisipi. Zamierzał jej się wrócić-

ce oświadczyć.

W słuchawce zamiast Scotta rozległ się bezbarwny, zimny głos, które-

go Dunn nigdy wcześniej nie słyszał.

Kobieta nazywała się Leisha Hamilton. „Czy rozmawiam z ojcem Scotta Dunna?”, spytała. Wyjaśniła, że jest dziewczyną Scotta, mieszkają

razem. Nazwisko Jima znalazła na rachunku telefonicznym. Scott znik-

nął cztery dni wcześniej, a ona zaczęła się niepokoić.

Dunn nie wiedział, co o tym myśleć.

— Jedyna dziewczyna, o jakiej Scott kiedykolwiek wspomniał, mia-

ła na imię Jessica.

Scott się wyprowadził, kontynuowała Hamilton. Zabrał wszystkie ubrania i po prostu rozpląnął się w powietrzu. Zniknęło nawet ich łóżko.

Zostawił tylko samochód, który wciąż stał zaparkowany przed sklepem.

Kiedy Dunn usłyszał to wszystko, przeszedł go dreszcz.

— Wiedziałem, że stało się coś strasznego. Scott nie ruszał się nigdzie

bez samochodu. Camaro było jego oczkiem w głowie.

Hamilton zadzwoniła ponownie i tym razem Dunn nagrał rozmowę.

Walter poprosił o odtworzenie taśmy.

— Cóż za beznamiętny głos, prawda? — powiedział Dunn, kiedy ato-

nalny dźwięk wypełnił pokój. — Nigdy wcześniej takiego nie słyszałem.

Walter uniósł brew, ale się nie odezwał.

Policja uznała, że to zaginięcie, lecz kiedy Scott nie dał znaku życia

przez kolejne dwa tygodnie, Dunn poleciał do Lubbock, aby rozruszać

śledztwo. Kiedy uświadomił sobie, że jego syn został zamordowany, przeżył wstrząs.

Policja spryskała pustą sypialnię Scotta i Leishy luminolem, aby odnaleźć ewentualne resztki krwi zmytej z pobielonych ścian. Luminol pozwala na wykrycie krwi nawet w minimalnej ilości i stężeniu. Przy kontakcie z tą substancją drobinki krwi zaczynają świecić na niebiesko; poświata utrzymuje się przez trzydzieści sekund.

261

Sypialnia wprost rozbłysła. Olbrzymie plamy i pasy krwi sięgały do połowy ścian i pokrywały sporą część drzwi. Pokój przypominał komnatę tortur, w której doszło do masakry. Testy DNA potwierdziły, że krew należała do Scotta.

Głos Jima zaczął się łamać, gdy podał Walterowi zdjęcia spryskanych luminolem ścian. Był przekonany, że Scott zginął w tym pokoju. Policja zgodziła się, że musiało dojść do morderstwa. Dlaczego jednak nie znaleziono ciała? Policjanci ze specjalnie wyszkolonymi psami

przeczesali okoliczne prerie. Ciało wypatrywano z krążących w powietrzu helikopterów. Przerzucono połowę miejskiego wysypiska. Sprowadzono

nawet parapsychologów, ale i oni nic nie wskórali. „Zgodnie z prawem obowiązującym w Teksasie, stan nie może wnieść oskarżenia o morderstwo, jeżeli nie znaleziono broni, ciała lub przynajmniej jego

fragmentu.

Mamy związane ręce", poinformował Dunna prokurator okręgowy.

Pozbawiona jakichkolwiek poszlak policja nie potrafiła wskazać podej-

rzanych. Przesłuchano wszystkich znajomych Scotta, w tym również jego

kolegów z pracy, ale na niewiele się to zdało. Leisha zeznawała bez opo-

ru. Nie wiedziała, dlaczego Scott miałby w ten sposób zniknąć, niemniej

wyraziła przypuszczenie, że mógł uciec z inną kobietą — miał niezwykle

powodzenie. Nie potrafiła wytłumaczyć, w jaki sposób doszło do zachla-

pania jej sypialni krwią chłopaka.

Nie sprawiała wrażenia całkowicie szczerzej, ale policjanci uznali, że

się boi, i starali się zdobyć jej zaufanie, aby się nie spłoszyła i nie przesta-

ła współpracować. Nikomu nie przeszło nawet przez myśl, że ta drobna

dwudziestoosmioletnia kobieta mogłaby popełnić morderstwo.

Przepętniony żalem Dunn próbował zainteresować sprawą wszystkich:

od biura FBI w Waszyngtonie do gubernatora Teksasu, Georgea Busha.

Na próżno. Samotnie przemierzał prerie zachodniego Teksasu, szukając

ciała. Godzinami rozmawiał z wróżbitami w Baltimore i Filadelfii.

Dunn pojechał do Teksasu i zaprosił Hamilton na obiad, aby zapro-

ponować wspólne poszukiwania Scotta. Po tej rozmowie Leisha nadal do

niego dzwoniła, ale jej wypowiedzi stawały się coraz bardziej podejrze-

ne. Jednego dnia twierdziła, że kocha Scotta i zrobi wszystko, aby go od-  
naleźć; w ciepłych słowach wyrażała też najgłębsze współczucie dla Jima.

262

Kiedy indziej wydawała się nieprzystępna, odpowiadała zdawkowo i sugerowała, że ciało Scotta spoczywa w znanym jej miejscu, którego Jim nigdy nie odnajdzie. Dunn, coraz bardziej nieufny wobec Hamilton i sfrustrowany postawą policji, postanowił przeprowadzić śledztwo na własną rękę.

Pojechał do Nowego Meksyku, aby zweryfikować pogłoskę, że Leisha od-  
siedziała kiedyś wyrok za fałszowanie czeków. Mimo to nadal wyczekiwał

jej telefonów, jako że z kręgu teksańskich znajomych Scotta wydawała się

najlepiej znać jego syna. Hamilton stwierdziła kiedyś, że jako najbliższa

przyjaciółka Scotta to ona powinna dostać jego samochód.

Naciskała na

Dunna, aby dał jej kluczyki.

Szczypty mężczyzna słuchał tej opowieści w milczeniu przez niemal

trzy godziny.

— A zatem, panie Walter, co według pana powinienem zrobić?

— spy-

tał w końcu łamiącym się głosem Dunn. — Czy rzeczywiście doszło do

morderstwa?

Walter zgasił papierosa i spojrzał na Dunna.

— Jim, nie masz już dość roli pogrążonego w żalu ojca?

Dunn otworzył szeroko usta.



— Ja... wydawało mi się, że to zupełnie naturalna postawa. Walter potrząsnął głową, mocno zaciskając usta.

— Nie, do jasnej cholery! Powinieneś być wściekły! Ta dziwka zamor-

dowała twojego syna! Może byśmy ją tak w końcu wsadzili do pierdła, co?!

Dunn siedział oniemiały. Profiler wpatrywał się w niego, czekając na

odpowiedź.

W końcu mężczyzna rozchylił powoli usta w uśmiechu.

— Zaczynajmy — oświadczył.

Waltera nadal niepokoiły emocje targające Dunnem, dlatego postanowił

od razu poruszyć ten temat.

— Najpierw musimy wyraźnie rozgraniczyć twój stan emocjonal-

ny i czynności niezbędne do rozwiązania sprawy. Jeżeli chodzi o miłość,

gniew, nienawiść czy jakiegokolwiek inne uczucie w związku ze Scottem,

możesz je żywić i wyrażać, ale pod żadnym pozorem nie wolno ci ich prze-

lewać na śledztwo. Mógłbyś zaburzyć jego przebieg, a tobie z kolei uczucia

263

zaczęłyby się mieszać z problemami strukturalnymi dochodzenia.

Jeżeli

będziesz miał ochotę, możemy oczywiście omawiać twój stan emocjo-

nalny, niemniej w całkowitym odseparowaniu od sprawy, która wymaga

chłodnego, rzeczowego podejścia.

Dunn przytaknął w milczeniu.

Walter zakazał mu również jakichkolwiek rozmów telefonicznych z Hamilton.

— Nie rozumiesz, o co jej chodzi? — w głosie Waltera pobrzmiwała niecierpliwość. — Próbuje cię zniszczyć emocjonalnie! Chce uczynić cię kolejną ofiarą. Zamordowała twojego syna i się tym przechwala, a teraz stopniowo zabija również ciebie.

Dunn otworzył szeroko oczy.

— Bawi się tobą, jakbyś był marionetką — ciągnął Walter. — Najpierw

zapewnia, że kochała Scotta, za chwilę próbuje od ciebie wyciągnąć jego

samochód. Ty, jako zaangażowany emocjonalnie ojciec, nie potrafisz spo-

kojnie przeanalizować jej zachowania i dostrzec powtarzającego się mo-

tywu. Nie potrafisz jej powstrzymać, ponieważ nie wiesz, kim ona tak

naprawdę jest. A jest psychopatką i to naprawdę niezłą. Właśnie realizu-

je największy przekręt swojego życia. Próbuje owinać sobie ciebie wokół

palca. Doskonale wie, że chcesz znaleźć ciało syna, więc podsyca w tobie

tę nadzieję, odsuwając jednocześnie podejrzenia od siebie.

Dunn siedział pogrążony w myślach.

— Nie potrafisz wzbudzić w sobie nienawiści do tej kobiety... choć-

by trochę?

Twarz Dunna zapłonęła gniewem. Tłumiona emocja wreszcie wydo-

stała się na powierzchnię

— Do diabła, oczywiście, że tak! Nienawidzę jej z całego serca!

Myślę

jednak, że jeżeli będę z nią nadal rozmawiał, dowiem się czegoś

na temat

Scotta. Może się w końcu wygada?

Walter zdjął okulary i utkwił w Dinnie twarde spojrzenie. Mężczyzna opuścił wzrok.

— Zamordowała twojego syna — powiedział Walter. Na jego twarzy malowało się lekceważenie, jakby Hamilton nie zasługiwała nawet na po-

gardę. — Nie musisz jej na nic pozwalać. To nie jest słodka, niewinna

264

istota. Postawimy ją przed sądem. Masz wszelkie prawo jej nienawidzić.

Ta kobieta jest bezwzględna morderczynią i nic tego nie zmieni, nieważ-

ne ile kitu ci wcisnęła.

Dunn sięgnął po leżące na stole wycinki z gazet, jakby chciał zabrać

się do pracy.

— Nie — powstrzymał go zdecydowanie Walter machnięciem ręki,

w której trzymał papierosa. — Nie ma potrzeby, abym zapoznawał się

w tej chwili ze wszystkimi detalami. Wiemy dokładnie, co się zdarzyło.

Leisha Hamilton jest psychopatką. Twój syn wpadł w sieć seksualnej do-

minacji i manipulacji zastawioną przez niezwykle wyrachowaną i silną ko-

bietę. To ona go wykończyła.

Walter wstał, podszedł do okna balkonowego i odchylił zasłonę.

W przymglonych, żółtawych promieniach słońca po Broad Street sunęła

powoli kolumna samochodów.

— Wydzwania do ciebie, ponieważ chce cię podporządkować.

Tymczasem my pozbawimy ją tej władzy. Ona tobą manipuluje, wyciągając kolejne informacje, ponieważ dają jej poczucie władzy, a władza dla psychopaty jest najważniejsza. Jaki z tego morał? Przestań jej współczuć i ogranicz pogawędkę z Leishą Hamilton, ponieważ ona czyta w tobie jak w otwartej księdze. Gdyby się czegoś domyśliła, miałyby to niekorzystne konsekwencje dla ciebie i dla samego śledztwa.

Dunn przełknął ślinę.

— Nie wiedziałem, co robić...

— Nie przejmuj się tym, Jim — przerwał mu Walter. — Jesteś pogrążonym w żałobie ojcem. Nie mam zamiaru o nic cię winić, chcę tylko uwol-

nić cię od destrukcyjnego wpływu tej kobiety. Musimy odzyskać kontrolę

nad sytuacją, a nie pozwalać, by sprawowała ją Hamilton. To spotkanie

jest pierwszym świadectwem, że przejmujemy inicjatywę.

Dunn pokiwał głową. Walter dostrzegł na jego twarzy lekki rumieniec, a w głosie prawdziwe emocje. „Nadal sprawia wrażenie stłamszone-

go. Musi nabrać wiary w siebie”, pomyślał Walter. Podejrzewał, że policja

mogła robić Dunnowi nieprzyjemności z powodu stylu życia Scotta —

chłopak rzucił szkołę i był raz aresztowany za posiadanie niewielkiej ilo-

ści narkotyków. Dunn zdawał się trochę wstydzić za syna.

265

— Jim, wspominałeś, że Scott miał jakieś problemy i nie ułożył

sobie

życia tak, jak byś sobie tego życzył — powiedział Walter.

Dunn pokiwał ze smutkiem głową. Walter machnął niecierpliwie ręką,

jakby Dunn go nie zrozumiał.

— Posłuchaj, Jim. Scott miał dwadzieścia kilka lat, a dzieciaki cza-

sami zachowują się nieodpowiedzialnie i wplątują się w ryzykowne sy-

tuacje. Niekiedy tego rodzaju błędne decyzje prowadzą do tragicznych

w skutkach występków. Wydaje mi się, że najgorszą zbrodnią — jeżeli to

odpowiednie słowo — jaką popełnił Scott, było obdarzenie zaufaniem

nieodpowiedniej osoby, sypianie z nieodpowiednią osobą i stworzenie

związku z nieodpowiednią osobą.

— Wiem, że mój syn nie był ideałem, ale byłem dumny z postępów, ja-

kie robił — stwierdził Dunn.

— Do tego właśnie zmierzam. Często się zdarza, że młodzi ludzie nie-

potrafiący spełnić oczekiwań własnej klasy społecznej lub mający poczucie,

że naruszyli jej standardy, nie wytrzymują presji otoczenia i zaczynają

orientować się na niższą klasę społeczną lub mniej wymagający krąg to-

warzyski — kontynuował profiler. — Ci choćby trochę ambitniejsi po-

stanawiają po jakimś czasie przeorientować się na wcześniejsze standardy

i wrócić do własnej grupy. Wiem, że to elitarystyczna wizja świata, ale tak

to właśnie działa.

— Naprawdę się cieszyłem, kiedy zaczął sobie porządkować życie —  
wtrącił Dunn.

— Przestaje brać narkotyki, dostaje porządną pracę —  
przytaknął Walter. — Mimo że tkwi w toksycznym związku z Leishą Hamilton, jak to

się zdarza dwudziestolatkom, znajduje bardziej wartościowe, prawdziwe uczucie, Jessicę. Próbuje wrócić do klasy społecznej, z której się wywo-

dzi. Leisha odkrywa, że Scott ją za chwilę rzuci, a ponieważ nikt nie rzu-

ca Leishy Hamilton, to ona się go pozbywa. Chłopak miał pecha związać

się z niebezpieczną psychopatką. Nie on pierwszy i nie ostatni. Nieprzy-

padkowo mówi się o uroku psychopatów.

Dunn westchnął.

— Pamiętaj, Jim, że nie będziemy zajmowali się wyłącznie sprawą morderstwa. Scott został pozbawiony możliwości naprawienia błędów

266

młodości i rozpoczęcia porządnego, produktywnego życia.

Naszym za-

daniem, a przede wszystkim twoim jako ojca, będzie podjęcie tego wy-

zwania i oczyszczenie jego dobrego imienia.

— Od czego zaczynamy? — spytał Dunn, nie odrywając wzroku od profilera.

— Wydział policji w Lubbock musi się do mnie zwrócić o pomoc. To-

warzystwo Vidocq'a nie angażuje się w śledztwa, jeśli nie zostanie  
oficjal-

nie zaproszone i nie otrzyma zapewnienia o pełnej współpracy  
policji. Do

tego czasu możemy jedynie dyskutować o sprawie we dwójkę.

— Zadzwoń, żeby ich do tego przekonać — oświadczył z  
zapalem

Dunn. — Muszą mnie zrozumieć.

— Wszystko w rękach policji — powiedział Walter. — Jeżeli  
odmówią,

marnujemy tylko czas. I jeszcze jedno.

Dunn sprawiał wrażenie oszołomionego. Czuł ulgę i jednocześnie  
był

przytłoczony, ale niewątpliwie dostał zastrzyk odwagi i  
 optymizmu.

Rysy twarzy szczupłego mężczyzny wyostrzyły się w mroku  
panują-

cym w pokoju.

— Towarzystwo Vidocq'a pomoże ci w miarę możliwości, ale ja  
oso-

biście daję ci gwarancję, że nie pozwolę, aby morderstwo uszło  
tej dziw-

ce na sucho.

Rozdział 33

Morderstwo w katedrze

Tydzień przed Bożym Narodzeniem na ekranie w Karczmie  
Miejskiej

zmaterializowała się mała dziewczynka o jasnych włosach,  
martwa od

trzydziestu lat. Drobne, posiniaczone i poranione ciało z  
pozbawioną ży-

cia, ziemistą twarzą połyskiwało w promieniach południowego  
słońca.

Fleisher dostał drgawek. Wyglądał, jakby zobaczył ducha.

Tego samego dnia rano w domu towarowym Strawbridge &

Clothier

widział Ebenezera Scroogea trzęsącego się na widok Ducha minionych

świąt Bożego Narodzenia w wystawianym tradycyjnie co rok przedstawie-

niu na podstawie Opowieści wigilijnej Charlesa Dickensa.

Zamordowa-

na dziewczynka z fotografii, dziewięcioletnia Carol Ann

Dougherty, nie

była wytworem niczyjej wyobraźni. Fleisher nie dygotał ze strachu. Dy-

gotał z wściekłości.

Zabójstwo Dougherty było jednym z jego najsmutniejszych i najbar-

ziej traumatycznych wspomnień z dzieciństwa. Zwłoki Carol Ann znale-

ziono w październiku 1962 roku w kościele św. Marka w Bristolu, jednym

z przedmieść Filadelfii, niedaleko od domu Fleishera. Została zgwałcona

i zamordowana. Uczennica piątej klasy szkółki parafialnej zginęła w cza-

sach, gdy policja i opinia publiczna nie zdawały sobie w pełni sprawy

z perwersyjnych potrzeb seksualnych wielu księży oraz trwającej od daw-

na w Kościele katolickim praktyki przenoszenia księży pedofilów — tych

wilków w owczej skórze — od jednej bezbronnej trzódki do drugiej, co

268

umożliwiało im dalsze wykorzystywanie dzieci. Morderca Carol nigdy nie

odpowiedział za swoje czyny.

Kiedy rankiem 17 grudnia 1992 roku Towarzystwo Vidocq'a



zaczyna-  
ło analizować sprawę „Morderstwa na chórze”, Fleisher przekuł  
kipiący  
w swoim wnętrzu gniew w pragnienie odrobienia zaniedbań z  
przeszłości.  
Trzydzieści lat, jeden miesiąc i dwadzieścia pięć dni po  
morderstwie ko-  
misarz policji z Bristolu Frank Peranteau oraz oficer śledczy  
Randy Moore  
weszli na mównicę, aby przedstawić sprawę członkom klubu.  
„Przyda  
nam się każda pomoc”, powiedział wcześniej Peranteau. Seria  
artykułów  
w dzienniku „Courier Times” autorstwa J.D. Mullanea obudziła na  
nowo  
zainteresowanie najstarszą nierozwiązaną sprawą hrabstwa  
Bucks. Tamtej-  
szy prokurator okręgowy postanowił zbadać zasadność  
wznowienia śledz-  
stwa i powołał w tym celu ławę przysięgłych. Komisarz Peranteau  
otrzymał  
sprawę w spadku po poprzedniku, Vincencie Faragallim, który  
odszedł na  
emeryturę trzynaście lat wcześniej. Faragalli miał obsesję na  
punkcie tego  
przypadku, nosił nawet w portfelu zdjęcie Carol. Policjanci  
przyznali, że  
nigdy „nie zdołali zbliżyć się” do rozwiązania.  
Leżące na plecach ciało Dougherty znaleziono na chórze w dniu,  
w którym została zgwałcona i zamordowana. Była to jedna z tych  
spraw,  
przy których kelnerzy i kelnerki obsługujący gości w Sali  
Morderstw od-  
wracali głowy. Światło sączące się przez witraż pozwalało  
dostrzec, że ja-

sne włosy dziewczynki były potargane. Czerwona spinka, która normalnie zbierała je w koński ogon, leżała na podeście. Jedna ze stóp była bosa; but odrzucono na bok, skarpetką zakneblowano usta. Prawa rączka Carol została wykręcona na plecy. W lewej, wyprostowanej, trzymała trzy ciemne męskie włosy łonowe, które wyrwała w tragicznie zakończonej szamotaninie. Została zgwałcona; na miejscu zbrodni znaleziono nasienie mężczyzny. Podłużne zaczerwienienie na szyi — ślad po sznurze, którą ją uduszono — wydawało się odpowiadać fakturze cingulum, którym kapłani przewiązują w pasie szaty liturgiczne. W Kościele katolickim cingulum symbolizuje czystość duchownego. Jeden z kilku żyjących policjantów, którzy trzydzieści lat wcześniej prowadzili dochodzenie, wyznał dziennikarzowi „Courier Times”, że

269

sprawa zupełnie go rozbiła. „Do śledztwa podszedłem z pełnym zaangażowaniem, ponieważ sam miałem wtedy dziewięcioletnią córkę. Człowiek patrzył na tę dziewczyneczkę leżącą na chórze i nie mógł powstrzymać łez”.

Fleisher czuł, jak przedświąteczny pogodny nastrój ustępuje miejsca zgrozie. Kiedy tego poranka szedł przez obwieszane kolorowymi lampkami miasto, pozwolił sobie na chwilę zadowolenia z dzieła, jakim

było

Towarzystwo Vidocq'a. Detektywi wprost palili się do walki o sprawiedli-

wość. Richard Walter przebywał akurat w zachodnim Teksasie, doradza-

jąc miejscowej policji w sprawie Dunna. Fleisher uśmiechnął się na myśl

o zgryźliwym mrocznym rycerzu, wymachującym rapierem przed nosem

podejrzanych albo policji — generalnie każdego, kto wszedł mu w drogę.

Agent specjalny Urzędu Celnego Joe O'Kane, odpowiedzialny w Towa-

rzystwie za nadzorowanie spraw, odpisywał na stosy listów przysyłanych

przez pogrążonych w żałobie, skrzywdzonych ludzi z całego kraju. Roze-

szła się wieść, że grupa pracujących pro publico bono detektywów z Mia-

sta Braterskiej Miłości walczy o sprawiedliwość w sprawach związanych

z morderstwami, których nie udało się rozwiązać policji.

Teraz jednak, zauważył Fleisher, wśród jego kolegów zapadło milczenie.

„Wszyscy byliśmy poruszeni do żywego”, wspominał. Fleisher wiedział, że

tego dnia będą zajmowali się jednym z najgłośniejszych morderstw z cza-

sów jego dzieciństwa, nie przypuszczał jednak, że już fotografia ofiary

zrobi na nim takie wrażenie. Spoglądając na twarze doświadczonych de-

tektywów, miał pewność, że zdołają rozwiązać zagadkę i tego morderstwa.

W poniedziałek 22 października 1962 roku prezydent John F.

Kenne-  
dy wystąpił w telewizji publicznej, aby poinformować obywateli, że  
Zwią-  
zek Radziecki zainstalował wyrzutnie pocisków nuklearnych na  
Kubie, sto  
pięćdziesiąt kilometrów na południe od Florydy. Tego popołudnia  
Carol  
pojechała po szkole rowerem do biblioteki, aby odebrać książkę i  
spotkać  
się z dwiema koleżankami. Policji nie udało się ustalić, dlaczego  
po drodze  
zatrzymała się w starym kamiennym kościele nad brzegiem rzeki.  
Tam-  
tejsze zakonnice często zachęcały wiernych, aby wstępowali do  
świątyni  
na krótką modlitwę, kiedy tylko przechodzą obok. Świadkowie  
widzieli,  
jak Carol wchodzi do kościoła o czwartej.

270

Rodzice zaczęli jej szukać godzinę później, kiedy nie wróciła do  
domu  
na obiad. Frank Dougherty, z zawodu drukarz, znalazł jej rower  
na scho-  
dach kościoła św. Marka i wszedł do środka. Po chwili wybiegł na  
ze-  
wnętrz i zaczął wołać o pomoc. Wieść o morderstwie szybko  
rozeszła się  
po okolicy i setki ludzi zgromadziło się za taśmami ogradzającymi  
teren  
kościół, jednego z miejsc, w których od XIX wieku ogniskowało  
się życie  
lokalnej wspólnoty. Zapadła noc. Na miejsce przybyli policjanci i  
lekarz  
sądowy. Niektórzy ludzie w tłumie wznosili okrzyki i płakali.  
Szeptano:

„W kościele zamordowano dziewczynkę!”. Ludzie nie chcieli odejść, jakby zamierzali wytrwać tam do czasu, gdy świat ponownie powróci do stanu normalności. Po siedmiu godzinach komendant Vincent Faragalli poprosił, aby rozeszli się do domów. „Na razie nic jeszcze nie wiemy”. Faragalli ustalił, że na kilka minut zanim do kościoła weszła Carol, gospodyni parafii widziała osobę klęczącą w kościelnej ławce. Komisarz chciał za wszelką cenę ustalić tożsamość „tajemniczego świadka”, ale wszelkie prośby o możliwość przesłuchania pracowników parafii były odrzucane przez księdza Paula Bairda. Duchowny kierujący kościołem św. Marka nie pozwolił również na przesłuchanie księży Josepha Sabadisha i Michaela Carrola. Niemniej policja zdążyła przesłuchać Sabadisha już wcześniej i to właśnie na nim skupiła uwagę. Podczas rozmowy z oficerami śledczymi Sabadish plątał się w zeznaniach i sprawiał wrażenie niezwykle zdenerwowanego. Podał alibi, które policja z łatwością podważyła. Ksiądz twierdził, że w czasie gdy doszło do morderstwa, on znajdował się kilka przecznic od kościoła, na West Circle. Miał składać parafianom wizytę duszpasterską, co księży ze św. Marka czynili raz do roku. Oficer śledczy, z którym po latach rozmawiał reporter Mullane, stwierdził, że Sabadish kłamał. „W drzwiach jednego z domów zostawił liścik, z którego wynikało,

że

na West Circle przebywał kilka godzin przed morderstwem", powiedział.

W 1962 roku sprzedawca ze sklepu obuwniczego w Bristolu opowie-

dział policji, że tamtego popołudnia Sabadish zjawił się u niego przed

16.30, czyli, jak sądziła policja, tuż po śmierci Carol. Ksiądz miał się dziw-

nie zachowywać. Nerwowo zapytał sprzedawcę o godzinę, następnie zadał

osobliwe, biorąc pod uwagę widoczny asortyment, pytanie: „Czy macie

271

bieliznę?". Sprzedawca pamiętał, że Sabadish miał na ręku zegarek, więc

musiał wiedzieć, która jest godzina. Policjanci podejrzewali, że ksiądz pró-

bował zapewnić sobie alibi. Czyżby Sabadish był seksualnym dewiantem?

Potwierdzeniem tej hipotezy mogły być zdobyte przez policję rachunki za

zakupy, które Sabadish zrobił w ekskluzywnym sklepie z damską bielizną.

Policja równolegle badała inne wątki, jednak dzień przed Halloween,

czyli tydzień po rozpoczęciu śledztwa, do komisarza Faragallogo dotar-

ła niepokojąca informacja, która ponownie zwróciła uwagę policji na Sa-

badisha. Zamężna kobieta z pobliskich Fairless Hills zeznała policji, że

trzy tygodnie przed morderstwem Dougherty Sabadish groził jej gwałtem.

Księdza poznała przed laty, kiedy mieszkała w domu dla

niezameężnych  
matek, gdzie on pełnił funkcję kapelana. Teraz w rozmowie telefonicznej składał jej seksualne propozycje, oświadczając między innymi, że chce ją zgwałcić. Powiedział, że nie musi się obawiać zajścia w ciążę, ponieważ jest bezpłodny. Mąż kobiety wpadł we wściekłość i zadzwonił do Sabadisha. Rozmowę nagrał na magnetofon. Sabadish przyznał się do składania nieprzyzwoitych propozycji i wypowiedzania gróźb o charakterze seksualnym. Przepraszył i obiecał, że taka sytuacja nigdy więcej się nie powtórzy. Komisarz Faragalli odsłuchał nagranie. Zgarnął Sabadisha z ulicy, wepchnął do nieoznakowanego samochodu i zawiózł do sądu hrabstwa Bucks w Doylestown, gdzie oficer śledczy poddał księdza testowi wykrywaczem kłamstw. Sabadish przeszedł badanie pomyślnie. Policja zaczęła badać innych podejrzanych. Do zamordowania Carol przyznał się znany w okolicy pijak. Dopiero po jakimś czasie stwierdzono, że mężczyzna jest chory psychicznie, a zeznanie wymusił na nim policjant z Bristolu. Na pierwsze miejsce listy podejrzanych wysunął się mężczyzna, który był już kiedyś karany za molestowanie dzieci, ale zdołał dowieść, że w czasie popełnienia morderstwa przebywał w innym stanie.

Policjanci prezentujący sprawę na lunchu Towarzystwa Vidocqa wspomnieli, że Frank Dougherty nie potrafił pogodzić się z tym, że po śmierci Carol Kościół odwrócił się od jego rodziny. Ojciec Sabadish unikał kontaktu wzrokowego. Ani on, ani księża Carroll i Baird nie zadzwonili do

272

Doughertych choćby z kilkoma słowami pocieszenia. Kiedy Frank zapytał Sabadisha podczas spowiedzi: „Ojcze, czy mam prawo sądzić, że jakiś ksiądz mógł zabić moją córkę?”, kapłan wstał i opuścił konfesjonał.

Policja nie przesłuchała już więcej Sabadisha.

— Nie dysponowaliśmy żadnymi konkretnymi dowodami łączącymi go z morderstwem, pomijając wykrętne odpowiedzi, których udzielał

w trakcie przesłuchania — tłumaczył jeden z oficerów śledczych.

Niedługo po badaniu wykrywaczem kłamstw Kościół po cichu przeniósł Sabadisha do innej parafii; wiernym ze św. Marka nie poda-

no przyczyn tej decyzji. Wrócił kilka miesięcy później — ponownie nie wyjaśniono dlaczego. Pięć lat później trafił do parafii św.

Wilhelma

w Filadelfii. W ciągu kolejnych osiemnastu lat przenosił się jeszcze dwu-

nastokrotnie w obrębie archidiecezji wschodniej Filadelfii. Kilka tygo-

dni przed lunchem w Towarzystwie Vidocqa reporter Mullane ustalił, że

siedemdziesięciokilkuletni ojciec Sabadish pracuje jako kapelan w katolic-

kim szpitalu w hrabstwie Montgomery. Mullane zapytał starego



księdza,  
czy to on zabił Carol Ann Dougherty. Sabadish gwałtownie  
zaprotestował,  
nazywając tego rodzaju oskarżenia „całkowicie bezpodstawnymi”.  
Zaprze-  
czył, jakoby przed laty składał przez telefon nieprzyzwoite  
propozycje ko-  
biecie z Fairless Hills. „Pierwsze słyszę”, oświadczył. Policjantów  
wyzwał  
od wariatów. Po ukazaniu się artykułów zadzwonił do Mullanea i  
wście-  
kły, nazwał go antykatolikiem.  
Policja z Bristolu wznowiła śledztwo; na liście podejrzanych  
znajdo-  
wało się kilka osób. Towarzystwo Vidocq’a poradziło oficerom, by  
zbadali  
nasienie, włosy łonowe i rozmazany odcisk palca pozostawiony  
na spince  
do włosów Carol. Najprawdopodobniej wszystkie należały do  
mordercy.  
Po lunchu Fleisher opuścił Karczmę Miejską z mocnym  
postanowie-  
niem wykrycia sprawcy. „Zamordował ją ten ksiądz”, powiedział.  
„Wszy-  
scy wiemy, że winny jest ksiądz”.  
Kilka dni później Towarzystwo Vidocq’a utworzyło grupę roboczą,  
której zadaniem było postawienie mordercy Carol Ann Dougherty  
przed  
sądem.

## Rozdział 34

Chcę usłyszeć szczęk kajdanek  
W pokoju panował grafitowy półmrok; na chodnikach pod  
budynkiem  
połyskiwał lód. Przenikliwy północny wiatr smagał okna wydziału  
do-

chodzeniowo-śledczego komendy policji w Lubbock. Przybysz z Filadelfii nie miał miłych wspomnień z ostatniego tygodnia, który spędził na równinach zachodniego Teksasu. Przesiadywał w radiowozie, wpatrując się ponurym wzrokiem w pola bawełny falujące pod ciemnym, przywodzącym na myśl Dzień Sądu niebem. Dobre miejsce do polowania na gęsi, mówili. „Akurat... Raczej pierdolona pustynia, gdzie psy dupami szczekają”, odpowiedział w myślach. Nienawidził takiego przejmującego zimna. Humor poprawiła mu dopiero lektura gazety „Lubbock Avalanche-Journal”, w której znalazł następujący nagłówek: „superdetektyw wezwany, by rzucić światło na tajemnicze zaginięcie”. Na pierwszej stronie umieszczono entuzjastyczną relację z jego przyjazdu, ale dopiero dokończenie z drugiej strony sprawiło, że znalazł się na ustach całego miasta. „detektyw zamierza rozwiązać sprawę dunna”. Walter stwierdzał śmiało, że policja w Lubbock w nieodległym czasie wskaże mordercę. Po całym dniu studiowania akt sprawy, przesłuchiwanie świadków i rozmów z policjantami Walter obiecał, że osiemnastomiesięczny okres triumfu odrażających i przebiegłych morderców wkrótce dobiegnie końca. Z jego dotychczasowej analizy wynikało, że za zniknięcie Dunna odpowiadali ludzie inteligentni, którzy popełnili wszakże szereg błędów. Nieświadomie zdradzili mu swoje metody

postępowania,  
274

zostawiając za sobą ślady i strzępki informacji, które ostatecznie miały doprowadzić do ich zguby.

— Złapiemy ich, bo, po pierwsze, ta sprawa na to zasługuje, a po drugie, nie lubię ponosić porażek w śledztwach. Mam mentalność buldoga, interesuje mnie tylko jedno: chcę usłyszeć szczęk kajdanek. Chcę wreszcie doprowadzić tę sprawę do końca. Na miejscu mordercy nie czułbym się bezpiecznie i nie kupowałbym zielonych bananów.

O ósmej rano grudniowego dnia 1992 roku Walter spotkał się z kapralem,

sierżantem i oficerem śledczym. Ubrany w niebieski garnitur psycholog wyglądał na wypoczętego i rześkiego, a jego niebieskie oczy lśniły

nad wpiętą w klapę szpilką w kolorach francuskiej flagi. Oficer śledczy Tal

English był wysokim dwudziestosiedmioletnim mężczyzną o skromnym

obejściu, pasującym jakoś do jego płowych włosów i kowbojskich butów.

W ciągu kilku miesięcy telefonicznych kontaktów między nim i Walterem

wytworzyła się koleżeńska więź. Psycholog wychrypiał kiedyś do słuchawki:

„Młody człowieku, przejdziemy przez bramę piekła i wyciągniemy to

śledztwo z powrotem do świata żywych". Dystyngowany, szpakowaty kapra-

prał George White oraz duży i łysy sierżant Randy McGuire

siedzieli  
w milczeniu, przyglądając się z ciekawością psychologowi. Oparta  
na wza-  
jemnym szacunku współpraca układała się dobrze, ale dwaj  
doświadczeni  
policjanci nie mieli jeszcze okazji spotkać się oko w oko z  
„superdetekty-  
wem” z Towarzystwa Vidocq’a.  
Po wymianie tradycyjnych teksańskich uprzejmości, które Walter  
za-  
wsze doceniał, psycholog przeszedł od razu do rzeczy: powinni  
natych-  
miast udać się do prokuratora okręgowego Trávisa Warea. Walter  
chciał,  
aby prokurator wniósł oskarżenie przeciwko Leishy Hamilton oraz  
jej są-  
siadowi i kochankowi Timowi Smithowi. Zdaniem Waltera byli  
wspól-  
nikami.  
Kapral White i sierżant McGuire obrzucili przybysza z Filadelfii  
prze-  
ciągłymi spojrzeniami. Toczące się od roku śledztwo traktowano  
prio-  
rytetowo. Jim Dunn, ojciec Scotta, pochodził z tamtych stron i  
należał  
do najbardziej znanych absolwentów Politechniki Teksańskiej.  
Jego naj-  
lepszym przyjacielem był kolega ze studiów, W.R. Collier,  
dyrektor naj-  
większego lokalnego banku w Lubbock. W niezwykle ważne dla  
lokalnej  
275  
społeczności dochodzenie w sprawie zniknięcia syna  
marnotrawnego —  
który rozpułnął się w oparach seksu i krwi policja zainwestowała

tysiące  
roboczogodzin. Morderstwa w osiemdziesięciosześciotysięcznym  
Lub-  
bock były zjawiskiem relatywnie rzadkim, niemniej doniesienia o  
przebie-  
gu akurat tego śledztwa czytali przy kawie mieszkańcy Plainview,  
Dallas,  
a nawet Jacksonville na Florydzie. Policja robiła wszystko, aby  
znaleźć  
sprawców. Lubili Waltera, a on ich („miejscowi gliniarze to równi  
go-  
ście”), ale nie potrafili zrozumieć, jak czarująca  
dwudziestoośmioletnia  
kobietka mogła stworzyć tak rozległą sieć kłamstw i popełnić z  
zimną  
krwią morderstwo.  
Walter próbował ich przekonać do swoich argumentów.  
— To śledztwo przypomina próby schwycenia w dłonie dymu —  
po-  
wiedział. — Możecie go zobaczyć, możecie go poczuć, ale trudno  
go  
złapać.  
Walter zaproponował, by raz jeszcze przeanalizowali miejsce  
zbrod-  
ni — sypialnię, której ściany i sufit zostały zbryzgane krwią.  
Wszyscy zgo-  
dzili się, że Scott Dunn bez wątpienia zginął w tym pokoju, ale  
policjanci  
twierdzili, że na tym kończą się ich możliwości, ponieważ nie  
znalezio-  
no ani ciała, ani broni. Teksasńskie prawo nie pozwalało oskarżyć  
nikogo  
o morderstwo bez fizycznych dowodów zbrodni, o czym  
nieustannie przy-  
pominał im prokurator okręgowy.

Walter miał inny pogląd na tę sprawę.

— No dobrze, rzeczywiście nie mamy ciała, ale potraktujemy jego brak jako wskazówkę. Wykorzystajmy ten fakt do posunięcia śledztwa naprzód.

Szkopuł w tym, opowiadał w prywatnych rozmowach Walter, że „gli-

niarze potrzebują konkretów. Myślą w kategoriach struktury. Całe docho-

dzenie jest ze swej natury ustrukturyzowane. Tradycyjna metoda polega

na prowadzeniu śledztwa od wewnątrz, a punktem wyjścia stają się zgro-

madzone dowody. Jeżeli nie ma ciała, brakuje podstawowego dowodu

i to zamyka sprawę. W takiej sytuacji należy poprowadzić śledztwo od

zewnątrz, czyli skupić się na badaniach laboratoryjnych, przeanalizować

miejsce zbrodni". Walter uśmiechnął się pod nosem na myśl, że to właśnie

ekscentryczny Eugène François Vidocq w dziewiętnastowiecznym Paryżu

276 jako pierwszy miał czelność zapoznać prostolinijnie myślących żandar-

mów z szerszym i głębszym spojrzeniem na śledztwo.

„Policjanci mają rację, gdy twierdzą, że kluczową rolę odgrywają dowo-

dy znalezione na miejscu zbrodni", przyznał w myślach. „Analizę należy

zawsze opierać na faktach, ale trzeba myśleć wielotorowo, a nie linearnie.

Niestety, niewiele osób to potrafi".

Upił łyk chłodnej kawy.

— Panowie, czasami ważniejsze jest to, czego nie ma na miejscu zbrodni, niż to, co jest — oświadczył. Podniósł fotografię przedstawiającą efekt spryskania ścian pokoju luminolem. — Co widzicie, a czego nie widzicie?

Nie widzicie zbrodni w jej najbardziej rudymen tarnej formie, niemniej jej istota przetrwała.

— W tym pokoju rozegrała się jakaś makabryczna scena — kontynuował. — Zmasakrowano człowieka, a starannie oczyszczone ściany świadczą o tym, że morderca drobiazgowo zaplanował całą operację. Doskonale wiedział, co robi, i miał określony cel. Nie było to morderstwo rekreacyjne.

Przy słowie „rekreacyjne” policjanci zrobili zdumione miny.

— Morderca rekreacyjny — pośpieszył z wyjaśnieniem Walter — w rodzaju Bundy’ego wybiera przypadkową ofiarę i zabija ją dla sadystycznej przyjemności. Zostawiłby po sobie większy nieład i miejsce zbrodni naładowane symboliką. Ponieważ nie widzimy tego rodzaju śladów, możemy wyciągnąć wniosek, że zabójca znał Scotta.

Przerwał na chwilę, aby policjanci mogli ten wniosek przetrwać.

— Staranie zaplanowane morderstwo, uprzątnięcie miejsca zbrodni oraz brutalne zniszczenie i pozbycie się ciała wskazują na mordercę o tak zwanym profilu stanowczej siły — kontynuował. — To łatwy do rozpo-

znania typ, z którym w przeszłości wielokrotnie miałem do czynienia.

Zabija, bo dąży do całkowitej kontroli i dominacji. Nie chodzi tu jednak o zaspokojenie potrzeby władzy za pośrednictwem jakiejś

fantazji, ale

o siłę w stylu Johna Waynea: atak prawdziwego macho. Brutalny i nie-

skomplikowany: obezwładnić, skrupować, poddać torturom, zabić, po-

zbyć się ciała. Władza z gatunku: „Ja wygrywam, ty przegrywasz”.

Zimny uśmiech przebiegł przez twarz Waltera.

— Tak, na kilometr śmierdzi to mordercą o profilu stanowczej siły.

277

Zachęcił ich do przeanalizowania związku Scotta i Leishy.

Dwudziesto-

czteroletni Scott był przystojnym, bystrym, pewnym siebie kobieciarzem.

Zdobycie Leishy musiał potraktować jako ekscytujące wyzwanie.

Była od

niego starsza, równie jak on inteligentna, seksowna, nonszalancka i do-

bra w łóżku. Nie zaprzętał sobie głowy jej charakterem, tymczasem kobie-

ta była najzwyczajszą w świecie manipulatką, swego rodzaju Matą Hari.

— Leisha miała na koncie wielu przygodnych kochanków, mężów,

przelotnych partnerów, chcianych i niechcianych dzieci. Urodziła sześć-

ro dzieci i nie wiedziała, kto jest ojcem części z nich. Policji wyznała, że

kocha jedynie te, które poczęły się z miłości — zauważył



ironicznie Walter.

Przerwał, aby słuchacze mieli chwilę na przemyślenie kolejnej porcji informacji.

— Również Leisha mogła uważać usidlenie Scotta za wyzwanie. Związek dawałby jej dostęp do majątku jego ojca. Tymczasem, jak to typowo

wy dwudziestoczerolatek, Scott widział w niej partnerkę seksualną, a nie

dziewczynę, którą chciałby przedstawić mamie i tacie. Chłopak wycho-

dził akurat wtedy na prostą, więc kiedy spotkał „porządną” dziewczynę,

prawdziwą miłość, postanowił zostawić Hamilton.

Los Scotta został przesądzony w dniu, w którym Leisha odebrała telefon od niedoszłej narzeczonej. „Nikt nie rzuca Leishy Hamilton.

Wykluczone!”

Na twarz Waltera wystąpił szary odcień.

— Kiedy prześledzimy życie Leishy, widzimy wyraźnie, że ta kobieta

nie potrafi znieść najmniejszego odrzucenia, utraty kontroli.

Stworzyła

kilka krótkotrwałych związków. Nie były monogamiczne, ponieważ

mniej zależało jej na zdobywaniu mężczyzn, a bardziej na odbieraniu im

męskości. Ale Scott to również dość silna osobowość. Z tego rodzaju ję-

dzowatą kobietą może mieć romans, ale nie zamierza jej przedstawiać ro-

dzicom. Na scenę wkracza Jessica i chłopak nabiera wiary w siebie. Nie

potrzebuje już Leishy. Ale odrzucenie względów psychopaty, powiedzenie mu: „Jestem od ciebie lepszy”, to prosta droga do załatwienia sobie wyroku śmierci.

— Wszystkie poczynania Hamilton świadczą o tym, że jest psychopatką — stwierdził ponuro. — Spragniona władzy wiedźma wybiera sobie

278

młodszych mężczyzn, uwodzi ich i próbuje kontrolować za pomocą seksu i gróźb. W końcu trafiła na takiego, który nie podjął gry, albo podjął, tylko że sam zaczął ustalać reguły — i nie umiała znieść upokorzenia i zakwestionowania jej dominującej pozycji.

Walter podejrzewał, że przygotowując się do zamordowania Scotta,

Leisha owinęła sobie wokół palca kilku jego kolegów z pracy, którzy dali

się wplątać w zastawioną przez nią sieć gróźb. Wielu żywiło do Scotta silną

urazę, gdyż „w firmie panowała atmosfera współzawodnictwa i rywalizacji; wszyscy sobie nawzajem wszystkiego zazdrościli”. Scott był

nie tylko gwiazdą, „stereokowbojem” i przystojniakiem z reklam telewizyjnych

sklepu, ale uchodził za człowieka pewnego siebie i aroganckiego.

„Na każdym kroku przypominał wszystkim o swoim gwiazdorskim statusie, nie

zdając sobie nawet sprawy z możliwych konsekwencji swojego zachowa-

nia.

nia", wyjaśniał Walter. Psycholog podejrzewał, że sklep stosował popularny przekręt polegający na zlecaniu kradzieży i odsprzedawaniu własnego sprzętu nagłaśniającego. „Scott o tym wiedział i w razie czego miałby na nich haka. Zwróćcie uwagę, że na tydzień przed zniknięciem Scott i jego szef pobili się na tyłach sklepu". Policja próbowała odszukać licznych byłych kochanków Leishy, jednak w ocenie Waltera tylko kilka osób miało dostęp do Scotta. Sekwencja wydarzeń, która doprowadziła do zamordowania Scotta, miała początek na imprezie w domu jego szefa. Leisha na nią przyszła, ale nie ze Scottem. Jemu towarzyszyła wysoka, piękna blondynka, która zdaniem Waltera uprawiała następnie seks oralny z innymi mężczyznami. „Kiedy ich o to zapytałem, wszyscy zaprzeczyli, ale wielu spuściło wzrok", wyjaśnił. Na zakończenie wieczoru Scott ogłosił triumfalnie: „Tak wam się podoobało, a to był transwestyta!" Nie trzeba dodawać, że ujawnienie tego rodzaju grzeszku zrujnowałoby życie wielu mężczyzn pracujących w sklepie. W ten sposób zamiast do zbrodni zaplanowanej, doszło do zbrodni improwizowanej w konsekwencji nadarzającej się sposobności. Leisha zeznała, że jeszcze na przyjęciu Scott rozchorował się na grypę. Osłabł tak bardzo, że nie mógł ustać na nogach. Walter inaczej

interpre-  
tował zdarzenia tamtego wieczoru: mordercy już wtedy zaczęli  
wcie-  
lać w życie nowy plan. „Moim zdaniem został otruty  
organofosforanem,  
279  
jakimś środkiem czyszczącym. Świadczy o tym niska tolerancja  
na światło  
i dźwięk”. Scott spędził noc na sofie w domu szefa. Następnego  
popołu-  
dnia zjawiała się Leisha i zabrała go do siebie. Sąsiadka widziała,  
jak Ha-  
milton prowadzi schodami ślaniającego się młodego mężczyznę i  
wchodzi  
z nim do mieszkania. Od tego czasu nikt poza Leishą i kolegą z  
pracy nie  
widział Scotta. Leisha zeznała, że tego dnia wyszła do sklepu po  
zupę i ter-  
mometr, a potem czuwała przy Scotcie przez całą noc i następny  
dzień.  
Rano przyszedł po niego kolega z pracy, ale Scott nadal był  
chory. Póź-  
niej już nikt nie widział go żywego.  
Leisha poprosiła mieszkającego obok Tima Smitha, młodego  
ewange-  
lika, o pomoc w zamordowaniu Scotta. Smith zasypywał ją  
wcześniej lista-  
mi miłosnymi, w których znalazł się między innymi następujący  
fragment:  
„Gdyby Scott zniknął, moglibyśmy być razem”. Taśmą klejącą  
przyniesio-  
ną z mieszkania Smitha szczelnie owinęli przesiąknięty krwią  
dywan z sy-  
pialni i zastąpili go nowym.  
— To typowa metoda postępowania mordercy o profilu

stanowczej  
siły — powiedział Walter. — Klasyka. Jeżeli takim mordercą jest  
kobie-  
ta, do osiągnięcia swoich celów posługuje się flirtem i seksem; do  
przemo-  
cy ucieka się dopiero, gdy zostanie podważona jej dominująca  
pozycja.  
Najczęściej obezwładnia silniejszego od niej mężczyzny  
podstępem lub  
pozyskuje życzliwie do niej nastawionego, słabego współnika.  
Leisha zro-  
biła obie te rzeczy. Typowy morderca o profilu stanowczej siły  
odczuwa  
ponadto potrzebę przechwalania się morderstwem. Włącza się  
aktywnie  
w śledztwo i próbuje przejąć nad nim kontrolę, aby w ten sposób  
podsy-  
cić fantazje związane ze zbrodnią.  
Zwracając na siebie uwagę, Leisha popełniła gruby błąd.  
— W jaki sposób dowiedzieliśmy się o morderstwie? Ano w  
taki, że  
Leisha zadzwoniła do Jima Dunna. W ten sposób doprowadziła  
do  
wszczęcia śledztwa, nie tylko kierując je na określony tor —  
zdawała so-  
bie przecież sprawę, że Jim będzie szukał Scotta — ale również  
ujaw-  
niając swoje nienasycone pragnienie władzy. Ukatrupiła już syna,  
a teraz  
postanawia wykończyć ojca. Następnie kokietuje policjantów,  
przedsta-  
wiając się w roli skrzywdzonej kobiety, wydzwanając do nich  
nieustan-  
nie z nowymi informacjami, udając strach przed Timem Smithem.  
Po

morderstwie wprowadziła się do niego, aby go sobie do końca podpo-  
rządkować, ostatecznie bowiem to na niego ma spaść  
odpowiedzialność  
za zbrodnię. Potrzeba stymulacji, zaspokajania próżności jest u  
psychopa-  
ty praktycznie nienasycona. Tacy ludzie uważają się za  
przebieglejszych od  
innych; odczuwają przyjemność, mogąc zagrać nam na nosie.  
W opublikowanym w „Avalanche-Journal” artykule na temat  
przyby-  
cia Waltera zacytowano wypowiedź Leishy, w której stwierdzała,  
że Smith  
miał status podejrzanego w śledztwie i był niesłychanie zazdrosny  
o jej  
związek ze Scottem.  
Smith nie przyszedł do pracy w dniu, w którym Scott został  
zamor-  
dowany. Hamilton nie umiała wytłumaczyć, co robiła tego dnia,  
choć  
wydarzenia poprzednich i kolejnych dni potrafiła odtworzyć  
niezwykle  
szczegółowo.  
Walter uważał, że samo morderstwo miało makabryczny  
przebieg.  
Podtruty Scott przeżył dwa dni w sypialni, skrępowany i  
torturowany.  
„Mordercy tego rodzaju zazwyczaj używają broni palnej do  
poskromienia  
lub zastraszenia ofiary. Z kolei bronią białą uderzają, tną i w inny  
spo-  
sób znęcają się nad ofiarą, czerpiąc z zadawania tortur  
satisfakcję emo-  
cjonalną. Świadectwem użycia takiej broni są w tym wypadku

obryzgane  
krwią ściany. Znęcanie się nad ofiarą pozwala mordercy  
przewyciężyć  
strach i niepewność oraz przywrócić poczucie dominacji. Musiało  
paść  
wiele zdań w rodzaju: „I co, nadal chcesz mnie zostawić, gnojku?  
Co po-  
wiesz na to?!”. Scott przekroczył granicę, podważając władzę tej  
kobiety  
i zapłacił za to życiem.

Zdaniem Waltera w noc po morderstwie Leisha i Tim uprawiali  
seks  
w jej mieszkaniu.

— Taki drobny wyraz wdzięczności z jej strony — powiedział Wal-  
ter. — Ale dopiero po usunięciu ciała i uprzątnięciu pokoju. Nawet psy-  
chopaci mają jakieś standardy — dodał z paskudnym  
uśmiechem.

Oficer śledczy English kręcił ze smutkiem głową, przerażony  
skalą  
wyrządzonego zła. Opadł na krzesło z głośnym westchnieniem.

Spo-  
rządzony przez Waltera profil psychologiczny Leishy jako  
psychopatki  
wydawał mu się trafny. Teraz rozumiał, dlaczego Jim Dunn  
określił usta-  
lenia Waltera mianem „niesłychanych”. Nie przekonała go  
wszakże teoria

281

o spisku, a i dwaj pozostali funkcjonariusze wydawali się w nią  
powątpie-  
wać. Policjanci wiedzieli, że Hamilton zataiła przed nimi jakieś  
informacje,  
i zaliczali Smitha do grona podejrzanych. „Na moją analizę  
zareagowali

z teksańską uprzejmością, ale najwyraźniej uznali, że wszystko to jest pal-  
cem na wodzie pisane", wspominał później Walter. Policjanci wyrazili od-  
razu pewność, że do teorii Waltera w żadnym wypadku nie  
zdołają prze-  
konać prokuratora okręgowego Tralisa Ware'a. Jak powiedział  
Dunnowi  
sierżant McGuire, „wielokrotnie byłem świadkiem, jak Ware  
spuszczał lu-  
dzi po brzytwie, kiedy tylko uznał, że mają słabe dowody. Proszę  
mi wie-  
rzyć, nie chce pan rozmawiać z Travisem Ware'em".  
Walter nie chciał tego słuchać. Był gotów na spotkanie z  
prokuratorem.  
— Odwiedzmy go wreszcie — zakomenderował. — Nie lubię się  
opie-  
przać.  
Policjanci niechętnie zaprowadzili go do biura głównego stróża  
prawa  
w teksańskim hrabstwie Lubbock.  
Biuro prokuratora okręgowego było przestronne i emanowało  
męską  
władczością. Travis Ware, ciemnowłosy, wysoki, nienagannie  
ubrany  
mężczyzna podniósł się ze skórzanego fotela stojącego za  
wielkim, wy-  
polerowanym na błysk drewnianym biurkiem. W zdumiewającym  
ge-  
ście hegemonii postawił jeden z czarnych, skórzanych butów na  
blacie.  
Walterowi skojarzył się z matadorem. „Leisha nie jest tu jedyną  
postacią  
o profilu stanowczej siły. Zobaczymy, kto wykaże się większym  
uporem",



pomyślał z rozbawieniem.

Walter, English, McGuire, Dean Summerlin i Frank Wiley, szef wy-

działu kryminalnego, usiedli na małych krzesłach ustawionych wokół

biurka prokuratora; wyglądali jak pionki otaczające króla. Walter błyska-

wicznie ocenił w myślach Ware'a: czterdzieści kilka lat, w miarę przystojny,

spod mankietu wystaje drogi złoty zegarek. „Och, i jeszcze ten narcyzm.

Słabość, którą można wykorzystać”, skonstatował.

Przez pierwsze dwadzieścia minut prokurator okręgowy opowiadał

o sobie. „Zupełnie jakby chciał dorównać moim doświadczeniom ze Scot-

land Yardu”, pomyślał Walter. Wspomniał o edukacji, którą odebrał w An-

glii, oraz o wielu genialnie przygotowanych oskarżeniach w sprawach

282

o morderstwo, które świadczyły o jego wspaniałości. W końcu psycholog

postanowił wykorzystać próżność prokuratora i powiedział:

„Niejedna

osoba w tym pokoju jest w jakiś sposób związana z Anglią”, po czym niby

przypadkiem wspomniał o „błyskotliwym przyjacielu”, doktorze Richar-

dzie Shepherdzie z Londynu, który pomaga mu przy tej sprawie.

— No dobrze. Prosiliście o spotkanie. Czego chcecie? — spytał szorst-

ko Ware, spoglądając na nich z góry.

— Chcemy, aby Leishę Hamilton i Tima Smitha oskarżono o morder-

stwo Scotta Dunna — odparł natychmiast Walter.  
Prokurator uśmiechnął się szyderczo.

— Nie macie dowodów uprawniających do wniesienia sprawy o morderstwo — stwierdził protekcjonalnym tonem, jakby zwracał się do dzieci w szkole. — Człowiek zaginął i tyle. Nie znaleźliście nawet ciała. A bez ciała nie ma morderstwa. Jeżeli znajdziecie ciało, możecie do mnie wrócić.

Profiler zdjął okulary w rogowej oprawie i spiorunował prokuratora wzrokiem.

— Jeżeli chce pan zobaczyć cholerne zwłoki, to proszę bardzo. Są tu, w raporcie doktora Shepherd.

Z poczerwieniałą z gniewu twarzą Walter wstał i rzucił na biurko

ciężki raport w niebieskiej oprawie zatytułowany Analiza próbek pobranych w miejscu zamordowania Rogera Scotta Dunna.

— O czym pan, do diaska, opowiada?

— Zwłoki znajdzie pan w środku — powiedział Walter. — Doktor

Shepherd dowodzi w swoim raporcie, że Dunn zmarł w swoim pokoju i że został zamordowany.

Walter jakiś czas wcześniej poprosił detektywa Englisha, aby zlecił

mięscowemu patologowi przeprowadzenie analizy miejsca zbrodni w celu

ustalenia, czy ze znalezionych tam śladów krwi można wyciągnąć wnioski,

że w pokoju wykrwawił się na śmierć mężczyzna o wzroście sto osiemdzie-

siąt osiem centymetrów i wadze siedemdziesiąt pięć kilogramów.

Doktor Sparks Veasey, lekarz sądowy hrabstwa Lubbock, odmówił, twierdząc, że nie dysponuje wystarczającą ilością danych. Idąc za radą Waltera, English wysłał paczkę z kopiami całych akt sprawy, fotografiami i próbkami z krwawionego dywanu do doktora Richarda Shepherd, lekarza sądowego 283 z Guy's Hospital w Londynie, współpracownika Scotland Yardu. „Dick jest najlepszy w swoim fachu. Poza tym jest mi winien przysługę”, zapewnił go Walter. Po przebadaniu plam krwi na południowej i wschodniej ścianie, suficie oraz kłamce doktor Shepherd napisał, że „zdecydowanie najbardziej prawdopodobną przyczyną” obryzkania ich krwią była „seria urazów zadanych tępym narzędziem”. Ponadto „układ plam krwi idealnie pasuje do sytuacji, w której ofiara leży na podłodze i zadawane są jej ciosy skutkujące wspomnianymi rozprysnięciami”. Choć niemożliwe było obliczenie ilości utraconej krwi, rozprysnięcia wskazywały, że Scott Dunn został wielokrotnie uderzony z dużą siłą w okolice głowy, a obrażenia głowy są „w takich przypadkach główną przyczyną śmierci”. Ponieważ z testów DNA wynikało, że jest 958 680 razy bardziej prawdopodobne, iż wykryta krew pochodzi od potomka Jamesa Dunna

niż od  
jakiegokolwiek innego człowieka na kuli ziemskiej, doktor  
Shepherd napi-  
sał w podsumowaniu, że plamy krwi w pokoju: „1) nie powstały w wyni-  
ku naturalnej śmierci; 2) idealnie odpowiadają wielokrotnemu  
zadawaniu  
ciosów tępym narzędziem lub tępymi narzędziami; 3) idealnie  
odpowiada-  
ją ciosom zadawanym z siłą wystarczającą do zadania śmierci; 4)  
potomek  
Jamesa Dunna doznał szeregu urazów spowodowanych ciosami  
tępym na-  
rzędziem lub narzędziami, przebywając w południowo-wschodnim  
kącie  
pokoju, i urazy te spowodowały jego zgon”.

Pod raportem znajdował się następujący podpis: „Richard Thorley She-  
pherd, starszy wykładowca i honorowy konsultant w sprawach  
medycyny  
sądowej. United Medical Schools of Guy's and St. Thomas's,  
Guy's Ho-  
spital, Londyn”. Po nazwisku znajdowała się dodatkowo pokaźna  
lista me-  
dycznych tytułów naukowych.

Prokurator podniósł wzrok znad raportu i wysunął do przodu  
podbró-  
dek w geście sprzeciwu. Tak czy inaczej, ciała nie znaleziono,  
stwierdził.

„Nie jestem pewien, jak by to wyglądało w świetle prawa  
Teksasu”.

— Tak się składa, że mam przy sobie kodeks z odpowiednim  
paragra-

fem — oświadczył radośnie Walter.

Ware zareagował nikłym uśmiechem.

— Specjalnie mnie to nie dziwi.

284

Walter otworzył zbiór ustaw i odczytał przepis, przedstawiając jedno-  
cześnie jego interpretację.

— Tekszańskie prawo zasadniczo wymaga przedstawienia: a)  
ciała,  
b) części ciała lub c) zeznania potwierdzonego dowodami.

Dysponuje-

my „b”. Mamy krew — krew to tkanka łączna, a więc część ciała.  
Ware rozparł się w fotelu i złączył dłonie. Wpatrywał się w  
profilera.

— No dobrze — powiedział w końcu. — Macie sprawę o  
morderstwo.

Przez twarz szczupłego mężczyzny przebiegł triumfalny uśmiech.

— W pełni się z panem zgadzam — stwierdził już spokojnym  
głosem.

Rozdział 35

Detektywi-doradcy

Trzej mężczyźni siedzieli w zadymionym wnętrzu pubu.

Rozmawiali

o nierozwiązanych przypadkach.

Bender opowiedział o zleceniu rekonstrukcji twarzy Johna  
Wilkesa

Bootha. Miała pomóc w rozwiązaniu zagadek wokół zabójstwa  
prezyden-

ta Lincolna z 1865 roku.

Walter został wybrany na stanowisko profilera w ośmioosobowym  
zespolu najwyższej klasy specjalistów, w skład którego wchodził  
między

innymi doktor Thomas Noguchi, lekarz sądowy z Los Angeles. Ich  
zada-

niem było z kolei rozwiązanie zagadki Kuby Rozpruwacza. „To w  
sumie

dość proste. Po kolejnych morderstwach widać, że sprawca

ewoluuje, cze-

go nie rozumiano w 1888 roku. Tylko Montague Druitt był zdolny do po-  
pełnienia tych zbrodni".

— Brytyjskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych błagało, abym spe-  
cjalnie tego nie nagłaśniał — dodał z uśmiechem Walter. —  
Wystarczy

rozproszyc mgiełkę tajemnicy, a zaraz padnie cała turystyka.

— Moje gratulacje, panowie. Może uda wam się ustalić, kto  
zabił farao-

na Tutanchamona — zaśmiał się Fleisher, unosząc egzemplarz  
„Philadel-

phia Daily News". — W wolnej chwili rzućcie okiem na XX wiek,  
dobrze?

Nagłówek na pierwszej stronie bulwarówki z 9 czerwca 1993 roku  
gło-

sił: „maniak stóp? morderstwo studentki Drexela z 1984".

Walter zaczął czytać na głos artykuł.

286

— Dwudziestoletnia studentka Uniwersytetu Drexela, uduszona po-

nad osiem lat temu, została zamordowana dlatego, że włożyła  
tego dnia

na nogi białe tenisówki.

— Żartujesz... — stwierdził z kamienną twarzą Bender. —  
Sprawa

wygląda na interesującą.

— Chłopaki się spisały — stwierdził Walter. — Sprawiedliwości  
sta-

ło się zadość.

Poprzedniego dnia policjanci z filadelfijskiego wydziału zabójstw  
aresztowali Davida Dicksona juniora, trzydziestotrzyletniego  
sierżanta

Armii Stanów Zjednoczonych, byłego strażnika na Uniwersytecie

Drexela.

Zatrzymania dokonano w biurze, gdzie pełnił służbę jako oficer wydzia-

łu poboru. Policja oskarżyła go o „zamordowanie w listopadzie 1984 roku

Deborah Lynn Wilson, studentki Uniwersytetu Drexela. Motywem była

obsesja na punkcie białych damskich tenisówek".

Walter uniósł brew i kontynuował lekturę. Do morderstwa mogło dojść, kiedy Wilson usnęła przed komputerem w Rendell Hall i ocknęła

się, zastając strażnika, który próbował zdjąć jej z nóg białe reeboki. „Na-

sze źródło w organach ścigania twierdzi, że Dickson był najprawdopo-

dobniej podofilem i czerpał przyjemność z wączania damskich tenisówek

i skarpetek".

— Widzę, że porządnie przygotowali profil psychologiczny — zauwa-

żył Fleisher. Walter tylko się uśmiechnął.

Z artykułów w „Daily News” i „Philadelphia Inquirer” wynikało, że policja podejrzewała Dicksona od dawna, ale nie dysponowała dowoda-

mi pozwalającymi na aresztowanie. Jakiś czas temu postanowili od nowa

przyjrzeć się sprawie, ale przełom nastąpił dopiero wtedy, gdy dowiedzieli

się o jego fetyszymie i powiązali ten fakt ze zniknięciem tenisówek i skar-

petek Wilson. Przez osiem lat oficerowie śledczy zdawali sobie sprawę ze

znaczenia ukradzionego obuwia, ale nie potrafili tego wyjaśnić.

Dopiero

w 1993 roku policja odkryła wskazówkę w aktach wojskowych.

W 1979 roku Dickson został aresztowany i postawiony przez sądem wojskowym za kradzież damskich tenisówek, której dopuścił się podczas służby w bazie Armii Stanów Zjednoczonych w Korei. Sierżant Gwen-dolyn Garrett-Jackson, obecnie zamieszkała w Birmingham w stanie 287 Alabama, zeznała, że Dickson włamał się wtedy do jej kwatery i ukradł białe tenisówki, kamerę wideo oraz kilka innych przedmiotów. W oparciu o akta sądu wojskowego policja uzyskała nakaz przeszukania mieszkania Dicksona przy City Avenue oraz jego szafki w filadelfijskiej bazie marynarki wojennej. W obu miejscach znaleziono łącznie ponad sto par białych damskich tenisówek (używanych) oraz skonfiskowano siedemdziesiąt siedem kaset wideo z kobietami noszącymi białe tenisówki. Nagrania miały charakter pornograficzny; zawierały sceny erotyczne z udziałem kobiet w białym obuwiu sportowym oraz kobiet pieszczących stopy innych kobiet. Wśród nagrań znajdował się również amatorski film nakręcony podczas pobytu w parku rozrywki Disney World na Florydzie. Kolejne ujęcia pokazywały stopy partnerki Dicksona oraz scenę z restauracji fast food, gdzie Dickson sfilmował kobiety w białych tenisówkach. Jedna z kaset zawierała



reklamę orbitreka z kobietą ćwiczącą na tym urządzeniu w białych sportowych butach oraz ujęcia nagiego manekina na wystawie sklepu w białych tenisówkach marki Keds.

Prokurator stwierdził, że fetyszyzm Dicksona przekroczył poziom nieszkodliwego zaburzenia i stał się dewiacją seksualną popychającą podejrzanego do zachowań o charakterze psychopatycznym. Trzy lata po zamordowaniu Wilson Dickson stracił posadę pracownika technicznego w firmie farmaceutycznej SmithKline Beecham. Przyznał się do napisania do jednej z chemiczek listu miłosnego, w którym prosił, by podarowała mu swoje tenisówki. Trzy inne kobiety były gotowe zeznać, że Dickson prawdopodobnie włamał się do ich mieszkań i ukradł im białe buty.

Była żona Dicksona potwierdziła w swoim zeznaniu, że miał obsesję na punkcie kobiecych stóp, tenisówek i skarpetek. Dostarczały mu podniecy seksualnej. Pewnego razu, kiedy wróciła zmęczona do domu z pracy, mąż zdjął jej z nóg prze poczone tenisówki, po czym zaczął masować, całować i pieścić jej stopy oraz palce. Kiedy indziej była świadkiem, jak masturbował się w domu, oglądając filmy instruktażowe do aerobiku przedstawiające atrakcyjne kobiety ćwiczące w białych skarpetkach i tenisów-

kach. Kilkakrotnie znajdowała w szafie tenisówki obcych kobiet, ale mąż

wyjaśniał, że zamierza oddać je na cele charytatywne.

288

Policja skutecznie obaliła alibi Dicksona. Twierdził, że w czasie, gdy

doszło do morderstwa, rozmawiał przez telefon ze swoją dziewczyną. Póź-

niej rzekomo zapomniał zajrzeć do pracowni komputerowej i odprowadzić

Wilson do samochodu. Tymczasem zdaniem wspomnianej kobiety, obec-

nie jego byłej żony, tamtego wieczoru rozmawiali przez kwadrans gdzieś

między dwunastą a pierwszą w nocy, kiedy Wilson jeszcze żyła.

Później

Dickson zadzwonił raz jeszcze. Był cały rozgorączkowany i powtarzał:

„Felicio, musisz mi pomóc. Jesteś moim alibi. Musisz mi pomóc”.

Dziennikarze dodzwonili się do Dorothy Wilson, matki Deborah, która mieszkała w Woodbury w stanie New Jersey. Kobieta

powiedzia-

ła, że rodzina „jest ogromnie wdzięczna; minęło przecież już osiem i pół

roku... Chcemy wyrazić uznanie dla filadelfijskiej policji i prokuratora

okręgowego”.

Rzecznik Drexela oświadczył, że „uniwersytet jest uradowany prze-

łomem w ciągnącym się od wielu lat śledztwie w sprawie morderstwa

Deborah Wilson”. Policja podziękowała ławie przysięgłych, która po

osiemnastomiesięcznym dochodzeniu uznała zasadność aresztowania

Dicksona. Specjalna jednostka wydziału zabójstw oraz biuro prokuratora okręgowego przeprowadziły drobiazgową analizę sprawy. Szef oficerów śledczych Richard Zappile powiedział, że „współczuje rodzinie ofiary i cieszy się, że w końcu wskazano winnego”. „Daily News” pisał: „nie wiadomo, dlaczego wznowiono śledztwo, niemniej w wydziale zabójstw działa specjalna jednostka, która okresowo wraca do niewyjaśnionych spraw i próbuje na nie spojrzeć świeżym okiem”. Policja przyznała, że rodzina Wilsonów wynajęła prywatnego detektywa, który również zajmował się tym przypadkiem. Żaden z artykułów nie wspominał o Towarzystwie Vidocq’a, lunchu w Downtown Club ani którymkolwiek z członków klubu.

— Nie zapominajmy, że odgrywamy jedynie rolę konsultantów — powiedział Walter — i nie zajmujemy się bezpośrednio rozwiązywaniem spraw. To już należy do policji. Zrobiliśmy, co do nas należało.

— Zupełnie jak w Traktacie morskim — zauważył Fleisher. Walter spojrział na niego z rezygnacją, ale Fleisher to zignorował i wyjaśnił, że Sherlock Holmes został oskarżony przez policję o przypisanie

289

sobie zasług za wykrycie sprawców kradzieży ważnego traktatu morskiego z brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

— Wspaniale im się odciął. „Przeciwnie (...). Z ostatnich pięćdziesię-

ciu trzech spraw, które prowadziłem, o mnie była mowa tylko w czterech

przypadkach. W pozostałych czterdziestu dziewięciu cały zaszczyt przypadł policji".\*

— To o nas — stwierdził Bender.

— Mnie to w ogóle nie przeszkadza — powiedział Fleisher. — Ludzie

są istotami terytorialnymi i plemiennymi. To całkowicie naturalne zjawisko.

Obserwuję je nieustannie w administracji rządowej. Brygady rywalizują o sprawy z zaciekłością rozwydrzonego rodzeństwa.

Konkurują ze sobą poszczególni agenci. Każdy chce zasłużyć na pochwałę.

— Nam po prostu nie wolno pracować dla poklasku —

stwierdził Walter.

— Można to wyrazić zgrabniej — oświadczył Bender, unosząc

kieliszek wódki.

— Cnota sama w sobie jest nagrodą — uśmiechnął się krzywo

Fleisher.

— Stolichnaya sama w sobie jest nagrodą — poprawił go rzeźbiarz.

Wlał wódkę do gardła i grzmotnął pustym kieliszkiem o blat.

Dwa lata później, w grudniu 2005 roku, trzydziestopięcioletni David

Dickson junior został uznany za winnego morderstwa drugiego stopnia

na Deborah Lynn Wilson, dwudziestoletniej studentce Uniwersytetu

Drexela. Motywem była chęć kradzieży i wążania jej białych reeboków

i skarpetek.

W więzieniu Dickson dostał ksywkę Doktor Scholl. Więzienny donosiciel zeznał przed sądem, że Dickson opowiedział mu „całą historię”

morderstwa. Z relacji Jaya Wolchanskyego, odsiadującego wyrok trzy-

dziestu sześciu lat pozbawienia wolności za serię włamań, wynikało, że

Dickson zaprosił wcześniej Wilson na randkę, ale dziewczyna odmówi-

ła. 30 listopada 1984 roku podczas obchodu budynku uniwersyteckiego

\* A. Conan Doyle, Traktat morski, w: Zagadki Sherlocka Holmesa, tłum. T. Evert,

Warszawa 2007, s. 67.

290

Dickson, korzystając ze znajomości sztuk walki, zaatakował ją w mieszczą-

cej się w podziemiach pracowni komputerowej. Złapał ją za włosy i ude-

rzył w głowę.

Kiedy upadła na podłogę, Dickson, który w przeszłości chwalił się zna-

jomością techniki duszenia człowieka, zacisnął dłoń na jej gardle.

Debo-

rah straciła przytomność, wtedy on zdjął z jej nóg tenisówki i skarpetki,

zaciągnął się zapachem butów i masował przez chwilę stopy dziewczyny.

Kiedy zaczęła odzyskiwać przytomność i pojękiwać, Dickson ponownie

zaczął ją dusić — tym razem skutecznie. Później zrobił „to, co lubił” z jej

stopami, czyli pocierał nimi swoją twarz.

Dickson tłumaczył, że zabił Wilson, ponieważ na to zasługiwała, a on

miął obsesję na punkcie białych tenisówek. Wyznał Wolchansky emu, że zachował jej buty mniej więcej przez rok i od czasu do czasu się nimi masturbował. Wezwany przed sąd psychiatra zeznał, że Dickson trzymał tenisówki w torebkach foliowych, aby zachować zapach potrzebny mu do fantazji seksualnych. Trzydziestotrzyletni Wolchansky zaprzeczył, jakoby miał uzyskać zgodzenie wyroku w zamian za zeznania. „Wkurza mnie, że są ludzie, którzy robią takie rzeczy. Nie lubię przemocy. To przerażające, w jaki sposób panna Wilson zginęła. Modlę się za nią każdego wieczoru”. Zeznania Wolchansky ego idealnie odpowiadały stworzonemu przez Waltera profilowi mordercy o profilu kompensacyjnym, Gwałciciela Dżentelmena zagubionego w mrocznym świecie fantazji; iluzjonisty, który wybuchną gniewem, gdy bajkowa rzeczywistość, którą wykreował, zaczyna się rozpadać: wyobrażał sobie, że ofiara się w nim zakocha, ale „wie aż za dobrze, jak niewielkie jest prawdopodobieństwo, by doszło między nimi choćby do realnego fizycznego zbliżenia”. W Wilson widział jedynie buty i skarpetki. Kiedy dziewczyna mu się sprzeciwiła, poczuł, że stracił nad nią kontrolę. Wziął to, czego pragnął, i odzyskał poczucie władzy. W swoim mniemaniu zatriumfował.

Dickson nie przyznał się do winy. Przed sądem zeznał, że lubi wąchać kobiece stopy, ale zaprzeczył, jakoby kiedykolwiek uciekł się do przemoc, aby zrealizować swoją obsesję. Sędzia Juanita Kidd Stout skazała Dicksona na dożywotnie więzienie bez możliwości warunkowego zwolnienia.

291

Rodzice Deborah, Dorothy i Joseph Wilson, poszli na grób córki, aby opowiedzieć jej o skazaniu mordercy. „Rana się zabiłła. Sprawa jest zakończona. Być może teraz odpocznie w spokoju”, powiedziała Dorothy Wilson.

Część czwarta

Walka z bestiami

Rozdział 36

Zawieź mnie do tej psychopatki

W wietrzny wiosenny poranek oficer śledczy Tal English prowadził nie-

oznakowany samochód. Obok niego palił papierosa Richard Walter. Za-

trzymali się na parkingu popularnego baru Copper Kettle.

Zamierzali

wziąć coś na wynos. Jedną Leishę Hamilton.

Wysoka, ciemnowłosa kelnerka dostrzegła ich z drugiego końca sali

i skrzywiła się z niezadowoleniem.

— Wyjdźmy na zewnątrz, Leisha, żeby uniknąć zamieszania — powiedział English.

—

Skinęła głową i poszła za nimi do samochodu. Kazali jej usiąść na tylnym siedzeniu. Wsiedli do środka. Walter odwrócił się i spojrzał

na  
dziewczynę.  
— Musimy pogadać — oświadczył z poważną miną.  
Od spotkania z prokuratorem okręgowym minęły już cztery  
miesią-  
ce, tymczasem, ku frustracji Waltera, śledztwo toczyło się w  
żółwym tem-  
pie. W kwietniu 1993 roku profiler wrócił do Lubbock, żeby  
„położyć kres  
opierdalaniu się policji i wytłumaczyć im, o co chodzi w sprawie”.  
Usiło-  
wał przekonać oficerów śledczych, że Leisha Hamilton jest  
psychopatką  
i powinna zostać uznana za główną podejrzaną, ale ponieważ  
próbował  
już to zrobić poprzednio, nikt nie zwracał na niego uwagi.  
Wymruczał  
wtedy pod nosem: „Panowie, nie rozumiecie, z kim macie do  
czynie-  
nia”, po czym zwrócił się do oficera śledczego Englisha: „Młody  
czło-  
294  
wieku, zawieź mnie do tej psychopatki”. Przyszedł czas, aby  
zmierzyć się  
bezpośrednio z Hamilton.  
Prowadząc Leishę do samochodu, wdali się pogawędkę o  
pogodzie.  
Mordercze spojrzenie, którym obrzuciła ich w barze, zniknęło —  
teraz  
Leisha była uśmiechnięta, rozmowna i odrzucała ciemne włosy z  
czoła.  
Błyskawicznie odzyskała panowanie nad sobą.  
Walter dostrzegął emanujący z dziewczyny erotyzm, zalotne  
gesty  
i uśmiechy, którymi na co dzień posługiwała się, by usidlać



młodych

mężczyzn; iluzję przyjazności maskującą chłodny, wyrachowany umysł.

Spoglądał na nią surowym wzrokiem. „Z psychopata nie wolno się pa-

tyczkować. Przejdź od razu do sedna sprawy”, pomyślał.

— To nie jest wizyta towarzyska, Leisho. Chciałbym, abyś mi coś wy-

jaśniła. Nie słyszałem dotąd o sytuacji, by morderca „sprzątał” po sobie

w dosłownym rozumieniu tego słowa. Miałoby to sens tylko wtedy, gdy-

by zabił we własnym domu. Jesteś jedyną osobą, która posiada klucze do

tego mieszkania. I nie masz alibi.

— Nieprawda, właśnie że mam alibi — zaprotestowała.

— Czyli wiesz, kiedy zginął? Tylko morderca wie, kiedy to się stało.

— Wiem, kiedy zaginął...

— Scott Dunn nie zaginął — przerwał jej ostro Walter. — Nie mam

najmniejszego zamiaru uczestniczyć dłużej w farsie o zaginionym Scotcie.

To obraża moje poczucie przyzwoitości. Scott Dunn został zamordowany.

Ustaliliśmy to już ponad wszelką wątpliwość. Jesteś główną podejrzaną.

— W takim razie zapewne nie mam alibi — odpowiedziała beznamięt-

nym głosem. Coś zmieniło się także w jej spojrzeniu; od tej chwili wpa-

trywała się w Waltera nieobecny wzrokiem.

Profilier siedział nieruchomo zupełnie pogrążony w myślach, po chwili

posłał jej złowrogie spojrzenie znad okularów.

— Leisho, zauważyłem, że potrafisz skutecznie owijać sobie wokół palca mężczyzn, zwłaszcza młodszych. Jestem stary, brzydki i zmęczony, ale nijak nie potrafię pojąć, co oni w tobie widzą. Potrafisz mi to wyjaśnić?

W samochodzie zapadło milczenie. Leisha uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

295

— Sama nie wiem.

— Czy chodzi o te wszystkie seksualne sztuczki, którymi się posługujesz?

Czy dlatego ci ulegają, ponieważ w najśmielszych marzeniach nie

przypuszczali, że kiedykolwiek spotkają taką dziewczynę?

— Zapewne — zachnęła się i wykonała gwałtowny gest głową.

— Mu-

szę wracać do pracy.

Otworzyła drzwi i wyszła.

English siedział w niemym podziwieniu.

— Richard... — odezwał się wreszcie — czy dobrze mi się wydaje, że

właśnie nazwałeś ją brzydula?

Walter uśmiechnął się konspiracyjnie.

— Tak mi się zdaje.

— Ale dlaczego?

— Chciałem sprawdzić, jak zareaguje na nieoczekiwane zdarzenie, jak

szybko analizuje sytuację i jakie są jej zamiary. I mój plan się powiódł. Jest

klasyczną psychopatką, więc informacja ma kluczowe znaczenie dla jej po-

czucia władzy. Udało mi się zasiać ziarno wątpliwości, a także przekazać

jej informację, że ma status podejrzanej o morderstwo. Chciałem wpro-

wadzić ją w stan lekkiej niepewności i to się udało.

Walter zapalił papierosa.

— Leisha sądzi, że jest sprytna, że może się bezkarnie bawić w kotka

i myszkę z policją. Musimy zatem pozbawić ją tego poczucia wyższości.

Wpadnie w szal i, miejmy nadzieję, popełni jakiś błąd.

Oficer śledczy kiwał ze zrozumieniem głową.

— Ale to trudne zadanie, wymagające czasu i cierpliwości.

Hamilton

to bardzo silna kobieta. Przyglądałem jej się uważnie i

zauważyłem, że na-

sza rozmowa ją bawi. Traktowała mnie jak zwierzynę, którą może przechy-

trzyć. Teraz już wiem na pewno, że ta dziwka zabiła Scotta.

Zaraz po powrocie do Michigan Walter otrzymał przesyłkę od Englisha.

Z koperty wypadła pojedyncza biała kartka papieru, na której znajdował

się dość intrygujący rysunek. Był to wykonany przez Hamilton szkic miej-

sca zbrodni — prymitywny, jakby dziecinny rysunek

przedstawiający sce-

nę tortur Scotta Dunna.

296

Na kartce widniała pusta sypialnia. W jednym z narożników stała drewniana prycza, do której przywiązano patykowatą postać opisaną

jako „S”. Obok naszkicowano coś w rodzaju legendy: kajdanki, igłę, nóż,

pistolet oraz penisa i mosznę. W centrum rysunku „S” biegł w stronę

otwartych drzwi, przez które widać było obłoczki na niebie —

obietnicę  
wolności. Ale „S” upadał na ziemię i umierał. Jego duch  
opuszczał ciało.  
„Scott wycierpiał więcej, niż przypuszczałem”, pomyślał Walter.  
Pisto-  
letem bez wątpienia posłużyła się Leisha. Trzymając na muszce  
większego  
i silniejszego od niej Scotta, zakuła go zapewne w kajdanki i  
przywiązała  
do pryczy. Za pomocą igły szprycowano go środkami  
odurzającymi przez  
całe czterdzieści osiem godzin tortur. Był bity, zadawano mu rany  
nożem  
i tępyrn narzędziern; ciosy wymierzone tym ostatniern w głowę  
okazały się  
śmiertelne. „«Duch» towarzyszący leżącemu «S» świadczył o  
tym, że Scott  
podjął próbę ucieczki, z kolei widoczna za drzwiami przyszłość  
jest czysta  
i nieskażona”, stwierdził Walter.  
„Widoczny z boku szkic genitaliów wskazuje, że Scott był  
gwałcony  
sztucznym penisem lub, co bardziej prawdopodobne, został  
wykastrowa-  
ny”, napisał w końcowym raporcie profiler. Walter uważał, że ciało  
Scotta  
zostało pocięte na kawałki i trwale zniszczone.  
— Skąd to masz? — spytał oficera śledczego Englisha.  
— Od jej byłego chłopaka, Karla Younga, z którym związała się  
po za-  
mordowaniu Scotta. Przekazał mi go w barze. Cały czas nerwowo  
zerkał  
za siebie. Musiała go nieźle nastraszyć. Według niego Leisha  
zabiła Scotta  
i zmusiła Tima Smitha, by posprzątał po morderstwie.

— Nic dziwnego, że się jej boi — stwierdził Walter. — To niezwykle potężna kobieta. Dostaje wszystko, czego chce. Biada temu, kto spróbuje jej przeszkodzić.

Z rysunku wynikało, że Hamilton przykuła Scotta do pryczy stojącej dokładnie w miejscu, w którym wcześniej znajdowało się ich łóżko. Lekarz sądowy i specjalista od śladów krwi ustalili — na podstawie kąta

trzech rozprysków na ścianie — że Scott zginął od trzech ciosów w głowę.

„Rysunek był dla Hamilton ilustracją miejsca zbrodni, pamiątką”, wyjaśnił Walter.

297

— Typowe zachowanie. Stworzyła osobisty dziennik morderstwa. Pierwsza zasada mówi, że morderstwo się nie zakończyło, dopóki nie zdecyduje o tym zabójca, dopóki nie przestanie z niego czerpać przyjemności.

Scott Dunn co prawda nie żyje, ale dla Hamilton sprawa się jeszcze nie skończyła. Stworzyła tę ilustrację, by upamiętnić swoje dzieło. Odczuwa

przyjemność za każdym razem, gdy patrzy na rysunek.

Rysunek potwierdził trafność profilu przedstawiającego Hamilton jako morderczynię o profilu stanowczej siły, kobietę

„wykorzystującą męż-

czyn i spragnioną władzy. Ona zawsze musi być górą, jest samicą — czy

raczej suką — alfa. Nikt nie rzuca Leishy Hamilton ani jej nie odprawia

z kwitkiem. To ona pozbywa się innych. Dostrzegam w niej

ogromne pokłady gniewu, wściekłości i pragnienia dominacji", stwierdził profiler.

Tortury są ulubioną bronią tego typu morderców. Jak wynika z rysunku, w tym wypadku wszystkie narzędzia tortur były symbolami męskości, których morderca używa do fizycznego zdominowania ofiary. Zastrzeżenie Scotta nie sprawiłoby jej wystarczającej przyjemności. Prawdziwą rozkosz sprawiało jej zadawanie z bliskiej odległości ciosów pięściami, nożem, a może jeszcze innymi narzędziami umożliwiającymi znęcanie się nad ofiarą. Chciała zmiędrzyć, zniszczyć, unicestwić człowieka, który ją zdradził.

W kolejnych miesiącach w życiu Hamilton zaszły zasadnicze zmiany, które także idealnie wpisywały się w klasyczny profil zachowania mordercy. Niewielu policjantów rozumiało, że zbrodnia staje się dla mordercy inspiracją do osobistego rozwoju, mrocznym mechanizmem samopomocowym: „Ja mam się dobrze, a ty nie żyjesz”.

„Zbrodnia pomaga mordercy zmienić się lub przynajmniej żyć złudzeniem rozwoju. Dochodzi do spiętrzenia problemów emocjonalnych lub przeciwnie — do ich rozwiązania, co morderca wykorzystuje jako bodziec do zmiany, często o zasadniczym charakterze. Taki człowiek odnajduje

wiarę w Boga albo ponownie się zakochuje, przeprowadza się gdzieś daleko, zaczyna dbać o formę fizyczną i tak dalej", tłumaczył Walter. Po zamordowaniu Scotta Hamilton zakończyła związek z Timem Smithem (zdaniem Waltera uwiodła go tylko po to, by pomógł jej w zbrodni) i związała się z Youngiem, kucharzem w pobliskiej restauracji, z którym

298

miała dziecko. Zapisła się do szkoły pielęgniarstwa i choć nadal pracowała jako kelnerka, ukończyła kurs z najlepszym wynikiem w grupie. Wcielała w życie amerykański sen. Leisha Hamilton zaczęła wieść normalne, aktywne życie.

— Jej sukcesy wcale mnie nie dziwią — stwierdził Walter w rozmowie z Englishem. — Zawsze twierdziłem, że jest bardzo inteligentna, wręcz patologicznie bystra i ujmująca. Muszę jednak przyznać, że szkoła pielęgniarstwa to świadectwo niezwykłego sprytu. W jaki sposób osoba oskarżona o morderstwo, nosząca czarne szaty kata zadającego tortury, może oczyścić się z wszelkich podejrzeń? Przyoblekając się w biel i stając uzdrowicielem.

Walter uważał Hamilton za błyskotliwą i przebiegłą przeciwniczkę, niezwykle zręczną psychopatkę. Przez lata unikała odpowiedzialności za morderstwo. Zuchwale zabiła Scotta Dunna, pogrywała z jego ojcem,

manipulowała prawnikami, policjantami oraz systemem sprawiedliwości z równą łatwością, z jaką przychodziło jej zdobywanie kolejnych kochanków. Korzystając z szantażu i wrodzonego erotyzmu, uwiodła i sterroryzowała sporą grupę mężczyzn, których uczyniła współnikami zbrodni.

Unicestwiła chłopaka, który ją zdradził, w tej samej sypialni, w której go uwiodła. Kelnerka stała się mściwą królową, Klitajmestrą dla ubogich. Klitajmestra zamordowała męża, króla Agamemnona, za romans z wieszczką Kasandrą, zadając mu w królewskim łóżu potrójny cios.

Walter zdjął z półki stare, pochodzące jeszcze z czasów studenckich wydanie Agamemnona Ajschylosa, „ojca tragedii”, i odszukał scenę morderstwa. Ze zdumieniem przeczytał następujący fragment: Padł i ducha przez usta szeroko otwarte wyrzygnął z krwi strumieniem. Bryznąła krew świeża z taką mocą, że czarnym zrosiła mię deszczem. A jam poczuła rozkosz, niby rola orna, gdy jej ziarno kiełkuje, a z nieba Zeusowe poleją się potoki\*.

\* Ajschylos, Tragedie, tłum. S. Srebrny, Warszawa 1952, s. 378. 299

A zatem już dwadzieścia siedem wieków temu morderstwo mogło służyć samodoskonaleniu. Klitajmestra, podobnie jak Leisha, poszła zarażeniem w ślady Afrodyty: „wilgotne zespolenie dopełnia się w porze plonów



z drzew, a wszystkiego ja jestem przyczyną".\*

Profilier postanowił włączyć rysunek Hamilton do swojej kolekcji arte-

faktów stworzonych przez morderców, które wykorzystywał jako pomoc

dydaktyczną. Należała do nich akwarela namalowana przez australijskie-

go pielęgniarza, który stał się seryjnym mordercą, oraz klasyczny por-

tret klauna ręki Johna Waynea Gacyego, chicagowskiego przedsiębiorcy,

agitatora Partii Demokratycznej, zabawiającego dzieci na przyjęciach

jako klaun właśnie, skazanego w 1980 roku za zamordowanie trzydzie-

stu trzech mężczyzn i chłopców (większość z ciał ukrył pod podłogą swo-

jego domu).

Jim Dunn był zdruzgotany wizją tortur, jakim poddano jego syna

—

i myślą, że sprawczyni nie tylko uniknęła odpowiedzialności za morder-

stwo, ale uczyniła z niego bodziec osobistego rozwoju. Miał poczucie, że

w ostatecznym rozrachunku Leisha wygrała.

— Wcale nie — odparł Walter. — Próbując rozpocząć nowe życie i uciec od przeszłości, Hamilton tylko potwierdza nasze podejrzenia.

Leisha jest świetną aktorką i niezwykłą kobietą — niezwykłą jako wcie-

lenie zła. Gdyby była lepiej wykształcona, zdawałaby sobie jednak sprawę,

że tego rodzaju przedstawienia kończą się tragicznie.

Walter czuł się osobiście dotknięty faktem, że „tylu psychopatów unika

odpowiedzialności za morderstwa. Ci, z którymi teraz mamy do czynienia, próbowali wmówić wszystkim, że Scott Dunn zginął. Potraktowali chłopaka, jakby nigdy nie istniał. Cywilizacja musi się opierać na pewnych standardach. A na takie rzeczy po prostu nie można przyzwalać". Policjanci nie wierzyli w teorię dotyczącą istnienia spisku, lecz Walter doszedł do wniosku, że mógłby się sporo dowiedzieć o morderstwie od Mikea Robertsa, niegdyś kolegi Scotta.

\* Ajschylos, fragm. 44, za: Atenajos, Uczta mędrców, przeł. K. Bartol, J. Danielewicz, Poznań 2010, s. 1096.

300

Roberts rzucił pracę w sklepie niedługo po zniknięciu Scotta i wypro-wadził się do Tacomy w stanie Washington — typowe zachowanie człowieka, który ma coś na sumieniu. Podczas podróży służbowej do Seattle

Walter postanowił zrobić małą wycieczkę do Tacomy. Poprosił policjanta, aby wyprowadził Robertsa z pracy na ulicę, po czym wysłał funkcjonariusza po kawę.

— Czas, abyśmy pogadali jak mężczyzna z podrostkiem — oświadczył

Walter, nachylając się w stronę dobrze zbudowanego, wysokiego chłopaka. Koszula Robertsa była nisko rozpięta i Walter widział, jak jego pierś wznosi się i opada w niespokojnym oddechu.

— Pamiętam cię. Jesteś tym Anglikiem. Boję się ciebie. Mam

sobie znaleźć prawnika?

Walter zauważył, że Roberts jest dobrym kłamcą, który nigdy nie tra-

ci kontaktu wzrokowego z rozmówcą. Zdradziło go dopiero podskakują-

ce jabłko Adama.

— Młody człowieku — zaczął, spoglądając na niego z pogardą.

— Je-

żeli nie byłeś zamieszany w morderstwo, prawnik ci niepotrzebny.

Jeżeli

wszakże miałeś coś wspólnego z tą zbrodnią, prawnik na niewiele ci się

przyda. Skrócę ci chuja tak, żebyś nie mógł nawet wyruchać wiewiórki.

Rozdział 37

Nieznajomy w Biddle House

Posiadłość w pensylwańskich Appalachach pogrążała się w zapadających

powoli ciemnościach. Jedynym źródłem światła była lampa w salonie.

Tam właśnie na osiemnastowiecznej włoskiej sofie rozsiadł się wygodnie

szcuple mężczyzna, unosząc wyniośle trzymanego między dwoma pal-

cami mentolowego papierosa.

— Doprawdy wspaniała sprawa — przyznał Richard Walter, zerk-

ając na fotografię lekarza postrzelonego prosto w serce przez najlepszego

przyjaciela, prawnika. Do morderstwa doszło mniej więcej dwadzieścia

lat wcześniej. — Mężczyzna pożąda żony innego mężczyzny i najzwyczaj-

niej w świecie mu ją odbiera. Jakże często się to zdarza. Motyw ten mamy na przykład w powieści Utalentowany pan Ripley, albo, pozwolę sobie za-  
uważyć, w Hamlecie.

— Jak widzę, przejście na emeryturę nie odebrało panu pewności siebie — zachichotał policjant stanowy Steve Stoud, ciemnowłosy, barczysty mężczyzna po trzydziestce siedzący w fotelu naprzeciwko Waltera. Błyskotliwe śledztwo przeprowadzone przez Stouda pozwoliło wsadzić za kratki doktora mordercę, a kapralowi przyniosło członkostwo w Towarzystwie Vidocqa. Miał zostać jednym z młodych wilczków w starzejącym się klubie.

Walter wybuchnął śmiechem, który przerodził się od razu w atak suchego kaszlu. Nachylił się do przodu z czerwoną twarzą. Charakterystyczny kaszel nałogowego palacza stawał się coraz bardziej uciążliwy.

302

Zapadły kompletne ciemności, jakie występują jedynie na pustkowia. Położony w dolinie dom, otoczony pasmami gór, pogrążył się w całkowitej ciszy. Salon był największym pomieszczeniem w dwudziestodwupokojowej, neoklasycystycznej rezydencji. Miała ona siedem sypialni i tyle samo kominków, a zdaniem niektórych była nawiedzana przez duchy. W przeszłości mieścił się w niej jeden z węzłów Kolei

Podziemnej,  
tajnej organizacji pomagającej w ucieczce czarnym niewolnikom z  
Połu-  
dnia. Główna klatka schodowa służyła oficjalnym mieszkańcom;  
niewol-  
nicy wchodzili i wychodzili niezauważenie tylnymi schodami.  
Posiadłość  
nosiła nazwę Biddle House, została zbudowana w latach  
trzydziestych  
XIX wieku przez znaną rodzinę Biddle'ów z Filadelfii. Należał  
do  
niej Nicholas Biddle, okryty niesławą prezes Second Bank of the  
United  
States, którego karierę zniszczył prezydent Andrew Jackson.  
Walter był  
jedynym mieszkańcem domu.  
— Lekarz nie wspominał panu o szkodliwości palenia? —  
próbował  
mu dokuczyć Stoud.  
— Owszem, wspominał — odparł z marsową miną Walter. —  
Odpo-  
wiedziałem mu: Drogi chłopcze, doskonale zdaję sobie sprawę z  
niebez-  
pieczeństw i przyjemności związanych z paleniem. Dokonałem  
wyboru,  
z którego jestem w miarę zadowolony. Dzięki niemu zachowałem  
szczupłą  
sylwetkę i korzystam z życia. W przeciwnym razie przytyłbym tak  
bardzo,  
że nie wcisnęliby mnie do trumny. Zostawmy zatem moją  
przyszłość w ręk-  
kach natury. Zresztą ostatnie słowo i tak będzie należało do mnie;  
dzięki  
tiopentalowi można wprowadzić się w zupełnie przyjemny sen...  
— Na litość boską... — Stoud pokręcił głową.

— Wyjaśniłem mu, że jestem spod znaku Skorpiona i wolałbym doko-  
nać samozniszczenia, niż utracić kontrolę nad swoim życiem.  
Poza tym  
uwielbiam przejmować inicjatywę.  
Walter zamilkł i upił łyk wina. Stoud, siedzący z puszką piwa w wiel-  
kiej dłoni, odezwał się kpiarskim głosem.

— A skoro już jesteśmy przy samobójstwie, znalazłem list...

— Naprawdę?!

Profiler nachylił się gwałtownie z wyczekującą miną. Obaj kolekcjo-  
nowali listy samobójców i rywalizowali ze sobą, kto znajdzie ciekawszy.

303

— Gość z Georgii palnął sobie w łeb. Zostawił list o następującej tre-  
ści: „Niektórzy powiadają, że śmierć jest końcem życia. Inni, że życie wie-  
dzie ku śmierci. Proponuję nowe hasło: Zróbmy coś, żeby znów można się  
było pośmiać na pogrzebie!”.

Twarz Waltera pojaśniała z uciechy.

— Cudowne — stwierdził z zachwytem. — Jak dotąd najlepszy.

Bar-

dzo mi się podoba.

Oto znakomity przykład zjawiska, którego policja nie potrafiła przy-

jąć do wiadomości: w tak ponurych czasach ludzie okrutni i udręczeni

nie myślą i nie odczuwają w ten sam sposób, co większość społeczeństwa.

Morderstwo może być zabawą! Samobójstwo może być dowcipem!

— Dbłość o konsekwencję jest straszakiem dusz małych —

zacyto-  
wał Walter.

Psycholog szkolił Stouda w sztuce analizy umysłu mordercy.

Szczegól-

ną wagę przywiązywał do najbardziej zdemoralizowanych  
seryjnych mor-

derców oraz sprawców przestępstw na tle seksualnym. Stoud był  
oficerem

śledczym z elitarnej Jednostki Kryminalnej wchodzącej w skład  
pensyl-

wańskiej policji stanowej. Jednostka szczyciła się, że pracuje w  
niej większa

liczba profilerów niż w jakiegokolwiek innej agencji na świecie, w  
tym w FBI

i nowojorskiej policji. Stoudowi podlegał obszar 2500 mil  
kwadratowych

w północnowschodnim narożniku stanu. Tropił seryjnych  
morderców

i sprawców innych przestępstw „behawioralnych”. Młody, ambitny  
oficer

osiągnął w swoim zawodzie niemal wszystko, co mógł, a jedynym  
sposo-

bem na poszerzanie wiedzy na temat umysłu przestępcy była  
praktyka

u największego mistrza. „Richard to jeden z nielicznych  
profilerów, któ-

rych analizy rzeczywiście nadają się do wykorzystania w  
codziennej pra-

cy detektywa”, stwierdził.

Walter przez wiele lat marzył o znalezieniu podopiecznego,  
któremu

mógłby przekazać swoją wiedzę. Zdawał sobie sprawę, że ma  
coraz mniej

czasu. „Należę do osób, które uważają śmierć za ostateczny  
koniec. Jeżeli

mam w jakiejś formie przetrwać, to tylko dzięki moim pomysłom. Uważam, że człowiek ma obowiązek przekazywać wiedzę następnym pokoleniom", mawiał.

304

Niewiele wcześniej odszedł z Wydziału Resocjalizacji stanu Michigan i sprzedał dom w Lansing. Ponieważ jego jedyną rodziną były dwie siostry mieszkające na Zachodnim Wybrzeżu, przeprowadził się na wschód do Montrose w Pensylwanii, małej, założonej w XIX wieku miejscowości położonej w odludnym paśmie gór Endless siedemdziesiąt cztery kilometry na północ od Scranton. Życie w Montrose miało wiele zalet. Walter cieszył się szczególnie z przeprowadzki na Wschodnie Wybrzeże, „gdzie ludzie lepiej rozumieją moje cierpkie poczucie humoru”. Miejscowość leżała zaledwie dwieście siedemdziesiąt kilometrów, czyli dwie godziny jazdy samochodem, na południe od Filadelfii. Dzięki temu na comiesięczne spotkania Towarzystwa Vidocq'a nie musiał latać samolotem. Biddle House był „dość okazały”. Zmieścił się w nim wielki fortepian oraz antyki, które nareszcie nie musiały tłoczyć się na niewielkiej przestrzeni. Po wielu latach spędzonych w mieście i wypełnionych ściganiem morderców Walter zamierzał wieść spokojne życie wiejskiego dżentelmena.



W planach miał strzelanie do rzutek, poszerzanie kolekcji antyków, popijanie wina i wpatrywanie się w górskie panoramy oraz urządzenie „wieczorków” dla miejscowych koneserów i przyjaciół z miasta. Steven i Susan Stoud, oraz ich dzieci i psy, mieszkali na farmie za wzgórzem, jedenaście kilometrów na wschód od miasta. Stoudowie skalkali wokół Waltera, traktując go jak odnalezione po latach rozłąki wujka. Naprawiali mu samochód i komputer, uszyli zasłony do okien, jako że Richard należał do tych wybitnych intelektualistów, którzy nie potrafili zasnuwać sobie buta. W ten sposób Walter mógł prowadzić kurs wieczory o mordercach podczas lunchów, obiadów, podwieczorków, w salonie wypełnionym obłokami dymu papierosowego, dźwiękami muzyki operowej, dyskusjami i śmiechem ze sprośnych żartów. Walter założył firmę Omega Crime Assessment Group, oferując unikalną wiedzę na temat „zespołu Miinchhausena, sadyzmu i seryjnych morderców”. Pomocy udzielał jedynie w wybranych, fascynujących go sprawach. A jednak nie zamieszkał w odludnych górach ani ze względu na styl życia, ani na przyjaźnie. Przeprowadził się niemal tysiąc kilometrów na wschód od starego domu, kiedy, niczym starzejący się pies myśliwski,

wyczuł woń starego morderstwa, historię żądzy i zdrady godną greckiej tragedii.

2 czerwca 1976 roku Stephen Scher, szanowany lekarz z Montrose, oraz jego bliski przyjaciel, prawnik Martin Dillon, strzelali do rzutków na te-

renie łowieckim należącym do rodziny tego ostatniego. Dillon zginął od

postrzału z samopowtarzalnej strzelby na naboje śrutowe kaliber 16 gauge.

Doktor Scher ze łzami w oczach wyjaśnił policji, że broń wypaliła, gdy

jego przyjaciel potknął się o rozwiązana sznurówkę, ścigając jeżozwierza.

Doktor nie zdołał go uratować — Dillon postrzelił się w serce i zmarł na-

tychmiast. Prawnik miał trzydzieści sześć lat i zostawił żonę, pielęgniarzkę

Patricję, oraz dwoje małych dzieci. Wkrótce po mieście rozeszła się plot-

ka, że śmiertelny strzał padł z broni doktora Schera i był to normalny po-

cisk myśliwski, a nie śrut używany przy strzelaniu do rzutków.

Wywołało

to równie wielką konsternację, jak pogłoski o namiętym romansie dok-

tora z żoną przyjaciela. Sam doktor zdecydowanie wszystkiemu zaprze-

czał i rzewnie opłakiwał Dillona, pocieszając jednocześnie wdowę i dzieci.

Wszystkie strony przeżyły tragedię. Lekarz sądowy uznał, że postrzał na-

stąpił przypadkowo.

Dwa lata później doktor Scher ożenił się z Patricją Dillon.

Szczęśliwa

para przeprowadziła się do Nowego Meksyku, później do Karoliny Pół-

nocnej i tam właśnie wychowywali dzieci Martina Dillona oraz te, które

sami adoptowali. Ojciec Martina, Larry, coraz śmieiej twierdził, że jego

syn został zamordowany. Dopiero dwadzieścia lat później prokurator sta-

nowy oskarżył doktora Schera o morderstwo, opierając się między innymi

na nowych faktach odkrytych przez kaprała Stouda. Prokurator general-

ny poprosił Waltera, aby złożył zeznania jako ekspert od typów osobowo-

ści morderców.

„Sprawa nie była specjalnie zagmatwana”, wspominał Walter, zapala-

jąc kolejnego papierosa. „Nasz doktorek cieszył się ogromnym prestiżem

i powszechną sympatią, niemniej tak naprawdę był popierdolonym psy-

chopatą. W bezczelny sposób przywłaszczył sobie obiekt własnych pra-

gnień — Patricię Dillon”.

306

Niewielki budynek sądu hrabstwa Susquehanna wypełniły tłumy re-

porterów największych stacji telewizyjnych. Dziennikarze relacjonowali

przebieg procesu w sprawie lokalnej „zbrodni stulecia”. Obrona powołała

na świadków znanych lekarzy sądowych, doktora Cyrila Wechta i dokto-

ra Michaela Badena, którzy zeznawali również na procesie O.J.

Simpsona. Ponieważ kruczki prawne uniemożliwiły Walterowi wystąpienie w roli świadka oskarżenia, sfrustrowany i znudzony przebiegiem procesu profesor opuścił gmach sądu i przez dwa dni krążył po uroczym starym centrum miasteczka. W końcu nie wytrzymał, wszedł do sklepu z dywanami i zapytał: „Gdzie, do diaska, można się w tym mieście napić przed południem?”. Ubawiony sprzedawca wyjął spod lady butelkę bourbona i dwie szklanki. Świeżo upieczeni znajomi nalewali kolejne kieliszki, aż — jak to później ujął Walter — „przeszło mi przez myśl: kto by się spodziewał, to miasto wcale nie jest takie złe”. Tego popołudnia Walter natknął się na imponujący dom, przed którym na trawniku stała tabliczka z napisem „Biddle House. Na sprzedaż”. Uznał, że dwieście tysięcy dolarów to cena niezwykle okazjna za dom, w którym mógłby zamieszkać na emeryturze. Z miejsca złożył sprzedawcy ofertę.

22 października 1997 roku, po trwającym cztery dni procesie, doktor Scher został skazany za morderstwo pierwszego stopnia. Śledztwo przeprowadzone przez Stouda pomogło w obaleniu alibi doktora. Scher twierdził, że znajdował się około stu metrów od Dillona, gdy tamten się postrzelił, tymczasem ekspertyza przygotowana przez FBI wykazała, że

odległość

wynosiła dwa, najwyżej dwa i pół metra — na tyle blisko, że jego buty zo-

stały obryzane krwią zabitego, a na spodniach znaleziono maleńki frag-

ment tkanki. Dokonano ekshumacji ciała, aby zmierzyć długość ramion,

co pozwoliło udowodnić, że były zbyt krótkie, aby Dillon mógł trzymać

strzelbę Schera w taki sposób, aby postrzelić się w serce. Po przedstawie-

niu nowych dowodów Scher przyznał przed sądem, że zmyślił historyjkę

o pościgu za jeżozwierzem. Owszem, miał romans z Patricia Dillon. On

i Dillon próbowali sobie wyrwać strzelbę podczas rozmowy, która prze-

rodziła się w kłótnię. Poszło o Patricia. W pewnej chwili broń przypadko-

wo wystrzeliła. Oskarżenie wskazało jednak, że Dillon w chwili śmierci

miał w uszach zatyczki, a zatem nie mógł prowadzić rozmowy z Scherem.

307

Kiedy doktor Scher został odwieziony do stanowego więzienia pod

Pittsburghiem, gdzie miał odsiedzieć wyrok dożywocia, Richard Walter

wprowadził się pod numer 78 przy Church Street. Właśnie w tym oka-

załym domu, stojącym naprzeciwko starego kościoła episkopalnego, miał

w przyszłości oprowadzać Stouda po najniższych kręgach piekła.

Poprzednie próby znalezienia godnego ucznia skończyły się porażką. Wal-

ter zgodził się wyszkolić trzech młodych mężczyzn, w tym psychologa sądowego, który w ramach obowiązków zawodowych nieustannie rozmawiał z mordercami, oraz oficera wydziału zabójstw, który miał na koncie dwadzieścia pięć dochodzeń. Każdego z nich ostrzegął: „Przyjdzie dzień, kiedy będziesz musiał odbyć rozmowę z sześćdziesięcioletnim mężczyzną, któremu przyjemność sprawia zabijanie i krojenie na małe kawałeczki dzieci. Możesz wzruszać ramionami, słysząc o tym ode mnie, ale nie z takim człowiekiem sam na sam, zmierzenie się z jego światem, może okazać się niezwykle trudne, jeżeli nie będziesz miał uporządkowanej osobowości, jeżeli nie osiągniesz odpowiedniego wieku lub dojrzałości, aby sobie z tym poradzić. Idee mogą być niezwykle niebezpieczne, jeżeli człowiek nie jest przygotowany na ich przyjęcie”.  
Wszyscy trzej podopieczni zrezygnowali. Nie wytrzymali szkolenia. Doświadczony oficer śledczy powiedział: „Mam żonę i dziecko. Chcę mieć jakieś poczucie normalności, zachować przekonanie o niewinności świata. Pan mi je odbiera. Nie zniosę tego”. Walter był ogromnie zawiedziony.  
Z czasem pogodził się z myślą, że w odróżnieniu od agenta FBI Roberta Resslera i innych znanych profilerów, nigdy nie znajdzie ucznia, a jego

dzieło umrze wraz z nim. „Zdrowy, normalny człowiek nie poradzi sobie z materia, którą się zajmuję”, uznał. Odprawiał młodzików, którzy od czasu gigantycznego sukcesu serialu CSI: Kryminalne zagadki Las Vegas podchodzili do niego na przyjęciach i konferencjach, pytając, co trzeba zrobić, aby zostać profilerem. „Młody człowieku”, mówił w takich sytuacjach, „rozumiem twój zapał, niemniej wydajesz mi się zbyt normalny. Wyglądasz na sympatycznego gościa, który chciałby się kiedyś ożenić, mieć dzieci, wieść szczęśliwe życie, a nie poświęcić czas na naukę czegoś, co może zniszczyć zarówno 308 twoje małżeństwo, jak i — w ostatecznym rozrachunku — duszę. Podejście spod znaku «Do odważnych świat należy» nie ma w tym wypadku sensu. Tylko nieliczni nadają się do tej roboty”. Niewielu policjantów miało ochotę na zgłębianie piekielnych otchłani umysłu przestępcy, zresztą mało kto potrafił podołać temu zadaniu, mimo znajomości podstaw psychologii. Z kolei niewielu psychologów było obeznanych z widokiem scen zbrodni albo miało ochotę na wchodzenie w świat makabry. Od czasów Freuda główny nurt psychologii zajmował się przede wszystkim życiem codziennym i związanymi z nim zaburzenia-

mi, a jednocześnie z całych sił starał się unikać wydawania staroświeckich osądów moralnych. Problematykę morderstw i zła psychologowie zostawiali mięśniakom z policji, którym często brakowało wiedzy teoretycznej. Walter nie mógł się nadziwić, że żaden z czołowych europejskich psychologów, przed którymi wygłosił wykład na temat typów osobowościowych morderców, „nie miał zielonego pojęcia, o czym mówię. U Johna Waynea Gacyego dostrzegliby schizofrenię, ale nie potrafili rozpoznać oznak sadyzmu. Nikt nie zajmuje się psychologią zła". Walter był w tej dziedzinie samotnym wojownikiem. W 1995 roku poszedł na wykład Ann Rule, bestsellerowej pisarki z nurtu true-crime, na zorganizowanym w Seattle kongresie Amerykańskiej Akademii Nauk Sądowych. Walter był jednym z najbardziej szanowanych członków Akademii i często wygłaszał na zjazdach wykłady wraz z Bobem Resslerem oraz innymi kolegami. Słuchał odczytu, krzywiąc się z niesmakiem. Podobnie jak inni twórcy literatury popularnej, Ann Rule nie nauczyłaby go niczego nowego na temat psychopatów, nawet gdyby przyjaźniła się z Tedem Bundym — seryjnym mordercą, głównym bohaterem jej książki *The Stranger Beside Me* („Obcy tuż obok"). — Wierzysz w te pierdoły? — spytał siedzącego obok rosnącego męż-



czynę.

— Jestem bliskim przyjacielem Ann Rule — warknął mężczyzna i zmierzył wzrokiem chuderlawego sąsiada w okularach. — A ty kim, do cholery, jesteś?

W ten właśnie sposób narodziła się jedna z najważniejszych przyjaźni

we współczesnej historii kryminologii.

309

Wielkim mężczyzną był Robert Keppel, szanowany oficer śledczy pracujący dla prokuratury stanu Washington, znany w całych Stanach

Zjednoczonych z kilkudziesięcioletniego pościgu za Tedem Bundym i Za-

bójcą znanym z Zielonej Rzeki. Keppel, doktor kryminologii, był policjant

z Seattle o przytłaczającej sylwetce, słynął z błyskotliwego analitycznego

umysłu, zawziętości psa gończego i pionierskiego wykorzystania kompu-

terów w śledztwach.

Keppel szybko zrozumiał, jak wiele łączy go z Walterem. Do tej pory

żaden z nich nie wiedział o istnieniu drugiego. Keppel jako funkcjonariusz

wydziału zabójstw przez dwie dekady zajmował się tropieniem zabójców

i miał na koncie pięćdziesiąt śledztw w sprawach seryjnych morderców

(więcej niż którykolwiek z żyjących policjantów). Z kolei Walter przeprze-

wadził rozmowy z tysiącami skazanych, wnikając w umysł przestępcy głę-

biej niż jakikolwiek inny naukowiec. Obaj chadzali własnymi

drogami  
i głośno krytykowali Jednostkę Nauk Behawioralnych FBI,  
powszechnie  
uznaną za przodującą w profilowaniu psychologicznym.  
Niezależnie od  
siebie stworzyli niemal identyczne teorie — rewolucyjne idee,  
które mia-  
ły odmienić metody stosowane w tego typu śledztwach.  
„ Metody stosowane przez FBI mają w sumie tylko jedną  
wadę. Są po-  
 prostu wyssane z palca”, twierdził Keppel, który podobnie jak  
Walter miał  
przyjaciół i wrogów wśród najlepszych agentów FBI.  
W 1980 roku agenci specjalsi John Douglas i Robert Ressler  
prze-  
mierzyli Stany Zjednoczone i przeprowadzili wywiady z  
trzydziestoma  
sześcioma skazanymi seryjnymi zabójcami. Próbowali ustalić  
motywy  
skłaniające ich do popełnienia zbrodni. Na liście rozmówców  
znaleźli się  
Bundy, Charles Manson, David „Syn Sama” Berkowitz, John  
Wayne Gacy,  
Richard Speck, Edward Kemper oraz trójka James Earl Ray,  
Sirhan Sir-  
han i Lynette Frome — odpowiednio zabójcy Martina Luthera  
Kinga, Ro-  
berta F. Kennedy’ego oraz niedoszła zabójczyni prezydenta  
Geralda Forda.  
Douglas i Ressler napisali następnie wraz z pewnym  
psychologiem książ-  
kę *Sexual Homicide: Patterns and Motives* („Zabójstwa na tle  
seksualnym.  
Wzory i motywy”), która stała się biblią dla profilerów. Mordercy  
powo-

dowani motywami seksualnymi zostali w niej podzieleni na dwie ogól-  
310  
ne kategorie w oparciu o wygląd miejsca zbrodni: na zorganizowanych i niezorganizowanych.  
Niestety, skonstatował Keppel, Douglas i Ressler „wzięli to wszystko z powietrza. Nie dysponowali żadnymi dowodami. Ich teoria nie opierała się na jakimkolwiek zestawie danych empirycznych czy na znanych badaniach. W rezultacie agenci FBI wyruszyli w teren, po to by gadać z lokalnymi policjantami i oceniać potencjalnych sprawców w oparciu o fałszywe założenia. «Wiemy, że jest młody, szczupły i modnie się ubiera, więc zapewne podoba się kobietom» i tym podobne. Agenci prowadzą dyskusje w biurach, zamiast pofatygować się na miejsce zbrodni. Widać, że nigdy nie powąchaliby krwi, jak mawia mój znajomy detektyw Frank Salerno".  
Walter podzielał ten pogląd, choć był ostrożniejszy w ocenach. Uważał FBI za instytucję pełną wad i skostniałą od nadmiaru biurokracji, nie mniej doceniał jej rolę jako inicjatora pierwszych systematycznych badań psychologicznych nad mordercami. „Mogę się nie zgadzać z metodami działania FBI, ale wszyscy płyniemy na tej samej łódce, próbując dla dobra ludzkości zrozumieć mechanizmy morderstwa czy, ogólnie

rzecz uj-  
mując, zła".

Walter przestudiował historię morderstwa, cofając się aż do czasów starożytnej Grecji. Można było uznać, że pierwszym nowoczesnym działaniem mającym znamiona profilowania psychologicznego była próba scharakteryzowania mordercy podjęta w listopadzie 1888 roku przez chirurga Scotland Yardu, Thomasa Bonda. Tuż po przeprowadzeniu sekcji zwłok Mary Kelly, piątej ofiary Kuby Rozpruwacza, Bond zanotował: „Jest to człowiek silny fizycznie, spokojny i pozornie nieszkodliwy, zapewne w średnim wieku, schludnie ubrany. Prawdopodobnie nosi pelerynę, aby ukryć ubranie zakrwawione podczas ataków".

Walter i Keppel rozumieli doskonale, że choć od stulecia próbowano przeniknąć umysł mordercy, poczyniono w tej dziedzinie wyjątkowo mizerne postępy. Jeżeli nie liczyć kilku wyjątków. W sporządzonym w 1943 roku na zamówienie amerykańskiego wywiadu profilu psychologicznym Adolfa Hitlera nowojorski psychiatra Walter Langer trafnie przewidział, że w razie upadku Trzeciej Rzeszy Fihrer prawdopodobnie

311

popęlni samobójstwo. W 1957 roku psychiatra James Brüssel, Sherlock Holmes kozetki, stworzył wierny profil Szalonego Zamachowca,

który  
w latach czterdziestych i pięćdziesiątych terroryzował Nowy Jork.  
Piętnaście osób zostało rannych w wyniku eksplozji trzydziestu trzech bomb,  
które umieszczał w najróżniejszych miejscach: od budek telefonicznych do bibliotek, w tym na Penn Station, w Nowojorskiej Bibliotece Publicznej oraz na słynnej sali koncertowej Radio City Music Hall.  
Szalony Zamacchowiec wymykał się policji przez szesnaście lat, aż w końcu Brüssel,  
po przeanalizowaniu zamachów i listów terrorysty, przewidział dokładnie,  
że przestępca będzie katolikiem w średnim wieku, byłym pracownikiem elektrowni Commonwealth Edison, osobą pochodzenia słowiańskiego, zamieszkałą w Connecticut i noszącą dwurzędowy, zapięty na ostatni guzik garnitur. Profil idealnie pasował do sprawcy, George'a P. Meteskyego,  
który w chwili aresztowania w domu siostry miał na sobie dokładnie taki strój, jak przewidział Brüssel. W latach siedemdziesiątych Brüssel pomógł FBI w stworzeniu Jednostki Nauk Behawioralnych, która jako pierwsza zaczęła opracowywać profile podejrzanych.  
Kiedy Stoud w 1995 roku przybył na swój pierwszy lunch Towarzystwa Vidocq'a (na zaproszenie starszego policjanta stanowego, członka klubu),  
miał już na koncie ponad dziesięć śledztw w sprawie morderstw i

przeci-  
tał wszystkie dostępne publikacje na temat morderców i sztuki  
prowadze-  
nia dochodzeń, w tym prace Douglasa i Resslera, Z zimną krwią  
Trumana  
Capote'a oraz biblijną opowieść o Kainie i Ablu. Wciąż czuł  
niedosyt —  
miał trzydzieści kilka lat i chciał nadal się rozwijać.  
Na tym samym lunchu Walter wygłosił wykład o stworzonych  
przez  
siebie typach osobowości morderców. Opowiedział, w jaki sposób  
roz-  
wiązał najgłośniejszą w historii Australii sprawę brutalnego mordu  
miss  
piękności, pielęgniarki Anity Cobby. Stoud słuchał urzeczony. Od  
dawna  
pragnął zostać profilerem, ale odkąd zapoznał się z całą literaturą  
poświę-  
coną temu tematowi, nie wiedział, skąd dalej czerpać wiedzę.  
Przeczuwając, że „musi znaleźć specjalistę, by tylko wskazał mu  
drogę,  
którą dalej pokona samodzielnie”, podszedł po lunchu do Waltera  
i zapy-  
tał, czy mógłby liczyć na indywidualne lekcje. Walter szybko go  
spławił,  
312  
ale tego samego wieczoru Stoud zadzwonił na domowy numer  
Waltera  
w Michigan i ponownie oświadczył, że chciałby zostać jego  
uczniem. Wal-  
ter warknął do słuchawki: „Odmówiłem przecież, nie słyszałeś?  
Nie mam  
ochoty udzielać lekcji. Jesteś zbyt normalny, masz rodzinę i tak  
dalej. Pró-  
bowałem już w przeszłości i nigdy się nie udawało. Szkoda

mojego i two-  
jego czasu". Pół godziny później Stoud zadzwonił ponownie i oświadczył:  
„Rozłączył się pan, ale nie zamierzam się poddawać". Zadzwonił następ-  
nego dnia, i jeszcze kolejnego.  
Stopniowo rozmowy między młodym policjantem i starszym psychologiem stawały się coraz dłuższe. Dyskutowali o morderstwach re-  
lacjonowanych przez media, o śledztwach, w których sami uczestniczyli,  
o naturze zła. Walter dopuścił do siebie myśl, że Stoud może jednak mieć  
odpowiedni intelekt, odwagę, charakter i kręgosłup moralny, aby zostać  
jego podopiecznym. „Musisz nauczyć się myśleć jednocześnie horyzontal-  
nie i wertykalnie. Tylko kilka osób na świecie to potrafi", stwierdził pod-  
czas jednej z rozmów. Potem zaczął żyć nadzieją, że młody mężczyzna  
pójdzie kiedyś w jego ślady — będzie nazywać i zwalczać największe zło,  
jakie ludzie wyrządzali sobie nawzajem.  
Walter jechał przez oblodzone wzgórza wysłużonym fordem crown victo-  
ria, zmierzając w stronę gospody Zielone Szczyty. Samochód miał dwieście  
tysięcy kilometrów na liczniku i co chwila się psuł. A Walter nieustannie  
gubił drogę. Stoud zauważył, że w pojeździe wypadałoby wymienić elek-  
trykę i hamulce, ale Walter tylko prychnął w odpowiedzi: „Wiesz przecież,  
że zupełnie nie mam głowy do tych spraw". Policjant stanowy nie

mógł

się nadziwić, jak niewiele geniusz pokroju Waltera wie o przyziemnych

aspektach życia — samochodach, komputerach, rozgrywkach bejsbolu.

„Pewnie poświęca wszystkie siły na sadyzm, nekrofilę i zespół Münch-

hausena”, pomyślał Stoud.

Walter zwierzył mu się wcześniej, że po kilkudziesięciu latach studiowania brutalnych morderstw postanowił przeistoczyć się w wiodącego

spokojny, małomiasteczkowy żywot emeryta. A w każdym razie prze-

istoczyć w niego ten wrak człowieka, który pozostał po latach wypraw

w otchłanie człowieczeństwa — wysokie czoło, suchotniczy kaszel, ciało

313

uodpornione i wyniszczone przez niezliczone zmagania z ciemnościami.

Pragnął wieść przyjemne życie.

Stoud uśmiechnął się znacząco.

— Ile pan miał samochodów?

— Siedem.

— Każdy z nich to był czarny crown vie? Jak radiowozy?

— Tak.

— I wszystkie zajechał pan do szczętu.

— Tak.

— Ile pan ma garniturów?

— Jeden.

— W kolorze?

— Niebieskim.

— I nosi go pan, aż zacznie się rozpadać.

— Tak. Wtedy kupuję nowy. A można jakoś inaczej?

Stoud uśmiechnął się od ucha do ucha.



— Jeżeli pan jest emerytem, to ja jestem lordem. Pozostał pan  
glinia-  
rzem.

Walter wybuchnął śmiechem.

— Masz rację.

Rozdział 38

Miasto braterskiego chaosu

Pod numerem 1704 na Locust Street w Filadelfii stała posępna,  
dziewięt-

nastowieczna kamienica wciśnięta między potężny, pokryty  
białym mar-

murem gmach szkoły muzycznej a tanie hoteliki i sklepy przy  
Rittenhouse

Square. Niewygodne żelazne schody prowadziły ku wysokim,  
złowrogo

wyglądającym tylnym drzwiom z zaśniedziałą kołatką. Okno na  
pierw-

szym piętrze umiejscowione było asymetrycznie względem reszty  
budyn-

ku, przez co fasada przypominała jednooką twarz jakiegoś  
zagubionego,

staroświeckiego, trochę zaniedbanego jegomościa w palcie i  
kapeluszu. Na

ceglanej ścianie na lewo od drzwi znajdował się pionowy rząd  
małych, mo-

siężnych tabliczek o nieco zagadkowym wyglądzie,  
uszeregowanych od

największej na górze do najmniejszej na dole. Najniższa,  
mniejsza od dło-

ni, zawierała następującą informację:

akademia naukowych szkoleń detektywistycznych

sieć wywiadowcza keystone

towarzystwo vidocqa

Kto wszedł na pierwsze piętro dziewiętnastowieczną klatką  
schodo-

wą wyłożoną białym marmurem, trafiał do nowego biura agencji detektywistycznej Keystone. Jej szefem był William L. Fleisher, który odszedł ze służby 31 grudnia 1995 roku i jak na pracocholika przystało, po dwóch dniach przerwy rozpoczął nową karierę. 2 stycznia 1996 roku wraz z Natem Gordonem, również członkiem Towarzystwa Vidocqa, założył agencję detektywistyczną świadczącą pełny zakres usług i reklamującą się hasłem: „FBI dla każdego”. Na tym samym piętrze znajdowała się stworzona przez nich Akademia Naukowych Szkoleń Detektywistycznych, w której prowadzili kursy posługiwania się wykrywaczem kłamstw. Zajęcia odbywały się w najróżniejszych miejscach: od siedziby szkoły na Locust Street po Dubaj. Tych kilka niewielkich pomieszczeń w kamienicy stało się pierwszą centralą Towarzystwa Vidocqa, które dotychczas mieściło się w domowych biurach, bagażnikach i teczkach. Osoba odwiedzająca agencję wchodziła najpierw do dużego pomieszczenia z czerwonym perskim dywanem i orientalnymi grafikami na ścianach. Po wejściu napotykała wzrok sekretarki, Glorii Alvarado, której biurko stało obok wiktoriańskiego kominka ozdobionego popiersiem Vidocqa i zszarzałą czaszką, której ojciec Fleishera używał w szkole

stomatologicznej w latach trzydziestych XX wieku. Korytarzem  
moż-  
na było dojść do biur Gordona, byłego filadelfijskiego oficera  
śledczego  
Eda Gaughana oraz kilku emerytowanych agentów FBI —  
wszyscy byli  
członkami Towarzystwa Vidocq'a. Fleisher urzędował w małym,  
trójkąt-  
nym pokoju; przez szyby z ołowianymi szprosami było widać  
biegnącą  
z tyłu budynku ulicę. Półki i ściany były zagracone niezliczonymi  
na-  
grodami i bibelotami, między innymi obrazem szkunera płynącego  
po  
wzburzonym morzu autorstwa Michelle, psychometrycznym  
wykrywa-  
czem kłamstw z lat czterdziestych XX wieku oraz zdjęciem ojca  
Fleishera  
w granatowym mundurze.  
Zabrzęczał dzwonek — Gloria dawała sygnał, że Ron Avery,  
komen-  
tator „Philadelphia Naily News”, siedzi w poczekalni.  
— Wpuść go.  
Prasa uwielbiała prezesa Towarzystwa Vidocq'a, a Avery był jego  
do-  
brym znajomym. Fleisher rozparł się w obrotowym skórzanym  
fotelu.  
Dziennikarz opowiedział o zamiarze napisania książki o historii  
prze-  
stępstwa w Filadelfii. Na razie zbierał pomysły. Chciał postawić  
tezę, że  
Miasto Braterskiej Miłości przez trzysta piętnaście lat swego  
istnienia nie  
miało sobie równych pod względem poziomu korupcji i liczby  
morderstw.

Książka miała nosić tytuł Miasto Braterskiego Chaosu.

316

— Coś dla mnie — mruknął Fleisher. — Żeby wyczerpać temat, mu-

siałbyś napisać pięć tomów. Co do tej pory zebrałeś?

Avery dotarł do kompromitujących szczegółów życia Williama Penna

juniora — syna Williama Penna, założyciela miasta — oskarżonego

w pierwszym dziesięcioleciu XVIII wieku o napaść podczas pijackiej

burdy. Pastor kościoła Chrystusa, do którego chodzili George i Martha

Washingtonowie, chełpił się intymnymi relacjami z najpiękniejszymi da-

mami swojej kongregacji; doszło do bójek i pojedynków. W historii miasta

zapisał się również dziewiętnastowieczny potwór, H.H. Holmes, pierwszy

amerykański seryjny zabójca. Avery zamierzał pominąć Gary'ego Heidni-

ka, pastora kanibala z lat osiemdziesiątych XX wieku i jego Pałac Grozy

oraz początki „kariery” Teda Bundy'ego. Miał problem z nadmiarem wą-

ków i materiałów — wiedział, że nie zdoła opisać wszystkiego w jednej

książce. Planował za to wspomnieć o innej sprawie.

— Chcę napisać o Chłopcu w Pudełku.

Na te słowa Fleishera opadły wspomnienia z dzieciństwa.

Zobaczył

siebie jako trzynastolatka stojącego przed plakatem na targowisku Penn

Fruit Company, czekającego na powrót matki z zakupów. Właśnie wte-

dy po raz pierwszy zetknął się ze śmiercią — z nieruchomymi oczami na smutnej, bladej masce śmierci. Sprawa Chłopca w Pudełku, opowiadał Avery, nigdy nie została rozwiązana. Wydział zabójstw urządził zbiórkę i ufundował kamień nagrobny — jedyny na tamtejszym cmentarzu dla ludzi o nieustalonej tożsamości lub zbyt ubogich, by wykupić miejsce na zwykłym cmentarzu. Takie miejsce zwyczajowo nazywano w Ameryce Polem Garncarza — na pamiątkę tego, które według Biblii kupili faryzeusze za trzydzieści srebrników zwróconych przez skruszonego Judasza. Bezimienny chłopiec leżał tam w towarzystwie gwałcicieli, morderców, niezidentyfikowanych szczątków oraz ludzi biednych i zapomnianych. Policjanci kazali wyryć na płycie napis: „Boże, pobłogosław tego bezimiennego chłopca”. Przydzielony do sprawy w 1957 roku Remington Bristow, śledczy pracujący w biurze lekarza sądowego, szukał sprawcy nawet po przejściu na emeryturę. Co roku chodził na grób chłopca, o czym pisały nawet gazety. Bristow zmarł przed trzema laty. Był ostatnią osobą, która próbowała rozwikłać zagadkę tego morderstwa.

317

Po wyjściu Avery'ego Fleisher ponownie przypomniał sobie plakat widziany w dzieciństwie. Jako chłopiec fantazjował, że rozwiązuje

tajemnicę morderstwa i zostaje bohaterem całego miasta. Po latach poznał wielu policjantów, którzy nie potrafili zapomnieć o sprawie Chłopca w Pudełku. Wrócił do domu, zjadł obiad z Michelle i dziećmi, ale sprawa morderstwa sprzed lat nie dawała o sobie zapomnieć. To straszne, że mimo upływu czterech dziesięcioleci nikt nie poniósł odpowiedzialności za jedno z najbrutalniejszych morderstw, z którymi Fleisher miał do czynienia. Dlaczego nikt się wtedy nie zgłosił i nie powiedział: „To mój syn”? Było mu przykro, że chłopiec leży na Polu Garncarza. Siedział przy słabo oświetlonym biurku i bezskutecznie próbował skupić się na detalach jakiegoś przestępstwa korporacyjnego. „Tak się nie godzi”, mruknął pod nosem. Tych kilka prostych słów przez całe życie motywowało go do działania. Teraz natchnęły go pewną myślą. Natychmiast ją jednak odpędził, potrząsając wielką, brodatą głową. To wszystko stare dzieje, fantazja z dzieciństwa. Teraz był zbyt zajęty współczesnymi przestępstwami. W nocy niespokojnie przewracał się na łóżku. Śnił mu się bezimienny chłopiec leżący samotnie pod zamarzną ziemią Pola Garncarza.

## Rozdział 39

Gniew słodszy od miodu

John Martini był właścicielem ekstrawaganckiej restauracji w

Phoenix,  
hazardzistą i czarusem realizującym mroczne amerykańskie  
marzenia.  
Kariere zaczynał jako płatny zabójca na usługach mafii, później  
został  
informatorem FBI i jednym z najbezpieczniejszych seryjnych  
morderców  
naszych czasów. Kiedy w końcu trafił do celi śmierci, budził  
przerażenie  
samym wyglądem — zupełnie jakby jego cielesna powłoka była  
mglistym  
zwierciadłem duszy. Był grubym, łysiejącym kolosem o wielkich  
łapach  
i szerokiej, ospowatej twarzy, obwisłych wargach, dużym  
haczykowatym  
nosie i złowrogich ciemnych oczach. Jako zawodowy morderca  
pracował  
podobno dla Raymonda Patriarki, gangstera z Nowej Anglii, ale  
za odpo-  
wiednią sumkę był gotów zabić przyjaciela lub krewnego.  
Zdaniem poli-  
cji zamordował między innymi swoją ciotkę i wuja.  
Z tego powodu o prawdziwym pechu mogła mówić Anna Mary  
Duvall,  
która poznała Martiniego przez jedną z przyjaciółek. Anna była  
emery-  
towaną urzędniczką z New Jersey, która po odejściu z pracy  
przeprowa-  
dziła się do Arizony. Martini namówił ją do zainwestowania  
dwudziestu  
pięciu tysięcy dolarów w rzekomo niezwykle dochodową  
nieruchomość.  
Kiedy jesienią 1977 roku kobieta przyjechała do Filadelfii, aby  
sfinalizo-  
wać transakcję, Martini wziął pieniądze, a następnie ją

zamordował — tak  
właśnie wyobrażał sobie transakcję sprzedaży nieruchomości.

319

Dwadzieścia lat później, w 1997 roku, Martini w końcu przyznał się do morderstwa i został skazany na śmierć. Przed sąd trafił dzięki artystycznej wizji Franka Bendera.

— Ten Martini był najgorszy ze wszystkich, no może poza Vorhauserem — wspominał Bender. — Zbyt pokręcony, żeby dało się o nim nakręcić film. Musiałoby powstać coś w rodzaju połączenia Chłopców z ferajny z Człowiekiem z blizną.

Bender, Walter i Fleisher spotkali się na lunchu w restauracji Center City.

— Richard, co byś z nim zrobił jako psycholog? — spytał Fleisher.

— Poczęstowałbym go kawałkiem ołowiu wartym siedem centów — odparł Walter, uśmiechając się szyderczo.

Czterdziestoczteroletni, pochodzący z Bronksu Martini zrobił dobre

wrażenie na Duval, kiedy przedstawił ich sobie brat jednej z jej przyjaciółek.

Najwyraźniej nie wiedziała, że odsiedział wyrok za kradzież cię-

żarówki z damską bielizną w New Jersey ani że zdaniem FBI był jednym

z najohydniejszych przestępców w Stanach Zjednoczonych. Nie mogła

również wiedzieć — o tym bowiem nie słyszała nawet policja — że od

ponad dekady Martini był opłacany przez FBI za przekazywanie



agencji

informacji o ciężarówkach ukradzionych w Nowym Jorku i New Jersey.

W październiku 1977 roku Duval poleciała przez Chicago do Filadelfii.

Martini odebrał ją z lotniska. Przedstawił jej współnika, policjanta, który

siedział w milczeniu na tylnym siedzeniu samochodu. Kilka minut później

mężczyzna wyciągnął pistolet i na chłodno wpakował jej trzy kule

w tył głowy. Mordercy porzucili ciało nieopodal lotniska. Martini zeznał

później, że policjant był jego podopiecznym, którego „przyuczał do zawo-

du. No rozumiecie... na przykład jak likwidować ludzi".

Po tamtym wydarzeniu Martini zaczął mordować kolejne ofiary.

Był

głównym podejrzanym w co najmniej czterech sprawach

(ostatecznie nie

postawiono mu zarzutów), w tym o zastrzelenie kuzyna i byłego zięcia,

a także zastrzelenie i zadźganie nożem ciotki i wuja, Catherine i Raymon-

da Gebertów, w ich domu w Atlantic City (Martini otrzymał w spadku

175 tysięcy dolarów).

320

Jesienią 1988 roku ukrywał się przed wymiarem sprawiedliwości i był

zupełnie splukany. Wydawał dziennie pięćset dolarów na kokainę, miał

sprawę rozwodową i stracił posadę współpracownika FBI;

oficjalnie z po-

wodu nieszczerości w relacjach z agencją. W październiku w

Arizonie

zastrzelił handlarza narkotyków i jego towarzyszkę. Trzy miesiące później razem z

Theresą Afdahl, dziewczyną i jednocześnie

wspólniczką, po-

rwał Irvinga Flaksa, kierownika hurtowni z Secaucus w stanie New Jersey.

Sprytnie wywinął się z pułapki zastawionej przez FBI i odebrał 25 tysięcy-

cy dolarów okupu od żony Flaksa, ale zamiast puścić go wolno, strzelił

mu trzykrotnie w głowę. W końcu został zatrzymany w pobliskim hotelu,

a w 1990 roku skazany za porwanie i morderstwo. Trafił do celi śmierci,

po czym został jeszcze skazany za zamordowanie Duval, za co otrzymał

dodatkowy wyrok dożywotniego więzienia.

— Dzieci Duval powiedziały w sądzie, że cieszą się z wyroku — opo-

wiadał Bender. — Dał im poczucie, że życie ich matki

przedstawiało

mimo wszystko jakąś wartość.

— Frank, jesteś po prostu niesamowity — powiedział Fleisher.

— Co

byśmy bez ciebie zrobili?

Wiosna 1997 roku była czasem triumfów Towarzystwa Vidocq'a.

Na

lunchu 18 kwietnia w Klubie Oficerów Marynarki Wojennej

wyświetlono

makabryczne zdjęcie: nadgniłe zwłoki dwudziestosiedmioletniej kobiety,

znalezione między żywopłotami w słabo zaludnionej części

hrabstwa De-

laware. Śmierć nastąpiła najprawdopodobniej przez uduszenie.

## Śledztwo

prowadzone przez pensylwańską policję stanową ciągnęło się przez sześć lat. Walter i pozostali członkowie Towarzystwa wytypowali podejrzanego jeszcze przed podaniem deseru. „Sprawa nie była szczególnie skomplikowana”, przyznał Walter.

Dwudziestoczteroletnia ofiara mieszkała z chłopakiem, dostarczycielem pizzy, który nie miał co prawda wcześniej konfliktów z prawem, ale znęcał się nad dziewczyną i groził jej, nie mówiąc o tym, że używał nie typowego przezwiska Ted Bundy. Sprawa należała do kategorii mordów tak ekstremalnych, że wydają się nieodpowiednie nawet dla Hollywoodu.

Jak na ironię akurat tego dnia w lunchu uczestniczyła liczna delegacja ludzi związanych z Fabryką Snów. Później zaprowadzono ich do

321

pracowni Bendera, gdzie łakomym wzrokiem podziwiali unikatową kolekcję

rekonstrukcji twarzy osób żywych i zmarłych. Producenci zaprosili

z kolei członków Towarzystwa Vidocqa do Le Bec-Fin, słynnej francuskiej

restauracji (obiad dla dwóch osób kosztował tam siedemset dolarów), aby

namówić ich na sprzedaż praw do ekranizacji historii i działalności Towarzystwa.

Walter nie znosił ludzi, którzy próbują mu coś wcisnąć, dlatego uważał spotkanie za żenujące.

— Zagrałby pana Kevin Spacey. On będzie umiał stworzyć wielką po-

stać amerykańskiego detektywa — kadził mu jeden z producentów, kiedy

mknęli limuzyną przez pogrążone w mroku nocy miasto.

Zaskoczony Walter zamrugał gwałtownie powiekami.

— To wspaniale! Znakomicie! A kto to jest Kevin Spacey?

— Pan nie... chodzi do kina?

— Oczywiście, że nie, mój drogi. Nie znoszę odgłosu chrupania popcornu.

Cztery dni później Fleisher, Bender i Walter świętowali ofertę Jersey Films, studia należącego do Danny'ego DeVito, które zaproponowało

1,3 miliona dolarów za prawa do filmu o Towarzystwie Vidocq'a.

Nie mi-

nęło wiele czasu, a DeVito zaprosił Bendera na przyjęcie w Los Angeles.

Wielkim admiratorem jego dokonań był podobno Robert De Niro.

Przy-

jaciele rzeźbiarza zadrżeli na myśl o możliwościach, jakie otwierało przed

Benderem życie towarzyskie w Hollywood.

W maju emerytowany agent FBI Robert Ressler wyruszył w trasę promocyjną z nową książką I Have Lived in the Monster

(„Zamieszkałem w potworze”), zawierającą jedyny wywiad z Potworem z Milwaukee —

Jeffreyem Dahmerem, najstraszliwszym seryjnym mordercą, z jakim Ressler kiedykolwiek miał do czynienia.

Ressler przez dwa dni rozmawiał z Dahmerem, kanibalem homoseksu-

alistą, skazanym za zamordowanie siedemnastu mężczyzn i

chłopców  
oraz zjedzenie ich szczątków Na samo wspomnienie mieszkania  
potwora  
Resslerowi robiło się niedobrze. Trzy głowy leżały w  
zamrażalniku, jedna  
w lodówce, a odcięte dłonie — w garnku. W mieszkaniu nie  
znaleziono  
normalnego jedzenia, a jedynie piłę łańcuchową do rozkrawania  
ciał i fiol-  
ki na krew. Dahmer odurzał ofiary narkotykami i torturował je.  
„Schrupię  
322  
sobie twoje serduszko", mówił. Wywiercał im otwory w czaszkach  
i wle-  
wał do środka kwas akumulatorowy, aby przerobić ich na  
półżywych nie-  
wolników seksualnych.  
Ressler, ku własnemu zdumieniu, po wyjściu ze spotkania z  
morder-  
cą odczuwał jedynie współczucie dla degenerata, który  
oświadczył, że za-  
bijał i zjadał mężczyzn, aby przezwyciężyć poczucie samotności.  
Według  
Resslera Dahmer był chory psychicznie i powinien był spędzić  
resztę ży-  
cia w szpitalu psychiatrycznym, a nie odsiadywać niemal  
tysiącletni wy-  
rok więzienia. Dlatego właśnie zeznawał w jego obronie.  
Walter nie potrafił zrozumieć postawy przyjaciela. Jego zdaniem  
Dah-  
mer był w pełni świadomym swoich czynów, wyrachowanym  
psychopata,  
który powinien odpowiedzieć za wszystkie zbrodnie. Walter żywił  
prze-  
konanie, że niemal we wszystkich przypadkach „ludzie mają

możliwość

wyboru. Jeżeli odbierzemy im tę zdolność, pozbawiamy  
człowieczeństwa

zarówno ich, jak i pozostałych ludzi z ich otoczenia, w tym ofiary".

Ressler wychowywał się w tej samej dzielnicy Chicago co John  
Wayne

Gacy. Na wieść o tym, że agent nie wybiera się na jego  
egzekucję, Gacy

przeklął Resslera, grożąc, że będzie prześladował agenta FBI z za-  
grobu.

Relacja Resslera z tego, co stało się później, na większości ludzi  
zrobiła

duże wrażenie; Walter oczywiście zachował sceptycyzm. Ressler  
miał spać

w pokoju hotelowym w Houston, kiedy niespodziewanie obudziła  
go po-

tężna siła, która przytrzymała go z taką mocą, że nie mógł się  
poru-

zyć ani zaczerpnąć oddechu. Kiedy rozpaczliwym wysiłkiem  
wyrwał się

z uścisku, usłyszał grający w tle telewizor — telewizja CNN  
podawała

właśnie wiadomość o egzekucji Johna Wayne'a Gacy'ego.

„Co robić, by nie paść ofiarą seryjnego zabójcy? Z lektury książki  
Ress-

lera wynika, że nie należy rozmawiać z nieznajomymi ani wsiadać  
do ich

samochodów, unikać «gejowskich» barów sado-maso oraz  
wszelkiego ro-

dzaju sekt. Kto będzie przestrzegał tych zasad, niemal do zera  
zmniej-

sza ryzyko, że padnie ofiarą jakiegoś potwora. Nadmiernie  
upraszczam?

Być może, ale przestrzeganie powyższych reguł w niczym nie  
szkodzi,

a w moim przypadku jak na razie się sprawdza", pisał Fleisher w entuzjastycznej recenzji książki Resslera opublikowanej w „Vidocq Society Journal”, wówczas kwartalniku.

323

Największą dumą napawała Fleishera pomoc, której członkowie Towarzystwa Vidocq'a udzielali policjantom prowadzącym

najgłośniejsze śledztwa. Szanowany specjalista w zakresie dentystyki sądowej

Haskell Askin trafił na czołówki gazet, kiedy jego zeznania doprowadziły do

skazania Jesse Timmendequasa, który 29 lipca 1994 roku dopuścił się

brutalnego morderstwa na tle seksualnym na siedmioletniej Megan Kanki w

Hamilton w stanie New Jersey. Śmierć Kanki doprowadziła do przyjęcia

Prawa Megan — uchwalonych przez wiele wspólnot lokalnych przepisów

zobowiązujących policję do informowania mieszkańców, że w okolicy

mieszka osoba skazana za pedofilię. W zeznaniach złożonych 17 maja

1997 roku Askin wykazał identyczność śladów po ugryzieniu na dłoni

oskarżonego z rozkładem zębów dziewczynki. Dowód tak bardzo ucieszył

jednego z ławników, że „wyrzucił zaciśniętą pięść w powietrze i głośno

mlasnął językiem”, pisał jeden z reporterów. Ławnika zastąpiono innym, ale

Timmendequas został uznany za winnego i skazany na śmierć.

Barbara Cohan-Saavedra, zastępczyni prokuratora generalnego i członkini Towarzystwa Vidocq'a, doprowadziła do skazania radzieckiego szpiega Roberta Lipki, który w latach sześćdziesiątych XX wieku pracował w amerykańskiej Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Ostatecznie przyznał się do mikrofilmowania ściśle tajnych dokumentów i wynosił w spodniach oraz pod kapeluszem innych dokumentów, które sprzedał następnie agentom KGB za łączną sumę dwudziestu siedmiu tysięcy dolarów. Lipkę skazano na osiemnaście lat więzienia. Wszechstronnie utalentowana Cohan-Saavedra — była również jubilerką i cukierniczką — przekonała Fleishera, aby do kalendarza spotkań Towarzystwa Vidocq'a dopisał jeszcze jeden uroczysty obiad: 14 lutego, Dzień Bastylia. Fleisher uznał to za znakomity pomysł. „Wiara Vidocq'a w odkupienie win przetrwała w naszym Towarzystwie. Czy można wyrazić ją lepiej, niż świętując rocznicę owego dnia z 1789 roku, kiedy lud zdobył Bastylię i wrota więzienia stanęły otworem?", pytał. Z kolei sam Fleisher pomógł oczyścić z zarzutów mężczyznę niesłusznie oskarżonego o morderstwo w Little Rock w stanie Arkansas. Po występie w programie 48godzin Fleisher odbył niezwykłą rozmowę telefoniczną z nauczycielką Teresą Cox Baus, której brat, kierownik restauracji, został



324

zamordowany w marcu 1991 roku. Baus zwróciła się do Towarzystwa Vidocq'a z prośbą o pomoc w oczyszczeniu z zarzutów czarnego pomywacza, jej zdaniem niesłusznie posądzonego o morderstwo.

Nauczycielka zerwała współpracę z prokuratorem prowadzącym sprawę i od pewnego

czasu pomagała przydzielonemu z urzędu obrońcy pomywacza. „Nie

potrafię znieść myśli, że niewinna osoba zostanie skazana.

Dorastałam

w Little Rock i mam wrażenie, że oskarżyli czarnego o zamordowanie

białego, ponieważ wydaje im się to oczywiste. To przykre, ale prawdzi-

we", powiedziała.

O przeanalizowanie akt sprawy Fleisher poprosił dwóch znakomych profilerów należących do klubu — Waltera i agenta specjalnego

FBI Gregga McCraryego, który pracował wcześniej przy wielu głośnych

śledztwach, między innymi przy sprawie masakry trzydziestu trzech bud-

dyjskich mnichów na Sri Lance w 1987 roku. Kiedy obaj potwierdzili,

że pomywacz najprawdopodobniej nie popełnił morderstwa, prawnicy

oskarżonego uzyskali uniewinnienie w ciągu czterdziestu pięciu minut.

"Teresa Baus jest amerykańską bohaterką. Właśnie tak powinna działać

sprawiedliwość", oświadczył Fleisher.

Niemniej jednak o największym zwycięstwie, jakie Towarzystwo

Vi-

doczą odniosło tamtej wiosny, media informowały najmniej.

W piątek 16 maja, kiedy Haskell Askin przygotowywał się w New Jersey

do złożenia zeznań w procesie mordercy Megan Kanki, Richard Walter

przebywał w budynku sądu okręgowego w Lubbock w Teksasie, niecier-

pliwie oczekując w towarzystwie Jima i Barbary Dunnów na ogłoszenie

wyroku w procesie, w którym oskarżano Alicję „Leishę” Hamilton o tor-

turowanie i zamordowanie Scotta Dunna. Kilka minut wcześniej przez

uchylone drzwi sali, w której obradowała ława przysięgłych, na sąsiadują-

cy z nią korytarz i salę sądową wydostały się radosne okrzyki. Trwający od

kilku godzin impas został przełamany; ławnicy podjęli decyzję.

Hamilton stała wyprostowana w dumnej pozie pośrodku sali sądowej. Miała na sobie skromną niebieską sukienkę, która dobrze

pasowa-

ła do jej długich ciemnych włosów. Chwilę wcześniej sędzia William R.

Shaver — czarna szata uwydatniała jego kwadratową szczękę i srebrzyste

325

włosy — kazał jej powstać i przygotować się do wysłuchania wyroku. Sę-

dzia zmarszczył z dezaprobatą brwi, kiedy na wypełnionej po brzegi sali

rozległy się głośne szepty.

Hamilton sprawiała wrażenie pewnej siebie i spokojnej — zachowywa-

ła się tak w trakcie całego czterodniowego procesu. Jeszcze rano

żartowała  
z rodzicami i obrońcą oraz obdarzyła szerokim uśmiechem ławę  
przysię-  
głych, a zwłaszcza przystojnego młodego mężczyznę, którego  
przez po-  
przednie cztery dni uwodziła swoimi wielkimi zielonymi oczami.  
Jeden  
z jej byłych kochanków zeznał, że powiedziała mu: „Nigdy nie  
zostanę  
skazana, ponieważ nie znaleziono ciała ani narzędzia zbrodni”.  
Sędzia Shaver uciszył salę kilkoma uderzeniami młotka.  
— Proszę nie zapominać, że znajdują się państwo w budynku  
sądu —  
zwrócił się surowym tonem do zebranych. — Na sali ma panować  
abso-  
lutna cisza.  
Widzowie umilkli. Przez wysokie zasłony do sali wlewało się przy-  
ćmione popołudniowe światło.  
Richard Walter, ubrany w starannie wyprasowany niebieski  
garnitur,  
nachylił się niecierpliwie do przodu. Jim Dunn miał na sobie  
najlepszy  
czarny garnitur i krawat. Z kieszonki marynarki wystawała  
chusteczka  
pełniąca więcej niż tylko dekoracyjną funkcję. Barbara, także w  
staran-  
nie dobranej sukience, trzymała Jima za rękę. Niemal dokładnie  
sześć lat  
wcześniej ostatni raz widziano Rogera „Scotta” Dunna żywego,  
kiedy  
Hamilton wprowadzała go do swojego mieszkania. Walter wierzył  
w ideę  
sprawiedliwej zemsty — dziś już może niemodną, ale na przykład  
przez  
starożytnych Greków uważaną za niezbędny element

cywilizowanego  
współzycia ludzi. Coś takiego mogło się zdarzyć właśnie teraz. Ta  
chwila  
była ukoronowaniem długich zmagania z aniołami i demonami.  
Siedzący na prawo od oskarżonej Rusty Ladd, tyczkowaty  
zastępca  
prokuratora okręgowego w kowbojskich butach, nachylił się  
nerwowo do  
przodu. Sprawa okazała się prawdziwym utrapieniem dla urzędu  
proku-  
ratora, ponieważ w ciągu kilku lat, które minęły od morderstwa,  
zatarły  
się wspomnienia świadków, a wiele dowodów straciło ważność.  
Podczas  
wstępnego procesu ława przysięgłych uznała przedstawione  
dowody za  
niewystarczające do postawienia komukolwiek zarzutów.  
Prokurator  
326  
okręgowy, który prowadził wówczas sprawę, stracił stanowisko w  
kolej-  
nych wyborach, na nowym zaś ciążył konflikt interesów — jego  
były  
współpracownik reprezentował w przeszłości Tima Smitha,  
domniema-  
nego wspólnika Hamilton. Z tego powodu prokurator przekazał  
sprawę  
Laddowi, prokuratorowi z innego hrabstwa. Powołano nową ławę  
przy-  
sięgłych, a zanim proces w ogóle się rozpoczął, Ladd przez osiem  
miesiące  
zmagał się z monstrualną przeszkodą: był to jeden z pierwszych  
przypad-  
ków w historii Teksasu — a może w ogóle pierwszy — kiedy  
próbowa-

no doprowadzić do skazania podejrzanego za morderstwo mimo braku ciała albo narzędzia zbrodni. Ladd musiał podołać niezwykle trudnemu zadaniu i udowodnić istnienie tak zwanego corpus delicti (przedmiotu przestępstwa). Prawo mówiło, że jeśli sprawa dotyczy podpalenia, należało przedstawić spalony budynek; a jeśli morderstwa — zwłoki. W tym wypadku musiał liczyć, że ława przysięgłych uwzględni psychologiczne niuanse makiawelicznej zemsty Hamilton. Ku rozpaczy Ladda, nie pozwolono zeznawać Walterowi, twórcy profilu psychologicznego Hamilton, który najlepiej potrafiłby wyjaśnić psychopatyczny wdzięk i morderczy gniew oskarżonej. Sędzia Shaver uznał, że profil oskarżonej o morderstwo Hamilton powstał w oparciu o domysły i nie stanowi wartościowego dowodu w sprawie. Siedzący w trzecim rzędzie Walter nadal nie potrafił pogodzić się z tą zniewagą. Jego analizy ceniono i wykorzystywano jako materiał dowodowy na całym świecie. Kimże był ten postukujący młotkiem teksański prawniczyna, aby oceniać trafność analiz eksperta o międzynarodowej sławie? Sędzia rozwinął kartkę, którą wręczył mu przewodniczący ławy przysięgłych. Uniósł świstek papieru przed oczy, odchrząknął i

odczytał wyrok.

Jego głos odbił się echem od ścian sali. „My, ława przysięgłych, uznajemy

w oparciu o przedstawione dowody, że oskarżona jest ponad wszelką wąt-

pliwość winna zarzutu morderstwa zawartego w oskarżeniu”.

Przez salę przeszedł szmer. Jim i Barbara Dunnowie odwrócili głowy

i trzymając się za ręce, spojrzeli sobie w oczy. Chwilę później Jim objął

Barbarę; z oczu popłynęły mu łzy. Walter cieszył się, widząc, jak ludzie,

którzy stali się jego dobrymi przyjaciółmi, za pośrednictwem tego jednego

327

uścisku wydobywają się z mroku tragedii. Ale tak naprawdę nie mógł ode-

rwać wzroku od Hamilton.

Otworzyła szeroko usta, uniosła wyzywająco podbródek i zamknę-

ła oczy, wreszcie pochyliła głowę i zaczęła płakać. „Nigdy, przenigdy nie

zapomnę tego widoku”, opowiadał później Walter. „Jak na prawdziwą

psychopatkę przystało, była absolutnie przekonana, że zapadnie wyrok

uniewinniający. Przyjęła dumną postawę, kiedy kazano jej powstać, a kie-

dy odczytano wyrok, nie skuliła się, tylko odrzuciła głowę w geście nie-

dowierzania i pogardy. Jak oni śmieli jej to uczynić? Oto kolejny przejaw

patologicznego zachowania — odmowa stosowania się do norm praw-

nych, respektowania granic zachowania. Pogarda dla każdego,

kto pró-  
buje ją w jakikolwiek sposób ograniczać".  
Sędzia Shaver poprosił ławę przysięgłych o ustalenie wyroku.  
Choć  
oskarżoną uznano za winną morderstwa, ławnicy mieli dużą  
swobodę  
w doborze kary: mogli skazać Hamilton na dożywocie albo  
skromne pięć  
lat więzienia. Dwie godziny później ława przysięgłych powróciła z  
uzgod-  
nionym wyrokiem. Hamilton ponownie wstała z dumnie uniesioną  
gło-  
wą. Sędzia odczytał wyrok: dwadzieścia lat więzienia. Walter  
zauważył,  
że i tym razem twarz Hamilton stężała. Dziewczyna jakby nie  
dowierza-  
ła, że trafi za kratki.  
Już poza salą sądową do Dunna podeszło dziewięć kobiet z ławy  
przy-  
sięgłych, aby zapewnić, że próbowały ze wszystkich sił skazać  
Hamilton  
na dożywocie. „Mój Boże, ależ one jej nienawidziły. Nie znały  
znacze-  
nia słowa «psychopata», ale przejrzały ją na wylot i dostrzegły  
kryjące się  
w niej zło. Musiały jednak pójść na kompromis z Billym Bobem,  
Panem  
Macho, który nie mógł uwierzyć, że kobieta jest zdolna do  
popelnienia  
morderstwa", wspominał Walter. Mimo to miał satysfakcję, że  
jego oce-  
na Hamilton znalazła potwierdzenie w opinii wspólnoty.  
Przystojny młody mężczyzna, którego Leisha próbowała omotać  
swo-  
imi zielonymi oczami, również podszedł po rozprawie do Dunna. Z

peł-  
nym przekonaniem głosował za skazaniem, a Dunnowi wyznał, że  
jej  
urok budził w nim grozę. Podejrzywał, że z łatwością mógłby  
podzielić  
los Scotta. „Nigdy nie wiadomo, co nam się może przydarzyć”,  
stwierdził  
Walter, nie wyjmując papierosa z ust. „Do tej pory zdobywała  
wszystko,  
328  
rozkładając nogi. Ale nie tym razem. Wreszcie została  
sprowadzona na  
ziemię”.  
Walter wyczuwał u Dunna stan olbrzymiego napięcia. Ojciec  
zamor-  
dowanego Scotta czerwieniał na twarzy od samego przebywania  
w jednej  
sali z Hamilton. Na widok jej krewnych lub sympatyków  
natychmiast się  
oddalał. Najwyższy czas, aby ochłonał, pomyślał Walter.  
Pragnienie ze-  
msty to normalne, zdrowe i przyjemne uczucie, tłumaczył  
mężczyźnie.  
„Tak naprawdę powinno cię przepełniać pragnienie słodkiej  
zemsty”.  
Społeczeństwo funkcjonujące w oparciu o zasady sprawiedliwości  
wcale  
go nie tłumi, a nawet uznaje, że wściekłość z powodu doznanej  
krzywdy  
i rozkosz towarzysząca wyobrażeniu sobie zemsty ma dla  
człowieka duże  
znaczenie. Gniew — zauważa Arystoteles w Retoryce — „jest (...)  
słod-  
szy od miodu, który się sący kroplami, gdy w sercach mężów  
narasta”\*.



— Teraz jednak przyszedł czas, aby zostawić to za sobą —  
tłumaczył

Walter. — Człowiek prawy odczuwa właściwy rodzaj gniewu z  
właści-

wych powodów we właściwym czasie. Powinien kontrolować to  
uczucie,

miarkować je, okazywać posłuszeństwo prawu, słuchać  
przyjaciół, rodzi-

ny i kierować się standardami przyzwoitości.

Dla Jima Dunna ten czas właśnie nadszedł.

A jednak ojciec Scotta nie był w pełni usatysfakcjonowany. Przed  
wy-

jazdem z Lubbock postawił na rodzinnym grobowcu nową  
granitową

płytkę z wygrawerowanym rysunkiem żółtego camaro syna.

Pochyliwszy

głowę nad pustym grobem, poprzysiągł, że nie spocznie, póki nie  
znajdzie

ciała syna i nie wyprawi mu prawdziwego pochówku. Walter był  
pewien,

że Hamilton całkowicie unicestwiła ciało Scotta, aby uniknąć  
odpowie-

dzialności za morderstwo. Nie potrafił przekonać Dunna, że nigdy  
nie

odnajdzie szczątków syna, niemniej poradził mu, rozumiejąc  
uczucia tar-

gające mężczyznę, aby pochował w grobie kawałek dywanu  
nasiąknięte-

go krwią Scotta.

— Przypomnij sobie, Jim, co orzekł sąd. Krew jest ciałem. Ta  
krew to

szczątki twojego syna.

Dunn przyznał mu rację.

\* Arystoteles, Retoryka. Poetyka, tłum. H. Podbielski, Warszawa  
1988, s. 146.

Tego wieczoru Dunnowie i Walter świętowali w restauracji pomyślnie zakończenie procesu. Przy stole królowało wino i promienne uśmiechy. Walter zachęcał Dunnów, aby dopuścili do siebie poczucie triumfu. Należał im się łyk słodkiej sprawiedliwości doprawionej radością z zemsty. Zwycięstwo należało opić. Profiler był zadowolony z roli, jaką odegrał w sprawie.

— Największą satysfakcję sprawia mi pokonanie osobnika o nowocześniejszej siły — wyznał. — Mordercy przekonanego, że przemocą zdoła pokonać wszystkie przeciwności.

— Dlaczego? — spytał Dunn.

— Tak się składa, że sam mam podobną osobowość — psycholog uśmiechnął się porozumiewawczo. Obaj roześmiali się serdecznie. Pod koniec wieczoru alkohol i euforia wyparowały częściowo z głów biesiadników. Walter przypomniał, że na mocy teksańskiego prawa Hamilton będzie mogła ubiegać się o zwolnienie warunkowe i skrócić odsiadkę. Profiler zdawał sobie sprawę, że Dunn wciąż zмага się z demonami, próbuje znaleźć odpowiednie proporcje między karą a przebaczeniem, wejść na drogę człowieka prawego. Położył dłoń na ramieniu przyjaciela i zapewnił go, że nie jest sam. Razem zrobią wszystko, co konieczne, spra-

wiedliwe i słuszne.

Spojrzał na zmęczoną twarz przyjaciela. Miał nadzieję, że na tym sprawa się zakończy.

Rozdział 40

Najgorsza matka w historii

Pewnego październikowego wieczoru 1997 roku William Fleisher oglą-

dał wystawę osobliwości w wytwornym wnętrzu filadelfijskiego Muzeum

Mütterera. W znakomicie oświetlonych gablotach spoczywały połączo-

ne wątroby słynnych bliźniaków syjamskich Changa i Enga, rakowaty

guz usunięty z przelyku prezydenta Grovern Clevelanda, wysuszone ciała

niemowląt oraz Mydlarka — kobieta pochowana w latach trzydziestych

XIX wieku, u której zawarty w ciele tłuszcz w tajemniczy sposób prze-

mienił się w mydło. Doktor Thomas Dent Mütter w 1858 roku stworzył

słynne na cały świat muzeum osobliwości medycznych (miało pomagać

w edukacji lekarzy). Jego własnym wkładem w ekspozycję była zgangre-

nowana dłoń oraz kobieca klatka piersiowa w okrutny sposób zdeformo-

wana przez ciasny gorset. Nieopodal kamieni żółciowych sędziego Sądu

Najwyższego Johna Marshalla leżała czaszka mordercy — przodka akto-

ra Jacka Nicholsona — który w 1863 roku na pensylwańskiej wsi zarąbał

siekierą ekspedientkę lokalnego sklepu Ellen Jones.

Fleisher czekał na prelekcję antropologa sądowego Billa Bassa na temat Pola Śmierci zwanego również Farmą Zwłok, czyli zlokalizowanego w Tennessee laboratorium służącego do naukowych badań nad rozkładem ciała. Były agent Urzędu Celnego zawsze szczyił się umiejętnością rozpoznania reportera w tłumie policjantów — mieli dłuższe włosy, przechodzili w miękkich spodniach i butach, z rozpiętym kołnierzykiem i bez krawata. Teraz Fleisher dostrzegł dziennikarza czasopisma „Philadelphia”

331

Stephena Frieda, który dostał zaproszenie na wykład Bassa dzięki uprzejmości znajomego lekarza sądowego z New Jersey, Jima Lewisa. Tak naprawdę chciał jedynie pomówić z Fleisherem, na co ten chętnie się zgodził. — Chciałbym z panem porozmawiać o Marie Noe — zaczął Fried. Laureat ogólnokrajowych nagród w kategorii dziennikarstwa śledczego wyjaśnił, że pracuje nad historią tragicznych losów kobiety, która w latach 1949—1968 straciła ośmioro z dziesięciorga dzieci. Wszystkie zmarły na tak zwany zespół nagłego zgonu niemowląt, inaczej: nagłej śmierci łóżeczkowej. W 1963 roku tygodnik „Life” opisał rozdzierającą serce historię zgonów Richarda, Elizabeth, Jacqueline, Arthura juniora, Constance, Mary Lee, Cathy i Małego Artiego. Ich rodzice próbowali ze

wszystkich  
sił dochować się żywego potomstwa. Nigdy wcześniej żadnej  
amerykań-  
skiej matce nie przydarzyła się tak wielka tragedia. Fleisher znał  
doskona-  
le sprawę Marie Noe i był ciekaw, do czego zmierza Fried.  
Reporter sądził, że wszystkie dzieci zostały zamordowane przez  
mat-  
kę. Do takiego wniosku doprowadziła go lektura książki The  
Death of  
Innocents („Śmierć niewiniątek”) Richarda Firstmana i Jamieego  
Tala-  
na, opisującej historię pewnej kobiety z Nowego Jorku, którą  
skazano  
w 1994 roku za zamordowanie kilkadziesiąt lat wcześniej  
pięciorga swo-  
ich dzieci. Autorzy przytaczali wyniki nowych badań naukowych,  
według  
których wiele przypadków śmierci łóżeczkowej było w istocie  
morder-  
stwami. Fried przez wiele godzin rozmawiał z Marie i jej mężem,  
Artiem,  
przeglądając albumy z rodzinnymi zdjęciami. Starsi państwo  
mieszkali  
w szeregowym domu w Kensington.  
Fried spotkał się również z Joe McGillinem, członkiem  
Towarzystwa  
Vidocq’a, emerytowanym pracownikiem kostnicy. Ten  
nieustępliwy, drob-  
ny Irlandczyk pracował dorywczo jako „skaut” — czyli łowca  
talentów —  
dla drużyn bejsbolowych, ale większość czasu poświęcał na  
zastanawianie  
się, jak wymierzyć sprawiedliwość mordercom dziewięciorga  
dzieci zmar-

łych w latach pięćdziesiątych: Chłopca w Pudełku i ośmiorga  
dzieci Marie  
Noe. Od dziesięcioleci czekał, aż ktoś w końcu zainteresuje się  
jego śledz-  
twem w tej ostatniej sprawie.  
Fried rozmawiał z doktor Marie Valdes-Dapena,  
siedemdziesięcioletnią  
„prababcią badań nad nagłymi zgonami niemowląt”, która w 1958  
roku  
332  
przeprowadziła sekcję zwłok Constance, dziecka numer pięć. Po  
kilku  
godzinach przeglądania materiałów zgromadzonych przez Frieda,  
doktor  
Valdes-Dapena stwierdziła: „Nie mogę uwierzyć, że ta kobieta  
nadal cho-  
dzi po świecie wolna jak ptak. Jestem przekonana na 99%, że jej  
dzieci nie  
zmarły śmiercią naturalną”.  
Fried zebrał na temat tej sprawy dwa kartony materiałów, ale  
prywat-  
ne śledztwo nie mogło się posunąć dalej bez dostępu do starych  
kartotek  
policyjnych. Potrzebował pomocy.  
Fleisher pokręcił ze smutkiem głową.  
— Nie mogę panu załatwić dostępu do tych dokumentów, ale  
chę-  
nie pomogę.  
Przedstawił Frieda sierżantowi Laurenceowi Nodiffowi, szefowi  
ko-  
mórki filadelfijskiej policji zajmującej się nierozwiązanymi  
przypadkami.  
„Zrobiłem sziduch, wyswatałem Steve'a i Larry ego”.  
Sierżant Nodiff był pod ogromnym wrażeniem materiałów zgroma-  
dzonych przez Frieda. Reporter przeprowadził śledztwo godne

oficera śledczego najwyższej klasy. Nodiff wznowił policyjne dochodzenie. Na początek pokazał Fleisherowi i Gordonowi wyników badania wykrywaczem kłamstw, któremu poddano Marie i Artiego. W latach sześćdziesiątych policja uwierzyła w ich zapewnienia, że nie znają przyczyny śmierci swoich dzieci. Gdyby Fleisher i Gordon potwierdzili wiarygodność badania, Nodiff raczej zrezygnowałby z ponownego przesłuchania małżonków. Fleisher i Gordon przejrzyli wyniki badania wariografem w siedzibie Towarzystwa Vidocq'a. Nie mogli uwierzyć w to, co zobaczyli. „Wyniki Marie wyraźnie wskazują na to, że nie mówiła prawdy. Wyniki Artiego są w najlepszym razie niejednoznaczne”, stwierdzili zgodnie. Fleisher zainteresował również sprawą Hala Fillingera, szanowanego filadelfijskiego lekarza sądowego i członka Towarzystwa. W ten sposób śledztwem w sprawie śmierci dzieci Marie Noe zajęli się trzej siwiejący funkcjonariusze; w latach sześćdziesiątych wszyscy byli wybitnymi postaciami filadelfijskich nauk sądowych. Doktor Fillinger miał za sobą walkę z rakiem, oficerowi śledczemu McGillenowi niewiele wcześniej wszczęto cztery by-passy, a doktor Valdes-Dapena zmagająca się z coraz bardziej szwankującą pamięcią. Śledztwo w sprawie śmierci dzieci

Marie Noe

333

było przed laty jednym z pierwszych w ich karierze; teraz miało stać się

jednym z ostatnich.

Sprawa Marie Noe od lat nie dawała spokoju doktorowi Fillingerowi.

"Pamiętam, jak tłumaczyłem jakiejś zakonnicy, że równie uprawnione są

dwa punkty widzenia: widząc Marie Noe z dzieckiem na rękach, moż-

na uznać, że albo rychło je zabije, albo — jeżeli rzeczywiście jest niewin-

na — zasługuje na nie bardziej niż ktokolwiek inny na świecie".

Sprawę

od dawna uważał za „tak zwany wilczy dół. Wilczy dół to przypadek, któ-

ry wygląda na łatwiznę, ale kończy się niczym. To tak jakbyś kupił książ-

kę, przyniósł ją do domu i zorientował się, że ktoś wyrwał ostatni rozdział.

Nigdy nie poznasz zakończenia. Chciałbym wiedzieć, co naprawdę przy-

darzyło się tym dzieciaczkom, ale natrafiłem na mnóstwo ślepych uliczek.

Ledwie człowiek uwierzy, że znalazł jakiś obiecujący wątek, zaraz się oka-

zuje, że to wydmuszka. Mogłoby się wydawać, że ktoś przecież musi coś

wiedzieć, ale tak nie jest, ponieważ ta sprawa to wilczy dół".

Po przeczytaniu materiałów zgromadzonych przez reportera Fillinger

oświadczył: „Całkowicie odmieniły moją ocenę. W tych dokumentach

kryje się poważne oskarżenie o morderstwo. Będę musiał udać



się z nimi  
do prokuratora okręgowego z wnioskiem o wszczęcie śledztwa  
przeciw-  
ko tym ludziom".  
W ciągu dekad, które upłynęły od pierwszego dochodzenia, wiele  
ofi-  
cjalnych dokumentów dotyczących sprawy rodziny Noe zostało  
znisz-  
czonych, ale McGillen przechowywał pełne akta w nieużywanej  
sypialni  
w swoim domu. Ich zawartość wprowadziła w zdumienie Frieda,  
Nodiffa,  
członków Towarzystwa Vidocqa oraz prokuratora okręgowego.  
Mieli po-  
wód do wznowienia sprawy.  
W Towarzystwie Vidocqa została zarejestrowana pod numerem  
55  
jako Sprawa Dzieci Marie Noe. Wyglądało na to, że kobieta  
pochodząca  
z rodzinnego miasta Fleishera była rekordzistką pod względem  
liczby za-  
mordowanych własnych dzieci — i że uszło jej to na sucho.

Rozdział 41

Chłopiec, który nigdy nie umarł  
Dziecko nie żyło, zostało brutalnie zamordowane. Policjanci z  
całego re-  
gionu zjeżdżali się na miejsce, gdzie znaleziono ciało, tyle tylko,  
że tym  
razem — czterdzieści jeden lat po tamtych wydarzeniach —  
jechali wol-  
niej. Posterunkowy Sam Weinstein, który przeniósł wtedy chłopca  
do  
ambulansu, miał co prawda siedemdziesiąt jeden lat, ale nie  
stracił wy-  
sportowanej sylwetki i błysku w oku. Bill Kelly, odpowiedzialny

niegdyś  
za pobieranie odcisków palców, dobiegał siedemdziesiątki i miał  
bzika  
na punkcie sześciu córek — zwanych Aniołkami Kelly'ego — oraz  
wnu-  
czą. Nad jego jasnoniebieskimi oczami wznosiła się aureola  
siwych wło-  
sów. Prezydent Eisenhower, młody pilot John Glenn  
ustanawiający rekord  
prędkości na trasie Kalifornia - Nowy Jork, elektryczny „zegarek  
przy-  
szłości” marki Hamilton — świat, który istniał 25 lutego 1957 roku  
od-  
szedł do przeszłości, ale nie w zapomnienie. Ludzie ci wciąż  
pracowali  
nad sprawą chłopca. Po Eisenhowerze urząd obejmowali kolejni  
prezy-  
denci — do Clintona było ich ośmiu — trwała zimna wojna,  
przyszły Ko-  
rea, Wietnam i pierwszy zamach na World Trade Center — a oni  
ani na  
chwile nie zrezygnowali.  
Kelly przeszedł na emeryturę, mimo to nadal zaglądał do każdego  
na-  
potkanego szpitala, aby sprawdzić odciski palców w kartotekach  
noworod-  
ków z początku lat pięćdziesiątych. W sumie przejrzał jedenaście  
tysięcy  
kompletów odcisków, ale nie tracił nadziei, że w końcu uda mu się  
zidenty-  
fikować chłopca. Weinstein przeglądał regularnie akta sprawy —  
kartony  
335  
pełne dokumentów, zdjęć, setek notatek — szukając detali, które  
mogli

przeoczyć inni. Remington Bristow, oficer śledczy z biura lekarza sądowego, poświęcił sprawie trzydzieści siedem lat. Nie ruszał się z domu bez maski pośmiertnej chłopca. Kiedy jej dotykał, miał poczucie, jakby nawiązywał kontakt z duchem. Zachęcał innych policjantów, aby robili tak samo. Niektórzy koledzy uważali, że próby rozwiązania zagadki śmierci chłopca doprowadziły go na skraj szaleństwa. Kiedy Bristow postanowił przeprowadzić się z Filadelfii do Arizony, gdzie ostatecznie zmarł w 1993 roku, wnuczka przewiozła schorowanego i niedowidzącego dziadka samochodem przez pół kraju, aby mógł po drodze sprawdzić nowe trasy. „Rem był wspaniałym facetem”, powiedział Kelly, który przez lata pracował wspólnie z nim przy tej sprawie. Dzieło Rema kontynuowali inni. Chłopiec, który miałby teraz niemal pięćdziesiąt lat, nadal spoczywał na Polu Garncarza pod skromną płytą nagrobną ufundowaną przez policjantów z wydziału zabójstw. Przez cztery dekady policjanci regularnie odwiedzali grób. Na wiosnę przynosili kwiaty, latem kubek piasku z nadmorskiego morza, na Boże Narodzenie rękawicę bejsbolową, zupełnie jakby chłopiec wyrósł na zuch młodzieńca. Bristow twierdził zawsze, że smukła sylwetka

predestynowała chłopca raczej do koszykówki niż futbolu amerykańskiego. Policjanci z biura spraw przedawnionych, podtrzymując pamięć o nim oraz nie tracąc nadziei na rozwikłanie zagadki jego śmierci, nie pozwalali dziecku odejść w zapomnienie. Był chłopcem, który miał nigdy nie dorosnąć i nigdy nie umrzeć. Odmawiali modlitwę: „Boże, pobłogosław tego bezimiennego chłopca”.  
Jeśli zaangażowanie w śledztwo uznać za miarę uczuć, dwa pokolenia policjantów obdarzyły tego malca — który za życia nie zaznał zapewne wiele czułości — większą miłością, niż otaczała jakiegokolwiek dziecko w historii Filadelfii. Kochano go, mimo że niemal wszyscy stracili nadzieję na wyjaśnienie zagadki jego śmierci. Teraz owa nadzieja na nowo odżyła, jako że sprawą zajęło się Towarzystwo Vidocqa.  
W czwartek 19 marca 1998 roku Weinstein i Kelly weszli do holu Public Ledger Building — stojącego naprzeciwko bliźniaczego budynku, w którym mieściła się Curtis Publishing Company, wydająca w przeszłości 336 „Saturday Evening Post” — wjechali windą na dziewiąte piętro i stanęli na wykonanym z orzechowca parkiecie Downtown Club. Dawny klub towarzyski dla mężczyzn stał się nową siedzibą Towarzystwa Vidocqa.  
Z okien rozciągał się widok na Independence Hall. W każdy trzeci

czwar-  
tek miesiąca członkowie Towarzystwa zasiadali w nowej Sali  
Morderstw  
przy okrągłych, przykrytych białymi obrusami stołach.  
Fleisher powitał serdecznie emerytowanych policjantów.  
Weinstein  
i Kelly, jego dawni koledzy, byli obecnie członkami Towarzystwa.  
Po mo-  
dlitwie odmówionej na prośbę Kelly ego oraz lunchu Fleisher  
ogłosił, że  
Towarzystwo zajmie się „jedną z najniezwykleszych spraw w  
historii Fila-  
delfii”. Fleisher postanowił rzucić wszystkie siły do rozwiązania  
zagadki  
Chłopca w Pudełku.  
W sali zgromadził się tłum ponad osiemdziesięciu detektywów  
oraz  
zaproszonych przez nich osób. Panował taki ścisk, że niektórzy  
musieli  
usiąść na stołkach przy barze. W menu na ten dzień przewidziano  
kurcza-  
ka, warzywa gotowane na parze, a na deser łamigłówkę  
kryminalną do-  
tyczącą śmierci chłopca o drobnej, zapadającej w pamięć  
twarzyczce. Na  
górującym nad salą ekranie rozbłysła fotografia posiniaczonego i  
poranio-  
nego dziecka; cienie skrywały dno zapadniętych oczodołów. Kelly  
zdusił  
napływające do oczu łzy, zupełnie jakby widział to zdjęcie po raz  
pierw-  
szy. Prezentację miał wygłosić Fillinger, który wykonał autopsję  
chłopca  
czterdzieści jeden lat wcześniej.  
Fleisher mógł się poszczycić jeszcze jednym sziduch-. Tom

Augustine,  
oficer śledczy wydziału zabójstw filadelfijskiej policji, zgodził się  
wznowić  
sprawę i współpracować przy niej z członkami Towarzystwa.  
Augustine  
przyniósł na Locust Street gromadzone przez czterdzieści jeden  
lat akta  
sprawy. Była to pełna dokumentacja, nad którą „pracowaliśmy  
dniami  
i nocami, rok za rokiem. Karton po kartonie; tysiące stron”. Akta  
umiesz-  
czono w specjalnie wydzielonym pomieszczeniu, gdzie z  
materiałami za-  
poznawali się stopniowo Weinstein, Kelly i McGillen. W trójkę  
stworzyli  
zespół śledczy sprawy Chłopca w Pudełku. Na jego czele stanął  
Weinstein.  
Kiedy na lunchu Towarzystwa Vidocqa starzy, posiwiali,  
przygarbie-  
ni i łysiejący policjanci usiedli przy jednym stoliku, wyraźnie  
rozpiera-  
ła ich energia. Widać było, że tylko atak serca lub nowotwór  
mógłby ich  
337  
powstrzymać przed kontynuowaniem śledztwa. Katolik i dwaj  
Żydzi wca-  
le nie uważali zamordowania niewinnej istoty za koniec jej  
istnienia, ale  
za początek drogi, którą dusza przebywa ku zbawieniu. Wszyscy  
mieli do-  
brać rękę do spraw związanych ze śmiercią.  
Fleisher przedstawił Rona Avery'ego, doświadczonego  
komentatora  
"Philadelphia Daily News", autora Miasta Braterskiego Chaosu.  
To wła-

śnie on podsunął Fleisherowi pomysł zajęcia się sprawą. Avery wspomniał o niej w swojej książce, pisząc, że „wryła się na trwałe w pamięć mieszkańców”. Pobudził wyobraźnię detektywów stwierdzeniem, że wcześniejsze śledztwo doprowadziło do zgromadzenia „mnóstwa poszlak i dowodów; kilkudziesięciu, kilkuset obiecujących tropów”. Richard Walter przygotowywał profil psychologiczny mordercy. Frank Bender, zajmujący teraz miejsce obok Waltera, uważnie przejrzał wszystkie zachowane fotografie chłopca. Obecnie pracował nad popiersiem jeszcze trudniejszym niż rekonstrukcja twarzy Johna Lista — chciał odtworzyć wygląd ojca ofiary. Śledczy liczyli, że ktoś go rozpozna i przekaże policji informacje pomocne w dalszym śledztwie. Ponieważ nie dysponował ani skrawkiem informacji o rodzicach chłopca, opierał się wyłącznie na intuicji. Zważywszy na niezwykłą trafność jego wizerunku Lista, była nadzieja, że i tym razem dokona cudu. Producenci Najbardziej poszukiwanych ludzi Ameryki obiecali poświęcić Chłopcu w Pudełku cały odcinek programu. Weinstein był przysadzistym, łysiejącym mężczyzną o twarzy naznaczonej skutkami ubocznymi fotograficznej pamięci. Zmierzając w stronę mównicy, miał poczucie, jakby ponownie stał się

trzydziestolatkiem  
i wszedł między drzewami rosnącymi na skraju pola  
przylegającego do Su-  
squehanna Road, jakby przedzierał się w gumiakach przez błoto i  
mokre  
trawy. „Zobaczyłem jakieś odpadki i białego chłopca z  
podstrzyżonymi  
włosami. Cóż za smutny, rozdzierający serce widok! Leżał w tak  
uwłacza-  
jących warunkach. Zamordowany”, wspominał.  
Weinstein opowiadał, że jako zwykły policjant patrolujący na co  
dzień  
ulice musiał rzecz jasna oddać sprawę oficerom śledczym, mimo  
to upar-  
cie prowadził śledztwo na własną rękę. Przez zaufanego  
informatora do-  
tarł do człowieka, który dysponował fotografiami jakiegoś  
blondwłosego  
338  
chłopca siedzącego mu na kolanach na „indiańskim pledzie”.  
Weinstein  
kupił zdjęcia, spotkał się także z mężczyzną w restauracji. Ten był  
skłon-  
ny do współpracy, ale wyglądał na niezwykle zdenerwowanego.  
Po jakimś  
czasie zaczął się łamać i kiedy właśnie zgodził się pójść na  
przesłuchanie  
do biura wydziału zabójstw, do restauracji wszedł przełożony  
Weinsteina  
i kazał mu opuścić lokal. Weinstein nie przypuszczał, że  
kiedykolwiek  
otrzyma kolejną szansę na rozwiązanie tej zagadki.  
Kelly wiedział, że rozwiązanie tajemnicy śmierci chłopca byłoby  
pięk-  
nym ukoronowaniem jego kariery, a w pewnym sensie i całego



życia. Żona

McGillena była dumna z męża, który od dawna próbował postawić przed

sądem Marie Noe, a teraz dodatkowo zaangażował się w sprawę Chłop-

ca w Pudełku. Umierała na raka i prosiła Boga, aby jego starania zakoń-

czyły się sukcesem.

Podczas lunchu Bender oświadczył, że w jednej z jego wizji chłopiec

był przebrany za dziewczynkę. Jego opiekunowie najpierw zapuścili mu

długie włosy, a później obcięli je przed śmiercią, aby ukryć jego tożsamość.

Walter prychnął lekceważąco, a pozostali uczestnicy lunchu roześmiali się.

— Skoncentruj się na tym, co ci dobrze wychodzi, Frank — zwrócił

mu uwagę Walter. Był to jego ulubiony komentarz, którym zbywał nie-

szablonowe pomysły kolegi.

Fleisher marzył o tym, aby wyprawić chłopcu pogrzeb z prawdziwe-

go zdarzenia.

— Tę sprawę można rozwiązać — powiedział. Nawet jeśli zabójca już

nie żył, celem śledztwa będzie przywrócenie chłopcu godności, czyli po-

znanie jego nazwiska i pomszczenie wyrządzonej mu krzywdy za pomocą

jedynej broni, jaka w tym wypadku pozostała — prawdy. Kto wie, może

zdołają postawić mordercę pod pręgierzem opinii publicznej, a może na-

wet przed sądem.

— Ileż można... — skrzywił się Walter, obrzucając Fleishera spojrzeniem zarezerwowanym normalnie dla obnośnych sprzedawców Biblii. Profilera męczył rozlewający się po sali sentymentalizm. Otwarcie obśmiał popularną teorię autorstwa Bristowa, jakoby chłopca przypadkowo zabili kochający opiekunowie, którzy następnie uciekli, pogrążeni w żalu, nie mając pieniędzy na przyzwoity pogrzeb. W 1957 roku policja uznała 339 chłopca za ofiarę morderstwa, ale z biegiem lat, właśnie pod wpływem Bristowa, zaczęto oficjalnie twierdzić, że zmarł w wypadku. Zdaniem Waltera dziecko padło ofiarą mordercy o najbardziej wynaturzonej osobowości, jaką można sobie tylko wyobrazić, a policjanci zbzikowali na punkcie utraconego dzieciństwa chłopca i uczynili z niego symbol wiecznej młodości, mimo że od czterdziestu jeden lat gnił w grobie. Za postacią mordercy kryła się tak potworna tajemnica, że policjanci nie potrafili się z nią zmierzyć. Ale skoro nie przyjęli do wiadomości prawdy, jak mogli znaleźć mordercę? Przez ostatnie cztery dekady sprawiali wręcz wrażenie zakochanych w męczeństwie własnych niepowodzeń. Śledztwo w sprawie tajemniczego morderstwa nadawało sens ich życiu, tymczasem prawda nie miała w sobie nic z romantycznej wizji zabaw na plaży i rozgrywek

bejsbolowych.

„Trudno cokolwiek znaleźć, jeżeli się nie wie, czego szukać”,  
kręcił póź-

niej nosem Walter. Opisywane przez niego z takim spokojem  
potworno-

ści zdawały się nie robić na innych żadnego wrażenia.

Po czterdziestu jeden latach nieprzerwanego śledztwa,  
przesłuchaniu

tysięcy osób w trzydziestu stanach, wyprodukowaniu tysięcy stron  
opisu-

jących domniemane dowody, policja wciąż nie dysponowała  
żadną poszła-

ką, która pozwoliłoby posunąć sprawę do przodu. Jeszcze nigdy  
w historii

amerykańskich śledztw — pomijając sprawę Lindbergha — tak  
olbrzy-

mi wysiłek włożony w rozwiązanie zagadki morderstwa dziecka  
nie przy-

niósł tak opłakanych skutków.

— Owszem, dysponujemy jedynie szczątkowymi informacjami,  
ale

mnie to w zupełności wystarczy — przekonywał Walter.

Ślady na ciele ofiary stanowiły wyraźne i jednoznaczne  
świadcstwo

wydarzeń, o których nikt nie miał ochoty słyszeć.

Rozdział 42

Ośmioro dzieci nazywanych „ono”

Pewnego wieczoru pod koniec marca 1998 roku nieoznakowany  
czarny

ford explorer z sierżantem filadelfijskiej policji Larrym Nodiffem i  
dwo-

ma innymi funkcjonariuszami Specjalnej Jednostki Śledczej  
zaparkował

na wąskiej przyrzecznej uliczce w starej robotniczej części  
Kensington.

W powietrzu unosiła się mgła, zapadały powoli ciemności. Sierp księżycy wisił nad szeregiem niewielkich domów z cegły. Sierżant Nodiff zapukał do drzwi. Zadał głowę i spojrzał na pogrążone w mroku okna. Jego partner Steve Vivarina przygryzał mieszadełko do kawy. Poprzedniego dnia czasopismo „Philadelphia” opublikowało artykuł zatytułowany Przez kołyskę do grobu autorstwa Stephena Frieda, przedstawiający wyniki dziennikarskiego śledztwa poświęconego zapomnianej tragedii Marie Noe. Tekst wzbudził w mieście wielkie poruszenie. Sierżant Nodiff, który zapoznał się z artykułem jeszcze przed publikacją, uznał, że powinien w końcu porozmawiać z Marie i Arthurem Noe na temat śmierci ośmiorga ich dzieci. Sprawa mogłaby w równym stopniu stać się przedmiotem zainteresowania historyków, jak policjantów. Między śmiercią pierwszego i ostatniego dziecka minęło dziewiętnaście lat — w tym czasie w Stanach Zjednoczonych rządziło czterech prezydentów: Harry Truman, Dwight D. Eisenhower, John F. Kennedy i Lyndon Johnson. Policja po raz ostatni przesłuchiwała rodziców zmarłych dzieci trzydzieści lat wcześniej.

341

Dopiero po kilku minutach w uchylonych drzwiach pojawiła się szczy-

pła, surowa twarz siedemdziesięciosześcioletniego Arthura Noe. Za jego plecami majaczyła większa sylwetka sześćdziesięciodziewięcioletniej Marie. Sierżant Nodiff pokazał odznakę i spytał, czy zgodzą się pójść z nim na komendę. Marie i Arthur mieli prawo odmówić, ale tego nie uczynili. Poprosili tylko o kilka minut zwłoki. Skończyli właśnie jeść obiad i musieli jeszcze nakarmić koty i psy. — Sprowadzisz Bucusia na dół? — zawołał Arthur do żony. Policjantom wyjaśnił, że Bucus to imię jednego z kotów. Marie zniosła zwierzaka na parter, następnie oboje włożyli lekkie kurtki i zeszli powoli do policyjnej furgonetki. Marie i Arthur spędzili ze sobą większą część życia. Ona chorowała na cukrzycę i nie czuła się najlepiej. On cały się trząsał. Jak w przypadku wielu par, łączyła ich nierozzerwalna więź; we wszystkim rozumieli się bez słów. Zostali zaprowadzeni do oddzielnych pokoi przesłuchań w tak zwanym Okraglaku, betonowym budynku komendy głównej w centrum miasta. W pokoju przesłuchań C siedział przybity i podenerwowany Arthur, nałogowy palacz. Ten bystry mężczyzna przez wiele lat pracował w fabrykach włókienniczych w Kensington, a w przeszłości pełnił funkcję przewodniczącego lokalnego komitetu Partii Demokratycznej i

za-  
stępcy radnego miejskiego. Śmierć dzieci w latach 1949—1968  
była dla  
jego żony ogromnym ciosem; „zupełnie jakby ktoś odebrał jej  
połowę ży-  
cia”. Jak mówił przed laty reporterowi: „Dla pana to jest news, ale  
dla nas  
ogromne cierpienie”. Oficer śledczy Jack McDermott szybko  
doszedł do  
wniosku, że od Arthura nie dowie się nic nowego, i zaproponował,  
że ja-  
kiś policjant odwiezie go do domu. Arthur oświadczył, że chciałby  
zaczę-  
kać na żonę.  
Kiedy nadszedł wieczór, Arthur zapalił papierosa i usiadł przed  
tele-  
wizorem postawionym na zdezelowanych regałach na dokumenty  
odgra-  
dzających wydział zabójstw od reszty budynku. Marie nadal  
przebywała  
w pokoju przesłuchań D z sierżantem Nodiffem i oficerem  
śledczym Vi-  
variną. Arthur martwił się o stan zdrowia żony, co chwila  
spoglądał na  
zegarek. Przez całą noc palił papierosa za papierosem. Nie ruszył  
się z miej-  
sca aż do świtu.

342

O piątej rano Marie wykuśtykała z pokoju przesłuchań. Znękana  
twarz drżała od zmęczenia i ulgi. Przesłuchanie trwało jedenaście  
godzin.

Artur podszedł i ostrożnie dotknął jej ramienia. Wpatrywał się w  
żonę za-  
niepokojonym wzrokiem. Ich spojrzenia się spotkały, ale nie  
potrafił nic

wyczytać z jej oczu. Kiedy w przeszłości próbowała wyznać prawdę, on zawsze przerywał rozmowę. Wśród wielu nawyków, w które obrosło ich małżeństwo przez minionych czterdzieści lat, ten był najważniejszy. Zupełnie jakby Arthur nie chciał poznać prawdy. Sierżant Nodiff, szef wydziału spraw nierozwiązanych i członek Towarzystwa Vidocq'a, był jednym z najbardziej wnikliwych i niemiłosiernych specjalistów od przesłuchań w Filadelfii, z kolei oficer śledczy Vivari na potrafił w nieskończoność prowadzić niezobowiązującą przyjacielską pogawędkę. Rozmowa z Marie trwała całą noc. Dopiero tuż przed świtem — jak przyznał kilka lat później sierżant Nodiff na policyjnej konferencji — doszło do jednego z najdziwniejszych zdarzeń w całej jego karierze. „Wiem, że nikt mi nie uwierzy, ale to się naprawdę zdarzyło”, zapewnił słuchaczy Nodiff, czerwieniąc się jak burak. Podczas przesłuchania Marie siedziała tuż obok niego. W pewnej chwili wyciągnęła rękę i położyła pomarszczoną dłoń na nogawce jego spodni. Głaszcząc delikatnie wewnętrzną stronę uda sierżanta, zaczęła wylewać z siebie wspomnienia tłumione przez kilkadziesiąt lat. Przyznała się. Uduśliła je wszystkie poduszką. Z Arthurem miała dziesięcioro dzie-

ci. Jedno przyszło na świat martwe. Drugie zmarło w szpitalu sześć godzin po porodzie. Pozostałych ośmioro cieszyło się znakomitym zdrowiem, ale żadne nie przeżyło dłużej niż piętnaście miesięcy. Marie zabiła każde z nich. Za każdym razem czekała, aż Arthur wyjdzie z domu. Do morderstw nie przyznała się ani mężowi, ani krewnym. Zapamiętała szczegółowe okoliczności śmierci jedynie czworga dzieci: pierwszej trójki i piątego. Morderstwa Richarda Allena Noe z 1949 roku, Elizabeth Mary Noe z 1951 roku, Jacqueline Noe z 1952 roku i Constance Noe z 1958 roku wryły się jej głęboko w pamięć. Pierworodny syn, Richard, urodził się 7 marca 1949 roku. Ważył trzy i pół kilograma, był zdrowusieńki. „Ciągłe płakał. Nie umiał mi powiedzieć, co mu doskwiera. Tylko płakał i płakał... Tamtego dnia wykapałam go, ubrałam w śpioszki i zamierzałam położyć do spania. Zamiast na plecach położyłam go na brzuszku. Jego twarz spoczywała na poduszce. W pewnej chwili chwyciłam go za głowę i wdusiłam ją w poduszkę. Trzymałam, dopóki nie przestał się ruszać”, opowiadała Marie. Richard Noe miał trzydzieści jeden dni. Jako przyczynę śmierci podano niewydolność serca, ale nie przeprowadzono sekcji zwłok. W latach pięćdziesiątych XX wieku nikomu nie przyszłoby do głowy, że matka mogła-



by zabić dziecko.

Dwa lata później, w 1951 roku, Marie została sama w domu z Eliza-

beth Mary. Uniosła na rękach różową, wrzeszczącą, wymachującą rącz-

kami i nóżkami dziewczynkę, pięciomiesięczny okaz zdrowia.

Położyła ją

do łóżeczka „na plecach, potem wzięłam poduszkę z naszego łóżka, przy-

cisnęłam jej do twarzy i udusiłam”. Zapamiętała śmierć Elizabeth, ponie-

waż „się rzucała. Elizabeth była znacznie silniejsza od Richarda i walczyła,

kiedy przyłożyłam jej poduszkę do twarzy. Przyciskałam ją, aż w końcu

przestała się ruszać”.

Rok później, w 1952, zmarła Jacqueline Noe. Marie powiedziała, że

drugą córkę zabiła w ten sam sposób, jak poprzednią dwójkę, ale nie po-

trafiła sobie przypomnieć szczegółów.

Opowiadając o wydarzeniach sprzed lat, mówiła o dzieciach „ono”.

Przesłuchujący ją policjanci nalegali, aby nazywała dzieci ich imionami.

Sześć lat później, w 1958 roku, w szpitalu św. Łukasza przyszła na

świat Constance Noe. Dziecko po porodzie badał pediatra

Abraham Perl-

man. Wydawało mu się podejrzane, że czworo poprzednich dzieci Ma-

rie zmarło. Po latach powiedział policji, że do wszystkich zgonów doszło

w podobnych okolicznościach: Marie przebywała sama w domu, po czym

przynosiła niemowlę do szpitala lub do sąsiada i mówiła: „Coś się sta-  
ło mojemu dziecku”. Kobieta tłumaczyła za każdym razem, że  
dziecko  
w pewnej chwili „zaczęło mieć problem z oddychaniem i posiniało  
na  
twarzy”. W owym czasie medycyna uznawała, że dziecko może  
po prostu  
nagle przestać oddychać, a ten tragiczny w skutkach syndrom  
może być  
przypadłością dziedziczną. Doktor Perlman zbadał Constance  
starannie,  
szukając jakichkolwiek oznak osłabienia. Wyniki wskazywały  
jasno, że  
344

dziewczynka jest zupełnie zdrowa. Kiedy matka i dziecko  
opuszczali szpi-  
tal, doktor Perlman powiedział do Marie, że ma piękną córeczkę.  
Kobie-  
ta odpowiedziała: „Nie pożyje długo... podobnie jak poprzednie”.  
Parę  
tygodni później okazało się, że kilkumiesięczna Constance,  
zdrowa i pra-  
widłowo rozwijająca się dziewczynka, nie potrafi usiąść na  
krześle. „Próbo-  
wałam ją nauczyć, jak się siedzi i nagle z niewiadomych powodów  
wzięłam  
poduszkę, położyłam ją na krześle i udusiłam”, tłumaczyła Marie.  
Sekcję zwłok przeprowadziła patolog Marie Valdes-Dapena z  
biura  
filadelfijskiego lekarza sądowego. Doktor Valdes-Dapena, która w  
przy-  
szłości miała zostać uznanym autorytetem od zespołu nagłego  
zgonu  
niemowląt (ZNZN), nie potrafiła wyjaśnić śmierci dziecka. Śmierć

łó-  
żeczkowa wprawiała wtedy patologów w wielkie zakłopotanie.  
Naukowe  
badania nad tym zjawiskiem dopiero się rozpoczynały; nie miało  
jesz-  
cze nawet swojej nazwy. Lekarze wiedzieli tylko, że każdego roku oko-  
ło siedmiu tysięcy dzieci nagle przestaje oddychać i umiera.  
Nawet kiedy  
w późniejszych latach lekarze zaczęli podejrzewać, że wiele z  
tych zgonów  
może być wynikiem dzieciobójstwa, mieli ogromny kłopot z  
odróżnie-  
niem dziecka zmarłego na ZNZN od ofiary uduszenia. Marie Noe  
od-  
kryła sposób na morderstwo doskonałe.  
Nie płakała podczas składania zeznań. Spokojnie przyznała się  
do za-  
bójstwa kolejnego dziecka, Arthura juniora, w 1955 roku; nie  
pamiętała  
okoliczności. Dokładnie dziewięć miesięcy przed narodzinami  
Arthura  
juniora Marie zgłosiła się na policję, twierdząc, że została  
zgwałcona przez  
obcego mężczyznę, który następnie związał ją krawatami męża i  
zosta-  
wił w szafie wnękowej w sypialni. Tygodnik „Life” zamieścił  
wzrusza-  
jącą historię matki, która utraciła wszystkie dzieci. Artykuł  
wspominał  
o trojgu ostatnich potomkach Marie: Mary Lee urodzonej w 1962  
roku,  
Catherine Ellen urodzonej w 1964 roku i Arthurze Josephie.  
Dziewiąte  
dziecko, Catherine Ellen, przeżyło najdłużej — rok, dwa miesiące

i dwa-  
dzieścia dwa dni. Zmarło 25 lutego 1966 roku; przyczyny zgonu  
nie usta-  
lono. Arthur Joseph, ostatnie dziecko Marie, zmarł 2 stycznia  
1968 roku,  
miał pięć miesięcy. Marie zeznała wtedy policji, że chłopiec  
posiniał na  
twarzy i przestał oddychać. Przeprowadzono sekcję zwłok, ale  
przyczy-  
ny śmierci i w tym wypadku nie ustalono. Marie przyznała się  
teraz do

345

zabicia także tych trojga dzieci urodzonych w latach  
sześćdziesiątych, ale  
nie pamiętała żadnych szczegółów.

O świcie zeznanie Marie zostało przepisane na maszynie.

Kobieta

przeczytała je i podpisała. Z wyrazem ulgi na twarzy opadła na  
krzesło.

Jak wyznała oficerom śledczym, po każdym morderstwie miała  
nadzie-

ję, że policja domyśli się prawdy. „Wiedziałam, że robię coś  
bardzo złego”,

przyznała. Powoli podniosła się z krzesła i ruszyła w stronę drzwi.

Tuż

przed opuszczeniem pokoju przesłuchań odwróciła się w stronę  
Nodiffa

i Vivariny. Na jej twarzy malował się niepokój. „Tylko nie mówicie  
moje-

mu mężowi”, wyszeptała.

Sierżant Nodiff i oficer śledczy Vivarina wymienili spojrzenia. Star-  
sza pani, która z trudem poruszała się o własnych siłach, miała na  
sumie-

niu więcej istot ludzkich niż David „Syn Sama” Berkowitz czy  
Dusiciel

z Bostonu. Policjanci dysponowali szczegółowym zeznaniem, w którym Marie Noe przyznała się do popełnienia ośmiu morderstw — dzieciobójstwa, chyba najbardziej odrażającej ze wszystkich zbrodni. Dlaczego, na Boga, to zrobiła? I co oni mieli z tym zeznaniem począć? Marie ledwo trzymała się na nogach. Arthur wyprowadził ją z komendy. Wsiedli do policyjnej furgonetki i wrócili spokojnie do domu. Pięć miesięcy później Marie Noe została aresztowana i oskarżona o uduszenie ośmiorga swoich dzieci. Jej obrońca zaprzeczył zarzutom. Oskarżyciele zapowiedzieli, że będą żądali dożywocia. Arthur, który nie został o nic oskarżony, bronił dobrego imienia żony. Jesteśmy razem od pięćdziesięciu lat. Była całym moim życiem. Ta kobieta nie jest zdolna do takich czynów. Nie potrafiłaby skrzywdzić mu-

chy", powiedział.

## Rozdział 43

### Potrójne morderstwo

Została zamordowana trzykrotnie. Oto najistotniejszy szczegół mako-

brycznego zabójstwa Terri Lee Brooks, uznał z ponurą satysfakcją Richard

Walter. W zamyśleniu odgryzł kęs szarlotki, upił łyk kolumbijskiej kawy —

za słabej jak na jego gust — i ponownie skierował wzrok na zwłoki młodej

brunetki, której śmierci policja nie potrafiła wyjaśnić od wielu lat.

Pokryte sińcami i ranami ciało leżało w wielkiej kałuży krwi, z ramio-

nami rozciągniętymi w krzyż. Z gardła wystawał rzeźniczy nóż o

długości

17,5 centymetra, przygważdżając jej szyję do podłogi w kuchni restauracji

Roy Rogers przy autostradzie międzystanowej numer 1 w hrabstwie Bucks.

Nóż przeciął gardło i naruszył rdzeń kręgowy. Głowa kobiety była owinię-

ta plastikowym workiem na śmieci. Niewielka mgiełka pary wystarczyła

lekarzowi sądowemu do zrozumienia, że rozegrał się tam prawdziwy hor-

ror: przygwożdżona do podłogi, sparaliżowana od szyi w dół, niezdolna

do poruszenia się i wydania głosu, Brooks wciąż oddychała, gdy morder-

ca zbliżał się do niej po raz ostatni.

W ścianie w kuchni znajdował się otwarty sejf. Zniknęło z niego 2579 dolarów w gotówce. Morderca wyskoczył przez okno,

którym po-

dawano jedzenie klientom składającym zamówienia z samochodu. Do

zbrodni doszło przed świtem 3 lutego 1984 roku. Przesłane postąpił

nieostrożnie: na ścianie i na podłodze zostawił odciski palców, niemniej

wszystkie okazały się bezużyteczne z powodu gęstego tłuszczu, który

347

osiadał na wszystkim, co znajdowało się w kuchni. Minęło czternaście lat,

a policja nikogo w tej sprawie nie aresztowała.

Pozółkły wycinek z opublikowanego sześć miesięcy po morderstwie

numeru „Philadelphia Inquirer” zawierał tytuł, który mówił wszystko:

„niewyjaśnione morderstwo: policja w kropce, rodzina w żałobie”.

W maju 1998 roku do Downtown Club przybyło ponad osiemdziesięciu detektywów, zwabionych szansą ponownego rozpatrzenia jednego z najgłośniejszych, wciąż niewyjaśnionych morderstw ostatnich lat. Na sali

panował taki ścisk, że Lynn Abraham, wpływowa prokurator okręgowa

z Filadelfii, po raz kolejny musiała szukać dla siebie miejsca na stołku przy

barze. Po czternastu latach bezowocnego śledztwa policja z powiatu Falls

w stanie Pensylwania, nieco ponad czterdzieści kilometrów na północ od

Filadelfii, poprosiła Towarzystwo o pomoc. Sierżant Wynne Cloud wyra-

ził wdzięczność za szansę zaprezentowania sprawy przed tak szacownym

gronem. Wcześniej przestrzegł pogrążonych od lat w żałobie rodziców

Brooks, Eda i Cindy, aby nie robili sobie większych nadziei. W jego oce-

nie szanse na przełom były niewielkie.

— W ciągu pierwszych dwóch lat od morderstwa

przeprowadziliśmy

naprawdę staranne śledztwo — opowiadał zebrany sierżant Cloud. Po-

licja przesłuchała ponad dwieście osób, w tym dwunastu podejrzanych,

i zgromadziła dziewięćdziesiąt przedmiotów o wartości dowodowej. —

Mimo to nie przybliżyliśmy się do rozwiązania.

Sprawca zrabował zawartość sejfu, przez co policja prowadziła

docho-  
dzenie w sprawie „rabunku z komplikacjami”, a nie rozmyślnego  
morder-  
stwa. Ani przez chwilę nie rozważano innych możliwości.  
Walter przewrócił oczami. Usłyszał już dostatecznie wiele, aby wyro-  
bić sobie zdanie na temat sprawy, ale na razie zachował je dla  
siebie i popi-  
jając kawę, analizował brutalny mord. „Do jasnej cholery, to nie  
był żaden  
rabunek. Nawet idiota by to zauważył. Doszło do całkowicie  
zamierzone-  
go, potrójnego morderstwa. Tylko dlaczego? Kto chciałby zabić  
Terri  
Lee Brooks trzy razy z rzędu?”, myślał.

348

Policja przyjęła tezę o napadzie rabunkowym, ponieważ młoda ko-  
bieta nie miała wrogów, a przynajmniej takich, którzy mogliby jej  
życzyć  
śmierci. Urodziła się w hrabstwie Bucks, skończyła Uniwersytet  
Maryland  
i planowała karierę specjalistki od zarządzania zasobami ludzkimi.  
Na stu-  
diach w każde wakacje pracowała jako kelnerka. Po studiach  
ostatecznie  
podażyła za głosem serca: wróciła do rodzinnego miasta i  
znalazła pracę  
w restauracji Bucks County. Niedługo przed śmiercią dostała  
awans na  
zastępcę kierownika, co tylko utwierdziło ją w przekonaniu, że  
postąpiła  
słusznie, wiążąc się z siecią restauracji należącą do Marriott  
Corporation.  
Możliwości rozwoju miała wiele.



3 lutego 1984 roku Brooks siedziała wieczorem w biurze i zajmowała się papierkową robotą. Po wypuszczeniu „szorowaczy” — dwóch nastolatków, którzy pomagali w sprzątnięciu lokalu i przygotowaniu go na następną noc — zamknęła zewnętrzne szklane drzwi. Wewnętrzne zatrzasnęły się za nią automatycznie, tworząc podwójną przeszkodę dla ewentualnych intruzów. Została sama. Minęła północ. Była wyjątkowo ciepła i mglista noc. Przycichł szum samochodów dochodzący z pobliskiej autostrady. Stojący samotnie budynek przypominał świetlistą kostkę otoczoną mglistym mrokiem. Brooks często zostawała do późna. Zależało jej, aby możliwie najlepiej przygotować restaurację dla pracującego na dziennej zmianie kierownika Joe Hamptona. Niedługo po północy usłyszała pukanie do drzwi. Kwadrans po szóstej rano, kiedy na dworze było wciąż ciemno, pod restaurację zajechał Hampton. Zaskoczony zobaczył, że zewnętrzne drzwi są otwarte. Przekręcił klucz w zamku wewnętrznych drzwi i wszedł do środka. Przy drzwiach zauważył parę damskich mokasynów, w których rozpoznał własność Terri Brooks. Obok nich spoczywały klucze. Wszedł do kuchni. Podłogę i ściany pokrywały szerokie smugi krwi, groteskowo mieszane z osadzonym na powierzchniach tłuszczem. Terri

leżała mar-  
twa na plecach, za blatem. Policjanci byli zszokowani brutalnością  
mor-  
du. „Nic dziwnego”, pomyślał Walter, „skoro nie rozumieli jego  
znaczenia”.

Hal Fillinger przeprowadził w 1984 roku sekcję zwłok ofiary i  
dosko-  
nale pamiętał wszystkie makabryczne szczegóły. Z układu ran  
wynika-  
ło, że w chwili ataku Brooks szykowała się do wyjścia. Zdażyła  
włożyć

349

plaszcz, gdy gwałtownie zadany cios wyrzucił w powietrze jej  
torebkę,  
klucze i papierosy. Zabójca z niezwykłą siłą kilkakrotnie uderzył  
jej gło-

wą o kamienną posadzkę, skutecznie unieruchamiając kobietę,  
następnie

przygniół ją własnym ciężarem i zaczął dusić. Wtedy właśnie  
uszkodzeniu

uległa kość gnykowa — niewielka kość w kształcie litery U, która  
znajduje

się nad jabłkiem Adama i pomaga w przetykaniu oraz mówieniu.

Podczas

duszenia często ulega zgnieceniu. Terri Brooks nadal żyła. Nie  
zamierza-

ła się poddać, co skłoniło mordercę do sięgnięcia po nóż  
rzeźnicki. Rany

cięte na dłoniach wskazywały, że próbowała się zasłonić. Nóż  
przeciął gar-

dło i uszkodził częściowo rdzeń kręgowy. Kolejny cios przerwał  
go, a nóż

wbił się w podłogę, przygważdżając do niej szyję Terri.

Sparaliżowana, lecz wciąż żywa, musiała słyszeć, jak morderca prze-

szukuje zawartość restauracyjnego magazynu. Po chwili wrócił z przezroczystym plastikowym workiem na śmieci i owinał go wokół jej głowy. To właśnie Fillinger zwrócił uwagę na skroplone powietrze po wewnętrznej stronie worka, świadczące, że Brooks jeszcze oddychała — i patrzyła na duszącego ją mordercę. Widok zmasakrowanego ciała Brooks wywołał rumieniec na zapadniętych policzkach Eda Gaughana — wysoki, barczysty emerytowany major wydziału zabójstw miał wielką ochotę skrócić komuś kark. Gaughan przyjaźnił się z sierżantem Cloudem, który opowiedział mu o tkwiącym w martwym punkcie śledztwie podczas meczu futbolowego z udziałem ich synów, rozgrywanego na boisku szkoły średniej w Pennsbury. To właśnie Gaughan namówił sierżanta Clouda do zaprezentowania sprawy na forum Towarzystwa Vidocq'a. Cloud zapewniał, że policja z powiatu Falls zaangażowała w śledztwo wszystkie siły. O morderstwie napisały lokalne gazety, a Marriott Corporation wyznaczyła nagrodę wysokości pięciu tysięcy dolarów dla osoby, która doprowadzi do aresztowania i skazania zabójcy lub zabójców. Policja przyjęła założenie, że był to „rabunek z komplikacjami” — i to straszonymi komplikacjami. Brooks przyłapała złodzieja na gorącym

uczynku  
i przyplącała to życiem.  
Policja przesłuchała pięćdziesięciu byłych i obecnych  
pracowników re-  
stauracji. Za głównego podejrzanego uznano człowieka, którego  
Brooks  
350  
przyłapała na kradzieży pieniędzy z kasy, a także pracownika  
restauracji  
Roy Rogers w Filadelfii, który jej w przeszłości groził. Obaj  
podejrzani zo-  
stali ostatecznie oczyszczeni z podejrzeń. Policjanci rozmawiali  
również  
z byłym chłopakiem Brooks, mieszkającym w Kalifornii, ale i on  
został  
usunięty z grona podejrzanych.  
Śledczy próbowali połączyć morderstwo Brooks z serią równie  
brutal-  
nych napadów na fast foody, których część zdarzyła się w okolicy.  
W kwiet-  
niu 1985 roku, czyli czternaście miesięcy po śmierci Brooks, w  
oddalonej  
o zaledwie trzydzieści dwa kilometry restauracji Roy Rogers w  
Filadelfii  
menadżer dziennej zmiany znalazł rano ciało szefa zmiany  
nocnej. Męż-  
czyzna zginął od ciosów nożem; morderca opróżnił sejf. Policjanci  
nawią-  
zali kontakt z kolegami ze stanów Massachusetts, Maryland i  
Kalifornia,  
gdzie popełniono podobne przestępstwa; przesłuchali również  
podejrza-  
nych we wszystkich podobnych sprawach. W dziesiątą rocznicę  
lokalna  
stacja telewizyjna wyemitowała audycję poświęconą morderstwu

Brooks.

Policja odebrała wiele telefonów, a śledczy sprawdzili mnóstwo nowych tropów — bez skutku.

Sierżant Cloud zakończył prezentację tuż po wpół do drugiej. — Dziękuję za uwagę — powiedział. — Będę wdzięczny za wszystkie komentarze.

Wydawało się, jakby wszyscy jednocześnie zrobili wydech, szykując się do zadawania pytań. Pierwsze dotyczyły możliwości przeprowadzenia testów DNA, metody niedostępnej w 1984 roku. Czy istnieje możliwość pobrania DNA zbrojcy z ciała ofiary oraz przedmiotów znalezionych na miejscu zbrodni, między innymi noża? Cloud obiecał, że to sprawdzi.

Fleisher, Bender, Walter, Gaughan i Fred Bornhofen wymieniali się szeptem uwagami — wszyscy doszli do podobnych wniosków. Ich zdaniem policja sknociła śledztwo na samym początku, przed czternastu laty.

„Zaczęli szukać sprawców wśród złodziei. Przesłuchiwali wszystkie osoby aresztowane za podobne włamania. Problem w tym, że szukali nie

tam, gdzie trzeba. Złodziej kieruje się motywem finansowym. W razie

konieczności posunie się do morderstwa, ale ten przypadek był znacznie

bardziej skomplikowany”, tłumaczył Gaughan. Bornhofen napisał później:

„Było to tak zwane przesadne morderstwo, jakiego nie

popęłniłby

351

żaden włamywacz. Nawet kompletny laik widzi, że w tej sprawie chodzi-

ło o coś innego".

Gaughan spojrzął ze współczuciem na swojego przyjaciela sierżanta

Clouda i oświadczył, że policja musi rozpocząć śledztwo od początku. Na-

leży jeszcze raz przesłuchać wszystkich świadków i podejrzanych. Tym ra-

zem w dochodzeniu pomoże mu Towarzystwo Vidocq'a.

— Moi koledzy mają rację — odezwał się Walter, wstając z miejsca. —

Włamywacze nie owijają głów ofiar plastikowymi workami. Takie zachowanie jest charakterystyczne dla niezwykle skomplikowanego i mrocznego

typu osobowościowego. To nie było włamanie, ale morderstwo. Spraw-

ca upozorował kradzież, aby zmylić policję. I mu się to udało — przy-

najmniej do dziś. Niemniej już teraz możemy naszkicować jego sylwetkę.

Walter zawiesił głos.

— W grze informacyjnej najważniejsze nie są wcale odpowiedzi. Należy zadawać odpowiednie pytania. W tym wypadku interesuje nas, komu

mogło zależeć na zabiciu dziewczyny — aż trzykrotnie?

Zawadiacki uśmiech rozjaśnił panujący na sali mrok.

— Kogo Terri Brooks wpuściłaby do środka?

Rozdział 44

Z nieba do piekła

Waltera obudził hymn. Drzemał właśnie w salonie w swojej

neoklasycy-  
stycznej rezydencji, kiedy wiosenne powietrze wypełniły podniosłe  
tony  
pieśni Unieś wysoko krzyż. Włożył okulary, wyszedł na werandę i  
spojrzał  
ze złością na gotycką wieżę kościoła episkopalnego pod  
wezwaniami św.  
Pawła. Czas dać tym anglikanom nauczkę!  
Wyciągnął z garażu kosiarkę do trawy marki Briggs & Stratton,  
wlał  
benzynę do zbiornika i ubrany w dżinsy i czerwoną sportową  
koszulkę, za-  
czął kosić trawnik przed domem. Robił to co niedziela, kiedy tylko  
chór  
się rozkręcił, niezależnie od tego, czy trawnik wymagał koszenia.  
Walter  
był uradowany, kiedy udawało mu się zagłuszyć śpiew terkotem  
starej ko-  
siarki, niosącym się aż do otwartych okien kamiennego kościoła.  
„Angli-  
kanie to fatalni sąsiedzi. Kiedy w niedzielę zaczynają wyć,  
rewanżuję im  
się możliwie największymi hałasami”, pisał do przyjaciela.  
— Widzę, że nadal zмага się pan z psychopatycznymi  
skłonnościami — stwierdził z uśmiechem Stoud, wchodząc na werandę.  
Profil  
siedział ze lśniącą od potu twarzą, popijając mrożoną herbatę. Był  
późno-  
wiosenny poranek i akurat, wyjątkowo, panowała cisza. — Że też  
ludziom  
przychodzi do głowy śpiewać w kościele w niedzielny poranek,  
niepraw-  
daż?  
— W rzeczy samej — zaśmiał się Walter. — Jak wiesz, nie

sprawdzam  
się w roli ofiary, zresztą ostatnio jakoś nie mam specjalnej  
sympatii do  
chrześcijan.

353

Walter właśnie wrócił z Lubbock w Teksasie, gdzie — rok po  
skazaniu

Leishy Hamilton na dwadzieścia lat więzienia — odbył się proces  
Tima

Smitha, pobożnego anglikanina, oskarżonego o współudział w  
morder-

stwie Scotta Dunna. obrońca przedstawił Tima, bezwzględniego  
morder-

cę, jako miłego w obyciu, przykładnego męża i ojca trzyletniego  
chłopca,

młodego chrześcijanina, który dopiero pod wpływem Hamilton  
zszedł na

złą drogę. Członkowie kościoła, do którego należał Smith,  
przychodzili

tłumnie na salę sądową i prosili wszystkich chrześcijan w mieście  
o mo-

dlitwę za jego uniewinnienie. „Ci idioci złazili się do sądu i  
biadolili, że

zabójca jest wzorowym członkiem ich kościoła. Niestety wpływali  
w ten

sposób na decyzję ławy przysięgłych”, opowiadał Walter.

Zdaniem prokuratury trzydziestopięcioletni Smith był romantykiem  
łatwo ulegającym wpływom innych. Dał się uwieść Hamilton, która  
bez

skrupułów wykorzystywała takich mężczyzn. Niczym zakochany  
po uszy

licealista nie odstępował jej na krok. Zachodził do Copper Kettle,  
gdzie

pracowała jako kelnerka. Zasypywał ją listami miłosnymi  
przepełniony-



mi żalem z powodu jej związku ze Scottem. Smith uważał, że gdyby Scott Dunn zniknął, on mógłby zaznać szczęścia z kobietą, którą kochał. Prokurator twierdził, że Smith współuczestniczył bezpośrednio w morderstwie przez około czterdzieści osiem godzin. Odciął kawałki przesiąkniętego krwią dywanu, aby ukryć dowody zbrodni; razem z Hamiltonem zawinął ciało Scotta w dywan; pomógł w pozbyciu się zwłok i wysprzątaniu miejsca zbrodni. Włókna z zakrwawionego dywanu znaleziono w mieszkaniu Smitha na rolce taśmy klejącej. Walter uważał, że Hamilton pozyskała względy Smitha, aby zrzucić na niego winę. Po zamordowaniu Scotta Leisha zaczęła bawić się w kotka i myszkę z policją, odgrywając rolę kobiety skrzywdzonej, choć zawsze gotowej do współpracy. Zamieszkała z Timem, aby dokończyć plan wrobienia biedaka w zbrodnię. Smith uwierzył, że spełniły się jego marzenia, tymczasem jego życie zamieniło się w koszmar. Co rusz przyłapywał swoją dziewczynę na uprawianiu seksu z innymi mężczyznami, a kiedy przeciwko temu protestował — był przez nią bity. Hamilton — nieustannie rzekomo chętna do pomocy w poszukiwaniach mordercy Scotta — wyznała policjantom, że boi się swojego nowego chłopaka. Pokazała im listy miłosne

Tima, które rozpoczynał od słów „Droga Zielonooka”, a podpisywał „Superman” i „Flash”. W niektórych listach nazywał Scotta „wężem” i „dupkiem” oraz żądał, aby wybrała w końcu jednego z nich. „Gdyby tylko Scott gdzieś zniknął, bylibyśmy ze sobą szczęśliwi”, pisał Smith. Hamilton potwierdziła w rozmowie z „Lubbock Avalanche-Journal”, że jej chłopak jest podejrzany w sprawie zaginięcia Scotta. W przeszłości miał być potwornie zazdrosny o jej związek ze Scottem. Nie minęło wiele czasu, a policja rzeczywiście uznała Smitha za głównego podejrzanego. Osaczenie ofiary sprawiało Hamilton satysfakcję. „Potrzeba stymulacji jest w przypadku psychopaty w zasadzie nienasycona. Człowiek taki musi nieustannie potwierdzać własną wartość, aby mieć poczucie, że jest sprytniejszy od wszystkich. Powtarza sobie nieustannie w myślach: Mam cię!”, wyjaśniał Walter Dunnowi. Walter przeprowadził ostrą rozmowę ze Smithem, próbując go zmusić do wyjawienia, co stało się z ciałem Scotta. Smith odmawiał odpowiedzi. Powiedział, że „nie potrafiłby zwrócić się przeciwko bliźniemu; to nie po chrześcijańsku”. „A morderstwo jest według ciebie chrześcijańskim uczynkiem? Czy po chrześcijańsku jest je tuszować?”, naciskał Wal-

ter. Tim Smith nie odpowiedział.  
Walter śledził proces w sądzie hrabstwa Lubbock wraz z Jimem i  
Bar-  
barą Dunnami. Wszyscy troje nie posiadali się z radości, kiedy  
Smitha  
uznano winnym popełnienia morderstwa pierwszego stopnia.  
Musiało  
minąć sześć lat, ale sprawiedliwości stało się zadość. Wszystkie  
tezy Wal-  
tera uzyskały wreszcie oficjalny stempel prawdziwości. Mimo że  
sąd po-  
nownie nie dopuścił do składania przez niego zeznań, prokurator  
Rusty  
Ladd podziękował Walterowi za pomoc udzieloną stanowi  
Teksas, przede  
wszystkim za zwrócenie uwagi na postać Smitha, głównego  
wspólnika  
Hamilton. Gdyby nie pomoc Waltera, Leisha nie trafiłaby do  
więzienia,  
a Tim Smith nie czekałby teraz na wyrok.  
Wysokość kary sąd ustalił następnego dnia. Smithowi groziło  
dzie-  
więćdziesiąt dziewięć lat więzienia za współudział w torturowaniu  
Dunna,  
morderstwo oraz zbezczeszczenie i pozbycie się zwłok. Rok  
wcześniej Ha-  
milton skazano na dwadzieścia lat — ku irytacji Waltera, z  
możliwością  
355  
przedterminowego zwolnienia za dobre sprawowanie po  
odsiedzeniu nie-  
całych dziesięciu lat.  
Ława przysięgłych obradowała przez godzinę. Chociaż uznano go  
win-  
nym popełnienia morderstwa pierwszego stopnia, Timothy James

Smith

nie został skazany na karę więzienia. Dostał dziesięć lat nadzoru sądowego

i musiał zapłacić grzywnę w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów.

Dunn nie wierzył własnym uszom. Nie mógł zrozumieć, jak „Tim Smith, uznany przecież za winnego, będzie mógł swobodnie przechadzać

się po ulicach Lubbock". Nie zmuszono go nawet do zdradzenia, co zro-

bił z ciałem Scotta. Ława przysięgłych wybrała dozór sądowy, ponieważ

Smith nie był wcześniej karany.

Walter był wściekły. „Zupełnie jakby postanowili się zabawić w Boga

i udzielić oskarżonemu przebaczenia. W takich sprawach ława przysię-

głych powinna zostawić Bogu, co boskie, a zająć się pracą na rzecz sta-

nu Teksas. Niestety, puściła Timothy ego Jamesa Smitha wolno, mimo

że dopuścił się morderstwa uwłaczającego godności wszystkich żywych

istot", pisał później.

Walter niepokoił się o Jima Dunna. W trakcie procesu udręczony oj-

ciec błagał Smitha o zdradzenie — osobiście lub anonimowo — lokaliza-

cji szczątków Scotta. „Błagam, niech pan pozwoli, żeby otrzymał godny

pochówek. Proszę spojrzeć na swojego syna, a później odpisać na ten list.

Przyjmę odpowiedź w jakiegokolwiek formie, nawet przez pośrednika. List

proszę wysłać na skrzynkę pocztową numer 986 w Morrisville, 19-067

Pensylwania", napisał.

Dunn zaczął znów odbierać telefony od Leishy Hamilton. Miał nadzieję, że może ona w końcu wyjawi, gdzie znajduje się ciało Scotta. Hamilton

dzwoniła do pogrążonego w żalu ojca z więzienia, żerując na jego

rozedrganiu emocjonalnym. Dunn był wrakiem człowieka. Leisha zamor-

dowała mu syna, a teraz niszczyła i jego.

— Skończ z tymi rozmowami — zrugął go Walter. — Masz do czynie-

nia z klasyczną psychopatką. Morderstwo nie zakończyło się w momencie

śmierci twojego syna. Powtarzam to wiecznie: morderstwo się nie kończy,

dopóki nie zdecyduje o tym morderca. A dla niej się jeszcze nie skończyło,

356

ponieważ wciąż czerpie z niego satysfakcję. Nie możesz sobie pozwolić na

nienawiść, bo to cię tylko osłabia. Przeciwieństwem miłości wcale nie jest

nienawiść. Przeciwieństwem miłości jest neutralność, postawa „Nic mnie

to nie obchodzi". Jeżeli zaczniesz ją ignorować, straci nad tobą władzę. Do

cholery, Jim, zamordowała twojego syna. Nie chcesz chyba, żeby zabójca

miał na koncie kolejną ofiarę.

Pragnienie odszukania szczątków syna i pochowania ich w prawdzi-

wym grobie niszczyło Jima.

Stoud siedział w milczeniu, tymczasem Walter zapalił papierosa i zawiesił

wzrok na smudze dymu, która rozplywała się nad werandą.

— Sprawa była doprawdy fascynująca — odezwał się w końcu.

—

Leisha Hamilton, dominująca morderczyni opętana żądzą władzy, porządkowuje sobie uległego Tima Smitha, okręca go sobie wokół palca

i namawia do współudziału w morderstwie, zamierzając zrzucić na niego

całą winę. Ława przysięgłych poznaje się na Hamilton, czuje do niej od-

razę i posyła do więzienia. Następnie przed sądem staje Tim Smith, który

za sprawą wrodzonej uległości padł ofiarą zakusów Hamilton. Tą właśnie

kartą próbuje grać, stojąc przed ławą przysięgłych. Jest równie wielkim

psychopatą jak Hamilton, ale wygląda na marzyciela, romantyka.

Przysię-

gli dają się nabrać na przedstawienie pod tytułem: „Jestem uroczym, mi-

łym, młodym chrześcijaninem”.

Wstał i spojrział na otoczony drzewami kościół św. Pawła.

— Jestem co prawda bardziej agnostykiem niż ateistą, ale w naszym

zawodzie nawet osoba niewierząca musi kierować się wartościami, mieć

odpowiednio ukształtowaną osobowość, silne poczucie misji i charakter.

Dopalił papierosa.

— Dawniej to ludzie mieli charakter, a teraz charakter mają domy, a lu-

dzie osobowość. To nie wystarczy. Dobro, prawda, piękno muszą po-

zostać niezmiennie.

— Człowiek musi kierować się pewnymi standardami —

powiedział  
wesoło Stoud.

— Musi.

357

Rozdział 45

Zeście do jądra ciemności

Szczupły mężczyzna siedział w fotelu. Na zabytkowym stoliku z  
orze-

chowca pochodzącym z dziewiętnastowiecznego Lyonu  
spoczywała

paczka mentolowych papierosów, wysłużona metalowa  
popielniczka i ce-

ramiczny kubek do kawy — prezent od policjantów z wydziału  
zabójstw

pewnego miasta ze Środkowego Zachodu. Kubek ozdabiał napis:  
„Gdy

twoje życie się kończy, my wkraczamy". Pograżony w półmroku  
salon był

wypełniony antykami. Przy drzwiach stało popiersie francuskiego  
ryce-

rza, chevaliera z ubiegłego wieku, oświetlone czerwonym  
światłem wydo-

bywającym się z wielkiego chińskiego lampionu.

Ciszę popołudnia zakłócało jedynie tykanie zegara szafkowego i  
kli-

kanie obracającego się pod palcami Waltera kółka zamka walizki.  
Był to

wyprodukowany przez firmę Zero Halliburton klasyczny model z  
alumi-

nium lotniczego rozpiętego na stalowym ożebrowaniu, niemal  
nieznisz-

czalny, utrzymany w stylistyce lat czterdziestych XX wieku.

Właśnie

w takich walizkach przechowywane są kody do głowic  
nuklearnych i słyn-

ny „czerwony guzik”.

— To, co usłyszysz, musi pozostać tajemnicą — ostrzegł Walter, gdy dwie zasuwki wyskoczyły z otworów i rozległ się syk otwieranej walizki. —

Nic nie może wyjść poza ściany tego pokoju.

— Widziałem taką samą walizkę w Mission Impossible — stwierdził z przekąsem Stoud. — Niespecjalnie pasuje do wizerunku emeryta.

359

Stoud wiedział, że ten model Zero Halliburtona cieszy się popularnością wśród szpiegów, agentów federalnych i pretensjonalnych reżyserów filmów noir. Skoro Walter przechowywał w niej jakieś informacje, z pewnością nie chciał, aby wpadły w niepowołane ręce.

— Wiedza może zaszkodzić temu, kto nie jest gotowy na jej przyjęcie — zwrócił uwagę Walter. — Dostojewski powiedział, że człowiek potrafi przyswoić sobie niektóre idee, ale w innych może się zupełnie zatracić.

W głębokim skórzanym wnętrzu spoczywał — chroniony przed

ku-  
rzem i wilgocią przez uszczelkę walizki — plik fotografii przedstawiają-

cych zwłoki Terri Lee Brooks z nożem wystającym z gardła. Pod spodem

znajdowały się zwykle teczki.

Typy morderców wyróżnione przez Waltera.

Razem z Bobem Keppelem, słynnym oficerem śledczym ze stanu Wa-

szyngton, przez lata dopracowywali swoją teorię prowadzenia



śledztwa  
w sprawach o morderstwo. Wkrótce mieli opublikować w „International Journal of Offender Therapy and Comparative Criminology” artykuł zatytułowany Tworzenie profili psychologicznych morderców: zrewidowany model klasyfikacyjny umożliwiający zrozumienie morderstwa o podłożu seksualnym. Tekst spotkał się z pozytywnym przyjęciem. Doceniono jego przełomowy charakter i możliwość praktycznego zastosowania modelu w śledztwie. Od lat osiemdziesiątych Walter jeździł po całym świecie — od Hongkongu przez Londyn do Harrisburga w Pensylwanii — z wykładami o typach osobowościowych morderców. Jego widownią byli oficerowie śledczy, prokuratorzy i specjaliści nauk sądowych. Ludzkość od zarania dziejów pragnęła zgłębić istotę mroku. Dostrzec ogólniejsze zależności. Walter miał pełną świadomość, że jego metoda została wcześniej precyzyjnie opisana w londyńskim czasopiśmie „Beetons Christmas Annual” z 1887 roku, w którym po raz pierwszy pojawiła się postać Sherlocka Holmesa. Detektyw wyjaśniał tam swojemu przyjacielowi doktorowi Watsonowi, na czym polega jego praca. „Jestem detektywem-doradcą. (...) mamy bardzo wielu detektywów rządowych i mniejszą ilość — prywatnych. Gdy gubią się w jakiś sprawie,

przycho-  
dzą do mnie (...) Wtajemniczają mnie we wszystkie fakty i zwykle  
udaje  
mi się (...) wskazać im prawidłową drogę. Wszystkie przestępstwa  
mają  
360

jakieś «rodzinne» podobieństwo i gdy się zna jak własne pięć  
palców szcze-  
góły tysiąca zbrodni, dziwnym by było nie rozwikłać tysiąc  
pierwszej"\*.

Po przeanalizowaniu tysięcy przypadków Walter i Keppel odkryli,  
że

sprawców najbardziej brutalnych morderstw, czyli tych  
popęlnianych na  
tle seksualnym, można przyporządkować do jednego z czterech  
typów

osobowościowych. Ludzie ci w sposób nieunikniony i nieświa-  
domy zdradzają przy okazji każdego morderstwa swoje cechy,  
pragnienia

i poziom biegłości w mordowaniu. Scena zbrodni przypomina  
zamalowa-

ne płótno — detektyw musi jedynie odczytać podpis autora. Jak  
napisał

w 1910 roku G.K. Chesterton: „Przestępca jest artystą, a detektyw  
jedy-  
nie krytykiem”.

Walter wrócił z kuchni z dzbankiem świeżej kawy. Obaj zapalili  
pa-

pierosy. Minęło południe. Walter i Stoud rozpoczęli wędrówkę w  
stronę

jądra ciemności.

Pierwszy typ osobowościowy wyróżniony przez Waltera i Keppela

—

morderca o profilu stanowczej siły (power-assertive killer)\*\* — był  
naj-

powszechniejszy. Walter nazywał go mordercą w stylu Johna Wayne'a. Człowiek taki emanuje męskością, szczyli się muskulaturą i tatuażami, lubi broń palną, czasopisma z roznegliżowanymi panienkami i jeździ furgonetką. Samochód to dla niego powód do dumy. Mordercę o profilu stanowiącej siły wyróżnia powalenie ofiary potężnym ciosem w głowę; czyn analogiczny do pierwszego ugryzienia rekina, którym drapieżnik pozbawia ofiarę możliwości obrony. Zwłok pozbywa się, jakby był odpadem, zaspokajając tym samym pragnienie władzy. Człowiek taki kieruje się w życiu kilkoma żelaznymi zasadami (w odróżnieniu od wsłuchiwanie się we wskazówki płynące z cech charakteru). Na przykład jeśli podczas gwałtu duszona przez niego kobieta umrze, natychmiast przerywa stosu-

\* A. Conan Doyle, Studium w szkarłacie, tłum. T. Evert, Warszawa 1956, s. 24.

†\* Polskie nazwy kategorii morderców, które omawia w tym rozdziale Walter, zaczerpnięto z artykułu Pawła Marcinkiewicza Psychologiczne aspekty wykrywania przestępstw seksualnych, opublikowanego w biuletynie Sekcji Psychologii Sądowej Koła Naukowego Studentów Psychologii UJ: <http://psychologiasadowa.pl/wp-content/uploads/2011/02/Psychologiczne-aspekty-wykrywania-przest%C4%99pstw-seksualnych-Pawe%C5%82-Marcinkiewiczi.pdf>, dostęp z dnia 6 czerwca 2011.

361

nek, ponieważ „nie chce, aby policjanci uznali go za dewianta. Tylko zbo-

czeniec potrafiłby zerznąć trupa", tłumaczył Walter.

— Typowym mordercą o profilu stanowczej siły była Leisha Hamil-

ton. Scott Dunn nieświadomie popełnił niewybaczalny błąd: podważył

jej władzę. W konsekwencji najpierw go unicestwiła, a następnie pozbyła

się ciała, zaspokajając swoje pragnienie kontroli. Jej współnik Tim Smith

jako przedstawiciel pozornie łagodniejszego, drugiego typu, był morder-

cą o profilu kompensacyjnym (power-reassurance killer). To morderca nie-

pozorny i nadwrażliwy, wyjaśniał Walter, zagubiony w świecie własnej

wyobraźni. Zamiast brutalnego „skoku" na władzę, zdobywa ją za pośred-

nictwem fantazji. W szkole ubierał się na czarno, biegał po ulicy i odgry-

wał sceny z horrorów. To Gwałciciel Dżentelmen karmiący się urojeniem,

że jakaś kobieta się w nim zadurzyła. Podchodzi do niej i mówi: „Naresz-

cie przybyłem, najdroższa. Pójdź w me ramiona". Taki człowiek wpada

w morderczą wściekłość, gdy kobieta go splewia, przekłuwając tym sa-

my balon jego samozadowolenia. W odróżnieniu od typu Johna Wayne'a,

który starannie zaciera ślady morderstwa, ten zostawia na miejscu

zbrodni bałagan. Wystarcza mu zaspokojenie fantazji i

rozładowanie  
wściekłości. Do tego typu należą niektórzy bohaterowie thrillerów  
Ja-  
mesa Pattersona, na przykład Casanova albo Dżentelmen w  
Kolekcjone-  
rze. Osobowość mordercy o profilu kompensacyjnym miał  
również David  
Dickinson, morderca z obsesją na punkcie butów, żyjący fantazją  
o powo-  
dzeniu, jakim miał się cieszyć u kobiet. Kiedy z błędu  
wyprowadziła go  
studentka Deborah Wilson, popełnił morderstwo.  
Był wczesny wieczór. Walter popijał wino z kieliszka, Stoud  
trzymał  
w dłoni szklankę piwa.  
Od pół godziny przerzucali się błyskotliwymi uwagami, a gromki  
śmiech przenikał siwe kłęby dymu unoszące się powoli w stronę  
sufitu.  
W tle rozbrzmiewał Rigoletto. W pewnej chwili zapadła cisza.  
Zmasakro-  
wane zwłoki Terri Brooks — pobitej, uduszonej, zadźganej i  
ponownie  
uduszonej — spoglądały na nich z blatu dziewiętnastowiecznego  
stolika.  
— To morderstwo popełnione w gniewie — przerwał milczenie  
Stoud. — Wskazuje na to brutalność i wielokrotność.  
362  
— W rzeczy samej. Dzieło jeszcze mroczniejszego umysłu.  
Był to morderca trzeciego typu, o profilu gniewnej zemsty  
(anger-re-  
taliatory killer) — jeden z dwóch typów osobowościowych  
czerpiących  
przyjemność nie tylko z dominacji nad ofiarą, ale z samego aktu  
zabija-  
nia. Dwie podstawowe jego cechy to poprzedzenie morderstwa

obserwacją  
ofiary z ukrycia (jak drapieżnik szykujący się do ataku) oraz  
zakrycie jej  
twarzy. Walter nazywał ten typ osobowości mordercą w stylu O.J.  
Simp-  
sona.

— Choć oczywiście wiemy, że wcale O.J. nie zamordował byłej  
żony

i jej przyjaciela — dodał Walter. Stoud zachichotał.

— To była sprawka klasycznego mordercy odwetowego w  
gniewie —

kontynuował Walter — upozorowana niezdarnie na robotę  
włamywaczy.

Podstawową oznaką gniewu i gwałtownych uczuć była  
przesadność

mordu, mówił Walter. Zupełnie jakby dziewczyna miała dziewięć  
żyć,

a morderca po kolei je odbierał. Drugą wskazówką był dobór  
narzędzi

zbrodni pozwalających na zadanie śmierci z bliskiej odległości —  
noża,

ołowianej rury oraz własnych dłoni.

— Gdybyśmy pokłócili się teraz o moje wynagrodzenie i  
postanowił-

bym cię zabić, pobiegłbym po pistolet. Nasz spór dotyczyłby  
bowiem

władzy, a morderstwo związane z walką o władzę będzie  
eleganckie

i popełnione na chłodno — tłumaczył Walter. — Gdy wszakże  
sprawa

dotyczy uczuć, na przykład związanych ze zdradą, mordercę  
będzie satys-

fakcjonować zabijanie ofiary poprzez wielokrotne zadawanie  
zabójczych

ciosów — dźganie nożem, cięcie, bicie.

Na końcu sprawca zakrywa ofierze oczy. Człowiek, który zabił Terri Brooks posłużył się w tym celu foliowym workiem.

— W setkach przeanalizowanych przeze mnie przypadków ani jeden morderca o profilu gniewnej zemsty nie pozwolił ofierze zobaczyć, jak opuszcza miejsce zbrodni — powiedział Walter. — To dla niego ostatni sposób wyrażenia gniewu. Zdecydowanie najczęstszym motywem jest tu zawód miłosny. To najbardziej logiczne wyjaśnienie, ponieważ podstawową charakterystyką zbrodni jest jasno określona — innymi słowy łatwo rozpoznawalna — namiętność, a kiedy człowiek ulega jakiejś namiętności, dzieje się to z jakiegoś powodu. Najczęściej chodzi o seks.

363

Walter pokrótce scharakteryzował mordercę.

— To człowiek życiowo niespełniony, ale obdarzony pewnym urokiem osobistym, na który ona nie pozostaje obojętna. Terri to sympatyczna, silna kobieta — takie lubi najbardziej. Nieokreśloność łączącej ich relacji odpowiada mu, bo dzięki niej może pozostać wiecznie niedojrzałym chłopcem. Kiedy te wady zaczynają przeszkadzać Terri — bo w istocie ma do czynienia z nieudacznikiem, który ją wykorzystuje — zrywa z nią. „Nie zwracaj mi więcej gitary”, mówi. Sądzi, że się go pozbyła, tymczasem właśnie podpisała na sobie wyrok śmierci.

Walter upił łyk wina.

— Pamiętaj, że związek z mordercą odwetowym w gniewie kończy się dopiero wtedy, gdy on o tym zdecyduje. Jej decyzja nie ma żadnego znaczenia, bo relacja ma charakter pasożytniczy. Od początku taki miała, tyle że teraz staje się dodatkowo mroczniejsza i naznaczona nienasyceciem.

Terri zadała mu ostateczny cios, mówiąc: „Nie chcę cię więcej widzieć”.

On nie potrafi się pogodzić z zerwaniem i znajduje uzasadnienie dla zbrodni.

Ma poczucie, że został niesłusznie skrzywdzony, a zatem ma prawo ją

zabić. To sprawia, że nie ma potem wyrzutów sumienia.

Zdaniem Waltera zabójcą będzie mężczyzna zbliżający się do czter-

dziestki, który niewiele w życiu osiągnął, mieszka od urodzenia w tym

samym miejscu, z matką, wykonuje jakąś niewdzięczną pracę i jest zanie-

dbany. Sporządzony przez Waltera profil pozwalał wyjaśnić, dlaczego Ter-

ri wpuściła zabójcę do restauracji o wpół do drugiej w nocy.

— Znała go i mu ufała — powiedział Walter. — To był jej chłopak.

Profiler nie był jeszcze gotowy, aby opowiedzieć Stoudowi o morder-

cach należących do czwartego typu.

— To najbardziej złożony i diaboliczny typ, najtrudniejszy do schwyta-

nia. Jeden z największych koszmarów, jaki spotkał ludzkość.

Czarna dziu-

ra na końcu kontinuum.



## Rozdział 46

W świecie, który powstanie na nowo

Przejeżdżając czarnym sedanem przez kamienną bramę cmentarza Ivy

Hill w Filadelfii, Fleisher miał poczucie satysfakcji. Chłopiec miał zo-

stać w końcu przeniesiony w lepsze miejsce. Samochód mijał ogromne

grobowce i obeliski znanych ludzi: Charlesa Duryei, wynalazcy silnika

benzynowego, piosenkarki gospel Marion Williams, gwiazdy tenisa sza-

lonych lat dwudziestych Billa Tildena. Mauzolea wielkich postaci góro-

wały nad prostymi kamieniami nagrobnymi i krzyżami oznaczającymi

miejsca spoczynku zwykłych ludzi. Dzięki przychylności przedsiębiorcy

pogrzebowego Craiga Manna, którego ojciec przed laty pochował chłop-

ca, Towarzystwo Vidocqa otrzymało od zarządu cmentarza znakomite

miejsce nieopodal bramy; chłopiec miał spocząć między najszlachetniejszymi

zmarłymi. „Powinien leżeć tu, w poświęconej ziemi. Obok innych dzie-

ci”, myślał Fleisher.

Był szary, ponury poranek 11 listopada 1998 roku, Dzień Kombatanta.

Przez całą noc nad wzgórzami dziewiętnastowiecznego cmentarza padał

deszcz, a grobowce i pomniki pociemniały od wilgoci. Starzy detektywi

w ciemnych płaszczach i kapeluszach zebrali się wokół świeżo wykopa-

nego w ziemi dołu. Byli wśród nich Weinstein, Kelly i McGillen — zimą

1957 roku młodzi policjanci, tego dnia przebrani w ciała starych ludzi.

Nad otworem w ziemi stał duży, czarny kamień nagrobny, na którym wy-

rzeźbiono baranka, symbol niewinności. Miejsce na cmentarzu i nagro-

bek ufundowali dobroczyńcy; za pogrzeb zapłaciło Towarzystwo Vidocqa.

365

Weinstein, który przed laty wyjął chłopca z pudełka, teraz razem z Flei-

sherem przeniósł śnieżnobiłą trumienkę z fazowanym wiekiem z karawa-

nu do grobu. Dudziarz zagrał przepełniony żalnością, stary Negro spiritual:

Do domu, do domu, idę do domu...

To niedaleko, tuż za rogiem,

Wejdę przez otwarte drzwi...

Matka mnie wypatruje,

Ojciec też na mnie czeka;

Wiele osób tam przybędzie,

Wszyscy moi przyjaciele.

Fleisher umieścił trumnę na hydraulicznym podnośniku. Ostatni raz tak

blisko słońca chłopiec spoczywał w 1957 roku. Jego jedyną rodzinę sta-

nowiły dwa pokolenia policjantów.

Stary kamień nagrobny z napisem „Boże, pobłogosław tego bezimien-

nego chłopca" położono pod nowym. Fleisher rozplakał się.

Starając się opanować emocje, prezes Towarzystwa Vidocqa wszedł

na prowizoryczne podium. Wokół grobu stało ponad sto osób, w

tym  
prokurator okręgowa Abraham oraz przybyły z Waszyngtonu  
wysokiego  
szczębla pracownik Narodowego Centrum Dzieci Zaginionych i  
Wyzy-  
skiwanych. Przedstawiciele mediów zajęli miejsca nieco dalej, po  
drugiej  
stronie alejki. Znajdowała się między nimi kobieta po  
pięćdziesiątce, któ-  
rej nikt z obecnych nie rozpoznawał. Trzymała w rękach wiązanke  
nie-  
bieskich goździków — od dzieci, które dowoziła do szkoły  
autobusem.

„Miałam dziesięć lat, kiedy go znaleźli. Nigdy tego nie zapomnę.  
Bieda-  
czysko. Ktoś musi wiedzieć, jak się nazywał”, powiedziała później  
Rita  
O'Vary.

Starsi wiekiem policjanci usiedli na rozkładanych krzesłach  
naprze-  
ciwko trumny. Słońce wyrzało zza chmur i oświetliło kępę  
rododendro-  
nów i dęb. Policjanci uznali to za dobry omen.  
Fleisher przywołał w myślach wszystkie zdarzenia, które dawały  
nadzieję na wyjaśnienie sprawy. Ponowny pochówek był zaledwie  
jed-  
nym z elementów szeroko zakrojonej akcji, początkiem drogi. Po  
emisji

366  
specjalnego wydania Najbardziej poszukiwanych ludzi Ameryki  
poświęco-  
nego Chłopcu w Pudełku policja otrzymała setki nowych tropów.  
Pro-  
wadzący John Walsh zaprezentował wyrzeźbione przez Bendera  
popiersie

przedstawiające hipotetyczny wygląd ojca zamordowanego. Osiem dni wcześniej prawnicy Towarzystwa Vidocq'a uzyskali w są-  
dzie pozwolenie na ekshumację ciała chłopca z grobu na Polu Garncarza,  
położonego nieopodal dróg prowadzących do Mechanicsville i Dunks  
Ferry w północnej części Filadelfii, i przeniesienie go na oddalony  
o pięć-  
naście kilometrów cmentarz Ivy Hill. Koparka dotoczyła się do  
grobu,  
a kiedy usunięto kamień nagrobny, wydrążyła niewielki otwór.  
Kopacze  
z łopatami wybrali resztę ziemi i umieścili pod trumną szerokie  
pasy. Ko-  
parka wyciągnęła ją na powierzchnię — znalazła się na niej po  
raz pierw-  
szy od czterdziestu jeden lat. Kopacze oczyścili trumnę z resztek  
ziemi  
i zanieśli ją do czekającego w pobliżu ambulansu. Ekipa  
specjalistów z FBI  
pobrała próbki do analizy.  
Pięćdziesięcioletnia kobieta, która obserwowała całą operację,  
oddali-  
ła się ze smutną miną. Przyszła, aby chłopiec wiedział, że „o nim  
nie za-  
pomnieliśmy”. Kiedy go znaleziono, miała dziesięć lat; przez całe  
życie  
modliła się za jego duszę. Podobnie jak wielu sąsiadów,  
przynosiła na jego  
grób kwiaty i zabawki. Traktowała chłopca jak młodszego brata.  
Ambulans pojechał do kostnicy. Trumnę położono na stole w pra-  
cowni lekarza sądowego. Obserwując podważanie wieka, Kelly  
pomyślał:  
„Szkoda, że nie ma tu Rema Bristowa”. Chwilę później

przeżegnał się, gdy zobaczył, że mimo upływu czterdziestu lat ciało chłopca w tajemniczy sposób nie obróciło się w proch. Pierwsi chrześcijanie uważali takie zjawisko za znak od Boga. Z ciała chłopca pozostały kości obleczone rozpadającym się garniturkiem należącym wcześniej do syna jednego z policjantów pracujących nad sprawą w 1957 roku. Laborant przeszukał pył oraz kości i znalazł ząb — potencjalne źródło DNA. Dysponując DNA chłopca, policja mogłaby zweryfikować jego ewentualne pokrewieństwo z podejrzanym lub domniemanymi krewnymi. Pozwoliłoby to poznać nazwisko chłopca — a przy okazji również nazwisko jego mordercy. Na nowym kamieniu nagrobnym napisano: „Nieznane dziecko Ameryki”.

367

Fleisher stwierdził, że chłopiec jest „symbolem dzieci wykorzystywanych, zaginionych i zamordowanych. Pogrzebem poświadczamy, że jego życie miało wartość. Następnym celem jest umieszczenie na grobie jego nazwiska”. Ksiądz, pastor i rabin polecili duszę chłopca Bogu. Siedemdziesięciodwuletni Weinstein wstał i opisał okoliczności znalezienia ciała chłopca 25 lutego 1957 roku.

— W jego oczach widziałem cierpienie — wspominał. —  
Zupełnie

jakby mnie pytał: „Co się stało? Dlaczego?”. I jedyne, co mogłem mu odpowiedzieć, to... — łamiącym się głosem odmówił kadisz, żydowską modlitwę żałobną: „W świecie, który powstanie na nowo... Wskrzesi umarłych... i tchnie w nich życie wieczne”. Kiedy podnośnik zaskrzypiał i trumienka zniknęła w grobie, Weinstein stanął na baczność i zasalutował. Następnie uścisnął jednego z kolegów i chwycił ramię Fleishera, jakby się bał, że upadnie. Modlitwa Kelly ego była prosta: „Drogi Boże, co jeszcze powinienem zrobić? Powiedz, a to uczynię”. Promienie słońca padły na świeży grób. Weinstein usiadł na rozkładanym krześle i ukrył twarz w dłoniach, nie mogąc opanować płaczu. — Głowa do góry, Sam — wyszeptał Fleisher, podtrzymując kolegę. — Rozwiążemy tę sprawę. Fleisher polecił wcześniej kamieniarzowi, aby zostawił na czarnym granicie nagrobka miejsce na nazwisko.

### Rozdział 47

Moje gratulacje, znalazł pan mordercę”  
Sierżant Cloud rozpoczął dochodzenie w sprawie śmierci Terri Brooks od początku, zupełnie jakby została zamordowana poprzedniego dnia. Odwiedził jej ojca i macochę mieszkających w Warminster. George i Betty Brooks nie mieli nic przeciwko wznowieniu dochodzenia — dla nich sprawa nigdy nie została zamknięta. Choć oboje zostali przesłuchani

przez  
policję czternaście lat wcześniej, natychmiast zgodzili się na  
rozmowę  
z sierżantem Cloudem.  
Wyjaśnił, że niedawno przejął dochodzenie i zamierza  
przeprowadzić  
wszystkie czynności od początku. Dysponował setkami starych  
dowo-  
dów, opasłym tomem akt sprawy, profilem przygotowanym przez  
Walte-  
ra — resztę musiał odkryć sam.

George i Betty chcieli poznać tożsamość mordercy córki.  
— Mam nadzieję, że skurczybyk wciąż chodzi po świecie i uda  
się go

jakoś wywabić z ukrycia — powiedziała niewiele wcześniej Betty  
gazecie

Trentonian". Dziennikarz zadzwonił, aby zapytać, co sądzi o  
zaangażo-

waniu się w sprawę Towarzystwa Vidocqa. Artykuł został  
zatytułowa-

ny: „MORDERSTWO W RESTAURACJI: NOWE SIŁY  
ROZWIĄŻĄ STARĄ  
SPRAWĘ?”.

Zdaniem Betty Terri została zamordowana przez swojego  
chłopaka.

— Od początku tak uważałam — powiedziała.

George, jej mąż, miał odmienne zdanie.

369

— Byli przecież zaręczeni — powiedział natychmiast, kręcąc  
głową.

Nie potrafił sobie wyobrazić scenariusza, w którym to narzeczony  
mor-

duje ich córkę. Tymczasem Betty zauważyła, że pierwszy raz coś  
ją tknę-

ło, kiedy chłopak przyniósł im tragiczną wiadomość o morderstwie

Terri.

Wyrażał żal, ale coś było nie tak. Przez następne czternaście lat widzieli

go jeszcze tylko raz, i jego zachowanie również nieprzyjemnie ją uderzyło.

Kiedy dwa tygodnie po pogrzebie spotkali go na ulicy,

„manifestacyjnie

poinformował ich, że właśnie umówił się na randkę”, wspominała Betty.

Sierżant Cloud przerwał rozmowę, unosząc dłoń. Znał na pamięć całe

akta sprawy, w tym treść dwustu przesłuchań. Relacja Brooksów zupeł-

nie do nich nie pasowała. Czternaście lat wcześniej policja niemal natych-

miast skreśliła chłopaka Terri z listy podejrzanych, a kiedy nie zdołała

powiązać ze sprawą również pracowników restauracji, szybko uznała mor-

derstwo za rezultat włamania.

— Chłopak Terri miał przecież niepodważalne alibi — zauważył Cloud. — W chwili popełnienia morderstwa przebywał w Kalifornii. Betty uniosła ze zdumieniem brwi.

— Ależ nie! — wykrzyknęła. — Nie ten chłopak! Miała drugiego. Z tym, który wyjechał do Kalifornii, zdążyła zerwać. Od tego czasu spotykała się z kimś innym.

— Jak się nazywał? — spytał Cloud.

Pokręciła bezradnie głową — nie potrafiła sobie przypomnieć.

Choć

Terri była z nim zaręczona przez osiem miesięcy, Betty w zasadzie nie mia-

ła okazji, aby go lepiej poznać.

— Chyba nie przepadał za wizytami rodzinnymi — stwierdziła.

Chwilę później przypomniała sobie nazwisko.

— Nazywał się chyba O'Keefe.



Imienia nie pamiętała.

Sierżant Cloud podziękował rodzicom Terri i wrócił na komendę, aby dowiedzieć się czegoś o narzeczoną Terri. Na dźwięk nazwiska O'Keefe koledzy otwierali szeroko oczy. Wpisał je do policyjnej bazy danych — również nic. Sfrustrowany zadzwonił do przyjaciela Eda Gaughana, prywatnego detektywa, który pracował w siedzibie Towarzystwa Vidocq'a.

Zapytał o O'Keefe'a.

370

Gaughan pierwszy raz słyszał to nazwisko, ale obiecał, że z Fleisherem przeszukają, w miarę możliwości, bazy danych używane przez prawników, prywatnych detektywów i poręczycieli osób wypuszczanych z aresztu za kaucją. I tam nie znaleźli żadnych informacji.

Gaughan oddzwonił do sierżanta Clouda.

— Jesteś pewien, że tak się pisze jego nazwisko?

Nie, Cloud nie był pewien.

— A może uczestniczył w pogrzebie? Sprawdź księgę kondolencyjną — zasugerował Gaughan.

Duża, oprawiona w skórę księga leżała akurat na biurku sierżanta Clouda. Odszukał strony z wpisami żałobników uczestniczących w pogrzebie Terri. Nie znalazł żadnego O'Keefe'a, ale natknął się na inne nazwisko: Keefe. Alfred Scott Keefe.

— A niech go diabli! — mruknął pod nosem Cloud.

Gdy i tym razem nie znalazł nic w zasobach policyjnych, zadzwonił ponownie do Gaughana, który przeszukał z Fleisherem bazę

danych  
mieszkańców Warminster w stanie Pensylwania; Terri Brooks  
mieszkała  
tam pod koniec życia. Przeczucie okazało się trafne: detektywi  
natknęli  
się w Warminster na Alfreda Scotta Keefe'a. Miał trzydzieści kilka  
lat.  
Nie był wcześniej karany, jeżeli nie liczyć jazdy samochodem pod  
wpły-  
wem alkoholu.  
Sierżant Cloud przejrzał ponownie akta sprawy sprzed czternastu  
lat  
i natknął się na nazwisko Keefe'a. Policja nabrała wobec niego  
podejrzeń  
po przesłuchaniu znajomych ofiary. Terri Brooks i Alfred Scott  
Keefe za-  
ręczyli się tamtego lata. Dwa dni przed tragedią wpłacili zaliczkę  
na po-  
dróż na Hawaje, w którą mieli się udać podczas miesiąca  
miodowego. Terri  
zamierzała w ciągu kilku następnych dni kupić suknię ślubną. Jej  
znajo-  
mi twierdzili, że mimo idących pełną parą przygotowań do ślubu  
między  
narzeczonymi dochodziło do spięć. Brooks nabierała wątpliwości.  
Keefe  
miał do niej pretensje, że rzuciła lepiej płatną pracę i postawiła na  
karie-  
rę w Marriott Corporation. Był chorobliwie zazdrosny i  
podejrzewał, że  
Terri spotyka się z kimś innym. Groził zerwaniem zaręczyn. Choć  
policja  
uznała, że jako odrzucony kochanek miałby motyw, nie  
znaleziono żad-  
nych dowodów wskazujących na jego winę.

Sierżant Cloud ustalił, że Keefe nadal mieszka w okolicy. Ożenił się, został ojcem, ale obecnie żył z żoną w separacji. Pracował w lokalnej pizzerii. Wprowadził się z powrotem do domu, w którym mieszkał w czasie związku z Brooks. Keefe mieszkał z matką. Sierżant Cloud skontaktował się z Walterem, aby omówić profil psychologiczny mordercy. W starych aktach sprawy Walter dostrzegł intrygujący szczegół. Na godzinę przed morderstwem widziano furgonetkę Alfreda Scotta Keefe'a na parkingu przed restauracją Roy Rogers. Tylko morderca o profilu gniewnej zemsty śledzi z ukrycia ofiarę. — Obserwując przyszłą ofiarę, podsycił gniew i utwierdza się w nim — tłumaczył Walter. — Kiedy wyrusza na spotkanie z ofiarą, decyzja o morderstwie już zapadła w jego umyśle. — Moje gratulacje — dodał na zakończenie. — Znalazł pan mordercę. We wrześniu 1998 roku sierżant Cloud natrafił na ciekawą informację w raporcie sporządzonym po zatrzymaniu Keefe'a prowadzącego po alkoholu. Na przednim siedzeniu samochodu policjant zauważył wtedy paczkę papierosów. Keefe palił mentolowe newporty z filtrem. Dzięki przytomności umysłu Hala Fillingera, który piętnaście lat wcześniej przeprowadził sekcję zwłok Brooks, policja dysponowała próbkami DNA mordercy. Fillingier zabezpieczył włosy znalezione na

ubraniu

Brooks oraz kawałki naskórka, które dostały się pod jej paznokcie pod-

czas desperackiej walki o życie. A przecież nie mógł się nawet domyślać,

jak pomocne okażą się w przyszłości jako źródła DNA.

Zachowane prób-

ki zawierały materiał genetyczny osoby płci męskiej, ale czy na pewno

Alfreda Scotta Keefea?

Wczesnym rankiem pewnego październikowego dnia Keefe wyszedł

przed dom matki przy Horseshoe Lane w Warminster, postawił przy kra-

wężniku worek ze śmieciami i wrócił do środka. Nie wiedział, że służby

komunalne z Warminster zostały pouczone, aby tego dnia nie odbierać

śmieci sprzed domów. Miało się tym zająć przedsiębiorstwo wywozu od-

padów z oddalonego o trzydzieści kilometrów powiatu Falls.

Oficer Nelson Whitney, który z pewnej odległości obserwował dom

Keefea, podjechał nieoznakowanym samochodem do krawężnika, zgarnął

372

worek i zawiózł go na komendę. Ku radości sierżanta Clouda, w śmieciach

znaleziono prawdziwy skarb. Niedopałek papierosa.

Mentolowy Newport z filtrem został wysłany do laboratorium, które miało wykonać test na obecność DNA w wyschniętych resztkach śliny.

Walter zachichotał, kiedy o tym usłyszał.

— No proszę, kto by pomyślał, że palenie faktycznie szkodzi.

Rozdział 48

## Przesłuchanie

Alfred Scott Keefe, szczupły mężczyzna o rozbieganych ciemnych oczach, siedział w ciasnym, pozbawionym okien pokoju przesłuchań. Policjanci przyprowadzili go wprost z pizzerii, przez co teraz roztaczał wokół siebie delikatny zapach mozzarelli, papierosów i potu. Siedział na twardym, drewnianym krześle, którego oparcie przylegało do ściany. Na jego pierśsi krzyżowały się dwa przewody pneumografu, na ramieniu zaciśnięto rękaw kardiografu, a do koniuszków palców przypięto przewody galwaniczne. Na ścianie za plecami Keefe'a kładły się wielkie cienie Billa Fleishera i Natea Gordona, zapaśników sumo w garniturach. Keefe oświadczył, że chętnie przyjdzie na komendę i odpowie na pytania policji, jeśli tylko pomoże mu to w oczyszczeniu się z zarzutów. Zgodził się poddać badaniu wykrywaczem kłamstw, niemniej teraz dygotał, jakby oprzyrządowanie wariografu było średniowiecznym narzędziem tortur, a powtarzane mechanicznie pytania smagającym go raz za razem biczem. Gordon zapytał, czy zamordował narzeczoną, Terri Lee Brooks. Jeżeli tylko przesłuchiwany miał coś do ukrycia, Gordon potrafił wyprować go z równowagi. Był wielkim, łysym mężczyzną o twarzy otoczonej siwą brodą, rozbrajająco wysokim głosem i badawczych

niebieskich  
oczach. Miał gabaryty napastnika futbolu amerykańskiego, czarny pas  
karate, tytuł magistra kryminalistyki, spory wkład w  
unowocześnienie  
wykrywacza kłamstw, a do tego publikował artykuły w  
czasopismach  
374  
naukowych typu „Radiology” zatytułowane: Mapowanie obszarów  
mózgu  
odpowiedzialnych za fałsz i prawdę w warunkach  
odpowiadających natural-  
nym: obrazowanie metodą rezonansu magnetycznego i badanie  
wykrywaczem  
kłamstw. Wykłady rozpoczynał od obalania popularnych mitów argumen-  
tami opartymi na żelaznej logice; kończył je, roztrzaskując głową  
cegłą.  
Jeżeli zachodziła taka potrzeba, Fleisher — autor podręcznika  
poświę-  
conego rozpoznawaniu kłamstwa w oparciu o mimikę — odgrywał  
rolę  
„dobrego”, a Gordon „złego policjanta”; mieli zresztą  
przećwiczonych kil-  
ka wariantów tej gry. Prezes Towarzystwa Vidocq’a, ubrany w  
elegancki  
brązowy garnitur, z równo przyciętą, starotestamentową brodą,  
siedział  
na prawo od Keefe’a, pochylony nad zielonym ekranem monitora poka-  
zującym wyniki wykrywacza kłamstw.  
„Czy byłeś narzeczonym Terri Lee Brooks? Czy przyczyniłeś się  
do  
śmierci Terri Brooks? Czy wiesz, kto zabił Terri Brooks? Czy  
posłużyłeś

się nożem do zamordowania Terri Lee Brooks? Gdzie byłeś, kiedy zabito Terri Brooks?" Gordon zadawał każde pytanie na dziesięć różnych sposobów. Keefe lapidarnie i spokojnie zaprzeczał, ale język ciała wysyłał zupełnie inny komunikat. Jak na człowieka zapewniającego, że jedynym wykroczeniem, którego dopuścił się w życiu, było dodawanie zbyt małej ilości pepperoni do pizzy, jego współczulny układ nerwowy znajdował się w stanie nieprawdopodobnego rozedrgania. Dłonie pociły mu się jak na pierwszej randce. Głowa trzęsa się jak osika. Brwi podskakiwały, korzystając ze swobody, której nie miały przypięte do wariografu dłonie i palce. Fleisher wpatrywał się w monitor i w milczeniu kręcił głową. Wszystkie reakcje fizjologiczne Keefe'a przekładały się natychmiast na kilka krzywych, wznoszących się i opadających niczym miniaturowe szmaragdowe morze. „W jego słowach nie ma ani krztyny prawdy”, pomyślał Fleisher. Mimo że od kilkudziesięciu lat prowadził badania wykrywaczem kłamstw w Nowym Jorku, Londynie, Rzymie czy Dubaju, nie spotkał jeszcze takiego przypadku. Ciśnienie gwałtownie opadało. Oddech zwalniał. Pod względem aktywności gruczołów potowych Keefe nie przypominał pogrążonego w smutku narzeczonego. Morderstwo wytwarza silniejsze

emocje

niż jakiegokolwiek inne przestępstwo, dlatego Gordon i Fleisher spodziewali

375

się silnych reakcji. Ale nie aż tak. Zetknęli się z najsilniejszymi reakcjami

fizjologicznymi, jakie kiedykolwiek zaobserwowali.

Układ nerwowy Keefe'a rozpuścił na monitorze sztorm stulecia.

Kto-

kolwiek śledził przesłuchanie z za weneckiego lustra, był

świadkiem nie-

złego przedstawienia.

Był 4 lutego 1999 roku, piętnasta rocznica morderstwa Terri Brooks.

Na podstawie wyglądu miejsca zbrodni Richard Walter

przewidział, że

zabójca będzie mężczyzną zbliżającym się do czterdziestki, o

niechluj-

nym wyglądzie, wykonującym podrzędną pracę i mieszkającym z

matką.

Alfred Scott Keefe pracował w pizzerii, miał trzydzieści osiem lat i

miesz-

kał z matką.

Na korytarzu przed salą przesłuchań zgromadzili się

przedstawiciele sił

porządkowych hrabstwa Bucks. Czekali z niecierpliwością na

chwilę, gdy

będzie można otworzyć szampana i świętować zamknięcie

najsłynniejszej

nierozwiązanej sprawy w historii regionu. W skład grupy wchodził

proku-

rator okręgowy Alan Rubenstein, człowiek marzący o karierze

sędziego;

gotów na wszystko, aby rozwiązać sprawę, jak się wyraził,

„najbrutalniej-



szego, najohydniejszego i najniebezpieczniejszego morderstwa", z jakim się kiedykolwiek spotkał. Obok niego stał komendant policji Arnold Cono- line, którego hrabstwo wynajęło do zreformowania pograżonego w kłopotach wydziału. Jednym z pierwszych rozkazów zarządził wznowienie śledztwa i powierzył je sierżantowi Wynneowi Cloudowi. Kolejną osobą był młody, ambitny podwładny Clouda, Nelson Whitney II, dla którego było to pierwsze dochodzenie w sprawie morderstwa. To jemu udało się po cichu namówić Keefe'a do opuszczenia pizzerii w Horsham i przejechania trzydziestu kilometrów dzielących ją od komendy policji. Wśród zebranych znajdowała się również zastępczyni prokuratora okręgowego, która przy tej sprawie ściśle współpracowała z sierżantem Cloudem i funkcjonariuszem Whitneyem. Członek Towarzystwa Vidocq'a, Ed Gaughan, prywatny detektyw i były oficer śledczy filadelfijskiego wydziału zabójstw, przybył na miejsce, nie mogąc się doczekać końca śledztwa, którym sam zainteresował Towarzystwo Vidocq'a. Lokalna policja poprosiła również Fleishera i Gordona, aby przywieźli wariograf i w razie potrzeby pomogli w przesłuchaniu. Choć wiele osób kwestionowało użyteczność wyników

uzyskiwanych za pomocą wykrywacza kłamstw, w rękach doświadczonych specjalistów urządzenie to pozwalało na określenie prawdziwości odpowiedzi w ponad 95% przypadków. Mało kto wątpił w przydatność wariografu jako narzędzia pomagającego w nakłanianiu podejrzanych do przyznania się do winy; wszyscy wiedzieli również, że Fleisher i Gordon operują nim najlepiej na świecie. Ludzie przyglądający się przesłuchaniu przez lustro weneckie byli przekonani, że Keefe zamordował Terri Brooks — przynajmniej na to wskazywały wyniki analizy próbek DNA. Badania laboratoryjne zdecydowanie obciążały Keefe'a. Badanie śliny na niedopałku mentolowego newporta wyjętego z przechwyconych śmieci wykazało, że palił go ten sam biały mężczyzna, którego DNA wykryto we włosie znalezionym na ubraniu Terri Brooks, we krwi na nożu wystającym z jej gardła i w drobinkach naskórka pod paznokciami ofiary, które dostały się tam podczas szamotaniny z napastnikiem. A jeżeli DNA należało do innego białego mężczyzny, który mieszkał pod jednym dachem z Alfredem, a mianowicie jego brata Charlesa Keefe'a? Whitney pojechał za Charlesem do restauracji, a po jego wyjściu zabrał z popielniczki niedopałek papierosa, którego mężczyzna chwilę wcześniej wypalił. Badanie wykazało, że DNA Charlesa Keefe'a

różni się od DNA znalezionej na ciele Terri Brooks. Teoretycznie było możliwe, że istnieje inny biały mężczyzna o identycznym DNA jak Alfred Keefe, a człowiek siedzący teraz w pokoju przesłuchań jest niewinny. Prawdopodobieństwo takiej sytuacji było jednak minimalne — wynosiło jeden na pięć miliardów. Jeżeli Keefe chciałby wskazać policji innego podejrzanego, musiałby liczyć na odkrycie w najbliższym czasie tysiąca nowych planet o populacji pięć miliardów każda. Alfred Keefe zamordował Terri Brooks. Od tego czasu minęło piętnaście lat i policji brakowało tylko jednego — przyznania się do winy. Whitney i inny funkcjonariusz rozpoczęli przesłuchanie tuż po godzinie osiemnastej. Mijały kolejne kwadransy, a Keefe wciąż nie chciał się przyznać. Gordon i Fleisher krążyli po korytarzu niczym dzikie zwierzęta w klatce. Gordon namawiał komendanta, aby pozwolił im wykonać badanie wariografem. Keefe miał piętnaście lat, aby wymyślić wiarygodne alibi. Od kilku godzin skutecznie igrał z przesłuchującymi. Palił papierosa za 377 papierosem i szyderczo się uśmiechał. Gordon i Fleisher uważali, że przesłuchujący Keefe policjanci z braku doświadczenia tracili czas, kierując przesłuchanie na niewłaściwe tory.

Według Gordona młodzi funkcjonariusze pozwolili Keefeowi poczuć się zbyt komfortowo, wypytyując go szczegółowo o miejsce urodzenia, nazwisko matki itp. Ani razu nie próbowali go mocniej przycisnąć. Nie mogaly również przerwy w przesłuchaniu. Do pokoju wszedł na przykład pracownik techniczny i pobrał wymaz z ust Keefe'a, potrzebny do dalszych badań DNA. W rezultacie podejrzany nabrał przekonania o własnym znaczeniu, o tym, że znajduje się w centrum uwagi, że panuje nad rozwojem sytuacji — tymczasem aby się załamał, powinien był czuć się jak zbieg, któremu pościg depcze po piętach. Policjanci musieli się śpieszyć. Wiedzieli, że jeśli w ciągu sześciu godzin nie doprowadzą Keefe'a przed sędziego i nie przedstawią mu odpowiednich zarzutów, będą musieli go wypuścić. Byłoby to bardzo niekorzystne, ponieważ odkryli już przed podejrzanym karty. Miałby czas, aby wymyślić jeszcze lepsze alibi albo uciec do Patagonii i tam nadal podkręcać w powietrzu ciasto pizzy. Krążący po korytarzu Gordon znajdował się na skraju wytrzymałości. Ci goście nie są nawet oficerami śledczymi, myślał. Na co dzień wlepiają mandaty za nieprzepisowe parkowanie, a nie zajmują się przesłuchiwaniami podejrzanych. „Po co wyruszać na wojnę z kawalerią, skoro

na pasie  
stoją w pogotowiu dwa myśliwce i tylko czekają na pozwolenie na start?",  
zastanawiał się. W końcu komendant dał im znak głową. Whitney opu-  
ścił pokój przesłuchań. Do środka weszli Gordon i Fleisher.  
Zasypywali Keefe'a pytaniami od ponad pół godziny i obserwowali sztorm, który rozszalał się na zielonym morzu cyfrowych pikseli.  
Keefe  
słabł. Fleisher zerknął na Gordona. Wiedział, że myślą to samo:  
„Gość to  
stuprocentowy kłamca”.  
Fleisher spojrzał surowo na Keefe'a. Przyszedł czas na zadanie osta-  
tecznego ciosu.  
— Oblałeś test — powiedział. — Trudno o bardziej jednoznaczne wy-  
kresy. Poza tym mamy twoje DNA. Jesteś skończony.  
378  
W obliczu przytłaczających dowodów Keefe wydawał się tracić reszt-  
ki pewności siebie. Fleisher trafił w słaby punkt. „Kto wie, może za  
dwie  
minuty będziemy mieli w kieszeni przyznanie się do winy”,  
pomyślał.  
Zerknął na Gordona, który skinął z aprobatą głową. Choć obaj  
chcieli  
przywozдить Keefe'a, pamiętali o zasadzie obowiązującej  
członków To-  
warzystwa Vidocqa: ich zadaniem było jedynie doradzanie i  
wspieranie,  
a nie odbieranie innym zasług. Podnieśli się, kładąc Keefeowi  
pozostać na  
miejscu, i wyszli z pokoju.  
Komendant Conoline zgodził się, aby to jego ludzie dokończyli

prze-  
słuchanie. Zanim weszli do środka, Fleisher zapytał ich, co sądzą  
o wy-  
raźnie widocznych drgawkach, które wstrząsały Keefeem.  
Policjanci  
wzruszyli ramionami — nie wiedzieli, co powiedzieć. Nikt nie  
obserwo-  
wał przesłuchania prowadzonego przez Fleishera i Gordona.  
Po kilku minutach Whitney i drugi funkcjonariusz obrali nową tak-  
tykę. Dołączył do nich policjant w mundurze, który podobno znał  
po-  
dejznanego osobiście. We trójkę przeprowadzili Keefeę z małego  
pokoju  
przesłuchań do dużej, wygodnej sali konferencyjnej. Ledwie  
zatrzasnę-  
ły się za nimi drzwi, Fleisher i Gordon wymienili zdziwione  
spojrzenia.  
Kiedy dwadzieścia minut później do oczekujących na korytarzu  
nie do-  
tarły żadne wieści z sali, Gordon nie wytrzymał. Podszedł do  
komendan-  
ta i oświadczył: „Wchodzę do środka”. Komendant skinął  
przyzwalająco  
głową.  
Ledwie Gordon otworzył drzwi, zrozumiał, co się stało. Wszyscy  
czte-  
rej mężczyźni siedzieli przy długim stole konferencyjnym. „Ta sala  
zupel-  
nie nie nadaje się do prowadzenia przesłuchań”, pomyślał.  
Keefe siedział w nonszalanckiej pozie na jednym końcu stołu.  
Pochy-  
lony nad blatem palił spokojnie papierosa; przed nim stała  
popielniczka.  
„Czuje się zbyt wygodnie. Wygląda, jakby szykował się do  
zjedzenia obia-

du", pomyślał Gordon. Keefe wykorzystał stół jako tarczę. „Przesłuchującego i podejrzanego nie może rozdzielać żadna bariera”, zauważył później Gordon. „Do podejrzanego trzeba się maksymalnie zbliżyć”. Whitney siedział po lewej stronie Keefe’a i pokazywał mu makabryczne zdjęcia zwłok Brooks, zupełnie jakby ich widok miał wpłynąć na

379

podejrzanego. Powtarzał, że ich zdaniem Keefe jest zamieszany w morderstwo. Ten spokojnie potrząsał głową i zaprzeczał. Policjant w mundurze siedział na stole i nie patrząc na Keefe’a, powtarzał: „Wiemy, że jesteś w to zamieszany”. Potakiwał mu trzeci funkcjonariusz, zajmujący miejsce daleko po drugiej stronie stołu. Keefe zaciągnął się papierosem i strzepnął popiół do popielniczki. — Przesłuchujecie nie tę osobę, co trzeba — stwierdził spokojnie, wzdychając wzrokiem po przesłuchujących go policjantach. Gordon wiedział, że Keefe’a nie można zmusić do przyznania się do winy przez odwoływanie się do jego sumienia. Walter przestrzegał agentów z Towarzystwa Vidocq’a oraz policjantów, aby nie próbowali tej taktyki. W przypadku mordercy o profilu gniewnej zemsty „wszelkie próby obudzenia wyrzutów sumienia zakończą się całkowitą klęską i jedynie podbudują podejrzanego, który nie jest zdolny do tego rodzaju wyższych odczuć. To ludzie całkowicie odmienni ode mnie czy ciebie”,

powiedział

Walter.

Walter podał klasyczny przykład z północnej części stanu Nowy Jork.

Zbrodniarz brutalnie zaatakował w odludnym miejscu parę zakochanych:

dziewczynę zgwałcił na oczach chłopaka, a następnie wpakował w nich

w sumie dwadzieścia pięć kul. Aresztowany w godzinę po morderstwie,

umazany krwią ofiar, w drodze na posterunek zasnął na tylnym siedzeniu

radiowozu.. Był zmęczony. „Nic dziwnego”, stwierdził z przekąsem Walter.

„Miał za sobą długi, pracowity dzień. Typowy morderca o profilu gniew-

nej zemsty. Zero wyrzutów sumienia”.

„Takiemu człowiekowi nie można pokazać zdjęć zamordowanej ofia-

ry i oczekiwać, że pod ich wpływem okaże skruchę. Przez trzydzieści do

sześćdziesięciu minut po morderstwie przeżywa euforię!

Odczuwa ulgę,

która zamienia się następnie w przekonanie, że «suka sobie na to zasłu-

żyła!». Działania mające wzbudzić w nim poczucie winy lub wstyd są

przeciwnie skuteczne. Pozbawiony tych uczuć morderca robi się jeszcze spo-

kojniejszy i silniejszy, z większym przekonaniem buduje sieć kłamstw”,

ciągnął Walter.

Walter uważał, że policja „przecenia wartość aktu przyznania się do

winy. Wolałbym odkryć piętnaście nieścisłości w alibi



podejrzanego,  
380

przyłapać go na piętnastu kłamstwach, niż zdobyć jedno przyznanie się do winy, z którego może się później wycofać". Niemniej w przypadku mordercy o profilu gniewnej zemsty „cała sztuka polega na uderzeniu w czułe miejsce, wytrąceniu go z równowagi, a następnie doprowadzeniu do wściekłości. Należy ponownie wzbudzić agresję, która popchnęła go do morderstwa".

Gordon poprosił policjantów o opuszczenie pokoju, po czym zabrał się do pracy. Obszedł szybko stół, chwycił krzesło i postawił je po prawej stronie podejrzanego, naruszając jego przestrzeń osobistą. Keefe odwrócił się i spojrzał na Gordona. W odległości kilku centymetrów od siebie zobaczył wielką, łysą głowę; pośrodku twarzy błyszcząły zacięte niebieskie oczy.

— Zbadaliśmy cię przed chwilą wykrywaczem kłamstw —  
Gordon mówił bardzo szybko — więc możesz opowiadać glinom niestworzone

bajki, ale obaj doskonale wiemy, że to zrobiłeś.

Przerwał na chwilę, dając Keefe'owi czas na przemyślenie tych słów.

— Mam tylko jedno pytanie. Zabiłeś ją, ponieważ potrzebowałeś pieniędzy na narkotyki, czy się posprzeczaliście, ona ruszyła na ciebie z nożem i zadźgałeś ją w samoobronie? Czas upływa, a ty masz go

coraz mniej.

— Ani to, ani to — odparł Keefe.

Gordonowi rozbłyły oczy.

— Nie obrażaj mojej inteligencji!

— Ani to, ani to.

Gordon zmarszczył brwi.

— No dobrze, ponieważ wiem, że kłamiesz, muszę przyjąć  
najmniej

korzystną dla ciebie wersję: zabiłaś ją, bo potrzebowałaś  
pieniędzy na nar-

kotyki. Nie mamy o czym dalej rozmawiać.

Gordon podniósł swoje zwaliste ciało z krzesła i wyszedł z sali,  
zatrza-

skując za sobą drzwi.

Komisarz kazał wejść do środka Whitneyowi i jego partnerowi.

Młó-

dzi policjanci chcieli jak najszybciej zakończyć sprawę, nad którą  
pracowali

od wielu miesięcy. W tym czasie Gordon naradzał się z

Fleisherem. Obaj

uznali, że przyszedł czas na wykorzystanie techniki zwanej przez  
Fleishera

„Wszystko na sprzedaż”. Nie ma trudniejszego towaru do  
opchnięcia niż

przyznanie się do winy, twierdził Fleisher.

381

„Musisz przekonać gościa, że będzie dla niego korzystniej  
przyznać się

i pójść na dwadzieścia lat do więzienia, niż zachować milczenie i  
pozostać

wolnym człowiekiem”, tłumaczył. „To jest przekręt wszech  
czasów. Prze-

konujesz go, żeby kupił ostatni egzemplarz jakiegoś ustrojstwa,  
podczas

gdy w magazynie w fabryce kurzy się kolejnych siedem milionów

sztuk.

Liczy się każda sekunda. Jeżeli nie podejmiesz od razu decyzji, może być za późno".

Razem z Gordonem rozważali, jak podejść Keefea.

— Może tak: „Dysponujemy dowodami w postaci badań DNA, więc jeśli nie powiesz nam, co tak naprawdę zdarzyło się tamtej nocy, będziemy musieli się nimi posłużyć. Załatwimy cię w sądzie”? — zasugerował

Fleisher.

Gordon zerknął na zegarek. Zostało im niecałe pół godziny.

Whitney

i jego partner wciąż tkwili z Keefeem w pokoju przesłuchań, zmierzając

donikąd. Gordon złapał za rękę największego człowieka w mundurze, ja-

kiego wypatrzył na korytarzu i odciągnął go na bok.

— Wejdiesz do środka i powiesz: „Pan Gordon twierdzi, że popełni-

łeś to morderstwo. Nie mamy ochoty z tobą więcej rozmawiać".

Zaraz po-

tem wyjdź na korytarz.

Sierżant wszedł do sali i po chwili wyszedł. Po minucie ze środka wy-

łonił się uśmiechnięty od ucha do ucha Whitney.

— Przyznał się. Powiedział, że się posprzeczali i zabił ją w samoobronie.

Ludzie w garniturach i mundurach zaczęli składać policjantowi gratu-

lacje. Korytarz wypełniły radosne okrzyki.

Gordon ukradkiem odciągnął młodego funkcjonariusza na bok.

— Wróć do środka, zabierz mu papierosy, ustaw swoje krzesło równo-

legle do stołu, dokładnie naprzeciwko niego, i powiedz: „Nie wciskaj nam kitu! Kobieta otrzymała dwadzieścia ciosów nożem, była bita i duszona.

Nikt nie uwierzy, że działałeś w samoobronie”.

Whitney wrócił do sali. Wyszedł trzy lub cztery minuty później.

— Wystarczyło, że odwróciłem krzesło i usiadłem naprzeciwko niego,

a zwiesił głowę. Wyraźnie dał za wygraną. Przyznał, że zabił, ponieważ

potrzebował pieniędzy na narkotyki.

Gordon skinął głową.

382

— Dobra robota. Teraz wróć tam jeszcze raz i sporządź oświadczenie:

nazwisko, data urodzenia, wykształcenie i tym podobne. Każ mu opo-

wiedzieć o wszystkim, co robił tamtej nocy. Niech napisze, że przyznaje

się do morderstwa dobrowolnie, że nie został zastraszonej ani niczego mu

nie obiecano. Zapytaj, dlaczego się przyznaje. obrońca na pewno będzie

próbował podważyć prawdziwość tego oświadczenia: dlaczego ktoś miał-

by dobrowolnie udzielać informacji, które mogą mu zaszkodzić?

Dlatego

właśnie musi napisać w zeznaniu, dlaczego przyznaje się do winy.

Whitney wrócił do sali przesłuchań. Mijały minuty, a drzwi pozosta-

wały zamknięte. Na korytarzu ponownie zapanowała nerwowa atmosfera.

Pół godziny później Whitney wyszedł z sali, wymachując spisany

odręcznie przyznaniem się do winy. Na korytarzu rozległy się pełne radości okrzyki — jeszcze głośniejsze niż poprzednio. Prokurator okręgowy i jego zastępczyni, komendant, sierżant Cloud i jego podwładni oraz Gordon, Fleisher i Gaughan ściskali sobie ręce, poklepywali się po plecach i przybijali piątki. Członkowie Towarzystwa Vidocq'a byli niezwykle podniekscy udziałem w śledztwie. Sukces odsunął na dalszy plan wcześniejsze spory; ostatecznie byli wszyscy ludźmi, a różnice zdań stanowiły naturalny element dochodzenia. Członkowie Towarzystwa przyznali, że policjanci wykonali kawał dobrej roboty. „Keefe zostanie oskarżony o morderstwo pierwszego stopnia”, oświadczył z triumfalną miną prokurator okręgowy. Jego zastępczyni uśmiechała się szeroko, czytając zeznanie podejrzanego. — Policjanci naprawdę spisali się na medal — powiedziała. Jeszcze tego samego dnia prokurator okręgowy zwołał konferencję prasową, na której ogłosił, że aresztowano podejrzanego w najdłuższej nierozwiązanej sprawie w historii hrabstwa. Otoczony rozpromienionymi policjantami Rubenstein pochwalił komendanta i jego podwładnych za zawziętość i skorzystanie z najnowszych zdobyczy techniki. „Takie rzeczy nie dzieją się przypadkiem. Za wszystkim stoi ciężka praca policjantów.

Trudno sobie nawet wyobrazić, ile godzin poświęcili tej sprawie funkcyj-  
nariusze z naszej komendy", mówił. Nagłówki we wszystkich lokalnych  
gazetach chwaliły sukces policji. Betty Brooks powiedziała reporterowi, że  
jest zaszokowana, ale jednocześnie czuje ulgę. Pogratulowała policjantom.

383

„New York Times” uznał aresztowanie za istotne w wymiarze ogólnokra-  
jowym ze względu na śmiałe wykorzystanie nowej technologii. Jak napi-  
sał „Philadelphia Inquirer”: „w istocie rzeczy o sukcesie przesądziły testy  
DNA”. Komendant Conoline wyraził przekonanie, że lekarz sądowy Hal-  
bert E. Fillinger junior, który tak skrzętnie pobrał i zabezpieczył prób-  
ki skóry i włosy, pozwalające na wykonanie po latach testów DNA, jest  
znakomitym patologiem. Tydzień później lokalna grupa wsparcia o na-  
zwie Rodziny Ofiar Nieschwytych Morderców uhonorowała sierżanta  
Clouda, funkcjonariusza Whitneya i zastępczynię prokuratora okręgo-  
wego Lori Markle. Rubenstein oświadczył, że będzie wnioskował o karę  
śmierci.  
Nigdzie nie wspomniano o udziale Towarzystwa Vidocq’a.  
Szesna-  
ście miesięcy później, 5 lipca 2000 roku, sędzia hrabstwa Bucks,  
John  
J. Rufe, skazał Keefe’a na dożywotnie więzienie bez możliwości

ubiega-  
nia się o przedterminowe zwolnienie. obrońca doradził Keefe'owi,  
aby  
przyznał się do winy, ponieważ dowody zgromadzone przez  
prokuraturę  
były tak przytłaczające, że mogli liczyć jedynie na uniknięcie kary  
śmierci.  
Keefe nie miał niczego do powiedzenia rodzicom Terri Brooks, oni  
z ko-  
lei oświadczyli, że się temu nie dziwią, ale wynik procesu ich w  
pełni sa-  
tysfakcjonuje. W powiązanej z morderstwem sprawie cywilnej  
Marriott  
Corporation, właściciele restauracji Roy Rogers wypłacili siostrze  
Brooks  
(spadkobierczyni Terri) 675 tysięcy dolarów zadośćuczynienia;  
276322 do-  
lary z tej sumy zapłacono prawnikom.  
Żadna relacja nie wspominała o udziale Towarzystwa Vidocq.  
Fleisher wyraził rozczarowanie z tego powodu w komentarzu  
zamiesz-  
czonym w „Vidocq Society Journal”, zatytułowanym: „wiemy, co  
robi-  
my... i czego dokonaliśmy”. W artykule pochwalił wydział policji  
powiatu Falls, a zwłaszcza sierżanta Clouda, obecnie członka  
Towarzy-  
stwa, za dobrą robotę. Mimo to „z przykrością konstatuje, że  
członkowie  
naszego klubu, bezinteresownie użyczający czas i wiedzę, nie  
zawsze mogą  
liczyć na publiczne wyrazy wdzięczności. Miał rację ten, kto  
powiedział,  
że sukces ma wielu ojców, a porażka jest sierotą”, napisał.  
Fleisher stwierdził, że sprawa morderstwa Terri Brooks  
przypomniła

im, „po co tak naprawdę należą do Towarzystwa i co jest ich prawdziwym

384

celem. Była, jest i będzie nim zawsze prawda. A z nią nie sposób dyskuto-

wać". Komentarz podpisał w następujący sposób:

Bill Fleisher, członek i prezes Towarzystwa Vidocq'a

Veritas Veritatum (Prawda rodzi prawdę)

Rozdział 49

Demony Mary

Mary leżała w pogrążonym w ciemnościach domu w Ohio. Śniły jej się

koszmary. Kiedy otworzyła oczy, była cała spocona. Wstała i poszła do

kuchni — koszmary podążyły za nią. Nie chciały odejść nawet o świ-

cie. Próbowwała się uspokoić, zmusić do logicznej analizy sytuacji.

Miała

pięćdziesiąt kilka lat, była doktorem chemii o analitycznym, uporządko-

wanym umyśle, któremu zawdzięczała imponującą karierę w jednym z naj-

większych amerykańskich koncernów farmaceutycznych.

„Zawsze byłam

dobra z nauk ścisłych. Nauce można zaufać. Kto wytrwale szuka, może

rozwiązać niejedną zagadkę. Nauka potrafi płatać figle, ale nigdy nie kła-

mie", opowiadała później. Tymczasem problem, z którym się zmagала, był

odporny na wyjaśnienia naukowe; trudno byłoby znaleźć coś, co w więk-

szym stopniu wymykałoby się pojmowaniu rozumowemu. Mary miesz-

kała sama. Przerażało ją to. Przez całe życie towarzyszyła jej



zgroza, którą do tej pory skutecznie zagłuszała. Teraz demon zamieszkujący jej pamięć domagał się uwagi. Upiorne, puste oczy wpatrywały się w nią, gdziekolwiek kierowała wzrok.

Jeszcze przed wschodem słońca podniosła słuchawkę i wykręciła numer

swojego psychiatry.

Rankiem tego samego dnia, 25 lutego 2000 roku, psychiatra zadzwonił z gabinetu w Cincinnati na policję w Filadelfii i poprosił o połączenie

z wydziałem zabójstw. Chciał zgłosić morderstwo. A dokładnie chciała je

zgłosić jego pacjentka, która od czterdziestu trzech lat zmagала się z tym wspomnieniem. Jej brat został zabity 25 lutego 1957 roku przez

386

ich matkę.

Mary była świadkiem. Została uczyniona współsprawcą. Musiała w końcu zrzucić z serca ciężar.

Funkcjonariusz przyjął zgłoszenie. W tej sprawie policja otrzymała ich setki, zwłaszcza po specjalnym odcinku Najbardziej poszukiwanych ludzi Ameryki.

Kelly i McGillen natychmiast zwrócili uwagę na bez wątpienia nieprzypadkową zbieżność dat. Mary zadzwoniła w rocznicę morderstwa

Chłopca w Pudełku. Od tamtego dnia minęły dokładnie czterdzieści

trzy lata. Tłumaczyła, że wspomnienie o braciszku nie dawało jej spokoju.

Chciała złożyć zeznania. Sierżant Augustine oraz członkowie

Towarzystwa Vidocq'a Kelly i McGillen zadzwonili do psychologa, który zgłosił sprawę, aby zapytać, czy kobieta byłaby gotowa przyjechać do Filadelfii.

Nie. Może w takim razie oni przyjadą do Cincinnati? Nie. Kobieta naj-

wyrażniej wpadła w panikę. Nie była gotowa, aby rozmawiać o sprawie.

Jeszcze nie.

Kelly i McGillen pozostali w kontakcie z psychiatrą. Pisali do niego listy na papierze firmowym Towarzystwa Vidocq'a. Dzwonili.

Jeszcze nie

jest gotowa, mówił psychiatra. Nie zamierzał wywierać nacisku na pa-

cjentkę. Musi sama podjąć decyzję, tłumaczył. Na razie przechodzi terapię.

Publiczne wyznanie winy wymagało od niej olbrzymich pokładów zaufa-

nia. Po jakimś czasie psychiatra niespodziewanie zerwał kontakt z To-

warzystwem. Stan psychiczny pacjentki się pogorszył. Kelly i McGillen

wykazywali uprzejme zrozumienie. Fleisher był pod wrażeniem ich wy-

trwałości, „klasycznej roboty szeregowych oficerów śledczych.

Oto przy-

kład tradycyjnego śledztwa pierwszej klasy". Tymczasem, jak to się działo

przez całe minione półwiecze, wszystkie wysiłki zmierzające do rozwią-

zania tej zagadki spełzały na niczym.

Mary potrzebowała więcej czasu — kilku lat więcej — aby uporać się

z demonami przeszłości.

## Rozdział 50

### Sprawa brakującej twarzy

Frank Bender był przemęczony. Kiedy usłyszał w słuchawce głos młodego nowojorskiego oficera śledczego opowiadającego podekscytowanym głosem o sprawie jakiegoś niewyjaśnionego morderstwa, miał ochotę krzyknąć do słuchawki: „Czarodzieja nie ma w domu! Dziś nie przewidujemy nowych cudów”. Zanim to się stało, Keith Hall, dwudziestopięcioletni oficer śledczy z Manlius, małej miejscowości pod Syracuse, zdążył powiedzieć, że po dwóch latach łamania sobie głowy nad śledztwem doznał nagle olśnienia. Jediną osobą na świecie, która mogła rozwiązać zagadkę morderstwa, był Frank Bender z Filadelfii.

— Doszliśmy do takiego wniosku z żoną po obejrzeniu powtórki odcinka Najbardziej poszukiwanych ludzi Ameryki o Johnie Liście, w którym pokazano wykonane przez pana popiersie — tłumaczył Hall. — Powiedziałem do Kathy: „Ten facet to prawdziwy geniusz. Zadzwońię do niego. Jest naszą ostatnią nadzieją”. Frank, potrzebujemy cię. Takie postawienie sprawy zaintrygowało Bendera. Jak każdy, lubił, kiedy określano go mianem niezastąpionego geniusza, poza tym usłyszał w głosie Halla niezwykłą determinację oraz szczerą znamionującą porządne człowieka. Hall wyjaśnił od razu, że małego wydziału

policji

w Manlius nie stać na zapłacenie choćby jednego centa z półtora tysiąca

dolarów, których Bender życzył sobie zazwyczaj za wykonanie popiersia.

Mimo to rzeźbiarz wiedział już, że podejmie decyzję, która zapewne nie

spodoba się jego żonie. Mieli kłopoty finansowe, ale idea pracy pro publico

388

bono wpisywała się w żywione przez niego przekonanie o prymacie sztuki i sprawiedliwości nad pieniędzmi.

— Opowiedz mi o sprawie, a ja zobaczę, co da się zrobić.

W lesie ciągnącym się wzdłuż pewnej farmy w Manlius znaleziono

w płytkim grobie resztki szkieletu. Początkowo sądzono, że są to szczątki

farmera pochowanego w XIX wieku albo nawet żołnierza z czasów wojny

o niepodległość, dopiero dokładniejsze badanie wykazało, że ciało pocho-

wano znacznie później, mniej więcej przed dwudziestu laty.

Roztrzaskana

czaszka wskazywała niezbicie, że doszło do morderstwa. Zwłoki należały

do młodej kobiety. Podejrzewano, że mogła paść ofiarą osławionego seryj-

nego mordercy Arthura Shawcrossa z Rochester, który w latach 1988—1990

zabił i okaleczył dwadzieścia prostytutek. Rządy terroru Mordercy znad

Rzeki Genesee sprawiły, że wszystkie dziwki z miasta uciekły w panice

do oddalonego o sto pięćdziesiąt kilometrów Syracuse.

Policja nie dysponowała żadnymi dodatkowymi informacjami.

Gdyby

Bender zdołał zrekonstruować czaszkę, policja mogłaby ustalić tożsamość

ofiary i dzięki temu rozpocząć poszukiwania mordercy, wyjaśnił Hall.

— A mógłbyś mi przesłać tę czaszkę? — spytał Bender.

— Właśnie w tym cały problem — wyznał Hall.

Z czaszki niewiele zostało, jedynie kilka kości otaczających twarz, układających się w kształt litery U. Brakowało części twarzowej.

Czasz-

ka przypominała pączek z dziurką — i to taki, który składa się głównie

z dziurki.

— Przyślij mi to, co masz — powiedział Bender.

Kiedy zobaczył zdjęcie czerepu, pomyślał: „To niewykonalne”. W jaki

sposób miał odtworzyć wygląd twarzy bez szczęki, kości nosowych i jarz-

mowych? Ponieważ nie chciał się od razu poddawać, zasięgnął rady antro-

pologa z Instytutu Smithsona w Waszyngtonie, a później jeszcze innego

eksperta z Narodowego Centrum Dzieci Zaginionych i

Wykorzystywa-

nych. Wszyscy powiedzieli to samo: nie ma szans, nikt temu nie podoła.

„Nawet nie próbuj”, mówili, „bo wyjdiesz na głupca albo człowieka, któ-

rego zaślepiła pycha, a przy okazji narazisz na pośmiewisko całą profesję

specjalistów od rekonstrukcji twarzy”.

— Nie da rady — poinformował Halla Bender.

389

Młody śledczy nie zamierzał przyjąć do wiadomości takiej odpowiedzi.

— Wiem, że potrafisz to zrobić, Frank.

— No dobra — zgodził się w końcu Bender. — Podejmuję się zadania, ale o honorarium poproszę tylko wtedy, gdy uda ci się zidentyfikować ciało.

Hall z radością przystał na tę propozycję.

9 listopada 2000 roku Keith Hall, przysadzisty, jasnowłosy dwudziestopięcioletni oficer śledczy przybył na spotkanie Towarzystwa Vidocq'a.

Gdy wszedł na mównicę, nad jego głową rozbłysło rzucone na ekran zdjęcie „Czaszki bez twarzy”.

Bender uśmiechał się promiennie do Halla. Bystry, otwarty, rzeczowy policjant w kontakcie osobistym zrobił na nim

jeszcze lepsze wrażenie niż przez telefon.

Walter westchnął.

— Do licha, Frank, co ty sobie wyobrażasz? — syknął do

siedzącego obok rzeźbiarza. — Znów ci się wydaje, że szósty zmysł jest

ważniejszy od rozumu?

Bender zignorował pytanie i siedział w milczeniu z lekko

nieobecny uśmiechem na twarzy. Uwielbiał wyzwania, a to wyglądało na

największe ze wszystkich. Przyglądając się fotografii, miał poczucie,

jakby po jego ciele krążył swobodny ładunek elektryczny szukający uziemienia

— bezimienna kobieta go przyzywała. Bender żył dla takich chwil.

— Moim zdaniem nawet najbardziej szalona próba jest lepsza

od siebie.

dzenia z założonymi rękami — powiedział w końcu.

— Bądź szczerzy, Frank. Znowu bawisz się w Boga?

Bender wyszczerzył zęby.

— Zapomniałem ci o czymś powiedzieć, Rich. Manlius zwróciło się

o pomoc do FBI, ale agencja odmówiła. Powiedzieli, że nie mają wystar-

czających danych, aby sporządzić profil psychologiczny sprawcy.

Uznali,

że to niewykonalne.

— Hmm... — mruknął Walter, unosząc lewą brew. W jego oczach po-

jawiał się błysk. Spojrzał ponownie na zdjęcie, następnie wrócił do lektury

policyjnego raportu. Poza twarzoczaszką brakowało praktycznie całej le-

wej strony szkieletu: ręki i dłoni, kości miednicowej, nogi i stopy.

Walter

390

musiał przyznać, że nawet on rzadko miał do czynienia z równie tajemni-

czymi sprawami. Kto wie, pomyślał, być może stworzenie profilu psycho-

logicznego mordercy na podstawie kilku kości znalezionych wiele lat po

popelnieniu morderstwa byłoby ciekawym wyzwaniem. Być może spra-

wiłoby mu to przyjemność.

— Ten las znakomicie nadawał się do ukrycia ciała — opowiadał Hall.

Zwłoki zostały pogrzebane płytko między drzewami porastającymi skraj

niezamieszkaney farmy pod Manlius, najbogatszym miasteczkiem hrab-

stwa Onondaga, „sypialnią” Syracuse. Malowniczą okolicę

pokrytą pagórkami, pastwiskami, lasami i jeziorami zamieszkiwało trzydzieści jeden tysięcy ludzi. Miasto — nazwane na cześć Marcusa Manliusu Capitolinusa, konsula Rzymu w 390 roku p.n.e. — składało się z trzech mniejszych wiosek. Jedną z nich, Fayetteville, szczyciła się tym, że za młodu mieszkał w niej prezydent Grover Cleveland oraz znana sufrażystka Mathilda Joselyn Gage, w której czasopiśmie ukazywała się po raz pierwszy Chata wuja Toma (jej zięć, L. Frank Baum, autor Czarnoksiężnika z Krainy Oz, podobno właśnie na teściowej wzorował postać Złej Czarownicy z Zachodu). Pierwsze od ćwierćwiecza morderstwo było dla mieszkańców Manlius szokiem. Czyż w okolicy nie mieszkali sami porządni ludzie? Przy każdej okazji podkreślali, że ofiarą była osoba z zewnątrz, a do zbrodni doszło poza obszarem miasta. Kobieta zginęła z ręki obcego, gdzieś tam, „pod miastem”. Ciało ukryto w lesie sześć kilometrów na wschód od Fayetteville i tyle samo od dwóch pozostałych miejscowości tworzących Manlius, na nieużytku zwanym przez mieszkańców „ziemią niczyją”. Najbliższa droga stawała się nieprzejezdna w zimie z powodu śniegu i lodu. Aby dojść do lasku, należało pokonać pole kukurydzy. Właśnie w tamtej okolicy



były  
więzień Robert Updegrove — przybysz z zewnątrz, nie omieszkali  
dodać  
mieszkańcy, który zatrzymał się tam przejazdem — polował bez  
pozwo-  
lenia na jelenie sobotniego ranka 29 listopada 1997 roku.  
W południe przysiadł na zwalonym drzewie i zapalił papierosa.  
Strzel-  
bę położył na kolanach. W pewnej chwili zauważył między liśćmi  
nie-  
wielką plamkę bieli. Jak zeznał później policjantom, w pierwszej  
chwili  
391  
pomyślał, że to papieros. Kiedy jednak się nachylił i próbował go  
podnieść,  
wyczuł między palcami coś twardego — natrafił na kość, fragment  
ludz-  
kiej czaszki. Updegrove odkrył grób.  
Hall postawił przy grobie straż. Kiedy następnego ranka, 30  
listopada,  
ustalono, że grób nie ma charakteru historycznego, rozpoczęto  
ekshu-  
mację zwłok i wszczęto śledztwo w sprawie morderstwa. Hall w  
pierw-  
szej chwili uznał Updegrove'a za głównego podejrzanego.  
Mężczyzna nie  
chciał przyznać się do nielegalnego polowania i próbował wcisnąć  
policji  
bajeczkę, że do lasu trafił, szukając swojego psa. Zaprzeczał,  
jakoby miał  
cokolwiek wspólnego z morderstwem, ale nie przekonał Halla.  
Były wię-  
zień pomieszkiwał w chacie na jednej z opuszczonych farm — na  
tyle bli-  
sko, że Hall mógł ją niemal zobaczyć z lasu, w którym

znaleziono grób.

Czy Updegrove rzeczywiście przypadkowo natknął się na wystającą z zie-

mi kość? A może sam pochował tam kiedyś ofiarę, a teraz powrócił, aby

raz jeszcze nacieszyć się sukcesem i zadrwić z policji?

Hall i jego ludzie przez pięć dni własnoręcznie rozkopywali grób, aż

stracili czucie w przemarzniętych palcach. Znaleźli jedynie fragmenty

szkieletu. Wynikało z tego, że zwłoki zostały zniszczone przez zwierzęta

lub jakiegoś degenerata.

Niekompletność szczątków utrudniała identyfikację. Antropolog są-

dowy z Uniwersytetu Cornelia dopatrywał się wśród nich kości szopa pracza.

Inny znany antropolog twierdził, że znaleziono szczątki dziecka.

Dopiero

doktor Anthony Falcetti z Pracowni Identyfikacji Osób im. C.A. Pounda

w Gainesville na Florydzie orzekł, że szkielet należy do niewysokiej,

drobnej, mniej więcej dwudziestopięcioletniej kobiety,

prawdopodobnie

rasy mieszanej, o wzroście około stu sześćdziesięciu pięciu centymetrów

i wadze czterdziestu pięciu do pięćdziesięciu kilogramów. Stan kości

wskazywał na nieprawidłowe odżywianie w dzieciństwie.

Wszystko to

potwierdzało wcześniejsze przeczucie Halla, że młoda kobieta była prosty-

tutką, a zatem być może faktycznie padła ofiarą Shawcrossa. Hall rozesłał

jej opis do wszystkich baz danych w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, w tym do Narodowego Centrum Dzieci Zaginionych i Wyzyskiwanych.

Nie znaleziono nikogo odpowiadającego rysopisowi ofiary.

Dwudziestu

392

policjantów przeczesano okolicę z wykrywaczami metalu i grabiami, obejrzano dokładnie pobliskie drzewa w poszukiwaniu otworów po kulach

oraz zebrano ptasie gniazda w nadziei, że natrafiają w nich na włosy ofiary.

Nie znaleziono żadnych śladów.

Hall próbował odczytać historię zamordowanej dziewczyny ze znalezionych w grobie resztek ubrania, zamka błyskawicznego i paczki

mentolowych papierosów marki Virginia Slims. Ku jego rozczarowaniu

niebieska pieczęć na celofanowej paczce papierosów wyblakła tak

bardzo, że nawet w laboratorium nie udało się odczytać daty z banderoli.

Jednak z daty

produkcji ubrań — dżinsów marki Gitano w rozmiarze 28, majtek Sergio

Valente w rozmiarze XS i koszulki marki Cappacino — wynikało, że

kobieta żyła jeszcze 15 lipca 1986 roku, a zmarła prawdopodobnie przed

kwietniem 1988 roku. Czas ten pokrywał się z okresem krwawej działalności

Shawcrossa, który wypuszczony warunkowo z więzienia po odsiedzeniu

piętnastu lat za zgwałcenie i zamordowanie dziesięcioletniego

chłopca  
oraz ośmioletniej dziewczynki, przeprowadził się do Rochester i  
na po-  
czątku 1988 roku zaczął mordować prostytutki. Aresztowano go w  
stycz-  
niu 1990 roku. Profil psychologiczny mordercy wskazywał, że  
powinien  
powrócić na miejsce zbrodni, dlatego policja pozostawiła ciało  
jedenastej  
ofiary w strumieniu, w którym je znaleziono. Shawcrossa  
aresztowano,  
kiedy masturbował się w samochodzie zaparkowanym na  
pobliskim mo-  
ście. W areszcie przyznał się do winy i pomógł w zidentyfikowaniu  
wszyst-  
kich jedenastu ofiar. Być może nie wspomniał o dwunastej?  
Sprawa doprowadziła Halla do stanu głębokiej frustracji. Choć  
Upde-  
grove wciąż figurował na liście podejrzanych, Hall nie potrafił  
znaleźć  
mocnych dowodów ani przeciwko niemu, ani komukolwiek  
innemu.  
Przesłuchał trzydzieści dziewięć osób, które mieszkały przed laty  
w po-  
bliżu miejsca zbrodni. Niemal dziewięć miesięcy po odkryciu ciała  
po-  
prowadził oddział złożony z policjantów z Manlius i  
funkcjonariuszy  
policji stanowej. W towarzystwie przyrodnika oraz psów  
wyszkolonych  
do znajdowania zwłok wyruszyli na poszukiwanie innych zwłok  
oraz le-  
gowisk zwierząt, do których mogłyby zostać zawleczone kości i  
przedmio-  
ty pochodzące z pierwszego grobu. Nie znaleźli nic

wartościowego. Hall

zwrócił się o pomoc do Jednostki Nauk Behawioralnych FBI w Quantico

393

w stanie Wirginia, ale biuro FBI uznało, że zgromadzone dane nie wystar-

czą do sporządzenia profilu psychologicznego. Towarzystwo Vidocqa było

dla Halla ostatnią deską ratunku.

Po zakończeniu prezentacji Fleisher podarował policjantom z Manlius

ozdobne szkło powiększające symbolizujące pierwsze naukowe narzędzie

detektywistyczne. Chwilę później do Halla podszedł Walter.

— Wbrew temu, co twierdzą nasi przyjaciele w FBI —

powiedział —

istnieje pewna szansa na stworzenie profilu psychologicznego mordercy.

Ze znalezionych kości można wyciągnąć więcej wniosków, niżby to się

mogło w pierwszej chwili wydawać.

Zabicie prostytutki i porzucenie jej ciała w lesie było „klasyczną, przeprowadzoną na chłodno, praktyczną zbrodnią noszącą znamiona

mordercy o profilu stanowczej siły”, wyjaśnił. Walter sporządził już frag-

mentaryczny profil sprawcy.

Jego zdaniem spośród dziesięciu podejrzanych, których brała pod uwa-

gę policja w Manlius, tylko Updegrove pasował do profilu. Walter zapro-

sił policjantów z Manlius do Biddle House, swojego domu w Montrose

w Pensylwanii.

— Moim zdaniem mamy tu do czynienia z robotą seryjnego

morder-

cy — oświadczył.

— Nie sądzę, aby to Updegrove był mordercą — wypalił Bender i natychmiast oblał się rumieńcem. Stał w wianuszkach policjantów otaczających Waltera i Halla. Od dłuższego czasu badał różne wątki sprawy, przygotowując się do wykonania rekonstrukcji twarzy ofiary z resztek kości. Niemniej przekonanie o niewinności Updegrove'a wynikało raczej z przeczucia aniżeli z analizy dostępnych informacji. Walter wzniosł oczy do nieba.

— Frank, cenię twoje przemyślenia, ale zajmij się raczej tym, co potrafisz najlepiej. Jak zwykle dajesz się ponieść emocjom. Walter podziwiał niezwykły talent i intuicję kolegi, ale nie lubił, gdy Bender wkraczał ze swoimi przeczuciami na obszar specjalistycznej wiedzy, dzięki której on konstruował profile psychologiczne morderców.

— Richard, jesteś znakomitym specjalistą, ale to nie znaczy, że zawsze masz rację — odparł Bender.

394

— Drogi chłopcze, twoje myślenie jest chaotyczne i całkowicie pozbawione umocowania w faktach — tłumaczył protekcjonalnym głosem

Walter. — Pomysły czerpiesz z seriali telewizyjnych. Nie są funtami kłaków warte.

Ludzie przysłuchujący się rozmowie zachichotali. Od najsłynniejszej sprawy z udziałem Bendera i Waltera — schwytania Johna Lista

— obaj  
zdobyli jeszcze wyższą pozycję w swoich dziedzinach.  
Skutecznie współ-  
pracowali ze sobą przy śledztwach, w które angażowało się  
Towarzystwo  
Vidocq'a. Choć ich prywatna i zawodowa przyjaźń zapewne nigdy  
nie mia-  
ła się lepiej, współpraca przypominała spotkanie młota z  
kowadłem — im  
lepsze rezultaty osiągali, tym bardziej między nimi iskrzyło.  
Bender przekonywał wszystkich dokoła, że to on, a nie Walter,  
wpadł  
na pomysł, aby uzupełnić popiersie Johna Lista o okulary w  
szylkreto-  
wych oprawkach. Ten właśnie element wyglądu doprowadził do  
identy-  
fikacji i aresztowania mordercy. Bender twierdził, że Walter  
przypisuje  
sobie cudze zasługi.  
Rozdrażniony Walter uparcie przypominał przyjacielowi, że to on  
jako  
pierwszy zasugerował, że List nosi okulary w grubej oprawie,  
„podobne do  
moich”; wyraz pragnienia władzy i dominacji. Był wszakże gotów  
przy-  
znać, że to Bender postawił kropkę nad i, kiedy umieścił na nosie  
wyrzeź-  
bionej twarzy parę okularów, którą znalazł w sklepie ze  
starociami.  
„W porządku, więc pomysł był mój, a wykonanie twoje. Zapewne  
nie-  
którzy uznaliby twój wkład za bardziej znaczący i godny uznania.  
Wiem,  
że myślenie w tych kategoriach sprawia ci trudność, ale mamy tu  
do czy-

nienia z czymś, co się nazywa pracą zespołową, a w takich przypadkach zasługi z konieczności się dzieli".  
Fleisher promieniał niczym kapitan drużyny futbolowej obserwujący starcie swoich największych gwiazd podczas rozgrzewki przed ważnym meczem. Uważał, że sprawa Dziewczyny bez Twarzy była jedną z najtrudniejszych, jakie przedstawiono na forum Towarzystwa. Jeżeli chcieli ją rozwiązać, potrzebowali takiego właśnie zaangażowania.  
Bender powrócił do swojej pracowni na South Street w Filadelfii, a Walter do rezydencji w pensylwańskich górach. Było jasne, że obaj natychmiast zabiorą się do pracy i zaczną wymieniać się spostrzeżeniami.

395

Żadna inna para nie potrafiła współpracować z równą intensywnością i produktywnością.

— Myślę, że Richard wpadł na dobry trop, z kolei nikt nie widzi lepiej

twarzy zmarłych niż Frank — oświadczył Fleisher. — Nie dysponujemy

wieloma informacjami na temat tego morderstwa, ale jeżeli ktokolwiek

potrafi rozwikłać jego zagadkę, to właśnie nasi przyjaciele.

Jego twarz rozjaśnił uśmiech.

— Pytanie brzmi: do kogo tym razem przemówią kości?

Rozebrany do pasa Bender ożywił w swojej pracowni umarłych, korzystając

z tajemnych mocy, które budziły grozę w ludziach uważających go za

aroganckiego doktora Fausta. Ludzie ci nie zdawali sobie sprawy



z ogromnej pokory, z którą Bender podchodził do swoich obowiązków. Z chwilą rozpoczęcia pracy nad glinianą głową wyzbywał się wszelkiej małostkowości, zapominał o ramach czasoprzestrzennych i pogrążał się całkowicie „w nurcie natury. Zaczynasz od oka, nosa i ust; pozwalasz, by wszystkie unosiły się na powierzchni. Czy piękne, czy szkaradne, nasze rysy stworzono w taki sposób, by ze sobą harmonizowały”. Taka metoda pracy nie mogła przynieść efektu w przypadku Dziewczyny bez Twarzy — pozbawionej nosa, ust, oczu, policzków i podbródka. Bender zadzwonił do Halla i ponownie podzielił się obawami: „To niewykonalne”. Po trzech dniach rozmyślań wciąż nie wiedział, czym wypełnić pustkę ziejącą pośrodku twarzy dziewczyny. Sfrustrowany wrócił do pracy nad wykonywaną na specjalne zamówienie rzeźbą zatytułowaną Odgrzebani. Przedstawiała osiemnastowiecznych niewolników — mężczyznę i dwie kobiety — których czaszki ekshumowano z odnalezionego przypadkowo w Nowym Jorku cmentarzyska Afrykanów. Pracując z jedną z czaszek, zauważył, że kość klinowa w części tworzącej oczodół miała niemal identyczną szerokość jak kości nosowe. U Dziewczyny bez Twarzy kość klinowa się zachowała, a ponieważ miała

być w jakiejś części Afroamerykanką... Czyżby znalazł sposób określenia wielkości jamy nosowej? Zadzwoił do antropologa z Uniwersytetu Harvarda, który uczestniczył w projekcie Odgrzebania. Profesor wykonał szereg pomiarów innych czaszek i powiedział: „Wydaje mi się, że masz rację”.

396

Bender rozpoczął zatem pracę nad Dziewczyną bez Twarzy od nosa.

Uzyskał szeroką twarz o jasnobrązowym kolorze, z łagodnymi, brązowymi oczami. Kości zdawały się podpowiadać, że ofiara nie była typową,

zobojętniałą prostytutką, ale osobą serdeczną, przytłoczoną problemami

tego świata. Zgadywał, ale coś mu mówiło, że się nie myli.

„Czuję, że tak właśnie było”.

Nieoznakowany policyjny sedan wyjechał z Manlius w stanie Nowy Jork

i udał się na południe autostradą 1-81 w stronę wzgórz i dolin Pensylwanii.

Musiał pokonać ponure kłębowisko krętych dróg, biegnących przez lasy

i wspinających się na strome wapienne wzgórza, między którymi płynę-

ły kamieniste potoki. Po przejechaniu stu pięćdziesięciu kilometrów zaje-

chał w południe przed Biddle House. Drzwi otworzył sam Richard Walter.

Wprowadził gości do salonu i usadził w dziewiętnastowiecznych fotelach.

Rozłożyli akta sprawy na zabytkowym stoliku z drewna

czereśnio-

wego. zaproponował kawę lub herbatę.

— A może ktoś ma ochotę na ciasteczka? Własnej roboty, pieguski i imbirowe na prawdziwym maśle wyrabianym w tradycyjny sposób. Bez chemicznych ulepszcaczy. Piekę według znakomitych przepisów. Pułkownik Kevin Barry i dwaj funkcjonariusze oświadczyli, że chętnie się poczęstują. Walter przyniósł dzbanek dymiącej kawy i zapalił papierosa.

— Tak się składa, że na świecie jest tylko pięciu profilerów, którzy naprawdę mają pojęcie, jak się je robi. Cała reszta to banda pieprzonych szarlatanów i oszustów. Policjanci wyszczerzyli zęby w uśmiechu. Profilerzy rzeczywiście nie cieszyli się najlepszą reputacją w niektórych kręgach.

— Prawdę mówiąc, wolę określenie analiza zbrodni niż profil psychologiczny — ciągnął Walter. — Z powodu tych wszystkich seriali telewizyjnych i amatorskich analiz w wieczornych serwisach informacyjnych ludzie nabrali przekonania, że profilerzy są czarodziejami, którzy raz na jakiś czas wyłażą ze swoich samotni i snują fantastyczne wizje lub wydają z siebie dzikie pomruki. W tym domu nie możecie na to liczyć. Ci oszuści czytają nasze opracowania i wypowiadają później wyjęte z kontekstu

przewidywania w rodzaju: „Morderca jeździ niebieskim samochodem i nienawidzi kobiet”. A przecież o coś innego w tym wszystkim chodzi. Podobnie jak w przypadku każdej dziedziny specjalistycznej wiedzy, opracowywanie profili psychologicznych wymaga ciężkiej pracy. Ekspert musi dysponować materiałem porównawczym zdobywanym przez lata, doświadczeniem w podobnych sprawach oraz umiejętnością organizowania dostępnych informacji zarówno w perspektywie psychologicznej, jak i kryminalistycznej. Walter odchylił głowę i wydmuchnął dym papierosowy w stronę sufitu.

— Panowie, pozwólcie, że opiszę wam tę sprawę w kategoriach analizy zbrodni.

Wiele, jego zdaniem, wskazywało na to, że ofiara była prostytutką, między innymi fakt ukrycia jej zwłok w odludnym miejscu.

Mordercy powodowani pragnieniem dominacji uwielbiają zabijać prostytutki, a kiedy pozbywają się ciała, czynią to w taki sposób, jakby wyrzucali śmieci. Ten typ mordercy zazwyczaj zadaje ofierze cios w głowę, decyduje się na bezpośredni atak. W tym wypadku czaszka ofiary została roztrzaskana, co prawdopodobnie doprowadziło do zgonu. Istotną wskazówką była również połowa zamka błyskawicznego znaleziona w górnej

części gro-  
bu. „W morderstwach popełnianych przez ten typ  
osobowościowy”, mó-  
wił Walter, „sprawca często w gwałtowny sposób zdiera z ofiary  
ubranie”.

Z policyjnego raportu wynikało, że cztery ząbki eklera były  
wyłamane.

Keith Hall zadał sobie trud, aby przesłuchać producenta takich  
zamek

i dowiedział się, że uszkodzenie zostało zapewne spowodowane  
przez su-

wak, który ześliznął się z ząbków podczas siłowego rozsuwania  
zamka.

— Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, morderca miał  
prawdopo-

dobnie około dwudziestu pięciu lat, był wcześniej karany. Typ  
muskular-

ny, lubiący podnoszenie ciężarów, macho, ubogi emocjonalnie,  
aroganc-

ki. Jeździ furgonetką i kupuje świerszczyki.

— Tak się składa — ciągnął — że do tego profilu pasuje  
Updegrave.

Nie mówię, że on jest mordercą, ale był to ktoś w jego typie:  
lubiący wy-

machiwać bronią palną były kryminalista.

Rozdział 51

Aniołowie od morderców

Kobiety z otoczenia zamożnego, siedemdziesięcioletniego  
biznesme-

na z Alabamy miały dziwny zwyczaj przepadania bez wieści,  
dlatego kie-

dy zadzwonił na policję z informacją o zaginięciu drugiej żony, od  
razu

uznano go za podejrzanego. Trzydzieści lat wcześniej  
zamordował teścio-

wą — najpierw ją udusił, a następnie zadał trzydzieści siedem ciosów szpi- kulcem do lodu — po czym wrócił do domu i oświadczył pierwszej żonie:

„Nasze życie całkowicie się zmieni. Zabiłem twoją matkę”.

Odsiedział za-

ledwie trzynaście miesięcy, po czym został ułaskawiony przez gubernato- ra Kentucky.

— To się nadaje do Księgi perwersyjnych cytatów — stwierdził Walter.

Z zainteresowaniem słuchał prezentacji przygotowanej dla Towarzystwa

Vidocq'a przez policjantów z Alabamy. Sprawa miała numer 112 i została

przedstawiona na lunchu w sierpniu 2002 roku. Walter

przeczuwał, że po-

dejrzany jest, niestety, bogatym, błyskotliwym psychopata, zbyt doświad-

czonym i przebiegłym, aby się dać złapać policji. Niemniej jednak tego

popołudnia bardziej zaniepokoiła go posępna mina przyjaciela. W czerw-

cu 2002 roku Bender pochował osiemdziesięciodziewięcioletnią matkę,

Sarah. Kiedy przed laty zmarł jego ojciec, Francis A. Bender, Frank wziął

udział w sekcji jego zwłok. Ujął wtedy w dłonie serce Francisa, aby po raz

ostatni spróbować go zrozumieć i ostatecznie się z nim pogodzić.

Walter

miał wrażenie, jakby Frank trzymał teraz w dłoniach serce matki.

399

Tamtego lata Bender zaczął dostrzegać w swoim życiu cień rzucany

przez jakiś inny wymiar rzeczywistości. Razem z Walterem poleciał do Chicago, gdzie w hotelu Hilton wygłosili wspólnie wykład zatytułowany Analiza spraw karnych w ramach programu szkoleniowego Narodowego Urzędu Więziennictwa. Po wykładzie podeszły do nich dwie zakonnice, które pełniły posługę w więzieniach.

— Jesteście aniołami dobroci — chwaliły ich, uśmiechając się od ucha do ucha.

— Raczej aniołami od morderców — stwierdził Bender. Walter był zaskoczony. Uważał, że gdyby Bóg rzeczywiście stworzył świat, nie przewidziałby w nim miejsca dla seryjnego mordercy Theodore'a Bundy'ego, ale trzymał język za zębami i wymamrotał uprzejme podziękowanie. Ta myśl napawała go niepokojem, ale musiał przyznać, że aniołowie rzeczywiście wydawali się nad nim czuwać. Na Boże Narodzenie dostał nietypowy prezent — anioła wygrawanego w kryształach — od młodych małżonków z Pensylwanii. Od długiego czasu w ich życiu dominowały żal, gniew i niepewność wynikające z niewyjaśnionego morderstwa brata kobiety. Poznał ich na zjeździe Narodowego Stowarzyszenia Rodziców Zamordowanych Dzieci. Współczuł im z całego serca, podobnie jak wszyscy uczestnicy zjazdu. Ludzie ci nazywali go — aż wstyd się przyznać — aniołem zemsty.

Pograżonym w żałobie uczestnikom sympozjum oferował nie tylko zemstę, ale również szansę powrotu do zdrowia psychicznego i fizycznego. Jako przedstawiciel Towarzystwa Vidocq'a zaproponował, że porozmawia z nimi o sprawach, o których nikt nie miał odwagi z nimi rozmawiać, a następnie za pomocą miecza lub kojących słów — cokolwiek okaże się skuteczniejsze — pomoże im pokonać demony. „Ich udręka ma źródło wyłącznie w umyśle. Albo w ich własnym, albo w umyśle człowieka, który zamordował im dziecko. Aby pokonać ból, trzeba otwarcie porozmawiać o tych mrocznych sprawach”, twierdził. Czy można było sobie wyobrazić lepszego kandydata do tego zadania? Tylko na zjazdach Narodowego Stowarzyszenia Rodziców Zamordowanych Dzieci można wejść do sali konferencyjnej i zastać w środku pięćdziesiąt matek, którym zamordowano potomstwo. Tego dnia zebrały się 400 w hotelu Cincinnati Westin, aby wysłuchać odczytu o typach morderców. Poważne twarze zwróciły się w stronę szczupłego, łysiejącego mężczyzny w okularach i niebieskim garniturze, który chwilę wcześniej przemknął korytarzem niczym błyskawica. Wykład rozpoczął od zadanego wesołym tonem pytania. — Która z was nigdy wcześniej nie słyszała mojej pogadanki? Kilka kobiet podniosło rękę.



— Kłamczuchy! — zawołał. Sala zatrzęsa się od śmiechu. Podszedł do kobiety siedzącej w pierwszym rzędzie i podsunął jej pod nos mały kosz na śmieci.

— Moja droga, jeżeli zamierza pani zjeść tego karmelka, proszę go wyjąć z folii i od razu włożyć do ust — powiedział. — Szelest plastiku unie-

możliwia mi zebranie myśli.

Słuchaczki ponownie się zaśmiały. Uwielbiały go. Bluźnierczego, uprzejmego, śmierdzącego papierosami i miotającego przekleństwami.

Po wykładzie matki zachodziły kolejno do małej hotelowej palarni na

prywatne spotkania z Walterem i chmurą mentolowego dymu.

Podczas

dziesięciminutowych spowiedzi opisywały w skrócie okoliczności śmier-

ci swoich dzieci i odpowiadały na pytania detektywa. Czy ciało spoczywa-

ło twarzą do ziemi, czy na plecach? Czy znaleziono przy nim nóż? Każda

z kobiet odchodziła wyraźnie uspokojona; na znękanych twarzach gościło

poczucie ulgi. „Wytłumaczył mi, dlaczego mój Brian zginął. Teraz mogę

się z nim wreszcie pożegnać”, powiedziała pewna Azjatka, opuszczając ten

nietypowy konfesjonał.

Walter miał analityczny umysł i współczujące serce, dzięki czemu po-

trafił wyjaśnić rodzicom — na ile to oczywiście było możliwe — w jaki

sposób i dlaczego jądro ciemności pochłonęło ich dzieci. Pomagał im

w bolesnym procesie godzenia się z istnieniem zła. Dostrzegał wzory i siły przyczynowe, które uchodziły uwagi innych. Jeden z dziennikarzy nazwał Waltera Stephenem Hawkingiem wszechświata potępionych. Bob Meyer, emerytowany lekarz z Tamy, oraz jego żona Sherry — lu- dzie doprowadzeni na kraniec wytrzymałości psychicznej — opowiedzieli Walterowi o bezsensownym, potwornym morderstwie, którego ofiarą padła ich córka, Sherry-Ann Brannon, urocza trzydziestopięcioletnia 401 blondynka, oraz jej dzieci, siedmioletnia Shelby i czteroletnia Cassidy. Do tragedii doszło w nowym, okazałym domu z basenem w hrabstwie Manatee na Florydzie. Policja nie znalazła śladów włamania. Meyer uważał, że mordercą jest Dewey Brannon, który niewiele wcześniej zostawił ich córkę dla innej kobiety (cały czas toczyło się nieprzyjemne postępowanie rozwodowe). Policja także uznała Brannona za głównego podejrzanego. Najbardziej intensywne śledztwo w historii hrabstwa trwało sześć tygodni i wykazało, że to Brannon — któremu Sherry-Ann nie pozwoliła odwiedzić córek w Dniu Ojca — zadzwonił na numer alarmowy rankiem 16 września 1999 roku. Dyspozytorce powiedział, że znalazł ciało żony i starszej córki.

W pierwszej chwili sądził, że matka zabiła starszą córkę, po czym sama popełniła samobójstwo, ale chwilę później zauważył, że Cassidy również jest ciężko ranna. Dzwonił, tuląc w ramionach czterolatkę konającą od licznych ran zadanych nożem.

— Wszystko będzie OK, proszę pana — próbowała go uspokoić dyspozytorka.

— Co niby ma być OK? — krzyknął. — Dwie osoby zginęły przeze mnie, rozumiesz? Przyślij tu kogoś jak najszybciej.

Gazety napisały, że właśnie te dwa słowa — krótkie „przeze mnie” —

utwierdziły całe hrabstwo w przekonaniu o winie Brannona.

Kiedy policja otrzymała wyniki badań laboratoryjnych, okazało się, że wszystkie materialne ślady zebrane na miejscu zbrodni wskazują na

Larryego Parksa, czterdziestosiedmioletniego robotnika, który budował

właśnie w ogrodzie basen. Kawalek naskórka znaleziony pod paznokciem

Sherry-Ann zawierał jego DNA. Mężczyzna zeznał, że tamtego ranka za-

pukał do drzwi Sherry-Ann, „potwornie najarany” kokainą i metamfe-

taminą. Przez całą noc polował na dziki, które zamierzał sprzedać, a za

uzyskane pieniądze kupić więcej narkotyków. Ponieważ nie udało mu

się żadnego ustrzelić, wpadł na pomysł obrabowania domu Sherry-Ann.

Zmyślił historyjkę, że zepsuła mu się furgonetka, i w ten sposób zdołał

wejść do środka. Kobieta stawiała opór, więc zadał jej dziesięć albo i więcej ciosów nożem kuchennym, wszedł na piętro do pokoju Shelby, zabił ją, po czym zaciągnął Cassidy schodami na parter i ją również zadźgał na 402 oczach konającej matki. Parks przyznał się do winy, dzięki czemu miał zostać skazany na trzykrotne dożywocie, a nie karę śmierci. Bob Meyer powiedział Walterowi, że postępowanie przeciwko Parkso- wi doprowadziło całą rodzinę na skraj załamania nerwowego. Chciał, aby mężczyzna zapłacił za morderstwo własnym życiem. Sherry próbowała nawet wejść na salę sądową z pistoletem w torebce (rodzice zamordowanych dzieci często podejmują próby samodzielnego wymierzania sprawiedliwości). Oczyszczony z zarzutów zięć rzucił się przez drewnianą balustradę, chcąc zabić Parksa. Kiedy szeryfowie federalni skuli go i wyprowadzili z sali, Sherry krzyknęła w stronę sędziego i Parksa: „Ten człowiek zamordował nasze dzieci!”. Mimo kipiącego w nim gniewu Bob Meyer nie wiedział, co myśleć o całej sprawie. Nadal podejrzewał zięcia. Twierdził, że zależy mu już tylko na prawdzie. Dlaczego człowiek potrafi dopuścić się tak straszliwego czynu? Jeśli rzeczywiście sprawcą był Parks, co nim powodowało? A jeśli jego zięć, to dlaczego? Meyer liczył na pomoc Waltera. Profiler

przestu-  
diował akta sprawy, następnie na prośbę Boba poleciał do Tamy  
i wy-  
słuchał trwającego sześćdziesiąt siedem minut zeznania, w  
którym Parks  
przyznał się do winy w obecności sześciu prawników i  
funkcjonariuszy  
policji. Walter powiedział później Meyerowi, że morderstwo w  
najdrob-  
niejszych szczegółach pasowało do przeszłości, osobowości i  
charakteru  
Larryego Parksa. To on „bez żadnych wątpliwości był mordercą;  
jedy-  
nym mordercą. To najczystszy przypadek mordercy o profilu  
stanowczej  
siły, z jakim się spotkałem".  
Meyerowie próbowali powoli poukładać sobie od nowa życie,  
niemniej  
Walter wciąż się o nich niepokoił. Sherry straciła zamiłowanie do  
muzy-  
ki i gotowania, które niegdyś uwielbiała. Chudła i sprawiała  
wrażenie co-  
raz słabszej. Bob twierdził, że żał po śmierci córki i wnuczek  
dosłownie ją  
zabija. Walter ponownie udał się na Florydę, wszedł do domu  
Meyerów  
i zażyczył sobie słynnego ciasta mandarynkowego Sherry.  
Kobieta powie-  
działa, że nie ma ochoty na pieczenie. „Chcę dostać to ciasto, i to  
już!", za-  
żądał. Nie miała w domu mandarynek, a wszystkie sklepy był  
zamknięte.  
Wsiedli do samochodu i jeździli po okolicznych miasteczkach, aż  
wreszcie  
Walter wypatrzył drzewo mandarynkowe za jakimś barem. Owoce

wisiały

403

zbyt wysoko. Niczym szkolne urwisy, zdobyli skądś drabinę i nazrywali mandarynek. Ciasto udało się znakomicie. Kiedy później tamtego wieczoro-

ru raczyli się szkocką, Bob wyznał, że nawiedzają go sny, w których mści

się na Parksie; jego opowieść budziła skojarzenia z obyczajami panującymi w starożytnych Atenach.

— Nigdy się do tego publicznie nie przyznam, ale życzę mu, żeby

oślepl — oświadczył Meyer. — Chciałbym, żeby Parks do końca życia,

które spędzi w więzieniu, nie wiedział, co go za chwilę spotka.

— Tego rodzaju pragnienia to częste zjawisko — odparł Walter.

— Ale

od czasów starożytnych Greków przyjęto zasadę, że można je wyrażać tyl-

ko w specjalnych okolicznościach: w sądach, wobec krewnych lub przyjaciół,

przed bogiem. Później trzeba na nowo odnaleźć się w świecie.

Od Meyerów wyjechał ze świadomością, że czeka ich jeszcze długa

droga.

Morderstwo zrujnowało również życie Joy i Briana Kosiskich. Brat Joy

został zamordowany w Greenville w Pensylwanii. To właśnie oni, w po-

dzięcie za pomoc w zrozumieniu zbrodni, wysłali Walterowi na Boże Na-

rodzenie kryształowy obelisk, wewnątrz którego w promieniach słońca

widać było eteryczne, wytrawione kwasem kontury anioła.  
— Kwasowy anioł — zadumał się. — To nawet ładne.  
Kwasowy anioł, spowity kłębam dymu papierosowego, spoczywał w pokoju hotelowym w Chicago. Poprzedniego dnia Walter i Bender wygłosili razem wykład, a teraz przed profilerem siedziało dwóch policjantów z Urbany, miasta położonego na południu stanu Illinois. Poprzedniej wiosny, 15 marca 2001 roku, zaprezentowali przed Towarzystwem Vido-cą jedną z najgłośniejszych i najbardziej zagadkowych nierozwiązanych spraw w historii stanu. W 1988 roku zamordowano Marię Caleel, zamożną i lubianą studentkę weterynarii Uniwersytetu w Illinois. Trwające od czternastu lat śledztwo było dla policji z Urbany wyłącznie źródłem frustracji i wstydu. Podczas lunchu policjanci wysłuchali interpretacji Waltera, następnie wysłali mu akta sprawy, w końcu przejechali 225 kilometrów z Champaign-Urbana do Chicago, aby spotkać się z profilerem i poznać jego dalsze przemyślenia.

404

— Panowie, pozwólcie, że wyjaśnię wam okoliczności morderstwa — powiedział Walter z niewesołym uśmiechem. W ciągu czternastu lat akta śledztwa rozrosły się do tysiąca sześciuset stron. Na listę podejrzanych trafiło czterdzieści osób, ale nikogo nie aresztowano.

— Przeczytałem całość na komputerze, więc nie mogłem notować uwag przy stosownych fragmentach — powiedział Walter. — Mimo to wyeliminowałem trzydziestu dziewięciu z czterdziestu podejrzanych. Nie ma wątpliwości, kto jest mordercą. Człowiek ów przez te wszystkie lata skutecznie trzymał się w cieniu.

— Wiemy, że zbrodnię popełnił jakiś znajomy Marii — ciągnął.

—

W nocy 6 marca 1988 roku Caleel spała w swoim mieszkaniu w Urbanie.

Mniej więcej o trzeciej napastnik zapukał do drzwi albo po prostu wszedł

do środka, otwierając je kluczem. Zaatakował w ciemności. Złapał ją od

tyłu, wbił piętnastocentymetrowe ostrze noża prosto w serce, po czym

uciekł. Caleel, wykrwawiając się na śmierć, doczołgała się do mieszkania

po drugiej stronie korytarza. Mieszkająca tam studentka zadzwoniła na-

tychmiast na policję. „Kto ci to zrobił?“, spytała. „Nie mogę uwierzyć. Po

prostu nie mogę uwierzyć“, odparła Caleel. Były to jej ostatnie słowa. Nie

zdążyła powiedzieć, kto ją zamordował.

Śmierć atrakcyjnej, inteligentnej, utalentowanej dwudziestolet-

niej studentki weterynarii odbiła się szerokim echem w ogólnokrajowych

mediach. Jej przyjaciele opowiadali, że co prawda rodzina Marii obracała

się w wyższych sferach, ale nikt z nich nie wiedział, że



dziewczyna jest bogata. Maria rozpoczęła studia na Uniwersytecie Browna w wieku szesnastu lat, ukończyła tam biologię, po czym została wyróżniającą się studentką na niezwykle trudnym kierunku, którym była weterynaria na Uniwersytecie w Illinois. Kochała zwierzęta. W przeddzień morderstwa rano jeździła na swoim koniu Tristanie, a później próbowała uratować życie przedwcześnie urodzonego źrebaka. Walter opowiadał później, że morderstwo wprawiło policję w stan całkowitego osłupienia. Wydawało się zupełnie pozbawione sensu. Nie znaleziono śladów włamania, z mieszkania nic nie ukradziono, napastnik nie próbował wykorzystać seksualnie ofiary. Dziewczyna cieszyła się 405 powszechną sympatią i nie miała wrogów. O pomoc poproszono FBI. Bez rezultatu. Rodzice Marii, znany chicagowski lekarz Richard Caleel oraz była modelka Annette, wynajęli prywatnych detektywów i wyznaczyli pięćdziesiąt tysięcy dolarów nagrody za ujęcie sprawcy. Mijały lata, sprawa tkwiła w martwym punkcie, tymczasem Caleelowie robili wszystko, aby ich córka nie została zapomniana. Przeznaczyli sporą sumę pieniędzy na stworzenie funduszu jej imienia oraz stypendia i wyróżnienia dla młodzieży z całego kraju — nagrodę imienia Marii Ca-

leel za osiągnięcia w dziennikarstwie na Uniwersytecie Missouri  
czy dla  
najlepszego studenta biologii na Uniwersytecie Browna;  
przyznawali gran-  
ty na badania nad końmi, urządzali konferencje imienia Marii  
Caleel na  
temat przemocy wobec kobiet i zawody jeździeckie imienia Marii  
Caleel,  
fundowali puchar polo imienia Marii Caleel w Oak Brook Polo  
Club.  
W końcu zwrócili się o pomoc do przyjaciółki domu Lynn  
Abraham, sza-  
nowanej prokurator okręgowej z Filadelfii i członkini Towarzystwa  
Vi-  
docqa. Lynn poradziła, aby zaprezentowali sprawę przed  
Towarzystwem.  
Walterowi zdarzało się wcześniej pokpiwać ze śledczych z Illinois  
(wtrącał zdania typu: „W pełni szanuję wasze konstytucyjne  
prawo do  
błądu, ale...”), teraz jednak przemawiał spokojnym głosem,  
charakteryzu-  
jąc rzeczowo mordercę. Był nim dobry znajomy Marii ze studiów,  
w któ-  
rym za sprawą dość niewinnego flirtu wzbudziła psychopatyczny  
gniew.  
Miejsce zbrodni wskazywało wyraźnie, że morderstwo — mające  
na  
celu naprawienie rzekomego zła — zostało przeprowadzone  
metodycz-  
nie, jakby ktoś wyrzucał śmieci. Precyzja, z jaką morderca zadał  
cios, nie  
powinna dziwić, biorąc pod uwagę jego obeznanie z anatomią  
zwierząt.  
Walter tłumaczył, że człowiek ów pałał do ofiary mizoginiczną  
nienawi-

ścią i „rozumował w następujący sposób: nie zdawałem sobie sprawy, co to za wstrętna, odrażająca dziwka, ale ponieważ jestem za nią odpowiedzialny, muszę naprawić jej błędy. Dlatego właśnie zabił. Skoro wykluczaliśmy z grona podejrzanych wszystkich poza jedną osobą, czy możliwe będzie wpisanie zbrodni w szerszy kontekst zachowania mordercy? Oczywiście, ponieważ człowiek ten postępuje w sposób podręcznikowy". Początkowo sceptyczni policjanci z coraz większym entuzjazmem słuchali Waltera i w końcu nie mogli wyjść z podziwu dla analizy wpływającej

406  
zza kłębow mentolowego dymu. Zgodzili się, że śledztwo powinno zostać zawężone do wskazanego przez Waltera mężczyzny, obecnie szanowanego obywatela, męża i ojca. Udowodnienie mu winy nie będzie łatwe, ale Towarzystwo Vidocqa obiecało pomoc na każdym etapie dochodzenia.

— Policjanci byli zadowoleni z twojej analizy? — spytał później Fleischer, kiedy Walter zadzwonił, aby zdać relację ze spotkania. Szczupły mężczyzna wybuchnął śmiechem.

— O, tak. Są zadowoleni jak zboczeniec, któremu wyrósł drugi kutas.

Podczas gdy Walter zajmował się sprawą morderstwa z Illinois, dwóch najstarszych członków Towarzystwa Vidocqa zajechało w niedzielny wieczór

pod hotel w Cincinnati w stanie Ohio. Zdążyli w sam raz na kolację. Bill Kelly i Joe McGillen wyjechali z Filadelfii zaraz po porannej mszy. Podczas dziewięciogodzinnej podróży prowadzili dużego amerykańskiego sędzię na zmianę z Tomem Augustineem, oficerem śledczym z wydziału zabójstw. Czas nie obszedł się najlepiej z weteranami Towarzystwa Vido-czą. Sam Weinstein, który wraz z Kellym i McGillenem pracował nad sprawą Chłopca w Pudełku, przebywał akurat w Izraelu, gdzie wykonywał jakieś zlecenie dla Sił Obronnych. McGillen został wdowcem. On, który przez całą karierę zawodową ścigał groźnych morderców, bał się latać samolotem, dlatego właśnie niemal tysiąckilometrową trasę musiał pokonać samochodem. Kelly przez całą podróż modlił się w myślach o przełom w trwającym od pół wieku śledztwie. Podejrzewał, że jego czas na ziemi również dobiega końca. Weekend spędzony na rekolekcjach w seminarium św. Józefa pozwolił mu odzyskać równowagę wewnętrzną. Od roku błagał Boga o pomoc, ale bez rezultatu. Poprosił jedną z zakonnice, by wraz z nim modliła się w tej sprawie. Odparła, że czyni to już od jakiegoś czasu, po czym wypowiedziała słowa, które nie dawały mu odtąd spokoju: „A może Bóg po prostu ci odmówił”.

Następnego ranka siedzieli nienaturalnie wyprostowani w gabinecie psychiatry, wysokiego mężczyzny o falujących, siwych włosach. Dla każdego była to pierwsza wizyta w takim miejscu. Wcześniej w samochodzie Kelly naśmiewał się z McGillena: „Powinieneś mu opowiedzieć o strachu przed lataniem”. Uzgodnili z lekarzem reguły, według których miała przebiegać dalsza część wizyty, po czym zostali wprowadzeni do innego pokoju i przedstawieni kobiecie w średnim wieku, do której mieli zwracać się per „Mary”. Mary była wysoką, elegancką damą o nietypowo szerokich ramionach i inteligentnym spojrzeniu. Sprawiała wrażenie zdenerwowanej, a jednocześnie jakby nieobecnej. Zażądała, aby jej tożsamość pozostała tajemnicą. Pełniła funkcję kierowniczą w jednej z największych firm farmaceutycznych na świecie. Pracownicy „nie mogą się o niczym dowiedzieć”, zastrzegła. Starzy policjanci skinęli głowami, przystając na jej warunki. Kobieta wzięła głęboki oddech.

— Mój Boże, ależ to jest trudne — powiedziała.

Dwa lata po tym, kiedy jej psychiatra po raz pierwszy skontaktował się z policją, oraz pół wieku po traumatycznych wydarzeniach z dzieciństwa, Mary w końcu postanowiła opowiedzieć o morderstwie swojego brata Jo-

nathana, Chłopca w Pudełku.

— Nikt obcy nie potrafiłby sobie nawet wyobrazić, co działo się w naszym domu... Rodzice nie mieli normalnych potrzeb seksualnych. Ojciec mnie molestował... Matka nie tylko po cichu na to przyzwalała, jak to się często dzieje, ale reagowała na te jego zachowania entuzjastycznie, a czasami nawet sama się przyłączała. W zamian za to pozwalał jej realizować potrzebę obcowania z małymi chłopcami. Woląta ich od dorosłych partnerów, ponieważ wydawali jej się niewinniejsi... Pewnej nocy w naszym życiu zjawił się mały chłopiec...

Mary zapamiętała, że była to gorący sierpniowy wieczór.

— Miałam trzynaście lat, kiedy pojechałam po niego z matką samochodem.

Wstrząśnięty Kelly schylił głowę i zaczął coś pisać w notatniku. Kelly i McGillen dysponowali w sumie niemal stuletnim doświadczeniem w prowadzeniu policyjnych śledztw. Słuchając opowieści Mary,

obaj czuli przez skórę, że mówi prawdę. Kobieta nie miała powodu, aby ich okłamywać. W końcu poznali wyjaśnienie zdarzeń sprzed lat. Cóż za

przerażająca historia, pomyślał Augustine. Nawet Hitchcock nie miałby odwagi jej sfilmować.

Mary stwierdziła, że jej dzieciństwo przypadające na lata pięćdziesiąte XX wieku upływało z pozoru pod znakiem wygody i dobrobytu.

408

Wychowywała się w domu w Lower Merion, uroczym, zamożnym miasteczku pod Filadelfią, jako jedyne dziecko dobrze

wykształconych, szanowanych ludzi. Ojciec uczył w jednej z najlepszych prywatnych szkół

średnich na Wschodnim Wybrzeżu. Matka była bibliotekarką. Uczniowie

ich uwielbiali. „Podejrzewam, że z tysiąc osób poprosiło ich o wpis do

księgi pamiątkowej otrzymywanej na zakończenie szkoły”,

powiedziała. W domowym zaciszu życie Mary zamieniało się w koszmar, z którego nie mogła się przebudzić. Jako trzynastolatka wyczuwała

zło, które opanowało jej rodzinę, jednak nie potrafiła go w pełni zrozumieć ani

się z nim zmierzyć. Tamtej nocy matka zaparkowała przed jakimś domem w Filadelfii. Mary zadzwoniła do drzwi i podała obcej kobiecie kopertę

wypełnioną,

jak się domyślała, pieniędzmi. Chwilę później wręczono jej dziecko w mo-

krej pielusze. W samochodzie Mary trzymała chłopca na rękach. Była pod-

ekscytowana, zdezorientowana i przestraszona. Nie zwracała uwagi na

nieprzyjemny zapach; bezbronne dziecko od pierwszej chwili budziło jej

sympatię. Czuła, że „ta mała istota ludzka mnie potrzebowała. Mnie albo

kogoś innego”. „Może zostać moim braciszkiem?”, spytała. „Oczywiście.

Tyle że nie będzie mógł zamieszkać na piętrze”, odparła matka.

Rodzice umieścili chłopca w komórce w piwnicy, gdzie wcześniej znajdował się pojemnik na węgiel. Spał w pudełku okryty koczkami. Jadł z masywnych misek, z jakich normalnie karmiłoby się psa. Potrzeby fizjologiczne załatwiał wprost do odpływu w podłodze. „Zupełnie jakbyśmy mieli szczeniaczka”, myślała Mary. Matka nadała chłopcu imię Jonathan. Mary odwiedzała go w piwnicy i się z nim bawiła. Zanosila mu jedzenie i wodę. Włosy chłopca były zawsze ubrudzone pyłem węglowym. Tylko raz udało jej się sprowokować go do śmiechu. Jonathan nigdy nie odezwał się do niej ani słowem. W końcu zrozumiała, że jest upośledzony. „Nie schodź do niego”, rugała ją matka. Jonathan miał coraz dłuższe włosy, przypominał dziewczynkę. Rodzice Mary ani razu mu ich nie obcięli. Nigdy też nie wyprowadzili go na dwór. Kiedy Mary miała piętnaście lat — rodzinny sekret był już wtedy poważnym obciążeniem dla jej psychiki — matka wyciągnęła Jonathana z piwnicy, żeby go wykąpać.

409

Przeklinała, ciągnąc go za sobą; stopki odbijały się — bum, bum, bum — od kolejnych stopni. Wsadziła go do wanny z prawie wrzącą wodą. Zaczął się wydzierać, Wyciągnęła go, ale nadal krzyczał i tupał nóżkami. Włożyła z powrotem. Zwymiotował gotowaną fasolę, którą zjadł na obiad.



— Matka wrzasnęła, jak jeszcze nigdy wcześniej. Gwałtownym ruchem wyciągnęła go z wody i uderzyła w twarz. Z całej siły. Płakał, a ona biła go, aż się przewrócił i uderzył głową o posadzkę. Nawet wtedy nie przestała.

— Tak szybko wymierzała kolejne ciosy, że głowa odskakiwała jej na boki.

Jonathan przestał się ruszać.

— Wiedziałam, że nie żyje. Miał otwarte oczy, ale były zupełnie nieruchome. Z jego twarzyczki bił jakiś taki smutek. Nigdy wcześniej ani później nikomu nie współczułam tak bardzo, jak wtedy Jonathanowi. Rodzice Mary przycięli chłopcu włosy. Córce kazali obciąć mu paznokcie.

— Staralam się robić to możliwie delikatnie.

Następnego dnia rano matka wyjęła ciało Jonathana z wanny, gdzie przeleżało całą noc. Razem owinęły go w koc i wyniosły na zewnątrz przez boczne, skryte za żywopłotem drzwi prowadzące z piwnicy na podjazd. Włożyły zawiniątko do bagażnika samochodu. Matka siadła za kierownicą. Minęła kościół, zjechała na boczną drogę i w końcu zatrzymała się przy kępie drzew. Kiedy otwierała bagażnik, minęło ich jakieś auto.

„Ani słowa”, ostrzegła. Zaniosły Jonathana na zarośnięte chwastami pole.

Obok drogi leżało puste pudło. „Będzie w sam raz. Unieś wieko”, poleciła

matka. Włożyła Jonathana do środka i upewniła się, że jest

dobrze chro-  
niony przed deszczem. „Jakie to ma znaczenie?”, zastanawiała się wtedy

Mary. W drodze do domu zatrzymały się w barze. Mary zjadła pączka.

Zwymiotowała go jeszcze w samochodzie, czym bardzo rozzłościła matkę.

— Potem wróciliśmy do domu i próbowaliśmy się zachowywać, jak-  
by nic się nie stało.

Ojciec Mary zmarł przed laty na atak serca. Matka odeszła po nim;

ostatnie lata życia spędziła w domu spokojnej starości na Florydzie. Psy-

chiatra był pierwszą osobą, której Mary opowiedziała swoją historię.

410

W drodze powrotnej do Filadelfii Kelly nie potrafił ukryć ekscytacji. Przypomniawszy sobie, że jeden ze świadków przesłuchiwanym przed pięć-

dziesięciu laty widział na drodze w okolicy Fox Chase chłopca w płaszczu

przeciwdeszczowym stojącego obok kobiety. Wysoka, szeroka w ramio-

nach Mary w płaszczu przeciwdeszczowym — który zgodnie z opowie-

ścią miała na sobie tamtego dnia — mogła wyglądać na chłopca.

Kelly

i McGillen uznali zgodnie, że trasa, którą Mary miała przejechać z mat-

ką, wydaje się prawdziwa. Intrygująca była też informacja o zwymiotowa-

niu fasoli — wyniki sekcji zwłok Chłopca w Pudełku, których raczej nie

podano do publicznej wiadomości, mówiły o brązowym osadzie w

prze-  
łyku.

Kiedy Mary podała im adres swojego domu rodzinnego, Kelly i McGil-

len unieśli brwi. Odpowiadał on jednemu z dawnych tropów, który To-

warzystwo uznało za obiecujący — i który nigdy nie był upubliczniony.

Zbieżność adresów w aglomeracji liczącej pięć milionów mieszkańców nie

mogła być przypadkowa. Kelly i McGillen potwierdzili istnienie domu

oraz tożsamość nieżyjących rodziców Mary: nauczyciela i bibliotekarki.

Nie potrafili uwierzyć, świadkiem, jakich koszmarów kobieta musiała być

w dzieciństwie i co sama wycierpiała. Zdumiewające, że jej życie ułożyło

się później tak pomyślnie.

Augustinea dręczyło przez cały czas pytanie: „Skąd w niej tak wiel-

ka nienawiść do rodziców, że nam o tym wszystkim opowiada?”.

Nie wie-

rzył Mary; sceptycznie do jej historii podszedł również Fleisher.

Augustine

zapytał psychiatrę, dlaczego nie dysponuje notatkami potwierdzającymi

prawdziwość opowieści Mary. „Nie potrzebuję notatek”, odparł urażony

terapeuta. „Pomagam Mary dotrzeć do wypartych wspomnień, do serii

wspomnień, aby mogła się od nich następnie uwolnić. Mogę pana za-

pewnić, że jej opowieść nie zmieniła się od początku ani na jotę.

Po raz

pierwszy usłyszałem to wszystko trzynaście lat temu, na długo zanim po-

wstała strona internetowa poświęcona dochodzeniu. Jestem przekonany,

że Mary mówi prawdę".

Tego lata w programie informacyjnym Naoczny świadek, emitowanym

na najpopularniejszym lokalnym kanale telewizyjnym w Filadelfii, poda-

no informację, że zdaniem anonimowego źródła z Towarzystwa Vidocq'a

411

nastąpił przełom w sprawie, która spędzała sen z powiek filadelfijskiej po-

licji od ponad czterech dekad.

Augustine nadal miał wątpliwości. „Jej historia może być prawdziwa. Równie dobrze może być nieprawdziwa. Do licha, przecież nie mamy

możliwości weryfikacji żadnego elementu jej historii", mówił.

Bruce Ca-

stor, prokurator okręgowy z hrabstwa Montgomery, uznał opisaną przez

Mary wersję wydarzeń za mglistą i niewiarygodną. Jego zdaniem przypo-

mina historyjki o Marsjanach, którzy porywają ludzi.

Po kilku dniach siwowłosi policjanci zlokalizowali rodzinny dom Mary. Najpierw przepytali sąsiadów. Kilka osób pamiętało parę, która

mieszkała tam przed laty: bardzo konserwatywni ludzie, typowy nauczyciel i bibliotekarka.

Makabryczną opowieść uznali za absurdalną.

Nikt ni-

gdy nie widział tam chłopca.

W końcu Kelly i McGillen zapukali do drzwi domu, w którym Mary spędziła dzieciństwo. Kelly przedstawił pokrótce obecnej

właścicielce sytuację i grzecznie zapytał, czy mogliby obejrzeć piwnicę. Kobieta zdecydowanie odmówiła.

Kelly i McGillen uznali to za dobry początek. Mieli za sobą jedynie pierwszą rozmowę — i zamierzali wrócić. I sprawdzić, czy w piwnicy znajduje się komórka na węgiel.

## Rozdział 53

### Dziewiąty krąg piekła

Korony wielkich drzew rzucały cienie na skąpany w księżycowej poświacie pagórek. Ostatnie piętro neoklasycystycznej rezydencji było pogrążone w ciemności. Żywopłót zakrywał okna parteru. Jedyne źródło światła znajdowało się w dalekim narożniku domu — pomarańczowy blask papierosa rozchodził się spod łuku proscenium w sali balowej. Szczupły mężczyzna siedział przy swoim ukochanym chickeringu z 1928 roku, klasycznym amerykańskim fortepianie, „wydartym głupcowi, który nie zdawał sobie sprawy z jego prawdziwej wartości”. Mężczyzna odłożył papierosa na popielniczkę postawioną na nakrywie i oparł palce na klawiszach. Oczyścił umysł z wszelkich myśli, doprowadzając go do stanu nieskrępowanej swobody, jaką cieszył się dym papierosowy wędrujący leniwie w słabym świetle księżyca obok stojącego na fortepianie wazonu ze strusimi piórami. Profiler — normalnie ceniący chłodne piękno i reguły

porządku —

świadomie oddawał się w objęcia chaosu.

Wiedziony impulsem palec nacisnął środkowe C. O zmierzchu rozpo-

czął od wariacji na temat pierwszego koncertu Czajkowskiego, wypełnia-

jąc wspaniałą muzyką pogrążający się w mroku dom. Teraz z pojedynczego

dźwięku zrodziła się jego własna melodia, spontaniczna i olśniewająca.

„Gram własny nastrój”, pomyślał. Dał się ponieść chwili, miał świadomo-

ść, że właśnie tworzy coś zupełnie nowego, czego do tej pory nikt nie

słyszał — i nikt nigdy nie usłyszy.

413

Już za młodu zdradzał wyjątkowy talent muzyczny, później jego uwa-

gę całkowicie zaprzątnęły arie ulic. Gra na instrumencie była dla niego

źródłem radości, a jednocześnie techniką pozwalającą na zagłębienie się

w umyśle mordercy. „Nie znam dobrego detektywa, który byłby pozba-

wiony słuchu muzycznego”, powiedział kiedyś. „Problem policji polega na

tym, że ludzkich zachowań nie można analizować wyłącznie przez pry-

zmat logiki. Takie podejście fałszuje rzeczywistość. Człowiek jest istotą

myślącą skojarzeniowo”.

Unosząc się na fali swobodnej kreacji, przestawał dostrzegać otaczające

fortepian ciemności, księżycową poświatę na parapecie okna, dym papie-

rosowy zdmuchiwany na bok przez delikatny powiew ciągnący od ogrodu.

Walter był naukowcem z krwi i kości. Gardził duchowością, uznawał

wyłącznie materialne dowody oraz logiczną analizę miejsca zbrodni opar-

tą na bezlitosnym rygorze dedukcji. Wielu detektywów wyrażało przeko-

nanie, że jego analityczny umysł nie ma sobie równych. Walter wierzył

w boga rozumu, mimo to jego klasyczny umysł — znakomicie pasujący

do doryckich kolumn i idealnych proporcji domu, w którym mieszkał —

pozostawał całkowicie niewrażliwy na iluzje współczesności.

Walter są-

dził, że w dzisiejszych czasach zapominamy często „o bliźniaczej naturze

rozumu, który składa się z racjonalnego myślenia i emocji.

Możemy za-

przeczyć istnieniu emocji, ale ich w ten sposób nie unicestwimy — jeste-

śmy ostatecznie zwierzętami. Co jakiś czas przypomną o sobie, wylewając

się z nas w postaci strumienia gniewu lub agresji. Nikt nie potrafił równie

dobrze uchwycić tej równowagi jak starożytni Grecy".

Dwóm bogom o przeciwstawnych atrybutach — Apollinowi, bogu słońca, porządku, form i racjonalizmu; oraz Dionizosowi, bogu wina, za-

bawy, chaosu i rozkoszy — oddawano cześć w tych samych świątyniach.

W sercach ludzi zajmowali to samo miejsce, spleceni w wiecznym kon-

flikcie. „Apollo był bogiem detektywów, a Dionizos morderstwa",

tłuma-

czył Walter. Człowiek nie dostrzeże pełni rzeczywistości, jeżeli nie  
uzna

obu stron swojej natury i nie zdoła połączyć ich w sztukach  
plastycznych  
i muzyce.

Zamknął oczy. W jego umyśle pojawiła się postać chłopca. Ma-  
łego chłopca w ciemnym lesie. Była zimowa noc, chłopiec był  
bardzo

414

przemarznięty. Został skrępowany, zapewne przywiązany do  
drzewa —

nagi, rozdygotany. Przestał płakać. W oddali majaczyła sylwetka  
starego

kościółka; być może do jego uszu dobiegało bicie dzwonów. Na  
bezchmur-

nym niebie błyszcząły gwiazdy. Chłopiec odczuwał straszliwy ból,  
ale

jeszcze silniejsze były doznania, których nie potrafił nazwać:  
strach, kon-

sternacja, ślepa miłość, gniew, poniżenie, przerażenie. Być może  
próbo-

wał coś powiedzieć, choć najprawdopodobniej nie był już wtedy  
zdolny

wymówić choćby słowa. Obok niego stał człowiek, który kochał  
chłop-

ca najbardziej ze wszystkich ludzi, który zawsze się nim  
opiekował, który

go kąpał i ubierał. Chłopiec wyczuwał jego zapach, widział w  
ciemności

uśmiechającą się twarz — była tak blisko, że niemal przesłaniała  
gwiaz-

dy. Być może chłopiec krzyknął, ale raczej nie.

Walter nie miał wątpliwości, co się tam naprawdę wydarzyło.

Tajemni-



cę zdradziły obrażenia, a i samo miejsce zbrodni zawierało jednoznaczne poszlaki. Dziesiątki porządnych ludzi odeszło z tego świata, nie potrafiąc stawić temu czoła. Trudno za to kogokolwiek winić. To całkowicie naturalna reakcja. Najmroczniejszym cieniem kładącym się na ludzkiej egzystencji jest śmierć, a człowiek tylko wtedy może przejść przez życie, jeśli się od niej odwróci. „Rzecz w tym, że policjanci po prostu nie chcieli poznać prawdy”. Przeniósł się do chwili obecnej. Zobaczył zabójcę mieszkającego samotnie na skraju miasta — skorodowaną skorupę wyuzdania i zwiędniętej rozkoszy. Zobaczył starego mężczyznę, który popełnił przestępstwo najpotworniejsze ze wszystkich: w wyjątkowo zdegenerowany i bezlitosny sposób zgwałcił i zamordował dziecko. Nic dziwnego, że sąsiedzi uważali go za odludka i lekkiego dziwaka, takiego „zabawnego staruszka”. Budził go pożałowanie, ponieważ w święta nie odwiedzali go krewni; był jednym z tych starych kawalerów, którzy śmierdzą alkoholem i papierosami, biorą prysznic raz w tygodniu, nie są specjalnie sympatyczni, ale też nie wydają się groźni. Gdyby tylko sąsiedzi domyślali się prawdy! Od tamtej nocy minęło wiele lat i staremu mężczyźnie pozostały jedynie wspomnie-

nia. Walter wyobraził go sobie, jak siedzi w mroku, przewracając  
pożółkłe,  
kruszące się strony gazet, aby z przerażającą arogancją raz  
jeszcze prze-  
czytać o samym sobie, przywołując budzące sentyment  
wspomnienie  
415  
popelnionego za młodu morderstwa. Największego osiągnięcia,  
ukoro-  
nowania życia! Jakież społeczeństwo pozwala, aby taki potwór  
cieszył się  
wolnością od pięćdziesięciu lat, podczas gdy bezimienny  
niewinny chło-  
piec — który teraz byłby ojcem, a może nawet dziadkiem — gnął  
w zie-  
mi pozbawiony nawet porządnego pochówku? Dla Waltera była to  
obraza  
fundamentalnego poczucia przyzwoitości. Podstarzały morderca  
zbyt dłu-  
go napawał się zwycięstwem. Przyszedł czas, aby go wytropić.  
Fortepian grzmiał. Nowe dzieło zdawało się przemawiać w  
imieniu  
wszystkich cieni zalegających w kątach wielkiego domu. Gra  
sprawiała  
Walterowi radość, ale jednocześnie cieszył się, że nigdy więcej  
nie usłyszy  
tej melodii. Spod jego palców wypływała pieśń bestii.  
Pogrążony w muzyce, nie usłyszał cichego dysonansowego  
dźwięku,  
który dobiegł z ciemnego wnętrza domostwa — stuknięcia drzwi o  
framę-  
gę. Z mroku wyłonił się barczysty mężczyzna o lśniących,  
czarnych oczach.  
U jego pasa błysnął pistolet. Wyszczrzył zęby w uśmiechu.  
Potężna muzyka ucichła i tylko echo niosło się jeszcze przez

chwilę po

pomieszczeniach parteru. Wielka dłoń opadła na ramię Waltera.

— No pięknie! — wychrypiał szczupły mężczyzna, zanosząc się śmie-

chem. — Mogłem dostać zawału! Już sądziłem, że ten upojny wieczór spę-

dzę samotnie. Mogłeś przynajmniej zadzwonić.

— Ależ dzwoniłem! Najwyraźniej tak pana wciągnęła zabawa w Beethovena, że nie usłyszał pan telefonu.

— Akurat — odparł Walter.

Stoud. Walter przeszedł do salonu, włączając światła. Z

szyderyczym

uśmiechem rzucił w stronę mężczyzny kopertę. Znajdowało się w niej za-

proszenie na piątą rocznicę ponownego pochówku Chłopca w Pudełku

(zwanego również Bezimiennym Dzieckiem Ameryki) w nowym, eleganc-

kim grobie na cmentarzu Ivy Hill. Stoud nie mógł w nim uczestniczyć,

Walter z kolei bezceremonialnie odrzucił zaproszenie.

Kartka zawierała rysunek dziecka unoszącego się na dźwiękach pieśni

do nieba oraz podnoszący na duchu wierszyk. Stoud prychnął.

— Twój sarkazm jest zupełnie na miejscu — stwierdził Walter.

Po-

słuchaj: — „Odtąd będzie symbolem każdego molestowanego dziecka

w Ameryce, które zapłaciło najwyższą cenę”.

416

Szczupły mężczyzna zaciągnął się głęboko papierosem.

— Fleisher doszedł pewnie do wniosku, że moje serce nieodwracalnie

zamieniło się w kamień. Kto wie, może ma rację — stwierdził,

uśmie-

chając się szelmowsko. — Denerwuje mnie tylko, że najpierw kupowali dziecku zabawki, fetyszyzując szczęśliwe czasy dzieciństwa, które chłopak spędził na wążaniu kwiatków od spodu, a teraz nie chcą wiedzieć, co się z nim naprawdę stało. Chłopiec nie jest żadnym symbolem — stwierdził z błyskiem w oku. — Nie był ofiarą modnego „molestowania dzieci”. Zo- stał zamordowany. Poddany torturom i zamordowany. Padł ofiarą mordercy o najmroczniejszej, najbardziej skomplikowanej osobowości, jaką wydała z siebie ludzkość. A skoro nie możemy małemu przywrócić życia, nie powinniśmy sobie wyobrażać, jak by wyglądał, grając w bejsbol. Naszym zadaniem jest złapanie skurwysyna, który mu to zrobił. Stoud ponownie wyszczerzył zęby w uśmiechu. Widok dobywającego miecza Richarda Waltera był po prostu bezcenny. — Morderca sadystyczny — stwierdził policjant stanowy. Chłopiec zo- stał bez wątplenia zamordowany przez czwartego, najbardziej diabolicznego typ mordercy. — Oczywiście — odparł Walter, ustawiając trzycyfrową kombinację w zamku srebrnej walizki leżącej przed nim na stoliku. Stoud obserwował, jak szczupłe palce ostrożnie unoszą kartkę papieru formatu A4. — Podwójna Spirala — powiedział Walter. — Mapa prowadząca na samo dno mroku, do czarnej dziury na końcu kontinuum.

Walter niespecjalnie palił się do rozmowy o Podwójnej Spirali, poza tym wręcz paranoicznie obawiał się zaprezentować stworzony przez siebie schemat komukolwiek — nawet zaufanemu uczniowi. W części poświęconej morderstwom popełnianym przez czwarty typ osobowości schemat Waltera opisywał ludzi, którzy zabijają nie dla wymiernego zysku, władzy lub zemsty, ale dla samej, nieosiągalnej w inny sposób przyjemności. Morderca sadystyczny (sadistic/anger-excitation killer) zabija i torturuje obcych ludzi, pozbawia kogoś życia wyłącznie dla wtórnej rozkoszy seksualnej. I nie może przestać. Pogmatwane rozkosze sadyzmu popychają go do kolejnych morderstw. Popełnia je, dopóki nie zostanie złapany i zamknięty w więzieniu, nie zginie z ręki kogoś innego albo nie umrze ze starości.

417

Mordercy z tej kategorii byli praźródłem mrocznych legend obecnych we wszystkich kulturach, opowiadających o bestiach w ludzkiej skórze w rodzaju Drakuli czy wilkołaków, a współcześnie ludzi pokroju Pedra Alonsa Lopeza, Potwora z Andów, aresztowanego w 1980 roku. Zamordował ponad trzysta kobiet. Niemniej tego rodzaju zwyrodnialcy byli zjawiskiem względnie nieznanym w Stanach Zjednoczonych aż do lat sześćdziesią-

tych i siedemdziesiątych XX wieku. To wtedy zyskali twarz Bundy'ego, Gacyego, Dusiciela z Bostonu, Nocnego Prześladowcy, Zabójcy znad Ziełonej Rzeki i dziesiątków innych. Zdaniem FBI w każdym stanie działał co najmniej jeden seryjny morderca o sadystycznych skłonnościach. Na kartce znajdował się wykonany odręcznie szkic stożkowej spirali. Na całej długości była usiana adnotacjami naniesionymi czarnym atramentem, drobnym, starannym pismem. — Richard, a próbowałeś kiedyś włączyć komputer? — spytał złościwie Stoud. — Niewiele przełomowych artykułów z dziedziny medycyny sądowej napisano odręcznie. Walter wybuchnął śmiechem na myśl o publikacji wykresu. — Nie zamierzam udostępniać go hakerom ani nawet zostawiać śladów na taśmie maszyny do pisania. Walter miał powody, aby paranoicznie obawiać się konsekwencji dośnięcia się Podwójnej Spirali w niepowołane ręce. „Właśnie dlatego trzyma ją zamkniętą w znakomicie zabezpieczonej walizce”, pomyślał Stoud. Nawet jeśli profiler nieco na wyrost nazywał ją najniebezpieczniejszą porcją wiedzy na świecie, w jakimś stopniu na pewno miał rację. Umieszczone na kartce informacje nie zawierały co prawda instrukcji budowy bomby atomowej, ale odkrywały jeszcze bardziej śmiertelniejszą wiedzę

— jak  
uwolnić najstraszliwsze zło.

— Muszę zachowywać ostrożność — tłumaczył Walter — bo  
inaczej  
pierwszymi słuchaczami moich wykładów i nabywcami książek  
byliby  
sadyści. Podobnie jak każdy człowiek, sadysta odczuwa potrzebę  
zrozu-  
mienia samego siebie, znalezienia nowych sposobów realizacji  
pragnień.  
W nieodpowiednich rękach Podwójna Spirala byłaby poradnikiem  
dla se-  
ryjnego mordercy.

418

Kiedyś podczas wygłaszanego odczytu zatytułowanego  
Sadystyczna  
ekspresja: model teoretyczny na konferencji poświęconej  
medycynie sądo-  
wej w Marquette w stanie Michigan Walter dostrzegł na sali  
człowieka  
podejrzewanego o gwałt.  
Sadyści traktują swoją działalność niezwykle poważnie, mawiał.  
Ci

działający z pobudek seksualnych, jak Ted Bundy, należą do  
przestępców  
o najwyższym ilorazie inteligencji; średnia w tej kategorii wynosi  
119. Czę-  
sto są niezwykle bystrzy i ujmujący. Wydają się całkowicie  
normalni i god-  
ni zaufania do czasu, gdy — dzięki niezwykle rozbudowanej  
zdolności  
manipulowania innymi — zostają sam na sam z ofiarą. Wtedy  
następuje  
przebudzenie potwora. Morderca taki przechodzi złożoną  
ewolucję, któ-

ra obejmuje wszystkie zmysły — dotyk, wzrok, węch, smak, słuch. Zab-

cie człowieka wymaga skomplikowanych i czasochłonnych przygotowań.

Walter spędził kiedyś cały dzień w Wichita w stanie Kansas, pomagając

w znalezieniu wspólnego mianownika serii morderstw, które zdaniem po-

licji popełnił ten sam człowiek. Po południu miał wygłosić wykład na te-

mat sadyzmu na Pierwszym Światowym Zjeździe Chirurgów i Lekarzy

Policyjnych. „Podszedł do mnie jeden z oficerów śledczych i powiedział:

«Właśnie wyrzuciłem z sali naszego podejrzanego». Człowiek ów przyszedł

na wykład i zamierzał robić notatki".

Walter uchodził za jednego z pionierów nowoczesnych metod tworze-

nia profili psychologicznych przestępców, a zasłynął jako współtwórca,

z Keppelem, czterech typów osobowościowych morderców. Jako pierw-

szy przeprowadził gruntowną analizę psychologiczną śladów po ugryzie-

niach pozostawianych przez morderców-gwałcicieli. Opracował system

analizy zachowań poprzedzających morderstwo, towarzyszących morder-

stwu i po nim następujących. Największym wkładem Waltera w krymi-

nalistykę była właśnie Podwójna Spirala przedstawiająca jego autorską

teorię sadyzmu. W połowie lat osiemdziesiątych XX wieku agent FBI Ro-



bert Ressler po raz pierwszy wziął udział w wykładzie Waltera, po czym natychmiast zaprosił go do Quantico, aby swoją wiedzą podzielił się również z psychologami z Jednostki Nauk Behawioralnych. W ten sposób narodziła się między nimi dożygonna przyjaźń. Walter podpuszczał Resslera,

419

mówiąc, że „FBI nadal nie rozumie sadyzmu. Bob, nie wymyśliliście nic nowego od 1978 roku”.

W odróżnieniu od pierwszych trzech typów osobowościowych, dla których celem jest samo zabójstwo, pozbawienie życia innego człowieka

nie jest czynnikiem motywującym mordercę sadystycznego.

Celem i źród-

łem rozkoszy jest tu czynność zabijania. Zadawanie długotrwałych tor-

tur stymuluje sprawcę. O ile morderców należących do pozostałych typów

można uznać za ludzi skażonych lub przesiąkniętych złem — ale jednak

ludzi — o tyle sadysta przechodzi tak gruntowną transformację, że prze-

staje przypominać człowieka. Kiedy osiągnie specyficzny stan furii pozwa-

lający mu na czerpanie satysfakcji seksualnej z gniewu, otwierają się przed

nim wrota prowadzące przez osiem kręgów na samo dno mroku, zaludnio-

ne przez najokrutniejszych morderców, jakich wydała ludzkość.

Opiera-

jąc się na tysiącach rozmów z sadystami i innymi mordercami, a także na

zeznaniach policjantów biorących udział w dochodzeniach, Walter opracował Podwójną Spirale będącą precyzyjnym opisem psychologicznych i behawioralnych charakterystyk ośmiu piekielnych kręgów. Jest to uniwersalna ścieżka samopoznania prowadząca ku nicości, roz-sławiona przez markiza de Sadea, osiemnastowiecznego ojca sadyzmu, oraz jego następców. Podróż tę można zarazem interpretować jako odwrotność uniwersalnej drogi bohatera ku odkupieniu, drogi duszy ku Bogu lub oświeceniu. W minionych wiekach mówiono, że człowiek za-traca się i zmierza na spotkanie z Ojcem Ciemności. Średniowiecze trafnie ujmowało w obrazy ten proces wyjaławiania duszy. Mimo że Podwójna Spirala przypominała wizualnie model DNA — cząsteczki życia — autorstwa Francisa Cricka i Jamesa Watsona, w praktyce pełniła raczej funkcję podobną do czternastowiecznej mapy zaświatów Dantego, który przeprowadził czytelnika przez coraz cięższe grzechy; zdrady i potworności na samo dno — do Dziewiątego Kręgu Piekła.

„Sadyzm to zbrodnia luksusowa. Nie wszystkich na nią stać. Wymaga czasu, inwestycji, możliwości prowadzenia sekretnego życia, opanowania szeregu umiejętności. Podobnie jak napisanie doktoratu. W obu przypadkach mamy do czynienia z sekwencją etapów nabywania

no-  
wych kompetencji. Człowiek nie budzi się pewnego dnia jako w  
pełni  
420  
ukształtowany sadysta seksualny. Musi się w nim dokonać  
ewolucja zła",  
tłumaczył Walter.  
Podobnie jak inne umiejętności zarezerwowane niegdyś  
wyłącznie  
dla arystokracji, sadyzm stał się współcześnie dostępny dla mas.  
Dawniej  
morderca musiał dysponować majątkiem, władzą i pozycją  
pozwalający-  
mi mu poświęcać czas na przygotowywanie i popełnianie zbrodni;  
mu-  
siał też mieć dostęp do potencjalnych ofiar. „Obecnie wystarczy  
mu byle  
jaka stała praca, kawalerka, tania furgonetka, telewizja kablowa, z  
której  
może czerpać inspirację, oraz pakiet praw obywatelskich",  
twierdził Wal-  
ter. Sadyści występują rzadziej w państwach autorytarnych — są  
mrocz-  
ną stroną demokracji.  
Na Podwójnej Spirali Walter przedstawił uniwersalny,  
ośmioetapowy  
model narodzin mordercy sadysty; pogłębiania się deprawacji i  
stacza-  
nia się w najgłębsze otchłanie ludzkiego zła. „Jeżeli zdołam  
umiejscowić  
konkretnego sadystę na Podwójnej Spirali, wiem, skąd przyszedł i  
dokąd  
zmierza".  
Na samym początku sadysta, znęcony pokusami zrodzonymi  
przez

obsesje, oddaje się autodestrukcyjnemu fetyszyzmowi w rodzaju „porno-grafii, pożądania nakierowanego na kobiece buty, bieliznę noszoną przez nastolatki albo coś podobnego. Wszyscy seksualni sadyści są fetyszystami. Zazwyczaj mają obsesję na punkcie trzech lub czterech rzeczy. Nie każdy fetyszysta zamienia się w sadystę". Kiedy potencjalny sadysta wpadnie w sidła fetyszu, wkracza na drogę opisaną przez Podwójną Spiralę. Wtedy już nie ma odwrotu, zupełnie jakby wszedł do pałacu sadyzmu w wesołym miasteczku. „Wchodzi do pierwszego pokoju i zamykają się za nim drzwi. Może zdecydować, w którą stronę pójdzie, ale za chwilę zatrzasną się za nim kolejne drzwi. Nie może zawrócić". Nawet jeśli nie zejdzie na niższy poziom, nigdy nie wydobędzie się na powierzchnię, a jedyny kierunek ewolucji prowadzi w dół, ku coraz bardziej patologicznym zachowaniom. A tych pragnień nigdy nie da się zaspokoić. Kiedy fetysz przestaje wystarczać, przychodzi etap voyeuryzmu. Taki człowiek może mieć precyzyjnie zdefiniowane upodobania. „Badałem kiedyś przypadek podglądacza, który interesował się wyłącznie żonami poruczników", wspominał Walter.

421

Człowiek, który nie może zaspokoić swoich potrzeb przez voyeuryzm,

staje się frotterystą. „Każdy z nas padł kiedyś ofiarą frotterysty”, twierdzi Walter. „To człowiek osiągający satysfakcję seksualną przez ocieranie się o obcych”. W trakcie krótkotrwałej współpracy ze Stanowym Uniwersytetem w Michigan Walter prowadził śledztwo w sprawie bliźniaków (oba byli homoseksualistami), którzy co sobota wkładali obcisłe dżinsy i czekali, aż siedemdziesięciodwutysięczny tłum kibiców wyleje się ze stadionu po zakończeniu meczu futbolu amerykańskiego. Ruszali „pod prąd”, dotykając i obmacując nieświadomych niczego ludzi. Jeszcze trochę i sadysta uczy się, jak osiągać intymność i zaspokojenie seksualne bez konieczności otwierania się przed innym człowiekiem. Popełnia czyn piętnowany w literaturze od samych jej początków: eksploduje, samemu nie obdarzając innych uczuciem. Jako osoba niezdolna do stworzenia prawdziwego związku staje się „mistrzem manipulacji. Sadyści zawierają nawet małżeństwa, ale jeśli partnerka nie może zaspokoić ich potrzeb, związek ma charakter fikcyjny”. Wielu z nich utrzymuje normalne relacje seksualne z żonami lub kochankami, ale po jakimś czasie zaczyna im ciążyć konieczność tak wyczerpującego emocjonalnie otwarcia na innych. „Znacznie większą przyjemność sprawia im wyszukiwanie poten-

cialnych ofiar i wyobrażanie sobie związku, w którym sprawowałoby całkowitą kontrolę. Kolejny etap polega na wcieleniu tych fantazji w życie".

Fetyszyści, voyeuryści i frotteryści wybierają i podporządkowują sobie ofiary, zachowując ze swojej strony emocjonalny dystans. Na kolejnym etapie sadysta przekracza tę niebezpieczną granicę. Fantazje lub ukradkowy dotyk przestają wystarczać. W sadyście rodzi się pragnienie bardziej intymnych relacji. Zaczyna szukać ofiary, którą mógłby poddać karzącej kontroli poprzez dominację, podporządkowanie, fizycznego krępowanie i „dyscyplinowanie".

„Nie potrafi stworzyć więzi, nie potrafi osiągnąć seksualnego zaspokojenia jako szczerzy i prawowity partner, nie potrafi zaangażować się emocjonalnie w związek z drugim człowiekiem. Umie jedynie wykorzystywać innych. Dlatego właśnie znajduje wtórne zaspokojenie seksualne w całkowitym podporządkowaniu sobie ofiary. Odkrywa sposób na systematyczne czerpanie satysfakcji z tych fantazji przez wprowadzanie ofiary

422

w stan przerażenia i podległości. Radość sprawia mu poczucie: «Należysz do mnie. Jesz, kiedy ci na to pozwolę. Żyjesz i oddychasz na mój rozkaz. Twoje życie należy do mnie». Taki człowiek nabiera przekonania

o mesja-  
nicznym znaczeniu własnej osoby".  
Kiedy ograniczanie swobody ruchów ofiary przestaje mu  
wystarczać,  
ewoluujący sadysta nieuchronnie staje się piquerystą. Termin ten  
wywo-  
dzi się z języka francuskiego i oznacza przebijanie, nacinanie.  
„Piquery-  
sta czerpie rozkosz seksualną z przebijania, cięcia, odcinania i  
przypalania  
ludzkiego ciała. Tacy ludzie dla wprawy nacinają skórzane kurtki  
w skle-  
pach. To oni strzelają do przypadkowych ofiar, jak Zabójca z  
Wieży, lub  
mordują pary uprawiające seks w odludnych miejscach, jak Syn  
Sama.  
Najniższym poziomem jest w pełni rozwinięty sadyzm.  
Sadystyczny  
morderca czerpie rozkosz seksualną ze skomplikowanych  
rytuałów tortu-  
rowania i mordowania. Na ten poziom zszedł na przykład Ted  
Bundy, któ-  
ry wędrowkę po Podwójnej Spirali rozpoczął od pornografii.  
Morderca pokroju Bundy'ego starannie przygotowuje się do tego  
eta-  
pu. Uczestniczy w kursach medycznych, aby wiedzieć, jak nie  
zarazić się  
AIDS lub inną chorobą. Opanowuje techniki ratownicze, aby jak  
najdłu-  
żej podtrzymywać życie ofiary i przedłużać rozkosz płynącą z  
zadawania  
tortur. Ofiarę poddusza, doprowadzając na skraj śmierci, po czym  
stosuje  
fachowo sztuczne oddychanie metodą usta-usta. Dusi ją  
ponownie, tym

razem za pomocą sznura — rozkoszując się nieco odmiennym doznaniem — i tuż przed śmiercią ponownie ratuje. Przenosi ofiarę do łazienki, zanurza jej głowę w wannie pełnej chłodnej wody i podtapia tak długo, aby i tym razem niemal wyzionęła ducha. Towarzyszące temu doznania mają zupełnie inny charakter. Podczas wygłaszanych na całym świecie wykładów na temat różnorodnych form rozkoszy u sadystów Walter prosi słuchaczy-policjantów o napełnienie wiaderka chłodną wodą, chwycenie w obie dłonie dużej gąbki i zanurzenie jej w wodzie. Można wtedy poczuć delikatne mrowienie rozchodzące się od włosków pokrywających ręce — dochodzi do pobudzenia sfery erogennej. Ten eksperyment pozwala zrozumieć, dlaczego tak wiele ciał ofiar dusicieli zostaje znalezionych nad akwenami lub w wannach. Wbrew temu, co sądzi większość policjantów, morderca wcale nie zamierzał w ten sposób zatrzeć śladów. Woda zwiększała po prostu jego wrażliwość i potęgowała odczuwaną przyjemność. Potworność tortur, którym może zostać poddana ofiara, zależy wyłącznie od inwencji sadysty. Celem jest zawsze seksualne zaspokojenie osiągnięte przez długotrwałe dominowanie i upokarzanie ofiary oraz wzbudzanie



w niej strachu. Walter rozmawiał z kilkoma kobietami, które miały nie-  
prawdopodobne szczęście i zdołały uciec po dwunastu godzinach niewoli u sadysty. „Błagały go o śmierć”, opowiadał. Sadysta nie potrafi obnażyć się emocjonalnie przed ofiarą nawet w trakcie tortur i zadawania śmiertelnego ciosu. Dopiero po przeniesieniu szczątków do kryjówki może poczuć się na tyle pewny siebie, aby uwolnić seksualność. Właśnie to popchnęło Teda Bundy'ego do popełnienia czterdziestu morderstw — z miejsca zbrodni zabierał na pamiątkę głowy ofiar, młodych kobiet. W zaciszu swojego domu masturbował się nad nimi, a następnie palił je w kominku. Kiedy pamiątki zabierane z miejsca zbrodni przestają zaspokajać potrzeby sadysty, ma on jeszcze trzy dodatkowe, najbardziej makabryczne możliwości: nekrofilie, czyli uprawianie seksu z ciałem zabitej ofiary; wampiryzm w jego historycznej odmianie, czyli praktykę odsączania krwi z ciał ofiar; oraz, na samym końcu, kanibalizm. Spożywanie ludzkiego ciała to najwyższy poziom zjednoczenia sadysty z ofiarą, najintymniejsza forma obcowania niewymagająca emocjonalnego otwarcia się na partnera. „Należysz cała do mnie”. Na ten najniższy poziom podziemi pałacu sadyzmu zszedł Jeffrey Dahmer. Opowiadana przez stulecia baśń o przepelnionym gniewem

mężczyź-  
nie, który musi otworzyć serce na miłość, pogodzić się z  
kruchością życia,  
bo w przeciwnym razie skaze się na psychologiczną śmierć —  
opowieść  
o pięknej i bestii — ma ukryte znaczenie. Dahmer czerpał z  
praktyk ka-  
nibalistycznych satysfakcję, a jednocześnie rozumiał całkowitą  
daremność  
i zło dosłowności karmienia się śmiercią. Dla niego kanibalizm  
był zaled-  
wie początkiem. Choć zapewnił sobie możliwość spożywania  
wszystkiego,  
nigdy nie zdołał się nasycić. „Tego głodu nie można zaspokoić”.  
Ośmiostopniowa droga wiedzie ku otchłani groteskowych form  
zabi-  
jania, które Walter nazywał „największym koszmarem”. Stamtąd  
właśnie  
424  
wywodził się mit o Drakuli i na tym polegała istota rzeczywistości  
stwo-  
rzonej przez Hitlera. Walter był ateistą, uważał jednak, że mimo  
chrześci-  
jańskiej metaforyki Dante trafnie opisał istotę zła.  
Szczupły mężczyzna podszedł do półki i ściągnął z niej  
podniszczo-  
ny egzemplarz Piekła Dantego, którego nie czytał od czasów  
studenckich.  
Zaintrygował go fakt, że poeta przełomu XIII i XIV wieku stworzył  
po-  
dobny model, dzieląc piekło na dziewięć koncentrycznych  
kręgów, z któ-  
rych ostatni zawierał dodatkowo cztery koła.  
— Dziewiąty Krąg piekła jest niezmiernie ciekawy —  
powiedział.

W jeziorze lodu zwanym Kocyt przebywali zamrożeni na  
wieczność zdraj-  
cy ludzkości; każdy zanurzony na inną głębokość: niektórzy od  
pasa w dół,  
inni całkowicie. Walter z niekłamanym podziwem czytał opisy  
wymyślonych przez Dantego form zemsty. Hrabia Ugolino uderza w głowę  
arcy-  
biskupa Ruggieriego, który za życia uwięził i głodził hrabiego oraz  
jego  
dzieci. Pośrodku jeziora spoczywa Szatan, do pasa w lodzie —  
wielka,  
przerazająca, trójgłowa bestia ze skrzydłami. W każdej paszczy  
przeżu-  
wa zdrajców pokroju Brutusa i Judasza Iskarioty. Z sześciorga  
oczu płyną  
łzy, które mieszają się z krwią zdrajców. Trzy pary skrzydeł biją  
wściekle,  
próbując uwolnić diabła z potrzasku, ale wzbudzone przez nie  
podmuchy  
wiatru jedynie skuwają lodem całą okolicę, przytrzymując  
wszystkich na  
wieczność. Najbardziej cierpi Judasz, którego głowę miażdży  
paszcza Lu-  
cyfera, a diabelskie pazury zdzierają mu skórę z pleców.  
— Podoba mi się ta wizja — stwierdził Walter. — Jest może  
nadmier-  
nie udramatyzowana, ale kryminaliści niewiele się od tych czasów  
zmie-  
nili, podobnie jak sprawiedliwe kary, na które ich skazywano.  
Stoud zobaczył fotografie chłopca pokrywające stół. Zdjęcia  
zostały  
wykonane przez policję w 1957 roku. Walter wskazał na rany  
cięte i si-  
niaki pokrywające całą powierzchnię ciała, a także na ślady

przypalania,  
rozcinania, bicia i duszenia sznurem. Ślady wygłodzenia i  
odwodnienia.

Chłopiec był gwałcony; w odbył wkładano mu różnego rodzaju  
przyrzą-  
dy. Skóra na jednej ręce i stopie pomarszczyła się od  
długotrwałego kon-  
taktu z wodą.

Ślady poparzeń na klatce piersiowej pochodziły  
najprawdopodobniej  
od gaszenia papierosów. Z oględzin wynikało, że w różne miejsca  
na ciele

425

wbijano igły. Główna chłopca została ściśnięta po bokach —  
prawdopo-  
dobnie w imadle.

Walterowi wystarczył jeden rzut oka na fotografie. Natychmiast  
zrozu-

niał, że policyjne śledztwo — nadzorowane przez nieżyjącego  
Remingto-

na Bristowa — od czterech dekad opierało się na fałszywych  
założeniach.

Jak to możliwe, aby Bristow uwierzył, że chłopiec zginął  
przypadkowo

z rąk kochających rodziców?

— Wszystko, co widzimy na tych zdjęciach, to oznaki sadyzmu  
— mó-

wił Walter. — W tym kontekście całkowicie zrozumiała stała się  
opowieść,

którą Kelly i McGillen usłyszeli w Cincinnati od Mary.

Jego zdaniem matka Mary dysponowała znakomitą przykrywką.  
Mu-

siała czerpać satysfakcję z paradoksalnej sytuacji, która  
pozwalała jej wy-

korzystać seksualnie chłopca, a jednocześnie pełnić funkcję

szanowanej  
bibliotekarki szkolnej w Main Line, zamożnej dzielnicy Filadelfii.  
Wszyst-  
ko to działo się w latach pięćdziesiątych XX wieku, kiedy  
symbolem matki  
mieszkającej na przedmieściach była June Cleaver z serialu  
komediowego  
Leave It to Beaver, stojąca z zaniepokojoną miną pośrodku  
kuchni i mó-  
wiąca: „Martwię się, czy Beaverowi nie stało się coś złego”.  
Więzienie w piwnicy było idealnym rozwiązaniem. Wyczerpana  
emo-  
cjonalnie po znęcaniu się nad chłopcem mogła zmyć z siebie  
krew, za-  
mknąć go z powrotem w pudełku i powrócić do pełnienia  
oficjalnych ról  
społecznych. Sąsiadki. Przyjaciółki. Bibliotekarki. Żony. Matki. Z  
upły-  
wem czasu jej charakter stawał się coraz bardziej surowy —  
osobowość  
zmieniała się pod wpływem sadyzmu — ale potrafiła to skutecznie  
ukry-  
wać. Wypijała kilka Krwawych Mary więcej i chodziła częściej do  
kości-  
ła. Drżała z podniecenia na myśl, że potrafi utrzymać swoje  
skłonności  
w tajemnicy i funkcjonować w całkowicie odmiennym świecie.  
— Nie musiała ich ukrywać przed mężem i córką, ponieważ  
panicznie  
się jej bali. Całkowicie ich sobie podporządkowała — tłumaczył  
Walter. —  
Nie odczuwała wyrzutów sumienia, nie wstydziła się swoich  
pragnień.  
Wszyscy dokoła szukali swojego prawdziwego ja, tymczasem ona  
już wie-

działa, kim jest.

Skłonność do tortur rozwijała się powoli, a ich poziom ulegał eskala-

cji z upływem miesięcy i lat.

426

— Skłonności do okaleczania ciała, którego skutki widać na tych fo-

tografiach, są charakterystyczne dla czegoś, co fachowo nazywa się per-

wersyjnością polimorficzną. Obrażenia występują na całej powierzchni

ciała, żaden obszar nie jest jakoś szczególnie wyróżniony. Miej na uwadze,

że chłopięcy penis nie może w żaden sposób zaspokoić kobiety.

Tym, co

sprawia rozkosz osobnikom należącym do tego

najpoważniejszego i naj-

bardziej skomplikowanego typu, jest sam proces zabijania. Stąd

bierze się

potrzeba systematycznego zadawania tortur. Za każdym razem,

kiedy go

w jakiś sposób okaleczała, fantazjowała o ostatecznej śmierci,

próbując

jednocześnie doprowadzać go coraz bliżej granic wytrzymałości.

Prawdopodobnie mu czytała. Przyjemność musiała sprawiać jej

baśń

o Jasiu i Małgosi, ponieważ ta oklepana historyjka, przynależąca

nor-

malnie do literatury dziecięcej, znalazła urzeczywistnienie w jej

własnym

domu.

— Wstawaj, leniwa dziewucho, idź po wodę i ugotuj coś dobrego

dla twoje-

go brata! Siedzi w komórcie i ma tam utyc, a jak już będzie tłusty,

to go zjem.

Małgosia zaczęła gorzko płakać, ale na darmo, musiała robić to, czego żądała wiedźma\*.

Poddając Jonathana torturom, miała możliwość zadawania powolnej

śmierci mężczyźnie, który nie był jeszcze w pełni dojrzały.

Unicestwienie

go byłoby szczytem seksualnej rozkoszy, niemniej odsuwała ten moment

na później, coraz bardziej uprzedmiotawiając chłopca.

— W jej głowie zrodziło się wyobrażenie o istocie całkowicie podporządkowanej, wystraszonej, uprzedmiotowanej, po czym zaczęła to

wyobrażenie niszczyć, zamieniając go w zabawkę. Na tym śliczniutkim

chłopczyku mogła wyładowywać wszystkie frustracje związane z niepo-

wodzeniami, których doświadczała w prawdziwym życiu.

Zdeformowanie głowy wskazywało, że musiała ją mocno ścisnąć rękami,

narzędziami lub w imadle, pozbawiając go całkowicie możliwości

\* W. i J. Grimm, Baśnie dla dzieci i dla domu, t. i, tłum. E.

Pieciul-Karmińska, Poznań 2010, s. 93.

427

ruchu. Prawdopodobnie często na różne sposoby go

unieruchamiała, wią-

zała, chłostała. Z pudełka wyjmowała go tam, gdzie nikt nie mógł go

zobaczyć. Wykorzystywała go do zaspokajania się, doprowadzała się do

orgazmu.

Gardziła nim z powodu jego niewinności, młodego wieku i wad roz-

wojowych.

— Prawdopodobnie był upośledzony umysłowo, miał blizny po zabiegach chirurgicznych wykonywanych w pierwszym roku życia, więc i tak był już spisany na straty. Jego biologiczni rodzice musieli mu powtarzać, że w każdej chwili mogą się go pozbyć. Tymczasem ona wiedziała, czego pragnie. Zamiast wibratora lub plastikowej lalki, których wtedy jeszcze nie produkowano, sprawiła sobie żywą zabawkę erotyczną. Nie miało to dla niej żadnego znaczenia. Teraz rozumiesz, w jaki sposób mordercy z tej kategorii postrzegają innych. Inni ludzie dla nich po prostu nie istnieją. Kiedy w gazetach ukazały się mrożące krew w żyłach artykuły o Chłopcu w Pudełku, czytała je uważnie, rozkoszując się ich treścią. W bibliotece i kościele mówiła do innych: „Czy to nie okropne, co się przydarzyło temu biedactwu?”. Coraz bardziej rozpierało ją poczucie własnej wszechmocy — podniosła rękę nie tylko na chłopca, ale też na wydział policji oraz całą Filadelfię, a zwłaszcza swoją dzielnicę Main Line. Kiedy chłopiec zginął, matka Mary zdążyła już zejść na jeden z niższych poziomów Podwójnej Spirali — fizycznego krępowania i dyscyplinowania. Chłopiec leżał związany, przykuty łańcuchem, unieruchomiony w pudełku. Nie sposób przewidzieć, kiedy zesłaby jeszcze niżej.



Być może  
za kilka tygodni, lat, ale równie dobrze za kilka godzin. Nakłucia  
na ciele  
Jonathana wskazywały, że kolejny etap — piqueryzm — już się  
rozpoczął.  
Pewnego popołudnia 1957 roku matka Mary z sadystki  
przeistoczyła  
się w morderczynię. Po latach stopniowania przyjemności musiała  
niespo-  
dziewanie odkryć rozkosz płynącą z mordu, a Walter nie miał  
wątpliwo-  
ści, że w niedługim czasie znalazłaby sobie nową ofiarę i pozbyła  
jej się  
znacznie szybciej. Jego zdaniem bibliotekarka z Main Line  
stawała się se-  
ryjną morderczynią.  
Przepelniająca ją nienawiść do niewinności nie wygasła, na co  
Walter  
miał bardzo mocny dowód. Niedługo przed śmiercią starzejąca  
się matka  
428  
poprosiła Marię, wtedy młodą kobietę, aby raz jeszcze pozwoliła  
jej za-  
żyć z nią rozkoszy seksualnej. Córka odmówiła, co doprowadziło  
matkę  
do wściekłości.  
— Wynikałoby z tego, że matka Marii popełniła morderstwo  
doskona-  
łe — stwierdził Walter. — Ta hipoteza ma tylko jedną wadę.  
Zaciągnął się głęboko papierosem.  
— Ona tego nie zrobiła.  
W panującym w salonie półmroku Stoud dostrzegł chłodny  
uśmiech  
na twarzy Waltera.  
— Ale ja wiem kto.

## Rozdział 54

### Czasomierz z bananów

Późnym wieczorem w niedzielę poprzedzającą Boże Narodzenie 2004 roku

Walter siedział w swoim domu, popijając wino i oglądając w telewizji

zawody mieszanych sztuk walki. W pewnej chwili zadzwonił telefon.

W słuchawce rozległ się głos funkcjonariusza policji z Hudson w stanie

Wisconsin, małego miasta nad rzeką St. Croix na zachód od metropolii

Minneapolis-Saint Paul. Policjant zapytał, czy nie dzwoni za późno. Spra-

wiał wrażenie zdenerwowanego.

— Nic się nie stało — powiedział Walter.

— Erickson nie żyje.

— Proszę ?

— Jego ciało znaleziono w kościele.

Walter słuchał w milczeniu. Dwa tygodnie wcześniej pojechał do Hud-

son, aby pomóc lokalnej policji w rozwiązaniu najśłynniejszej niewyja-

śnionej sprawy w historii miasteczka — podwójnego morderstwa w domu

pogrzebowym O'Connell, do którego doszło niemal dziesięć lat wcześniej.

5 lutego 2002 roku trzydziestodwuletni przedsiębiorca pogrzebowy Dan O'Connell, jeden z prominentnych obywateli Hudson,

oraz dwudziestodwuletni student James Ellison, odbywający praktykę

u O'Connella, zostali zastrzeleni w biały dzień w domu pogrzebowym.

Morderstwo wprowadziło w osłupienie policję — równie dobrze na

rzece

mógłby wylądować statek kosmiczny pełen zielonych ludków.

Mieszkań-

430

cy Hudson stykali się z takimi historiami jedynie w telewizji albo czytali

o nich w gazetach.

Zamordowani mężczyźni byli porządnymi ludźmi. Nie mieli wrogów, nie wdawali się w ciemne interesy w rodzaju handlu narkotyka-

mi. O'Connell był jednym z najpoważniejszych biznesmenów w Hudson,

liderem lokalnej wspólnoty katolików, ratownikiem medycznym; udzie-

łał się w Klubie Rotariańskim, harcerstwie i zbierał pieniądze na YMCA.

Otrzymał tytuł Króla Święta Papryki Północnego Hudson. Z kolei Elli-

son był uczciwym młodzieńcem, słabo związanym z lokalną wspólno-

tą. Z domu pogrzebowego nic nie zniknęło. Nikt nie potrafił wyjaśnić,

dlaczego dwóch zacnych mieszkańców sennego miasteczka miałyby paść

ofiara morderstwa.

Kiedy policja borykała się ze sprawą, siostra O'Connella dowiedziała

się od przyjaciółki o istnieniu Towarzystwa Vidocq'a. W artykule opubli-

kowanym przez wydawany w Minneapolis dziennik „Star Tribune” na-

pisano, że jest to grupa „superdetektywów ochotników” i „pogromców

nierozwiązanych spraw”. Podejmowali się ponoć wyjaśniania morderstw,

z którymi nie potrafią sobie poradzić lokalne organy ścigania, i rozwiązy-  
wali zagadki osiemdziesięciu procent z nich. Kathleen wysłała do  
Towa-  
rzystwa e-mail z prośbą o pomoc. Otrzymała napisaną oficjalnym  
tonem  
odpowiedź, że Towarzystwo zajmuje się tylko tymi przypadkami,  
w któ-  
rych śledztwo toczy się od co najmniej dwóch lat. Kiedy w drugą  
rocznicę  
morderstwa policja w Hudson wciąż nie miała pojęcia, kto dokonał  
zbrod-  
ni, Kathleen ponownie napisała do Towarzystwa. Tym razem jej  
prośbę  
rozpatrzono pozytywnie. „Morderstwo Daniela OConnella i  
Jamesa Elli-  
sona" wpisano do kartoteki Towarzystwa jako sprawę nr 133.  
Poruczni-  
kowi policji w Hudson opłacono podróż do Filadelfii, gdzie spotkał  
się  
z członkami Towarzystwa podczas lunchu 15 kwietnia 2004 roku.  
Fleisher  
stwierdził, że sprawa wygląda na typowe zadanie dla Richarda.  
Walter rze-  
czywiście od razu się nią zainteresował i poleciał do Hudson.  
Zdaniem Fleishera z ogromnego zaangażowania osób, które już  
wcze-  
śniej pracowały nad sprawą, zrodził się zapal „absolutnie  
niezbędny" do  
jej rozwiązania. „Mamy rodzinę zainteresowaną rozwiązaniem  
zagadki  
431  
morderstwa bliskiej osoby, wydział policji gotowy na poświęcenie  
dodat-  
kowego czasu, chętnego do współpracy prokuratora oraz media

zaintereso-  
wane postęпами w śledztwie. Do rozwiązania sprawy potrzeba  
wszystkich  
tych czynników", tłumaczył.  
Informacja o wizycie słynnego profiler z Filadelfii trafiła na  
pierwszą  
stronę „Hudson Gazette”. Artykułowi towarzyszyło zdjęcie  
przedstawia-  
jące uśmiechniętego od ucha do ucha Waltera oraz młodych  
policjantów,  
których szybko wziął pod swoje skrzydła. Profiler wykorzystał  
reportaż do  
zasiania ziarna wątpliwości w umyśle podejrzanego. „Wiemy  
więcej, niż  
morderca przypuszcza. Na jego miejscu nie kupowałbym  
zielonych bana-  
nów”, oświadczył, kończąc wypowiedź jednym ze swoich  
ulubionych po-  
wiedzonek.  
Przez pierwsze dwa dni Walter zapoznawał się z aktami sprawy i  
roz-  
mawiał z policjantami. Na liście podejrzanych, mimo trwającego  
od  
dwóch lat dochodzenia, wciąż figurowało siedmiu równie  
prawdopodob-  
nych kandydatów. Dwaj młodzi policjanci, którzy nie odstępowali  
Wal-  
tera na krok, również zaczęli palić mentolowe koolsy.  
— Panowie, sprawa jest jasna — oświadczył w końcu profiler. —  
Mor-  
dercą jest ksiądz.  
Katolicki ksiądz, trzydziestojednoletni Ryan Erickson, miał  
oczywisty  
motyw, aby zamordować O'Connella. Przedsiębiorca  
pogrzebowy, lider

wspólnoty katolików, na dzień przed śmiercią oskarżył go o molestowanie chłopców. O'Connell zasadniczo nie przepadał za Ericksonem; jego zdaniem ksiądz słabo radził sobie z kierowaniem parafią w Hudson. Groził, że jeśli zarzuty okażą się prawdziwe, doprowadzi do usunięcia kapłana ze stanowiska. Walter poprosił policjantów, aby wezwali księdza Ericksona na komendę, po czym wziął udział w przesłuchaniu. W trakcie rozmowy kapłan stracił nad sobą panowanie i wybuchnął płaczem. „To on. Podwójne morderstwo popełnia się właśnie w ten sposób: ma zaspokoić potrzebę kontroli, usunąć zagrożenia”, stwierdził później Walter. Teraz młody policjant sprawiał wrażenie zaniepokojonego. Erickson przyznał publicznie, że policja podejrzewa go o zamordowanie O'Connella i Ellisona, po czym popełnił samobójstwo. Wcześniej został przeniesiony

432

do Hurley w stanie Wisconsin, maleńkiego miasteczka nad Jeziorem Górnym, gdzie został proboszczem lokalnej parafii. Wierni, przybyli na poranną mszę w kościele Matki Boskiej Bolesnej, znaleźli jego ciało w niedzielę 19 grudnia. Przebrał się w szaty liturgiczne i powiesił w przedsionku kościoła. Walter zagwizdał cicho. Opiekun Sprawy nr 133, Fred Bornhofen, w ten sposób opisał ją

póź-  
niej w kartotece Towarzystwa Vidocq'a: „Śledztwo pozwoliło na  
ustalenie,  
że głównym podejrzanym jest katolicki ksiądz. Richard Walter  
osobi-  
ście uczestniczył w przesłuchaniu i konfrontacji. Ojca Ericksona  
znalezio-  
no powieszzonego u wejścia do kościoła. Istnieje podejrzenie, że  
Erickson  
był chorobliwym kłamcą, malwersantem, miłośnikiem broni palnej  
i zbo-  
czeńcem". Sprawę zamknięto.  
Ale czy słusznie? Erickson zostawił list, w którym wyparł się mor-  
derstw. „Śledczy nic mi nie udowodnili. Badania wykazały, że  
ofiary nie  
zostały zastrzelone z żadnego z moich pistoletów. Na miejscu  
zbrodni nie  
znaleziono mojego DNA. Nie przedstawiono żadnych świadków,  
którzy  
widzieliby mnie opuszczającego dom pogrzebowy", napisał.  
— Hmm... — mruknął Walter. — Brzmi to raczej jak argumenty  
obrony oskarżonego niż głos rozpaczliwego niewinnego człowieka.  
Ksiądz nie-  
świadomie przyznaje się tym listem do winy. Wygląda na to, że  
ten rzeko-  
mo pobożny człowiek wiódł podwójne życie, skrywając przed  
wiernymi  
żałosne tajemnice. Kiedy zagrożono mu ujawnieniem maskarady,  
popęł-  
nił morderstwo, próbując uniknąć odpowiedzialności, a kiedy i to  
nie roz-  
wiązało sprawy, popełnił samobójstwo.  
— Uważa pan, że powinniśmy coś zrobić? — spytał policjant.  
Erickson  
był wcześniej głównym podejrzanym w sprawie; jakie

konsekwencje mogło mieć jego samobójstwo? Policja chciała rozwiać wszelkie wątpliwości i zamknąć dochodzenie. Walter wpadł na oryginalny pomysł: należy pośmiertnie osądzić podejrzanego.

— Zaczniemy jednak od najważniejszego: księdzu należy się krzyżyk

na drogę.

Młody funkcjonariusz uśmiechnął się pod nosem. Żaden mundurowy

z Hudson nie zetknął się wcześniej z kimś takim jak Walter.

433

— A tak na marginesie, w mieszkaniu księdza znaleźliśmy kiść dojrza-

łych bananów. Wiemy jednak, że nie przepadał za tymi owocami. Walter zachichotał.

— Przeczytał artykuł i przyjął wyzwanie. Ale wygląda na to, że miałem

rację. Czas mierzony bananami nie okazał się dla niego łaskawy.

Rozdział 55

Cud na South Street

Bender szedł brzegiem jeziora. Był słoneczny dzień. W pobliskim lesie do-

strzegł białego cadillaca obrośniętego powojami. Kłapa bagażnika ster-

czała do góry. Podszedł bliżej. Samochód miał stare tablice rejestracyjne

z New Jersey w kolorze zżółkniętych zębów. Czarnymi drukowanymi lite-

rami w stylistyce lat trzydziestych XX wieku napisano na nich przydomek

stanu: garden state. Numer rejestracyjny niemal zupełnie się zatarł;

nie sposób go było odczytać. Bagażnik był pusty, Bender



dostrzegł za to  
wyraźne ślady krwi na obciążonej materiałem kierownicy. Wrócił  
nad  
jezioro i wszedł na wąski drewniany pomost. Tuż pod  
powierzchnią płyt-  
kiej, niebieskozielonej wody unosił się na plecach mężczyzna.  
Nagie ciało  
było opuchnięte, czarne włosy falowały unoszone prądem. Na  
czole wid-  
niał czerwony otwór po kuli. Szeroko otwarte jasnoniebieskie oczy  
wpa-  
trywały się w Bendera.

— Pomóż mi — wołały bezgłośnie usta mężczyzny. — Pomóż  
mi.

Bender wybudził się ze snu. Godzinę później zadzwonił do niego  
zna-  
jomy lekarz sądowy z New Jersey. Potrzebował pomocy przy  
identyfika-  
cji ciała.

— Topielca?

— Skąd wiesz?

— Przyśniło mi się. Mężczyzna w wodzie. Dam ci znać, jak coś  
ustalę.

„A ustalę, jak z nim ponownie porozmawiam”.

435

Bender spotykał się ze zmarłymi w snach. Czuł się swobodnie w  
ich  
towarzystwie, jakby przebywał w gronie najbliższych. Nawoływali  
go,  
chronili, witali z otwartymi ramionami — a najczęściej błagali o  
pomoc.

Bender nie zastanawiał się nad źródłem tego daru, tylko po prostu  
z nie-  
go korzystał. Człowiek musi robić to, do czego został stworzony;  
dlate-

go właśnie w młodości gardził formalną sztuką, obrazami wieszanymi na ścianach. Był rzecznikiem zmarłych, głosem niemych istot stojącym na granicy światów. Opowiedział Walterowi o mężczyźnie w wodzie. Profiler skrzywił się z niesmakiem.

— Frank, wiesz przecież, że zabójstwa zlecane przez mafię zwykle mnie nie interesują. Lubię wyzwania. Porachunki mafijne wyglądają zawsze tak samo. Ludzie rywalizują o wpływy, a tyle w tym subtelności, co w przywaleniu komuś łomem w łeb.

Benderowi przestał się śnić mężczyzna w jeziorze, ale zastąpili go inni zmarli: dziewczyna w zabytkowym kufrze, mężczyzna wiszący na drzewie, chłopiec postrzelony w skroń. Nie dawali mu spokoju w nocy i próbowali zagarnąć dla siebie również dni. Zbliżający się do siedemdziesiątki Bender coraz wyraźniej przenikał wzrokiem mroczną rzeczywistość snów, zupełnie jakby był instrumentem, który z upływem czasu wydawał z siebie coraz czystszy dźwięk. Z wiekiem przyszła również pokora i nieufność wobec niezwykłego daru. Niewytłumaczalne źródło jego wiedzy budziło w nim czasem grozę. Kiedyś podczas pracy nad statuą policjanta, która miała stanąć w parku w New Jersey — jako pomnik ku czci funkcjonariusza-

szy poległych na służbie — niechętnie zgodził się umieścić na niej numer odznaki chłopaka pełniącego rolę modela. „Ostrzegałem go, że to niebezpieczne. Chodziło o pomnik ku czci zmarłych. Miałem poczucie, że nic dobrego z tego nie wyniknie”. Niedługo potem młody policjant zginął.

Bender nigdy nie używał pojęcia „medium” — natychmiast straciłby wszystkie zlecenia. Policjanci i racjoniści pokroju Waltera byli potwornymi hipokrytami: szydzili z jasnowidzów, chyba że ich przewidywania mogły im akurat pomóc w doprowadzeniu sprawy do spektakularnego zakończenia. Nikt nie był mocniej zanurzony w cielesności od Bendera, ale nie ona była dla niego najważniejsza.

436

Tamtego lata po raz pierwszy w życiu zaczął się modlić. U Jan zdiagnozowano nieuleczalny nowotwór. Bender był gotów na wszystko, byle tylko ją ocalić.

Jan zachorowała na raka płuc, choć nigdy nie paliła papierosów. Szybko wystąpiły przerzuty. Odeszła z pracy, chemioterapię przerwała już po przyjęciu pierwszej dawki. Szkoda zachodu, stwierdziła. Po przeprowadzeniu szczegółowych badań lekarze z dwóch szpitali orzekli, że zostało jej kilka tygodni, być może miesięcy. Bender tulił ją przez wiele bezsen-

nych nocy wypełnionych potwornym bólem. Morfina nie przynosiła ulgi.

Jan zamierzała przeprowadzić się do hospicjum.

Współpracownicy Bendera bardzo to przeżyli. Fleisher się rozpląkał.

Wszyscy otrzymali nagle namacalny dowód swojej śmiertelności.

Liczą-

ce sobie siedemnaście lat Towarzystwo Vidocqa zaczynało tracić wetera-

nów. Szanowany patolog Halbert E. Fillinger junior, przez wielu uważany

za uosobienie najszlachetniejszych wartości Towarzystwa, zmarł w lipcu

2006 roku w wieku siedemdziesięciu dziewięciu lat na chorobę Parkinso-

na. Fillinger wykonywał swój zawód przez ponad czterdzieści lat; w tym

czasie przeprowadził ponad pięćdziesiąt tysięcy sekcji zwłok i pomógł

w schwytaniu setek morderców. Jego odejście opłakiwali koledzy z całe-

go kraju. Tydzień przed śmiercią nadal wykonywał obowiązki lekarza są-

dowego hrabstwa Montgomery.

Wyjaśnienia tajemnicy Chłopca w Pudełku nie doczekał również ofi-

cer śledczy Samuel Weinstein. W 1957 roku jako pierwszy przyjechał na

łąkę, gdzie znaleziono zwłoki niezidentyfikowanego dziecka, a w Towa-

rzystwie przewodniczył specjalnemu zespołowi prowadzącemu śledztwo

w tej sprawie. Zmarł w maju 2004 roku. W mowie pogrzebowej Fleisher

nazwał go „prawdziwym człowiekiem pośród ludzi”. Ten weteran

drugiej wojny światowej przez trzydzieści pięć lat służył w filadelfijskiej policji oraz siedmiokrotnie zgłaszał się na ochotnika do Sił Obronnych Izraela, w tym do dywizji pancерnej. Jeszcze jako siedemdziesięcioletek skakał ze spadochronem. „Spoczywaj w pokoju, przyjacielu. Jesteś już w lepszym świecie”, powiedział Fleisher. Ressler, jeden z pionierów nowoczesnych metod tworzenia profili psychologicznych przestępców, zapadł na gwałtownie postępującą postać choroby Parkinsona. Walter był w najwyższym stopniu strapiony. Ressler poruszał się na wózku inwalidzkim i nie mógł nawet podejść do telefonu; Keppel, z którym Walter napisał swoją najśłynniejszą pracę, przeszedł poważną operację serca i również musiał zwolnić obroty. Jego koledzy z pierwszego pokolenia wielkich amerykańskich psychologów sądowych byli ciężko chorzy lub umierali. „Jeszcze chwila i nie będę miał z kim rozmawiać”, martwił się Walter. Fleisher stracił przytomność za kierownicą, jadąc z prędkością stu kilometrów na godzinę autostradą w północnej części stanu Nowy Jork. W samochodzie znajdowały się jego żona i dwie córki. Świadomość odzyskał w ostatniej chwili, ale coraz bardziej niepokoił się zarówno swoim

zdro-

wiem, jak i nadwagą.

Każdej zimy Walter tracił całe dni z powodu problemów z płucami. Lekcje udzielane Stoudowi nabrały nowego sensu. Szczupły profiler

przeczuwał, że przyjdzie mu wkrótce zapłacić za kilkadziesiąt lat nałogu.

Walter szczególnie mocno przeżywał walkę z chorobą, którą toczyli

Jan i Frank.

— Frank, nie będę się za ciebie modlił, bo to nie w moim stylu — po-

wiedział — ale upiekę ciastka i przyjadę do Filadelfii. Zapalimy sobie,

wypijemy i będziemy się we trójkę cieszyć życiem. Będzie wspaniale, zo-

baczysz.

W lipcu 2007 roku Bender ukończył jedyne zlecenie, jakie wziął podczas

choroby Jan. Jak na ironię maska pośmiertna okazała się jednym z naj-

większych osiągnięć w jego karierze.

Kościół rzymskokatolicki zamówił u niego maskę pośmiertną świętego

Jana Nepomucena Neumanna, biskupa Filadelfii z XIX wieku, pierwsze-

go amerykańskiego świętego płci męskiej. Neumann zmarł w 1860 roku

i został pochowany w krypcie kościoła św. Piotra na rogu Piątej i Girard

Avenue. Teraz, dla upamiętnienia dwustulecia archidiecezji filadelfijskiej,

ciało ubrano w nowe szaty liturgiczne, na palec założono pierścień bisku-

pi, na piersiach położono pektorał, a twarz przykryto maską.

Ciało świętego, od którego śmierci minęło sto czterdzieści siedem lat, ubrane w biskupią mitrę i białą szatę spoczywa w jasno oświetlonej,

438

szklanej gablocie w krypcie pod ołtarzem starego neobarokowego ko-

ścioła św. Pawła. Tysiące przybywających do sanktuarium pielgrzymów

przyciskają dłonie do szyby i proszą o wstawiennictwo, łaski i cuda. Ze

szczątków świętego pobrano przed laty kilka kostek, które pocięto na mi-

kroskopijne kawałki i umieszczono w szklanych pojemniczkach.

Wielu

księży nosi te relikwie przy sobie, niekiedy wprawione w krzyż.

Bender, który czuł się, jakby został Michałem Aniołem

wykonującym

zlecenia dla papieży, musiał otrzymać specjalne pozwolenie od Watyka-

nu na dotknięcie szczątków świętego. Kardynał Justin Rigali, arcybiskup

Filadelfii, nadzorował otwarcie trumny oraz wymianę szat liturgicznych.

Bender miał odtworzyć twarz Neumanna na podstawie jednej jedynej

dziewiętnastowiecznej fotografii.

Tego ranka raz jeszcze musnął palcami zarys gipsowej twarzy.

Ogarnę-

ło go znajome, trudne do opisanie poczucie obcowania z najgłębszą tajem-

nicą. Owszem, nie była to twarz Boga, ale miliony pielgrzymów z całego

świata nie mogły liczyć na nic lepszego.

Bender był zadowolony ze swojego dzieła. Redemptorysta Kevin Moley,

pastor kościoła św. Piotra, miał przyjść tego dnia do pracowni, aby obejrzeć postępy w pracach nad maską. Bender uwielbiał rozmawiać z ojcem Moleym o cudach przypisywanych świętemu Janowi Nepomucenowi.

Już kilka dni po śmierci biskupa w 1860 roku katolicy zaczęli modlić się przy jego grobie. Rozeszła się wieść, że u zmarłego można wyprosić łaski, a nawet cuda. Chociaż epidemie tyfusu i cholery z 1891 i 1900 roku zabiły tysiące filadelfijczyków, ich ofiarą nie padł ani jeden parafianin kościoła biskupa Neumanna.

Według ojca Moleya pierwszy z trzech udokumentowanych cudów, które doprowadziły do kanonizacji biskupa, zdarzył się w 1923 roku we włoskiej miejscowości Sassuolo. Jedenastoletnia Eva Benassi, cierpiąca na nieoperowalne zapalenie otrzewnej, otrzymała ostatnie namaszczenie. Lekarze podejrzewali, że nie dotrwa do rana. Zakonnica modląca się przy łóżku Benassi dotknęła jej brzucha obrazkiem przedstawiającym Neumanna — jeszcze tej nocy zapalenie otrzewnej ustąpiło.

Drugi cud zdarzył się w Villanova, jednej z miejscowości należących do Main Line, zamożnych przedmieść Filadelfii. 8 lipca 1949 roku 439-letni Kent Lenahan jechał na stopniu samochodu. W pewnej chwili pojazd uderzył w słup telefoniczny. Chłopiec wyszedł z



wy-  
padku z pękniętą czaszką, złamanym obojczykiem i przebitym  
płucem.  
Przyjęto go do szpitala Bryn Mawr w stanie śpiączki, a lekarze  
orzekli, że  
nie potrafią mu pomóc. Stan Kenta zaczął się poprawiać od  
chwili, gdy  
jego rodzice odmówili modlitwę w krypcie Neumanna, a następnie  
do-  
tknęli syna relikwią — skrawkiem materiału z sutanny biskupa.  
Miesiąc  
później chłopiec opuścił szpital na własnych nogach.  
W 1963 roku u sześciolatniego Michaela Flanigana z Filadelfii  
wykry-  
to mięsaka Ewinga, praktycznie nieuleczalną odmianę  
nowotworu. Zda-  
niem lekarzy niewielkie były szanse, by wyzdrowiał. Rodzice  
zaprowadzili  
go do grobu Neumanna, gdzie ksiądz z parafii św. Piotra  
pobłogosławił  
dziecko i przyłożył do jego ciała krzyż z relikwią— kawałeczkiem  
ko-  
ści pobranym ze szczątków świętego. Drugi oprawiony w szkło  
kawałek  
przypięto do ubrania chorego. Sześć tygodni później nowotwór  
zniknął  
bez śladu.  
Ojciec Moley przyjechał tego popołudnia na South Street w towa-  
rzystwie młodego księdza. Bender zaprezentował im niemal  
ukończoną  
maskę pośmiertną. Plany związane z uczczeniem Neumanna  
zajęły ko-  
ściołowi prawie rok, ale teraz ojciec Moley był wniebowzięty.  
— Wygląda wspaniale — oświadczył.  
Do pracowni weszła Jan. Frank przedstawił ją gościom.

— Moja żona choruje na raka — powiedział.

— Mogę się za nią pomodlić? — spytał ojciec Moley.

Spojrzał na Jan, która skinęła głową.

— Będziemy wdzięczni — dodał Bender.

Pomocnik księdza przyłożył do niej relikwię świętego, maleńki odprysk kości Neumanna. Ojciec Moley położył dłoń na głowie Jan i odmó-

wił modlitwę do świętego Jana Neumanna, prosząc go o wstawiennictwo

u Jezusa Chrystusa. Modlitwa kończyła się słowami: „Niech śmierć nas

spotyka, gdy kroczymy pewnie do Domu naszego Ojca przepelnieni światłem żywej Wiary”.

Jan poczuła rozplływające się po jej ciele ciepło. „Nie przypominało

błyskawicy, ale raczej coś miękkiego”, opowiadała.

440

Po kilku dniach bóle zaczęły ustępować. Jan wstała z łóżka i wróci-

ła do pracy. Sześć tygodni później kolejne testy potwierdziły to, co wyda-

wało się niemożliwe: nowotwór całkowicie zniknął. Lekarze nie potrafili

tego wytłumaczyć. Lokalny oddział telewizji NBC nazwał przypadek Jan

„medycznym cudem”. Benderowie płakali z radości. Jan uważała, że urato-

wało ją oddanie męża oraz wysiłek, jaki włożył w przygotowanie wizerun-

ku świętego Jana Neumanna. Zdaniem ojca Moleya święty Jan Neumann

być może wstawił się za nią w podzięce za wspaniałą maskę wyrzeźbio-

ną przez Bendera.

Uradowany Fleisher podzielił się dobrymi wieściami z  
Towarzystwem  
Vidocqą. Jak zawsze sceptyczny Walter nie wierzył w interwencję  
święte-  
go. Za niestosowne i niezrozumiałe uznał to, że Bender  
opowiadał o cho-  
robie żony w mediach.

## Rozdział 56

Rycerze okrągłych stołów

Richardowi Walterowi powoli kończyło się wino. Z narastającą  
irytacją

słuchał kobiety paplającej o głupotach. Licząca sobie dwieście  
pięćdziesiąt

lat rezydencja Pen Ryan — wzniesiona na zachodnim brzegu  
rzeki De-

laware, w pierwszej dzielnicy ekskluzywnych domów w Stanach  
Zjedno-

czonych — emanowała żółtym blaskiem. Muzyka i śmiech  
wylewały się

na dwór i ginęły w ciemnościach opasujących szeroki, schodzący  
w stronę

rzeki trawnik. Przybyłe na bal damy zostały powitane recitalem  
kwarte-

tu smyczkowego, wysokim kieliszkiem szampana oraz różą, którą  
wręczał

im uśmiechnięty agent federalny, prowadzący na co dzień  
śledztwa prze-

ciwko bossom narkotykowym. Mężczyźni powtykali beretty i glocki  
pod

poły marynarek i smokingów. Kobiety zostawiły przyborniki do  
pobie-

rania próbek DNA i krwi w domach, a na przyjęcie przyszły w  
wieczoro-

wych kreacjach i perłach.

Walter bez słowa wykręcił się na pięcie i odszedł. Kobieta, z którą

jeszcze przed momentem rozmawiał, z otwartymi ustami wpatrywała się

w sztywną postać błyskawicznie znikającą w tłumie.

— Mój Boże! Poszedł sobie w połowie zdania!

— Nie przejmuj się — odparła jej towarzyszka. — To u niego normalne.

Żadne przyjęcie nie mogło się równać z dorocznym balem

Towarzy-

stwa Vidocqą, ukoronowaniem sezonu towarzyskiego dla

kilkudziesięciu

osób, które na co dzień zajmowały się ściganiem przestępców.

Kobiety

442

przychodziły w eleganckich sukniach, mężczyźni obowiązkowo w smokingach.

— To jedyna okazja, aby zobaczyć Franka Bendera w smokingu

—

stwierdził Bill Fleisher. Prezes Towarzystwa wyglądał niezwykle reprezentacyjnie, parując po sali z orderem z podobizną Vidocqą

zawieszonym na szyi na trójkolorowej wstędze. Kieliszkiem szampana wznioł toast

za sukces przyjaciela, który doprowadził do identyfikacji młodej kobiety z Kolorado. Jej ciało zostało znalezione w 1954 roku przez turystów

przemierzających jeden z kanionów nieopodal miasta Boulder. Dzięki

wysiłkom członków Towarzystwa Vidocqą zidentyfikowano być może kolejną ofiarę Harveya Glatmana, zwanego Mordercą Samotnych Serc z Los

Serc z Los

Angeles.

Fleisher spontanicznie wyściskał Bendera. Walter stał na uboczu, z niesmakiem obserwując tego rodzaju publiczną wylewność.

Ubrany

w klasyczny smoking, wyglądał jak wymizerowany sobowtór Holmesa

z rysunków Sidneya Pageta, ilustratora opowiadań Arthura Conan Doylea publikowanych w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku w cza-

sopiśmie „The Strand”. Nikt nie miał odwagi mu tego powiedzieć.

W październikową niedzielę 2009 roku przy okrągłych stołach zgro-

madzili się detektywi ze Stanów Zjednoczonych, Europy i

Bliskiego

Wschodu. Nie mieli tego dnia oglądać makabrycznych fotografii ofiar

morderstw ani przeglądać raportów z sekcji zwłok. Zamiast nich na sto-

łach ustawiono butelki wina i bukiety alstremerii. W ten jeden wieczór

w roku Salę Morderstw zamieniano w salę balową, a goście przybywali na

spotkanie w celach wyłącznie towarzyskich.

Fleisher przygotowywał się do balu z taką powagą, jakby miał wygło-

sić orędzie o stanie państwa. Kiedy goście posilili się żeberkami i łośo-

siem, zjedli ciasto, wypili kawę oraz kilka kolejek wina i whisky, Fleisher

rozpoczął ceremonię wręczania prestiżowego Medalu Honoru Towarzy-

stwa Vidocq'a. Organizowany corocznie bal był okazją do podsumowań,

spojrzenia w przeszłość i przyszłość. Przez niemal dwadzieścia lat Flei-

sher wypełniał swoje obowiązki z dumą, radością i optymizmem. Na jego oczach przekształcili się z klubu towarzyskiego dla detektywów w walczącą z przestępczością organizację o zasięgu międzynarodowym.

443

Towarzystwo Vidocq zostało wymyślone przez trzech panów, którzy wybrali się kiedyś razem na lunch. Dziś liczyło osiemdziesięciu dwóch członków tytularnych oraz niemal drugie tyle współpracowników. Wspólnie zbadali ponad trzysta morderstw; wykryli sprawców dziewięćdziesięciu procent z nich. Służyli radą policji albo od razu wskazywali nazwisko mordercy. Fleisher potrafił wymienić znacznie bardziej konkretne rezultaty działalności Towarzystwa: aresztowania i wyroki sądowe, a także psychologiczne wsparcie dla rodzin ofiar — uchronili wiele osób przed depresją, a niektórych może nawet przed samobójstwem. Działali na rzecz prawdy.

Ajschylos twierdził, że prawdę można zawsze wyrazić prostymi słowami.

Podobnie dokonania Towarzystwa Vidocq zamykały się w kilku fundamentalnych kategoriach: odnajdywania zaginionych, identyfikowania bezimiennych, karania sprawców, zdejmowania win z niesłusznie oskarżonych. Członkowie Towarzystwa byli pomocnikami żywych i rzecznikami umarłych.

Fleisher, Bender i Walter usiedli przy oddzielnych stołach, chcąc w ten sposób uhonorować demokratyczną naturę stowarzyszenia, ale kto choć raz zobaczył ich stojących razem pośrodku wielkiej sali, udekorowanych wykonanymi przez Bendera medalami z brązu ozdobionymi wizerunkiem ich patrona (przyznawanymi przez samo Towarzystwo za szczególne zasługi), dostrzegwał natychmiast wyjątkowy charakter ich znajomości, będącej w istocie sercem całej rodziny Vidocq'a. Rodziny, która się nieustannie powiększała. Jim Dunn, obecnie tytułarny członek Towarzystwa, podzielił się ze wszystkimi wiadomością, która sprawiła mu największą radość — morderczyni jego syna miała pozostać w więzieniu do 2013 roku. Walter napisał w liście do Teksaskiej Komisji Zwolnień Warunkowych, że Leisha Hamilton, odmawiając ujawnienia informacji o losach szczątków Scotta, dowiodła, że dla niej morderstwo jeszcze się nie zakończyło! Jest pozbawioną wyrzutów sumienia psychopatką; jej potrzeba stymulacji i podboju pozostaje nienasycona. Po wyjściu z więzienia zaczęłaby szukać nowych ofiar. „Jeżeli Hamilton w przyszłości zawnioskuje o zwolnienie warunkowe, sugeruję ponowne zapoznanie się z treścią tego listu”.

Dunn i Walter zamierzali nadal zabiegać o to, aby Hamilton mogła wyjść z więzienia dopiero w 2017 roku, czyli po odsiedzeniu całych dwudziestu lat. Dunn, pod wpływem żony i Waltera, próbował stopniowo wygaszać w sobie gniew i żądę sprawiedliwej zemsty. Walter świetnie wiedział, co doradzać innym, tymczasem sam nie potrafił stłumić w sobie pragnienia postania za kratki trzeciego mordercy Scotta Dunna, który przez wszystkie lata pozostawał w cieniu. „Przypomniałem Jimowi, że skończyłem z wyróżnieniem szkołę imienia Pana Zemsty. W takich sprawach jestem długodystansowcem”. Na balu brylowali specjaliści od opowiadania ciekawych historii. Walter dysponował niewyczerpanym zasobem dykteryjek. Wiele lat wcześniej otrzymał dziwną przesyłkę od Mike'a Rodellego. Prywatny detektyw z New Jersey rzekomo odkrył tożsamość najbardziej tajemniczego seryjnego mordercy w najnowszej historii Stanów Zjednoczonych — Zodia, który w 1968 i 1969 roku zabił pięcioro Kalifornijczyków. Morderca drwił z policji, wysyłając do gazet zaszyfrowane wiadomości. Walter początkowo sceptycznie podszedł do rewelacji prywatnego detektywa, ale że od lat z nim współpracował, a nawet udzielał mu rad, przeczytał uważnie cały list i doszedł do wniosku, że mężczyzna rzeczywiście rozwiązał zagad-



kę. Wbrew powszechnemu sądowi Zodiak żył. Był starszym panem, dość zamożnym, mieszkał w Kalifornii i wciąż mógł rozkoszować się wspomnieniami słynnych morderstw. Mało kto podważał osądy Waltera. Przez wiele lat współpracował również z innym detektywem amatorem, kierownicą ciężarówki z Ohio Robertem Mancinim. Zdaniem Waltera znalazł on rozwiązanie sprawy, z którą nie poradził sobie sam Eliot Ness. Mancini ustalił tożsamość Rzeźnika z Cleveland (kilka lat wcześniej sprawą zajmowało się Towarzystwo Vidocq'a). Mordercą był nieżyjący od dawna pracownik kolei, sadysta seksualny. W każdej z tych spraw sprawiedliwość przybrała inną postać.

— A opowiadałem wam, jak zabiłem prokuratora? — spytał Walter.

Przed laty na zlecenie Towarzystwa Vidocq'a pojechał do Oklahomy, aby spotkać się z prokuratorem stanowym, który z pobudek politycznych nie chciał przeprowadzić śledztwa w sprawie podwójnego morderstwa. Walter

445

zażądał, aby wniósł oskarżenie przeciw podejrzanemu.

Prokurator odparł:

„Odwał się pan i wypieprzaj z mojego stanu”. Walter na to:

„Mógłbym rów-

nie dobrze załatwić tę sprawę z pominięciem pańskiej osoby, wolę jednak

dać panu szansę na opamiętanie się. Zadzwońię trzy dni po

Święcie Dzięk-  
czynienia, a jeśli do tego czasu nie zmieni pan zdania,  
porozmawiamy  
sobie jak mężczyzna z małym chłopcem". Prokurator zmarł na  
zawał ser-  
ca jeszcze przed Świętem Dziękczynienia. „Wspaniała  
wiadomość!", ucie-  
szył się Walter, kiedy pracownik biura prokuratora stanowego  
przekazał  
mu tę informację. „Z kim tym razem będę miał do czynienia?”.  
Fleisher  
zadzwoił do gubernatora Oklahomy, dobrego znajomego.  
Efektem roz-  
mowy był „niezwykle chętny do współpracy prokurator. Sprawę  
rozwią-  
zaliśmy", wspominał Walter.  
Walter dobiegał siedemdziesiątki. Co roku w zimie coraz mocniej  
pod-  
upadał na zdrowiu. Nie zamierzał jednak zwalniać tempa.  
— A opowiadałem wam, jak zabiłem księdza? — spytał.  
Sprawa podwójnego morderstwa z Hudson w stanie Wisconsin  
na-  
leżała do jego ulubionych. Po samobójstwie katolickiego księdza  
Ryana  
Ericksona, którego Walter wskazał jako głównego podejrzanego,  
policja  
postanowiła pójść za radą profilerów i rozstrzygnąć o winie  
zmarłego du-  
chownego przed sądem. Podczas niecodziennej rozprawy w  
październiku  
2005 roku Erie Lundell, sędzia sądu hrabstwa St. Croix, orzekł, że  
ksiądz  
rzeczywiście popełnił podwójne morderstwo. Jedną z ofiar  
zamierzała  
ujawnić jego pedofilskie skłonności. Prawnik księdza odmówił

uczestnic-  
twa w rozprawie, zapewniając o niewinności zmarłego klienta. O  
winie  
rozstrzygał sam sędzia — nie powołano ławy przysięgłych.  
Prokuratura przedstawiła piętnastu świadków. Młody mężczyzna  
ze-  
znał, że w latach 2000 i 2001, kiedy był jeszcze nastolatkiem,  
ojciec Ryan  
wielokrotnie podawał mu alkohol i go molestował. Inny świadek  
widział  
samochód podobny do tego, którym jeździł Erickson,  
zaparkowany przed  
domem pogrzebowym w czasie, gdy doszło do morderstwa.  
Oficerowie  
śledczy z policji opowiedzieli, że Erickson podał im szczegóły  
miejsca  
zbrodni, które mógł znać jedynie zabójca, na przykład liczbę  
wystrze-  
lonych pocisków (trzy) i umiejscowienie otworów po kulach w  
ciałach  
ofiar (głowa). Diakon miejscowego kościoła zeznał, że Erickson w  
jego  
446  
obecności przyznał się do winy: stał zamyślony przy oknie i w  
pewnym  
momencie wyrzucił z siebie: „To ja zrobiłem. Złapią mnie... Wiesz,  
jaki  
los spotyka w więzieniu młodych mężczyzn, zwłaszcza księży?”.  
Sędzia Lundell napisał w uzasadnieniu: „Wynika z tego, że Ryan  
Erickson prawdopodobnie dopuścił się zarzucanej mu zbrodni. W  
skali  
od jednego do dziesięciu jestem o tym przekonany na dziesięć”.  
Za rozwią-  
zanie sprawy podwójnego morderstwa w domu pogrzebowym  
O'Connel-

la kilku funkcjonariuszom policji z Hudson przyznano Medal Honoru.

Fleisher był szczególnie dumny z wkładu członków Towarzystwa w rozwiązanie sprawy Marie Noe oskarżonej o zamordowanie ośmior-

ga własnych dzieci. Trzy miesiące po aresztowaniu, w czerwcu 1999 roku,

siedemdziesięcioletnia, poruszająca się o lasce Marie Noe przyznała się

do dzieciobójstwa. Sprawę relacjonowały ogólnokrajowe media, a poli-

cjanci i lekarze sądowi zaczęli ponownie przyglądać się przypadkom, któ-

re wcześniej uznano za skutek zespołu nagłego zgonu niemowląt, czyli

śmierci łóżeczkowej.

Arthur, mąż Marie, siedział w milczeniu na sali sądowej, kręcąc z nie-

dowierzaniem głową, gdy wyczytywano imiona ich ośmiorga dzieci.

Prokurator scharakteryzował jego żonę jako wielokrotną morderczynię

pokroju Teda Bundy ego. obrońca, David Rudenstein, twierdził, że Marie

,nie ma natury mordercy. To jeden z tych przypadków, które uzmysławiają

nam, że jesteśmy tylko ludźmi. Czasami popełniamy czyny, których nie

sposób wytłumaczyć".

Sąd potraktował Marie jak godną pożałowania staruszkę, a nie psycho-

patyczną morderczynię. Nie skazano jej na karę więzienia: na mocy umo-

wy z prokuratorem, który wziął pod uwagę kłopoty zdrowotne Arthura,

otrzymała dwadzieścia lat nadzoru sądowego i pięcioletni zakaz opuszczania domu (w tym co najmniej rok z monitoringiem elektronicznym). Na-  
kazano jej również poddanie się psychoterapii. Umysł Marie uznano za interesujący przypadek wart naukowego zbadania pod kątem motywacji prowadzących do dzieciobójstwa. „Wiem tylko, że jestem bardzo chora”,  
powiedziała Marie reporterom. Towarzystwo Vidocq'a przyznało Medale Honoru dziennikarzo-  
wi czasopisma „Philadelphia” Stephenowi Friedowi oraz sierżantowi  
447  
filadelfijskiego wydziału zabójstw Larryemu Nodiffowi za pracę przy  
sprawie Noe.  
Mimo radosnej atmosfery balu Fleisher doskonale pamiętał o spra-  
wach, które nie miały pozytywnego finału. „Jestem Żydem. Zawsze cze-  
goś żałuję”, tłumaczył.  
Na jednym z pierwszych miejsc listy takich spraw znajdował się przy-  
padek Carol Ann Dougherty, dziewięcioletki zgwałconej i  
zamordowa-  
nej w kościele w 1962 roku. Śledztwo prowadzone przez policję z  
Bristol  
utknęło w martwym punkcie. Zasugerowane przez Towarzystwo bada-  
nia DNA dały „niejednoznaczne” wyniki. W 1997 roku komendant  
Frank  
Peranteau poinformował, że uznaje sprawę za zamkniętą.  
Podczas wstęp-

nego procesu ława przysięgłych za prawdopodobnego sprawcę  
uznała czło-  
wieka, który został już wcześniej skazany za morderstwo w innym  
stanie.

O'Kane napisał w wewnętrznych aktach sprawy: „Dochodzenie  
zdaje się  
oczyszczać z zarzutów księdza, nie zdołało jednak wyjaśnić  
śladów dusze-  
nia”, które pasowały do jego cingulum. Nikogo w tej sprawie nie  
aresz-  
towano.

W 2005 roku — czyli trzynaście lat po tym, jak Towarzystwo  
Vidocq'a  
uznało księdza Sabadisha za głównego podejrzanego — ława  
przysięgłych  
w Filadelfii umieściła go na liście sześćdziesięciu trzech księży  
pedofilów,  
którym w minionym półwieczu tamtejsza archidiecezja pozwalała  
mole-  
stować wiernych. W przypadku wykrycia przestępczych  
skłonności księ-  
dza przenoszono go po prostu do innej parafii, tuszując w ten  
sposób setki  
przypadków molestowania.

Joan McCrane zeznała w sądzie, że Sabadish molestował ją w  
1960 roku

(dwa lata przed zamordowaniem Carol), kiedy miała siedem lat.

Działo się

to w kościele Św. Michała Archaniola w Levittown. Zaczęło się od  
„łasko-

tania. Kładł mi ręce na ramionach. Następnie na klatce piersiowej.

Później

zaczął je wsuwać w majtki. Powiedział, że będzie to nasza

tajemnica i że

jeśli komuś o tym opowiem, pójdę do piekła. Milczałam, ponieważ

jako  
mała dziewczynka byłam śmiertelnie przerażona", opowiadała.  
Zanim Sabadish został w 1962 roku przeniesiony do parafii św.  
Marka,  
molestował przez dwa kolejne lata Joan oraz jej  
dziesięcioletniego brata, Bil-  
la Henisa. Zmuszał rodzeństwo do kontaktów seksualnych — w  
pewnym  
448  
okresie cotygodniowo — na plebanii kościoła św. Marka i św.  
Michała,  
u siebie w domu, w samochodzie i w domu swojej matki.  
— Nienawidziłem go i się go bałem — mówił Henis. — On nie  
prze-  
padał za dziećmi. Bił po twarzy, wymyślał od najgłupszych.  
Potrafił się  
wkurzyć z byle powodu. Tłumaczył, że właśnie w ten sposób  
okazuje  
mi miłość. Za każdym razem dostawałem cukierki. Miał ich  
zawsze peł-  
no w schowku w samochodzie. Mówił, że umieściły je tam  
cukierkowe  
wróżki".  
Sabadish nie dożył dnia, w którym ujawniono jego tajemnicę. Po  
okre-  
sie posługi w kościele w Norristown, w 1994 roku został po raz  
piętnasty  
mianowany proboszczem — tym razem parafii św. Stanisława w  
Lans-  
dale w Pensylwanii. Później przeszedł na emeryturę. Zmarł w  
1999 roku  
w wieku osiemdziesięciu jeden lat. Wygłaszający mowę na jego  
pogrzebie  
ksiądz nazwał go człowiekiem, który „odcisnął piętno na  
niezliczonych

duszech, zwłaszcza duszach dzieci".

Fleisher nadal uważał, że Towarzystwo Vidocq'a miało rację, a prowadząca przed laty śledztwo policja nie potrafiła powiązać ze sobą faktów.

„Był winien na sto procent. Facet był potworem”, twierdził. Mimo upływu czterdziestu siedmiu lat oficjalnie wciąż nie było wiadomo, kto zamordował Carol Ann Dougherty.

Wokół Bendera gromadził się coraz większy tłum. Jak zwykle wszyscy rozmawiali o najnowszych dokonaniach rzeźbiarza. Ustalenie tożsamo-

ści kobiety z Kolorado trafiło na łamy ogólnokrajowych gazet i pomogło

w rozwiązaniu najstarszej sprawy, z jaką Towarzystwo Vidocq'a kiedykolwiek miało do czynienia.

Tuż przed rozpoczęciem balu Fleisher dowiedział się, że biuro szery-

fa hrabstwa Boulder zidentyfikowało zwłoki znalezione przez turystów

wędrujących wzdłuż brzegów strumienia Boulder 8 kwietnia 1954 roku.

Należały do Dorothy Gay Howard, osiemnastoletniej blondynki, której

zaginięcie zgłoszono w Phoenix w stanie Arizona.

Członkowie Towarzystwa Vidocq'a pracowali nad tą sprawą od 2004 roku, kiedy biuro szeryfa wznowiło śledztwo. Do

przeprowadzenia

ekshumacji szczątków kobiety wysłano na miejsce dwóch szanowanych

lekarzy sądowych: doktora Waltera Birkbyego, członka

Towarzystwa



449

Vidocqą, antropologa sądowego zatrudnionego w Laboratorium Identyfikacji Zwłok w Tuscon w stanie Arizona, oraz patologa doktora Richarda Froede, byłego głównego lekarza sądowego Departamentu Obrony Stanów Zjednoczonych.

Doktor Birkby wystąpił w filmie dokumentalnym telewizji Discovery Channel Mumie: zamrożeni w czasie-, należał także do zespołu naukowców,

który odkrył szczątki Alfreda Packera, kanibala z Kolorado, oraz pięciu

zamordowanych i skonsumowanych przez niego poszukiwaczy złota. Do

makabrycznych wydarzeń doszło w 1874 roku, a analiza kości ofiar wska-

zywała, że mężczyzna pożarł ich „w dzikim szale”.

Grób niezidentyfikowanej kobiety zapadał się stopniowo przez pięć-

dziesiąt lat, miażdżąc szkielet. Birkby i Froede przez dwa dni w pocie czoła

wydobywali z ziemi drobne odłamki kości. Następnie przez trzy lub cztery

tygodnie doktor Birkby składał z nich czaszkę kobiety, co z kolei pozwo-

liło Benderowi zrekonstruować twarz. Popiersie pokazano w Najbardziej

poszukiwanych ludziach Ameryki-, o sprawie informowała również prasa. Po

jakimś czasie z biurem szeryfa skontaktowała się Michelle Marie Fowler,

twierdząc, że niezidentyfikowana kobieta mogła być jej cioteczną babką.

Próbka DNA pobrana od Roberty Marlene Howard-Ashman —

żyjącej  
młodszej siostry zaginionej Dorothy Gay Howard, której los nie  
dawał  
krewnym spokoju, pasowała do DNA ekshumowanych szczątków.  
Teraz  
rodzina mogła ostatecznie rozliczyć się z przeszłością, co nie  
udawało się  
od pięćdziesięciu sześciu lat.  
Trzy dni po balu Towarzystwa Vidocq'a biuro szeryfa przekazało  
pra-  
sie informację o ustaleniu tożsamości Howard. W komunikacie nie  
wy-  
mieniono nazwy Towarzystwa, ale Steve Ainsworth, oficer  
śledczy z biura  
szeryfa, powiedział: „Frank dał jej twarz i osobowość. Popiersie i  
prawdzi-  
wa Howard były do siebie podobne jak dwie krople wody”.  
Z roku na rok osiągnięcia Bendera były coraz bardziej  
zdumiewające  
i doceniane, ale na tryumfach święconych tego wieczoru położyła  
się cie-  
niem nieobecność jego żony. Choroba nie pozwalała jej na  
opuszczanie  
domu. Nastąpił nawrót nowotworu. Jan wierzyła, że miłość męża i  
bo-  
ska interwencja przedłużyły jej życie o rok. Niewiele wcześniej,  
wyczer-  
pana bólem, musiała zrezygnować z pracy na stanowisku  
repcjonistki  
450  
w kancelarii prawnej i znów zamierzała przenieść się do  
hospicjum. Leka-  
rze nie dawali jej nawet roku życia. Bender starał się zachować  
 optymizm.  
„Jan pokonała raka poprzednio, a lekarze nie potrafili tego

wyjaśnić. Jeżeli  
cud zdarzył się raz, to dlaczego nie miałyby się zdarzyć ponownie".  
Na bal przyszedł z Joan. Wysoka blondynka w czarnej sukience z efek-  
towną fryzurą spoglądała z czułością i dumą na Franka, kiedy  
kolejne oso-  
by podchodziły, aby podnieść go na duchu i pogratulować  
sukcesów.

Bender wciąż przeżywał odejście legendarnego lekarza  
sądowego Hala  
Fillingera, weterana Towarzystwa Vidocq'a. To właśnie od  
spotkania z Ha-  
lem w 1977 roku rozpoczęła się przygoda Bendera z plastyką  
sądową. Przez  
kolejne trzydzieści dwa lata rzeźby Bendera zmieniały oblicze  
amerykań-  
skiej kryminologii. FBI długo lekceważyło talent Bendera,  
eksperymen-  
tując z komputerowym odtwarzaniem wizerunków poszukiwanych  
osób,  
ale w końcu wróciło do tradycyjnej metody modelowania ręcznego  
— tej  
samej, którą stosował Frank.

Bender przyczynił się znacząco do schwytania w 1987 roku  
człowieka  
zajmującego pierwsze miejsce na liście Najbardziej  
Poszukiwanych Prze-  
stępców w Stanach Zjednoczonych, bossa Cosa Nostry  
Alphonsea „Ma-  
łego Alliego” Pésico. Aresztowanie wstrząsnęło nowojorską  
rodziną  
mafijną Josepha Colombo. Pésico był starszym bratem i prawą  
ręką Car-  
minea „Węża” Pésico, ojca chrzestnego rodziny Colombo.  
12 września 1989 roku Mały Allie zmarł na raka krtani w wieku

trzy-  
dziesiętu sześciu lat. Dwudziestopięcioletni wyrok odsiadywał w  
więzieniu  
federalnym w Lompoc w Kalifornii.  
John E. List, którego popiersie przyniosło Benderowi międzynaro-  
dową sławę dwie dekady wcześniej, zmarł 21 marca 2008 roku na  
skutek  
powikłań po zapaleniu płuc. Odsiadywał wyrok w więzieniu  
stanowym  
New Jersey w Trenton. Przeżył osiemdziesiąt dwa lata, w tym  
osiemnaście  
utrzymywany za pieniądze podatników stanu New Jersey —  
niemal rów-  
nie długo ukrywał się przed policją. Zmarł trzydzieści siedem lat  
po tym,  
jak zamordował żonę, matkę i dzieci. W wywiadzie udzielonym w  
2002  
roku Connie Chung z telewizji ABC powiedział, że zabił swoich  
bliskich  
ze strachu, że swoimi długami zniszczy im życie oraz że odejdą  
od wia-  
ry chrześcijańskiej. Układając ciała żony i dzieci pod szklaną  
kopułą sali  
451  
balowej w swoim domu, modlił się głośno za ich dusze. Walter  
zauważył,  
że gdyby List sprzedał ową kopułę, zbudowaną z witraży w stylu  
Tiffa-  
nyego, mógłby pozbyć się długu — a nie rodziny.  
Do ostatnich dni List wysyłał co miesiąc list do dziewięćdziesięcio-  
trzyletniego luterańskiego pastora, którego znał z czasów  
młodości. Pa-  
stor wierzył, że Bóg wybaczył Listowi. W gazecie „Star-Ledger” z  
Newark  
pojawiła się jednak inna opinia: „Jeżeli piekło, w które tak mocno

wierzył

John List, rzeczywiście istnieje, bez wątpienia do niego trafił". „New York Times” przypomniał czytelnikom, że producent Najbardziej poszukiwanych ludzi Ameryki poprosił „Franka Bendera, rzeźbiarza wykonującego rekonstrukcje twarzy, oraz Richarda Waltera, profilerę i kryminologa” o pomoc w schwytaniu Lista. Przez poprzednich osiemnaście lat kilkudziesięciu agentów FBI i oficerów śledczych z hrabstwa Union w stanie New Jersey nie zdołało wpaść na jego trop. Jedenaście dni po upublicznieniu popiersia Bendera morderca został aresztowany. Szerokim echem odbiła się wypowiedź Johna Walsh, prowadzącego Najbardziej poszukiwanych ludzi Ameryki, który właśnie przygotowane mu przez Bendera popiersiu Lista przypisał niezwykłą popularność programu. „Dzwonię do Franka, kiedy mamy jakąś trudną sprawę”, zwierzał się Walsh. Bender bez wątpienia nie musiał się martwić o miejsce w historii kryminalistyki. „Times” z godną podziwu pieczołowitością opisał jego metody pracy. „Po przeanalizowaniu fotografii Lista jako czterdziestolatka, Frank Bender próbował wyobrazić sobie, jak przeorana przez upływ czasu twarz mordercy może wyglądać w 1989 roku”. Sam rzeźbiarz niemal dostał apopleksji po przeczytaniu kolejnego zdania artykułu: „Richard Walter doszedł do wniosku, że List będzie

nadal  
nosił okulary w rogowej oprawie, aby nadać sobie wygląd  
człowieka suk-  
cesu". Mimo że gazeta raczej wiernie trzymała się faktów, Bender  
z jeszcze  
większą mocą zaczął zwalczać wszelkie wzmianki o drobnej,  
choć istotnej  
roli, jaką Walter miał odegrać w stworzeniu popiersia Lista.  
Odgrażał się,  
że poda do sądu wszystkie koncerty medialne, których  
pracownicy po-  
pełnią ten sam błąd. „Frank, kompletnie ci odbiło?", nie wytrzymał Wal-  
ter. Ale nie zamierzał dolewać oliwy do ognia. „Nawet jeśli jest  
wariatem,  
452  
to przynajmniej oswojonym. Frank to mój partner, więc muszę go  
przyj-  
mować z całym dobrodziejstwem inwentarza".  
Na miesiąc przed dorocznym balem Towarzystwa Vidocqa doszło  
do symbolicznego podsumowania trzydziestolecia współpracy  
rzeźbia-  
rza z policją. John Martini, płatny zabójca pracujący dla mafii,  
który  
w 1977 roku zamordował Annę Duval przy lotnisku w Filadelfii,  
zmarł  
w więzieniu stanowym New Jersey w Trenton. Rekonstrukcja  
twarzy  
Anny Duval była pierwszym zleceniem, które Frank wykonał dla  
policji.  
Siedemdziesięciodziewięcioletni Martini, najstarszy więzień stanu  
New Jersey przebywający w celi śmierci, poruszał się pod koniec  
życia na  
wózku inwalidzkim. Był schorowany, otyły i cierpiał na depresję.  
W 1991

roku poinformował swojego adwokata, że woli zrezygnować ze składania kolejnych odwołań i umrzeć, niż żyć się paskudnym więziennym je-  
dzeniem i wegetować w tych potwornych warunkach. Na tydzień przed planowaną egzekucją zakonnica pełniąca funkcję więziennego kapelana  
zdołała przekonać go do zmiany zdania. Wyroku nie wykonano. Przypadek Marilyn Flax, wdowy po Irvingu Flaksie, porwanym i za-  
mordowanym przez Martiniego w 1989 roku, uzmysławiał Fleisherowi,  
skąd czerpie energię do dalszej pracy. Wiele ofiar spotykała dodatkowa  
krzywda ze strony wymiaru sprawiedliwości. Przez wiele lat Marilyn nie miała odwagi pójść do oddziału banku, w którym wybrała z rachunku oszczędnościowego dwadzieścia pięć tysięcy dolarów na okup za męża (Martini i tak go zastrzelił). Sama prowadziła negocjacje z porywaczem i musiała spojrzeć w jego pozbawione jakichkol-  
wiek uczuć oczy podczas przekazywania pieniędzy. Sypiała po trzy godzi-  
ny na dobę, przerażona, że Martini spełni groźbę i naśle na nią mordercę. Nadal nosiła diamentowy naszyjnik, który dostała od męża. W komodzie w sypialni trzymała jego pidżamy, skarpetki i krawaty. Nie roz-  
stawiała się z pierwszym listem, który do niej wysłał: „Już za tobą tęsknię”.  
„Byliśmy w sobie zakochani po uszy. Wieczorem nie mogłam się doczekać,  
kiedy ponownie zobaczę go rano. On kochał mnie równie mocno”,

opo-  
wiadała. Kiedy zrozumiała, że nigdy nie będzie jej dane obejrzeć  
egzekucji  
Martiniego, napisała do niego list. „Odebrał mi pan miłość życia.  
Mówią,  
że Bóg jest miłosierny, ale ja wiem, że bramy Raju nigdy się  
przed panem  
453  
nie otworzą. Myśl, że pańska dusza będzie po wieczność cierpieć  
katusze,  
przynosi mi pocieszenie. Miłej zabawy w piekle”.  
Walter i Bender nadal byli nierozłączni. Pojechali razem do Man-  
lius w stanie Nowy Jork, gdzie Policyjne Stowarzyszenie na rzecz  
Dobro-  
czynności wydało na ich cześć bankiet, chcąc podziękować za  
współpracę  
w rozwiązaniu sprawy morderstwa Lorean Weaver, Dziewczyny  
bez Twa-  
rzy. Po przyjęciu przenieśli się do zatłoczonego hotelowego baru,  
gdzie  
rozgrywano zawody w picciu wódki. O czwartej nad ranem jako  
jedyni po-  
trafili ustać na nogach. Następnego dnia wygłosili wykład w  
szkole śred-  
niej dla uczniów uczęszczających na zajęcia z sądownictwa.  
Nauczycielką  
przedmiotu była Kathy Hall, żona oficera śledczego Keitha Halla,  
któ-  
ry jako pierwszy skontaktował się z Benderem i Towarzystwem  
Vidocq'a  
w sprawie Dziewczyny bez Twarzy; później i on otrzymał Medal  
Honoru.  
Podczas wykładu Walter zrozumiał, że mimo wszystkich różnic łą-  
czy go z Benderem nietypowa więź — umiejętność zaglądania  
pod po-



wierzchnię tajemnicy. Bender tłumaczył słuchaczom, że wyrzeźbienie twarzy na bezimiennej czaszce wymaga dostrzeżenia niewidzialnej harmonii wszechświata. Gdy przyszła kolej na Waltera, powiedział: „Kto zagłębi się w duszę przestępcy i usłyszy o rzeczach, do których zdolni są tylko ludzie naprawdę źli, coś się w nim zmienia. Człowiek traci niewinność. O wielu rzeczach wolałbym nie wiedzieć”. Szczupły mężczyzna dodał, że kiedy człowiek pozna prawdziwe zło, zaczyna rozumieć, jak cenne jest życie. „Pamiętajcie zatem: życie jest piękne. Życie jest wspaniałe!”.

Nie minęło wiele czasu, a Bender zaczął opowiadać na prawo i lewo, że Walter wskazał niewłaściwego podejrzanego w sprawie morderstwa z Manlius.

Fleisher wszedł na podium i poprosił o ciszę. W poprzednich latach Towarzystwo Vidocq'a uhonorowało słynnego antropologa sądowego Williama Bassa za stworzenie przy Uniwersytecie w Tennessee Farmy Zwłok, która zrewolucjonizowała badanie rozkładu ludzkiego ciała; agenta specjalnego FBI Johna S. Martina, który schwytał głównego radzieckiego szpiega w Stanach Zjednoczonych oraz prowadził śledztwo w sprawie zamordowania w 1964 roku w Meridian w stanie

Missisipi trzech aktywistów działających na rzecz praw człowieka; oraz doktora Henry ego Lee, który nadzorował dochodzenie w sprawie śmierci JonBenet Ramsey i Laci Peterson oraz morderstwa, którego miał się dopuścić O.J. Simpson na Nicole Brown Simpson i Ronaldzie Goldmanie.

Tego roku dwaj pierwsi laureaci byli wielkimi sympatykami Towarzystwa Vidocqa. Prokurator okręgowa Filadelfii Lynn Abraham słynęła z nieustępliwości i prawości. Od wielu lat niestrudzenie próbowała schwycić zbiegłego mordercę Irę Einhorna. Haskell Askin, jeden z najwybitniejszych dentystów sądowych w Stanach Zjednoczonych, przygotowywał ekspertyzy w wielu głośnych sprawach, od procesu Megan Kanki do śledztwa prowadzonego po atakach terrorystycznych z 11 września 2001 roku.

Abraham wygłosiła poruszającą mowę o determinacji, jaka przepełniała ją, gdy postanowiła zostać prawniczką po tym, jak nie pozwolono jej na studiowanie medycyny — o której marzyła — ponieważ była kobietą i Żydówką. Askin, ku zaskoczeniu tych, którzy nie widzieli go od dłuższego czasu, z rubasznego mężczyzny u szczytu możliwości zawodowych zmienił się w wymizerowanego, smutnego staruszka o bladym uśmiechu — on również padł ofiarą nowotworu. Otoczony rodziną i przyjaciółmi podzię-

kował kolegom w odważnym, pełnym humoru przemówieniu, które sprawiało wrażenie eleganckiego pożegnania. Tamtego wieczora doszło do kilku innych zaskakujących wydarzeń. Kolejnym punktem programu było wręczenie najwyższego odznaczenia Towarzystwa Vidocqa, nagrody za całokształt pracy imienia Halberta Fillingera. Powędrowała w ręce Franka Bendera. Frank Bender podziękował niezwykłemu mentorowi Halowi Fillingerowi za to, że trzydzieści lat wcześniej zlecił mu zrekonstruowanie twarzy zwłok numer 5233. Opowiedział o szoku, który przeżył, dotykając palcami zimnego, zsiniałego ciała. „Wiecie dobrze, że wolę ciała gorące”. Wyszczrzył zęby, błyskając srebrnym siekaczem. Na sali rozległy się śmiechy. Smoking nie był w stanie ukryć wysportowanego ciała ani typowego dla niego wigoru. Miał sześćdziesiąt osiem lat na karku, łysinę i siwą bródkę, ale wyglądał na co najmniej dziesięć lat mniej. Wciąż budził zazdrość młodszych mężczyzn i wyglądał na faceta, który poradziłby sobie z każdym napastnikiem. Wydawało się, że czeka go jeszcze wiele lat wspólnej pracy z wymiarem sprawiedliwości. Jego oczy wciąż emanowały charakterystycznym, nienaturalnie mocnym blaskiem. Tacy jak on, niezależnie od wieku, mają powodzenie u kobiet.

Bender miał poczucie, że wielki patolog nad nim czuwa. Fillinger powiedział mu kiedyś: „Kiedy już połkniesz bakcyła nauk sądowych, staną się twoją pasją na całe życie”. Miał rację. Przynależność do Towarzystwa Vidocqa była dla Bendera źródłem nieustającej radości. Tylko podczas służby w marynarce wojennej miał poczucie podobnego braterstwa. Zawsze pragnął w większym stopniu uczestniczyć w działalności Towarzystwa, niestety jego zdolności mogły się przydać tylko w nielicznych sprawach. Zawsze miał poczucie, że mógłby zrobić więcej. Uśmiechnął się i podziękował wszystkim zebranym. Sala rozbrzmiała burzą oklasków, które trwały jeszcze długo po tym, jak usiadł z powrotem na swoim miejscu. Był „ich Frankiem”, łobuzem wśród szlachetnych, herosem wśród śmiertelników, wcieleniem szalonego Vidocqa. Ludzie go uwielbiali. Pozwalali mu na wszystko. Walter siedział z nachmurzoną miną. Czegóż takiego dokonał Bender — jego równolatek — aby zasłużyć na ten zaszczyt? Richard czuł się dziwnie, słuchając, jak Frank wspomina z rozrzewnieniem różne momenty kariery, która przecież trwała w najlepsze. Do świeżych osiągnięć należała chociażby identyfikacja kobiety z Kolorado. Waltera zdziwił również ton, którym Fleisher przedstawił „swojego wspaniałego przyjaciela

Fran-  
ka Bendera" w emocjonalnym wystąpieniu podsumowującym  
kilka dekad  
znajomości, a następnie niezdarnie wyściskał Franka. Nikt nie  
wykazy-  
wał większego zapału do pracy niż Bender — człowiek o końskim zdro-  
wiu i niespożytej energii. Nikt w większym stopniu nie żył  
teraźniejszością,  
a w mniejszym wspomnieniami.  
Po ceremonii Bender, Fleisher i Walter wyszli razem na taras, z  
które-  
go rozciągał się widok na rzekę. Do założycieli Towarzystwa  
dołączyli inni  
mężczyźni w smokingach, z cygarami i kieliszczkami porto  
(Cockburn's  
Special Reserve) oraz kobiety w sukniach i szpilkach, z lekkimi  
szalami  
zarzuconymi na ramiona. Jesienny wieczór był wyjątkowo ciepły.  
Człon-  
kowie Towarzystwa Vidocqa wpatrywali się w płynącą w  
ciemnościach  
456  
rzekę. Przeciskający się między brzegami nurt tworzył niemal  
jednorod-  
ną powierzchnię z równinnym terenem; niczym ścieg łączący dwa  
ame-  
rykańskie stany.  
— Ależ tu jest cudownie — westchnął Frank. — Liczy się tylko  
tu i te-  
raz, co nie, chłopaki?  
Uśmiech, ton głosu i błyszczące oczy zdradzały rozpierającą go  
radość.  
Koledzy pokiwali głowami.  
— Pewnie, że jest cudownie, Frank.

Oni wiedzieli. Kilka innych osób też wiedziało. Frank nie chciał zdradzić swojego sekretu zbyt wielu osobom. Frank Bender był śmiertelnie chory. Walter spojrzął na Fleishera, który zaśmiał się nerwowo. „Owszem, decyzja zapadła w ostatnim momencie. Nie zamierzaliśmy dać Frankowi tej nagrody, ale kiedy się dowiedzieliśmy, że jest umierający, doszliśmy do wniosku, że nie mamy wyboru”. Walter spiorunował go wzrokiem. Bender ryknął ze śmiechu. Kilka dni wcześniej dowiedział się, że cierpi na międzybłoniaka płucnej, niezwykle rzadki nowotwór wywołany przez kontakt z azbestem, występujący tysiąc razy rzadziej niż rak płuc, na którego zapadają nałogowici palacze — u jednej osoby na milion. Niestety był śmiertelny. Międzybłoniak rozwija się od dwudziestu do pięćdziesięciu lat. Bender miał kontakt z azbestem podczas służby w marynarce wojennej, do której się zaciągnął, aby uniknąć studiów na akademii sztuk pięknych. Marynarka chciała zrobić z niego fotografa, ale odmówił. Wolał pracować w maszynowni, jak jego ojciec. Nie zdołał zagłuszyć artystycznej duszy i nieustannie szkicował portrety innych mechaników. Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych spędził trzy lata w maszynowni eskortowca niszczyciela U.S.S. Calcaterra. „Nie tylko pracowałem

w po-  
mieszczeniach pełnych azbestu, praktycznie żyłem i spałem z  
azbestem",  
wspominał.  
Nowotwór rozrastał się w klatce piersiowej. „Jest większy od  
główki  
niemowlęcia", powiedział mu lekarz. To porównanie  
sprowokowało go do  
rozważań pełnych patosu i goryczy. Zupełnie jakbym miał urodzić  
wła-  
sną śmierć, rozmyślał. Naświetlania pozwoliłyby zmniejszyć ból,  
ale nie  
457  
mogły go uratować. Chemioterapia mogła spowodować  
obumarcie nerek.  
„Operacja nic by nie dała, ponieważ rak oplótł mi serce i płuca  
niczym ja-  
kaś pajęczyna. Nic mnie już nie uratuje", tłumaczył.  
Przejęty zwierzył się swoim partnerom. Poprosił Fleishera, aby prze-  
czytał jego wyniki badań i powiedział, co o nich sądzi.  
„Rzeczywiście, nie-  
ciekawie to wygląda, Frank", przyznał ze smutkiem Fleisher,  
zaraz jednak  
delikatnie się uśmiechnął. „To się mogło zdarzyć tylko tobie. Lada  
chwi-  
la złączą o nas kręcić film, a ty zamierzasz kopnąć w kalendarz.  
Wielka  
kasa jest na wyciągnięcie ręki, ale już tego nie doczekasz".  
Bender wybuchnął śmiechem. Przyjaźnili się od wieków. Słowa Flei-  
shera nie mogły go urazić. Bender kochał życie i nie zamierzał  
tego zmie-  
niać. Nie bał się przyszłości — był Frankiem.  
W nocy przychodziły silne bóle. Lekarze przepisali morfinę, ale

nie

zamierzał jej brać.

„Wódka z sokiem pomarańczowym jest znacznie skuteczniejsza”,  
twier-

dził. Popularny screwdriver łagodził ból w bardziej naturalny  
sposób, poza

tym miał w sobie seksapil. Trudno poderwać kobietę, kiedy  
człowiek jest

nafaszerowany morfiną.

— Najbardziej przejmuje się tym, że nie będzie mógł uprawiać  
seksu —

powiedział Fleisher Walterowi.

Walter wznosił oczy do nieba.

— Cały Frank.

— Mam wrażenie, że nie uprawia go tak często, jak by to  
wynikało

z jego opowieści — dodał Fleisher. — Zdaje się, że po prostu lubi  
się tym

przechwalać.

Walter przytaknął. Nie do końca wierzył nawet w to, że Bender  
rze-

czywiście ma raka. Nie wierzył Frankowi, kiedy ten trąbił w  
mediach

o „cudownym” zniknięciu nowotworu u Jan. Później doszło  
przecież do

nawrotu choroby. Czy rzeczywiście rak całkowicie zniknął? A  
może Frank

był uzależniony od medialnej sławy, dzięki której dostawał kolejne  
zlece-

nia? Owszem, było to poważne oskarżenie, ale Walter nie z  
takimi oszu-

stwami miał na co dzień do czynienia. Niemniej w głębi serca  
wiedział, że

dystans do problemów przyjaciela wynika w przeważającej mierze  
z lęku



przed utratą bliskiej osoby.

458

Nie chciał słyszeć, że Frank jest chory. Nie chciał słyszeć, że może umrzeć.

— Richard, jak chcesz, pokażę ci wyniki badań — powiedział Bender

podczas następnego lunchu Towarzystwa Vidocq'a.

— To nie będzie konieczne — odparł Walter, biorąc przyjaciela pod rękę. — Chodź ze mną.

Zaciągnął go do doktor Maryanne Costello, członkini Towarzystwa

i byłej głównej lekarz sądowej stanu Wirginia. Doktor Costello była jed-

nym z najbardziej szanowanych patologów sądowych w kraju.

Walter, in-

karnacja Sherlocka Holmesa, rozpoczął właśnie śledztwo.

— Powtórz doktor Costello to, co powiedzieli ci lekarze.

Bender zdał szczegółową relację. Nie minęła chwila, a między Fran-

kiem a panią doktor wywiązała się ożywiona dyskusja, w której padło, jak

wspominał później Walter, „wiele całkowicie niezrozumiałych słów”.

— Ile czasu dają panu lekarze? — spytała doktor Costello.

Walter opuścił głowę. „Wtedy zrozumiałem, że to się dzieje naprawdę”.

— Od ośmiu do osiemnastu miesięcy. Rak pochłoniął już całkowicie

jedno żebro.

Walter uniósł brwi.

— Ja mam jedno nadmiarowe — powiedział.

Bender spojrzał na niego ze zdumieniem.

— Nie żartuję. Jak chcesz, jest twoje.

— Dzięki. Dbam o linię.

Roześmiali się.

— Musi pani zrozumieć, że w ostatecznym rozrachunku u Franka za-

wsze zwycięża próżność.

Bender pragnął jak najpełniej wykorzystać ostatnie wspólne chwile

z Jan. Wiedział, że zawsze byli sobie przeznaczeni, niemniej dopiero te-

raz czuł to każdym zakamarkiem duszy. Przypominał sobie, jak w wie-

ku ośmiu lat stał na ganku przy Lithgow Street 2520. Dwoje młodych

ludzi z dzieckiem zapukało do drzwi sąsiedniego domu. Pod numerem

2518 mieszkali Schwartzowie. Drzwi się otworzyły i gospodarze powitali

gości. Frank widział, jak wchodzi z dzieckiem do środka. Po latach do-

wiedział się, że Schwartzowie byli wujostwem Jan, a ona była dzieckiem,

459

z którym przyszła wtedy młoda para — dziewczynka miała zostać tego

dnia ochrzczona. „Moją żonę zobaczyłem po raz pierwszy tuż po jej uro-

dzeniu. To się dopiero nazywa związek z historią”, zachwycał się Frank.

Teraz razem umierali. Lekarze dawali im niemal tyle samo czasu.

Frank miał poczucie, jakby na podstawie historii ich związku można było

napisać libretto opery. „To w sumie bardzo romantyczne”.

Resztki sił poświęcał na opiekę nad żoną. „Przypominam Iont, któ-

ry niemal całkowicie się wypalił”, mówiła

sześćdziesięciojednoletnia Jan.  
Była wyczerpana; chemioterapia uszkodziła układ nerwowy.  
Frank na-  
dal wykonywał popiersia dla policji. Był gotów wziąć każde  
zlecenie, byłe  
tylko współpracować z Towarzystwem Vidocq'a. Ale nastaly czasy  
recesji  
i o pracę było coraz trudniej.  
Ponownie chwycił za pędzel, od którego przecież rozpoczął  
przy-  
godę ze sztuką. Wrócił do malowania. Akwarela przedstawiająca  
Jan jako  
zjawę unoszącą się nad zielonym polem. Surowy, gotycki,  
utrzymany  
w czerniach i szarościach szkic pustkowia, nad którym triumfalnie  
góru-  
je strzelista świątynia (kościół św. Piotra, sanktuarium słynącego  
z cudów  
św. Jana Neumanna). Mężczyzna uprawiający seks w pociągu z  
młodą  
kobietą.  
Kiedy Jan po raz pierwszy zachorowała, namalował siedem  
obrazów  
inspirowanych jej osobą. Potem umieścił je w Internecie z krótkim  
pod-  
pisem: „Przeżyła!”.  
W Halloween 2009 roku Frank i Jan, którzy przed laty  
zorganizowali  
przyjęcie weselne na cmentarzu, uczcili trzydziestodzieciolatec  
mał-  
żeństwa z pasją godną młodych kochanków. Pili alkohol i tańczyli  
do  
Nobody Does It Better. „Mieli za sobą bogate życie. Szkoda, że  
nie mogli  
spędzić ze sobą więcej czasu”, powiedziała ich córka,

trzydziestoośmiolet-  
nia Vanessa Bender reporterowi „Philadelphia Inquirer”.  
Frank twierdził, że nie boi się śmierci. „Nie przeszłyby mi przez  
usta  
słowa w rodzaju: Cholera, żałuję, że tego czy tamtego nie  
zdażyłem zro-  
bić. Wiem doskonale, czego w życiu dokonałem. Nawet gdybym  
umarł  
za osiem miesięcy, miałbym poczucie spełnienia”. Śmierć nie była  
dla nie-  
go czymś obcym — od wielu lat utrzymywał bliskie kontakty z  
Kostuchą.  
Poza tym miał poczucie, że po śmierci czeka go wiele dobrego.  
460  
„Ojciec woli zidentyfikować kolejną ofiarę morderstwa, niż przyjąć  
ko-  
mercyjne zlecenie. Doprowadza tym matkę do szału, ale wiem, że  
kiedy  
pójdzie do nieba, będzie tam na niego czekała kolejka  
wdzięcznych dusz”,  
opowiadała „Inquirerowi” druga córka Franka i Jan,  
czterdziestocztero-  
letnia Lisa Brawner.  
„We wszystkich snach zmarli nade mną czuwają”, mówił Bender.  
Tamtego wieczoru, otoczony blaskiem świateł i spływającą ku  
rzece  
muzyką, miał poczucie, jakby śnił. Barb Cohan-Saavedra,  
przyjaciółka  
i była zastępczyni prokuratora generalnego, pogratulowała mu  
serdecznie  
nagrody. Powiedziała, że dla niej zawsze był czarodziejem.  
— Od początku wiedzieliśmy, że jesteś Merlinem — zażartował  
Flei-  
sher. — Cieszę się, że wreszcie ktoś to ogłosił oficjalnie, na forum  
pu-

blicznym.

— Mężczyźni — a obecnie również kobiety — od tysięcy lat zbierają się przy okrągłych stołach, aby walczyć ze złem. Istnieją świadectwa potwierdzające historyczność króla Artura. Dlaczego wszystkie legendy arturiańskie mają trzech bohaterów? Dlaczego te archetypowe postacie przetrwały dziesięć stuleci? Spójrzcie tylko na Fleishera, Bendera i Waltera — ciągnęła Cohan-Saavedra. — W starych opowieściach zawsze występuje ranny król próbujący uratować chylące się ku upadkowi państwo, stojący u jego boku rycerz, który ma pokonać zło, oraz czarodziej, Merlin, jasnowidz potrafiący wkroczyć w świat umarłych, odrzucić prosty podział na dobro i zło, który zostaje ostatecznie zauroczony przez kobietę. Bender wyszczerzył zęby; słuchacze zatrzęśli się od śmiechu. — Dlaczego miejsce obok króla zawsze pozostaje puste? Ponieważ jest to Miejsce Przekłète, które przyniesie zgubę każdemu z wyjątkiem rycerza gotowego wyruszyć na poszukiwanie Świętego Graala. Kolejne salwy śmiechu. Wszyscy wiedzieli, że wolne miejsce obok Fleishera miało upamiętniać jego nieżyjącego szwagra Sala. „To było jego miejsce. Kochałem go. Sal był człowiekiem jedynym w swoim rodzaju”.

— Wszystko się zgadza! — oświadczyła Cohan-Saavedra. — Frank to Merlin, Richard to Lancelot, a Bill to Król Rybak. Frank, w

przyszłym  
roku powinieneś przyjść w powłóczystej szacie i wysokim  
kapeluszu cza-  
rodzieja.

461

— Jeżeli dożyję.

Dopiero teraz się dowiedziała.

— Dożyjesz, Frank — stwierdziła bez wahania.

Rozmowie przysłuchiwali się dyskretnie dwaj stojący nieopodal  
męż-

czyźni. Jeden niski, drugi wysoki — obaj siwiuteńcy. Kelly i  
McGillen byli

tego wieczoru cisi i poważni. Ich okrągły stół pustoszał. Weinstein  
zmarł

we śnie w siedemdziesiąte ósme urodziny. Odszedł również Earl  
Palmer.

Z ekipy prowadzącej dochodzenie w sprawie Chłopca w Pudełku  
zostali

tylko oni dwaj. W ich życiu dominowały teraz lekarstwa, modlitwa,  
wnu-

ki i prawnuki. Pracowali na coraz mniejszych obrotach, choć  
jeszcze się

zupełnie nie zatrzymali.

Dwaj starzy Irlandczycy pogrążali się w melancholii, ale jednocze-  
śnie byli uparci jak osły. Nie podzielali sceptycyzmu policji wobec  
zeznań

Mary. W końcu udało im się namówić właścicielkę jej domu  
rodzinnego,

aby wpuściła ich do piwnicy. Kobieta była przerażona tym, co  
mogą so-

bie pomyśleć jej dzieci lub sąsiedzi.

Pewnego jesiennoego dnia, kiedy dzieci były w szkole, Kelly,  
McGil-

len, oficer śledczy Augustine oraz dwaj technicy policyjni  
podjechali pod

dom nieoznakowanymi samochodami. Ściany, podłoga i kanał ściekowy w piwnicy odpowiadały dokładnie zeznaniom Mary. Podobnie boczne drzwi prowadzące na dwór, których teraz nie dało się otworzyć, ponieważ od zewnątrz zarosły krzewami. Kelly zrobił zdjęcia, a technik dokładnie wymierzył piwnicę. „Te belki wskazują, w którym miejscu znajdował się pojemnik na węgiel. Widzicie?”, tłumaczył Kelly, który w dzieciństwie do- glądał węglowego pieca. Dodatkowe belki nośne na suficie tworzyły pro- stokąt; rzeczywiście wydawało się, że w przeszłości mogły przytrzymać ściany kontenera na węgiel. Augustine stwierdził, że gdyby przekopali się przez archiwa dostawcy węgla lub biura nieruchomości, mogliby ustalić, czy w domu był kiedyś zamontowany piec węglowy. Nie miałyby to jed- nak większego znaczenia, jako że nie dysponowali dowodami wystarczają- cymi do potwierdzenia zeznań Marie i policja zamknęła sprawę.

Weterani Towarzystwa Vidocq'a tylko się wtedy uśmiechnęli i pokiwali ze smutkiem głowami. W głębi serca wiedzieli, że Marie mówiła prawdę.

462

— Za trzy tygodnie idziemy do małego z wizytą — przypomniał Kelly Billowi Fleisherowi. — Pięćdziesiąta druga rocznica. W Dniu Kombatanta, rocznicę ponownego pogrzebu, przyszli na grób

tylko we trzech. Była jesień, cmentarz tonął w szarościach, jednak oni przynieśli naręczą kolorowych kwiatów. Postali chwilę nad grobem. Odmówili modlitwę. Na koniec zrobili sobie pamiątkowe zdjęcie za kamieniem nagrobnym. Z tych fotografii, robionych na przestrzeni lat, mógłby powstać album rodzinny: dawniej było ich pięciu, teraz trzech. Stali przy grobie w kapeluszach i wojskowych czapkach, z jesiennymi uśmiechami na ustach — strażnicy bezimiennej tajemnicy. Ceremonia miała charakter prywatny; nie zapraszali mediów ani osób postronnych. Próbowali dopisać kolejny rozdział do trzydziestu siedmiu lat wysiłków Rema Bristowa; domalować kolejny odcinek nieprzerwanej niebieskiej linii. Czasami Kelly przychodził na grób sam. Nachylał się i całował kamień. „Do zobaczenia wkrótce, Jonathanie”. Fleisher nie był przekonany o prawdziwości relacji Mary. Wierzył jednak, że „w końcu rozwiążemy tę sprawę. To się może udać”. Walter zmarszczył nos, jakby wyczuł swąd sentymentalizmu. — Ja wiem, kto zabił Chłopca w Pudełku — oświadczył. — I wcale nie była to matka Mary. Zdaniem Waltera morderstwa dokonał młody student, który niby to znalazł chłopca i dopiero po kilku dniach zgłosił ten fakt policji, bojąc się kłopotów. W tamtych czasach policjanci nie potrafili prawidłowo



inter-

pretować perwersji seksualnych i nie dostrzegli oznak patologii u  
człowie-

ka, który odkrył ciało chłopca.

Student przyznał się do podglądania „wykolejonych dziewcząt” z

Przy-

tuliska Dobrego Pasterza, tłumaczył Walter, a ponieważ rzecz  
działa się

w latach pięćdziesiątych, gazety nie napisały o wszystkim: młody  
męż-

czyzna masturbował się schowany za drzewami, podglądając  
kobiety po

drugiej stronie drogi.

— Po pierwsze, facet był wierutnym kłamcą i zboczeńcem.

Policja ma-

glowała go porządnie w sprawie tego podglądania, ale nic z tego  
nie wy-

niknęło.

463

Perwersja seksualna wskazywała, że student wkroczył już na  
drogę opi-

saną przez Podwójną Spiralę, do pałacu sadyzmu. Ewoluuował już  
ku kolej-

nyim stadiom sadystycznej osobowości.

— I taki ktoś znajduje ciało chłopca? — mówił Walter. — Nie  
wie-

rzę w zbiegi okoliczności. Tak się składa, że gość jeszcze żyje.

Jest po

osiemdziesiątce, miał zatem mnóstwo czasu, aby bez końca  
rozkoszować

się wspomnieniami zgwałcenia i zamordowania dziecka. Wciąż  
czerpie

z nich przyjemność. Morderstwo nie jest zakończone, dopóki nie  
zdecy-

duje o tym morderca.

Fleisher dyskretnie się rozejrzył. Sprawdzał, czy w pobliżu nie stoi  
żad-  
na kobieta ani osoba spoza Towarzystwa. Hol rezydencji Pen Ryn  
nieocze-  
kiwanie zmienił się w Salę Morderstw, a sadyzmu o podłożu  
seksualnym  
nie przewidziano w menu na ten wieczór.  
— Joe, mam dla ciebie robotę — Walter zwrócił się do  
przyjaciela, Joe  
O'Kane'a, krzepkiego, brodatego barda i agenta federalnego. —  
Znam ad-  
res mordercy. Wchodzisz w to?  
Tego wieczoru O'Kane śpiewał do ucha pewnej uroczej  
blondynce  
smutne irlandzkie pieśni własnego autorstwa. Śpiewał z taką  
mocą, że ko-  
bieta chwyciła go za rękę, zamknęła oczy i drżała na dźwięk  
prastarych  
strof O'Kane'ów. Jego oczy lśniły blaskiem irlandzkiej whisky  
Tullamore  
Dew, „mleka mego ludu”.  
— Jasne — oświadczył mocnym tenorem O'Kane.  
Plan Waltera był prosty. Zaparkują jego forda crown victoria na  
za-  
tłoczonej ulicy małego miasteczka we wschodniej Pensylwanii.  
Walter  
dokładnie wyobraził sobie przebieg całej operacji. On i zwalisty  
O'Ka-  
ne zapukają. Stary, mieszkający samotnie mężczyzna wyjrzy  
przez uchy-  
lone, zamknięte na łańcuch drzwi. Siwy, prawdopodobnie  
zniedołężniały,  
śmierdzący alkoholem, z napiętą twarzą.  
Morderca z pewnością nie wpuści ich do środka. Mając za  
plecami

O'Kane'a, Walter zapomni na chwilę o swoich wiktoriańskich manierach.

Chodzi przecież o dziecko, które miałoby teraz pięćdziesiąt pięć lat i za-

pewne byłoby mężem i ojcem. Nie ma znaczenia, ile czasu minęło, kto

zapomniał o istnieniu chłopca, a kto o nim wciąż pamiętał, co mówio-

no w filmach i w telewizji, kogo ta sprawa obchodziła, a kogo nie.

Stawką

464

było najzwyczajniejsze na świecie poczucie przyzwoitości. „Nigdy nie jest za

późno, aby postąpić we właściwy sposób”. Walter wepchnie się do środ-

ka. Jeżeli mężczyzna zaproponuje, aby usiadł, odmówi. Zachowa kamien-

ną twarz — więzienną maskę, którą nauczył się przywdziewać przed laty

w Michigan. Bez cienia uśmiechu na twarzy, z uniesioną groźnie brwią

przemówi: „Mój drogi, najwyższy czas, abyśmy porozmawiali jak męż-

czynna z małym chłopcem”.

— Rich, mogę pojechać z wami? — spytał Bender.

Pytanie zaskoczyło Waltera. Bender miał już swoje pięć minut na wcześniejszym etapie śledztwa. Wykonane przez niego popiersie hipo-

tetycznego ojca chłopca zaprezentowano w Najbardziej poszukiwanych

ludziach Ameryki oraz niezliczonej liczbie innych mediów.

Okazało się

przysłowiowym listem w butelce — od tamtego czasu minęło dziesięć lat

i odpowiedź wciąż nie nadeszła.

— Co też ci przyszło do głowy, Frank? Lada chwila będziesz mnie stra-

szyl po nocach. I to częściej niż teraz.

Bender wpatrywał się w Waltera, szczerząc zęby w kocim uśmiechu,

który zdawał się skrywać jakiś sekret. Nie odezwał się ani słowem. Wal-

ter się zarumienił.

— No i widzisz? — zwrócił się do Fleishera, sędziego zdolnego od-

różnić prawdę i fałszu — A nie mówiłem? Nie uwierzę w chorobę tego

szachraja, dopóki nie kopnie w kalendarz. Tacy jak on potrafiliby wypro-

wadzić w pole samego diabła.

— Ej, chłopaki, chłopaki... — powiedział Fleisher. — Trudno o bar-

dziej rozrywkową parę niż wy.

Stali we trzech na parkingu. Noc była pochmurna, na niebie nie świe-

ciły gwiazdy. Z wielkiego domu dobiegał gwar rozmów. W oknach powoli

gasły światła. Atramentowa toń rzeki ginęła w mroku, zlewając się z zie-

mią i niebem. Tylko kiedy odbijała się w niej księżycowa poświata, moż-

na było dostrzec, jak nurt sunie powoli przez czerń nocy.

Bender powiedział, że ze względu na chorobę przyznano mu pełny za-

siłek kombatancki za służbę w marynarce wojennej.

Fleisher uśmiechnął się do niego.

465

— Z twoim popieprzonym szczęściem powołają cię ponownie i wyślą

do Afganistanu.

Wszyscy trzej się zaśmiali.

Fleisher uniósł głowę. W powietrzu wyczuwało się nadciągającą zimę.

— Piękna noc.

— To najbardziej podstawowa forma natury — powiedział z powagą

Bender. — Dostrzegacie jej harmonię?

— E, tam — mruknął Walter, wydmuchując dym papierosowy z płuc.

— Frank, będę się za ciebie modlił— powiedział Fleisher, wsiadając do

samochodu z Michelle. — Wszyscy będziemy. Kochamy cię.

— Dzięki, Bill.

Pomachał im na pożegnanie.

Zostali we dwóch.

Szczupły mężczyzna zakaszał. W świetle księżyca Bender wydawał

się blady.

— Ja co prawda nie planuję się za ciebie modlić — stwierdził Walter —

ale będę trzymał kciuki.

Podziękowania

Klub koneserów zbrodni to opowieść o detektywach działających spo-

łecznie w Towarzystwie Vidocq'a; przede wszystkim o jego twórcach —

agencie federalnym, profilerze i rzeźbiarzu zajmującym się artystyczną

rekonstrukcją twarzy — oraz ponad dziesięciu śledztwach, którymi To-

warzystwo Vidocq'a zajmowało się w latach 1990—2009. Książka powstała

na podstawie setek rozmów z oficerami śledczymi, agentami federalnymi,

patologami, antropologami, dentystami i przedstawicielami innych

pro-  
fesji związanych z medycyną sądową; akt policyjnych i sądowych;  
gazet,  
czasopism, programów telewizyjnych i radiowych, pamiętników,  
stron  
internetowych, e-maili, książek i prac naukowych (publikowanych i  
nie-  
publikowanych). Niemniej jednak tak rozbudowana praca nie  
mogłaby  
powstać bez pomocy innych osób.  
Najgorętsze podziękowania należą się byłemu agentowi  
federalnemu,  
a obecnie prywatnemu detektywowi Williamowi Fleisherowi,  
rzeźbiarzo-  
wi Frankowi Benderowi oraz profilerowi Richardowi Walterowi.  
Choć  
Klub koneserów zbrodni opowiada historię Towarzystwa Vidocq'a,  
jest rów-  
nież swego rodzaju biografią jego założycieli. Wszyscy trzej, a  
zwłaszcza  
pełniący funkcję prezesa Fleisher, niezwykle otwarcie dzielili się  
ze mną  
informacjami i wspomnieniami. Przysłuchiwałem się analizom  
spraw  
podczas lunchów w Sali Morderstw, uczestniczyłem w  
spotkaniach za-  
rządu, otrzymałem dostęp do archiwów oraz mogłem śledzić  
przebieg  
zamkniętych dyskusji. Z trzema założycielami Towarzystwa  
przeprowa-  
dziłem w ciągu pięciu lat niemal tysiąc godzin rozmów.  
U boku Fleishera i Waltera wziąłem udział w kursie wykorzystania  
nauk sądowych w prowadzeniu śledztwa na Albright College w  
Reading  
w stanie Pensylwania, gdzie przez dwa dni słuchałem wykładów

członków

Towarzystwa Vidocq'a, między innymi Haskella Askina na temat denty-  
styki sądowej, Fleishera o wykrywaniu kłamstwa oraz Waltera o typach  
osobowościowych morderców (prezentacji Waltera miałem okazję  
wy-  
słuchać wielokrotnie: na uniwersytetach, konferencjach  
naukowych oraz  
skierowanej do ponad stu filadelfijskich prokuratorów). Miałem  
również

467

okazję poznać założycieli Towarzystwa od strony prywatnej.

Zapraszali

mnie do swoich domów w Boże Narodzenie i na zabawy  
sylwestrowe,

przedstawili swoimi najbliższymi. Szczególne podziękowania za  
poświę-

cony czas należą się Michelle i Elizabeth Fleisher, Glorii Alvarado  
(sekre-

tarce Towarzystwa Vidocq'a), Jan Bender, Joan Crescenz,  
utalentowanej

redaktorce Vanessie Bender, Nan i Morrisowi Bakerom, Beverly  
Fraser

i dalszym krewnym Richarda Waltera.

Jestem wdzięczny zarządowi Towarzystwa Vidocq'a, zwłaszcza  
byłemu

agentowi specjalnemu Urzędu Celnego Josephowi M.

O'Kane'owi, by-

łej zastępczyni prokuratora generalnego Barbarze

Cohan-Saavedrze, spe-

cjaliście od prowadzenia badań wariografem Nathanowi J.

Gordonowi

oraz byłemu oficerowi śledczemu z wydziału zabójstw

filadelfijskiej poli-

cji Edowi Gaughanowi. W rekonstrukcji starszych śledztw pomagali mi zwłaszcza Gordon i Gaughan, wspólnicy Fleishera z agencji detektywistycznej Sieć Wywiadowcza Keystone. Przewodniczący zarządu Frederick A. Bornhofen, były agent wywiadu marynarki wojennej, oraz O'Kane wspólnie poświęcili czas na zaprezentowanie mi historii Towarzystwa. Czasu i wspomnień nie szczędzili również William Gill III — były agent Departamentu Skarbu, Benjamin Redmond — były agent Urzędu Podatkowego, John Maxwell — były nadzorca filadelfijskiego wydziału dochodzeniowego oraz Donald Weinberg — profesor anglistyki i były negocjator w sprawach o porwanie. Szczególne wyrazy wdzięczności należą się zmarłemu doktorowi Halbertowi „Zabójczemu Halowi” Fillingerowi z Filadelfii, jednemu z najlepszych patologów sądowych w Stanach Zjednoczonych. Należał do weteranów Towarzystwa Vidocq’a, a jego duch unosi się nad całą książką. Chciałbym również podziękować wszystkim członkom Towarzystwa za wyrozumiałość i pomoc udzieloną człowiekowi, który przysłuchiwał się ich spotkaniom i naciągał ich na zwierzenia podczas lunchów. Spędzenie w Sali Morderstw popołudnia na jedzeniu i analizie zbrodni przypo-



mina wyjście do filharmonii na koncert symfoniczny.  
Moja książka jest poświęcona wszystkim członkom Towarzystwa Vi-  
docqa. Szczególne wyrazy wdzięczności należą się „kapelanowi”  
klubu Bil-  
lowi Kelly'emu, emerytowanemu funkcjonariuszowi filadelfijskiej  
policji,  
468  
oraz Joemu McGillenowi — emerytowanemu oficerowi biura  
lekarza są-  
dowego za wspomnienia dotyczące sprawy Chłopca w Pudełku;  
Frankowi  
Frielowi, kapitanowi filadelfijskiego wydziału zabójstw i  
komendantowi  
policji w Bensalem w Pensylwanii za informacje dotyczące  
najróżniej-  
szych spraw oraz sztuki prowadzenia śledztw policyjnych w  
ogóle; kapita-  
nowi filadelfijskich oficerów śledczych Laurence'owi Nodiffowi za  
pomoc  
w sprawie Marie Noe; Richardowi Waltonowi — oficerowi  
śledczemu  
z Kalifornii zajmującemu się nierozwiązanymi sprawami za  
informacje na  
temat przygotowanej przez niego rekonstrukcji morderstwa z lat  
dwudzie-  
stych XX wieku; byłemu agentowi Urzędu Celnego Frankowi  
Dufnerowi  
za cenne detale związane z kilkoma śledztwami federalnymi;  
eksperto-  
wi w dziedzinie analizy dokumentów Robertowi J. Philipsowi za  
szczere  
omówienie charakteru pisma Johna F. Kennedy ego; patologowi  
sądowe-  
mu z Arizony doktorowi Richardowi Froede za opis sekcji zwłok

szefa placówki CIA w Bejrucie Williama Buckleya, porwanego, torturowanego i zamordowanego przez Hamas i islamskich dżihadystów. Jestem dłużnikiem agenta FBI i członka Towarzystwa Vidocqa Roberta Resslera oraz oficera śledczego i profesora medycyny sądowej Roberta Keppela. Ci dwaj wybitni przedstawiciele pierwszego pokolenia amerykańskich profilerów, koledzy Richarda Waltera, poświęcili mi wiele cennego czasu i podzielili się wiedzą z dziedziny analizy zbrodni i konstruowania profili psychologicznych. Steve Stoud, członek Towarzystwa Vidocqa i podobnie jak oni profiler, pracujący dla pensylwańskiej policji stanowej, pomógł mi zrozumieć znaczenie osiągnięć teoretycznych Waltera oraz samego ich twórcę jako człowieka. Historia działalności Towarzystwa Vidocqa istniała przede wszystkim we wspomnieniach poszczególnych osób, ale dzięki byłemu kierownikowi działu reklamy Richardowi Lavinthalowi, profesorowi anglistyki Weinbergowi, doktor Jolie Bookspan oraz jej mężowi Paulowi Plevakowskiemu Towarzystwo wydaje znakomity kwartalnik „Vidocq Society Journal” (obecnie, dzięki Plevakasowi, w formie elektronicznej). Było to jedno z istotnych źródeł, z których korzystałem podczas pisania książki. Podczas wielogodzinnych rozmów Jim Dunn podzielił się ze mną wspomnieniami z prywatnego śledztwa, które przeprowadził, aby

znaleźć

469

mordercę swojego syna Scotta. Jego zwińczeniem okazała się znajomość z Richardem Walterem, która ostatecznie doprowadziła do skazania winnych. Oficer śledczy wydziału zabójstw Keith Hall (obecnie zatrudniony w biurze szeryfa hrabstwa Onondaga w stanie Nowy Jork) oraz funkcjonariusz Thaddeus Maine podzielili się ze mną cennymi informacjami na temat śledztwa w sprawie Dziewczyny bez Twarzy prowadzonego przez policję w Manlius. Oficer śledczy Tal English z wydziału zabójstw policji w Lubbock w Teksasie okazał się nieocenionym źródłem wiadomości na temat sprawy Scotta Dunna. Prywatni detektywi Robert Mancini z Ohio i Mike Rodelli z New Jersey (obaj regularnie korzystający z rad Waltera) udostępni mi wyniki swoich śledztw dotyczących dwóch najsłynniejszych amerykańskich seryjnych morderców, którzy nigdy nie zostali schwytani — Rzeźnika z Cleveland i Zodiaka. Dziękuję Nancy Rue, dyrektor wykonawczej Narodowego Stowarzyszenia Rodziców Zamordowanych Dzieci (PoMC), która pomogła mi w zrozumieniu problemów, z jakimi borykają się rodziny, a zwłaszcza rodzice ofiar morderstw. Miałem okazję spotkać ich osobiście, kiedy wraz

z Richardem Walterem, byłym członkiem zarządu PoMC, wziąłem udział w konferencji w Cincinnati. Niewiele osób zdaje sobie sprawę z cierpień, które są ich udziałem, a mało kto potrafi je sobie wyobrazić. Emerytowany lekarz Bob Meyer i jego żona Sherry opowiedzieli mi o bólu i determinacji towarzyszącym poszukiwaniom mordercy ich trzydziestopięcioletniej córki Sherry-Ann Brannon oraz wnuczek: siedmioletniej Shelby i czteroletniej Cassidy. W zrozumieniu niezwyklej społeczności rodziców zamordowanych dzieci pomógł mi również Harry Bonnell, patolog sądowy z Kalifornii oraz przewodniczący PoMC. Na konferencji Amerykańskiej Akademii Nauk Sądowych poznałem doktora Richarda Shepherd, czołowego patologa sądowego Londynu i Liverpoolu, autora książki Simpson's Forensic Medicine. Miałem wtedy również okazję porozmawiać z Johnem DeHaanem z Vallejo w Kalifornii, znakomitym oficerem śledczym specjalizującym się w podpaleniach i materiałach wybuchowych, autorem książki Kirk's Fire Investigation, oraz z Vernonem J. Geberthem, emerytowanym komandorem porucznikiem komendy miejskiej policji Nowego Jorku, autorem biblii wszystkich 470 detektywów Practical Homicide Investigation: Tactics,

Procédures, and Forensic Techniques. Wszyscy trzej znacząco poszerzyli moją wiedzę na temat nierozwiązanych spraw. Dziękuję Betty Smith z Montrose w Pensylwanii za zapoznanie mnie z historią stolicy hrabstwa Susquehanna, zwłaszcza z dziejami filadelfijskiej rodziny Biddle'ów. Tom DeTitto, kierownik projektów w firmie Cushman & Wakefield oraz kronikarz rewitalizacji filadelfijskiej stoczni podzielił się ze mną cennymi informacjami na temat Klubu Oficerów Marynarki Wojennej, w którym odbyło się pierwsze spotkanie Towarzystwa Vidocqa, oraz pomógł mi w interpretacji fotografii i elewacji budynku numer 46. Pomagał mi w tym również Douglas C. McVarish. Specjalne wyrazy wdzięczności kieruję do Larryego Biddisona, emerytowanego profesora anglistyki na Uniwersytecie w Mansfield w Pensylwanii, za pomoc w uporządkowaniu archetypów arturiańskich, których istnienie niespodziewanie odkryłem w Towarzystwie Vidocqa. Profesor zapoznał mnie z klasyczną pracą Legenda o Graalu: od starożytnego obrzędu do romansu średniowiecznego Jessie L. Weston, Idylls of the King Tennysona i Ziemiająłową T.S. Eliota, będącymi rozwinięciem problematyki, z którą zetknąłem się w The Grail Legend Emmy Jung i Marie-Louise von Franz.

Dziękuję również za wskazówki profesorom anglistyki Tomowi Murphyemu z Uniwersytetu w Mansfield i Nelljean Rice z Coastal Carolina University.  
Sue Cummings z baru Native Bagel w Wellsboro w Pensylwanii zapewniła mi wyżywienie oraz czyste i dobrze oświetlone miejsce, w którym mogłem czytać, pisać i umawiać się z rozmówcami. Miałem to szczęście, że Tom French, laureat nagrody Pulitzera, reporter „St. Petersburg Times” i profesor na Indiana University, zechciał pewnego wieczora zapoznać się przy kilku piwach z niemal ukończoną wersją książki i zgłosić kilka cennych uwag. Tom był moim nauczycielem na inspirującym podyplomowym kursie w Goucher College w Towson w stanie Maryland. Za wsparcie i zachętę do dalszej pracy chciałbym również podziękować związanej z tym miejscem Patsy Sims. Pobyt w Maryland zawsze pozwala mi zregenerować siły — wszystko za sprawą mojego  
471  
przyjaciela Jeffa Leena z „Washington Post” oraz wspaniałej kadry i studentów Szkoły Dziennikarstwa Philipa Merrilla przy Maryland University: Eugene’a Roberta, Jona Franklina, Iry Chinoya, a szczególnie Deana Toma Kunkela, pisarza, dziennikarza, a obecnie rektora St. Norbert Col-

lege w De Pere w Wisconsin.

Dziękuję również mojemu prawnikowi i wspólnikowi George'owi Bo-

chetto, Dave'owi Tepsowi, Tuckerowi Worthingtonowi, Denise i Pete'owi

Boalom, Steve'owi Sonsky'emu, Peggy Landers, Christopherowi Boydo-

wi, Bruce'owi Boynickowi, Mattowi Walshowi, Richardowi Strauchowi,

Barb Madden, Gusowi Ciardullo, Theresie i Stanleyowi Banikom, Marko-

wi i Jessice Banikom, Ronowi i Jackie Pattom, Johnowi i Ruthann Gasien-

skim, Stephenowi i Lisie Banikom, Christopherowi Banikowi, Gregowi

Banikowi, Kim Achilly, Michaelowi i Mary Ann Banikom oraz Moham-

adowi i Kathleen Sanati.

Mój wydawca, niezrównany William Shinker, założyciel i prezes Go-

tham Books, z niesłabnącym entuzjazmem i wizjonerstwem wspierał mnie

w trakcie pracy nad książką.

Klub koneserów zbrodni dedykuję mojej żonie, Teresie Banik-Capuzzo,

niestrudzonej i utalentowanej redaktorce; prawdziwej mistrzyni języka.

O jej kompetencjach mógł się również przekonać Bill Shinker, jako że

współpracował z Teresą podczas prac nad tą książką. Nie mogłaby ona

powstać bez tych dwóch osób oraz profesjonalnego wsparcia redaktor na-

czelnej Gotham Books Lauren Marino, a także jej najwyższej klasy współ-

pracowników: Erin Moore, Bretta Valleya, Brendana Cahilla, którzy jako pierwsi zwrócili uwagę na potencjał opowieści o Towarzystwie Vidocqą, oraz Cary Bedick, Sophii Muthuraj i Beth Parker, które opowiedziały o niej światu. Chciałbym również wyrazić wdzięczność Ericowi Raymanowi za wnikliwe przeanalizowanie książki od strony prawnej. Dziękuję moim niezastąpionym agentom literackim z Nowego Jorku, Robertowi Gottliebowi i Davidowi McCormickowi, za sprzedaż praw do książki oraz opiekę nad autorem. Na koniec chciałbym szczególnie gorąco podziękować Douglasowi C. Cliftonowi, wspaniałemu redaktorowi z „Miami Herald” i „Cleveland Plain Dealer”, który przed laty wprowadził dwudziestoletniego stażystę z Northwestern University we wspaniały świat słowa pisanego.

472

### Bibliografia

Oto wykaz niektórych źródeł, z których korzystałem podczas pisania Klubu koneserów zbrodni. Poza aktami policyjnymi i sądowymi, wywiadami z oficerami śledczymi, prokuratorami i członkami Towarzystwa Vidocqą oraz setkami artykułów w czasopiśmie i gazetach, przeczytałem kilkadziesiąt książek poświęconych przestępczości i morderstwom. Te wymienione poniżej zostały napisane przez członków Towarzystwa



Vidocqa lub

o nich opowiadają.

Botha Ted, *The Girl with the Crooked Nose: A Tale of Murder, Obsession,*

*and Forensic Artistry*, New York 2008. Historia niezwyklej kariery Franka Bendera.

Dunn James, Ewans Wanda, *Trail of Blood: A Father, a Son, and a Telltale*

*Crime Scene Investigation*, Far Hills 2007. Ojciec poszukujący morder-

cy syna sprzymierza się z Towarzystwem Vidocqa.

Gordon Nathan J., Fleisher William L., *Effective Interviewing & Interro-*

*gation Techniques*, San Diego 2002. Klasyczny podręcznik autorstwa

dwóch prominentnych członków Towarzystwa Vidocqa.

Pettem Silvia, *Someone's Daughter: In Search of Justice for Jane Doe*, Lan-

ham 2009. Książka autorstwa dziennikarki z Kolorado, której artykuły

skłoniły policję i Towarzystwo Vidocqa do ponownego zainteresowa-

nia się zapomnianą sprawą niezidentyfikowanej kobiety, której szcząt-

ki znaleziono w Kolorado.

Ressler Robert K., Shachtman Tom, *I Have Lived in the Monster: Inside*

*the Minds of the World's Most Notorious Serial Killers*, New York 1997.

Historia śledztw prowadzonych przez Roberta Resslera.

Ressler Robert K., Shachtman Tom, *Whoever Fights Monsters: My Twenty*

*Years Tracking Serial Killers for the FBI*, New York 1992. Kolejny zbiór

śledztw prowadzonych przez Resslera.

Stout David, The Boy in the Box: The Unsolved Case of America's Unknown Child, Guilford 2008. Członkowie Towarzystwa Vidocqa Bill

473

Kelly, Joe McGillen, Fleisher i inni prowadzą dochodzenie w sprawie

Chłopca w Pudełku.

Sprawy opisane w Klubie koneserów zbrodni zdarzyły się naprawdę, a je-

dyne zmiany dotyczyły nazwisk i innych detali mogących naruszać pry-

watność bohaterów. Aby ułatwić zadanie czytelnikom zainteresowanym

innymi książkami na temat Towarzystwa Vidocqa, moi bohaterowie no-

są te same pseudonimy, jakie nadali im autorzy The Girlwith the Crooked

Nose (Laura Shaughnessy), The Boy in the Box (John Stachowiak i Frank

Guthrum) i Trail of Blood („Jessica”).

Niezwykle pomocne okazały się również dwie inne książki.

Polecam

je czytelnikom zainteresowanym historią filadelfijskiej przestępczości oraz

sprawą Johna Lista:

Avery Ron, City of Brotherly Mayhem: Philadelphia Crimes & Criminals,

Philadelphia 1997.

Sharkey Joe, Death Scene: The Inside Story ofthe John List Murders, New

York 1990.

Polecam również artykuły poświęcone sprawom kryminalnym opubli-

kowane w czasopiśmie „Philadelphia" przez laureata National

Magazine

Award Stephen'a Frieda. To właśnie on doprowadził do wszczęcia docho-

dzenia przeciwko Marie Noe (zob. [www.stephenfried.com](http://www.stephenfried.com)). Jego reporta-

że i wspomnienia wpłynęły na kształt rozdziałów poświęconych sprawie

Marie Noe oraz na moją wizję historii Towarzystwa Vidocq'a.

Pomocne

okazały się również artykuły napisane przez psycholog sądową Kathe-

rine Ramsland, zwłaszcza te opublikowane w „Vidocq Society Journal”

i truTV Crime Library.

Przeczytałem setki artykułów prasowych na temat Towarzystwa Vi-

docq'a i spraw, którymi się ono zajmowało. Większość z nich miała cha-

rakter ogólny i zdradzała jedynie powierzchowną wiedzę na temat śledstw

i osób w nie zaangażowanych. Ich autorzy byli często zapraszani na spo-

tkania Towarzystwa, ale proszono ich o opuszczenie sali w chwili, gdy roz-

począła się rzeczywista praca dochodzeniowa. Wspomniane artykuły

474

pochodzą z następujących czasopism: „New York Times”, „Los Angeles

Times”, „USA Today”, biuletynów Associated Press, „Harper's Magazine”,

„Reader's Digest”, „London Telegraph”, „Montreal Gazette”,

„Philadelphia

Inquirer”, „Miami Herald”, „St. Petersburg Times”, miesięcznika

„Phila-

delphia", „The Pocono Record" i „The Philadelphia Lawyer".  
Do ważnych źródeł informacji o najważniejszych omówionych w książce śledztwach należały: artykuły opisujące śledztwo w sprawie śmierci Scotta Dunna oraz zawierające relację z obu procesów, opublikowane w „Lubbock Avalanche-Journal" i „Plainview Daily Herald" (a także pamiętnik Jamesa Dunna, zapiski z jego podróży, notatki, nagrania, fotografie, dokumenty osobiste oraz maszynopis jego nieopublikowanej jeszcze książki); artykuły poświęcone śledztwu prowadzonemu przez policję w Manlius w sprawie morderstwa Dziewczyny bez Twarzy z „Syracuse Post Standard"; artykuły dotyczące śledztwa w sprawie morderstwa Terri Lee Brooks z „Trentonian", „United Press International", „Philadelphia Inquirer", „Philadelphia Daily News" i „Bucks County Courier Times"; artykuły dotyczące śledztwa w sprawie morderstwa niezidentyfikowanej kobiety z Kolorado z „Rocky Mountain News", „Denver Post", „Boulder Daily Camera", „North Platte Telegraph", „USA Today" oraz akta z biura szeryfa hrabstwa Boulder; artykuły poświęcone sprawie Zoi Assur z „Atlantic City Press" oraz odcinek nadawanego przez stację CBS programu 48 godzin z Danem Ratherem zatytułowany Morderstwo na lunch; artykuły poświęcone śledztwu w sprawie morderstwa Deborah Lynn

Wilson

z „Associated Press”, „United Press International”, „Philadelphia Inquirer”,

„Philadelphia Daily News” oraz archiwa Drexel University;

różnorodne

materiały poświęcone mordercy Johnowi Listowi z „New York Times”,

„Star-Ledger” z Newark, truTV Crime Library i odcinek programu Naj-

bardziej poszukiwani ludzie Ameryki. Dziękuję J.D. Mulane'owi z „Bucks

County Courier Times” za znakomite sprawozdania ze śledztwa w spra-

wie Morderstwa na Chórze, oparte na przygotowanym przez niego sze-

ścioodcinkowym serialu telewizyjnym.

O sprawie Chłopca w Pudełku napisano wiele w ciągu minionego półwiecza. Do źródeł ogólnokrajowych należą: artykuł z lipca

1958 roku

z „Saturday Evening Post” (Pudełko, kocyk i zwłoki małego chłopca),

475

artykuł z 1957 roku z miesięcznika „Front Page Detective” (Kim jest

Chłopiec w Pudełku?), artykuły z czasopisma „American Way”, odcinek

Najbardziej poszukiwanych ludzi Ameryki z października 1998 roku oraz

odcinek programu 48 godzin. Choć niezwykle pomocne okazały się roz-

mowy z członkami Towarzystwa Vidocq'a, przeczytałem również ponad

sto artykułów poświęconych sprawie publikowanych od 1957 roku do

czasów dzisiejszych: wszystkie z „Philadelphia Press”, większość

z „Phila-  
delphia Inquirer” i „Philadelphia Daily News” oraz wybrane z  
„Philadel-  
phia City Paper”, „Northeast Times” i „Frankford News Gleaner”.  
Innymi  
źródłami były informacje z Associated Press, trzeciego kanału  
filadelfij-  
skiej KYW-TV, a także mowa wygłoszona przez Fleishera na  
pogrzebie  
Samuela Weinsteina opublikowana w maju 2004 roku przez  
lokalny od-  
dział Shomrim, narodowego stowarzyszenia amerykańskich  
stróżów pra-  
wa pochodzenia żydowskiego.  
Frank Bender jest zapewne, obok agenta FBI Roberta Resslera,  
najbar-  
dziej znanym członkiem Towarzystwa Vidocq’a. Poza  
zapoznaniem się ze  
stertami artykułów z gazet i czasopism z całego świata, kilkoma  
książka-  
mi, sylwetką w miesięczniku „Esquire” i w programie 60 Minutes,  
przeci-  
tałem także ogromne ilości dokumentów zgromadzonych przez  
samego  
Franka, w tym jego niepublikowaną autobiografię. Dodatkowe  
informacje  
czerpałem z tak różnorodnych źródeł, jak: „Harper's Magazine”,  
miesięcz-  
nik „ArtForum”, wydawany w Londynie „Frieze” (wiodące  
czasopismo  
poświęcone współczesnej sztuce i kulturze), zapis wywiadu z  
rzeźbia-  
rzem wyemitowanego w publicznym radiu, biuletyn „Inside  
Corrections:  
The Quarterly Newsletter of the New Jersey Department of

Corrections",  
w której znajdowała się informacja o śmierci jednego ze zbiegów  
ujętych  
dzięki Frankowi (nie napisałem o tym w książce) oraz „Rockhound  
News”,  
biuletyn Towarzystwa Archeologicznego i Geologicznego z  
Memphis po-  
święcony „Człowiekowi Lodu”. Richard Walter udostępnił mi  
opaste tecz-  
ki z wycinkami z gazet i osobistymi dokumentami, a także kopie  
własnych  
artykułów opublikowanych w „International Journal of Offender  
Thera-  
py and Comparative Criminology”. Bill Fleisher opisał swoje  
największe  
osiągnięcia z czasów służby w Urzędzie Celnym w książce  
poświęconej  
technice prowadzenia przesłuchań, niemniej doniesienia o wielu z  
nich  
476  
można również znaleźć w filadelfijskiej prasie oraz biuletynach  
agencji pra-  
sowych. W lutym 2009 roku Fleisher i Bender wystąpili wspólnie  
w pro-  
gramie „Talk of the Nation” w publicznym radiu.  
Statystyki dotyczące przestępczości zaczerpnąłem z wydawanych  
przez FBI od 1950 roku Raportów Służb Mundurowych.  
Informacje na  
temat warunków pogodowych towarzyszących wydarzeniom z  
przeszło-  
ści czerpałem z relacji prasowych, tabel meteorologicznych dla  
Lubbock  
i Filadelfii, które zakupiłem od Amerykańskiej Narodowej Służby  
Oce-  
anicznej i Meteorologicznej oraz informacji znalezionych na

stronach internetowych Instytutu Franklina w Filadelfii oraz Weather Underground. Internet okazał się zresztą pomocny w najróżniejszych sytuacjach: poczynając od strony poświęconej Chłopcu w Pudełku (americasunknownchild.net) — prawdziwej skarbnicy wiedzy — do Camelot Project na Uniwersytecie w Rochester.

Inne źródła

Ajschylos, Tragedie, tłum. S. Srebrny, Kraków 2005.

Alighieri Dante, Boska komedia, tłum. E. Porębowicz, Warszawa 1990.

Badal James Jessen, In the Wake of the Butcher: Cleveland's Torso Murders, Kent 2001.

Black Joel, The Aesthetics of Murder: A Study in Romantic Literature and Contemporary Culture, Baltimore 1991.

Campbell Joseph, Bohater o tysiącu twarzy, tłum. A. Jankowski, Poznań 1997.

Campbell Joseph, The Mythic Image, Princeton 1974.

Campbell Joseph, Moyers Bill, Potęga mitu: rozmowy Billa Moyersa z Josephem Campbellem, tłum. I. Kania, Kraków 2007.

Capote Truman, Z zimną krwią, tłum. K.F. Rudolf, Poznań 2007.

Collins Philip, Dickens and Crime, Bloomington 1968.

Dostojewski Fiodor, Bracia Karamazow, tłum. A. Pomorski, Kraków 2009.

Douglas John Mark, Motywy zbrodni: metody działania agenta specjalnego

FBI, tłum. G. Gasparska, Warszawa 2002.

Doyle Arthur Conan, powieści i opowiadania o Sherlocku



Holmesie.

477

Edwards Samuel, *The Vidocq Dossier: The Story of the World's First Detective*, Boston 1977.

French Thomas, *Unanswered Cries: A True Story of Friends, Neighbors, and Murder in a Small Town*, New York 1992.

Friel Francis, Guinther John, *Breaking the Mob: The Gripping True Story of a Dedicated Cop Who Led the Fight That Put an Entire Mafia Family out of Business*, Lincoln 2000.

Gardiner Eileen (red.), *Visions of Heaven & Hell Before Dante*, New York 1989.

Hare Robert, *Psychopaci są wśród nas*, tłum. A. Skucińska, Kraków 2006.

Hugo Victor, *Nędznicy*, t. 1, tłum. K. Byczewska, Warszawa 1976.

Jeffers Paul H., *Who Killed Precious: How FBI Special Agents Combine Psychology and High Technology to Identify Violent Criminals*, New York 1991.

Johnson Paul, *A History of the American People*, New York 1999.

Jung Emma, Franz Marie-Louise von, *The Grail Legend*, Princeton 1998.

Keppel Robert D., Birnes William J., *Signature Killers: Interpreting the Calling Cards of the Serial Murderer*, New York 1997.

Kessler Ronald, *The Bureau: The Secret History of the FBI*, New York 2003.

Leeming David Adams, *The World of Myth*, New York 1990.

McVarish Douglas C., *Warships and Yardbirds: An Illustrated History of*

the Philadelphia Naval Shipyard, Philadelphia 2000.

Michaud Stephen G., Hazelwood Roy, The Evil That Men Do: FBI Pro-  
filer Roy Hazelwood's Journey into the Minds of Sexual  
Predators, New  
York 1998.

Nickel Stephen, The Story of Eliot Ness and the Search for a  
Psychopathic  
Killer, Winston-Salem 1989.

Ruehlmann William, Saint with a Gun: The Unlawful American  
Private  
Eye, New York 1974.

Sade Donatien Alphonse François de, Filozofia w buduarze, t.  
1-2, tłum.  
M. Fabjanowski, Łódź 1989.

Sade Donatien Alphonse François de, Niedole cnoty. Zbrodnie  
miłości,  
tłum. J. Trznadel, J. Łojek, Łódź 1985.  
478

Scott Gini Graham, Homicide: 100 Years of Murder in America,  
Lincoln-  
wood 1998.

Tennyson Alfred, Idylls of the King, New York 1989.

Vidocq Eugène François, Memoirs of Vidocq: Master of Crime,  
Oakland  
2003.

Weston Jessie L., Legenda o Graalu: od starożytnego obrzędu do  
romansu  
średniowiecznego, tłum. A.H. Bogucka, Warszawa 1974.

Spis treści

Prolog    Profiler i książdz    7

Głos krwi 11

Część pierwsza    Sala morderstw    13

Rozdział 1    Koneserzy zbrodni    14

Rozdział 2    Człowiek, któremu morderstwo uszło na sucho

Rozdział 3	Rycerze barowego stolika	32	
Część druga	Czterej chłopcy	37	
Rozdział 4	A małe chłopię prowadzi ich będzie		38
Rozdział 5	Policjanci i złodzieje	45	
Rozdział 6	Człowiek, który widział umarłych		58
Rozdział 7	Cienie mrocznego rycerza	67	
Rozdział 8	Strażnicy miasta	73	
Rozdział 9	Chłód przeszłości	79	
Rozdział 10	Na procesie zabójcy	82	
Rozdział 11	Śmierć tancerki	86	
Rozdział 12	Detektyw Fizjonomista	100	
Rozdział 13	Człowiek z Problemami Żołądkowymi		110
Rozdział 14	Na tropie Czarownika	119	
Rozdział 15	Błądny rycerz z przypadku	130	
Rozdział 16	Morderstwo doskonałe	135	
Rozdział 17	Maska niewidzialnego człowieka		144
Rozdział 18	Powrót Vidocqą	152	
Część trzecia	Towarzystwo Vidocqą	161	
Rozdział 19	Stowarzyszenie detektywów	162	
Rozdział 20	Zapuszczkowany	169	
Rozdział 21	Detektyw od dusz	180	
Rozdział 22	Artysta śmierci	184	
Rozdział 23	Sny Morfeusza	188	
Rozdział 24	Sprawy, których nie potrafią odpuścić		190
Rozdział 25	Rzeźnik z Cleveland	204	
Rozdział 26	Błagania wznoszone do Boga	216	
Rozdział 27	Koniec pewnego romansu	220	
Rozdział 28	Złap mnie, jeśli potrafisz	226	
Rozdział 29	Sprawa bosonogiej dziewczyny		234
Rozdział 30	Sprawa syna marnotrawnego	245	
Rozdział 31	Mędrzec ze Scotland Yardu	250	
Rozdział 32	Pomyśl o zemście	258	
Rozdział 33	Morderstwo w katedrze	268	
Rozdział 34	Chcę usłyszeć szczęk kajdanek		274

Rozdział 35	Detektywi-doradcy	286
Część czwarta	Walka z bestiami	293
Rozdział 36	Zawieź mnie do tej psychopatki	294
Rozdział 37	Nieznajomy w Biddle House	302
Rozdział 38	Miasto braterskiego chaosu	315
Rozdział 39	Gniew słodszy od miodu	319
Rozdział 40	Najgorsza matka w historii	331
Rozdział 41	Chłopiec, który nigdy nie umarł	335
Rozdział 42	Ośmioro dzieci nazywanych „ono”	341
Rozdział 43	Potrójne morderstwo	347
Rozdział 44	Z nieba do piekła	353
Rozdział 45	Zejście do jądra ciemności	359
Rozdział 46	W świecie, który powstanie na nowo	365
Rozdział 47	„Moje gratulacje, znalazł pan mordercę”	369
Rozdział 48	Przesłuchanie	374
Rozdział 49	Demony Mary	386
Rozdział 50	Sprawa brakującej twarzy	388
Rozdział 51	Aniołowie od morderców	399
Rozdział 53	Dziewiąty krąg piekła	413
Rozdział 54	Czasomierz z bananów	430
Rozdział 55	Cud na South Street	435
Rozdział 56	Rycerze okrągłych stołów	442

Podziękowania 467

Bibliografia 473

Opieka redakcyjna

Paweł Ciemniowski

Redakcja

Marianna Cielecka, Karolina Rostkowska / libellicosa.pl

Korekta

Teresa Kapanik, Małgorzata Wójcik

Adaptacja okładki na podstawie oryginału, projekt stron tytułowych

i projekt typograficzny

Filip Kuźniarz

Redakcja techniczna

Bożena Korbut

Printed in Poland

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o., 2011

ul. Długa i, 31-147 Kraków

bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40

księgarnia internetowa: [www.wydawnictwoliterackie.pl](http://www.wydawnictwoliterackie.pl)

e-mail: [ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl](mailto:ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl)

fax: (+48-12) 430 00 96

tel.: (+48-12) 619 27 70

Skład i łamanie: [libellicosa.pl](http://libellicosa.pl)

Druk i oprawa: Drukarnia pozkał

Michael Capuzzo po raz kolejny udowadnia, że jest jednym z najlepszych twórców gatunku. Klub koneserów zbrodni to świetnie napisana, wciągająca, mroczna opowieść...

Michael Connelly

Dzięki mocnej narracji i imponującej wiedzy Capuzzo tworzy wspaniałą galerię najlepszych detektywów naszych czasów. Klub koneserów zbrodni jest tak wciągający jak najbardziej wymyślny z thrillerów, ale nie zapominajmy, że to nie fikcja; potwory opisane w tej książce są prawdziwe, tak jak dzielni detektywi podążający ich tropem.

Jason Kersten

Fascynująca książka.

„Booklist”

Przekonuje i równocześnie przeraża.

„The Philadelphia Inquirer”